

Kalendarz cieszyński

1999



PHU Urszula i Janusz Wapienik
serdecznie zapraszają do korzystania
z placówek handlowych



Wapienik
market

Cieszyn

ul. Katowicka 51

pn.-pt. 6.30 - 20.30

sob. 7.00 - 17.00

niedz. 10.00 - 16.00

WIWA

market

Cieszyn

ul. Stawowa 60

codziennie przez 7 dni

8.00 - 21.00

1001
DROBIĄZGÓW

Cieszyn

ul. Głęboka 17

pn.-pt. 9.00 - 18.00

sob. 8.00 - 14.00

KALENDARZ
CIESZYŃSKI
1999

MACIERZ ZIEMI CIESZYŃSKIEJ
CIESZYN 1998

Zredagowało Kolegium:

ROBERT DANIEL (przewodniczący)
KAZIMIERZ FOBER
KAROL KAJZER
MARIUSZ MAKOWSKI
LEON MIĘKINA
WŁADYSŁAW SOSNA
KRZYSZTOF SZELONG

Redakcja techniczna:

TADEUSZ KOPOCZEK

Projekt okładki:

WIKTOR KOLONKO

Fotografia na okładce:

KRZYSZTOF MARCINIUK

Korekta:

ALEKSANDRA PAŹDZIORA

Sto czterdziesta publikacja Macierzy Ziemi Cieszyńskiej



ISBN 83-909864-2-6

Wydawca: Macierz Ziemi Cieszyńskiej

Cieszyn, ul. Stalmacha 14, tel. 521-659

Skład i łamanie: Edward Wilk, Cieszyn

Druk: OFFSETDRUK inż. Stanisław Stoszek, Cieszyn

D 2411

14,03

ANNA WIĘZIK

JESIYNNE ANIOŁY BESKIDÓW

*Żoł sie zrobiło Dónbóczkowi na jesiyni ludzi,
bo ptoki odleciały już do ciepłych krajów,
tóż posłol nowe anioły, kiere z mornwvch zbudził:
„niech se idóm na zymie i ludzióm śpiywajóm”.*

*A óny z tej uciechy potracily głosy,
zaczynny sie oblykać w żółto-złote liści,
wplóttly se w aureole fiołkowe wrzosy,
zaś do skrzydeł prziszłyły jarzymbiny kiści.*

*Oplóttly se staniki lasu potoczkaui,
zaś tańcym potargaly pajakóm ich nici,
biły sie lecącymi z drzewa kasztanami,
nie myślaly, że mialy ludzióm słodzić życi.*

*Zadumol sie Dónbóczek nad tym, co sie stalo:
„Jeśli ludzie nie czekajóm na aniolów śpiywani,
to czymu móim ich ganić – tak ich przeca mało,
a wszyszkim sie podobo to ich figlowani.”*

Autorka urodziła się w 1930 r. w Cieszynie. Absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika. Przez ok. 30 lat pracowała w Oddziale Powiatowym PCK. Laureatka kilkunastu nagród literackich. Opublikowała Tomiki Samotna chwila herbaty i Przebyski. Należy do Klubu Literackiego „Nadolzie”.

STYCZEŃ

- 1 P Mieczysława, Masława**
- 2 S Izidora, Makarego ☺
- 3 N Danuty, Genowefy**
- 4 P Anieli, Eugeniusza
- 5 W Edwarda, Szymona
- 6 Ś Kasptra, Melchiora, Baltazara
- 7 C Juliana, Lucjana
- 8 P Mściława, Seweryna
- 9 S Antoniego, Marcjanny ☾
- 10 N Jana, Wilhelma**
- 11 P Honoraty, Feliksa
- 12 W Arkadiusza, Benedykta
- 13 Ś Weroniki, Bogumiła
- 14 C Feliksa, Hilarego
- 15 P Makarego, Pawła
- 16 S Marcelego, Włodzimierza
- 17 N Antoniego, Rościława** ●
- 18 P Małgorzaty, Piotra
- 19 W Henryka, Mariusza
- 20 Ś Fabiana, Sebastiana
- 21 C Agnieszki, Jarosława
- 22 P Wiktora, Anastazji
- 23 S Marii, Rajmunda
- 24 N Felicji, Rafała** ☾
- 25 P Tatiany, Miłosza
- 26 W Pauliny, Polikarpa
- 27 Ś Jana, Przybysława
- 28 C Radomira, Walerego
- 29 P Franciszka, Zdzisława
- 30 S Martyny, Macieja
- 31 N Ludwiki, Marceliny** ☺

ŚWIĘTA: 1. — Nowy Rok, 6. — Święto Epifanii (ewang.), 21. — Dzień Babci, 22. — Dzień Dziadka

ROCZNICE

01.01.1749: Urodził się Dyźma Tomaszewski-Bończa, tłumacz klasyki starożytnej, autor komedii obyczajowych, polemista broniący zasad klasycyzmu, konfederat barski; występował przeciw Konstytucji 3 Maja.

01.01.1799: Urodził się Andrzej Towiański, mistyk, ideolog mesjanizmu polskiego, założyciel sekty religijnej „Kóło Sprawy Bożej”.

01.01.1799: Zmarł Aleksander Zakrzewski, kartograf. Rysował mapy do dzieł J. Lelewela, na emigracji wykonał wielki plan topograficzny Paryża, mapę Francji, skartografował szereg wysp wokół Ameryki i okolice San Francisco.

01.01.1874: W Tarnowie urodziła się Dorota Kluszyńska, działaczka PPS—D, członkini Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, później senator, posłanka.

02.01.1874: W Niedonicach urodził się Ernest Habicht, dr prawa, pracownik Sądu Najwyższego i prokurator generalny w Wiedniu, działacz Naczelnego Komitetu Narodowego. W 1922 r. wykupił zamek w Grodzcu, założył wzorową oborę.

04.01.1874: Zmarł ks. Jan Winkler, długoletni proboszcz parafii ewangelickiej w Nawsiu, nauczyciel muzyki i śpiewu w Gimnazjum Ewangelickim w Cieszynie, homeopata, popularyzator racjonalnej gospodarki rolniczej, działacz na rzecz wstrzeźliwości.

04.01.1924: Urodził się Antoni Marianowicz, poeta, satyryk, tłumacz, autor kilku zbiorów poetyckich („Kocham, lubię... żałuję”), przekładów („Księga nonsensu”).

06.01.1574: Zmarł Jan Grodziecki, kanonik fromborski i wrocławski, biskup ołomuniecki, bliski współpracownik Stanisława Hozjusza, wydał przekład pism św. Cyryla Jerozolimskiego.

08.01.1324: W Wenecji zmarł Marco Polo, wielki podróżnik. Dotarł łądem do Chin, opłynął południową Azję, pozostawił dzieło „Opisanie świata”.

08.01.1599: Zmarł Joachim Bielski, sekretarz króla Zygmunta III Wazy, właściciel podoświęcimskich Gieraltowic, konwertyta, autor „Kroniki polskiej”, rozszerzonego wydania opracowanego przez ojca Marcina, a także szeregu wierszy okolicznościowych.

09.01.1574: We Wrocławiu urodził się Jan Tilgner. Dzięki poparciu księcia cieszyńskiego Adama Wacława został burgrabią Skoczowa, prowadził kronikę wydarzeń w księstwie w latach 1597—1635.

09.01.1774: Zmarł Józef Andrzej Załuski, biskup kijowski, mecenas sztuki, współzałożyciel słynnej Biblioteki Załuskich, wydawca, bibliofrag, pisarz i publicysta, przeciwnik dysydentów.

11.01.1649: Zmarł Andrzej Węgierski pedagog, rektor i duchowny w Lesznie, senior dystryktu lubelskiego, uczestnik Colloquium Charitativum, tłumacz dzieł A. Komenskiego. Opublikował kilka ksiąg dotyczących dzieł reformacji w Polsce.

12.01.1899: Urodził się Paul Herman Müller, biochemik szwajcarski; odkrył substancję owadobójczą (azotox), laureat nagrody Nobla.

13.01.1699: Urodził się Paweł Świetlicki, duchowny ewangelicki, nadworny kaznodzieja posła szwedzkiego we Francji, pastor i lektor języka polskiego w Gdańsku,

współzałożyciel Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, publicysta.

14.01.1874: Zmarł niemiecki nauczyciel fizyki Johann Philipp Reis. Skonstruował prototyp telefonu, napisał rozprawę „Über Telephonie durch den galvanischen Strom”.

15.01.1974: Zmarł Wiktor Biegański, aktor, reżyser i scenarzysta filmowy, odtwórca wielu ról; nakręcił szereg filmów o tematyce tatrzańskiej.

16.01.1599: Zmarł poeta angielskiego renesansu Edmund Spenser, autor niedokończonego sześciotomowego eposu „Królowa czarodziejka”.

16.01.1849: Urodził się Władysław Kluger, inż., budowniczy śmiałej drogi z Peru do Boliwii, dyrektor katedry hydrauliki, budownictwa lądowego i wodnego w Limie. Zajmował się także etnologią Indian. Wśród wielu prac pozostawił m.in. antologię „Ameryka łaćkańska w relacjach Polaków”.

17.01.1649: W Katedrze Wawelskiej odbyła się uroczysta koronacja króla Polski Jana II Kazimierza.

18.01.1849: Urodził się Aleksander Świętochowski, czołowy ideolog polskiego pozytywizmu, publicysta, redaktor wielu pism, założyciel i prezes Towarzystwa Kultury Polskiej, autor dramatów („Duchy”), nowel, cennej rozprawy „Historia chłopów polskich”.

19.01.1924: W Karwinie urodził się Józef Chlebowczyk, pracownik Instytutu Śląskiego, prof. Uniwersytetu Śląskiego, organizator i prorektor Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, organizator oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w Cieszynie, autor szeregu prac, głównie poświęconych dziejom Śląska Cieszyńskiego w XX w.

19.01.1949: Zmarł ks. Eugeniusz Okoń, przywódca ruchu chłopskiego w Republice Tarnobrzkiej, poseł na sejm galicyjski, później na sejm w Warszawie, prezes Zarządu Głównego Chłopskiego Stronnictwa Radykalnego.

21.01.1874: Urodził się Wincenty Witos, działacz ruchu ludowego, poseł galicyjski do parlamentu wiedeńskiego, prezes ZG PSL „Piast”, premier Rządu RP, prezes Naczelnej Rady Stronnictwa Ludowego.

21.01.1899: Zmarł Edward Cichocki, architekt, warszawski, projektant szeregu gmachów użyteczności publicznej w stylach historycznych w Warszawie i okolicy.

21.01.1899: Urodził się Arkadiusz Bożek, śląski działacz patriotyczny, członek Rady Narodowej w Londynie, wicewojewoda śląski, poseł na sejm, autor „Pamiętników”.

21.01.1924: Zmarł Włodzimierz Lenin, teoretyk marksizmu, główny przywódca Rewolucji Październikowej w Rosji.

21.01.1974: Zmarł Franciszek Legierski-Bulka, weteran I wojny światowej i powstań śląskich, społecznik, gawędziarz i pisarz ludowy.

24.01.1824: Urodził się Witold Orłowski, prof. medycyny na uniwersytetach w Kazaniu, Krakowie i w Warszawie, redaktor pisma „Polskie Archiwum Medycyny Wewnętrznej”, pionier patofizjologii i biochemii, autor 8-tomowego dzieła „O chorobach wewnętrznych”.

24.01.1899: Urodził się Feliks Rybicki, profesor Wyższej Szkoły Muzycznej w Sopocie. Skomponował wiele cennych utworów o znaczeniu dydaktycznym.

24.01.1924: Uruchomiono pierwszą w Polsce cywilną stację nadawczo-radiową.

25.01.1949: W Moskwie powołano Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG). W jej skład wchodziła także Polska.

26.01.1699: W Karłowicach zawarto pokój pomiędzy Polską, Austrią i Wenecją a Turcją, kończący definitywnie okres ekspansji państwa osmańskiego w Europie. Polska odzyskała Podole i część Ukrainy.

26.01.1799: Urodził się Benoit Pierre Emile Clapeyron, budowniczy linii kolejowych i mostów we Francji, konstruktor lokomotyw, twórca wykresłego przedstawienia obiegu termodynamicznego. Wyznaczył równanie gazu doskonałego (równanie Clapeyrona-Clausiusa), podał także zasady odkształceń sprężystych ciał stałych (zasada Clapeyrona).

27.01.1924: Zmarł Adolf Daab, przemysłowiec warszawski, członek Spółki Akcyjnej Zakładów Przemysłowych i Budowlanych; wybudował wiele obiektów użyteczności publicznej w stolicy i poza nią.

28.01.1874: W Leskowcu koło Frydka urodził się dr Jan Galicz, pedagog, dyrektor Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego w Cieszyźnie, wybitny działacz społeczny w Sokole, Macierzy Szkolnej, Polskim Towarzystwie Turystycznym i w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim, autor przewodników, redaktor „Roczników PTT”.

29.01.1499: Urodziła się Katarzyna v. Bora, członkini zakonu cystersek, późniejsza żona ks. dr. Marcina Lutra.

29.01.1649: Car Aleksy polecił zwołanemu do Moskwy Soborowi Ziemskiemu opracowanie zbioru praw pt. „Ułożenie soborowe”, dające podstawę do jednowładztwa cara.

29.01.1949: Zmarł Jakub Karol Parnas, prof. chemii lekarskiej na uniwersytetach w Warszawie i we Lwowie, jeden ze współtwórców współczesnej biochemii; pierwszy zastosował izotopy w badaniach biochemicznych.

30.01.1649: Po zwycięstwie wojsk Olivera Cromwella nad rojalistami absolutystyczny król Anglii Karol I Stuart został ścięty. 19.03. proklamowano republikę Wspólnoty Narodów.

30.01.1849: Urodził się Piotr Wawrzyniak, ksiądz, poseł na sejm w Berlinie, organizator, Banku Ludowego w Śremie, spółdzielni zaopatrzenia i zbytu, działającej głównie w Wielkopolsce, częściowo na Śląsku, kierownik drukarni św. Wojciecha w Poznaniu.

30.01.1924: Zmarł Walenty Piotr Miklaszewski, prof. prawa w Szkole Głównej i na Uniwersytecie Warszawskim, współzałożyciel i redaktor „Gazety Sądowej Warszawskiej”, reformator prawa dotyczącego przestępców nieletnich, publicysta.

31.01.1899: Zmarł Aleksander Babiński, emigrant; wykonał mapę hydrologiczną Sekwany, przez 12 lat prowadził badania geologiczne w Peru; autor kilku fundamentalnych opracowań i map z dziedziny geografii i geologii Peru.

- 1 P Brygidy, Ignacego
- 2 W Marii, Mirosława
- 3 Ś Błażeja, Hipolita
- 4 C Andrzeja, Józefa
- 5 P Agaty, Adelajdy
- 6 S Doroty, Bohdana
- 7 N Romualda, Ryszarda**
- 8 P Jana, Piotra
- 9 W Apolonii, Cyryla
- 10 Ś Elwiry, Jacka
- 11 C Bernadetty, Marii
- 12 P Benedykta, Damiana
- 13 S Grzegorza, Katarzyny
- 14 N Lilianny, Walentego**
- 15 P Jowity, Faustyna
- 16 W Danuty, Julianny
- 17 Ś Juliana, Łukasza
- 18 C Konstancji, Maksyma
- 19 P Arnolda, Konrada
- 20 S Ludmiły, Leona
- 21 N Feliksa, Piotra**
- 22 P Marty, Małgorzaty
- 23 W Damiana, Romana
- 24 Ś Bogusza, Macieja
- 25 C Cezarego, Wiktora
- 26 P Aleksandra, Mirosława
- 27 S Anastazji, Gabriela
- 28 N Makarego, Romana**

ŚWIĘTA: 17. — Popielec

01.02.1874: Urodził się Hugo v. Hofmannsthal, austriacki liryk, dramaturg, librecista i eseista, inicjator Salzburger Festspiele, odnowiciel tradycji średniowiecznych misterii.

01.02.1899: Urodził się Tadeusz Antoni Jaczewski, prof. biologii UW, członek Międzynarodowej Komisji Nomenklatury Zoologicznej, uczestnik wypraw naukowych, autor licznych prac naukowych i popularyzatorskich.

03.02.1874: Zmarła pisarka amerykańska Gertrude Stein, opiekunka artystów malarzy („straconego pokolenia”). W swoich utworach eksponowała wierne odwzorowanie stanu umysłu, chwilowych refleksji i przeżyć.

03.02.1899: Zmarł Juliusz Kossak, polski mistrz malarstwa ilustrującego dzieje Polski i stary obyczaj dworski. Ulubionymi jego motywami były konie, sceny batalistyczne, portrety. Ilustrował także liczne powieści historyczne i obyczajowe.

03.02.1924: Zmarł prezydent Stanów Zjednoczonych Thomas Woodrow Wilson, laureat pokojowej nagrody Nobla, autor słynnych „czternastu punktów” przedstawionych Kongresowi USA w 1918 r., w których była m.in. mowa o utworzeniu państwa polskiego z dostępem do morza.

05.02.1899: Zmarł Konstanty Rudzki, inż. budowlany; prowadził największe przedsiębiorstwo budowy mostów w Polsce — Fabrykę Machin i Odlewów Żelaznych w Warszawie. Wykonywał różne elementy mostowe i inne konstrukcje na terenie Polski i Jugosławii.

07.02.1874: Zmarł Jan Jeleń rodem z Cisownicy, księgarz, właściciel księgarni w Przemyślu.

08.02.1874: Zmarł David Friedrich Strauss, teolog i filozof niemiecki. W dziele „Das Leben Jesu” przekonywał, iż ewangelie są zbiorem mitów, a Chrystus uosobieniem idei najwyższego dobra.

08.02.1899: Urodził się Jan Kazimierz Dorawski, lekarz, wybitny działacz PTT i PZN, organizator i uczestnik wielu wypraw w góry świata, autor szeregu artykułów i książek z tej dziedziny.

08.02.1949: Zmarła Maria Komornicka, pisarka okresu Młodej Polski, związana z kręgiem literackim „Chimera”.

10.02.1924: W Poznaniu otwarto pierwszą polską szkołę lotniczą.

10.02.1949: Zmarł Feliks Koneczny, historyk, bibliotekarz UJ, autor pierwszej syntezy historii Polski podkreślającej związki Śląska z Polską.

12.02.1049: Na tron papieski został wybrany Bruno, hrabia Egisheim i Dagsburga — Leon IX. Zreformował Kościół, umocnił jego znaczenie, ustanowił kolegium kardynałskie.

13.02.1874: W Puńcowie urodził się Rudolf Szotkowski, postępowy pedagog, kierownik szkół w Żywocicach, Mnisztwie i w Bukowcu, zbieracz folkloru, propagator sadownictwa i warzywnictwa.

15.02.1374: 15., wzgl. 18. urodziła się Jadwiga, w 1384 r. wybrana na królową Polski, dwa lata później poślubiona Władysławowi Jagielle. Jedna z najwybitniejszych postaci

Polski średniowiecznej; dokonała zapisu swoich kosztowności na rzecz Wszechnicy Krakowskiej.

15.02.1799: Urodził się Piotr Antoni Steinkeller, propagator uprzemysłowienia Królestwa Polskiego, inicjator budowy linii kolejowej Warszawa—Mazki.

18.02.1924: Zmarł tragicznie Józef Pasz, policjant, działacz plebiscytowy, członek Sokola, Macierzy, Związku Młodzieży Ewangelickiej; pracował w policji Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego.

19.02.1949: Zmarł Władysław Semkowicz, prof. UJ, redaktor „Rocznika heraldycznego”, wydawca zbiorów źródeł; zajmował się genealogią rodów rycerskich a także historią regionów podtatrzanskich, autor szeregu cennych prac, m.in. „Polacy i Słowacy w dziejowym stosunku” i in.

20.02.1799: Zmarł w Paryżu fizyk i geodeta Jean Charles de Brada, twórca definicji podstawowej miary długości 1 metra.

20.02.1849: Urodził się Leon Barszczewski; w czasie służby wojskowej w Turkiestanie dokładnie poznał góry Turkiestanu, jest autorem niezwykle bogatej dokumentacji fotograficznej tamtego regionu.

21.02.1974: Zmarł Gustaw Przeczek, pedagog; pracował w kilku szkołach na Zaolziu, przewodniczący polskich edycji w wydawnictwie Profil, działacz PZKO; wydał szereg tomików wierszy, powieści i sztuk teatralnych.

22.02.1824: Urodził się Pierre Jules Cesar Janssen, astronom, założyciel obserwatorium w Mendon pod Paryżem; udoskonalił metodę obserwacji Słońca.

24.02.1799: Zmarł Georg Christoph Lichtenberg, prof. fizyki, satyryk, niemiecki mistrz aforyzmu, krytyk literacki.

24.02.1849: Zmarł Wacław Michał Zaleski, pierwszy polski gubernator Galicji. Pisał wiersze o treści patriotycznej, rozpoczął zbieranie folkloru, opublikował największy zbiór „Pieśni polskich i ruskich ludu galicyjskiego”.

25.02.1899: Zmarł Edward Józef Grabowski, prawnik, uczestnik Powstania Listopadowego, patron Trybunału Cywilnego, dyrektor Warszawskiego Towarzystwa Kredytowego.

26.02.1924: Zmarł ks. Karol Michejda; piastował godność proboszcza parafii ewangelickiej w Byszczycy przez 45 lat, wydatnie przyczynił się do rozkwitu zboru i wioski, propagował nowoczesne metody uprawy ziemi, dbał o rozwój oświaty.

27.02.1899: Zmarł Emanuel Hannak, pedagog, historyk, dr filozofii, prof. gimnazjum i seminarium w Wiedniu, autor podręczników szkolnych.

28.02.1699: Zmarł ks. Samuel Cretius; wydał kancjonał międzyborski opracowany przez ojca ks. Jana Cretiusa i zbiór modlitw.

28.02.1899: Zmarł Henryk Leopold Bartsch, kapelan ewangelicki, superintendent w Warszawie, autor „Wspomnień z podróży do Kairu i Jerozolimy odbytych w roku 1861”, tłumacz biografii czołowych kompozytorów niemieckich.

28.02.1924: W Katowicach powołano do życia Towarzystwo Ewangelików Polaków.

NOTATKI

MARZEC

- 1 P Albina, Antoniny
- 2 W Heleny, Pawła
- 3 Ś Kunegundy, Maryny
- 4 C Kazimierza, Łucji
- 5 P Fryderyka, Wacława
- 6 S Róży, Wiktora
- 7 N Pawła, Tymoteusza**
- 8 P Beaty, Wincentego
- 9 W Franciszki, Katarzyny
- 10 Ś Cypriana, Marcelego
- 11 C Benedykta, Konstantego
- 12 P Bernarda, Grzegorza
- 13 S Bożeny, Krystyny
- 14 N Matyldy, Leona**
- 15 P Ludwika, Klemensa
- 16 W Izabeli, Hilarego
- 17 Ś Gertrudy, Zbigniewa
- 18 C Cyryla, Edwarda
- 19 P Bogdana, Józefa
- 20 S Klaudii, Wincentego
- 21 N Benedykta, Lubomira**
- 22 P Katarzyny, Bogusława
- 23 W Pelagii, Feliksa
- 24 Ś Gabriela, Marka
- 25 C Marii, Wienicysława
- 26 P Emanuela, Teodora
- 27 S Lidii, Ernesta
- 28 N Anieli, Sykstusa**
- 29 P Wiktoryny, Eustachego
- 30 W Amelii, Jana
- 31 Ś Balbiny, Kornelii

ŚWIĘTA: 8. — Dzień Kobiet

ROCZNICE

02.03.1899: Zmarł Ernest Malinowski, inż. kolejowy; w Peru ufortyfikował wybrzeże i port Callao, zaprojektował transkontynentalną linię kolejową z Callao do wybrzeża Atlantyku. Jej pierwszy odcinek prowadził przez tunel i najwyższy punkt na wysokości 4749 m n.p.m.

04.03.1874: Urodził się Kazimierz Lewicki, pszczelarz, konstruktor oryginalnych ulów, założyciel Muzeum Pszczelarskiego w Warszawie, redaktor pisma „Pszczola”, autor podręcznika „Pszczelarstwo”.

07.03.1274: Zmarł doktor kościoła, wybitny teolog i filozof średniowiecza, dominikanin Tomasz z Akwinu, ideolog tomizmu, autor szeregu traktatów uznanych za podstawowe księgi Kościoła Katolickiego; zwalczał awerionizm, głosił pogląd o jedności teologii wiary i filozofii rozumu.

09.03.1799: Urodził się Carl Leopold Lohmeyer, farmaceuta w Nysie, autor pierwszego przewodnika po Tatrach, wydane w 1842 r. w Nysie.

10.03.1749: Urodził się Lorento da Ponte, właściwie Emanuele Conegliano, włoski poeta teatru, librecista najpopularniejszych oper W.A. Mozarta i innych współczesnych mu kompozytorów, autor pamiętnika.

10.03.1974: Zmarł ks. Józef Orszulik pedagog, kompozytor, dyrygent wielu chórów, założyciel Kolegium Polskich Organistów i Chórmistrzów oraz Zrzeszenia Chórów Kościelnych.

11.03.1949: Zmarł ks. Paweł Heczko, katecheta w Karwinie i Frystacie, społecznik, założyciel Towarzystwa Domu Ewangelickiego.

11.03.1924: Sejm RP podjął uchwałę o budowie portu w Gdyni.

12.03.1824: Urodził się Gustaw Robert Kirchhoff, prof. fizyki na uniwersytetach we Wrocławiu, Heidelbergu i w Berlinie. Ustalił prawa przepływu prądu elektrycznego w rozgałęzionych obwodach (prawo Kirchhoffa) i prawo promieniowania temperaturowego (także jego imienia), stworzył podstawy fizyki matematycznej.

13.03.1974: Zmarł Feliks Antoniuk, artysta rzeźbiarz, działacz turystyki narciarskiej w Tatrach i na Śląsku; dokonał kilka zimowych przejść w Tatrach, honorowy członek SN PTT.

18.03.1949: Utworzono Pakt Północno-Atlantycki (NATO).

19.03.1799: Urodził się ks. Gustaw Henryk Kłapsia, nauczyciel Gimnazjum Ewangelickiego w Cieszynie, inspektor szkolny, proboszcz parafii i senior cieszyński.

21.03.1874: Zmarł ks. dr Jerzy Prutek, katecheta w kilku szkołach cieszyńskich, poseł do sejmiku krajowego w Opawie; proponował utworzenie kościoła narodowego, honorowy obywatel miasta Cieszyna, ekskomunikowany.

22.03.1599: Urodził się Anton van Dyck, malarz flamandzki. Celował w kompozycjach historycznych i religijnych, a także w portretach reprezentacyjnych.

23.03.1824: Urodził się Teodor Tomasz Jeż, właściwie Zygmunt Fortunat Miłkowski, pisarz, publicysta, działacz emigracyjny, członek Towarzystwa Demokratycznego

pięknych nagrobków szeregu osobistości polskich XVI w., w katedrze wawelskiej zaprojektował niszę w kaplicy zygmuntońskiej.

NOTATKI

24.03.1924: W Łąkach urodził się dr Wiktor Buława, pedagog, przyrodnik, działacz Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, PTTK, Polskiego Towarzystwa Przyrodniczego; interesował się roślinnością na terenach powyrobiskowych, publicysta.

26.03.1799: Urodził się Stanisław Gabriel Worcell, myśliciel, publicysta Towarzystwa Szubrawców, główny ideolog Gromady Grudziądz, Członek Centralizacji. W swoich publikacjach przedstawił ideę polskiego społeczeństwa przyszłości.

26.03.1899: W Porębie urodził się Wincenty Kotarba, górnik, działacz Stowarzyszenia Polskich Robotników i Robotnic „Siła”, działacz związkowy, założyciel trzynieckiego koła PZKO.

27.03.1874: Urodzili się Jan i Jerzy Buzkowie. Jan był zasłużonym lekarzem górniczym w Dąbrowie, działał w Macierzy, był prezesem Ogniska Polskiego, Znicza, przyczynił się do założenia Gimnazjum Realnego w Orłowej, był prezesem Sokola, ZHP, wiceprezesem Rady Naczelnej Polaków w Czechosłowacji, posłem. Dr. inż. Jerzy pracował w hucie w Trzynie, następnie w Węgierskiej Górze, później wykładowca i prof. AGH w Krakowie, założyciel Stowarzyszenia Techników Odlewników Polskich, wybitny specjalista w zakresie procesu wytopu żelaza (stała Buzka).

30.03.1949: Zmarł Friedrich Bergius, chemik niemiecki. W swoim laboratorium opracował metodę otrzymywania benzyny z węgla kamiennego, glikozy z drewna. Laureat nagrody Nobla (wspólnie z C. Boschem).

9

KWIECIEŃ

- 1 C Grażyny, Zbigniewa ☺
- 2 P Franciszka, Władysława
- 3 S Pankracego, Ryszarda
- 4 N Izydora, Wacława
- 5 P Ireny, Wincentego
- 6 W Celestyna, Wilhelma
- 7 Ś Donata, Rufina
- 8 C Cezaryny, Dionizego
- 9 P Mai, Marcelego ☾
- 10 S Małgorzaty, Michała
- 11 N Filipa, Leona
- 12 P Juliusza, Ludosława
- 13 W Idy, Przemysława
- 14 Ś Justyny, Waleriana
- 15 C Anastazji, Wacława
- 16 P Julii, Cecylia
- 17 S Roberta, Rudolfa ●
- 18 N Apoloniusza, Bogusława
- 19 P Jerzego, Konrada
- 20 W Agnieszki, Czesława
- 21 Ś Anzelma, Feliksa
- 22 C Leona, Łukasza ☾
- 23 P Jerzego, Wojciecha
- 24 S Aleksego, Grzegorza
- 25 N Jarosława, Marka
- 26 P Marii, Marzeny
- 27 W Zyty, Teofila
- 28 Ś Walerii, Pawła
- 29 C Piotra, Roberta
- 30 P Katarzyny, Mariana ☺

ŚWIĘTA: 1. — Wielki Czwartek (ewang.), 2. — Wielki Piątek (ewang.), 4. — Wielkanoc, 5. — Poniedziałek Wielkanocny

ROCZNICE

01.04.1899: Zmarł Leonard Marconi, prof. politechniki we Lwowie, architekt i rzeźbiarz, autor wielu pomników polskich postaci historycznych; w wystroju wnętrz przywrócił stosowanie alabastru.

01.04.1899: Urodził się Stanisław Krzyczkowski, inż. lotnictwa, dyrektor techniczny PLL „LOT”, dyrektor naczelny Państwowych Zakładów Lotniczych w Mielcu, dyrektor Air Transport Association. Zajmował się unifikacją sprzętu lotniczego, wyposażeniem i działaniem lotnisk.

01.04.1924: Powołano do życia Mennicę Państwową w Rzeczypospolitej.

03.04.1824: Urodził się Maciej Gąsienica Sieczka, początkowo kłusownik, później strażnik przyrody, przewodnik tatrzański, budowniczy dróg turystycznych w Tatrach. Wstawił się prowadzeniem wielu luminarzy kultury polskiej w Tatrach, m.in. Adama Asnyka, który poświęcił mu swój wiersz.

03.04.1849: Zmarł w Paryżu Juliusz Słowacki, czołowy poeta romantyzmu polskiego, twórca powieści poetyckich („Jan Bielecki”), dramatów („Kordian”, „Mazepa”, „Balladyna”), poematów („Ojciec zadżumionych”) i wielu zbiorów poezji.

04.04.1774: Zmarł pisarz angielski Oliver Goldsmith, autor powieści „Pleban z Wakefieldu” i in.

04.04.1824: Urodził się William Siemens, inż.; usprawnił wiele urządzeń technicznych wykorzystujących energię ciepłą, wśród nich piec do wytopu stali, znany pod nazwą pieca Siemens — Martina, wynalazca wodomierza i in.

06.04.1974: Zmarł Stanisław Ryżko, prof. Politechniki Warszawskiej, specjalista w zakresie elementów pomiarowych elektronicznych i radiowych, urządzeń radio-nadawczych, lamp mikrofalowych, publicysta.

09.04.1424: Pod naciskiem bp. Zbigniewa Oleśnickiego król Władysław Jagiełło wydał w Wieluniu edykt potępiający ruch husycki jako herezję, zakazujący udzielania husytom jakiegokolwiek pomocy, zobowiązujący do karania kacerzy, a przebywających w Czechach Polaków do powrotu do kraju. Oczekiwanie przez Czechów porozumienie z Polską zostało tym samym odrzucone.

09.04.1547: Pomiedzy 9. a 26. urodził się Jan Firlej, wojewoda krakowski i marszałek wielki koronny, sekretarz Zygmunta Starego, protektor reformacji; jako wyznawca kalwinizmu zabiegał o porozumienie pomiędzy dysydentami, doprowadził do konfederacji warszawskiej, zbudował okazały zamek w Kocku, założył miasto Firlej.

10.04.1899: Urodziła się Ewa Szelburg-Zarembina, pedagog, redaktorka pism i autorka licznych książek dla dzieci, baśni, bajek, a także powieści i dramatów społecznych.

12.04.1824: W Bratysławie urodził się Gottlieb Biernann, pedagog, historyk, dyrektor Gimnazjum Ewangelickiego w Cieszynie, następnie w Pradze. Opublikował szereg tytułów związanych z historią Śląska i reformacji w języku niemieckim.

12.04.1849: Urodził się Albert Heim, prof. uniwersytetu w Zurychu, geolog; rozwinął geotechniczną teorię powstawania gór, opracował własną metodę kartografowa-

nia geologii Alp, autor obszernego dzieła „Geologie der Schweiz”.

13.04.1899: Urodził się Bolesław Orliński, pilot myśliwski i doświadczalny, w 1926 r. dokonał przelotu trasy Warszawa—Tokio—Warszawa na samolocie Breguet 19B-2.

14.04.1924: Rząd RP ogłosił rozporządzenie o wymianie polskiej waluty w relacji 1.800.000 marek polskich za jeden złoty. Z dniem 1. lipca marka przestała być środkiem płatniczym w Polsce.

14.04.1924: Zmarł czołowy architekt amerykański Louis Henry Sullivan, pionier konstruktywizmu, twórca monumentalnych budowli, m.in. w Chicago.

15.04.1874: Zmarł Jan Śliwka, niezwykle ofiarny nauczyciel Szkoły Ewangelickiej w Cieszynie, założyciel Towarzystwa Nauczycieli Szkół Ludowych, autor pierwszych polskich podręczników dla młodzieży szkół ludowych na Śląsku Cieszyńskim.

15.04.1874: W Bobrku urodził się Jerzy Wojnar, inż. górnictwa i hutnictwa, działacz Macierzy, dyrektor Związku Koksowni i Zakładów Impregacyjnych, wiceprezes Związku Przemysłu Chemicznego RP i in.

15.04.1874: Urodził się Johannes Stark, fizyk, prof. kilku uczelni niemieckich; odkrył zjawisko Dooopera w promieniach kanalikowych i rozszczepialnych linii widmowych w polu elektrycznym (zjawisko Starka), laureat nagrody Nobla.

16.04.1899: W Tarnowie urodził się Jan Jarocki, inż., pracownik i dyrektor Kuźni Ustroń, adiunkt Instytutu Obróbki Plastycznej w Poznaniu, specjalista z zakresu kuźnictwa matrycowego, organizator szkoły przyzakładowej i Muzeum Kuźnictwa i Hutnictwa w Ustroniu.

16.04.1944: Zmarł Józef Żychoń, lekarz, kierownik sanatoriów w Zakopanem, redaktor pism „Zakopane”, publicysta.

18.04.1774: Zmarł Gotfryd Centner, prorektor ewangelickiego gimnazjum akademickiego w Toruniu, historyk, publicysta, autor dzieła o zasłużonych toruńczykach.

18.04.1899: Urodził się Apoloniusz Zarychta, działacz POW, emigrant, redaktor „Nowej Szkoły” dla Polonii brazylijskiej, kartograf rzeki Tombo, autor cennej książki „Emigracja polska w okresie 1918—1931 i jej znaczenie dla państwa”, wybitny znawca zagadnień brazylijskich.

19.04.1824: Zmarł Georg Gordon Noel lord Byron, brytyjski twórca poezji romantycznej. Najgłośniejsze utwory: „Wędrowni Childe Harolda”, „Giau”, „Don Juan” i in.

19.04.1849: Zmarł Jerzy Fryderyk Hartung, jeden z przedstawicieli obdarzonej przywilejami rodziny drukarzy, właściciel drukarni w Królewcu i Gąbinie, wydawca; z jego drukarni wyszło bardzo wiele ewangelickich druków polskich, zarówno kościelnych, jak i świeckich, podręczników itp.

19.04.1899: Zmarł Stanisław Kierbedź, projektant wielu mostów, w tym także słynnego mostu kratownicowego na Wiśle w Warszawie.

19.04.1924: Zmarł Jan Drózd, nauczyciel, pomolog, kierownik szkół ludowych w Ustroniu i w Trzyńcu; prowadził szkółkę ogrodniczo-warzywną, był członkiem Towarzystwa Rolniczego i Towarzystwa Ogrodniczego, popularyzator wiedzy ogrodniczej.

20.04.1849: Urodził się Feliks Kucharzewski, inż. budownictwa lądowego i wodnego, budowniczy linii kolejowych w Polsce, współzałożyciel pisma „Przegląd Techniczny”, autor bezcennego studium „Piśmiennictwo techniczne polskie, biblioteka polska techniczna, przemysł do 1874 r.”

21.04.1774: Urodził się Jean Baptiste Biot, prof. fizyki w College de France i na uniwersytecie w Paryżu; badacz atmosfery, zjawisk geofizycznych, świetlnych i elektromagnetycznych (prawo Biota-Savarta).

21.04.1699: Zmarł Jean Racine, poeta i dramaturg, twórca klasycznej tragedii francuskiej, m.in. utworów „Berenika”, „Ifigenia w Aulidzie”, „Fedra” i in.

22.04.1724: W Królewcu urodził się Immanuel Kant, prof. logiki i matematyki, rektor uniwersytetu w Królewcu, filozof, twórca idealizmu transcendentalnego, ogłosił teorię powstania Wszechświata, autor szeregu dzieł filozoficznych („Krytyka czystego rozumu”).

25.04.1599: Urodził się Oliver Cromwel, parlamentarzysta, dowódca i organizator jazdy purytańskiej w wojnie domowej z royalistami, doprowadził do ścięcia króla i ogłoszenia republiki. Stworzył podstawy rozwoju kapitalizmu, popierał protestantyzm, głosił hasła tolerancji.

25.04.1874: Urodził się Guglielmo Marconi, fizyk włoski, konstruktor radiowych urządzeń nadawczych i odbiorczych, umożliwiających przekazywanie wiadomości alfabetem Morse’a, laureat nagrody Nobla.

25.04.1899: Zmarł prof. historii UJ Anatol Lewicki, autor cennego podręcznika „Zarys historii Polski...”, wydawca źródeł.

28.04.1774: Zmarł Gottfried Lengnich, prof. Gdańskiego Gimnazjum Akademickiego, nauczyciel historii Stanisława Augusta Poniatowskiego; wydał kroniki Galla Anonima i Wincentego Kadłubka, autor szeregu rozpraw historycznych.

28.04.1899: Urodził się Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, konserwator zabytków, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, ekspert UNESCO do spraw zabytków, publicysta; ogłosił wiele prac z zakresu muzealnictwa i historii sztuki.

28.04.1928: Dokonano uroczystego otwarcia Banku Polskiego w Warszawie.

29.04.1899: Urodził się Stanisław Ochęduszek, prof. politechniki we Lwowie i Gliwicach, rektor, specjalista z zakresu termodynamiki spalania, autor klasycznego dzieła „Teoria maszyn cieplnych”.

29.04.1924: Ropoczęto wymianę marek polskich na złote w relacji 1.800.000 do 1.

29.04.1899: Inż. Camille Jenatzy ustanowił rekord szybkości 105,8 km/godz. na samochodzie elektrycznym; pierwszy przekroczył barierę 100 km/godz.

- 1 S Józefa, Jeremiego**
- 2 N Anatola, Zygmunta**
- 3 P Marii, Antoniny**
- 4 W Moniki, Floriana
- 5 Ś Ireny, Waldemara
- 6 C Dominika, Filipa
- 7 P Benedykta, Ludomira
- 8 S Stanisława, Wiktora
- 9 N Bożydara, Grzegorza**
- 10 P Antoniego, Izydora
- 11 W Franciszka, Jakuba
- 12 Ś Pankracego, Dominika
- 13 C Serwacego, Roberta
- 14 P Bonifacego, Dobiesława
- 15 S Zofii, Jana
- 16 N Andrzeja, Włodzisława**
- 17 P Weroniki, Sławomira
- 18 W Aleksandry, Eryka
- 19 Ś Mikołaja, Piotra
- 20 C Bazylego, Bernarda
- 21 P Tymoteusza, Wiktora
- 22 S Heleny, Julii
- 23 N Iwony, Dezyderiusza**
- 24 P Joanny, Zuzanny
- 25 W Grzegorza, Urbana
- 26 Ś Eweliny, Filipa
- 27 C Magdaleny, Jana
- 28 P Augustyna, Jaromira
- 29 S Magdaleny, Teodozji
- 30 N Feliksa, Ferdynanda**
- 31 P Anieli, Petroneli

ŚWIĘTA: 1. — Święto Pracy, 3. — Święto Konstytucji, 8. — Dzień Zwycięstwa, 13. — Wniebowstąpienie Pańskie (ewang.), 23. — Zielone Świątki, Święto Ludowe, 26. — Dzień Matki

01.05.1824: Urodził się Aleksander Williamson, prof. uniwersytetu w Londynie, chemik organiczny, opracował metodę otrzymywania eterów, ketonów i krezoli.

01.05.1899: Urodził się Witold Doroszewski, prof. języka polskiego na Uniwersytecie Warszawskim, członek PAU i PAN, specjalista z zakresu słowotwórstwa i semantyki, autor szeregu prac i rozpraw, redaktor 11-tomowego „Słownika języka polskiego”, autor cenionego poradnika językowego.

01.05.1899: Urodził się Stanisław Skarżyński, ppłk. wojsk lotniczych, w 1935 r. dokonał przelotu nad Atlantykiem na polskim samolocie RWD-5.

01.05.1924: Zmarł Hilaire de Bernigaud Chardonnet, chemik francuski; opracował metodę otrzymywania sztucznego jedwabiu z nitrocelulozy, uruchomił pierwszą fabrykę jedwabiu w Besancon.

04.05.1824: Zmarł Jan Sierzyński, lekarz, pionier polskiej litografii, autor książki „O litografii”.

04.05.1899: Urodził się Fritz v. Opel, niemiecki konstruktor samochodów; skonstruował prototyp samochodu z napędem odrzutowym, przemysłowiec.

05.05.1949: Zmarł Maurice Maeterlinck, pisarz belgijski okresu symbolizmu, popularyzator filozofii przyrody, autor licznych wierszy, dramatów, prozy i esejów pisanych po francusku, tłumacz polskich poetów (M. Przesmyckiego, J. Kasprzowicza), laureat nagrody Nobla.

06.05.1849: Urodził się Stanisław Kontkiewicz, inż. górnik, inicjator Sekcji Górnictwo-Hutniczej Ogólnorosyjskiego Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu; prowadził badania geologiczne na terenie Rosji i Polski, współorganizator i wykładowca słynnej „sztygarki” w Dąbrowie Górniczej.

06.05.1949: Zmarł Stanisław Grabski, prof. uniwersytetu we Lwowie i w Warszawie, ideolog Narodowej Demokracji, współzałożyciel PPS, redaktor „Słowa Polskiego”, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, współpracownik gen. Władysława Sikorskiego, autor szeregu dzieł: „Naród a państwo”, „Myśli o dziejowej drodze Polski” i in.

07.05.1874: Zmarł Józef Szafranek, ksiądz, proboszcz w Bytomiu, poseł do Zgromadzenia Narodowego w Berlinie, orędownik praw językowych ludu polskiego na Śląsku, wydawca kalendarzy, śpiewników i innych publikacji.

08.05.1799: Urodził się Antoni Stanisław Waga, przyrodnik; odbył podróże po Europie, Azji Mniejszej i północnej Afryce; publicysta, autor cennego podręcznika „Historia naturalna”, tłumacz dzieł z dziedziny zoologii.

08.05.1899: Urodził się Friedrich August v. Hayek, prof. Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej, uniwersytetu w Chicago, przedstawiciel nowej szkoły ekonomicznej, specjalista z zakresu teorii koniunktury.

15.05.1849: Urodziła się Zofia Urbanowska, powieściopisarka, autorka książek dla dzieci i młodzieży „Księżniczka”, „Gucio zaczarowany”.

16.05.1699: Urodził się Jan Jerzy Flemming, podskarbi wielki królewski, wojewoda pomorski, wspierał inicjatywy reformatorskie Czarторыskich.

16.05.1749: Zmarł Efraim Breskot, ks. ewangelicki, senior w Wołczynie, nadworny pastor książęcy w Bie-rutowie, wydawca Nowego Testamentu w języku polskim.

17.05.1749: Urodził się Edward Jenner, lekarz angielski; odkrył współzależność pomiędzy ospą krowią i ospą prawdziwą, wynalazł skuteczną metodę szczepienia ochronnego przeciw ospie.

18.05.1799: Zmarł komediopisarz francuski Pierre Augustin Caron de Beaumarchais, autor słynnych komedii „Cyrułik sewilski”, „Wesele Figara” i in.

20.05.1799: Urodził się Honoré de Balzac, pisarz francuski, autor cyklu powieściowego „Komedia ludzka”, w którym kluczową pozycję zajmuje powieść „Ojciec Goriot”.

21.05.1674: Na króla Polski został wybrany marszałek i wielki hetman koronny Jan Sobieski.

22.05.1949: Zmarł Klaus Mann, założyciel emigracyjnego antyfaszystowskiego pisma „Die Sammlung”, autor powieści, dramatów i esejów.

24.05.1824: Urodził się Karol Fryderyk Wilhelm Altman, ks. superintendent ostrzeszowski i wrocławski, bibliofil, wydawca i tłumacz ewangelickiej literatury niemieckiej.

25.05.1899: Zmarł Wasilij G. Wasiljewski, prof. uniwersytetu w Petersburgu, historyk, twórca rosyjskiej szkoły bizantynistów.

30.05.1899: Urodził się Stefan Manczarski, wykładowca WAT i Politechniki Warszawskiej, prof. Zakładu Geofizyki, konstruktor pierwszego polskiego odbiornika lampowego, projektant nowego typu anten radiowych.

NOTATKI

CZERWIEC

- 1 W Jakuba, Gracjana
- 2 Ś Erazma, Marianny
- 3 C **Klotyldy, Leszka**
- 4 P Franciszka, Karola
- 5 S Walerii, Bonifacego
- 6 N **Ingridy, Norberta**
- 7 P Roberta, Wiesława ☾
- 8 W Medarda, Wilhelma
- 9 Ś Pelagii, Felicjana
- 10 C Bogumiły, Małgorzaty
- 11 P Barnaby, Feliksa
- 12 S Jana, Onufrego
- 13 N **Antoniego, Lucjana** ●
- 14 P Elizy, Walerego
- 15 W Jolanty, Wita
- 16 Ś Aliny, Justyny
- 17 C Adolfa, Laury
- 18 P Elżbiety, Marka
- 19 S Gerwazego, Protazego
- 20 N **Bogny, Florentyny** ☾
- 21 P Alicji, Alojzego
- 22 W Pauliny, Flawiusza
- 23 Ś Wandy, Zenona
- 24 C Danuty, Jana
- 25 P Łucji, Wilhelma
- 26 Ś Jana, Pawła
- 27 N **Marii, Władysława**
- 28 P Ireneusza, Leona ☺
- 29 W Piotra, Pawła
- 30 Ś Emilii, Lucyny

ŚWIĘTA: 1. — Dzień Dziecka, 3. — **Boże Ciało (kat.), Św. Bratniej Pomocy im. Gustawa Adolfa (ewang.),** 23. — Dzień Ojca

ROCZNICE

01.06.1599: Urodziła się Elżbieta Lukrecja, ostatnia piastowska władczyni Księstwa Cieszyńskiego. Jej panowanie przypadło na czas wojny 30-letniej, której kończąca faza położyła kres świetności zamku cieszyńskiego.

03.06.1899: Zmarł Johann Strauss, wiedeński król walca, kompozytor popularnych operetek (m.in. „Zemsta nietoperza”, „Baron cygański”).

03.06.1899: Urodził się George v. Békésy, prof. uniwersytetu w Budapeszcie i Harvardzie, laureat nagrody Nobla, specjalista z zakresu fizjologii ucha, konstruktor audiometru.

03.06.1924: Zmarł pisarz austriacki Franz Kafka. Wprowadził do prozy przenośnię literacką, pokazując w obrazach niedolę człowieka, bezsilnego wobec niektórych mechanizmów współczesnego świata. Znane utwory: „Ameryka”, „Proces”, „Zamek” i in.

06.06.1799: Urodził się Aleksander Sergejewicz Puszkina, czołowy poeta rosyjskiego romantyzmu, autor poematu baśniowego „Ruslan i Ludmiła”, ody „Wolność”, tragedii „Borys Godunow”, poematu „Eugeniusz Oniegin” i in.

08.06.1724: Urodził się John Smeaton, inż. budował latarnie morskie, skonstruował wytarzarkę do obróbki cylindrów, zastosował żeliwo w budowie przekładni zębatych.

08.06.1899: Urodził się Jan Lechoń, poeta, współtwórca grupy poetyckiej Skamander, redaktor „Cyrulika warszawskiego” i „Tygodnika Polskiego” na emigracji, autor licznych utworów poetyckich, szkiców literackich, szkopek politycznych, tłumacz i publicysta.

10.06.1949: Zmarła Sigrid Undset, jedna z najwybitniejszych pisarek norweskich, laureatka nagrody Nobla. Główne dzieła, to „Krystyna córka Lavransa” i „Olaf syn Auduna”.

11.06.1899: Urodził się Yasunari Kawabata, pisarz japoński, autor „Krainy śniegu”, przedstawiciel neosensualizmu w literaturze, laureat nagrody Nobla.

16.06.1949: Zmarł ks. Edward H. Wende, superintendent Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Kaliszu. Pozostawił m.in. trzydniową postyllę.

16.06.1949: Zmarł Georg Fuchs, niemiecki dramaturg, publicysta, tłumacz, teoretyk sztuki teatralnej, dyrektor kilku teatrów, organizator Volksfestspiele.

17.06.1899: W Hermanicach urodził się Karol Steller, nauczyciel w Ustroniu Polanie i w Bielowicku, prezes Koła Macierzy w Bielowicku, autor wierszy i sztuk scenicznych.

18.06.1974: Zmarł Georgij Konstantynowicz Żukow, następca głównego dowódcy wojsk radzieckich w II wojnie światowej; koordynował operacjami pod Stalingradem, Leningradem, Kurskiem, na Białorusi i Ukrainie, pod Berlinem.

18.06.1574: Na wieść o śmierci brata Karola IX, król Henryk Walezy nocą 18/19 czerwca opuścił potajemnie Wawel w otoczeniu kilku zaufanych i udał się do Francji, nie złożwszy korony. Dopędzony w Pszczynie przez panów polskich, odmówił powrotu.

21.06.1874: Zmarł Jonas Anders Angström, astrofizyk szwedzki na uniwersytecie w Uppsali, specjalista z zakresu analizy widmowej ciał niebieskich. Zestawił pierwszy atlas linii widmowych. Jego nazwisko nosi jednostka długości angstrom.

21.06.1874: Urodził się dr Ignacy Myślicki, filozof, publicysta, współzałożyciel Berlińskiego Towarzystwa Filozoficznego, współredaktor Wielkiej Encyklopedii Powszechnej Ilustrowanej, redaktor Biblioteki Filozoficznej, prof. Wolnej Wszechnicy Polskiej.

24.06.1899: Zmarł ks. Jan Kowala, diakon w Brzegu i Dalkowie, założyciel parafii w Scranton, członek synodu w Pittsburghu; tamże założył Bibliotekę Polską.

26.06.1824: Urodził się William Thomson Lord Kelvin, profesor uniwersytetu w Glasgow, członek Royal Society, badacz w wielu gałęziach fizyki, szczególnie termodynamice: ustalił pojęcie energii wewnętrznej układu termodynamicznego, ustanowił nową skalę temperatury (Kelvin), odkrył zjawisko spadku temperatury przy adiabatycznym rozprężaniu gazów (prawo Joule'a — Thomsona); w elektrotechnice znane tzw. mostek Thomsona i wiele innych.

27.06.1574: Zmarł Giorgio Vasari, włoski architekt, malarz i historyk sztuki, twórca wielotomowego dzieła „Żywoty najsłynniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów”.

27.06.1849: Urodził się Wiktor Czarliński, inż. budownictwa lądowego i wodnego, rzeczoznawca z zakresu ochrony i gospodarki wodnej w różnych krajach; m.in. prowadził szczegółowe badania sieci wodnej w Południowej Australii.

28.06.1724: Urodził się Tadeusz Dzieduszycki, cześnik wielki koronny; wspierał reformy kraju swoją postawą naraził się opozycji króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

30.06.1849: W Paryżu urodził się Antoni Osuchowski, wybitny działacz społeczno-narodowy, adwokat; wydatnie wspomagał działalność narodową na Mazurach i na Śląsku Cieszyńskim, wspierał z wielką ofiarnością Macierz i polskie szkolnictwo na Zaolziu.

30.06.1924: Zmarł dr Franciszek Stefczyk, założyciel pierwszej w Polsce wiejskiej spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowej, pierwszy dyrektor Centralnej Kasy dla Spółek Rolniczych we Lwowie i w Warszawie.

xx.06.1524: Pod wpływem idei anabaptystycznych, głoszonych przez Tomasza Münzera, chłopstwo przystąpiło do zbrojnego powstania, które szybko rozprzestrzeniło się po całych Niemczech, rok później krwawo stłumione przez wojska książęce.

xx.06.1549: Zmarł dominikanin, bakałarz sztuk wyzwolonych, konwertyta Andrzej Samuel; pisał i kolportował w Polsce druki protestanckie, działał jako duchowny w zborach mazurskich.

xx.06.1824: Urodził się Władysław Zawadzki, uczestnik Zjazdu Słowiańskiego, sekretarz Towarzystwa Naukowo-Literackiego we Lwowie, autor szeregu prac historycznych („Stanisław Staszic”, „Grody polskie”, „Literatura w Galicji” i in.).

LIPIEC

- 1 C Haliny, Mariana
- 2 P Marii, Urbana
- 3 S Anatola, Jacka
- 4 N **Malwiny, Teudora**
- 5 P Filomeny, Antoniego
- 6 W Dominiki, Łucji
- 7 Ś Cyryla, Metodego
- 8 C Elżbiety, Prokopa
- 9 P Weroniki, Zenona
- 10 S Amelii, Filipa
- 11 N **Olgi, Pelagii**
- 12 P Weroniki, Jana
- 13 W Małgorzaty, Ernesta
- 14 Ś Bonawentury, Stelli
- 15 C Henryka, Włodzimierza
- 16 P Marii, Benedykta
- 17 S Anety, Aleksego
- 18 N **Kamila, Szymona**
- 19 P Marcina, Wincentego
- 20 W Czesława, Hieronima
- 21 Ś Benedykta, Daniela
- 22 C Marii, Magdaleny
- 23 P Bogny, Apolinarego
- 24 S Kingi, Krystyny
- 25 N **Jakuba, Krzysztofa**
- 26 P Anny, Mirosławy
- 27 W Julii, Natalii
- 28 Ś Innocentego, Wiktora
- 29 C Marty, Olafa
- 30 P Julity, Ludmiły
- 31 S Ignacego, Lubomira

ROCZNICE

01.07.1874: Urodził się Jerzy Kurnatowski, prawnik, publicysta; bronił praw Polaków mieszkających w Prusach i na Śląsku, działacz Związku Obrony Kresów Zachodnich, prezes Zrzeszenia Ewangelików Polaków w Warszawie, prezes konsystorza Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce.

06.07.1749: Urodził się Jan Dominik Piotr Jaśkiewicz, pierwszy profesor chemii w Polsce na Uniwersytecie Jagiellońskim, założyciel ogrodu botanicznego i gabinetu mineralogicznego w Krakowie.

07.07.1874: W Grabowie urodził się Władysław Grabski, ekonomista i historyk, działacz Centralnego Towarzystwa Rolniczego, premier Rządu RP w 1920 r., później minister skarbu, inicjator reform gospodarczych, rektor SGGW, publicysta.

08.07.1824: Urodził się Włodzimierz Bonawentura Krzyżanowski, organizator Polish Legion, uczestnik wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych; doszedł do stopnia generała brygady, założyciel Stowarzyszenia Pomocy dla Imigrantów Polskich, autor wspomnień.

11.07.1774: Urodził się Jan Wojde, dr teologii ewangelickiej, proboszcz parafii reformowanej w Królewcu, dyrektor Seminarium Polskiego, założyciel Biblioteki Polskiej, opiekun polskiej młodzieży.

11.07.1974: Zmarł Pär Lagerkvist, poeta i dramaturg szwedzki, laureat nagrody Nobla. W języku polskim znane utwory: „Gość w rzeczywistości”, „Karzeł”, „Barabas”.

13.07.1399: W wieku 69 lat zmarł w Pradze Piotr Parler, czołowy budowniczy i rzeźbiarz cesarza Karola IV, twórca kilkudziesięciu dzieł rzeźbiarskich w Pradze. Jego warsztatowi przypisuje się szereg nagrobków na Śląsku, m.in. także w Cieszynie (księcia Przemysława I, względnie jego ojca Kazimierza I).

13.07.1974: Zmarł Patrick Maynard Stuart Blackett, profesor fizyki na uniwersytetach w Londynie i w Manchester, badacz przemian jądrowych, promieniowania jądrowego i kosmicznego, odkrywca pozytonu, laureat nagrody Nobla.

14.07.1874: Urodził się Jarzy Żuławski, poeta, twórca liryków patriotycznych, dramatów („Eros i Psyche”), autor trylogii książkowej, tłumacz, taternik, współtwórca TOPR-u.

15.07.1099: Zakończenie trwającej trzy lata I wyprawy krzyżowej pod dowództwem księcia Lotaryngii Gotfryda de Bouillon i innych książąt Europy Zachodniej. Sukcesem wyprawy było zdobycie Jerozolimy i utworzenie Królestwa Jerozolimskiego.

16.07.1724: Sprowokowani przez uczniów Kolegium Jezuickiego mieszczanie protestanccy zdemolowali szkołę jezuicką w Toruniu. Sejm uchwalił drakoński wyrok śmierci na burmistrza i dziewięciu uczestników tumultu. Egzekucję wykonano 7.12.

16.07.1874: Zmarł Wiktor Heltman, działacz emigracyjny, publicysta, wydawca pisma „Dekada Polska”, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, twórca jego Manifestu, autor prac historycznych o emigracji polskiej.

17.07.1399: Zmarła Jadwiga Andegaweńska, córka króla węgierskiego Ludwika, od 1384 r. królowa Polski, w 1386 poślubiona przez Władysława Jagiełłę, opiekunka Wszechnicy Krakowskiej.

17.07.1924: Urodził się Zbigniew Kościński, dyrektor i redaktor naczelny Wydawnictwa Lubelskiego; wydał zbiory poezji: „Meteory”, „Sercem i myślą” i in.

18.07.1374: W Arqua zmarł Francesco Petrarca, propagator odrodzenia kultury antycznej, autor arcydzieła literatury światowej „Il Canzoniere”, zbiór sławnych sonetów włoskich.

18.07.1849: Urodził się Hugo Riemann, profesor uniwersytetu w Lipsku, dyrektor Instytutu Muzykologicznego, autor „Musica lexikon” i wielu innych kompendiów muzycznych.

18.07.1899: Urodził się w Dzieńmorowicach Jan Dadok, samouk, specjalista w zakresie stenografii i maszynopisma, założyciel prywatnej szkoły w Orłowej, autor podręcznika.

21.07.1899: Urodził się Ernest Hemingway, pisarz amerykański, członek międzynarodowej cyganerii artystycznej, korespondent wojenny. W powieściach pokazuje zagubione pokolenie powojenne, bezsens wojny, deformacje psychiczne żołnierzy. Twórca najlepszych nowel amerykańskich, laureat nagrody Nobla.

23.07.1974: Zmarł Sir James Chadwick, profesor fizyki na uniwersytecie w Liverpool, Manchester, Cambridge, członek Royal Society, fizyk atomista, odkrywca neutronu, laureat nagrody Nobla.

25.07.1549: Urodził się Świętosław Orzelski, uczestnik sejmików wielkopolskich; przewodniczył zjazdowi dysydentów w Toruniu, autor 8-tomowego dzieła „Interregni Poloniae 1573—75”.

25.07.1674: Urodził się Jacob Leupold, mechanik niemiecki, autor dzieła opisującego maszyny do podnoszenia wody, konstruktor pomp powietrznych.

25.07.1899: W Karwinie urodził się Alfred Nowak, lekarz społecznik, organizator ośrodka zdrowia w Wiśle.

26.07.1899: Urodziła się Magdalena Samozwaniec, właściwie Kossak, literatka, autorka satyr, felietonów i powieści (m.in.: „Czy pani mieszka sama”, „Komu dziecko, komu?”, „Na ustach grzechu”).

26.07.1974: Zmarł Jan Żabiński, zoolog, organizator i dyrektor ZOO w Warszawie, wybitny popularyzator wiedzy przyrodniczej.

27.07.1849: Urodził się John Hopkinson, asystent w laboratorium Tomasza A. Edisona. Wyjaśnił pracę maszyn elektrycznych prądu zmiennego, opracował system rozdzielczy prądu trójfazowego.

27.07.1924: Zmarł Ferruccio Busoni, pianista, propagator nowych form muzyki, różnych źródeł dźwięku, innych skal, atonalności.

28.07.1874: Urodził się Ignacy Kosiński, agronom, jeden z polskich twórców rolnictwa doświadczalnego, organizator sieci placówek doświadczalnych, popularyzator wiedzy rolniczej.

29.07.1949: Zmarł Emil Drobny, ksiądz, założyciel Związku Przyjaciół Przeszłości Rybnika i okolic, redaktor „Ziemi Rybnickiej”; wyemigrował do Rodezji, działacz polonijny.

31.07.1849: W czasie walk pod Sighisoarą zginął narodowy poeta węgierski Sándor Petőfi. Ważniejsze utwory: „Wojak Janosz”, „Pieśni narodowe”, „Gotujcie królom szubienicę”, „Apostoł”.

NOTATKI



SIERPIEŃ

1 N Justyny, Piotra

2 P Marii, Gustawa

3 W Lidii, Nikodema

4 Ś Dominika, Pankracego

5 C Marii, Oswalda

6 P Sławy, Jakuba

7 S Doroty, Kajetana

8 N Cypriana, Dominiki

9 P Rolanda, Romualda

10 W Borysa, Wawrzyńca

11 Ś Filomeny, Zuzanny

12 C Klary, Lecha

13 P Diany, Hipolita

14 S Alfreda, Euzebiusza

15 N Marii, Stefana

16 P Joachima, Rocha

17 W Anity, Jacka

18 Ś Heleny, Klary

19 C Bolesława, Juliana

20 P Bernarda, Samuela

21 S Joanny, Franciszka

22 N Marii, Cezarego

23 P Apolinarego, Filipa

24 W Bartłomieja, Jerzego

25 Ś Luizy, Ludwika

26 C Marii, Wiktora

27 P Cezarego, Józefa

28 S Patrycji, Augustyna

29 N Sabiny, Jana

30 P Róży, Feliksa

31 W Pauliny, Rajmunda

ŚWIĘTA: 15 — Dzień Wojska Polskiego

ROCZNICE

01.08.1374: Zmarł jeden z poprzedników reformacji czeskiej Milicz z Kromierzyża.

01.08.1799: Zmarł współtwórca eksperymentu wznesienia balonu napelnionego cieplym powietrzem, Jacques Etienne Montgolfier.

01.08.1949: Zmarł dr Józef Figna, wybitny działacz sportowy w Krakowie, wykładowca studium WF przy Uniwersytecie Jagiellońskim, bibliofil.

02.08.1549: Urodził się Mikołaj Krzysztof Radziwiłł zwany Sierotką, marszałek wielki litewski, stronnik Zygmunta III Wazy, konwertyta. Zwiedził Europę Zachodnią i Małą Azję, opublikował pamiętnik „Perygrynacja abo pielgrzymowanie do Ziemi Świętej”. Jego staraniem pokazała się mapa Litwy.

02.08.1899: Urodził się Stanisław Baliński, dyplomata, poeta i nowelista z grupy Skamander, autor szeregu zbiorów poezji napisanych głównie na emigracji („Ballady i pieśni emigrackie”).

02.08.1974: Zmarł Roman Hierowski, publicysta, krytyk literacki, tłumacz. W głównej mierze zajmował się piśmiennictwem śląskim, wydał kilka antologii twórców śląskich.

03.08.1924: Zmarł Józef Conrad Korzeniowski, pisarz angielskiego pochodzenia, kapitan żegluga wielkiej. Napisał m.in.: „Lord Jim”, „Zwierciadło morza”, „Korsarz” i in.

06.08.1274: względnie 1273: Zmarł książę Konrad I, pan na Głogowie, założyciel linii Piastów głogowsko-żagańskich; założyciel miasta Głogów i obrał go na stolicę księstwa niezależnego od księstwa legnickiego.

07.08.1849: Urodził się Edmund Jankowski, profesor Wyższej Szkoły Ogrodniczej w Warszawie, pomolog, współzałożyciel Towarzystwa Ogrodniczo-Warzywniczego, redaktor „Ogrodnika Polskiego”, autor „Dziejów ogrodnictwa w Polsce”.

08.08.1849: Urodził się Roger Łubieński, publicysta, współredaktor pisma „Overland Monthly” w San Francisco, autor „Wspomnień z Ameryki”.

08.08.1899: Urodził się Gustaw Leyding, dziennikarz, działacz społeczny, redaktor „Mazurskiego Przyjaciela Ludu” i „Mazura”, autor „Słownika nazw miejscowych Okręgu Mazurskiego”.

08.08.1949: Pilot Frank Everest pobił rekord wysokości lotu na samolocie Bell XI, osiągając najwyższy pułap 21915 m n.p.m.

12.08.1899: W Karwinie urodził się Józef Chromik, profesor Szkoły Handlowej w Cieszyńcu, propagator turystyki.

13.08.1799: Urodził się w Dobrej Antoni Tesarczyk, lektor języka niemieckiego w Krakowie, redaktor „Kuriera Krakowskiego”, autor kilku prac historycznych („Rzeź galicyjska”, „Rzeczpospolita Krakowska, wolna, niepodległa i ściśle neutralna”).

13.08.1824: W Bażanowicach urodził się Paweł Stalmach, pionier ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim, długoletni redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej”, założyciel

Czytelnia Polskiej, Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego i wielu innych.

13.08.1899: Urodziła się Helena Malinowska. Pochodziła ze Strumienia, pedagog, nauczycielka w Jabłonkowie, następnie w Szkole Cwiczeń w Cieszynie, kierownicza tej placówki, działaczka ZNP.

13.08.1974: Zmarła Maria Ossowska, socjolog. Zajmowała się teorią etyki, autorka cennych rozpraw „Socjologia moralności”, „Normy moralne”.

14.08.1824: Urodził się Augustyn Petr, lekarz filantrop, czeski działacz narodowy, inicjator turystyki w Beskidzie Śląskim

15.08.1974: Zmarła Janina Buchciana, sekretarka dyrekcji FME CELMA, ofiarna działaczka oddziału PTTK w Cieszynie.

16.08.1649: Dramatyczna bitwa pod Zborowem pomiędzy wojskami polskimi a armią Bohdana Chmielnickiego, dążącego do ustanowienia państwa kozackiego. Mimo zwycięstwa wojsk Jana Kazimierza, znaczna część Ukrainy pozostała w ręku Kozaków.

16.08.1899: Zmarł Robert Wilhelm v. Bunsen, chemik niemiecki, odkrywca pierwiastków cezu i rubidu, wynalazca szeregu urządzeń, m.in. fotometru, palnika gazowego i in.

16.08.1949: Zmarła w wypadku samochodowym pisarka amerykańska Margaret Mitchell, autorka znanej powieści „Przemięło z wiatrem”.

17.08.1899: Urodził się Tomasz Dobrowolski, historyk, sztuki, muzeolog, dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach i Muzeum Narodowego w Krakowie, profesor UJ. Wśród publikacji m.in.: „Sztuka województwa śląskiego”, „Sztuka na Śląsku”.

18.08.1824: Zmarł André Jacques Garnerin, budowniczy balonów, pilot balonowy, zrealizował przelot o długości 300 km; pierwszy dokonał skoku spadochronowego z wysokości 1000 m.

19.08.1974: Zmarł Aleksander Janta Polczyński, autor licznych reportaży literackich ze swoich podróży; wydał antologię poezji japońskiej, napisał kilka tomów wierszy („Znak tożsamości”, „Losy i ludzie”).

22.08.1599: Zmarł Luca Marenzio, kompozytor i śpiewak, mistrz madrygałów; pozostawił kilka ksiąg wielogłosowych utworów muzycznych, przez wiele lat przebywał na dworze Zygmunta III Wazy.

22.08.1974: Zmarł Eugeniusz Kwiatkowski, ekonomista Polski, realizator wielu inicjatyw, m.in. budowy: portu gdyńskiego, Centralnego Ośrodka Przemysłowego, Zakładów Chemicznych w Mościcach i in.

23.08.1524: Urodził się Francois Hotman, działacz reformacji, profesor prawa rzymskiego w Paryżu, Genewie i w Bazylei; bronił prawa do niezależności, propagował doktrynę monarchomachów.

24.08.1899: Urodził się w Zamarskach Jan Hadyna, ezoteryk; założył ośrodek na Jarzębatej w Wiśle, powołał do życia Towarzystwo Metapsychiczne w Krakowie, redagował i wydawał pismo „Lotos” i różne publikacje w Bibliotece Wiedzy Duchowej.

24.08.1924: Zmarł Feliks Tadeusz Hajduk, pedagog, filolog klasyczny; uczył w Gimnazjum Polskim w Cieszynie, organizator drużyn skautowych, prezes Macierzy, wiceburmistrz Cieszyna.

26.08.1974: Zmarł Charles Linbergh, pilot amerykański. Dokonał pierwszego przelotu nad Atlantykiem w czasie 33 godzin i 12 minut.

27.08.1674: Zmarł Wacław Scherffer von Scherffenstein, dworzanin Piastów brzeskich, organista, poeta i tłumacz, autor „Geist und Weltliche Gedichte”; miał wielki szacunek do kultury polskiej.

27.08.1874: Urodził się Carl Bosch, chemik niemiecki, współautor otrzymywania amoniaku i metody upłynniania węgla, laureat nagrody Nobla.

28.08.1749: Urodził się Johann Wolfgang Goethe, czołowy przedstawiciel literatury niemieckiej, twórca wielu utworów poetyckich i prozatorskich („Cierpienia młodego Wertera”, „Egmont”, „Faust”).

29.08.1874: Zmarł w Paryżu Eustachy Januszkiewicz, wydawca „Pielgrzyma Polski” i „Młodej Polski”, założyciel księgarni i wydawca dzieł czołowych polskich poetów i pisarzy emigracyjnych.

31.08.1449: Pokój litewsko-moskiewski, kończący okres przewagi Litwy nad Moskwą.

31.08.1899: Urodził się Karol Szczepański, główny technolog w FME Celma w Cieszynie, zasłużony działacz PTT i PTTK, propagator narciarstwa turystycznego.

NOTATKI

WRZESIEŃ

- 1 Ś Bronisławy, Idziego
- 2 C Juliana, Stefana 
- 3 P Izabeli, Szymona
- 4 S Rozalii, Róży
- 5 N Doroty, Wawrzyńca**
- 6 P Beaty, Eugeniusza
- 7 W Reginy, Melchiora
- 8 Ś Marii, Radosława
- 9 C Piotra, Sergiusza 
- 10 P Aldony, Mikołaja
- 11 S Dagny, Jacka
- 12 N Marii, Gwidona**
- 13 P Eugenii, Filipa
- 14 W Bernarda, Cypriana
- 15 Ś Albina, Nikodema
- 16 C Edyty, Kornela
- 17 P Justyny, Franciszka 
- 18 S Ireny, Irmę
- 19 N Konstancji, Januarego**
- 20 P Filipiny, Eustachego
- 21 W Hipolita, Mateusza
- 22 Ś Maurycego, Tomasza
- 23 C Bogusława, Tekli
- 24 P Gerarda, Teodora
- 25 S Aurelii, Władysława 
- 26 N Justyny, Cypriana**
- 27 P Kosmy, Damiana
- 28 W Marka, Wacława
- 29 Ś Michała, Michaliny
- 30 C Zofii, Hieronima

ROCZNICE

03.09.1874: Urodził się Aleksander W. Wiszniewski, chirurg rosyjski; zastosował własne metody znieczulania miejscowego i blokady nowokainowe.

04.09.1874: Urodził się Zdzisław Czaplicki, lekarz, dyrektor Sanatorium „Warszawianka” w Zakopanem, ofiarny działacz TT i PTT.

04.09.1899: Urodził się Władysław Tomkiewicz, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, Państwowego Instytutu Sztuk Teatralnych, kustosz Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, autor szeregu publikacji z dziedziny historii politycznej i sztuki.

04.09.1974: Zmarł Paweł Steller, artysta grafik, twórca niepowtarzalnych drzeworytów, głównie o tematyce związanej z ziemią cieszyńską, wykładowca Śląskich Zakładów Technicznych w Katowicach.

05.09.1899: Zmarł ks. Adolf Hyrtek, autor rozprawy „Górny Śląsk pod względem obyczajów, języka i usposobienia ludności”; prowadził także badania rzymskich katakumb i w Afryce, publicysta, zbieracz folkloru.

08.09.1899: Urodził się Jerzy Dąbrowski, konstruktor polskich samolotów sportowych i wojskowych, w tym m.in. PZL 19 i 26, a także słynnego „Łosia”.

08.09.1949: Zmarł Richard Strauss, dyrygent wielu orkiestr, twórca poematów symfonicznych, oper („Salome”, „Elektra”), baletów, koncertów, utworów kameralnych i in.

10.09.1874: Zmarł Piotr Wysocki, płk., twórca sprzysiężenia, uczestnik Powstania Listopadowego, autor pamiętnika powstańczego.

10.09.1874: Urodziła się Jadwiga Dziubińska, popularyzatorka wiedzy rolniczej, założycielka kilku szkół rolniczych i seminarium, inicjatorka Zrzeszenia Nauczycieli Szkół Gospodarstwa Wiejskiego, organizatorka pomocy ofiarom wojny.

10.09.1974: Zmarł Melchior Wańkowicz, założyciel wydawnictwa Roj, literat; celował w opowiadaniach reportażowych i dokumentalnych („Na tropach smętki”, „Bitwa o Monte Casino”, „Wrzesień żagwiący”).

10.09.1974: Zmarł Teo Blattan, jeden z najaktywniejszych działaczy PTTK w Kole Miejskim w Skoczowie.

13.09.1874: Urodził się Arnold Schönberg, profesor Pruskiej Akademii Sztuk Pięknych i uniwersytetu w Kalifornii, twórca wiedeńskiej szkoły muzyki atonalnej tworzonej techniką dodekafonii, główny przedstawiciel ekspresjonizmu w muzyce.

14.09.1924: Urodził się Zdzisław Umiński, oficer AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, literat, autor opowiadań „Sprawozdania konfidenta”, powieści „Na północ od Alp” i in.

16.09.1874: W Kojkowicach urodził się dr Paweł Fox, kaznodzieja, emigrant, twórca Polskiego Uniwersytetu Ludowego w Nowym Jorku, autor prac: „Polacy w Ameryce”, „Reformacja w Polsce”.

16.09.1874: Zmarł Maksymilian Gieryski, wybitny malarz polski o szerokim uznaniu międzynarodowym, autor licznych obrazów rodzajowych, scen o tematyce powstańczej, dokumentującej polską kulturę narodową.

17.09.1374: Król Ludwik Węgierski wydał w Koszycach dokument zapewniający objęcie po jego śmierci tronu przez niewiastę, zwalniający szlachtę od podatku i potwierdzający nienaruszalność granic Królestwa Polskiego.

18.09.1899: Zmarł Włodzimierz Dzieduszycki, członek PAU, mecenas sztuki, założyciel Muzeum jego imienia we Lwowie znanego ze zbiorów ptaków, inicjator serii wydawniczej Muzeum.

18.09.1949: Zmarł ks. Teodor Zöckler, superintendent Kościoła Ewangelickiego w Galicji, założyciel sierocińca i gimnazjum niemieckiego w Stanisławowie.

20.09.1499: Po kilku latach zwłoki Jan Olbracht odstąpił prawa namiestnika Śląska swojemu młodszemu bratu Zygmuntowi, ostatecznie potwierdzone przez króla Czech Władysława Jagiellończyka 4.09.1500 r. Królewicz zajął Głogów, odsuwając zarówno od tytułu, jak i wpływów w księstwie Kazimierza II Cieszyńskiego na kilka lat.

20.09.1899: Urodził się Jan Kawulok, instrumentalista i odtwórca muzyki góralskiej, gajdosz-wirtuoz, bajorz, odznaczony Medalem Oskara Kolberga.

20.09.1899: W Mostach urodził się Józef Szotkowski, pedagog, nauczyciel w wielu szkołach na terenie Wielkopolski.

22.09.1499: Podpisanie pokoju w Bazylei pomiędzy Konfederacją Szwajcarską a królem niemieckim Maksymilianem I. Szwajcaria uzyskała tym samym niezależność od Rzeszy Niemieckiej.

24.09.1924: Zmarł Roman Emanuel Andrusikiewicz, prawnik, autor licznych wierszy i poematów o tematyce tatrzańskiej.

25.09.1849: Zmarł Johann Strauss, twórca słynnych walców wiedeńskich, marszów, polek, i galopów, dyrygent orkiestry dworu cesarskiego.

29.09.1849: Urodził się Fryderyk Schwatka, badacz plemion indiańskich i Arktyki; opracował szereg szczegółowych raportów, wydał słownik eskimosko-angielski.

29.09.1989: Zmarł Jan Rzepecki, uczestnik walk I i II wojny światowej, także w szeregach ZWZ-AK, autor kilku prac z dziedziny historii wojskowości.

30.09.1974: Zmarł Józef Stebel, pedagog, nauczyciel w kilku szkołach na Zaozniu, zasłużony kustosz Żwirkowiska, bibliofil.

NOTATKI

PAŹDZIERNIK

- 1 P Danuty, Teresy
- 2 S Dionizego, Teofila 
- 3 N Teresy, Gerarda**
- 4 P Franciszka, Rozalii
- 5 W Apolinarego, Marcellego
- 6 Ś Artura, Brunona
- 7 C Marii, Marka
- 8 P Brygidy, Pelagii
- 9 S Dionizego, Ludwika 
- 10 N Pauliny, Franciszka**
- 11 P Aldony, Emila
- 12 W Eustachego, Maksymiliana
- 13 Ś Edwarda, Teofila
- 14 C Bernarda, Kaliksta
- 15 P Jadwigi, Teresy
- 16 S Florentyny, Gerarda
- 17 N Małgorzaty, Wiktora** 
- 18 P Juliana, Łukasza
- 19 W Piotra, Ziemowita
- 20 Ś Ireny, Jana
- 21 C Urszuli, Hilarego
- 22 P Korduli, Filipa
- 23 S Marleny, Seweryna
- 24 N Marcina, Rafała** 
- 25 P Darii, Kryspina
- 26 W Ewarysta, Lucjana
- 27 Ś Sabiny, Wincentego
- 28 C Szymona, Tadeusza
- 29 P Wioletty, Narcyza
- 30 S Edmunda, Zenobii
- 31 N Saturnina, Urbana** 

ŚWIĘTA: 31 — Święto Reformacji (ewang.)

ROCZNICE

02.10.1849: Zmarł Jan Jakub Gay, architekt nowator; pierwszy w Polsce zastosował w budownictwie odlewane elementy żeliwne i blachę ocynkowaną, zrealizował szereg projektów obiektów przemysłowych.

03.10.1874: Urodziła się Olga Stonawska, córka ks. Franciszka Michejdy, współredaktorka i administratorka pism wydawanych przez ojca i męża ks. Jana Stonawskiego, przewodnicząca Ewangelickiego Koła Niewiast, prełożona Alumneum dla dziewcząt.

03.10.1924: Zmarł Władysław Zamoyski, hrabia, właściciel dóbr w Kórniku i w Zakopanem; wydatnie przyczynił się do uratowania lasów tatrzańskich i do budowy kolei Chabówka—Zakopane, a także do przyłączenia otoczenia Morskiego Oka do Polski, honorowy członek PTT.

04.10.1799: Urodził się Vicenz Priessnitz, samouk. Na podstawie obserwacji zwierząt doszedł do odkrycia właściwości leczniczych wód w Jeseniku. Pionier wodolecznictwa, kąpeli natryskowych (pryszniców).

07.10.1849: Zmarł pisarz amerykański Edgar Allan Poe, autor popularnych dreszczowców („Zagłada domu Ushe-rów”, „Wykradziony list” i in.).

08.10.1874: W Cierlicku Dolnym urodził się Bernard Kotuła, pedagog; uczył m.in. w Cieszynie, członek Komisji Podręcznikowej Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego; wprowadził elementy zdobnictwa ludowego do nauki rysunku w szkole, folklorysta.

09.10.1899: Urodził się Karol Piegza, pedagog, aktywny członek zaolziańskiego PTT „Beskid Śląski”, Macierzy Szkolnej, współzałożyciel Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego, dokumentalista i publicysta; wydał szereg publikacji o charakterze monograficznym, opowiadań („Sękaci ludzie”, „Tam pod Kozubową”). Działacz PZKO.

12.10.1924: Zmarł laureat nagrody Nobla Anatol France. W swych dziełach potępiał fanatyzm, nobilitował tolerancję religijną i swobody społeczne. Główne utwory: „Bogowie łakną krwi”, „Życie Joanny D'Arc”, „Bunt aniołów” i in.

04.10.1824: Urodził się Adolphe Monticelli, malarz francuski, prekursor impresjonizmu. Malował także sceny operowe.

15.10.1874: Urodził się Ferdynand Dyrna, aktor zespołów amatorskich, prezes sceny Czytelnia Ludowej, autor felietonów, sztuk ludowych, m.in. „Sałaszników”.

16.10.1874: Urodził się Otto Müller, malarz i grafik niemiecki, profesor akademii we Wrocławiu, autor wielu litografii; celował w przedstawieniach scen z życia Cyganów.

17.10.1849: Zmarł w Paryżu Fryderyk Chopin, największy kompozytor polski, jeden z geniuszy muzyki światowej, wirtuoz fortepianowy; prezentował w zasadzie na jednym instrumencie mistrzowskie opanowanie warsztatu, nowe formy harmonizacji, a przede wszystkim własny styl w artystycznym wykorzystaniu motywów muzyki narodowej.

18.10.1799: Urodził się Christian Friedrich Schönbein, profesor uniwersytetu w Bazylei, elektrochemik, odkrywca ozonu, nitrocelulozy i kolodiu.

19.10.1899: Urodził się Miguel Asturias, pisarz i poeta gwatemalski, dyplomata, laureat nagrody Nobla. Jego pióra m.in.: „Legends gwatemalskie”, „Ludzie z kukurydzy”, „Bananowa trylogia” i in.

24.10.1974: Zmarł Dawid Ojstrach, światowej sławy wirtuoz skrzypcowy, profesor konserwatorium w Moskwie.

27.10.1849: W Cieszynie urodził się Bolesław Kotula, asystent Katedry Zoologii UJ, profesor gimnazjum we Lwowie i Przemyślu; po wielu podróżach osiadł w Insbrucku. Tatarnik, alpinista, wytrawny badacz fauny i flory górskiej w Tatrach i Alpach; zebrzał nieprzeciętny materiał z opisami stanowisk i przykładów przyrody ożywionej, które w części tylko zdołał sam opracować.

29.10.1874: Zmarł Andrzej Zamoyski, nowator w gospodarce rolnej; organizował słynne zjazdy klemensinowskie, redaktor „Roczników Gospodarstwa Krajowego”, założyciel Spółki Żeglugi Parowej, rozpoczął produkcję statków i barek rzecznych, prezes Towarzystwa Rolniczego.

29.10.1974: Zmarł Jan Wyżykowski, pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego; prowadził badania i odkrył złoża miedzi w Polsce.

29.10.1924: We Lwowie urodził się Zbigniew Herbert, poeta, dramaturg i eseista. W zbiorach poetyckich eksponuje kwestie moralne w odniesieniu do doświadczeń historycznych. Jego pióra m.in.: „Pan Cogito”, „Dramaty”, „Barbarzyńca w ogrodzie” i wiele innych.

30.10.1899: Urodziła się Maria Kuncewiczowa, literatka, profesor języka polskiego i literatury na Uniwersytecie w Chicago, przedstawicielka kierunku psychologiczno-obyczajowego w literaturze polskiej. Wśród wielu utworów wydała m.in. antologię „The modern Polish Mind”.

31.10.1424: Urodził się Władysław III Warneńczyk, król Polski i Węgier; w młodym wieku zginął w bitwie pod Warną.

xx.10.1724: Zmarł Stanisław Dunin Karwicki, dworzanin królewski, poseł, publicysta, autor traktatu „De ordinanda Republica...”; postulował reformy ustrojowe, przede wszystkim ograniczenie swobód szlachty.

NOTATKI

LISTOPAD

1 P WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

2 W Bohdana, Bożydara

3 Ś Huberta, Sylwii

4 C Karola, Olgierda

5 P Elżbiety, Sławomira

6 S Feliksa, Leonarda

7 N Marzeny, Łukasza

8 P Godfryda, Seweryna

9 W Teodora, Ursyna

10 Ś Andrzeja, Ludomira

11 C Marcina, Bartłomieja

12 P Renaty, Witolda

13 S Stanisława, Mikołaja

14 N Emila, Wawrzyńca

15 P Alberta, Leopolda

16 W Gertrudy, Edmunda

17 Ś Salomei, Grzegorza

18 C Anieli, Romana

19 P Elżbiety, Seweryna

20 S Anatola, Feliksa

21 N Janusza, Konrada

22 P Cecylii, Marka

23 W Felicyty, Klemensa

24 Ś Flory, Jana

25 C Katarzyny, Erazma

26 P Konrada, Sylwestra

27 S Franciszka, Waleriana

28 N Blanki, Zdzisława

29 P Błażeja, Saturnina

30 W Justyny, Andrzeja

ŚWIĘTA: 1. — Wszystkich Świętych (kat.), Pamiątka Umarłych (ewang.), 11. — Święto Niepodległości

ROCZNICE

03.11.1849: Urodził się Stanisław Belza, prawnik, założyciel Towarzystwa Narodowo-Kulturalnej Pracy dla Górnego Śląska, publicysta. Przejawiał wielkie zainteresowanie problematyką Śląska i jemu poświęcił wiele artykułów i większych prac, m.in.: „Karol Miarka, kartka z dziejów Górnego Śląska”, „Dziesięć lat pracy na Kresach Zachodnich. Kartka do dziejów Śląska Austriackiego”.

03.11.1949: Zmarł Salomon Guggenheim, przemysłowiec, mecenas sztuki, twórca wielkiego muzeum sztuki nowoczesnej w Nowym Jorku.

04.11.1874: Urodził się Hugo Franciszek Król, profesor misjologii w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy w Krakowie, ks. misjonarz, pierwszy proboszcz parafii w Swedenburgu (Pensylwania).

05.11.1899: Urodził się Karol Wolfräm, ksiądz, profesor Wydziału Teologii Ewangelickiej na Uniwersytecie Warszawskim, prorektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Opublikował wiele prac o początkach chrześcijaństwa, m.in. 3-tomową monografię „Życie Jezusa”.

06.11.1899: Zmarł Józef Grabowski, inżynier, pracował przy budowie kolei warszawsko—petersburskiej, redaktor „Przeglądu Technicznego”, autor szeregu prac z hydrologii.

06.11.1924: Zmarł Karol Szotkowski, kierownik szkół w Puńcowie i Mnisztwie, działacz Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego (v. IX).

07.11.1799: Urodził się Henri Vernoy de Saint Georges, librecista, autor tekstów szeregu oper G. Donizettiego, F. Flotowa, G. Bizeta i in.

07.11.1849: Urodził się Józef Marian Chelmoński, czołowy malarz polski, odtwórca realistycznych przedstawień krajobrazu i życia wiejskiego (obrazy: „Czwórka”, „Kurka wodna”, „Orka”).

08.11.1674: Zmarł autor nowatorskich w formie epopei „Raj utracony” i „Raj odzyskany” — John Milton, zwolennik wspólnoty narodów, propagator purytanizmu angielskiego.

08.11.1899: Urodził się Jerzy Mieczysław Rytard, literat; pisał utwory o tematyce góralskiej, głównie tarzańskiej („Koleba na Hliniku”, „Wierchowina”, „Na wielkiej granicy” i in.).

09.11.1799: Napoleon Bonaparte dokonał zamachu stanu, obalił dyktariat, rozwiązał Radę Pięciuset, polecił opracować nową konstytucję, ogłosił się pierwszym konsulem.

11.11.1774: Urodził się Marcin Dunin Sulgostowski, arcybiskup gnieźnieński i poznański, przeciwnik polskich ruchów wywoleńczych i swobód wyznaniowych.

11.11.1874: Urodził się Sławomir Miklaszewski, profesor gleboznawstwa na Politechnice Warszawskiej, współzałożyciel Międzynarodowego Towarzystwa Gleboznawczego. Opracował pierwszą mapę gleb Królestwa Polskiego, autor pracy „Gleby Polski”.

12.11.1874: Urodził się Alojzy Jost, budowniczy drogi do Morskiego Oka, projektant pierwszego toru bobslejowego z Kalatówek, publicysta.

- 13.11.1899:** Urodził się Tadeusz Kulisiewicz, profesor grafiki w ASP w Warszawie; głównie wypowiadał się w drzeworytach związanych z życiem podgorczańskiej wioski Szlembark i w rysunkach tuszem o różnorodnej tematyce.
- 14.11.1774:** Urodził się Gaspare Luigi Spontini, kompozytor i dyrygent w Paryżu i w Berlinie, twórca oper heroicznych „Westalka”, „Fernando Cortez”, „Olimpie”.
- 14.11.1849:** Urodził się Bronisław Rymkiewicz, inż. budownictwa lądowego i wodnego, budowniczy kolei w Bawarii, na wyspie Porto Rico i Rio de Janeiro; uczestniczył w budowie Kanału Panamskiego i portu Manaus na Amazonce.
- 15.11.1849:** Urodził się Alfons Parczewski, profesor prawa na uniwersytetach w Warszawie i Wilnie, historyk, organizator pomocy Mazurom, współzałożyciel i redaktor „Gazety Ludowej” w Elku, wydawca „Nowin Śląskich” redagowanych przez ks. J. Badurę, autor szeregu prac, m.in. „O sprawie zachodnich granic Polski”.
- 15.11.1874:** Urodziła się Selma Kurz, śpiewaczka, sopran koloraturowy, artystka opery Wiedeńskiej rodem z Bielska.
- 16.11.1899:** Urodził się Józef Kaleta, redaktor odpowiedzialny „Prawa Ludu”, „Szerszenia”, „Dziennika Polskiego”. Pisał także do „Przyjaciela Ludu” i „Kalendarza Ewangelickiego”, działacz PZKO.
- 17.11.1524:** Zmarł Wacław II cieszyński, syn Kazimierza II; pod koniec życia ojca dopuszczony do współrządów, przedwcześnie zmarł, pozostawił syna pogrobowca Wacława III Adama, który zapewnił ciągłość linii Piastów cieszyńskich na dalsze 100 lat.
- 17.11.1974:** Zmarł ks. Jan Bolesław Fussek, duszpasterz Diakonu w Dziegielowie, proboszcz parafii ew. w Ruptawie, Gólkowicach i Wodzisławiu, gdzie po zniszczeniach II wojny światowej od podstaw odbudował życie zborowe.
- 18.11.1899:** Zmarł Feliks Jasiński, profesor mechaniki budowlanej, projektant nowatorskich budowli kolejowych. Wyjaśnił problem złożonych obciążeń prętów w konstrukcjach kratownicowych, opracował metodę obliczania naprężeń przy wyboczeniu niesprężystym.
- 20.11.1924:** Urodził się Henryk Tomaszewski, pantonimista, organizator i dyrektor Wrocławskiego Teatru Pantomimy.
- 23.11.1949:** Zmarł Julian Bogumił Witold Rafalski, profesor leśnictwa na uniwersytecie w Poznaniu; prowadził badanie lasów w Ameryce, czego owocem była praca „Lasy i leśnictwo w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej” i wiele in. artykułów.
- 24.11.1899:** Urodził się Jan Adam Maklakiewicz, profesor konserwatorium i PWSM w Warszawie, publicysta muzyczny, organista; skomponował wiele utworów, m.in. balet „Złota kaczka”, „Suite żywiołową”, „Suite huculską”, „Koncert skrzypcowy góralski” i in.
- 24.11.1899:** Urodził się Józef Pelszyk, aktor, organizator wielu scen i życia teatralnego na Górnym Śląsku.
- 26.11.1799:** Zmarł Joseph Black, profesor chemii na uniwersytetach w Glasgow i Edynburgu. Odkrył „gaz związany z powietrzem” — dwutlenek węgla, wprowadził pojęcie ciepła i temperatury a także ciepła właściwego i ciepła przemiany.
- 27.11.1849:** Urodził się Józef Kotarbiński, dyrektor Teatru Miejskiego w Krakowie. Wprowadził na scenę utwory polskich romantyków. Pod jego kierownictwem wystąpił zespół teatralny z komedią „Śluby panieńskie” na uroczystości otwarcia Domu Narodowego w Cieszynie w 1901 r.
- 27.11.1874:** Urodził się dr chemii Chaim Weizmann, kontynuator i rzecznik idei Theodora Herzla w ruchu syjonistycznym, pierwszy prezydent wskrzeszonego państwa izraelskiego.
- 27.11.1924:** Urodził się Iwan Bohuś, słowacki historyk, muzeolog, redaktor pism tatrzańskich, uzdolniony publicysta piszący głównie o Tatrach i Podtatrzu.
- 29.11.1874:** Urodził się Egaz Antonio Caetano de Abreu Freire Maniz, profesor Uniwersytetu w Lizbonie, lekarz, pionier arteriografii i psychochirurgii, laureat nagrody Nobla.
- 29.11.1849:** Urodził się Sir John Ambrose Fleming, profesor University College w Londynie, członek Royal Society. Ustalił tzw. regułę prawej dłoni (zależność pomiędzy polem magnetycznym, ruchem przewodnika i wzбудzaną siłą elektromagnetyczną), wynalazł m.in. diodę.
- 29.11.1924:** Zmarł Giacomo Puccini, kompozytor włoski, twórca znanych oper „Cyganeria”, „Tosca”, „Madama Butterfly”.
- 29.11.1949:** Zmarł Franciszek Krzywdą Polkowski, profesor ASP i Politechniki Warszawskiej, architekt, projektant wielu użytkowych gmachów publicznych, założyciel parkowych, m.in. w Żelazowej Woli.
- 30.11.1549:** We Wrocławiu urodził się Andrzej Calagius, pedagog; nauczał w kilku szkołach na Śląsku, opracował słownik łacińsko-niemiecko-polski, pisał wiersze po łacinie.
- 30.11.1874:** Urodziła się Lucy Maud Montgomery, pisarka kanadyjska, autorka cyklu powieści dla młodzieży, który zapoczątkowała od tomu „Ania z zielonego wzgórza”.
- 30.11.1849:** Urodził się Wilhelm Kotarbiński, malarz; celował w akademickich kompozycjach o tematyce biblijnej, pozostawił liczne freski w świątyniach Kijowa i Moskwy.
- 30.11.1874:** Urodził się Winston Leonard Spencer Churchill, brytyjski mąż stanu. Stał na czele Partii Konserwatywnej, minister wielu resortów, od 1940 r. premier Rządu Wielkiej Brytanii, uczestnik rokowań w Jaltie i w Poczdamie, publicysta.
- xx.11.1974:** Zmarł Walerian Kwiatkowski, profesor gimnazjum w Wilnie, żołnierz w oddziałach gen. W. Andersa, wykładowca Szkoły Kadetów, dziekan uniwersytetu na obczyźnie, prezes Zrzeszenia Ewangelików Polaków w Wielkiej Brytanii.

GRUDZIEŃ

- 1 Ś Natalii, Eligiusza
- 2 C Balbiny, Pauliny
- 3 P Franciszka, Ksawerego
- 4 S Barbary, Piotra
- 5 N Krystyny, Sabiny**
- 6 P Emiliana, Mikołaja
- 7 W Ambrożego, Marcina
- 8 Ś Marii, Wirginii
- 9 C Leokadii, Wiesława
- 10 P Julii, Daniela
- 11 S Damazego, Waldemara
- 12 N Adelejd, Aleksandra**
- 13 P Łucji, Otylii
- 14 W Alfreda, Izydora
- 15 Ś Celiny, Waleriana
- 16 C Albiny, Zdzisława
- 17 P Olimpii, Łazarza
- 18 S Bogusława, Gracjana
- 19 N Dariusza, Urbana**
- 20 P Bogusława, Dominika
- 21 W Jana, Tomasza
- 22 Ś Honoraty, Zenona
- 23 C Sławomira, Wiktorii
- 24 P Adama, Ewy
- 25 S Eugenii, Anastazji**
- 26 N Szczepana, Dionizego**
- 27 P Cezarego, Jana
- 28 W Antoniego, Teofila
- 29 Ś Dominika, Tomasza
- 30 C Eugeniusza, Seweryna
- 31 P Melanii, Sylwestra

ŚWIĘTA: 8. — Dzień Pokuty i Modlitwy w Diec. Cieszyńskiej (ewang.), 24. — Wigilia, 25. — **Boże Narodzenie**, 26. — **Drugie Święto Bożego Narodzenia**

ROCZNICE

01.12.1849: Urodził się Karl Johann Bernatzik, kupiec, filantrop, członek zarządu miasta Cieszyzna, honorowy obywatel miasta.

01.12.1899: Zmarł Edmund Franciszek Chojecki, uczestnik Zjazdu Słowiańskiego w Pradze, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, działacz emigracyjny współpracownik wielu pism we Francji, autor powieści, dramatów, tłumacz; największe dzieło naukowe poświęcił relacji z podróży na Grenlandię i Islandię.

01.12.1974: Zmarł Jan Chmielewski, twórca polskiej szkoły planowania regionalnego, profesor Politechniki Warszawskiej, architekt i urbanista; zajmował się planami przestrzennymi i zagospodarowania ziem górskich, głównie Podtatrza i Tatr.

03.12.1924: Urodził się Marek Antoni Wasilewski, działacz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, prozaik, poeta, tłumacz. Wydał m.in. poezję „Gdzie mieszka niebo”.

04.12.1899: Zmarł Franciszek Smolka, prawnik, członek Związku Przyjaciół Ludu i Stowarzyszenia Ludu Polskiego, prezes parlamentu wiedeńskiego, uczestnik Zjazdu Słowiańskiego, poseł, przywódca Towarzystwa Narodowo-Demokratycznego.

04.12.1899: Urodziła się Barbara Brukalska Sokołowska, architekt grupy Praesens, profesor Politechniki Warszawskiej, specjalistka z zakresu budownictwa mieszkaniowego i projektowanie wnętrz.

05.12.1349: Kazimierz Wielki zakończył wyprawę na Ruś Halicką i Włodzimierską; zajęte grody: Lwów, Halicz, Chełm, Brześć i Włodzimierz włączył do Polski.

07.12.1724: Został stracony przez ścięcie margrabia królewski i burmistrz miasta Torunia, opiekun gimnazjum ewangelickiego dr Gotfryd Jan Rossner, obwiniony za tzw. tumult toruński (v. VII).

08.12.1699: Urodziła się Maria Józefa, żona króla polskiego Augusta III Sasa, ostatnia królowa Polski.

08.12.1874: Urodził się Jan Recmanik, założyciel i wydawca Państwowej Szkoły Przemysłowej w Warszawie, introligator-artysta, wykonał szereg unikalnych opraw.

09.12.1749: Zmarł Andrzej Różycki, gen. major. przełożony kilku formacji wojskowych, obrońca praw ewangelików reformowanych na terenie Małopolski.

10.12.1849: Urodził się ks. Tomasz Dudek, wikary na kilku placówkach kościelnych na Śląsku Cieszyńskim, proboszcz w Boguminie, dziekan dekanatu frysztackiego; udzielał się w Macierzy, Związku Śląskich Katolików, wybudował siedzibę „Dziedzictwa” w Cieszyźnie.

11.12.1974: Zmarł Juliusz Starzyński, kustosz Muzeum Narodowego, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, dyrektor Państwowego Instytutu Sztuki, publicysta, redaktor „Rocznika Historii Sztuki”.

12.12.1574: Urodził się Adam Waclaw, książę cieszyński w latach 1595—1617; porzucił luteranizm i zapoczątkował okres kontrreformacji na Śląsku Cieszyńskim, angażował się w służbie wojsk cesarskich.

12.12.1849: Zmarł Marc Isambard Brunel, inż. budownictwa, członek Royal Society; uruchomił przemysłową produkcję bloków stępkowych, wybudował tunel pod Tamizą.

12.12.1924: Urodziła się Mieczysława Buczkówna, poetka. Jej liryki charakteryzują się zwięzłością, osadzeniem we współczesnej problematyce moralnej. Zbiory: „Rozstania”, „Dalekie z pobliza” i in.

13.12.1924: Zmarł Samuel Gompers, działacz związkowy w USA, współzałożyciel i przewodniczący Amerykańskiej Federacji Pracy, w zasadniczy sposób wpłynął na kształt opracowania międzynarodowego ustawodawstwa pracy.

14.12.1799: Zmarł George Washington, wódz naczelny w wojnie wyzwoleńczej Ameryki, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

14.12.1849: Zmarł Conradin Kreutzer, kapelmistrz, kompozytor, skomponował opery: „Das Nachtlager von Granada”, „Die Alpenhütte” i wiele innych utworów muzycznych.

14.12.1949: Zmarł Karol Wiktor Zawodziński, profesor literatury słowiańskiej na Uniwersytecie Toruńskim, recenzent i krytyk literacki; w głównej mierze zajmował się polską liryką.

14.12.1974: Zmarł Walter Lippman, publicysta, pisarz polityczny, współpracownik wielu pism amerykańskich, autor głośnej pracy „Opinia publiczna”.

15.12.1899: Urodził się Adam Sabela, pracownik administracyjny m.in. w Urzędzie miasta Cieszyńska, zasłużony działacz PTT i PTTK, prezes SN-PTT Watra, wiceprezes oddziału; w znacznej mierze przyczynił się do odbudowania schronisk w Beskidzie Śląskim po II wojnie światowej.

15.12.1949: Zmarł Józef Koźdoń, nauczyciel w Strumieniu i w Skoczowie, poseł do Sejmu Krajowego, inicjator separatystycznego ruchu ślązackowskiego, burmistrz Czeskiego Cieszyńska; współpracował z władzami okupacyjnymi po zajęciu miasta przez wojska hitlerowskie.

16.12.1774: Zmarł Francois Quesnay, nadworny lekarz Ludwika XV, twórca szkoły fizjokratów; ogłosił zasady równowagi produkcji różnych gałęzi wytwórczości („Tableau économique”).

16.12.1899: Urodził się Aleksander Zawadzki, generał, wojewoda śląsko-dąbrowski, wicepremier PRL, przewodniczący CRZZ.

20.12.1974: Zmarł Józef Machaj, działacz społeczny i polityczny, członek Zarządu Głównego „Siti”, później prezes, przewodniczący Komitetu Okręgowego PPS, poseł na Sejm, prezes i założyciel spółdzielni „Konsum Robotniczy”.

21.12.1749: Urodził się Adam Nechay, jezuita; studiował w Pradze, adwokat w Cieszyźnie, współpracownik ks. L. Szersznika, autor kilku prac historycznych, m.in. o 100-leciu przytulku Bonifratrów.

21.12.1874: Urodził się Tadeusz Żeleński-Boy, lekarz, publicysta, satyryk i krytyk, autor tekstów do kabaretu „Zielony balonik”, przetłumaczył ponad 100 tytułów klasyki literatury francuskiej.

21.12.1899: W Suchej Średniej urodził się Henryk Bolek, pedagog, zasłużony nauczyciel w gimnazjum w Orłowej, działacz Macierzy i PZKO, autor monografii miejscowości zaolziańskich.

21.12.1924: Ks. Karol Kulisz powołał do życia polski Diakonat Ewangelicki w Dziegielowie.

24.12.1949: Wyszedł pierwszy numer zaolziańskiego pisma społeczno-kulturalnego „Zwrot”.

27.12.1599: Urodził się Krzysztof Suessenbach, diakon polski w Sycowie i pastor w Bieczynie, autor polskiego katechizmu.

27.12.1674: Urodził się Jan Nagel, kaznodzieja i senior ewangelicki, profesor języka polskiego w Elblągu, publicysta i bibliofil.

27.12.1974: Zmarł Stanisław Doktorowicz-Hrebnicki, geolog; prowadził szerokie badania złóż mineralnych w Azji; na terenie Polski badał złoża surowców energetycznych, opracował szczegółową mapę geologiczną Polski.

28.12.1524: Zmarł Johannes v. Staupitz, dr teologii na uniwersytecie w Tybindze, przeor klasztoru augustianów w Tybindze i w Monachium, założyciel wydziału teologicznego na uniwersytecie w Wittenberdze, wikariusz generalny augustianów obserwantów w Saksonii, duchowy wychowawca nowicjusza Marcina Lutra.

28.12.1849: Urodził się Franciszek Orel, założyciel pierwszej drukarni we Frydku, księgarz druków dewocyjnych, miał także filię w Kalwarii Zebrzydowskiej.

29.12.1899: Urodził się Eugeniusz Bodo, aktor, piosenkarz, dyrektor kinoteatru w Łodzi, właściciel wytwórni filmowej „Sfinks”.

29.12.1924: Zmarł ks. dr Jan Pindór, wikary, później proboszcz parafii ewangelickiej w Cieszyźnie, wybitny działacz Towarzystwa Ewangelickiego, translator i publicysta.

31.12.1799: Urodził się Friedrich Fuchs, działacz Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, autor pierwszego dokładnego przewodnika i mapy po Tatrach; był rzecznikiem ochrony przyrody tatrzańskiej, szczególnie kozic i świstaków.

31.12.1899: Zmarł Karl Millöcker, twórca klasycznej operetki wiedeńskiej („Student żebrak”, „Hrabina Dubary”, „Gasparone”).

xx.12.1524: Urodził się Wacław III Adam, książę cieszyński w latach 1540—1579; utrwalił protestantyzm na Śląsku Cieszyńskim, wydał „Porządek kościelny”, często wypełniał różne misje poselskie.

Opracowanie:

EMILIA I WŁADYSŁAW SOSNOWIE

Kalendarz skrócony na rok 2000

	<i>Styczeń</i>	<i>Luty</i>	<i>Marzec</i>	
P	3 10 17 24 31	7 14 21 28	6 13 20 27	P
W	4 11 18 25	1 8 15 22 29	7 14 21 28	W
Ś	5 12 19 26	2 9 16 23	1 8 15 22 29	Ś
C	6 13 20 27	3 10 17 24	2 9 16 23 30	C
P	7 14 21 28	4 11 18 25	3 10 17 24 31	P
S	1 8 15 22 29	5 12 19 26	4 11 18 25	S
N	2 9 16 23 30	6 13 20 27	5 12 19 26	N
	<i>Kwiecień</i>	<i>Maj</i>	<i>Czerwiec</i>	
P	3 10 17 24	1 8 15 22 29	5 12 19 26	P
W	4 11 18 25	2 9 16 23 30	6 13 20 27	W
Ś	5 12 19 26	3 10 17 24 31	7 14 21 28	Ś
C	6 13 20 27	4 11 18 25	1 8 15 22 29	C
P	7 14 21 28	5 12 19 26	2 9 16 23 30	P
S	1 8 15 22 29	6 13 20 27	3 10 17 24	S
N	2 9 16 23 30	7 14 21 28	4 11 18 25	N
	<i>Lipiec</i>	<i>Sierpień</i>	<i>Wrzesień</i>	
P	3 10 17 24 31	7 14 21 28	4 11 18 25	P
W	4 11 18 25	1 8 15 22 29	5 12 19 26	W
Ś	5 12 19 26	2 9 16 23 30	6 13 20 27	Ś
C	6 13 20 27	3 10 17 24 31	7 14 21 28	C
P	7 14 21 28	4 11 18 25	1 8 15 22 29	P
S	1 8 15 22 29	5 12 19 26	2 9 16 23 30	S
N	2 9 16 23 30	6 13 20 27	3 10 17 24	N
	<i>Październik</i>	<i>Listopad</i>	<i>Grudzień</i>	
P	2 9 16 23 30	6 13 20 27	4 11 18 25	P
W	3 10 17 24 31	7 14 21 28	5 12 19 26	W
Ś	4 11 18 25	1 8 15 22 29	6 13 20 27	Ś
C	5 12 19 26	2 9 16 23 30	7 14 21 28	C
P	6 13 20 27	3 10 17 24	1 8 15 22 29	P
S	7 14 21 28	4 11 18 25	2 9 16 23 30	S
N	1 8 15 22 29	5 12 19 26	3 10 17 24 31	N

WAŻNIEJSZE ROCZNICE

199: Zmarł Claudius Galen, lekarz gladiatorów i cesarzy rzymskich, następca Hipokratesa; pozostawił ponad 150 dzieł z medycyny, przede wszystkim o środkach leczniczych, a także z filozofii i retoryki

249: Cesarz Decjusz wydał edykt, rozpoczynający prześladowanie poddanych nie uznających kultu uznawanego przez cesarza, głównie chrześcijan.

524: Został stracony Anicjusz Mauryusz Torquatus Severinus Boethius, autor, tłumacz i komentator traktatów starożytnych, przez rozszerzenie pojęcia uniwersaliów dał podstawy filozofii scholastycznej.

624: Ojciec Kościoła Zachodniego dr Izydora z Sewilli użył do napisania swoich dwudziestu ksiąg encyklopedycznych metalowego pióra i atramentu.

824: Frankoński cesarz junior Lotar I wydał ustawę „Constitutio Romana” ustanawiającą zwierzchność cesarza nad papieżem.

974: Wielki książę węgierski Géza przyjął chrzest i rozpoczął chrystianizację swojego państwa.

999: Gosbert, opat klasztoru w Teyernsee założył pierwszy warsztat witraży składanych z kawałków malowanego szkła.

1199: Papież Innocenty III zatwierdził istniejący już 9 lat nowy zakon — Krzyżaków, powołany do sprawowania opieki nad chorymi w Akce (Palestyna).

1224: Rycerz saksoński Eike v. Repgow spisał tzw. „Zwierzciadło saksońskie” — zbiór najstarszych praw krajowych w Niemczech.

1249: W Bochni zostały odkryte pokłady soli kamiennej, co dało początek kopalnictwu soli w Polsce.

1324: Urodził się Henryk II (pomiędzy 1316 a 1324), książę świdnicki; żył w cieniu swojego starszego, bardziej przedsiębiorczego brata Bolka II Małego. ■ W tym też roku (lub wcześniej) urodziła się Adelajda, druga żona Kazimierza Wielkiego, odsunięta, zamieszkała na zamku w Żarnowcu, później wróciła do ojca landgraфа Hesji Henryka II Żelaznego. ■ Urodziła się także Jadwiga Andegawęńska, późniejsza królowa Polski.

1374: Staraniem księcia Przemysława I Noszaka miasto Cieszyn zostało przenie-

sione na prawo magdeburskie wg wzoru miasta Wrocławia. ■ Królowa Węgier Elżbieta, regentka Polski po śmierci brata Kazimierza Wielkiego wydała ordynację górniczą dla kopalni ołowiu w Olkuszu.

1474: Zmarł Wacław I cieszyński, najstarszy syn Bolka I cieszyńskiego. Początkowo współrządził z matką, później młodszymi braćmi, po 1443 r. osiadł w Bielsku, zbudował lub powiększył dawną nadgraniczną strażnicę na zamek, ufundował kościół św. Mikołaja (dzisiejszą katedrę).

■ W Polsce wyszła pierwsza książka drukowana. ■ W Krakowie zmarł Piotr Gaszowiec, profesor medycyny i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor kilku dzieł.

1499: Urodził się Jan Łaski, organizator Kościoła Ewangelicko-Reformowanego we Francji, superintendent Kościoła Anglikańskiego w Londynie, założyciel zbiorów ewangelickich we Frankfurcie, rzecznik utworzenia polskiego kościoła narodowego i unii protestanckiej, mecenas Erazma z Rotterdamu.

1524: Urodził się Stanisław Grzepski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor dzieła „Geometria to jest miernicza nauka...”, uznanego za pierwszą książkę techniczną w Polsce.

1574: Zmarł Franciszek Stankar, wykładowca języka hebrajskiego na uniwersytetach w Wiedniu, Bezeley i w Krakowie, jeden z przywódców arianizmu w Polsce; nie uznawał Trójcy Świętej, autor dzieła: „Canones reformationis ecclesiarum polonicarum”. ■ W Świebodzinie urodził się Jakub Schickfuss, rektor gimnazjum ewangelickiego w Brzegu, autor śląskiej kroniki i opisu kraju wydanej w 1625 pt. „Neu vermerthe schlesische Chronica”.

1599: Zmarł Wojciech Oczko, sekretarz i lekarz nadworny Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy. Stworzył podstawy polskiej medycyny, napisał traktat z balenologii „Cieplice...”. ■ W Czarńcu urodził się Stefan Czarniecki, hetman koronny, główny dowódca kampanii antyszwedzkiej, organizator walki podjazdowej z udziałem chłopstwa, znakomity taktyk; rozegrał wiele bitew na terenie kraju i za granicą. ■ Zmarł włoski lekarz Gaspare Tagliacozzi, specjalista w dokonywaniu operacji plastycznych. ■ Urodził się Dud

Dudley, hutnik angielski; pierwszy zastosował węgiel kamienny do wytopu żelaza. Przez prażenie węgla otrzymał koks, który w późniejszych czasach był podstawowym paliwem w procesie wielkopiecowym.

1649: Urodził się Samuel Suchodolski, arianin. Zmuszony do emigracji, wykonał jedno z pierwszych map topograficznych Brandenburgii i Prus Książęcych. ■ Kował norymberski Johann Hautsch zbudował czterokołową karocę, napędzaną siłą mięśni.

1674: Przybyli do Cieszyńska jezuita otworzyli tu gimnazjum katolickie. ■ Urodziła się Maria Magdalena Sydonia Szersznikowa, filantropka cieszyńska, złożyła znaczny dar na budowę wieży Kościoła Jezusowego w Cieszynie i na utrzymanie pastora. ■ Zmarł Piotr Parczewski, biskup. Dążył on do wzmocnienia unii kościelnej, załatwienia sporów polsko-kozackich, zabiegał o wyzwolenie Bułgarii z niewoli tureckiej. ■ Zmarł pochodzący z Polski Stanisław Mateusz Kocmyrżowski, drukarz uniwersytecki w Wiedniu. Wydrukował wiele cennych dzieł w różnych językach, także w języku polskim, za zasługi został nobilitowany. ■ Urodził się Jethro Tull, agronom, dzięki wynalazkowi siewnika rządowego znacznie usprawnił uprawę roślin.

1724: Nauczyciel gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie Jonasz Nigrinius wydał pierwszą, bezpomiarową mapę Śląska Cieszyńskiego, na której naniósł istniejące wówczas osady, wioski i miasta oraz kilkanaście szczytów Beskidu Śląskiego.

1749: Zmarł Michał Potocki, pisarz polny koronny, stronnik Stanisława Leszczyńskiego, uczestnik konfederacji tarnogórskiej; występował przeciw Sasom i Rosji. ■ Benjamin Franklin wynalazł piorunochron. ■ John Stevens zbudował parowiec z udoskonalonym napędem śrubowym i nowym typem koła, uruchomił pierwszy prom parowy. ■ Thomas Earnshaw, urodzony w tymże roku, jest wynalazcą chronometru morskiego.

1774: W Gnojniku urodził się ks. Jan Rakowski, nauczyciel i zastępca dyrektora Gimnazjum Ewangelickiego w Cieszynie, proboszcz w Wiśle i w Bielsku; w 1810 r. wyszedł ze swoimi przewodnikami i księciem Ludwikiem Anhaltem na Baranią Górę. ■ Urodził się Friedrich Gottlob Koenig, drukarz, konstruktor maszyny drukarskiej z napędem parowym. ■ Szwedzki aptekarz Carl

Wilhelm Scheele odkrył trujący gaz — chlor.

1799: Zmarł Grzegorz Michał Grabowski, szambelan królewski, gen. major, uczestnik konfederacji toruńskiej i ślucksiej a przeciwnik konfederacji barskiej, jedyny dysydencki poseł na sejm w 1784 r. ■ Zmarł także działający w Warszawie architekt Karol Bay, projektant szeregu monumentalnych budowli, m.in. kościoła wizytek. ■ Urodził się Jan Brettner, pedagog w Gliwicach i we Wrocławiu, autor popularnego niemieckiego podręcznika fizyki, współzałożyciel Natur-Wissenschaftliche Verein w Poznaniu. ■ Urodził się inż. mechanik Paweł Kaczyński, konstruktor maszyn rolniczych, projektant wielu zakładów przetwórstwa płodów rolnych. ■ Urodził się też James Simpson, który przeprowadził skuteczne próby oczyszczania wody wodociągowej przy pomocy filtrów piaskowych.

1824: Zmarł David Bushnell, pierwszy amerykański konstruktor małej łodzi podwodnej z napędem mięśniowym. ■ Urodził się Konstanty Branicki, organizator i uczestnik wielu wypraw zoologicznych; dał początek zbiorom Gabinetu Zoologicznego Szkoły Głównej w Warszawie i Muzeum Zoologicznego Branickich. ■ Urodził się Karol Fryderyk Burkhart, nauczyciel Gimnazjum Ewangelickiego w Cieszynie w latach 1852—1870, publicysta. ■ Urodził się saski konstruktor i producent maszyn do uprawy buraka cukrowego — Rudolf Sack. ■ Urodził się Francis H. Wenham, brytyjski konstruktor pierwszego tunelu aerodynamicznego. ■ W tymże roku w Polsce przystąpiono do budowy Kanału Augustowskiego. ■ W Genewie zbudowano pierwszy stalowy most wiszący w Europie o rozpiętości przeszła 40 m. ■ Brytyjski majster murarski Joseph Aspinin wyprodukował pierwszą porcję cementu portlandzkiego. ■ Szwedzki chemik Jöns Jacob Berzelius odkrył dwa pierwiastki: krzem i cyrkon. ■ Urodził się John Elder, konstruktor wysokopiętnej maszyny parowej.

1849: Zmarł Thomas Bates, hodowca zwierząt; wypracował metodę hodowli gatunkowej. ■ Urodził się Ludwig Rehn, chirurg niemiecki; pierwszy dokonał operacji serca usuwając kłutą ranę. ■ Urodził się Władysław Szybiński, pedagog, publicysta, założyciel zimowej szkoły rolniczej, działacz Towarzystwa Rolniczego, redaktor „Rolnika Śląskiego”. ■ Urodził się Rudolf Halfar, działacz społeczny, wójt w Porębie, poseł na sejm

Śląski w Opawie, członek Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego. ■ W Zakopanem urodził się Klemens Bachleda, przewodnik tatrzański, odkrywca wielu nowych dróg, współzałożyciel i członek TOPR-u; zginął w czasie akcji ratowniczej pod Małym Jaworowym.

1874: Zmarł Jan Radziwiński, lekarz, założyciel pierwszej polskiej wylęgarni ryb zapładnianych sztucznie. ■ Zmarł Maciej Rybiński, gen. bryg., ostatni dowódca Powstania Listopadowego, autor pamiętnika „Wydarzenia w Polsce w latach 1830—1831”. ■ Zmarł Francis Pettit Smith; udoskonalił napęd statków przez wprowadzenie śruby. ■ Urodził się Noël Bernard, botanik francuski; badał zjawisko kiełkowania nasion pod wpływem grzybów sprzyjających rozrostowi roślin wyższych. ■ Urodził się Alban Kochler, lekarz; wprowadził teleradiograf serca. ■ Urodził się w Budapeszcie światowej sławy iluzjonista, „czempion w pokonywaniu zamków i krat” Harry Houdoni (właściwie Erik Weisz). ■ Urodził się Michał Janik, historyk, publicysta, nauczyciel Gimnazjum Polskiego w Cieszynie. ■ Urodził się Jan Miklaszewski, leśnik, organizator wyższego szkolnictwa leśnego, profesor zarządzania lasu SGGW w Warszawie, autor dzieła „Lasy i leśnictwo w Polsce”. ■ Urodził się Stefan Baliński, pedagog-metodyk, organizator życia literackiego w Poznaniu, redaktor „Nowej Wici”, autor szeregu powieści dla dzieci i młodzieży ■ W Cieszynie księgarnia Edward Feitzinger założył własną drukarnię, w której drukował wydawnictwa okolicznościowe i popularne. ■ Niemiecki kompozytor Richard Wagner umieścił w Teatrze Muzycznym w Bayreuth orkiestrę opery w podsceniu. ■ Zakład Remingtona wprowadził do sprzedaży seryjnie wyprodukowane maszyny do pisania. ■ Fizyk James Clerk Maxwell wyznaczył bezwzględne masy atomowe niektórych pierwiastków.

1899: Zmarł Franciszek Górniak, właściciel cegielni, członek Ligi Polskiej; wydatnie wspierał wszystkie organizacje narodowe na Śląsku Cieszyńskim, znaczną część majątku przeznaczył na budowę Domu Narodowego w Cieszynie. ■ Zmarł Jerzy Raszka, społecznik, kronikarz Simoradza. ■ Zmarł Ludwik Robert Biedermeyer, przedsiębiorca w Łodzi, właściciel przedsiębiorstwa i farbiarni, filantrop. ■ Zmarł Edward Frankland, chemik angielski; wprowadził pojęcie wartościowości pierwiastków, opracował metodę syntezy związków organicznych. ■ Zmarł Lars

Fredrik Nilson, chemik szwedzki; odkrył rzadki metal skand, współcześnie wykorzystany do wyrobienia rdzeni pamięciowych szybkobieżących maszyn matematycznych. ■ Zmarł Percy Pilcher, angielski pionier szybownictwa. ■ W Dieńsmorowicach urodził się Rudolf Kukucz, działacz Macierzy, działacz sportowy, nauczyciel w Skoczowie. ■ Urodził się Józef Bielec, komendant Katowickiego Hufca Harcerzy, komendant Śląskiej Chorągwi Harcerskiej; zginął w Starobielsku. ■ Urodził się Wincenty Birkenmajer, polonista, znakomity polski taternik, zdobywca wielu trudnych dróg, propagator ochrony przyrody. ■ Urodził się Alfred Blalock, chirurg, inicjator operacyjnego leczenia wad serca. ■ Urodził się Clarence Craford, profesor chirurgii na uniwersytecie w Sztokholmie, jeden z inicjatorów nowoczesnej chirurgii klatki piersiowej i serca, konstruktor spiropulsatora. ■ Urodził się Władysław Czerny, profesor architektury na politechnice w Gdańsku i we Wrocławiu, urbanista; zrealizował wiele projektów zespołowych. ■ Urodził się John Hasbrouck van Vleck, jeden z laureatów nagrody Nobla w dziedzinie fizyki za teoretyczne opracowanie struktury elektronów. ■ Urodził się Ludwik Heilmeyer, hematolog niemiecki; opracował metodę wyznaczania poziomu żelaza we krwi. ■ Urodził się Jan Łukasik, architekt, projektant osiedli robotniczych w okolicach Łodzi, autor pomników, konserwator zabytków; kierował rekonstrukcją zamku w Czersku. ■ Urodził się Leopold Mannes, jeden ze współtwórców trójwarstwowego materiału odwracalnego i metody otrzymywania fotografii kolorowej. ■ Urodził się Stanisław Różański, profesor architektury Politechniki Gdańskiej, organizator pierwszej placówki planowania regionalnego w Polsce; opracował wiele projektów zagospodarowania przestrzennego, polegającego na deglomeracji centrów miast. ■ Urodził się Sir James Dawarow, fizyk brytyjski; otrzymał tlen i wodór w postaci stałej w temperaturze - 256,2°C. Inż. Francois Hennebique ukończył pierwszy trwały most konstrukcji żelbetowej.

1924: Zmarł ks. Jerzy Herman Frietsche, proboszcz parafii ewangelickiej w Bielsku i w Białej, superintendent w Galicji Zachodniej; przyczynił się do wybudowania szkół wyznaniowych w Lipniku i w Salmopolu oraz domu sierot w Białej. ■ Zmarł William Macewen, chirurg brytyjski; opracował metodę nakazy dochtawicznej poprzez intubację. ■ Urodził

się Henryk Buszko, architekt śląski, projektant ośrodka turystycznego w Chorzowie, Domu Nauczyciela w Ustroniu Jaszowcu, ośrodka leczniczo-rekreacyjnego w Ustroniu Zawodziu i wielu innych. ■ Urodził się astrofizyk angielski Anthony Hewish, laureat nagrody Nobla, odkrywca pulsarów — dalekich obiektów kosmicznych, wysyłających w przestrzeń krótkotrwałe, cykliczne promieniowanie radiowe. ■ Urodził się Jerzy Adam Miłobędzki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, historyk architektury, konserwator zabytków, autor wielu prac, m.in.: „Zarysu dziejów architektury polskiej” i „Atlasu zabytków architektonicznych w Polsce”. ■ Urodził się Siegfried Singer, projektant pierwszego sztucznego satelity Ziemi. ■ Wyznaczono odległość pomiędzy Galaktyką a najbliższą mgławicą Andromedy, ocenioną na 1,8 miliona lat świetlnych (wg obecnych pomiarów 2,3 miliona lat świetlnych). ■ Hans Rieger, fizyk niemiecki skonstruował nowy typ głośnika elektrodynamicznego, odtwarzającego dźwięki bez zakłóceń. ■ W Niemczech nad jeziorem Walchen oddano do użytku pierwszą elektrownię wodną, szczytową, o mocy 72 MW. ■ Inż. Wiktor Kaplan zbudował nowy typ turbiny wodnej, pozwalającej wykorzystać energię wolnoprzepływających rzek. ■ Zbudowano pierwszy odcinek nowoczesnej autostrady z Mediolanu do Varese.

1949: Zmarł Alois Chytil, czeski balneograf, fotograf i publicysta, autor kilku przewodników i albumów po Tatrach, redaktor pism tatrzańskich. ■ Zmarł John W. Dunne, brytyjski konstruktor bezogonowca o skośnych skrzydłach. ■ Zmarł Antoni Leopold Dygat, architekt, projektant polskich rozgłośni radiowych i innych gmachów użyteczności publicznej w Warszawie. ■ Zmarł Ludwik Halbshtaedter, niemiecki pionier radiobiologii. ■ Zmarł Tadeusz Świercz, leśnik, dyrektor Lasów Państwowych w Krakowie, taternik, zdobywca wielu nowych dróg. ■ Na górze Mt Palomar zainstalowano teleskop o średnicy zwierciadła 5 m. ■ W Anglii zbudowano pierwszy kom-

puter lampowy z programowalną pamięcią. ■ Elektrycy amerykańscy skonstruowali nowy kineskop pozwalający na odtwarzanie obrazu kolorowego. ■ Chemik amerykański Glen Theodore Seabay odkrył pierwiastek beryl.

1974: Zmarł Jan Chmielewski, prof. na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, wiceprezes Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego kraju, czołowy projektant zabudowy Warszawy i Podtatrza. ■ Zmarł Romuald Gutt, profesor ASP w Warszawie, przedstawiciel architektury o cechach narodowych, później zwolennik funkcjonalizmu. ■ Zmarł Józef Niemiec, pedagog, polonista w Gimnazjum Realnym w Orłowej i Seminarium Nauczycielskiego w Ostrawie, działacz Macierzy i PZKO, bibliofil, publicysta. ■ Zmarł Zdzisław Adam Rajewski, archeolog; prowadził badania w Biskupinie, dyrektor Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, autor wielu prac, m.in. „Biskupin i jego okolice, 1000 lat historii”. ■ Zmarł Wojciech Rubinowicz, profesor uniwersytetów w Lublianie, Lwowie, Warszawie, prezes Polskiego Towarzystwa Fizycznego; udowodnił podwójny charakter światła, odkrył kwantowo następujące zmiany atomów pod wpływem promieniowania, autor szeregu prac („Kwantowa teoria atomu”, „Mechanika teoretyczna” i in.). ■ Zmarł Stefan Artur Nacht-Samborski, profesor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Sopocie, ASP w Warszawie, malarz kapista, uprawiał głównie malarstwo sztalugowe. ■ W Konstantynowie zbudowano najwyższy maszt radiowy o wysokości 640 m. ■ W Chicago oddano do użytku dwa 110-piętrowe wieżowce biurowe o wysokości 443 m. ■ Na rzece Delaware oddano do eksploatacji największy most wspornikowy świata. ■ Wyprodukowano pierwszy programowany kalkulator kieszonkowy. ■ Wykonano pierwsze holograficzne zdjęcie wnętrza atomu.

Opracowanie:
Emilia i Władysław Sosnowie

RUDOLF MIZIA

WIEŚ POD CIESZYNEM

Z amarski są położone nad źródłami Piotrówki, dopływu Olzy. Z zamarskiego kopca (388 m n.p.m.) roztacza się w kierunku południowym rozległy widok na Pogórze i Beskid Śląski, w kierunku zachodnim na Zagłębie Ostrawsko-Karwińskie w Czechach, zaś w kierunku północnym na łagodnie opadającą powierzchnię Działu Kończyckiego i „Żabiego Kraju”. Zaokrąglone kopce Pogórza są zbudowane z wapieni i łupków cieszyńskich. O uroku urozmaiconego krajobrazu Zamarsk stanowią falistość terenu, garby i stromizny oraz liczne parowy i jary, z szeregiem drobnych rozgałęzień. Przysiółek Rudów jest oddzielony od wioski niewysokim progiem zbudowanym z wulkanicznego cieszynitu. Próg rudowski to prawdopodobnie granica zasięgu najdalej na południe wysuniętego jezora lodowca skandynawskiego.

Obszar wioski należy do zlewiska Morza Bałtyckiego; odwodniony jest przez system rzeczny Odry, do którego należą potoki Piotrówka i Lutnia. Wschodnia część Zamarsk stanowi główny dział wodny, czyli granicę między dorzeczami Wisły i Odry. Gleby zamarskie to przede wszystkim ciężkie „śliny”, czyli rędziny powstałe na podłożu wapiennych skał macierzystych oraz łatwo wietrzejących łupków cieszyńskich oraz „szarówki” — gleby zbielicowane, lekkie. Niewiele pozostało lasów w obrębie wioski — na wschodzie lasy Lutnia graniczący w Kostkowioku, północna granica wsi przebiega obrzeżem lasu Czarne Doły i Machnicy, droga do Hażłacha przebiega częściowo przez Brzezie, na zachodzie wieś przylega do Lasu Parchowskiego. W Lutni ma swoje stanowisko chroniona cieszyńianka. Obszar wsi wynosił 863 ha. Części wsi to Centrum („dziejzina”), Pasieki, Czarne Doły, Szotki, Rudów, Rakowiec, Krzepty, Szerokie.

NAZWY WSI

- ZAMASCHI — nazwa użyta w dokumencie wrocławskim z 1223 roku,
MERKITSCHDORF — nazwa używana w XV wieku — widoczny wpływ kolonizacji niemieckiej,
ZAMARSKY — nazwa wymieniona w urbarzu z 1577 roku,
ZAMARSCZE — tak nazwano wieś w raporcie zbiorczym z 1652 roku „O miejscowościach, które stały się luterskie”,
ZAMARSKI — nazwa użyta na metalowej pieczęci gminnej z 1746 roku,
ZAMARSK — nazwa używana w języku niemieckim, przenoszona dawniej również do języka polskiego, np. kościół w Zamarsku,
ZAMARSKA — stosowana czasem dawniej forma zamienna z nazwą Zamarski.

Nazwa Zamarski pochodzi od słów „zmarsk — marszczyć — zmarszczka”, jest więc związana z mocno pofałdowanym pomarszczonym ukształtowaniem terenu. Jest oryginalna, jedyna na mapie Polski.

HERB

Przez długie lata wieś utożsamiała się z herbem, który przedstawia trzy skrzyżowane razem gwoździe, a pod nimi serce i gałązki palmowe. Był to niewątpliwie symbol nazwy kościoła zamarskiego pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego.

POCZĄTKI WSI I JEJ WŁAŚCICIELE

Zamarski są jedną z najstarszych wsi ziemi cieszyńskiej. W 1223 roku biskup wrocławski Wawrzyniec podarował zakonnikom kościół klasztornego św. Zbawiciela w Rybniku dziesięciny biskupie z 14 wsi w Księstwie Cieszyńskim. Wśród nich wymieniono m.in. Zamaishi. Była to więc wieś klasztorna. Do kogo należała przez następne dwa wieki, nie wiadomo, gdyż źródeł historycznych na ten temat brak. W 1415 roku był tu panem Werner Szeliga, a stawy i łąki zamarskie w XVI wieku były własnością miasta Cieszyna. W 1663 roku wieś należała do Marklowskich — rodziny szlacheckiej pochodzenia czeskiego, w roku 1718 do hr. Tęczyńskiego — starosty ziemskiego i najwyższego dostojnika w Księstwie, w 1731 roku do hr. Henryka Fryderyka Wilczka — magnata polskiego, w 1766 roku do Jana Erdmana Radockiego, a następnie do baronów Trachów. W 1802 roku wieś nabył książę sasko-cieszyński Albert, powiększając w ten sposób dobra Komory Cieszyńskiej.

NAJDAWNIEJSI MIESZKAŃCY

W 1577 roku Zamarski liczyły 21 osiadłych, czyli była to przeciętna wieś z około 120 mieszkańcami. Dla porównania w Cieszynie notowano w tym czasie 146 osiedleńców. Dzięki urbarzowi z 1577 roku znamy nazwiska ówczesnych mieszkańców Zamarsk. Są to: Piotr Kanderle, Janek Dolnus, Walek Tulej, Janek Kyta, Jurek Zubla, Jakub Tiupał, Benek Patyl, Jakub Holik, Grzegorz — wójt bez nazwiska, Jurek Słowak, Bartek Grzib, Piotr — służebnik bez nazwiska, Martin Lomos, Walej Rajnda, Paweł Chorzenec, Janek Żiwczak, Jan Skala, Jurek Koszmider, Jurek Sedlak, Martin Oczadlik, młynarz bez nazwiska.

Najlepiej sytuowany był wójt Grzegorz, siedlak, który był wolny, czyli bez obciążeń na rzecz pana. Pełnił funkcję urzędnika odpowiedzialnego za pobieranie świadczeń i porządek w osadzie. Zwoływał zebrania całej gminy, w których uczestnictwo mieszkańców było obowiązkowe.

GOSPODARKA CZYNSZOWA

18 spośród wymienionych osadników to siedlacy. Nazwa pochodzi od siedliska, zasiedlenia przybyłych tu osiedleńców. Siedlacy posiadali pełnorolne sprzężajne gospodarstwa tej samej wielkości, co wynika z jednakowych obciążeń wobec pana feudalnego, który nigdy nie tracił prawa do ziemi jako swej własności. Osadnicy mieli tylko prawo do użytkowania ziemi, za pewną opłatą. Czynsze oddawano w ustalonych zwyczajowo terminach w następujących wysokościach: na św. Michała — po 24 grosze, na św. Marcina — po 7 groszy, w mięsopuście — po 28 groszy, na św. Jerzego — podatek krwi po 3 grosze, w tym czasie za polowanie — po 5 groszy, za polowanie na Trzech Króli — po 5 groszy, oprócz tego po 10 jajek i 1 serze. Na św. Michała cała wieś płaciła z karczmy 1 złoty, zaś na św. Jerzego z młyna również 1 złoty. Ówczesny grosz miał wielką wartość — można było kupić zań tuzin jaj. Siedlacy otrzymywali dziedziczne prawo użytkowania ziemi. Ziemia zasiedziana dziedzicznie z dziada pradziada nosiła nazwę „dziedzina”. Nazwa ta z czasem przerodziła się w nazwę ogólną wsi, co jeszcze do niedawna było w powszechnym użytku.

GOSPODARKA FOLWARCZNO-PAŃSZCZYŹNIANA

W środku osady, na szczycie pagórka mieściły się zabudowania folwarczne. Folwark zamarski, jako gospodarstwo dziedziczne wójty, zwiększał swój stan posiadania. Z powodu licznych wojen brakowało siły roboczej. Folwark wolał zrezygnować z czynszu pieniężnego, w zamian wzrastał wymiar pańszczyzny. Nasilał się przymus pracy dla

dworu; pobierane były najróżniejsze świadczenia i daniny. Poddany chłop, jako indywidualny użytkownik pańskich gruntów ornych, mógł się czuć użytkownikiem z reguły od zasiewów do zbioru zbóż. Ścierniska stawały się terenem wypasu bydła ogółu. Gmina miała swojego pastucha, który pasał na wspólnych pastwiskach bydło wszystkich gospodarzy. Mieszkał on w gminnym domu nr 26, który do dziś zwie się „Pastuszyńcem”.

Czasy wojny 30-letniej (1618–1648) to okres niepokoїв, kilkakrotnych przemarszów różnych armii, okres niszczenia kraju przez wojska i bandy rabusiów. W 1626 roku zostały spalone całe Gumna, a w Zamarskach do dziś pozostała nazwa kulminacji pagórka „Bachorek”, gdzie w ciężkich walkach w 1647 roku pobito Szwedów. Przerażający był obraz wsi śląskiej po tej wojnie — ludność zdziesiątkowana, pola leżące odłogiem, wszędzie widmo głodu i nędzy. Stan ogólnego rozprężenia sprzyjał uaktywnianiu się różnych złoçynchów. Z rąk cieszyńskiego kata za męczenie ludzi, rabunek i morderstwa poniósł śmierć na szubienicy m.in. Adam Buba z Zamarsk.

GOSPODARKA CHŁOPIJSKA W XVIII I XIX W.

Druga połowa XVII wieku sprzyjała dalszej akcji osadniczej. System folwarczno-pańszczyźniany nadal się rozwijał. Urbarz właściciela Zamarsk, Radockiego, z 1700 roku wyszczególnia powinności poddanych wobec zwierzchności. Z dokumentu tego wynika, że we wsi było 7 siedlaków, 16 zagrodników, 11 wielkich chałupników, 2 małych chałupników i 1 młynarz. Siedlacy zobowiązani byli do płacenia po 2 guldeny, 38 krajcarów rocznie, zagrodnicy po 34 krajcary, chałupnicy po 18 krajcarów. Siedlacy mieli do odpracowania sprzężajnie przy pomocy 3 koni i 1 wołu 16 pólndi rocznie oraz 2 całe dni piesze tygodniowo. Siedlacy dostarczali rocznie do dworu po 4 kury, 10 jaj, 1 szt. płótna gładkiego i 1 szt. płótna surowego, zagrodnicy po 2 kury, 5 jaj i płótno, podobnie jak siedlacy. Wielcy i mali chałupnicy byli zobowiązani do dostarczenia po 1 szt. płótna gładkiego. Na przełomie XVIII i XIX wieku odnotowano w Zamarskach 3 majstrów tkactwa lnu i 3 warsztaty tkackie.

Za panowania Marii Teresy, cesarzowej Austrii, wojska pruskie trzykrotnie płądrowały ziemię śląską. Ludność płaciła nadmierną kontrybucję w pieniądzu i w towarze, ale rząd habsburski nie ulżył nic z nałożonych podatków. Wybuchaly buntury chłopskie, często się powtarzające. W 1766 roku w otwartym buncie wzięło udział 137 wsi śląskich, w tym również Zamarski. Uciekających z majątku poddanych chłopów cesarzowa kazała bez miłosierdzia ścigać.

Nazwiska mieszkańców Zamarsk i numery domów według urbarza Radockiego: siedlacy — Paweł Klimosz 4, Adam Szwiered 5, Jan Wiecheć 6, Adam Cinciała 8, Jerzy Brzesz 16, Paweł Rainda 24, Jan Rainda 25, zagrodnicy — Adam Kropiek 42, Jerzy Kajzar 44, Jan Kajzar 44, Jerzy Floszek 33, Jan Sobek 32, Andrzej Wiecheć 31, Andrzej Sedlak 41, Jerzy Sedlak 53, Tomasz Muszkiet 30, Andrzej Miszek 23, Andrzej Korhel 22, Andrzej Skala 21, Andrzej Brzonsz 20, Paweł Tłolka 13, Jerzy Skala 9, Jan Korhel 9, wielcy chałupnicy — Tomasz Wusztet 17, Adam Nowak 18, Jan Nowak 35, Andrzej Sedlak 39, Paweł Pszczółka 40, Jerzy Teurom 38, Jerzy Muza 43, Jerzy Pszczółka 13, Jan Waindok 14, Andrzej Tłolka 10, Jerzy Turoń 7 (kował), Jan Bracha 41 (młynarz), mali chałupnicy — Jan Micza 37, Jan (bez nazwiska). Nie uwzględniono nazwisk komomików i służby.

W 1802 roku Zamarski nabył ksiączę sasko-cieszyński Albert powiększając stan posiadania majątku obszarniczego zwanego Komorą Cieszyńską. Zarządcą majątku w Zamarskach został urzędnik austriacki Franciszek Muehlstrom. Dziedziczne posiadłości Komory Cieszyńskiej należały do Habsburgów i obejmowały 64 procent powierzchni ziemi cieszyńskiej. Zarząd i urzędnicy Komory były głównym narzędziem niemczenia ludności śląskiej. Dwór zamarski łącznie z Pogwizdowem, Markłowicami, Kocobędzem i Mostami podlegał zarządowi w Cieszynie. Gospodarstwo w Zamarskach miało dwie jednostki rozliczeniowe: gospodarstwo rolne i palarnię. Pod cztery zboża zajmowano 55

procent gruntów ornych, pod okopowe 20 procent pod pastewne 20 procent. Plony zbóż wzrosły do 11 q, ziemniaków do 69 q. Wzrastało pogłowie koni, bydła i świń. Woły zastępowano końmi jako siłą pociagową. Folwark upowszechniał szlachetniejsze rasy krów, dzięki czemu poprawiła się ich mleczność krów z 600 kg na początku XIX wieku do 1800 kg rocznie pod koniec XIX wieku.

Położenie chłopów w majątku obszarowym było ciężkie. Komora Cieszyńska w sposób wysoce zorganizowany wyzyskiwała swoich poddanych. Chłopi robili z poczwórnym zaprzęgiem przeważnie przez 6 pól dni w tygodniu, wielcy zagrodnicy z podwójnym zaprzęgiem przez 6 pól dni, mali zagrodnicy przez cały rok codziennie w 2 osoby, chałupnicy przez cały rok w jedną, a w żniwa w dwie osoby. Wójt był wolny od robocizny w czasie pełnienia służby.

Wiosna Ludów przyczyniła się do zniesienia pańszczyzny w całej Austrii. Chłopi otrzymali na własność posiadane grunty, za wyjątkiem gruntów folwarcznych. Za uwolnienie od świadczeń pańszczyźnianych i uwłaszczenie chłopi musieli płacić do skarbu państwa odszkodowanie w postaci podwyższonego podatku. Okres 1847 – 1848 to lata głodu — długotrwałe deszcze zaszkodziły zbiorom, wznagły się żebractwo, kradzieże, rabunki. Wybuchł tyfus głodowy. Dwór zamarski zgłaszał pilne zapotrzebowanie na materiał siewny dla potrzeb własnych i chłopstwa. Uprawa ziemniaków gwałtownie się upowszechniła, co wpłynęło na rozwój gorzelnictwa. Folwark posiadał monopol na produkcję i wyszynk wódki, ponosząc odpowiedzialność za klęskę pijaństwa wśród ludności wiejskiej. Udokumentowane nazwiska najdawniejszych szynkarzy w Zamarskach: 1850 — Józef Goryl pod nr 27, 1877 — Jerzy i Ewa Fobrowie pod nr 19, 1892 — Adam Targosz pod nr 27. Przywilej produkcji i wyszynku piwa już od 1523 roku miało miasto Cieszyn.

W 1862 roku ustalono notarialnie granice ziem folwarcznych z sąsiadami i okopcowano je. Do dziś istnieją w terenie kamienie graniczne z wyżłobionymi literami TK tzn. Teschner Kammer (Komora Cieszyńska). W latach 60. XIX wieku wieś uzyskała samorząd — radę gminną z wójtem na czele. Była ona jednak pod przemożnym wpływem folwarku, który przedkładał interesy własne nad interesy wsi. Funkcję wójta w Zamarskach pełnili: ok. 1800 roku — Paweł Macura (fogt), 1858 — Andrzej Siedlok, 1862 — Paweł Pniok, 1877 — Jerzy Goryl (bormister), 1886 — Jerzy Siedlok, 1901 — Jerzy Pniok, 1908 — Jerzy Kukucz (równocześnie gospodźki).

KOŚCIOŁY

W środku wsi, na zamarskim kopcu, schowany w wieńcu starych drzew, znajduje się zabytkowy kościół drewniany. Pierwszy kościół spłonął przed rokiem 1585, poczem odbudowano tylko istniejącą do dziś dzwonnice. W niej odbywały się nabożeństwa do czasu dobudowy kościoła. Od połowy XVI wieku do 1654 roku kościół był w posiadaniu ewangelików. Obecny kościół dobudowano do istniejącej wieży dopiero w 1731 roku, staraniem Henryka Fryderyka Wilczka, dziedzica wsi. W latach 1731 – 1773 kościół był w rękach jezuitów, którzy mieli tu stację misyjną. Kościół dowodzi dobrej znajomości kunsztu ciesielskiego wykonawców. Ma konstrukcję drewnianą, zrębową, na podmurowaniu kamiennym. Czworoboczna wieża ma konstrukcję słupową, wzmocnioną po bokach podwójną kratownicą i zastrzałami. Całość pokryta jest gontem. W przyziemiu wieży znajdowała się z trzech stron otwarta, obecnie oszalowana kruchta.

W II połowie XIX wieku po równouprawnieniu wyznaniowym, ewangelicy zamarscy założyli własny cmentarz, a w 1892 roku oddali do użytku sromną kaplicę cmentarną, którą dwukrotnie rozbudowywano i modernizowano.

POCZĄTKI SZKOLNICTWA

Sięgają drugiej połowy XVIII wieku. Już przed 1780 rokiem chałupnik Ciosk, nr domu 27, uczył miejscowe dzieci czytać i pisać. Inni chałupnicy czynili w swych chatkach

podobnie. Były to tzw. szkoły pokątne, o które władze szkolne wcale się nie troszczyły. Na podstawie edyktu tolerancyjnego cesarza z 1781 roku ewangelicy cieszyńscy przystąpili do zakładania szkół w różnych miejscowościach, m.in. w Zamarskach. Od 1814 roku szkoła w Zamarskach stała się katolicka. Bez względu na to, w czyich rękach znajdowały się szkoły, nauczaniem objęte były dzieci przedstawicieli wszystkich wyznań. W 1821 roku wybudowano szkołę murowaną. Był to obiekt bardzo skromny i ciasny. Do dyspozycji stała tylko jedna izba lekcyjna z małymi oknami i wykonane niezgodnie z przepisami mieszkanko nauczyciela. Długoletnim nauczycielem i kierownikiem szkoły był w latach 20. XIX wieku Andrzej Kuś, zaś w latach 60. Józef Wytrzens. Frekwencja w szkole była słaba, a przyczynami tego było ubóstwo rodziców, niechęć Komory Cieszyńskiej do oświaty poddanych oraz rozrzucona zabudowa wsi. Ponieważ dzieci chłopskie przeważnie pasły bydło, nauka organizowana była w godzinach południowych.

Ciasnota lokalowa i konflikty wyznaniowe spowodowały, że w 1863 roku dzieci z rodzin ewangelickich zaczęły uczęszczać do szkoły wyznaniowej w Gumnach, gdzie ewangelicka gmina cmentarna Gumien–Ogrodzonej–Zamarsk wybudowała szkołę w roku 1861. Wieloletnie starania o rozbudowę szkoły w Zamarskach zostały uwieńczone sukcesem dopiero w 1886 roku. W związku z likwidacją szkolnictwa wyznaniowego ciasnota lokalowa stała się znów dokuczliwa, wybudowano więc wkrótce drugi budynek szkolny. Na skutek oszczędności i potwarzy w związku z budową szkoły jej kierownik Jerzy Wranka popełnił samobójstwo. Był lubianym i poważanym organizatorem życia społecznego we wsi, prowadził czytelnię Krakowskiego Towarzystwa Oświaty.

Chłopi nie stronili od książki. Przywiązanie cieszyńskich chłopów do słowa drukowanego datuje się od czasów księcia Wacława Adama, który sprzyjał oświacie ludu. Najstarszym zbiorem zapisków w Cieszyńskim jest „Książka” Pawła Wacławika, chłopskiego piśmiorza z Zamarsk spod nr. 72, żyjącego w latach 1767–1850. Przepisywał stare druki i kazania ówczesnych pastorów śląskich. Spisał też swoje książki, a miał ich około 30.

PIERWSZE DZIESIĘCIOLECIE XX WIEKU

Wobec wzrostu ilościowego ludności wiejskiej (rodziny 12- 15-osobowe) szybko dokonywał się proces rozdrabniania gruntów chłopskich. Spłaty odszkodowania za uwłaszczenie, nieurodaje i niskie ceny płodów rolnych powodowały zadłużenie i licytacje gospodarstw rolnych. Wielu bezrobotnych chłopów znalazło zatrudnienie w powstających fabryczkach, np. Brown Boveri w Cieszynie, przy budowie dróg, na kopalniach w Karwinie. Rozwój przemysłu przyczynił się do postępu w rolnictwie. Wpisie członków Towarzystwa Rolniczego w Cieszynie z 1881 roku, figuruje z Zamarsk jeden rolnik — Paweł Kozieł, w roku 1893 reprezentowało Zamarski już 3 rolników — Paweł Kozieł, Jan Kania i Jan Heczko. Wkrótce, bo w 1902 roku, powstało we wsi Kółko Rolnicze, które szerzyło wśród chłopów oświatę rolniczą, popularyzowało nowoczesne maszyny rolnicze i rozwój mleczarstwa. Pierwszą maszyną kółkową był tryjer do czyszczenia ziarna, zakupiono też wagę bydłą. Istotną dla starych rolników była sprawa dożywocia, czyli tzw. wymowy. Było to zabezpieczenie potrzeb na starość. Wymowy były bardzo dokładnie określane na piśmie: przydział izby, świadczenia w naturaliach (mleko, jajka, ziemniaki), prawo trzymania świń i kur, dostęp do piwnicy czy drewnitni, kwoty pieniężne na pokrycie kosztów pogrzebu itp.

Starsi obywatele opowiadają o licznych pożarach we wsi i w okolicy. Przypomina się zwłaszcza klęskę pożaru z 15 sierpnia 1904 roku, kiedy to pastwą żywiołu stało się kilkanaście zabudowań w centrum wsi wraz z zebranymi już tego roku plonami. Spora część mieszkańców była na odpuście w kościele Braci Miłosiernych w Cieszynie. Z powodu braku zorganizowanej obrony przeciwpożarowej, braku sprzętu gaśniczego, wielkiej posuchy i silnego wiatru ogień przeszedł przez „diedzinę” pochłaniając 11

budynków mieszkalnych i 21 budynków gospodarczych. Zginęło 26 zwierząt domowych, 82 osoby zostały bez dachu nad głową. Spaliły się akta gminne wójta Pawła Pnioka. Z inicjatywy postępowych mieszkańców w 1908 roku założono jednostkę OSP pod dowództwem miejscowego rolnika Jerzego Boruty. Gościny nowozałożonej straży udzielił Jerzy Penkała przechowując sprzęt bojowy w swych zabudowaniach. W 1910 roku w środku wsi wzniesiono remizę strażacką określaną jako „depo”. Przy jej budowie zastosowano rzadko w tym rejonie występujący mur pruski, tzn. konstrukcję szkieletową drewnianą z wypełniającym murem z cegły. W centrum wioski zbudowano solidny rezerwar wodny dla celów gaśniczych.

Po wielkim pożarze nasiliło się budownictwo murowane. Ciekawymi zabytkami budownictwa drewnianego pozostały: kościółek z XVI wieku i kuźnia o dachu dwuspadowym krytym gontem, która przeniesiona została do skansenu wsi beskidzkiej i cieszyńskiej w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Zabytkiem była też obora dworska z XVIII wieku, zbudowana z wapienia pozyskanego w miejscowych kamieniołomach. Wnętrze było nakryte spłaszczonym sklepieniem kolebkowym wspartym na słupach, dach początkowo pokryty płytkami łupkowymi. Do ostatnich lat I wojny światowej dwór z sąsiadującym sadem otoczony był dosyć wysokim murem kamiennym. Mur rozebrali jeńcy rosyjscy; uzyskaniem kamieniem utwardzili dotychczasową drogę polną na Szerokie i Czarne Doły.

I wojna światowa przyczyniła się do zmierzchu monarchii austriackiej. 19 października 1918 roku powstała polska Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego. W Cieszynie odbył się potężny wiec z udziałem 50 tys. ludności polskiej, w tym sporej części mieszkańców Zamarsk. Już po rozwiązaniu się wiecu w drodze powrotnej z rynku został przypadkowo zastrzelony mieszkaniec Zamarsk — Foltyn (strzał padł prawdopodobnie z okien gimnazjum przy placu ks. Londzina). Nastąpił tymczasowy podział Śląska Cieszyńskiego. Czesi nie uznali zawartej umowy i 23 stycznia 1919 roku zaatakowali Śląsk Cieszyński. Gminę Zamarski zajęły wojska czeskie 28 stycznia i zakwaterowały w domach prywatnych i budynkach szkolnych. Artyleria czeska, ustawiona na „Bachorku” w środku wsi, ostrzeliwała Skoczów. Legionarze wycofali się z Zamarsk 16 lutego 1919 roku.

Notatka „Głosu Ludu Śląskiego” nr 67 z 1919 roku może być odzwierciedleniem emocjonalnego stosunku mieszkańców Zamarsk do sprawy przyłączenia Cieszyńskiego do Macierzy: *„Odkryto się zgromadzenie w sprawie przyszłego głosowania, które ma rozstrzygnąć o przynależności naszego kraju do Polski. Ludność żywo tym się interesuje. Udział ludu w zgromadzeniu okazały. Zagaił w bardzo pięknym przemówieniu p. Kozieł. Wyróżniało się przemówienie p. Fikska, który żywiołowo żądał przyłączenia Śląska Cieszyńskiego do Polski. Zebrani obywatele stwierdzili to w siarzystej rezolucji”*.

Z początkiem lat 20. powstał Katolicki Komitet Budowy Kościoła. Chciał w miejsce starego, niszczonego kościółka drewnianego wybudować nowy. Aktyw Komitetu stanowili Józef Kałuża jako przewodniczący i Andrzej Fober — skarbnik. Komitet zbierał dobrowolne datki od instytucji i osób indywidualnych na konto w Cieszyńskim Banku Kredytowym. Do budowy nowego kościoła jednak nie doszło. W latach 1935–1936, dzięki funduszom Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, kościółek został jako zabytek historyczny poddany konserwacji i doprowadzony do pierwotnego wyglądu.

Udział chłopów w życiu politycznym był bardzo aktywny. Koło Polskiego Stronnictwa Ludowego w Zamarskach powstało jako jedno z pierwszych, już w 1919 roku. Działaczami byli tacy mieszkańcy jak Józef Pastucha, Paweł Kozieł, Jak Kisza, Jan Macura, Jan Kozieł. W wyborach do Sejmu w roku 1922 na kandydatów z listy PSL głosowało 40 procent mieszkańców Zamarsk. Wpływy ludowców rosły, gdyż prowadzili energiczną walkę o przejęcie na skarb państwa dóbr Komory Cieszyńskiej. Oczekiwano zapowiadanej parcelacji tych dóbr. W 1926 roku rada gminna Zamarsk wysłała protest do Ministerstwa Rolnictwa przeciw przewlekaniu parcelacji, żądając przyspieszenia

procesu Fryderyka Habsburga przeciw Skarbowi Państwa o dobra Komory Cieszyńskiej. Ludowcy byli zorganizowani w spółce osadniczo-pastwiskowej kierowanej przez Jana Kozła. Głównym zadaniem spółki było ułatwienie nabywania i dzierżawy gruntów rolnych z parcelacji. W Zamarskach rozparcelowano 178 ha gruntów dworskich, jednak faworyzowane były gospodarstwa większe. Małe gospodarstwa coraz bardziej karłowaciały. Upośledzona była tzw. służba (*pastyrze, pacholcy, dziywki*). Rzadko zasiadała z gospodarzami przy wspólnym stole. Chałupnicy i komornicy pracowali u siedlaków wyznaczoną ilość dni w zamian za korzystanie z wynajętych zagonów na ziemniaki, za *kwartyr, posiónek* itd. Dla przeciwdziałania drożyznie i lichwie w 1919 roku utworzono wiejską ludową spółkę spożywców. Sklep spożywczy zorganizowano w budynku folwarcznym; prowadził go przez wiele lat Jan Boruta.

Ludowcy pełnili w Zamarskach funkcje wójtów: Paweł Kozieł 1919–1922, Józef Pastucha 1922–1930, Paweł Siedlok 1930–1939.

Słabą stroną ruchu ludowego i kółkowego w okresie międzywojennym było nikiłe zainteresowanie młodzieżą wiejską. Lukę tę w pewnym stopniu wypełniło koło Związku Polskiej Młodzieży Ewangelickiej, które na zlecenie Śląskiej Izby Rolniczej w Katowicach prowadziło pracę w zespołach przysposobienia rolniczego. Działały takie zespoły, jak uprawy ziemniaków, kukurydzy, ogródków kwiatowych, hodowli kur i królików. Przodownikami tych zespołów byli m.in. Paweł Jedzok, Emilia Sojka, Karol Kozieł.

Szkoła po I wojnie światowej była 3-klasową szkołą powszechną realizującą program nauczania sześciu klas w systemie klas łączonych. W ramach parcelacji szkoła uzyskała małe boisko, położone po drugiej stronie drogi, na przeciw budynków szkolnych. W latach 1902–1930 kierownikiem szkoły był Andrzej Fober, w latach 1930–1939 funkcję tę pełnił Edward Dzindziel.

Prace świetlicowe rozpoczął na początku wieku nauczyciel Bohucki z pomocą miejscowych studentów Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie Jana Kiszy, Jerzego Hadyny i Jana Miczy. W 1908 roku przygotowano pierwsze w Zamarskach przedstawienie — byli to *Chłopi arystokraci* Anczyca. Po I wojnie najbardziej aktywne w życiu kulturalnym wsi były koła Macierzy Szkolnej i Związku Polskiej Młodzieży Ewangelickiej. Koło Macierzy Szkolnej powstało w 1925 roku spośród członków Ogniska Młodzieżowego. Zorganizowało bogatą bibliotekę, urządzało przedstawienia, rozwijało działalność oświatową. Pierwszym przewodniczącym był Józef Pastucha. Koło ZPME zorganizowano w roku 1930. Oprócz statutowego zadania pielęgnowania życia religijnego prowadziło we wsi prace kulturalno-oświatową organizując dobrze pracujący chór, przedstawienia, czytelnictwo, dożynki. Pierwszym przewodniczącym i dyrygentem chóru był nauczyciel Rudolf Kordula.

Popularny we wsi był strój cieszyński określany jako wałaski. Jest on wzorowany na dawniejszym stroju mieszczańskim. W skromniejszych sukniach i w koronkach na głowie kobiety chodziły nawet do pracy w polu. Oryginalny strój męski zaginął dosyć dawno. Kobięcy strój regionalny w życiu codziennym również zaczął tracić na znaczeniu. Coraz mniej było widać *gaździnek* w przepięknym stroju cieszyńskim — czy to w kościele, czy na zabawach wiejskich, czy na imprezach rodzinnych. Tradycje stroju wałaskiego przejęły z czasem ludowe zespoły pieśni i tańca.

JERZY SOWIŃSKI

125 LAT BANKOWOŚCI SPÓŁDZIELCZEJ W CIESZYNIE

Początki ruchu spółdzielczego w Europie przypadają na pierwszą połowę XIX wieku. Narodzinom spółdzielczości przyświecała idea samoobrony ludzi pracy przed wyzyskiem kapitalistycznym oraz dążenie do wzajemnej samopomocy. Nowe idee znalazły podatny grunt także na ziemiach polskich pozbawionych samodzielności politycznej. Działacze narodowi szybko zrozumieli, że spółdzielczość stwarza duże możliwości podniesienia poziomu gospodarczego, a w konsekwencji społecznego i kulturalnego. Jednocześnie dostrzegali w niej silny oręż w walce o niezależność narodową i polityczną.

Śląsk Cieszyński przeżywał w połowie XIX wieku poważne przeobrażenia gospodarcze, związane ze zniesieniem pańszczyzny. Akt uwłaszczeniowy uwolnił wieś od świadczeń na rzecz dworu, a chłopom pozwolił na swobodne dysponowanie swoją ziemią. Wieś cieszyńska uległa jednak szybko postępującemu procesowi rozwarstwienia. Część chłopów, nie mogąc wyżyć z roli, szukała zarobku w rozwijającym się przemyśle górniczo-hutniczym, a spora liczba właścicieli drobnych gospodarstw znalazła się w trudnej sytuacji gospodarczej włącznie z długami zaciągniętymi u lichwiarzy na bardzo wysoki procent.

W tej sytuacji nabierał znaczenia tani i łatwo dostępny kredyt, poszukiwany zarówno przez chłopów, jak rzemieślników i kupców. W tym czasie w prasie cieszyńskiej pojawiają się liczne artykuły dotyczące aktualnych zagadnień gospodarczych łącznie z problemami lichwy i kredytów. Tematyka ta znalazła także żywy oddźwięk w częstych dyskusjach w kołach działaczy narodowych.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku pojawiają się pierwsze głosy na temat towarzystw oszczędnościowo — pożyczkowych i płynących z ich działalności korzyści. Był to rezultat przenikania nowych idei spółdzielczych z tych terenów, które w tej dziedzinie miały już znaczne osiągnięcia. Dotyczy to zwłaszcza Wielkopolski, Galicji, Górnego Śląska i ziem czeskich. Propagatorką idei spółdzielczości w regionie cieszyńskim była m.in. „Gwiazdka Cieszyńska” jednoznacznie upatrująca w tym ruchu dźwignię postępu ekonomicznego dla dyskryminowanego żywiołu polskiego. Oto kilka charakterystycznych przykładów: *Nieraz już bądź w pismach czasowych, bądź na zebraniach towarzystw gospodarczych, w rozprawach o funduszach kontrybucyjnych i przy różnych innych sposobnościach mówiono o tym, jakim by sposobem można urządzić zakłady dla zapomagania rolników w pieniężnych dolegliwościach.¹ Prusy Zachodnie (polskie) są dziś wzorem dla innych krajów polskich pod względem podnoszenia oświaty, rolnictwa i dobrobytu włościan. Staje się to za pomocą stowarzyszeń i spółek rolniczych, przy których zakładają zaraz i księgozbiory i kasy pożyczkowe. Cały kraj jest tam jakby obsiany takimi towarzystwami, czyli spółkami. Od kilku lat dopiero działają one, a już jest widoczny ich wpływ.² Wielka liczba kas zaliczkowych po całej Morawie i Czechach bardzo zbawienną rozwija działalność. Liczba ta wzrasta corocznie i wynosi teraz 252.*

¹ „Gwiazdka Cieszyńska”, nr 39 z 28 IX 1863, s. 307.

² „Gwiazdka Cieszyńska”, nr 45 z 9 XI 1867, s. 359.

Kasy te mnożą się osobiście między śląską ludnością i nie ma już znaczniejszego miasteczka, gdzie by takiej kasy nie było.³

Podobnych przykładów można przytoczyć wiele, a wszystkie wskazują wyraźnie, że idee ruchu spółdzielczego przenikały na Śląsk Cieszyński z różnych ośrodków, przy czym nie wszystkie odegrały jednakową rolę w tym procesie. Wiadomo bowiem, że z przyczyn obiektywnych częstotliwość i nasilenie kontaktów działaczy cieszyńskich z poszczególnymi dzielnicami Polski nie były równomierne. Najlepiej współpraca rozwijała się z Galicją, z którą działacze cieszyńscy utrzymywali wielostronne kontakty m.in. przez organizowanie wycieczek do Krakowa i Lwowa, wspólnych uroczystości narodowych, odczytów, przedstawień itp. Łatwość nawiązywania kontaktów w obrębie zaboru, w którym spółdzielczość miała już swe tradycje, wpłynęła niewątpliwie na przenoszenie idei spółdzielczych na Śląsk Cieszyński.

Znawca zagadnień spółdzielczości S. Wojciechowski uważa, że Kraków odegrał decydującą rolę w powołaniu do życia Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie. Stwierdza on: *właściwymi pionierami kredytu w całym kraju (zaborze austriackim) stały się dwa towarzystwa zaliczkowe: jedno założone w Krakowie w 1869 r. i drugie we Lwowie w 1871 r.. Pod bezpośrednim wpływem pieruszego powstały towarzystwa zaliczkowe w Dąbrowie, Gorlicach, Rzeszowie, Samborze, Sanoku, a w 1873 r. bardzo ruchliwe Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie.*⁴

Głównym motywem starań o utworzenie polskiej instytucji finansowej na Śląsku Cieszyńskim była potrzeba przyjsia z pomocą kredytową rozwijającemu się rolnictwu, rzemiosłu i kupiectwu, a także chęć uwolnienia społeczeństwa od szerzącej się bezwzględnej lichwy oraz pragnienie uniezależnienia ludności polskiej od niemieckich i czeskich instytucji finansowych.

Z uwagi na rolniczy charakter Śląska Cieszyńskiego pierwszorzędne znaczenie miały potrzeby wsi, która w drugiej połowie XIX wieku podejmowała wysiłki zmierzające do podniesienia poziomu rolnictwa, lecz napotykała na tej drodze ogromne trudności. Przez blisko sto lat jedyną formę pomocy dla chłopów stanowiły tzw. fundacje kontrybucyjne (1788—1869), w ramach których rolnik mógł w tej trudnej sytuacji zaciągnąć pożyczkę zbożową.⁵ Jej zwrot następował zwykle po najbliższych żniwach, przy czym odsetki wynosiły od $\frac{1}{8}$ do $\frac{1}{2}$ ilości pożyczonego zboża.⁶ W roku 1869 zniesiono fundacje zbożowe i zastąpiono je funduszem pieniężnym. Odtąd stał się on głównym źródłem kredytu dla rolnictwa. Na cele te przeznaczono jednak zbyt skromne fundusze, które nie mogły w pełni zaspokoić potrzeb wsi.⁷ W dążeniu do rozwiązania tych problemów i zapewnienia prawidłowego rozwoju gospodarczego ziemi cieszyńskiej miejscowi działacze podjęli starania zmierzające do utworzenia własnej, samodzielnej i niezależnej organizacji, która skoncentrowałaby swoją działalność na problemie podnoszenia poziomu miejscowego rolnictwa. Instytucją taką po wielu latach zabiegów stało się Towarzystwo Rolnicze, założone w 1869 roku, które z czasem położyło wielkie zasługi na polu krzewienia oświaty i kultury rolnej na interesującym nas terenie.⁸ Następnie podjęto starania, aby Towarzystwo Rolnicze mogło świadczyć swoim członkom również pomoc finansową. Potrzebę tę dostrzegła również „Gwiazdka Cieszyńska”, wysuwając pod adresem Towarzystwa następujący postulat:

Towarzystwo powinno jak najszybciej starać się o założenie rolniczej kasy pożyczkowej, aby drobnym posiadaczom ułatwić możliwość zaciągania małych

³ „Gwiazdka Cieszyńska”, nr 34 z 21 VIII 1869, s. 273.

⁴ S. Wojciechowski: *Historia spółdzielczości polskiej do 1914 r.* Warszawa 1939, s. 100.

⁵ „Przyczynek do historii ruchu spółdzielczego na Śląsku Cieszyńskim” (w:) 12 wykładów wygłoszonych na kursie spółdzielczym w Cieszynie w 1929 roku (Cieszyn) br. wyd., s. 39 (dalej 12 wykładów).

⁶ Ibidem.

⁷ Ibidem.

⁸ J. Chlebowczyk: *Nad Olzą*. Katowice 1971, s. 56.

pożyczek.⁹ Władze robiły jednak wszystko, aby te wysiłki zniweczyć. Czyniono np. przeszkody natury prawnej, a jeśli te udało się pokonać, żądano tłumaczenia proponowanego statutu na język niemiecki, by następnie zgłaszać różnego rodzaju zastrzeżenia i zwracać z odpowiedzią. W końcu po wielu miesiącach zabiegów statut odrzucano, a organizatorów powiadamiano o odmowie władz. Te kłopoty najlepiej ilustruje artykuł zamieszczony na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej” w którym m.in. czytamy: „Kasa pożyczkowa, którą tutejsze Towarzystwo Rolnicze chciało założyć, nie uzyskała zatwierdzenia statutów (...). Nareszcie w sprawie kasy pożyczkowej po odmówieniu w rządzie krajowym rekursowano aż do ministerstwa i ministerstwo zażądało niemieckiego tłumaczenia statutów, była więc nadzieja, w końcu jednak przysłała także odmowa.”¹⁰

Rozwojem życia narodowego i gospodarczego na Śląsku Cieszyńskim interesowali się rodacy z innych ziem polskich, a szczególnie z Galicji. Znalazło to wyraz w świadczeniu pomocy materialnej na rzecz rozwijającego się życia kulturalno — oświatowego czy w bezpośrednim udziale przedstawicieli Krakowa, Lwowa, Warszawy, Poznania, Prus Zachodnich, Litwy i Białorusi w uroczystościach i wiecach narodowych organizowanych na ziemi cieszyńskiej.¹¹ Goście ci służyli swoim doświadczeniem i udzielali pomocy miejscowym działaczom w rozwiązywaniu ważnych i trudnych problemów gospodarczych. Widząc potrzebę powołania do życia polskiej instytucji finansowej, jeden z wybitnych działaczy lwowskich sam zgłosił na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej” gotowość udzielenia pomocy w tym zakresie pisząc: *Ośmielam się częśc miłości przestać dla ukochanych naszych Ślązaków. Mianowicie proszę Ks. Dobr., by raczył do zakresu czytelnika dodać czynności kasy zaliczkowej (...). Zgodziwszy się z tą prośbą, Ks. Dobr. uczynisz lud śląski niezależnym od lichwy (...). Ja ze swej strony bezinteresownie, owszem z całą przyjemnością zajmę się wykonaniem całej pracy, której potrzeba do tego. Według żądania wszystkie druki, książki, książeczki skutecznie Wam we Lwowie lub Was poinformuję, jak je zrobić w Cieszynie.*¹²

Sprawie tej poświęcili wiele uwagi i czasu miejscowi działacze z ks. Leopoldem Otto i prawnikiem Hilarym Filasiewiczem na czele. Niewątpliwie mają oni duży udział w ostatecznym powołaniu do życia od dawna oczekiwanego i bardzo potrzebnego Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie. Potwierdza to Jan Kubisz w *Pamiętniku starego nauczyciela* pisząc: *Pamiętam dobrze te rozmowy w kwestii różnych potrzebnych u nas instytucji, które Ks. Otto w poufnym kółku swym domowym prowadził. Szczególnie, a bardzo starannie omawiano sprawę założenia Zaliczki: pamiętam jak Filasiewicz sprowadził Władysława Lecha, urzędnika bankowego z Krakowa, z nim nad założeniem Zaliczki pracował.*¹³

Tak więc powstanie Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek poprzedzone zostało gruntowną pracą przygotowawczą zarówno miejscowych działaczy, jak i sympatyków tych poczyniń z innych ziem polskich. Trzeba było przezwyciężyć opór i niechęć władz, zdobyć poparcie dla swych planów miejscowego społeczeństwa i zapewnić podstawy organizacyjne i materialne przyszłej instytucji finansowej. Wszystkie te trudności i przeszkody przezwyciężono, co było niewątpliwie zasługą ofiarnych działaczy, pracujących z uporem i poświęceniem.

Sprzyjające warunki do utworzenia od dawna oczekiwanej na Śląsku Cieszyńskim polskiej instytucji finansowej powstały dopiero po ukazaniu się specjalnej ustawy austriackiej o stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych z dnia 9 IV 1873 roku.¹⁴

⁹ „Gwiazdka Cieszyńska”, R. 1870, nr 11, s. 88.

¹⁰ Ibidem, R. 26, 1873, nr 24, s. 198.

¹¹ K. Popiołek: *Historia Śląska*. Katowice 1972, s. 266.

¹² „Gwiazdka Cieszyńska”, R. 26, 1873, nr 37 s. 298.

¹³ J. Kubisz: *Pamiętnik starego nauczyciela*. Cieszyn 1928, s. 221—222.

¹⁴ Statut Towarzystwa Zaliczkowego z nieograniczoną poręką zarejestrowanego, Bank Spółdzielczy w Cieszynie (dalej BS), s. 1.

Po ogłoszeniu tego dokumentu działacze przystąpili z energią do pracy, a jej efektem było przygotowanie podstaw organizacyjnych i ostateczne założenie Towarzystwa.

Pierwszy statut spółdzielni przyjęto na zebraniu konstytucyjnym w dniu 28 X 1873 roku. Składał się z ośmiu rozdziałów o charakterze ogólnym, a te z kolei w 59 paragrafach szczegółowo określały strukturę organizacyjną i zakres działania Towarzystwa, któremu nadano nazwę: „Towarzystwo Zaliczkowe w Cieszynie z nieograniczoną poręką zarejestrowane”. Jego siedzibę zlokalizowano w Cieszynie.

Do istotnych zadań Towarzystwa, wymienionych w statucie, należało udzielanie członkom pożyczek na umiarkowany procent z dogodnymi ratami spłat oraz ułatwianie im gromadzenia drobnych wkładów.¹⁵ Statut określał również szczegółowo warunki przyjęcia, wystąpienia oraz prawa i obowiązki członków. W dalszej kolejności ustalał uprawnienia lub narażenie instytucji na straty odpowiadali członkowie Dyrekcji solidarnie całym swoim majątkiem.

Działalnością Towarzystwa kierowała Dyrekcja, Rada Nadzorcza i Walne Zgromadzenie. Dyrekcja składała się z trzech osób, tj. referenta, kasjera i kontrolera, wybieranych na rok przez Walne Zebranie spośród członków bezwzględną większością głosów. Wybrani członkowie Dyrekcji zachowywali prawo ponownego kandydowania w roku następnym. Dyrekcja była uprawniona do załatwiania wszystkich spraw w imieniu Stowarzyszenia zgodnie z obowiązującym statutem i przepisami. Za przekroczenie uprawnień lub narażenie instytucji na straty odpowiadali członkowie Dyrekcji solidarnie całym swoim majątkiem.

Radę Nadzorczą, składającą się z jedenastu osób, wybierało również Walne Zgromadzenie bezwzględną większością głosów. Wybierała ona ze swojego grona przewodniczącego, zastępcę, sekretarza i jego zastępcę. Posiedzenia zwyczajne odbywała Rada co cztery tygodnie, a uchwały zapadały większością głosów. Przy równym podziale głosów decydowało zdanie przewodniczącego, który normalnie w głosowaniu nie brał udziału.

Walne Zebranie sprawowało ogólny nadzór nad działalnością Towarzystwa i było jego najwyższą władzą. Każde zebranie musiało być poprzedzone ogłoszeniem w prasie („Gwiazdka Cieszyńska”) na co najmniej tydzień przed przewidzianym terminem, z podaniem daty i porządku dziennego obrad. Zgromadzenie zwoływano raz w roku (w styczniu lub najpóźniej do końca lutego), a przewodniczył mu przewodniczący Rady Nadzorczej lub jego zastępca. Prawomocne uchwały podejmowano zwykłą większością głosów niezależnie od ilości obecnych członków. Do szczególnych uprawnień Zgromadzenia należał wybór Dyrekcji, Rady Nadzorczej i innych komisji niezbędnych do prawidłowej pracy Stowarzyszenia. Wszelkie uchwały Walnego Zgromadzenia obowiązywały całe Stowarzyszenie.

Energiczna i zdecydowana praca działaczy sprawiła, że pierwszy statut i rejestr członków Towarzystwa były przygotowane już 25 września, a członkowie powołanego do życia Zarządu podpisali te dokumenty 28 X 1873 roku.¹⁶ Działalność Stowarzyszenia poprzedziło zgłoszenie firmy w sądzie handlowym, po czym 22 XI 1873 roku nastąpiło oficjalne otwarcie jego biura w hotelu „Pod Złotym Wolem” w Cieszynie.¹⁷ Kierownictwo instytucji powierzono 3-osobowej dyrekcji w składzie: Franciszek Hillebrand — kontroler, Józef Klebinder — kasjer, Władysław Wacław Lech — referent oraz 11-osobowej Radzie Nadzorczej, do której weszli: Jan Buzek, Jerzy Buzek, Jerzy Cholewa, Jerzy Cienciała, Jerzy Czako, Jan Folwarczny, dr Bronisław Galecki, Jerzy Głajcar, Adam Habiński, Jan Stonawski (junior) i Jan Wisła.¹⁸ Początkowo Towarzystwo liczyło 122 członków. Pełny ich rejestr zawiera zachowany oryginał pierwszego statutu. Spotykamy w nim nazwiska zasłużonych działaczy narodowych oraz przyszłych działaczy Stowarzy-

¹⁵ Ibidem, s.1-3.

¹⁶ Ibidem, s.13-16.

¹⁷ „Gwiazdka Cieszyńska”, R. 26, 1873, nr 47, s. 382.

¹⁸ Statut Towarzystwa Zaliczkowego..., s. 13.

szenia, którzy przepracowali w różnych jego ogniwach dziesiątki lat i przyczynili się do rozwoju i dużych osiągnięć tej instytucji.

Towarzystwo oparło swoją działalność na ludności polskiej bez względu na różnice zawodowe czy pochodzenie społeczne.¹⁹ O narodowym charakterze instytucji i jej członków świadczy fakt posługiwania się polszczyzną jako językiem urzędowym. W języku polskim opracowano statut, ogłaszano drukowane sprawozdania Dyrekcji, sporządzano protokoły Rady Nadzorczej, prowadzono korespondencję, drukowano blankiety wekslowe, nadruki blankietów firmowych itp. Jednoznaczną wymowę mają również apele w prasie kierowane do ludności polskiej nawołujące do składania oszczędności w Towarzystwie jako instytucji narodowej, która część swych zysków przeznacza na cele publiczne służące ludności polskiej.

Pierwsze sprawozdanie z działalności Towarzystwa za okres od 22 XI 1873 — 31 XII 1874 zostało złożone na Walnym Zebraniu członków 23 I 1875 roku.

Mimo krótkiego okresu istnienia instytucja znacznie się rozwinęła i zanotowała spore sukcesy zarówno na polu działalności finansowej, jak i w zakresie liczebnego wzrostu członków. W okresie sprawozdawczym liczba członków wzrosła ze 122 do 257.

Życie wykazało, że idee spółdzielczości znalazły na Śląsku Cieszyńskim podatny grunt dla dalszego rozwoju, co wyraziło się m.in. w zakładaniu filii Towarzystwa w terenie (utworzono ich osiem) i w bardzo szybkim wzroście liczby jego członków oraz zasobów finansowych.

Członkowie Towarzystwa rekrutowali się w pierwszym rzędzie spośród ludności wiejskiej, co wynikało ze struktury zawodowej mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, a zwłaszcza ludności narodowości polskiej. Ich udział wahał się od 49,72% do 65,34% ogółu członków. Drugą po rolnikach poważną siłę stanowili rzemieślnicy, których liczba systematycznie rosła i osiągnęła od 18,30% do 25,61% liczby członków. Tę grupę przyciągała do spółdzielni potrzeba zdobycia pieniędzy na uruchomienie nowych warsztatów, modernizację starych, zakup narzędzi, surowca itp. Znacznie słabiej byli reprezentowani kupcy, którzy stanowili od 6,80% do 12,15% ogólnego stanu członków. Poniżej 10% członków stanowiła inteligencja i przedsiębiorcy. Do Towarzystwa należały również instytucje, stowarzyszenia, spółki, właściciele większych posiadłości i fabrykanci. Ich liczba była jednak niewielka i nie osiągnęła nawet 0,5% ogólnej liczby członków.

Towarzystwo było instytucją zraszającą ludzi o dużym stopniu zróżnicowania majątkowego, z tym że osób bogatych była znikoma ilość, a zdecydowaną większość stanowili właściciele realności miejskich lub wiejskich.

Po załatwieniu spraw o charakterze organizacyjnym, kolejnym problemem, który musieli rozwiązać założyciele Towarzystwa, było zabezpieczenie podstaw finansowych nowo utworzonej instytucji. Zasoby finansowe, z którymi Towarzystwo rozpoczęło działalność, były skromne i ograniczały się do kwot pochodzących z wpisowego członków i ich udziałów (razem ok. 3.500 zł waluty austriackiej). Była to suma zbyt szczupła, aby mogła zaspokoić zapotrzebowanie na kredyt i zapewnić instytucji prawidłowy rozwój. Te okoliczności skłoniły dyrekcję Towarzystwa do szukania środków finansowych poza terenem Śląska.

Otrzymano je w Krakowie. Dzięki pomocy Władysława Ludwika Anczyca uzyskano pożyczkę w wysokości 10.000 florenów w tamtejszym Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń, na którą weksel podpisali prezes pierwszej Rady Nadzorczej Jerzy Głajcar z Puńcowa i Jerzy Cienciała z Mistrzowic,²⁰ a dalszych 10.000 florenów otrzymano z Kasy Oszczędności w Krakowie.²¹

¹⁹ P. Bobek: *Przyczynek do historii ruchu spółdzielczego na Śląsku Cieszyńskim*, (w:) 12 wykładów..., s. 40.

²⁰ Sprawozdanie z posiedzeń Rady Nadzorczej Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek z 22 XI 1898 (dalej TOZ), BS, s. 230.

²¹ P. Bobek: *Przyczynek do historii ruchu spółdzielczego*, s. 42.

Na Walnym Zebraniu członków odbytym 30 V 1874 roku podjęto decyzję w sprawie korekty niektórych postanowień statutu. Jedną z nich dotyczyła zmiany dotychczasowej nazwy firmy na „Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie — stowarzyszenie zarejestrowane z nieograniczoną poręką”, inna natomiast rozszerzała prawo lokowania wkładów oszczędnościowych na procent również na osoby nie należące do Towarzystwa.²² Dzięki tej decyzji w tym roku wpłynęło do kasy blisko 11.000 zł w.a., a ogólna suma kapitału obrotowego wzrosła do 34.315 zł 50 centymów w.a. Pozwoliło to na udzielenie już w pierwszym roku działalności 262 pożyczek na łączną sumę 44.993 zł 89 ct w.a., ogólny obrót kasowy natomiast wyniósł 107.623 zł 74 ct w.a.²³

Sięgnięcie po kapitały obce w formie pożyczek oraz szybko wzrastające wkłady na procent pozwoliły instytucji stworzyć mocne i zdrowe podstawy do rozwinięcia ożywionej i owocnej działalności w latach następnych. Z każdym rokiem firma stawała się coraz zamożniejsza, a jej kierownictwo wzbogacało doświadczenie i doskonaliło umiejętności. Praca Towarzystwa przebiegała od początku bez większych zakłóceń tak ze strony Dyrekcji jak i członków, co rzuca korzystne światło na obu partnerów. Zaciągane pożyczki były zwracane w terminie, dzięki czemu uniknięto przykrych zatargów prawnych i innych konfliktów.

Pomyślne rezultaty i dobra atmosfera pierwszych lat pracy przyczyniły się do zdobycia zaufania społeczeństwa i rozszerzenia kręgu działalności Stowarzyszenia. Dodatkowym atutem, przyciągającym nowe rzesze członków, był umiarkowany jak na ówczesne stosunki procent pobierany od udzielanych pożyczek. Był on zróżnicowany i uzależniony od okresu, na jaki pożyczkę zaciągano, oraz od sposobu spłat. Początkowo od pożyczek zaciąganych na miesiąc i spłacanych jednorazowo pobierano 10%, na 2 miesiące 9%, na 3—6 miesięcy 8%, a na rok 7%. Od pożyczek spłacanych w ratach miesięcznych pobierano 6%, a od spłat przekazywanych w ratach kwartalnych 7% tytułem odsetek.²⁴

W miarę rozwoju Towarzystwa ulegały korzystnym zmianom warunki zaciągania pożyczek dzięki decyzjom Rady Nadzorczej, która wielokrotnie obniżała wysokość pobieranych odsetek. Nic dziwnego, że wzrastała liczba korzystających z usług Stowarzyszenia i rozszerzał się teren jego działania. Te okoliczności skłoniły kierownictwo do zakładania filii Towarzystwa w terenie z upoważnienia Walnego Zgromadzenia, które podejmowało w tej sprawie odpowiednie uchwały.²⁵

Pierwszą filię założono w Jabłonkowie (1875), a następne we Fryszacie (1876), Boguminie (1878), Skoczowie (1895), Dąbrowie (1900), Łazach (1903) — w ramach reorganizacji siedzibę tej ostatniej przeniesiono do Orłowej (1914). Jako ostatnie powstały filie w Suchej Górnej (1918) i w Trzyńcu (1918).²⁶ Zorganizowanie zakładu macierzystego i tworzenie jego filii w terenie było dużym osiągnięciem cieszyńskich działaczy, nieznanym w praktyce spółdzielczości galicyjskiej, a podyktowane było zarówno potrzebą doskonalenia metod działania, jak również koniecznością skutecznej rywalizacji z silniejszymi ekonomicznie spółdzielniami czeskimi i niemieckimi.²⁷

Było to także rezultatem inwencji oraz nieszablonowego sposobu myślenia i działania kierownictwa Towarzystwa, które dokładało starań, aby wyjść naprzeciw potrzebom społeczeństwa i być jak najbliżej klienta. Przez cały okres istnienia Stowarzyszenia zwracano wiele uwagi na poszukiwanie nowych i bardziej skutecznych form pracy, które z czasem pozwoliły instytucji rozwinąć szeroką działalność i dojść do bardzo pomyślnych wyników. O randze Towarzystwa najlepiej świadczy fakt, że przez

²² „Gwiazdka Cieszyńska”, R. 27, 1874, nr 21, s. 193.

²³ Sprawozdanie TOZ za okres 22 XI 1873 — 31 XII 1874, s. 2.

²⁴ Sprawozdanie z posiedzeń Rady Nadzorczej TOZ, z 27 XII 1873, s. 1.

²⁵ Sprawozdanie Dyrekcji TOZ za okres 1 I — 31 XII 1875, s. 3.

²⁶ Ibidem.

²⁷ *Zarys historii polskiego ruchu spółdzielczego do 1918 r.* Praca zbiorowa pod red. S. Ingłota, Warszawa 1966, s. 76.

wiele lat było ono według urzędowych statystyk największym spółdzielczym zrzeszeniem kredytowym w Austrii, a z jego wzorów i doświadczeń korzystały pokrewne stowarzyszenia polskie i zagraniczne.²⁸ Jego pozycję określa również wysoka liczba 7126 członków osiągnięta w 1912 roku, jak również wielomilionowe obroty roczne.

Osiągnięcie tak korzystnych rezultatów było wynikiem dalekowzrocznej polityki działaczy Towarzystwa, którzy, nie ograniczając się do własnego podwórka, bacznie śledzili rozwój ruchu spółdzielczego poza Śląskiem Cieszyńskim i chętnie nawiązywali kontakty z instytucjami finansowymi, zwłaszcza w Galicji. Wiele korzyści dało Stowarzyszeniu przystąpienie w 1877 roku, do Związku Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych we Lwowie, który stał się patronem zrzeszonych w nim kas zaliczkowych, troszczył się o zapewnienie swoim członkom taniego kredytu, ustalał zasady prowadzenia rachunkowości, ujednolicił księgowość, opracowywał wzory druków, przeprowadzał lustracje stowarzyszeń i udzielał porad dotyczących ich działalności. Wydawał też dla swoich członków pismo spółdzielcze „Związek”.²⁹ Na jego łamach ukazywało się wiele informacji, wskazówek i porad dotyczących pracy towarzystw. Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie jako członek Związku było wielokrotnie kontrolowane przez jego lustratorów, którzy z uznaniem wyrażali się o jego organizacji i osiągnięciach. Swoje opinie przekazywali kierownictwu Stowarzyszenia w bezpośrednich relacjach pokontrolnych, bądź przysyłali pochwały na piśmie. Niezależnie od nich kilkakrotnie ukazywały się wyróżnienia na łamach pisma związkowego. Potwierdzeniem tych ocen było przyznanie Towarzystwu złotego medalu na Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie w 1894 roku za dobrą organizację pracy, rozwój i skuteczną działalność.³⁰

Związek zwoływał co roku Walne Zgromadzenie delegatów stowarzyszeń, na którym dokonywano podsumowania działalności, dyskutowano nad doskonaleniem metod pracy, ustalano wytyczne, podejmowano decyzje i nawiązywano pożyteczne kontakty i współpracę. Wyrazem uznania dla Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek za dobrą pracę i osiągnięcia organizacyjne było zwołanie w Cieszynie przez władze Związku w dniach 6—8 XII 1891 r. Zjazdu przedstawicieli Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych, który stał się poważnym wydarzeniem w życiu Stowarzyszenia, miasta i społeczeństwa polskiego na Śląsku Cieszyńskim. Stąd wynikała troska gospodarzy o nadanie temu niecodziennemu spotkaniu należytej mu rangi, odpowiedniej oprawy i uroczystego charakteru. Miejscem obrad Zjazdu była sala hotelu „Pod Złotym Wolem”. Na zakończenie Zjazdu zorganizowano uroczyste spotkanie jego uczestników z wybitnymi przedstawicielami miejscowego społeczeństwa polskiego. W spotkaniu uczestniczyli posłowie: Ks. Ignacy Świeży, Jerzy Cienciała i dr Jan Michejda, przewodniczący i sekretarze towarzystw narodowych: Towarzystwa Rolniczego, Towarzystwa Pomocy Naukowej, Czytelni Ludowej, Macierzy Szkolnej, Sokoła, Domu Narodowego i po jednym przedstawicielu dyrekcji filialnych. Zatrószono się również o odpowiednią propagandę, zapraszając korespondentów pism lokalnych i zamiejscowych.³¹ Wprawdzie Zjazd poświęcany był głównie sprawom organizacyjnym, nie ulega jednak wątpliwości, że przyczynił się do dalszego zbliżenia, zacieśnienia współpracy, pogłębienia łączności i solidarności między bratnimi towarzystwami z Galicji i Śląska Cieszyńskiego.

Działalność licznych towarzystw i organizacji polskich na Śląsku Cieszyńskim w swej istocie miała charakter narodowy, społeczny lub kulturalny. W ramach tej działalności poczesne miejsce przypadło Towarzystwu Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie, które posługując się właściwymi dla tego typu instytucji formami działania, włączyło się czynnie do toczącej się walki narodowej, wnosząc do niej nowe, jakże ważne i liczące się elementy ekonomiczne. Początkowo możliwości oddziaływania na sprawy narodowe

²⁸ P. Bobek: *Przyczynek do historii ruchu spółdzielczego*, s. 42—43.

²⁹ *Zarys historii polskiego ruchu spółdzielczego*, s. 77.

³⁰ Sprawozdanie z posiedzenia Rady Nadzorczej TOZ, z dnia 22 XI 1898, s. 226.

³¹ *Ibidem*, 26 XI 1891, s. 98.

były ograniczone warunkami materialnymi i sprowadzały się głównie do akcentowania polskiego charakteru instytucji przez używanie języka przy załatwianiu spraw urzędowych, ogłaszania sprawozdań, zarządzeń, prowadzenia zebrań itp. Dopiero rozwój organizacyjny i wzrost osiąganych zysków pozwolił spółdzielni na systematyczne wspomaganie finansowe wszelkich poczynań mających na celu umocnienie gospodarcze oraz utrzymanie i rozwój żywiołu polskiego na Śląsku Cieszyńskim. Spółdzielnia osiągała w każdym roku odpowiednio wysokie zyski, które początkowo przeznaczała na fundusz rezerwowy, wypłacanie dywidendy, wynagrodzenie urzędników itp. Do wymienionego rejestru wydatków doszła w 1885 roku nowa stała pozycja „na cele publiczne”. Pierwsze kwoty przeznaczone na ten cel były skromne i zamykały się w granicach stu, a później kilkuset złotych w.a. W miarę rozwoju instytucji powiększano je systematycznie tak, że górna granica wydatków w tej pozycji wyniosła 5.200 k. (w 1912 r.). Pomoc udzielana ludności polskiej była wszechstronna i obejmowała prawie wszystkie dziedziny życia. Finansowało ono powstanie i działalność wielu towarzystw i placówek gospodarczych, kulturalnych, oświatowych i sportowych. Na listach korzystających z jego pomocy spotykamy również ludzi dotkniętych klęskami żywiołowymi, biedne dzieci, sieroty, starców, chorych w szpitalach itp. Towarzystwo przyczyniło się także do zorganizowania i utrzymania Związku Kółek Rolniczych w Cieszynie, który stał się centralą finansową polskich kas Raiffeisena na Śląsku Cieszyńskim,³² oraz Szkoły Gospodyń Wiejskich — bardzo potrzebnej i pożytecznej placówki dla ludności wiejskiej. Działalność i osiągnięcia Stowarzyszenia na tym polu były znane daleko poza Ziemią Cieszyńską. Świadczą o tym m.in. prośby o wsparcie finansowe spoza Śląska, w większości wypadków załatwiane pozytywnie. Poza nielicznymi przypadkami udzielania pomocy jednorazowej, zdecydowana większość wymienionych towarzystw, organizacji i instytucji korzystało z niej w sposób ciągły, otrzymując w każdym roku odpowiednie fundusze, dzięki którym mogły istnieć, działać i rozwijać się dla dobra polskiej ludności Śląska Cieszyńskiego.

Początek pierwszej wojny światowej przypadł na 41 rok istnienia Towarzystwa i należał do najtrudniejszych w jego dotychczasowej działalności. Zmniejszyły się znacznie obroty finansowe, w wielu dziedzinach zamarło życie gospodarcze z wyjątkiem tych gałęzi, które związane były z potrzebami państwa i wojny. Mimo wielu trudności spółdzielnia wyszła z nich obronną ręką. Początkowe zaniepokojenie spowodowane wybuchem wojny szybko ustąpiło, ludzie przystosowali się do nowych, zmienionych warunków, a życie powróciło do normy.

Decydujące znaczenie dla pracy i pozycji Stowarzyszenia w tym okresie działalności miała sytuacja ludności wiejskiej, stanowiącej trzon jego członków. W wyniku wzrostu cen na artykuły spożywcze rolnicy zdobywali sporą ilość gotówki, którą lokowali w kasie w formie oszczędności albo spłacali pożyczki zaciągnięte wcześniej. Posiadanie przez chłopów własnych funduszy, zastój w budownictwie, inwestycjach gospodarczych i innych dziedzinach wpłynęły w sposób decydujący na spadek zapotrzebowania kredytu. Nawet obniżenie stopy procentowej z 8—7,5% nie przyniosło większej poprawy na tym polu.

Bardzo ożywiony ruch panował natomiast w dziale wkładów oszczędnościowych, które systematycznie rosły i osiągnęły nie notowane dotąd rozmiary. W tej sytuacji spółdzielnia musiała lokować nadmiar gotówki w papierach wartościowych lub w innych bankach. Proces ten pogłębiał się z upływem czasu, gdyż łatwość zdobywania pieniędzy pozwalała na szybkie spłacanie długów zaciągniętych wcześniej. Bardzo często rezygnowano z możliwości spłat ratalnych i zwracano przedterminowo całe pożyczki. Naturalną konsekwencją tego zjawiska był spadek liczby członków, którzy dotąd wstępowali do Towarzystwa ze względu na możliwość otrzymania kredytu. W nowych warunkach taka potrzeba prawie nie istniała i stąd liczba członków spadła z 7.126 w roku

³² M. Wołny: *85-lecie Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowej w Cieszynie* (w:) *Poradnik Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowych*, nr 18, 1958, s. 3.

1912 do 5.123 w roku 1919. Początek wojny poważnie zachwiał pozycję Stowarzyszenia i mimo podejmowania wielu wysiłków nie udało się przywrócić jego dawnej świetności. Mimo to Towarzystwo prowadziło nadal swoją działalność i osiągało pozytywne wyniki. Ten fakt jest kolejnym świadectwem silnej i ugruntowanej przed wojną jego pozycji, dzięki której zwycięsko przetrwało ten trudny okres i kontynuowało nieprzerwanie swoje dzieło do chwili podziału Śląska Cieszyńskiego między Polskę i Czechosłowację.

W 1919 roku Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego wystąpiła z projektem utworzenia silnej instytucji finansowej na Śląsku Cieszyńskim w postaci akcyjnego banku polskiego. W jego skład miały wejść cztery spółdzielcze instytucje finansowe: Bank Cieszyński Kredytowy, Bank Rolniczy, Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek, oraz Związek Spółek Rolniczych. Kierownictwa wymienionych banków podjęły działania organizacyjne, opracowały statut przyszłego banku akcyjnego, nawiązały liczne kontakty z polskimi instytucjami bankowymi, odbyły wiele narad i dyskusji. W końcu jednak zrezygnowano z realizacji tego projektu.³³ W tej sytuacji Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek zachowało swój spółdzielczy charakter organizacyjny i prowadziło nadal dotychczasową działalność.

Nowy i trudny etap działalności Towarzystwa, przypada na okres podziału Śląska Cieszyńskiego. Ustalenie granicy polsko-czechosłowackiej sprawiło, że po stronie polskiej pozostała centrala spółdzielni w Cieszynie i filia w Skoczowie. Natomiast filie w Boguminie, Dąbrowie, Frysztacie, Jabłonkowie, Orłowej, Suchej Górze i Trzyńcu, znalazły się po stronie czechosłowackiej. W tej trudnej i skomplikowanej sytuacji, na prośbę Zarządu Towarzystwa, rządy Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Czechosłowackiej wyraziły zgodę, na pięcioletnie wspólne prowadzenie instytucji.³⁴ Okres ten miał być przeznaczony na przygotowanie i ustalenie zasad podziału Towarzystwa na dwie odrębne i niezależne od siebie instytucje, oraz uregulowanie spraw majątkowych. Załatwienie tych ostatnich sprawiło wiele kłopotów i było powodem różnic poglądów wśród członków Towarzystwa po obu stronach granicy. Ostatecznie ustalono że $\frac{2}{3}$ majątku przypadnie filiom po stronie czechosłowackiej, a $\frac{1}{3}$ stronie polskiej. Z ogólnej liczby członków, która wynosiła 5197 osób, 1711 przypadło stronie polskiej, a 3486 — czechosłowackiej.³⁵ Ustalono również, że każda ze stron ma obowiązek prowadzenia własnego biznesu. Trudności gospodarcze i polityczne pierwszych powojennych lat wycisnęły silne piętno na działalności Towarzystwa po polskiej stronie. Posiadane przez spółdzielnię fundusze utraciły wskutek dewaluacji swoją wartość. Dewaluacji uległy również wkłady, stąd wystąpił dotkliwy brak kapitału obrotowego. Wymienione czynniki wpłynęły na katastrofalny wynik gospodarki spółdzielni w 1921 roku, który przyniósł straty w wysokości 222.002,89 marek polskich.³⁶ Biorąc pod uwagę złe wyniki gospodarcze 1921 roku, Zarząd Towarzystwa zrezygnował ze złożenia sprawozdania rocznego wobec Walnego Zgromadzenia członków i postanowił złożyć je po okresie dwuletnim, zakładając że rok następny przyniesie korzystne wyniki gospodarcze. Zgodnie z przewidywaniami bilans za 1922 r. został zamknięty kwotą 34.410,646 mkp. zysku, ale sytuacja finansowa Towarzystwa była nadal trudna i wymusiła podjęcie przez Walne Zgromadzenie decyzji o podwyższeniu po stronie polskiej najmniejszego udziału z 200 na 10.000 mkp., oraz opłaty wstępnej z 10 na 1000 mkp.³⁷ Aby zwiększyć zasoby finansowe i pełniej zaspokoić potrzeby pożyczkobiorców, Zarząd otrzymał pożyczkę od Pocztowej Kasy Oszczędności, a za pośrednictwem i poręką Polskiego Banku Krajowego pożyczkę sanacyjną w wysokości 350 milionów mkp., oraz pomoc w ramach akcji sanacyjnej.³⁸ Rok 1923 był ostatnim trudnym okresem działalności Towarzystwa

³³ Sprawozdanie TOZ za rok: 1918 i 1919, s. 4.

³⁴ Ibidem, za rok 1920, s. 3.

³⁵ „Dziennik Cieszyński”, nr 205, 11 IX 1921, s. 1.

³⁶ Sprawozdanie TOZ za lata 1921, 1922, 1923. s. 4.

³⁷ Ibidem, s. 11.

³⁸ Ibidem, s. 3.

przed reformą walutową w Polsce. Był on zarazem kolejnym rokiem zmniejszenia się stanu posiadania Stowarzyszenia i jego środków obrotowych. W końcowej fazie roku wystąpił dalszy wzrost inflacji marki co spowodowało, że własny majątek Towarzystwa jak i powierzony, prawie przestał istnieć.³⁹ Proces inflacyjny został powstrzymany dopiero w pierwszej połowie 1924 roku po wprowadzeniu reformy walutowej. W tym czasie powołano do życia nową instytucję emisyjną: Bank Polski. Markę polską wymieniano na złoty w stosunku 1 złoty = 1.800 tys. mkp. Wartość nowego pieniądza odpowiadała $\frac{9}{31}$ g czystego złota.⁴⁰ Stabilizacja waluty zaczęła korzystnie zmieniać sytuację finansową Towarzystwa. Mimo niekorzystnej sytuacji w gospodarce w postaci klęski nieurodzaju w rolnictwie i zastoju w przemyśle, powoli ale systematycznie wzrastały oszczędności ludności w polskich instytucjach finansowych w tym również w Cieszyńskim Towarzystwie. Mimo korzystnych zmian sytuacja finansowa spółdzielni nie była na tyle dobra, by mogła w pełni zaspokoić potrzeby kredytowe swoich klientów. Dlatego dyrekcja podjęła starania i uzyskała pożyczki w kilku bankach m.in. w Banku Polskim w Bielsku, w Państwowym Banku Rolnym w Warszawie, Banku Związku Spółek Zarobkowych w Krakowie, w Pocztowej Kasie Oszczędności i Pożyczek w Warszawie, oraz w Banku Gospodarstwa Krajowego w Cieszynie.⁴¹ Z uzyskaniem pożyczek nie było trudności bo Towarzystwo znane było w środowisku finansowym jako godny zaufania partner, znany z terminowych spłat pożyczek, zaciąganych wcześniej. Wynik działalności w pierwszym roku stabilizacji walutowej mimo usilnych starań okazał się bardzo skromny i osiągnął po stronie polskiej 1316,02 zł zysku.

Znacznie lepsze warunki pracy i rozwoju miały w tym samym czasie filie po stronie czechosłowackiej m.in. dzięki ustaleniu przez władze wartości własnej waluty. W tej sytuacji spółdzielnie mogły normalnie pracować, mimo panującej drożyzny. Początkowo wypracowany zysk był niewielki i wyniósł za 1921 rok 139,21 kcz., a w 1922 roku 571,83 kcz. W październiku 1922 roku przeniesiono filię z Suchej Górnej do Czeskiego Cieszyna z zamiarem przekształcenia jej w przyszłą centralę samodzielnego Towarzystwa po stronie czechosłowackiej.⁴² Kolejne lata przyniosły na Zaolziu dalsze korzystne zmiany w postaci stabilizacji wartości korony, która spowodowała szybki przyływ kapitału obrotowego w postaci wkładów oszczędnościowych. Obniżyły się też koszty związane z utrzymaniem i działalnością filii, dzięki czemu nadwyżkę finansową można było przeznaczyć na wypłaty dywidendy od udziałów i powiększenie funduszy rezerwowych. Udało się również w pełni zaspokoić zapotrzebowanie na kredyt w takich dziedzinach jak rolnictwo, drobny przemysł, handel oraz spółki gospodarczo-zarobkowe.⁴³ W ciągu ostatnich trzech lat systematycznie rósł kurs korony na rynku finansowym, co, obok innych przyczyn, spowodowało stagnację w życiu gospodarczym Republiki Czeskiej. Jej efektem był upadek wielu warsztatów pracy oraz kilku finansujących je instytucji bankowych. Filie Towarzystwa Oszczędności i Żaliczek nie poniosły w tym czasie żadnych strat, dzięki odpowiedzialnej pracy urzędników i zachowaniu ostrożności w udzielaniu pożyczek.⁴⁴ Pierwsza połowa 1924 roku była okresem dużego napływu oszczędności i nadmiaru gotówki. W drugiej połowie roku nastąpiło znaczne osłabienie napływu oszczędności. Przyczyną tej zmiany były parcelacja większych majątków rolnych, rozwój budownictwa, obniżenie się zarobków, zwłaszcza w przemyśle węglowym, i drożyzna. W tej sytuacji istniało duże zapotrzebowanie na kredyt, którego filie nie były w stanie w pełni zaspokoić. Ogólny wynik tych dwóch ostatnich lat był jednak pomyślny, zyski wyniosły za 1923 rok 38.460,57, a za

³⁹ Ibidem, za rok 1924, s. 3.

⁴⁰ *Zarys historii polskiego ruchu spółdzielczego, część II 1918—1939*. Zakład Wydawnictw CRS Warszawa 1967, s. 17.

⁴¹ Sprawozdanie TOZ za rok 1925, s. 3.

⁴² Ibidem, za rok 1921 i 1922, s. 3.

⁴³ Ibidem, za rok 1923, s. 3.

⁴⁴ Ibidem, s. 3.

1924 rok 61.085,20 koron. Pozwoliły one na rozpoczęcie budowy nowej siedziby dla filii w Trzyńcu i na otwarcie bardzo potrzebnej ekspozytury w Karwinie.⁴⁵

Korzystne zmiany, zapoczątkowane po stronie polskiej przez reformę walutową, widoczne były wyraźnie w pierwszym półroczu 1925 roku. Na początku drugiej połowy roku pojawiły się pierwsze oznaki spadku wartości złotego i wystąpiły inne niekorzystne zjawiska. Ich efektem było nie tylko zahamowanie napływu wkładów oszczędnościowych, ale na domiar złego zaczął wzrastać proces wycofywania znacznej części wkładów oszczędnościowych, spowodowany obawą przed dalszym spadkiem wartości złotego, jak i zwiększonym zapotrzebowaniem na gotówkę. W tych warunkach Towarzystwo zaczęło odczuwać brak środków pieniężnych i nie mogło w pełni zaspokoić potrzeb swoich klientów. Dlatego wzorem lat ubiegłych sięgnęło po kredyty gotówkowe w innych bankach i w ten sposób rozwiązało swoje trudności. Najliczniejszą grupą korzystającą z kredytów byli rolnicy, którym tego rodzaju pomoc była najbardziej potrzebna.⁴⁶

W czeskiej części Śląska Cieszyńskiego utrzymywały się nadal negatywne zjawiska ekonomiczne jak zastój w przemyśle, ujemne wyniki w rolnictwie, dalsze ograniczenia pracy w górnictwie i brak możliwości zatrudnienia w innych gałęziach gospodarki. Te uwarunkowania wywarły ujemny wpływ na działalność Towarzystwa w Czechosłowacji. Równocześnie jednak wzrastał kapitał obrotowy w postaci udziałów, funduszu rezerwowego i wkładów oszczędnościowych, dzięki którym czysty zysk w 1925 roku wyniósł 61.273,59 koron.⁴⁷ Był to zarazem ostatni rok wspólnej działalności w ramach centrali Towarzystwa dla polskiej i czechosłowackiej części. W roku następnym na nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu wszystkich członków, zwołanym, 27 XI 1926 roku w Czeskim Cieszynie, podjęto ostateczną decyzję o podziale Towarzystwa na dwie samodzielne instytucje. Odtąd rozpoczęło swoją działalność Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek z siedzibą w Czeskim Cieszynie jako samodzielna instytucja w Republice Czechosłowackiej.⁴⁸

Rok 1926 był okresem wyraźnej poprawy sytuacji gospodarczo-społecznej w Polsce. Złożyły się na nią zarówno czynniki zewnętrzne jak i wewnętrzne, w tym trwałe wejście polskiego eksportu węgla na rynki skandynawskie, pozytywne skutki wojny celnej z Niemcami oraz napływ kapitału zagranicznego. Nastąpiła też stabilizacja waluty i ogólne ożywienie gospodarcze. W tej sytuacji rozpoczął się pomyślny okres rozwoju Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie, który trwał nieprzerwanie przez kilka następnych lat. W tym czasie wzrasta liczba członków, notuje się duży wzrost udziałów i wkładów oszczędnościowych. Dzięki stałemu napływowi kapitału Towarzystwo mogło z własnych środków zaspokoić w pełni zapotrzebowanie na kredyt. Otrzymywane pożyczki przeznaczano najczęściej na zakup inwentarza żywego, maszyn i narzędzi rolniczych oraz na budownictwo mieszkalne i gospodarcze. W tym pomyślnym okresie utworzono w 1928 roku nowy Oddział Towarzystwa w Chybiu.

Wielki kryzys gospodarczy, który rozpoczął się w 1929 roku i ogarnął wszystkie dziedziny życia gospodarczego, chwilowo nie zahamował rozwoju spółdzielni, która w 1930 roku osiągnęła najwyższą liczbę członków. Jego ujemne skutki ujawniły się jednak w 1931 roku i spowodowały spadek liczby członków. Na przestrzeni siedmiu kolejnych lat ich liczba zmniejszyła się z 3570 w 1931 do 1603 w końcu 1938 roku.⁴⁹ Najgorszym dla instytucji okazał się rok 1935. Kryzys spowodował wtedy ogólne zubożenie obywateli, przez co obniżyła się do minimum zdolność płatnicza dłużników, przy równoczesnym wzroście wycofywania wkładów. Te przyczyny spowodowały, że bilans za 1935 rok zamknęto stratą 199.704,32 zł. Dopiero w 1936 roku nastąpiła

⁴⁵ Ibidem, za rok 1924, s. 3.

⁴⁶ Ibidem, za rok 1925, s. 3.

⁴⁷ Ibidem, s. 17.

⁴⁸ Ibidem, za rok 1926, s. 4.

⁴⁹ Na podstawie sprawozdań TOZ nr 58—65.

ogólna poprawa sytuacji gospodarczej w Polsce. Nastąpiło ożywienie w rolnictwie, dzięki wzrostowi cen zbóż na rynku światowym. W przemyśle wzrastała produkcja w związku z ożywieniem ruchu inwestycyjnego w rolnictwie, przemyśle i w budownictwie mieszkaniowym. Te zmiany wpłynęły korzystnie na sytuację finansową spółdzielni, która w latach 1936—1938 uległa, po trudnym okresie kryzysu, pozytywnym zmianom, ale nie uzyskała poziomu z okresu przedkryzysowego. Osiąganie korzystnych wyników w ostatnich latach okresu międzywojennego utrudniały Towarzystwu nie tylko warunki ekonomiczne kraju, ale również polityka władz państwowych, które nie były nastawione przychylnie do ruchu spółdzielczego. Również konkurencja z silnymi i uprzywilejowanymi bankami państwowymi nie ułatwiała zadania.⁵⁰ Mimo wielu trudności, Towarzystwo również w okresie międzywojennym odegrało jednak znaczącą rolę w życiu gospodarczym i społecznym ziemi cieszyńskiej.

Z chwilą wkroczenia do Cieszyna w 1939 roku wojsk hitlerowskich, działalność Towarzystwa została zawieszona, a prawie wszystkie księgi i akta wywiezione. Jedyne część dokumentów o charakterze historycznym zdołał ocalić i ukryć ówczesny dyrektor spółdzielni Jerzy Kubisz. Cały majątek ruchomy i nieruchomy został przejęty przez okupanta i wykorzystany do urządzenia własnych urzędów i instytucji.⁵¹ Tak więc doszło do przerwania na kilka lat działalności instytucji finansowej, która przez dziesiątki lat dobrze służyła mieszkańcom ziemi cieszyńskiej i niosła im pomoc w rozwiązywaniu ich problemów, nie tylko ekonomicznych.

Bezpośrednio po wyzwoleniu Cieszyna, w maju 1945 roku, nie było warunków do reaktywowania działalności Towarzystwa z uwagi na brak lokalu, podstawowego sprzętu, dokumentacji i pieniędzy. Stąd dopiero po upływie kilku miesięcy dyr. Jerzy Kubisz w porozumieniu z kilkoma członkami Rady Nadzorczej zwołał na 16 grudnia 1945 roku Walne Zgromadzenie, które w obecności dziesięciu członków podjęło decyzję o reaktywowaniu Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek Banku Spółdzielczego z nieograniczoną odpowiedzialnością w Cieszynie z dniem 1 stycznia 1946 roku. Wybrano również (częściowo zaocznie) dziesięciu członków Rady i spośród jej składu wyłoniono trzysobową Radę Nadzorczą w składzie: Karol Gryc — przewodniczący, Jan Białoń — zastępca przewodniczącego, Alojzy Gembala — sekretarz.

Z kolei Rada Nadzorcza dokonała wyboru trzysobowego Zarządu, w skład którego weszli: Józef Wilczek, Jerzy Kubisz, Ewa Szurman.

W wyniku podjętych starań Zarządu Towarzystwo otrzymało na początku stycznia własny lokal, który wyposażono m.in. w odzyskane maszyny do pisania i kilka niezbędnych mebli. Początkowy okres działalności był trudny i sprowadzał się głównie do poszukiwania gotówki. W związku z tym postanowiono odzyskać pożyczki zaciągnięte w Banku przed wojną. Realizacja takiego rozwiązania okazała się zawodna, bo dłużnikami byli przeważnie rolnicy, których gospodarstwa ucierpiały, bądź uległy całkowitemu zniszczeniu w wyniku przedłużających się działań wojennych na Śląsku Cieszyńskim. W tej sytuacji podjęto starania o uzyskanie kredytu, który otrzymano z Banku Gospodarstwa Spółdzielczego w Katowicach w marcu 1946 roku, w wysokości 300 tysięcy złotych.⁵² Odtąd rozpoczyna się faktyczna, początkowo ograniczona ze względu na posiadane środki, działalność kredytowa Banku. W 1947 roku dochodzi do połączenia Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek ze Związkiem Spółek Rolniczych w Cieszynie, a uchwały w tej sprawie podjęły Walne Zgromadzenia obu instytucji 15 marca 1947 roku. Połączenie majątku obu partnerów tylko nieznacznie wzmocniło pozycję finansową Banku. Dlatego sięgnięto po kredyt; otrzymano go ponownie w 1948 roku w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego w Katowicach, w wysokości trzech milionów złotych. Koniec lat czterdziestych upłynął pod znakiem częstych zmian

⁵⁰ „Głos Stanu Średniego”, nr 13 z 27 III 1937.

⁵¹ Księga pamiątkowa wydana z okazji 100. rocznicy powstania TOZ, s. 43.

⁵² Ibidem, s. 45.

organizacyjno-prawnych spółdzielczych instytucji finansowych, a ich celem było ograniczanie samorządowo-społecznego charakteru sektora spółdzielczego. W 1948 roku wprowadzono w życie nowy statut spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowych, w związku z czym cieszyńskie Towarzystwo stało się bankiem z ograniczoną odpowiedzialnością i zostało przypisane do Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rzeczypospolitej Polskiej. W tym samym roku, 25 października, wszedł w życie dekret o reformie bankowej, który związał ściśle spółdzielczość oszczędnościowo-pożyczkową z państwowym systemem bankowym, któremu przewodził Narodowy Bank Polski. Na ten okres przypada również zmiana nazwy SOP na Gminną Kasę Spółdzielczą, a jej centralą stał się Bank Rolny. Kolejna decyzja wprowadziła obowiązek ścisłej rejonizacji dla działalności Kas.⁵³

Do podstawowych zadań GKS należało udzielanie pożyczek właścicielom mało- i średniorolnych gospodarstw na potrzeby związane z produkcją rolną oraz przyjmowanie wkładów oszczędnościowych i prowadzenie rachunków bieżących. Do tej działalności doszły nowe zadania jak obsługa kontraktacji na płody rolne i bydło, prowadzenie rachunków plantatorów i rozliczeń z instytucjami kontraktującymi. Te zadania pociągały za sobą obowiązek otwierania i prowadzenia punktów kasowych we wszystkich wyznaczonych gminach. W 1950 roku Oddział NBP w Cieszynie przekazał GKS do prowadzenia rachunki bieżące osób prywatnych, a następnie transfery zarobków pracujących w Czechosłowacji Polaków. W 1951 roku GKS otrzymała nową siedzibę w centrum Cieszyna, co wpłynęło chwilowo na ożywienie działalności i zwiększenie obrotów. Ten stan zmienił się już w 1952 roku, kiedy do lokalu GKS dokwaterowano założony w Cieszynie Oddział PKO. Od tej pory przyjmowane wkłady oszczędnościowe, decyzją władz, lokowane były wyłącznie na rachunku PKO. To spowodowało, że wkłady oszczędnościowe w GKS wykazały w 1956 roku stan zerowy. Następna decyzja zmusiła GKS do przekazania PKO w 1953 roku rachunków bieżących. W tym samym roku NBP przejęła patronat nad GKS i uzależniło je od siebie pod względem organizacyjnym, finansowym i kontrolnym. Taki układ utrzymał się do 1956 roku.⁵⁴

Z podanych przykładów widać wyraźnie, że do 1956 roku Bank nie miał możliwości rozwinięcia działalności finansowej na szerszą skalę. Jego poczynania były stale ograniczone i pozbawione swobody działania, w konsekwencji czego nie osiągał wyników na miarę zamierzeń kierownictwa i ofiarnych działaczy.

W 1956 roku, po VIII Plenum KC PZPR, władze poświęciły wiele uwagi sprawom rolnictwa. Przyjęto więc program, który zakładał szybki wzrost produkcji rolnej. Określoną rolę w jego realizacji miały odegrać spółdzielnie oszczędnościowo-pożyczkowe, dla których opracowano nowy statut. Rozszerzał on znacznie zakres działania SOP, a GKS przemianowano na Kasy Spółdzielcze, które uzyskały prawo przyjmowania wkładów oszczędnościowych i prowadzenia rachunków bieżących organizacji politycznych, zawodowych i społecznych oraz osób prywatnych. Dla rolników stworzono korzystniejsze warunki otrzymywania kredytu.⁵⁵ Również organy samorządowe, jak Walne Zgromadzenie, Rada Kasy i Zarząd otrzymały poszerzone uprawnienia. Do kierowania działalnością SOP w skali kraju, powołano do życia Związek Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowych w Warszawie z oddziałami w każdym województwie. Długoletni zasłużony dla spółdzielczości działacz z Cieszyna dyr. Jerzy Kubisz został członkiem Rady Związku i przewodniczącym Rady przy Oddziale Wojewódzkim

⁵³ Protokół z Walnego Zgromadzenia członków Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowych z dnia 25 czerwca 1950, s. 23.

⁵⁴ Ibidem, s. 23.

⁵⁵ Protokół z Walnego Zgromadzenia Delegatów Gminnej Kasy Spółdzielczej z dnia 10 czerwca 1956, s. 62.

w Katowicach.⁵⁶ Duże znaczenie dla działalności SOP miał I Krajowy Zjazd Delegatów, który odbył się w Warszawie w sierpniu 1957 roku. Wytoczył on główne kierunki działania SOP i stworzył warunki do wszechstronnego i dynamicznego rozwoju spółdzielczości oszczędnościowo-pożyczkowej. Centrala Związku i Oddział Wojewódzki rozpoczęły działalność 1 stycznia 1958 roku. Dyrektorem tego ostatniego został Marian Wolny, który sprawował tę funkcję przez wiele następnych lat.⁵⁷

Kasa Spółdzielcza w Cieszynie obejmowała swoim działaniem ogrócz miasta gromady: Cieszyn, Hażlach, Ogrodzona, Pastwiska, Pogwizdów i Puńców. Na terenie wymienionych gromad znajdowało się 6946 ha użytków rolnych, na których prowadzono 3804 gospodarstw, wśród których najwięcej było gospodarstw do 2 hektarów. Kasy współpracowały również z gospodarstwami uspołecznionymi i organizacjami, które działały na rzecz rolnictwa w skali lokalnej i powiatowej. Do rozwoju wsi i ożywienia rolnictwa w tym okresie przyczyniły się w znacznej mierze spółdzielcze instytucje finansowe. Stąd wzrastało zainteresowanie ich działalnością, które zaowocowało wzrostem liczby członków i wnoszonych przez nich udziałów oraz wzrostem obrotu i dochodu. Dynamika rozwoju SOP w latach 1956—1971 była wysoka i uwidoczniła się szczególnie wyraźnie we wzroście liczby członków, udziałów, wkładów oszczędnościowych i udzielonych kredytów, co obrazuje niżej podane zestawienie.⁵⁸

Lata	Ilość członków	Fundusz udziałowy	Wkłady oszczędnościowe	Kredyty udzielone
1956	926	50,7	0	803,7
1971	2469	449,0	23961,7	8150,3

Podane kwoty ujęto w tys. zł.

Rok 1975 przyniósł zmiany o charakterze administracyjnym, w ramach których nastąpiła likwidacja powiatów i utworzenie nowych województw. Nie ominęły one również sektora bankowego, który objęty został kolejną reorganizacją na mocy ustawy z 12 czerwca 1975 roku o prawie bankowym. Na jej podstawie z połączenia Banku Rolnego i Centralnego Związku Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowych powstał Bank Gospodarki Żywnościowej i jego oddziały wojewódzkie, przy czym ten ostatni stał się centralą banków spółdzielczych pod względem finansowym, organizacyjnym i rewizyjnym. Banki spółdzielcze w nowych warunkach organizacyjnych rozszerzyły swoją działalność, wzmocniły się ekonomicznie i wzbogaciły bazę lokalowo-techniczną.⁵⁹ Okazało się jednak, że w miarę upływu czasu centrala coraz większą uwagę zwracała na działalność ekonomiczną zapominając o spółdzielczym i samorządowym charakterze instytucji bankowych.

Główna uwaga Banku Spółdzielczego w Cieszynie skupiła się w omawianym okresie na obsłudze finansowej potrzeb rolnictwa nieuspołecznionego, w tym poczynania związane z wprowadzeniem gospodarstw specjalistycznych, jednostek gospodarki nieuspołecznionej w handlu i rzemiośle, kółek rolniczych, obrotem państ-

⁵⁶ Księga pamiątkowa wydana z okazji 100. rocznicy powstania TOZ, s. 48.

⁵⁷ Protokół z Walnego Zgromadzenia Delegatów Kasy Spółdzielczej z 27 kwietnia 1958. s. 5.

⁵⁸ Protokół z Walnego Zgromadzenia Przedstawicieli Banku Spółdzielczego z 23 kwietnia 1966, s. 81.

⁵⁹ Sprawozdanie Banku Spółdzielczego za rok 1975, s. 1.

wowych nieruchomości rolnych i działek budowlanych.⁶⁰ Pod koniec lat siedemdziesiątych spółdzielnia skupiła uwagę na realizacji zadań, które postawił przed bankami I Krajowy Zjazd Delegatów Banków Spółdzielczych w listopadzie 1976 roku. Zakładały one przyspieszenie rozwoju rolnictwa i zwiększenie produkcji rolnej przez tworzenie sprzyjających warunków finansowych dla rozwoju zespołów rolników indywidualnych, specjalizacji i kooperacji w rolnictwie. Rolnikom powiększającym gospodarstwa zapewniano częściowe umarzanie zaciąganych kredytów.⁶¹ Plan kredytowy na 1977 rok został znacznie przekroczony, co zapewniło Cieszyńowi I miejsce w skali województwa, taką samą lokatę uzyskano za wysokość obrotów, a III miejsce za stan oszczędności.⁶² W następnych latach w centrum uwagi Banku w Cieszynie znajdowała się działalność kredytowa na rzecz pełnego i efektywnego zagospodarowania użytków rolnych, zapewnienia racjonalnego obrotu ziemią, intensyfikacji produkcji rolnej, rozwoju bazy paszowej, tworzenia sprzyjających warunków rozwoju hodowli, specjalizacji i kooperacji w gospodarstwach chłopskich, rozwoju rzemiosła oraz prywatnego handlu i usług.⁶³

Podsumowanie pracy za 1978 rok wykazało, że wszystkie zadania planowe zostały wykonane, a niektóre wskaźniki znacznie przekroczone. Na szczególne uznanie zasługiwały osiągnięcia w wypłatach rolniczych kredytów obrotowych, w których spółdzielnia uplasowała się na 1. miejscu w województwie; takie same lokaty zostały osiągnięte w realizacji spłat kredytów i wielkości wkładów oszczędnościowych, a w wypłatach rolniczych kredytów inwestycyjnych 4. miejsce. W rozliczeniach bezgotówkowych przez kilka lat Cieszyn zajmował 1. miejsce w województwie. Spółdzielnia należała do grona najlepszych wśród 29 banków spółdzielczych w województwie.

Dotychczasowy tok pracy został zakłócony po wprowadzeniu dekretu o stanie wojennym z 13 grudnia 1981 roku. Wprowadził on daleko idące ograniczenia w obsłudze kredytowej i oszczędnościowej. Zawieszono wypłaty wszystkich kredytów w bankach spółdzielczych. Po upływie kilku dni, od 18 grudnia poczynając, ograniczenia były sukcesywnie wycofywane i objęły wszystkie formy kredytowania z wyjątkiem kredytów gotówkowych i na budownictwo mieszkaniowe, których ograniczenie obowiązywało najdłużej.⁶⁴

Z końcem 1981 roku odszedł na emeryturę Wilhelm Sztefka, dotychczasowy dyrektor Banku. Zastąpiła go na tym stanowisku mgr Krystyna Rakowska, która przejęła swoje obowiązki na początku 1982 roku.

Lata osiemdziesiąte przyniosły zmiany w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym. W tym czasie władze poszukiwały skutecznych rozwiązań usprawniających działalność i zarządzanie gospodarką oraz sektorem finansowym, z uwagi na ścisłe powiązania i wzajemną współzależność obu dziedzin.

W 1982 roku zostały uchwalone dwie ustawy sejmowe: Prawo bankowe i Prawo spółdzielcze. To ostatnie stworzyło warunki do przywrócenia bankom ich spółdzielczego i samorządnego charakteru. Rada i Zarząd Banku zareagowały żywo na zachodzące zmiany i przygotowały projekt nowego statutu Banku Spółdzielczego w Cieszynie, który po dyskusji na Zebraniu Przedstawicieli został przyjęty jednogłośnie 5 czerwca 1983 roku.⁶⁵

W kolejnych latach osiemdziesiątych Bank nie zmienił zasadniczego profilu działalności, natomiast stale doskonalił organizację i warunki pracy, obsługę klientów.

⁶⁰ Ibidem, s. 1.

⁶¹ Sprawozdanie z działalności Rady Banku za 1976, s. 1.

⁶² Ibidem za 1977, s. 2.

⁶³ Sprawozdanie z działalności Banku Spółdzielczego za 1978, s. 1.

⁶⁴ Sprawozdanie z działalności Zarządu za 1981, s. 4–5.

⁶⁵ Zebranie Przedstawicieli Banku Spółdzielczego z 5 czerwca 1983, s. 5.

Uruchomiono obsługę skupu zwierząt rzeźnych na Presewówce w Cieszynie. Systematycznie rosły obroty, wielkość kredytów, wkładów oszczędnościowych. Podobnie było w pozostałych dziedzinach działalności. Nadal osiągał pozytywne wyniki finansowe. W każdym roku odbywały się kontrole lustratorów z ramienia BGŻ, którzy bardzo szczegółowo badali pracę Banku pod względem zgodności z obowiązującym prawem i przepisami, osiąganymi wynikami ekonomicznymi, prowadzeniem księgowości i pracą wszystkich ogniw kierowniczych spółdzielni. Podsumowania lustracji odbywały się na Zebraniach Przedstawicieli Banku i były zawsze pozytywne. Jednego z podsumowań dokonał 16 marca 1986 roku dyrektor Oddziału Wojewódzkiego BGŻ J. Majer, który stwierdził: *Na podstawie obserwacji całokształtu działalności Banku oraz na podstawie kontroli poszczególnych działów przez pracowników Oddziału Wojewódzkiego BGŻ, nie stwierdzam uchybień w pracy Banku. Zaznaczam, że Bank Spółdzielczy w Cieszynie zajmuje wysokie miejsce w skali województwa i ma dobrą splatalność kredytów.*⁶⁶

Szybkie tempo zmian gospodarczych i politycznych w końcu lat osiemdziesiątych stworzyły nową sytuację dla działalności banków spółdzielczych. Przepisy prawne pozwalały na powstawanie nowych banków, określały ich obowiązki i uprawnienia oraz zakres nadzoru ze strony NBP. Już w 1988 roku powstało 9 nowych banków wyłonionych z dotychczasowych struktur NBP. Klienci mogli swobodnie wybierać banki, przestały obowiązywać terytorialne podziały sfer działania, zaczęły działać warunki konkurencji.⁶⁷

W tych warunkach Bank w Cieszynie, podobnie jak inne banki spółdzielcze, znalazł się w trudnej sytuacji. Jego atutem było posiadanie wykwalifikowanej i doświadczonej kadry pracowników, licznej rzeszy członków oraz aktywny samorząd bankowy. To jednak nie gwarantowało sukcesu w rywalizacji z konkurencją. Ważnym zadaniem stało się stworzenie takich warunków, które pozwoliłyby utrzymać dotychczasowych klientów i pozyskać nowych. Spółdzielnia podjęła rywalizację z silnym Bankiem Śląskim, który oferował swoim klientom korzystne oprocentowanie lokat oszczędnościowych oraz z prowadzącym szeroką reklamę swoich usług PKO BP. Pierwszy rok działalności w warunkach konkurencji był dla spółdzielni korzystny. Z kredytów korzystali tradycyjnie rolnicy, gospodarka nieuspołeczniona i członkowie. Źródłem finansowania działalności były fundusze własne, wolne środki finansowe oraz wkłady oszczędnościowe, które osiągnęły w 1989 roku wysoki pułap i dały Cieszynowi 1. miejsce wśród 31 banków spółdzielczych w województwie.⁶⁸

Bank skupił uwagę na wprowadzeniu konkurencyjnych warunków obsługi w zakresie prowizji, oprocentowania wkładów oszczędnościowych i kredytów. Rozmiary udzielonych kredytów były uzależnione od posiadanych środków. Zwracano również uwagę na racjonalne gospodarowanie środkami finansowymi, ich powiększanie i korzystne lokowanie. W zakresie usprawniania pracy zaczęto wycofywać wysłużone maszyny księgujące i zastępować je komputerami.⁶⁹

W kraju stale rosła liczba nowych banków, w tym z udziałem kapitału prywatnego. Spółdzielczy sektor finansowy objęty został dalszą reorganizacją na mocy ustawy sejmowej z 20 stycznia 1990 roku. Na jej podstawie uległy likwidacji związki spółdzielcze centralne i wojewódzkie, a wszystkie banki spółdzielcze zobowiązano do przeprowadzenia wyborów do samorządowych władz Banków. BGŻ przestał pełnić rolę centrali banków spółdzielczych i stał się ich partnerem. Cieszyński Bank rozpoczął nowy etap w pełni samodzielnego funkcjonowania. Odtąd prowadził pracę na podstawie obowiązujących ustaw i wytycznych NBP, który nadzorował działalność wszystkich

⁶⁶ Ibidem z 16 marca 1986, s. 3.

⁶⁷ Sprawozdanie Zarządu za 1988, s. 1.

⁶⁸ Ibidem, za 1989, s. 1 i 3.

⁶⁹ Kierunki działalności gospodarczo-financej na 1990, s. 1.

banków w Polsce.⁷⁰ Zgodnie z nakazem ustawy z 20 marca 1990 roku wybrano nową Radę Nadzorczą w 11-osobowym składzie, a ta po ukonstytuowaniu się 27 marca 1990 roku wybrała Zarząd Banku w 5-osobowym składzie. Nowe władze utrzymały dotychczasowe zadania i kierunki działania Banku, w tym: prowadzenie rachunków bankowych dla podmiotów gospodarczych, osób prawnych i fizycznych, przyjmowanie wkładów oszczędnościowych, przeprowadzanie rozliczeń pieniężnych, gotówkowych i bezgotówkowych, udzielanie kredytów dla jednostek prowadzących działalność gospodarczą, rolników, rzemiosła, handlu i usług. Zaspokajanie potrzeb kredytowych zależne było od posiadanych środków.⁷¹ Wiele uwagi poświęcono poprawie jakości usług ich konkurencyjności. Nadal prowadzono modernizację techniczną w postaci komputeryzacji. Zmienione warunki pracy nie przeszkodziły spółdzielni w osiąganiu pozytywnych wyników finansowych i umacnianiu firmy. W 1992 roku znacznie wzrosły fundusze bankowe, a zwłaszcza udziałowy, zasobowy, majątku trwałego, rezerwy statutowej. Nie stosowano ograniczeń w przyznawaniu kredytów, przy czym na ich zaspokojenie wystarczały środki własne.⁷²

Dobra kondycja Banku Spółdzielczego w Cieszynie nie oznaczała, że innym bankom spółdzielczym wiodło się podobnie. W tym okresie notujemy przypadki ogłaszania upadłości banków spółdzielczych. Były to firmy, które nie potrafiły przystosować działalności do nowych warunków, bądź popełniły błędy w udzielaniu tzw. trudnych kredytów. Te wypadki wpłynęły jednak na spadek zaufania klientów do spółdzielczych instytucji finansowych i zaszkodziły ich interesom. W tym okresie NBP postawił bankom warunki trudne do spełnienia. Każdy bank, który chciał prowadzić samodzielną i niezależną działalność finansową, musiał posiadać kapitał własny w wysokości 100 miliardów złotych. Banki o mniejszym kapitale powinny się zrzekać, by wspólnie spełnić ten wymóg. Kierownictwo Banku w Cieszynie zaczęło poszukiwać korzystnych rozwiązań i po wielu dyskusjach Zebranie Przedstawicieli podjęło 21 kwietnia 1993 roku uchwałę o zrzeczeniu się spółdzielni w Cieszynie z Gospodarczym Bankiem Południowo-Zachodnim we Wrocławiu. Cieszyn chciał przez to uzyskać możliwość konsolidacji organizacyjnej i kapitałowej z tym Bankiem, w granicach określonych w statucie i umowie o konsolidacji.⁷³

Liczono na wiele korzyści z tego związku, bo GBPZ posiadał doświadczoną kadrę pracowników, wprowadził nowoczesne rozwiązania w zakresie technik bankowych, gwarantował poczucie samodzielności i samorządności, wzorowo układała się współpraca w dziedzinie rozliczeń. Jedynym mankamentem była odległość, która utrudniała bezpośrednie kontakty. Po wejściu w życie kolejnej ustawy o restrukturyzacji banków spółdzielczych i BGŻ z 24 czerwca 1994 roku banki spółdzielcze zostały zobowiązane do zwołania zebrań przedstawicieli i podjęcia decyzji w sprawie przyjęcia nowych statutów i zrzeczenia się z bankami regionalnymi do 31 grudnia 1994 roku. W Cieszynie zebranie zwołano 12 grudnia 1994 roku i po omówieniu treści ustawy i dyskusji podjęto uchwałę, która stwierdza, że:

1. Bank Spółdzielczy w Cieszynie przystępuje jako założyciel do Małopolskiego Banku Regionalnego SA z siedzibą w Krakowie.
2. Bank Spółdzielczy w Cieszynie deklaruje wniesienie do kapitału akcyjnego MBR SA w formie pieniężnej 400 milionów złotych.

Przyjęto również uchwałę o zatwierdzeniu nowego statutu Banku Spółdzielczego w Cieszynie. Kolejna uchwała upoważniła Zarząd do załatwienia wszelkich czynności związanych z przystąpieniem do MBR SA w Krakowie z załatwieniem wszystkich formalności proceduralnych włącznie.⁷⁴ Małopolski Bank Regionalny SA w Krakowie

⁷⁰ Sprawozdanie Zarządu za 1990, s. 1.

⁷¹ Kierunki działalności gospodarczo-financej na 1992, s. 1.

⁷² Zebranie Przedstawicieli Banku Spółdzielczego z 21 kwietnia 1993, s. 3.

⁷³ Ibidem, s. 6.

⁷⁴ Ibidem, s. 5.

utworzyło 190 banków spółdzielczych z siedmiu województw: bielskiego, częstochowskiego, katowickiego, kieleckiego, krakowskiego, nowosądeckiego i tarnowskiego.

Powstanie Małopolskiego Banku Regionalnego w Krakowie, jednego z dziewięciu działających w kraju,⁷⁵ stanowi poważne wzmocnienie dla jego akcjonariuszy, którzy otrzymali możliwość korzystania z pomocy w potrzebach finansowych, w rozliczeniach międzybankowych, udzielaniu gwarancji oraz fachowym doradztwie w rozwiązywaniu trudnych problemów. Może się również okazać bardzo pożyteczne w niedalekiej przyszłości, kiedy na naszym rynku finansowym pojawią się banki zagraniczne. Kierownictwo Banku Spółdzielczego w Cieszynie na obecnym etapie działalności skupia uwagę na utrwalaniu dotychczasowych osiągnięć ekonomicznych, stara się utrzymać dotychczasowych klientów i pozyskać nowych poprzez proponowanie im różnorodnych i konkurencyjnych ofert jak:

lokaty terminowe 3, 6, 9, 12 i 24-miesięczne,

lokaty dynamiczne,

książeczki a vista,

rachunki bieżące dla: zakładów pracy,

spółek,

osób prowadzących działalność gospodarczą,

stowarzyszeń,

organizacji społecznych i politycznych,

związków zawodowych,

szkół i przedszkoli,

rachunki oszczędnościowo-rozliczeniowe dla: osób stale zatrudnionych,
osób prowadzących działalność gospodarczą,
osób otrzymujących świadczenia emerytalno-rentowe,

wpłaty na rachunki: za energię elektryczną, gaz, wodę, kanalizację, telefony, ubezpieczenia rolnicze,

wpłaty na rachunki innych banków,

kredyty: gotówkowe,

w rachunku bieżącym,

w rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowym,

preferencyjne dla rolnictwa,

inwestycyjne,

celowe,

ratalne.

Depozyty klientów zabezpieczone są Bankowym Funduszem Gwarancyjnym.

Bank zapewnia swoim klientom uprzejmość, życzliwość, fachowe doradztwo, sprawną obsługę komputerową i dogodne godziny pracy od 7⁰⁰ do 17⁰⁰ (od poniedziałku do piątku). Oferuje również korzystne oprocentowanie depozytów i kredytów oraz bardzo niskie prowizje od wpłat.

Władze Banku przywiązywały dużą wagę do współpracy ze swoimi członkami na polu podnoszenia ich wiedzy w zakresie zakładania sadów owocowych, uprawy krzewów jagodowych, hodowli bydła, trzody chlewnej, owiec oraz drobiu i królików. Wspomagały działalność artystyczną na wsi, organizowały prelekcje, pokazy, kursy szycia, uczono higieny żywienia itp.⁷⁶ Była to działalność bardzo potrzebna i pożyteczna, która przyczyniła się niejednokrotnie do korzystnych zmian w prowadzeniu gospodarstwa i sposobu życia wielu rodzin wiejskich. Nie zapominano również o potrzebach środowiska. Każdego roku z funduszu społeczno-wychowawczego przeznaczano kwoty

⁷⁵ Sprawy związane z utworzeniem Małopolskiego Banku Regionalnego w Krakowie, 1994, s. 2.

⁷⁶ Księga pamiątkowa wydana z okazji 100-rocznicy powstania TOZ, s. 54.

na cele społeczne. Korzystały z nich dziesiątki instytucji, organizacji, towarzystw, placówek oświatowych, klubów sportowych itp. Świadczenie pomocy potrzebującym jest nawiązaniem do chlubnych tradycji Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek, które na tym polu miało duże osiągnięcia.

Biorąc pod uwagę całokształt pracy Banku w minionym okresie można stwierdzić, że wykonał on ogromną pracę dla dobra swoich członków i środowiska. Godnym podkreślenia jest również fakt, że potrafił bez uszczerbku przetrwać trudne chwile, które nie ominęły bankowego sektora spółdzielczego. O pozycji i roli Banku zadecydował czynnik ludzki. W otoczeniu spółdzielni znaleźli się ludzie zaangażowani, którzy się z nią mocno związali jako członkowie-współwłaściciele, a zarazem jej klienci. Swoje zasługi mają także pracownicy, którzy przez solidne i zaangażowane wykonywanie obowiązków i dobrą obsługę potrafili zapewnić instytucji klientów. Ważną rolę odegrało umiejętne i odpowiedzialne kierowanie Bankiem przez jego gremia kierownicze. Obecnie działalnością Banku kieruje 5-osobowy Zarząd w składzie:

Krystyna Rakowska	— prezes
Aleksandra Szczybrocha	— wiceprezes
Halina Hutyra	— członek
Elżbieta Jaworska	— członek
Wilhelm Sztefka	— członek

oraz 9-osobowa Rada Nadzorcza w składzie:

Bronisław Urbaczka	— przewodniczący
Jan Król	— zastępca przewodniczącego
Krystyna Raszka	— sekretarz
Dariusz Kareta	— przewodniczący Komisji Rewizyjnej
Stanisław Chelmiński	— członek Komisji Rewizyjnej
Józef Fojcik	— członek Komisji Rewizyjnej
Anna Kaleta	— członek
Janusz Mikuszewski	— członek
Wanda Sojka	— członek

Nadchodzące czasy będą wymagały od Jubilata poszukiwania nowych rozwiązań i kierunków działania korzystnych dla członków, klientów i regionu.

FRANCISZEK PASZ

TOWARZYSTWA GIMNASTYCZNE

Towarzystw gimnastycznych miał Cieszyn wiele. Zapoczątkowany w Niemczech i Austrii w latach 1820–1850 rozwój nowoczesnej gimnastyki spowodował w Europie szybko jej popularność. Twórcą Turnverein'ów był Friedrich-Ludwik Jahn, zwany przez Niemców *Turnvaterem*. Urodził się 11.06.1787 roku w Lanz-Prignitz, zmarł 15.10.1852 roku w Unstrut-Freiburg. Z doświadczeń F.L. Jahna korzystano już w roku 1868, kiedy w Monarchii Habsburgów wprowadzono w szkołach powszechnych i średnich do programów lekcyjnych ćwiczenia cielesne. W zaborze pruskim gimnastyka w szkołach była obowiązkowa i prowadzona na przyrządach, opracowanych przez Jahna. W Towarzystwach Gimnastycznych Sokół ruch gimnastyczny rozwijał się w oparciu o system niemiecko-czeski Jahna. Cieszyńscy gimnastycy ufundowali Friedrichowi Ludwikowi Jahnowi pomnik, który został postawiony około 1932 roku na boisku Deutsche Sport Klub Cieszyn. Boisko to było również boiskiem Turnverein'u.

Pierwszym Towarzystwem Gimnastycznym w Cieszynie był niemiecki Deutschen Männerverein Teschen, założony w roku 1863. Zrzeszał on w swoich szeregach niemiecką inteligencję oraz stan średni. Propagował ćwiczenia według Jahna na przyrządach: trapezie, koniu, drażku, poręczach oraz na wolnym powietrzu, a z czasem w salach gimnastycznych. Na przełomie XIX i XX wieku poszerzono działalność związków o dyscypliny lekkoatletyczne jak: biegi terenowe, sztafety, skoki w dal i wwyż, rzuty kulą i oszczepem oraz gry w piłkę ręczną i koszykową. Związek rozpowszechniał gimnastykę i sport wśród młodzieży, organizował zawody i pokazy, zjazdy gimnastyków i sportowców.

Mniej więcej w tym samym czasie powstał drugi Turnverein, który organizował młodych ludzi przy tworzących się związkach drukarzy. Po długich kłopotach organizacyjnych, w końcu powstał związek o zabarwieniu socjaldemokratycznym „Gleichheit” (równość). W okręgu Cieszyna i okolicy związek ten zrzeszał ponad 100 członków narodowości niemieckiej i polskiej. Pierwsza wojna światowa ograniczyła działalność związku. Po jej zakończeniu nastąpiła szybka mobilizacja. Organizacja ta wydawała własną gazetę „Freiheit” (Wolność), a bielski Turnverein miał gazetę „Volkstimme” (Głos Ludu) o nakładzie 3.200 egzemplarzy. Siedzibą związku po pierwszej wojnie światowej został Czeski Cieszyn. Związek przyjął nazwę Deutsche Arbeiter Turnverein und Sportverein. Przewodniczącym związku został Anthony Kirbl. Zawody rozgrywano w niemieckich organizacjach na wzór ligi, która obejmowała rejonu od Ostrawy, Bogumina, Witkowic, Frysztatu, Privozu, Nowego Jiczina, Trzyńca i Frydku po Bielsko. Związek miał własne boisko w Czeskim Cieszynie.

6 lipca 1928 roku Arbeiterturn u. Sportverein zorganizował w Czeskim Cieszynie 4-dniowy zjazd gimnastyków i sportowców, zrzeszonych w Arbeiterturnvereina wymienionych rejonów. Wieczorem orkiestra kolejowa z kilkuset „turnerami” przemarszerowała z pochodniami przez wszystkie główne ulice Czeskiego Cieszyna, demonstrując siłę i sprawność organizacyjną. Dwudniowe zawody w konkurencjach żeńskich i męskich odbywały się na stadionie własnym związku w polskim Parku Adama Sikory oraz na boisku przy czeskich koszarach nad Olzą. 7 lipca odbył się bieg sztafetowy 10 × 300 metrów ulicami Czeskiego i Polskiego Cieszyna przez Most Jubileuszowy, 3 Maja, plac Wolności, ulicę Szersznika, Rynek, Gleboką, Zamkową, most Saską Kępe,



Defilada drużyny żeńskiej cieszyńskiego gniazda „Sokoła” w dniu 3 Maja 1937 roku. Od lewej: Tola Paszek, Marta Pasz, Rezi Handzlik, Maria Kudlacić; na czele drużyny Franciszka Klosik. Ze zbiorów Franciszka Pasza

Dworcową, Strzelniczą do mety na Saską Kępę, gdzie przy aptece „Pod Czarnym Lwem” była meta. Następnego dnia przed ratuszem w Czeskim Cieszynie odbył się koncert orkiestr oraz popisy gimnastyków na przyrządach.

Delegacje i zawodnicy lokowani byli w szkołach i gościli w domach prywatnych. Utrzymanie przez trzy dni gwarantował komitet organizacyjny z wpływów za wstęp. Salę gimnastyczną udostępniało miasto. Jednym z celów tej imprezy było odwrócenie młodzieży od alkoholu. W zjeździe tym i w zawodach brali udział przedstawiciele związków polskich: Katowic, Goczałkowic i Bielska. Wszystkie trudy organizacji zjazdu, które wzięli na siebie jego organizatorzy, były wykonywane społecznie.

W podzielonym mieście nastąpił po wojnie rozdział Turnvereinów. Trzon jego pozostał w czeskiej części miasta, a po polskiej stronie powstał Deutsche Männer Turn Verein. Zarejestrowano na powrót związki z okresu Ck Austrii. Przewodniczącym Cieszyńskiego Turnvereinu został Fryderyk Schultz. Ze względu na spadek ilości członków w Cieszynie, cieszyński Turnverein był związany jednak z gimnastykami niemieckimi spoza Olzy. Posiadały silną sekcję lekkoatletyczną. W Cieszynie organizowali zawody rzadko; przeważnie były organizowane w Bielsku lub w Katowicach. Oprócz gimnastyki Turnvereiny walczyły o utrzymanie niemczyzny na naszych terenach.

Następnym niemieckim związkiem gimnastycznym był Deutsch-Turnerverbindung „Eiche” (Dąb), którego przewodniczącym był Stefan Kovaščík. Związek ten prowadził działalność sportową wśród niemieckiej młodzieży chrześcijańskiej. Podobnie jak poprzedni Turnverein, brał udział w zawodach niemieckich. Większej roli nie odegrał. Do ćwiczeń i pokazów korzystali z boiska TE nad Bobrówką i z sal gimnastycznych w Cieszynie.

Polski ruch gimnastyczny wyszedł z ruchu zainicjowanego przez Czechów M. Tyrša i Fignera w roku 1862 i przyjął nazwę Towarzystwo Gimnastyczne Sokół (Sokol). Stosunkowo szybko, bo w roku 1867 we Lwowie założono pierwsze gniazdo Sokola. Po rocznych przygotowaniach, w dniu 24.10.1890 roku powstało na ziemi cieszyńskiej pierwsze gniazdo Sokola. Założycielem towarzystwa byli: Hilary Filasiewicz,

dr Jan Michejda, ks. Ignacy Świeży, dr Antoni Dyboski i dr Andrzej Grodyński. Najbardziej potrzebne przyrządy ofiarował Cieszyńsiakom prof. Henryk Jordan, który był honorowym członkiem cieszyńskiego Sokola. Pierwszym instruktorem gimnastyki był Janicki z Krakowa, którego zastąpił później Adam Sikora. Pierwsze ćwiczenia odbywały się w sali czytelni ludowej i „Pod Żłotym Wołem”. Trudne było popularyzowanie Sokola, gdyż zamożny i wpływowy Turnverein utrudniał jego rozwój. Jednak już 4.10.1893 roku 120 druhów brało udział w publicznych występach gimnastycznych z okazji wystawy, zorganizowanej przez Towarzystwo Rolnicze na strzelnicy w Cieszynie. W tym dniu także cieszyński Sokół otrzymał sztandar, jako dar od pań miasta Krakowa. Był to pierwszy sztandar, jaki posiadał polski związek na ziemi cieszyńskiej. Na czerwonym tle sztandaru widniał napis: *Sokołowi Polskiemu w Cieszynie*, a na drugiej stronie znajdował się srebrno haftowany sokół — godło towarzystw sokolich. Na szarfach jedwabiem wyhaftowano napisy: *Sokoły Polskie Cieszyńskiemu* i *W jedność siła*. Na rogach szarf były herby Cieszyna i Polski Jagiellońskiej.

Do Cieszyna zjechali sokoli z własną orkiestrą z Krakowa i brali udział w popisach gimnastycznych razem z sokolami Cieszyna. W roku 1901 otrzymał Sokół salę w nowo otwartym Domu Narodowym. Od tego czasu do wybuchu II wojny światowej Dom Narodowy był bazą towarzystwa. Rozwój polskiego szkolnictwa średniego, organizowanego przez Macierz Szkolną, kształcenie w seminariach i na kursach nauczycieli gimnastyki spowodował zainteresowanie ćwiczeniami cielesnymi. Wzrastała ilość członków Sokola. Do roku 1910 założono na ziemi cieszyńskiej 22 gniazda sokole, których inicjatywa wychodziła pośrednio lub bezpośrednio z Cieszyna. Zostały utworzone: we Fryszacie, Michałkowicach, Karwinie, Dziedzicach, Bielsku, Niemieckie Lutyń, Orlowie, Boguminie, Trzyńcu, Wędryni, Polskiej Ostrawie, Łąkach, Suchej Górnej, Jabłonkowie. Autorytet cieszyńskiego Sokola wzrósł od czasu, gdy w roku 1906 prezes cieszyńskiego Sokola dr Jan Galicz wszedł do Okręgu Sokolego w Krakowie, a następnie, w roku 1909, we Lwowie.

2 czerwca 1907 roku odbył się w Cieszynie I Zlot Okręgu Krakowskiego. Była to wielka demonstracja narodowa Polaków ziemi cieszyńskiej. W uroczystości tej brała udział cała polska ludność. Ponieważ w poprzednim okresie władze austriackie utrudniały uroczyste poświęcenie sztandaru, uczyniono to dopiero na tym zlocie.

W Cieszynie utworzono Delegaturę Okręgową, której Kraków powierzył wiele spraw załatwianych dotąd w Krakowie. W tym czasie ćwiczenia w gniazdach prowadzili naczelnicy: dr Franciszek Wilczek, Karol Kibel, Józef Błahut, Mieczysław Sankiewicz i Ludwik Eckert.

W dniach 14 i 15 lipca 1910 roku całe Sokolarstwo Śląskie brało udział w Zlocie Grunwaldzkim, który odbył się w Krakowie z okazji odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego.

Związek Towarzystw Sokolich we Lwowie wprowadził reorganizację gniazd sokolich. Poszerzył działalność gimnastyczną o ćwiczenia wojskowe. Instruktorami wojskowymi w gniazdach byli Hieronim Przepiliński, Feliks Hajduk, Jan Wojnar i Klemens Matusiak. 21 września 1913 roku w parku Adama Sikory odbył się pierwszy Zlot Sokolów ziemi cieszyńskiej, który znowu był manifestacją społeczności polskiej.

W nocy z 5 na 6 sierpnia 1914 roku Józef Piłsudski rzucił hasło o powstaniu Legionu Polskiego Do Walki z Caratem. Gniazda Sokolów przekształciły się w Stałe Drużyny Sokole. Po zjednoczeniu się wszystkich związków polskich, takich jak Strzelec, przyjęły nazwę Legionu Śląskiego. Prężna i liczna polska organizacja była solą w oku niemieckiej administracji miasta. Robiono Sokolom trudności w organizowaniu imprez, zabroniono dzierżawy boisk. Dopiero interwencja posłów w parlamencie wiedeńskim przeszkody te usunęła. Na pierwszy Zlot Krakowskiego Okręgu Sokolego w dniu 2 czerwca 1907 roku władze miasta w końcu wydały zezwolenie. Na ten dzień Niemcy zorganizowali w Cieszynie zjazd Turnvereinów z całego Śląska. Mieli bronić niemieckiego charakteru miasta Cieszyna. Zjechała jednak do Cieszyna pociągami na ten dzień



Drużyna cieszyńskiego gniazda „Sokoła” w czasie defilady w dniu 11 listopada 1937 roku przed pomnikiem „Legionistom Ślązakom Poległym za Polskę”. W pierwszej czwórce maszerują (od lewej): Tola Paszek, Maria Kudlaciak, Marta Pasz i Teresa Handzlik. Z prawej orkiestra 4. Pułku Strzelców Podhalańskich. *Ze zbiorów Franciszka Pasza*

taka masa Polaków, że Niemcy nie odważyli się zorganizować kontrademonstracji. Jedynie członkowie korporacji wraz z turnerami usiłowali zakłócić spokój w czasie, kiedy sokoli, wychodząc z kościoła farnego, wracali ze sztafarami do Domu Narodowego. Kilkutysięczna rzesza Polaków onieśmieliła Niemców przed atakiem na ćwiczących i zebranych. Turnerzy wraz z burschami odśpiewali: *Wacht am Rhein* pod podcieniami na Rynku i rozeszli się. Powetowali sobie w rok później. Kiedy chrześcijańska młodzież robotnicza po wyjściu z kościoła przechodziła ulicami miasta Cieszyna na festyn w kierunku Grabiny, została obrzucona przez burschów zgniłymi jajami i kamieniami.

Po pierwszej wojnie światowej sokoli brali udział w odbudowie państwa polskiego. W 1919 roku wiceprezes Mieczysław Konopka po pięcioletniej przerwie wznowił działalność. Prezesem został stary działacz dr Jan Galicz, ćwiczeniami pokierował Jan Wojnar. W cieszyńskim Sokole rosła liczba członków. Prócz gimnastycznej tworzą się sekcje: lekkoatletyczne, narciarskie, koszykówki. Działają kółka teatralne, recytatorskie i chóry mieszane. Towarzystwo gimnastyczne Sokół w Cieszynie liczyło w okresie międzywojennym ponad 250 członków.

Po stronie czeskiej po 1 wojnie światowej działały 22 gniazda sokole. Po zakończeniu wojny na terenie Zaolzia Towarzystwo Gimnastyczne Sokół w dalszym ciągu posiadało większość gniazd sokolich ziemi cieszyńskiej. Przy Sokole i z jego inicjatywy powstały kluby sportowe, które organizowały na Zaolziu polskie życie sportowe. Na czele związku Sokolów w Czechosłowacji stanął dr Leon Wolf. Chodziło o gromadzenie młodzieży wokół polskiego życia sportowego, aby młodzi Polacy nie wstępowali do klubów niemieckich czy czeskich.

W latach 1930–1934, z inicjatywy Towarzystwa Gimnastycznego Sokół w Czeskim Cieszyńsku powstał pod kierownictwem Adolfa Kantora Klub Sportowy PKS — Polski Klub Sportowy — Czeski Cieszyń.

Sokół w Cieszyńsku prowadził ożywioną działalność do wybuchu II wojny światowej. Następnie organizacja została zdelegalizowana. Czołówka działaczy, jeżeli nie schroniła się w Generalnej Gubernii lub nie uszła za granicę II Rzeszy, wysyłana została do obozów koncentracyjnych, gdzie większość zginęła.

Po wojnie nie zezwolono na kontynuację działalności przedwojennego Sokola. Nowym władcom nie było potrzebne wychowanie młodzieży według hasła Sokola „W zdrowym ciele — zdrowy duch”. Mieli sokoli także swój **marsz sokołów**: *Ospały i gnuśny / zgrzybiały ten świat / na nowe on życia koleje / z wygodnej pościeli nie dźwiga się rad / i ciało i duch w nim mdleje, / Hej bracia Sokole, dodajmy mu siłę / By ruchu zapragnął, by powstał i żył.*

A TO CIEKAWE

Do najstarszych upraw, znanych ludziom, należą warzywa strączkowe. Groch uprawiano już 6500 lat przed naszą erą na obszarach dzisiejszej Turcji. Bób i soczewica przedostały się z rejonu Azji Mniejszej przez kraje basenu Morza Śródziemnego do Europy w czasach pierwotnych. Z Ameryki Południowej pochodzi fasola. Przywiózł ją ze swej wyprawy do Ameryki zdobywca Meksyku Cortes (1486–1547) i na pamiątkę wręczył papieżowi Klemensowi VII. Ten kazał ją zasadzić w ogrodach papieskich i tak rozpoczęła się jej uprawa w Europie. Do Francji fasolę sprowadzono dzięki

Katarzynie Medycejskiej, żonie Henryka II.

Ze zbóż do najdawniej uprawianych przez człowieka należy prawdopodobnie jęczmień. Ziarna jęczmienia znaleziono w wielu wykopaliskach archeologicznych. Jak stwierdzono, uprawiano go w Egipcie ok. 5 tys. lat przed naszą erą, w Mezopotamii 3,5 tys. lat, a w północno-zachodniej Europie 3 tys. lat p.n.e. W Chinach uprawiano jęczmień ok. 2 tys. lat p.n.e. Stanowił główną uprawę starożytnych Greków i Rzymian. Do XVI w. jęczmień był głównym surowcem do wypieku chleba w Europie.

NA PROGU WIELKIEJ WOJNY

Z początkiem drugiej dekady XX wieku zakończył się kilkudziesięcioletni okres zwany w dziejach Europy *pokojem zbrojnym*. Pewna swojej potęgi II Rzesza Niemiecka zdecydowana była na militarną rozgrywkę o prymat w świecie, a za nią na wojenne szlaki podążała, będąca w daleko gorszej kondycji, habsburska monarchia, rozdzielana do tego sprzecznościami narodowymi.

Na wybuch wojny, z przełomu lipca i sierpnia 1914 roku, lokalni politycy, jak i cała społeczność Śląska Cieszyńskiego, reagowała podobnie jak w całej monarchii manifestacją przywiązania do cieszącego się nadal wielkim autorytetem cesarza Franciszka Józefa i jego państwa. Prawda, że pod owym entuzjazmem kryły się różne treści. Niemcy, dominujący w życiu politycznym i gospodarczym regionu liczyli, iż zwycięstwo II Rzeszy wzmocni ich pozycję wobec licznie przeważających Słowian w skali Austrii i Śląska. Czesi na morawskim styku podzielali nastroje sformułowane po latach kilkunastu w nieśmiertelnej powieści Jarosława Haška o *Dobrym wojaku Švejku* i z głośnym entuzjazmem poparli Najjaśniejszego Pana. Elementem nowym był, z pozorów niesprzeczny z austriackim patriotyzmem, polski ruch niepodległościowy, bo ową wymarzoną Niepodległą wyobrażano sobie jako twór związany z monarchią Habsburgów.

Polski ruch niepodległościowy na Śląsku Cieszyńskim wyrastał z polskiej, romantycznej, powstańczej tradycji przyswajanej Ślązakom od wielu dziesięcioleci, zaś ze szczególnym natężeniem od przełomu wieków. Treści niepodległościowe znajdowały się w centrum wychowawczej pracy polskich towarzystw narodowych, szczególnie Macierzy Szkolnej, której zebrania tematyczne, biblioteki, zespoły teatralne i śpiewacze szerzyły polską tradycję powstańczą i czyniły ją bodaj głównym wątkiem lokalnej kultury narodowej. Siłę oddziaływania tych instytucji wzmacniał fakt, że do pracy włączyło się nowe pokolenie śląskiej i polskiej inteligencji, bowiem Gimnazjum Polskie oraz polskie klasy seminarium nauczycielskiego w Cieszynie opuściły już ponad cztery setki absolwentów, którzy nadawali szkołom ludowym polskie, narodowe oblicze i wzmacniali kadrę działaczy polskich towarzystw narodowych. Istotnym czynnikiem było też mocne oddziaływanie galicyjskiego, polskiego ruchu niepodległościowego, pod wpływem którego od 1912 roku związane z ośrodkami lwowskimi lokalne „gniazda” Sokoła oraz robotnicza „Siła” w oparciu o krakowskiego „Strzelca” prowadziły wśród młodzieży szkolenia wojskowe, przygotowując ją w wymiarze ideowym i praktycznym do oczekiwanej i od dawna zapowiadanej przez wieszczów wojny *świętej o wolność ludów*.



Wybuch wojny został przyjęty przez prostych ludzi znad Olzy jako wielkie nieszczęście. Na rozkaz cesarza opuszczały swoje gminy liczne rzesze mężczyzn zegnanych dźwiękiem kościelnych dzwonów i płaczem najbliższych. Punktem zbornym dla nich najczęściej był Cieszyn, gdzie wcielano ich do 100. cesarsko-królewskiego pułku piechoty oraz do 31. i 56. pułku pospolitego ruszenia (*Landwehra*); tylko kawalerzystów kierowano do Frydku. Już w pierwszej dekadzie sierpnia wymienione formacje były gotowe do wymarszu na front. Po uroczystościach pożegnalnych, na które składały się

nabożeństwa, przeglądy, przysięgi i defilady, żołnierze wyjechali na wschód. Panowała wśród nich powszechna bez troska. Wierzyli, że wojna będzie krótkotrwałą przygodą, bo co do druzgocącej przewagi wojsk austro-węgierskich i niemieckich nad Rosjanami, Serbami i Francuzami żadnych wątpliwości nie mieli.

Podobne nastroje panowały też na Śląsku Cieszyńskim wśród lokalnych Niemców oraz ich sympatyków spod znaku Śląskiej Partii Ludowej. Inaczej było wśród Polaków. Stronnictwa narodowe, a więc Związek Śląskich Katolików oraz Zjednoczenie Narodowe oczekiwały na oświadczenie starego monarchy w sprawie polskiej, ale on się na ten temat nie wypowiadał. Wśród polskich socjaldemokratów i zdeklarowanych zwolenników wystąpienia zbrojnego dominowała postawa prezentowana przez komendanta Józefa Piłsudskiego, który traktował wojnę jako wielkie ryzyko również dla monarchów, stąd nie na ich deklaracjach budował. Sprawą najważniejszą dla niego była obecność polskiej szabli w rozpoczynających się gigantycznych zmaganiach.

Na wieść o wybuchu wojny komendant Józef Piłsudski zarządził mobilizację strzelecką do kompanii kadrowych, które wkroczyć miały do Królestwa i wywołać tam powstanie. Niedługo do punktów zbornych w Galicji ruszyły zorganizowane plutony z Ostrawy Polskiej, Michałkowic, Gruszowa i Bogumina, w sumie ponad setka ochotników; obok nich zgłosiło się jeszcze kilkadziesiąt niezorganizowanych z gmin zagłębia, z okolic Cieszyna, Dziedzic i kilku innych miejscowości. Najczęściej trafiali oni do 1. pułku legionów dowodzonego przez Józefa Piłsudskiego, choć spotykamy ich również w 2. pułku formowanego w Krakowie przez pułkownika Zygmunta Zielińskiego, jak i poprzez punkt werbunkowy w Choszcznej do 3. pułku majora Józefa Hallera.

23 sierpnia stronnictwa polskie na Śląsku Cieszyńskim, idąc za inspiracjami ruchów niepodległościowych w Galicji, powołały Śląską Sekcję Naczelnego Komitetu Narodowego (dalej: NKN), której celem było sformowanie Legionu Śląskiego. Prace łączące się z jego tworzeniem koncentrowały się głównie w parku Adama Sikory w Cieszynie. Trudno przecenić wychowawcze znaczenie oddziaływań tego skupiska, jak i ruchu społecznego wspierającego niebagatelną sumę 40 tysięcy koron i dostarczyła 370 ochotników. Ważnymi z wychowawczego punktu widzenia były liczne kontakty z chłopcami z parku Sikory, jak i obserwacje poczynione w czasie manewrów Legionu na trasie Cieszyn, Orlowa, Ostrawa, Cieszyn w dniach 9 do 11 września. Doniosłym wydarzeniem dla całej polskiej społeczności Śląska Cieszyńskiego były też uroczystości pożegnalne śląskiego półbatalionu legionowego, który w dniu 21 września opuścił Cieszyn.

Atmosfera polityczna w środowisku polskim w dniu 21 września jednoznaczna nie była. W pożegnalnych przemówieniach doktor Jan Michejda, przemawiający w imieniu partii narodowych, nawiązywał do lokalnych tęsknot za Polską, ale mocno podkreślił też więzi łączące Ślązaków z Austrią i z jej cesarstwem. Tadeusz Reger, reprezentujący socjaldemokratów, akcentował przede wszystkim potrzebę wojny z Rosją — ostoją tyranii, a w związku z tym i rolę polskiego czynu zbrojnego. Ale był też i trzeci ton, oficjanie nie podnoszony. Wiadomo bowiem już było, że armia austriacka w starciu z siłami zbrojnej Rosji poniosła druzgocącą klęskę. Na początku drugiej dekady września, a więc w czasie manewrów Legionu Śląskiego na trasie Cieszyn-Ostrawa było już oczywiste, że Galicja Wschodnia ze Lwowem znalazła się w rękach rosyjskich, a armia carska szykuje się do potężnego uderzenia w kierunku Krakowa i Górnego Śląska. Sukcesy rosyjskie uruchomiły falę uchodźców zmierzających w głąb Austrii. 21 września, a więc w dniu wymarszu Legionu Śląskiego z Cieszyna, pierwsza ich fala pojawiła się w Zebrzydowicach.

Z konsekwencjami tej sytuacji spotkał się Legion Śląski w punkcie koncentracyjnym w Mszanie Dolnej. Śląscy legionieści doznali tu zawodu. Liczyli, iż zostaną włączeni do sprawnej jednostki legionowej, tymczasem znaleźli się w skupisku ochotników do Legionu Wschodniego znajdującym się w stanie rozkładu. Prawda, że Ślązacy nie ulegli panującej tam atmosferze i w zasadzie w szeregach wytrwali. Pesymistyczne nastroje,

promieniujące z Galicji Wschodniej, mocno dały znać o sobie w Cieszynie, gdzie politycy stronnictw narodowych uznali za słusne odcięcie się od akcji legionowej i w dniu 28 września podjęli uchwałę o rozwiązaniu Sekcji Śląskiej NKN. Tadeusz Reger w imieniu socjaldemokratów ocenił ów krok jako stawianie na kartę rosyjską. Słuszość jego oceny potwierdza w swoich *Wspomnieniach* Zofia z Grabskich Kirkor-Kiedroniowa stwierdzająca, że w kręgach polskich polityków narodowych oczekiwano wówczas wkroczenia Rosjan. Sygnałem wskazującym żołnierzom rosyjskim domy zamieszkałe przez Polaków miało być umieszczenie na budynku wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej, w który powszechnie zaopatrywali się wówczas polscy Cieszyńiaczy.



Legioniści ze Śląska złożyli 26 września wojskową przysięgę i weszli w skład formującego się 3. pułku legionów. Służyli w jego 1. batalionie, a największym ich skupiskiem była druga, śląska kompania tego batalionu. Już w październiku młodzi, przeważnie jeszcze w wieku przedpoborowym chłopcy, uczestniczyli w wypieraniu rosyjskiej inwazji z granic Węgier a potem, do marca 1915 roku, bronili przełęczy w Karpatach Wschodnich. Pasieczna, Zielona, Nadwórna, Mołotków, Rafajłowa, Maksymiec to gminy, na obszarze których, w ciężkich, zimowych warunkach, przy mizernym wyposażeniu, często o głodzie, w zużytych już mundurach i słabym wyposażeniu w niezbędne zimowe ich uzupełnienia, odpierali rosyjskie ataki, uczestniczyli w akcjach zaczepnych, ginęli, odnosili rany, znosili wojenną poniewierkę, tak jak dziesiątki tysięcy Ślązaków służących w pułkach austriackich. Jakże daleki był ich ówczesny stan umysłów od wrześniowych wyobrażeń o wojnie!

W Cieszynie o wysłanych w pole legionistach nie zapomniano. Pamiętała o nich reaktywowana w listopadzie Sekcja Śląska NKN. Jej prezesem został doktor Henryk Kluszyński z Bogumina, sekretarzem jego żona Dorota, wiceprzewodniczącym i komisarzem wojskowym Tadeusz Reger, skarbnikiem Jerzy Kantor, działacz związkowy z Suchej Górzej. Społeczne zaplecze Sekcji stanowiły powstające w Zagłębiu, Boguminie i Trzyńcu komitety NKN oparte prawie wyłącznie o środowiska sympatyków polskiej socjaldemokracji. Siedzibą władz NKN w Cieszynie był Dom Robotniczy przylegający do Alei Fryderyka Schillera, znajdujący się przy ulicy Hasnera, dziś Sokola Tumy 15.

Stronnictwa narodowe, a więc Związek Śląskich Katolików i Zjednoczenie Narodowe w teorii odcinały się od działań komisarza Regera i Sekcji Śląskiej NKN, faktycznie jednak często z nią współpracowały w imię celów nadrzędnych. Takim celem stała się potrzeba godnego przyjęcia przebywającej od początków drugiej połowy października w okolicy Jabłonkowa kadry Legionów, która przenosiła się w te strony z zagrożonego przez Rosjan Krakowa.

Najbardziej palącą kwestią było udzielenie skutecznej pomocy legionowym szpitalom i domom ozdrowieńców powstałym w Jabłonkowie, Nawsiu, Boconowicach, Wędrzynie, Nydku i w Łyżbicach. Nie były one wówczas jeszcze włączone do systemu austriackich szpitali wojskowych, stąd ich potrzeby były wielkie. Brak było sprzętu medycznego, farmaceutyków, opatrunków, a przede wszystkim bielizny pościelowej i osobistej pacjentów. Komisarz Reger natychmiast wykorzystał dostępne mu środki w wysokości kilkuset koron. Koło Polek w Cieszynie dostarczyło walizę ze sprzętem medycznym, opatrunki i kilkanaście skrzyń z bielizną. Sekcja Śląska NKN zainicjowała zbiórkę pieniędzy; wsparły ją w tym dziele towarzystwa narodowe i parafie obu wyznań. Niedługo uzyskano kwotę 4 tysięcy koron.

Nawiazano współpracę z legionową intendenturą w Trzyńcu i udzielono jej istotnej pomocy w zaopatrzeniu w sprzęt krawiecki i rymarski. Koła Polek włączyły się do wykonywania robót krawieckich i włóczkowych. Zorganizowano wigilijki dla legionistów w siedzibach szpitali i w Bystrzycy, gdzie stacjonował batalion zapasowy formujący uzupełnienia dla jednostek frontowych. Najbardziej reprezentatywne uroczystości

odbyły się w Jabłonkowie. Uczestniczyli w nich brygadier Józef Piłsudski i pułkownik Władysław Sikorski, społeczność miejscową reprezentowali komisarz wojskowy Tadeusz Reger oraz ksiądz pastor Franciszek Michejda. Pamiętano też o śląskich legionistach na froncie, którym za pośrednictwem porucznika intendenty II Brygady Hilarego Przepilińskiego, przesłano, poza żywnością i niezbędnymi w życiu żołnierskim drobiazgami, niezbędne w zimie dodatki do umundurowania.

Warto przypomnieć o wkładzie lokalnych drukarni w zaspokojenie potrzeb Legionów. Poza drukami dla potrzeb administracji wojskowej i szpitalnej wydano ponad 30 numerów pisma legionowego „Wiadomości Polskie”, „Kalendarz Legionisty” na rok 1915, podręcznik dla łącznościowców oraz całą serię pocztówek popularyzujących legionową sprawę.

Kadra legionowa opuściła Śląsk Cieszyński pod koniec stycznia 1915 roku. Wywołało to niełatwy problem uzyskania pozwoleń na pobyt na Śląsku dla kilkudziesięciu osób towarzyszących legionistom oraz dla personelu zlikwidowanych szpitali. Jeszcze trudniejszą sprawą było zapewnienie dachu nad głową, wyżywienia, a w konsekwencji pracy legionistom ze względów zdrowotnych zwolnionych ze służby, ale uznanych za zdolnych do pracy. Chodziło w pierwszej fazie o ponad setkę osób, a do połowy 1915 roku ilość potrzebujących pomocy zwiększała się. Bardzo pomocnymi w rozwiązywaniu tego trudnego problemu byli pracujący w zagłębiu inżynierowie — Polacy. Najwięcej w tej sprawie dokonał inżynier Józef Kiedroń z Dąbrowej.

Kolejne wielkie wyzwanie dla całej społeczności polskiej powstało w związku z napływem wielkiej fali emigrantów wojennych z Galicji. Przewalała się ona przez Śląsk Cieszyński od schyłku września, przemieszczała się na ziemie czeskie i w głąb Austrii. Wielu korzystało z pomocy Ślązaków; zatrzymywali się tu na stałe. W lutym 1914 roku ich liczba na Śląsku Cieszyńskim zbliżała się do 10 tysięcy. I wtedy władze krajowe oraz rady wielu gmin zażądały usunięcia przybyszów, o ile nie mają środków na pokrycie kosztów pobytu na Śląsku. Dzięki protestom przedstawicieli społeczności polskiej udało się zapobiec tym brzemienным w tragedie działaniom. Wiele zrobiono, by umożliwić przetrwanie imigrantom w miastach, wielu przyjęło do swych gospodarstw rolnicy. I tak dotrwali oni do lata, kiedy mogli powrócić w swoje strony.

Ciężary wojny zwały się na całą społeczność Śląska Cieszyńskiego, jak i na żołnierzy frontowych. Ciekawym dokumentem opisującym wegetację frontową są przechowywane w Książnicy Cieszyńskiej notatki frontowe Tadeusza Michejdy z 2 śląskiej kompanii 3 pułku legionów. Codzienna prasa przynosiła wieści o dziesiątkach poległych, a w okresach nasilenia się walk były to setki. Z frontu wracały rzesze kalek, chorych. Rosły ceny produktów spożywczych, coraz bardziej dotkliwym zjawiskiem był całkowity prawie brak żywności. Widmo głodu zaciążyło głównie nad skupiskami robotników. Próby oporu i protestów dławiała wojskowa administracja przedsiębiorstw, dysponująca, poza brutalnymi środkami, również bezwzględnością w ich stosowaniu oraz potężnym środkiem nacisku — zesłaniem na front.

I tak, latem 1915 roku, rzeczywistość bardzo daleko odbiegła od marzeń o łatwym zwycięstwie, politycznej ekspansji, czy narodowej wolności z pierwszych tygodni wojny. Dostawał niedostatek, często głód, gnębiła wojskowa dyktatura i rządy wszechwładnej biurokracji niemieckiej. Kielkowała też wiara, że mimo wszystko z tych potworności wyłonić się musi inny, lepszy świat.

WALKI NA FRONCIE CIESZYŃSKIM

Jedną z konsekwencji I wojny światowej był rozpad Austro-Węgier i ukształtowanie się w Europie Środkowej nowych państw narodowych. Niestety wyzwolenie ludów habsburskiej monarchii przyniosło nie tylko zniesienie dotychczasowej krzywdzącej je zależności politycznej, lecz spowodowało powstanie nowych konfliktów, szczególnie silnie odczuwanych na obszarach, gdzie krzyżowały się interesy poszczególnych narodowości.

Ludność polska Śląska Cieszyńskiego, choć politycznie podzielona w sprawach samostanowienia, wykazała się wyjątkową jednomyślnością. 19 października 1918 roku powołano Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego stanowiącą polityczną reprezentację ludności polskiej.

W nocy z 31 października na 1 listopada 1918 roku grupie oficerów narodowości polskiej udało się na drodze zbrojnego przewrotu przejąć kontrolę wojskową nad cieszyńskim garnizonem, a następnie nad większością obszaru Śląska Cieszyńskiego. Sukces ten był tym większy, iż oficerów-Polaków było w garnizonie liczącym ogółem 200 oficerów około trzydziestu. Co więcej, dokonał się on bez rozlewu krwi. Pomimo też wyraźnie już wyczuwalnej nieufności Polacy i Czesi współdziałali ze sobą. Zamach wojskowy pozwolił na faktyczne objęcie władzy Radzie Narodowej. Rada deklarowała, iż pragnie połączenia z odradzającą się Polską tej części Śląska Cieszyńskiego, której ludność była w większości polska. Oparła się więc na podstawach etnicznych. Czeskim odpowiednikiem Rady Narodowej był rezydujący w Ostrawie Zemský Národní Výbor pro Slezsko powstały w ostatnich dniach października 1918 roku. Strona czeska uzasadniała swoje roszczenia w odmienny sposób. Powoływała się na historyczną zależność Księstwa Cieszyńskiego od Królestwa Czeskiego. Innym znaczącym argumentem były względy ekonomiczne. Opierano się na tezie, że wysoko rozwinięty przemysł Czech potrzebuje Zagłębia Karwińskiego. Polityczno-ekonomiczne znaczenie miało posiadanie kolei koszycko-bogumińskiej łączącej ziemie czeskie ze Słowacją. Czesi zdawali sobie sprawę z posiadania przewagi na arenie międzynarodowej, gdzie rozstrzygające losy powojennej Europy państwa Ententy były skłonne udzielić poparcia stonie czechosłowackiej.

W pierwszych, jakże burzliwych i niepewnych dniach listopada decydowały jednak organy lokalne. Tu mniej liczyła się wielka polityka, bardziej przemawiały realne możliwości i lokalny potencjał dwóch stron. W tych warunkach 5 listopada podpisano umowę regulującą podział władzy i sposób współdziałania obu stron. Podstawą umowy było określenie przynależności politycznej powiatów, ewentualnie poszczególnych gmin. Radzie Narodowej w całości podlegały powiaty bielski i cieszyński. Národní Výbor kontrolował powiat frydecki. Podział powiatu frysztackiego był uzależniony od narodowościowego składu zarządów gmin. Umowa gwarantowała stronie czeskiej prawo do użytkowania odcinka kolei Bogumin-Mosty, co na płaszczyźnie wojskowej zezwalało na stacjonowanie oddziału wojsk czeskich w przynależnym do strony polskiej Boguminie w stosunku 1:2.

Umowa miała charakter tymczasowy, a rozstrzygnięcie ostatecznego podziału terytorialnego należało do władz w Pradze i Warszawie. Jednakże o ile strona polska dopuszczała korekty terytorialne o charakterze lokalnym, generalnie nie zamierzała

odstępować od rozgraniczenia „linią 5 listopada”. Strona czeska rozumiała tymczasowość jako prawo do odrzucenia umowy w całości. Znalazło to najpierw wyraz w nocy z 30 listopada 1918 roku skierowanej przez rząd Czechosłowacji do Komisji Likwidacyjnej w Krakowie, gdzie strona czeska deklarowała, że jedynie toleruje umowę z 5 listopada, by zapobiec anarchii, lecz domaga się, by strona polska szanowała suwerenne prawa Republiki do obszaru Śląska. Zaznaczono też, iż o uregulowaniu tej kwestii powinny zdecydować zainteresowane rządy, bądź konferencja pokojowa. Ostatecznie umowę strona czeska wypowiedziała 12 stycznia 1919 roku. Nie chciano czekać, tym bardziej, iż zapowiedziane na 26 stycznia wybory do sejmiku w Polsce, mające objąć także Śląsk Cieszyński, mogły stać się formą opowiedzenia się ludności za przynależnością do Polski.

Bardzo sprzyjającą okolicznością było przybycie z Włoch (2 dywizje) i z Francji (1 dywizja) tzw. *čs. legionářů* — legii czechosłowackiej sformowanej z byłych jeńców armii austro-węgierskiej (odpowiednik polskiej „Błękitnej Armii” gen. Józefa Hallera). Z sił tych dywizji „włoskie” wysłano na Słowację, natomiast dywizję „francuską” postanowiono użyć do zdobycia Śląska Cieszyńskiego (obok legii tworzone też oddziały na terenach czeskich w oparciu o garnizony byłej c.k. armii).

Zarówno władze Dowództwa Okręgu Generalnego w Krakowie, któremu podporządkowano polską część Śląska Cieszyńskiego w listopadzie 1918 roku, a także dowódca wojsk polskich na Śląsku gen. Franciszek Aleksandrowicz (dowodził od 5 do 17 listopada), jak i jego następcą płk. Franciszek Ksawery Latinik byli świadomi narastającego zagrożenia. Oficerowie ci domagali się przysłania pomocy militarnej i nakazali formowanie miejscowych oddziałów. Po pewnym czasie władze zwierzchnie zaczęły jednak interpretować zagrożenie jako demonstrację, za którą nie pójdzie agresja.

Jednostki, które zaczęto formować na Śląsku Cieszyńskim to: Pułk Piechoty Ziemi Cieszyńskiej (późniejszy 10 p.p.) z garnizonem w Cieszynie. W Bielsku powstały dywizjon 2. Pułku Szwoleżerów i 2. Batalion Strzelców. Śląsk otrzymał także niewielką pomoc z zewnątrz. Już w listopadzie i grudniu 1918 roku. Eskadra Bojowa (późniejsza 5. Eskadra Wywiadowcza) z lotniska Kraków-Rakowice wykonywała loty rozpoznawcze nad Śląskiem. Podobne zadania wykonywała 9. Eskadra Wywiadowcza w styczniu 1919 roku. W grudniu przybył też batalion Pułku Piechoty Ziemi Wadowickiej (późniejszego 12 p.p.).

Walki odradzającej się Polski na wszystkich granicach położyły się cieniem na losach Śląska Cieszyńskiego. 8 stycznia 1919 roku odesłano najlepszy 3. batalion Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej pod Lwów, a 10 stycznia wycofano do Olkusza dwie kompanie z Pułku Piechoty Ziemi Wadowickiej.

W przeddzień rozpoczęcia działań zbrojnych wzajemny stosunek sił wojskowych był następujący:

Oddziały czeskie: 17 batalionów piechoty, 2 szwadrony kawalerii i 4 baterie artylerii. Razem było to wg szacunków dowództwa polskiego 14—16 tys. żołnierzy (częściowo jeszcze w transportach). Siły te tworzyły kilka zgrupowań stosownie do zamierzonych kierunków działań. Położenie geograficzne pozwalało stronie czeskiej na wykonanie koncentrycznego ataku z dwóch kierunków — od zachodu i od południa. Początkowo plan przygotowany przez ppłka Šnejdárka przy pomocy francuskiego doradcy ppłka Gillaine’a wykorzystywał tę sposobność. Wyraźnie jednak główne uderzenie zamierzano skierować na obszar Zagłębia Karwińskiego wraz z węzłem kolejowym Bogumin. Uformowano tu dwa zgrupowania: mjr. Blachy atakujące Bogumin z dalszą osią natarcia Piotrowice-Dziedzice obejmujące w pierwszej linii batalion bogumiński (dow. mjr Sýkora), 3. batalion 21. p.p. leg. i 2. batalion 54. p.p. Drugie zgrupowanie mjr. Vlasaka miało posuwać się po linii Orłowa—Karwina—Frysztat—Cieszyn. Obejmowało ono batalion orłowski, 1. batalion 93. p.p., 2. batalion 21. p.p. leg. ponadto współdziałać miał z nimi 3. batalion 21. p.p. leg. skierowany na Bogumin. Odwody tych dwóch zgrupowań stacjonowały w rejonie

Morawskiej Ostrawy, bądź były jeszcze w transportach. Stanowiły je: 1. batalion 21. p.p. leg., 17. batalion strzelców, 1. batalion 11. p.p., 1. batalion 28. p.p. i 2. batalion 33. p.p. leg.

Uderzenie o charakterze pomocniczym miało wykonać na południu po osi Mosty—Jabłonków—Cieszyn zgrupowanie kpt. Aujezdskiego, (obejmujące 2. i 3. bataliony 35. p.p. leg., baterię artylerii (2/1 p.a.p. — 2. bateria 1. pułku artylerii polowej) oraz pociąg pancerny.

We Frydku znalazł się 1. batalion 3. p.p., który jednak ze względu na szczupłość sił spełniał raczej rolę przesłony. Ponadto w miejscowości Uherské Hradiště stacjonowały trzy bataliony 2. Brygady Strzelców (12., 13., 14.).

Sily polskie na Śląsku Cieszyńskim były znacznie słabsze, stanowiły równowartość nieco ponad 3. batalionów, 2. szwadronów kawalerii (jeden spieszony) i jedną baterię artylerii (tylko 4 działa). Nie było to więcej niż 3—4 tysiące żołnierzy pełniących przede wszystkim rolę osłony granic, wartowniczą i będące dopiero w trakcie szkolenia (istniały bowiem co najwyżej od niespełna trzech miesięcy).

W Boguminie stacjonowały 9. i 11. kompanie Pułku Piechoty Ziemi Wadowickiej pod dowództwem kpt. Mielnika, który podlegał ppłk. Mroczkowskiemu będącemu komendantem placu w Boguminie (wg płka Latinika 320 żołnierzy). W Zagłębiu Karwińskim stacjonował 1. batalion Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej pod dowództwem mjr. Topolińskiego wsparty dwudziałowym plutonem artylerii i plutonem 2. pułku szwoleżerów (35 kawalerzystów). Zwierzchnikiem tych sił był ppłk. Springwald.

W Cieszynie, poza Dowództwem Okręgu Wojskowego Śląskiego (po 23 stycznia przekształconym w Dowództwo Frontu Śląskiego ze sprawującym naczelne dowództwo płk. Franciszkiem Latinikiem) stacjonował 2. batalion Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej, dowództwo pułku, kompanie: szturmowa, techniczna oraz pluton artylerii. Razem około 700 żołnierzy.

W Jabłonkowie ochraniał przełęcz pluton piechoty. W Skoczowie znajdowała się 2. kompania Pułku Piechoty Ziemi Wadowickiej (tylko 75. żołnierzy). W Bielsku stacjonował dywizjon 2. pułku szwoleżerów (2 szwadrony, w tym jeden konny) i kompania formującego się 2. (samodzielnego) Batalionu Strzelców.

Od początku listopada istniała Milicja Polska Śląska Cieszyńskiego, której organizatorem i komendantem był por. Jerzy Szczurek. W jej skład wchodziło ok. 6000 milicjantów, z których sam por. Szczurek zakładał użyć do ewentualnych działań wojennych „w polu” ok. 1300. Płk. Latinik uważał, że będzie można użyć nie więcej jak 600 zapewne w działaniach nie walczyło więcej niż tysiąc). Słabością milicji ludowych był brak większego wyszkolenia na szczeblu pododdziałów od kompanii wzwyż. Poza tym dowództwo polskie — płk. Latinik jeszcze bardziej jego zwierzchnicy z Krakowa i Warszawy postrzegali takie oddziały jako potencjalne zagrożenie (ruchy rewolucyjne). Tak więc wydawano jej niedostateczne ilości broni starych typów. Upředzeń tych nie dzielali oficerowie ze Śląska Cieszyńskiego, nie byli oni jednak w stanie przekonać dowództwa do patriotyzmu i wysokiego poziomu świadomości ludności śląskiej. Milicja Polska formalnie posiadała strukturę wojskową. Tworzyły ją 3 bataliony z dowództwem w Cieszynie (1. baon, kompanie w Cieszynie, Trzyńcu, Jabłonkowie, Istebnej i Gnojniku), we Fryszacie (2. baon, kompanie we Fryszacie, Karwinie, Dąbrowie, Boguminie i Suchej Górnej) i w Bielsku (3. baon, kompanie w Bielsku, Dziedzicach, Strumieniu, Skoczowie i Ustroniu). 3. batalion był najsłabszy i tuż przed wybuchem walk większość jego kompanii rozwiązano. Wpływało na to zarówno oddalenie od obszaru ścierania się interesów polskich i czeskich, jak i skład etniczny powiatu bielskiego, gdzie spory procent stanowiła ludność niemiecka. Spore wpływy miała tam też Śląska Partia Ludowa Józefa Koźdonia, który występował przeciw przynależności Śląska Cieszyńskiego do Polski (W czasie działań zbrojnych wykorzystano z tego batalionu jedynie kompanię dziedzicką, jednak tylko do zadań pomocniczych).

Działania wojenne strona czeska poprzedziła próbą wymuszenia wycofania sił polskich na rzekome żądanie koalicji. Przed południem 23 stycznia zjawilo się w Cieszynie czterech oficerów Ententy oraz ppłk. Snejdárek i domagało się od przedstawicieli Rady Narodowej oraz płka Latinika ewakuacji wojska polskiego w ciągu dwóch godzin. Śląsk Cieszyński miały obsadzić wojska państw koalicji i czeskie. Początkowo polska strona została zdezorientowana, lecz płk. Latinik odmówił wycofania się i uzyskał potwierdzenie tego rozkazem obrony z D.O.G. w Krakowie i Sztabu Generalnego w Warszawie. Przez kilka dni na drodze dyplomatycznej wyjaśniano tę mistyfikację, między innymi przez misje koalicji przebywające w Polsce generała francuskiego Barthelemy i brytyjskiego pułkownika Wade. Podstęp ten został zdemaskowany, lecz nawet przybycie do Cieszyna i Morawskiej Ostrawy 24—25 stycznia mjra Rawlingsa nie było w stanie powstrzymać najazdu.

Pierwsze walki rozpoczęły się, nim do Cieszyna przybyła „misja koalicyjna”. Już w godzinach rannych 23 stycznia doszło do starć z placówkami granicznymi w Pudlowie. Na Bogumin maszerował batalion bogumiński mjra Sýkory. Żołnierze polscy w Boguminie nie dali się zaskoczyć. Kpt. Mielnik nakazał rozbroić czeską kompanię stacjonującą w Boguminie, co zrealizowano (poległo dwóch polskich żołnierzy). Jeńców odesłano do Pawłowic. Po nadciągnięciu oddziału Sýkory powtórzył się scenariusz z Cieszyna. Ppłk. Mroczkowski otrzymał ultimatum wycofania się na żądanie przedstawicieli Ententy. Polski dowódca skomunikował się z płk. Latinikiem otrzymując rozkaz obrony. Polskie kompanie wraz z niewielkimi siłami milicji ppor. Guziura broniły rejonu dworca. Ppłk. Mroczkowski dał się jednak zwodzić dalszymi pertraktacjami. Sytuacja zaś uległa gwałtownemu pogorszeniu, gdy przybyły dwa dalsze czeskie bataliony (3/2 p.p.leg., 2/54 p.p.). W tej beznadziejnej już sytuacji zawarto układ pozwalający się wycofać polskim oddziałom w zamian za uwolnienie kompanii czeskiej. Po jej powrocie z Piotrowic Czesi jeszcze raz nie dotrzyмали umowy i wzięli do niewoli siły polskie. Konsekwencją zajęcia Bogumina i utraty jego załogi było zajęcie wieczorem przez wojska czeskie Piotrowic. Na osi marszu w kierunku Dziedzic nie stały już żadne polskie oddziały. Dowódcy czescy nie wykorzystali jednak tej okazji. Postanowili skupić się na ataku z flanki na oddziały broniące Zagłębia.

Walki w Zagłębiu Karwińskim rozpoczęły się po południu 23 stycznia. 3 kompanie 1. batalionu Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej, wsparte wyjątkowo silnymi liczebnie i zdeterminowanymi oddziałami milicji, przygotowały się do obrony budynków dworców kolejowych w Dąbrowie i Karwinie oraz szybów kopalń. Bojowy dowódca ppłk. Springwald, wiedząc już o walkach w Boguminie, planował nocny atak w kierunku tego węzła kolejowego, jednak nie doszło do tego, gdyż obrońców Zagłębia zaatakowały 4 bataliony czeskie (bogumiński, 1/93 p.p., 2. i 3. 21 p.p. leg.). Pomimo że dysproporcja sił była wyraźna, walki były niezwykle zacięte. Szyb Henryka przechodził z rąk do rąk. Do wieczora Polacy utracili m.in. dworzec w Dąbrowie oraz szyby: Eleonory, Bettiny, Henryka i Głęboki. Obroniono natomiast dworzec w Karwinie oraz szyby Hoheneneggera i Franciszka. W nocy (sytuacja pogorszyła się, gdyż oddziały zgrupowania mjra Blachy (2/54 p.p., 3/21 p.p. leg.) zaatakował Frysztat, a następnie rankiem natarł w kierunku Karwiny. Obrona przed dwustronnym atakiem była na dłuższą metę niemożliwa i ppłk Springwald po porozumieniu się z dowództwem rozpoczął odwrót. Początkowo zamierzał bronić się w Kaczycach, lecz sytuacja zmusiła go do wycofania się do Pogwizdowa. Straty (przede wszystkim wzięci do niewoli) były bardzo duże. Z 1. batalionu cieszyńskiego pułku pozostało 150. żołnierzy. Wycofało się też ok. 160 milicjantów, których wcielono do oddziałów regularnych. Oddziały czeskie nie kontynuowały pościgu za wycofującymi się, angażując się w konsolidację zdobytego terenu.

Z walkami w Zagłębiu wiązała się także obrona Górnej Suche, gdzie placówka wojskowa, wsparta przez trzydziestosobowy oddział milicji, została zaskoczona i częściowo wzięta do niewoli. Niedobitki wyprowadził dowódca oddziału milicji ppor. Paweł Pawlas do Olbrachcic, gdzie z ochotników odtworzył oddział.

Także 23 stycznia doszło do walk w rejonie Mostów i Jabłonkowa, gdzie oddziały czeskie w sile dwóch batalionów (2 i 3/35 p.p. leg.), wsparte baterią artylerii i pociągami pancernymi, zepchnęły słabe ubezpieczenia obejmujące zaledwie pluton piechoty i ok. trzydziestu milicjantów, które jednak zdołały dokonać zniszczeń linii kolejowej. Atak został powstrzymany 24 stycznia w Bystrzycy przez kompanię milicji z Trzyńca pod dowództwem ppor. Sojki. Za cenę dużych strat udało się powstrzymać zagrożenie dla Cieszyna od strony południowej. Dowództwo czeskie postanowiło zrezygnować z walki na tym kierunku, a siły te przenieść na północne skrzydło. Dzięki temu wysłany z Cieszyna oddział mjr. Zömera obsadził granicę pod Mostami. Dokonał powtórnych zniszczeń linii kolejowej (obawiając się ponownego ataku). Pozostawiona tu 6. kompania (żywiecka) Pułku Piechoty Ziemi Wadowickiej, na skutek zmiany położenia na innych odcinkach frontu, wycofała się 26 stycznia przez Milówkę na linię obrony pod Skoczowem.

Cofające się z Zagłębia oddziały wojska i milicjanci, wsparci 24 stycznia słabymi posiłkami obejmującymi cztery kompanie piechoty i szwadron kawalerii, zorganizowały linię obrony Pogwizdów—Łąki—Stonawa—Olbrachcice mającą chronić od północnego zachodu Cieszyn. Oddziały czeskie nie wykorzystały słabości rozbitych polskich oddziałów i nie podjęły w dniach 24—25 stycznia żadnego poważniejszego ataku na tę linię. Nie próbowały nawet posuwać się na wschód wzdłuż linii kolejowej do Dziedzic, gdzie w tych dniach nie było żadnych oddziałów mogących je powstrzymać. Część oddziałów podlegała przegrupowaniom, inne zabezpieczały obiekty przemysłowe i tłumy wystąpienia ludności.

Dowództwo w Krakowie, rozumiejąc zagrożenie, jakie stanowiło odsłonięcie obszaru między Pogwizdowem a Zebrzydowicami, skierowało tam dwustupięćdziesięcioosobowy oddział kpt. Hallera, o którego działaniach nie wiedział nic płk. Latinik w Cieszynie, bowiem oba te zgrupowania nie nawiązały ze sobą łączności. Nie istniało też jakiejkolwiek ich współdziałanie. Strona polska otrzymała też inne posiłki, przeważnie były to pojedyncze kompanie z różnych jednostek prosto z transportów kierowane do linii. Łącznie siły, jakimi dysponował płk. Latinik 26 stycznia, obejmowały: 26 kompanii piechoty, 2 szwadrony kawalerii (jeden spieszony) i 6 dział. Wojska czeskie to 18 batalionów piechoty i 3 baterie artylerii.

26 stycznia oddziały zgrupowania mjr. Blachy (obejmujące 5 batalionów) podjęły atak na Zebrzydowice i Kończyce Małe. Czeskie bataliony: 17 strzelców, 3/21 p.p. leg. i 2/8 p.p. rozbiły tutaj oddział kpt. Hallera, który został śmiertelnie ranny. Większość jego żołnierzy dostała się do niewoli, część, zupełnie rozbita, uległa rozproszaniu. Jednak strona czeska znów nie wykorzystała swego sukcesu i nie kontynuowała ataku, by okrążyć siły polskie pozostające w rejonie Cieszyna.

Zgrupowanie mjr. Vlasaka (3 bataliony) zaatakowało tego samego dnia Stonawę i Łąki. O ile natarcie na Łąki 2. i 3. batalionu 21 p.p. leg. zostały przez polskie oddziały powstrzymane, to walki o Stonawę przyniosły po dłuższych zmaganiach rozbić 11. kompanii Pułku Piechoty Ziemi Wadowickiej. Porażka ta doprowadziła też do konieczności odwrotu z Olbrachcic, których nie była w stanie obronić mała liczebnie obsada złożona ze szwoleżerów i oddziału milicji ppor. Pawłasa. Porażki strony polskiej w tym dniu przesadziły o konieczności odwrotu na linię Wisły, gdyż obrona Cieszyna, przy istniejącej dysproporcji sił, doprowadziłaby do okrążenia oddziałów dowodzonych przez płk. Latinika. W nocy z 26 na 27 stycznia linie obronne i Cieszyn opuściły oddziały polskie. Wraz z nimi z Cieszyna do Bielska wyjechała Rada Narodowa (dr Michejda pozostał w Cieszynie). Oddziały czeskie nie podejmowały żadnych działań, nawet rozpoznawczych, i nie orientowały się w wykonanym przez stronę polską manewrze. Przygotowywano plan natarcia na Cieszyn i zaczęto go realizować 27 stycznia. Pomimo braku jakiegokolwiek oporu, pierwsze oddziały wkroczyły do miasta około godziny 12.

Siły, jakimi dysponował po dokonaniu odwrotu płk. Latinik, były nieliczne i wyczerpane fizycznie. W dniu 28 stycznia ich stan głównodowodzący obliczał na zaledwie 71 oficerów i ok. 1400 szeregowych wspartych 14 działami.

Linia obrony biegła od Strumienia wzdłuż Wisły do Ochab, od Wiślicy obrona wysunięta była na linię wzgórz i biegła przez Simoradz, Wilanowice, Międzyświeć, Mirową Górę i Kisielów, skąd kierowała się do rzeki Wisły w Nierodzimiu. Odcinek północny wzdłuż Wisły do Ochab objął płk. Springwald. Dysponował on sześcioma kompaniami piechoty i jedną baterią artylerii. Pozycja główna podlegała bezpośrednio płk. Latinikowi, który na tym odcinku gromadził większość sił starając się w miarę napływania kolejnych oddziałów utworzyć znaczniejszy odwód. W dniu 27 stycznia nie było żadnych walk, gdyż wojska obu walczących stron nie nawiązały ze sobą kontaktu bojowego. Siły polskie umacniały linię obronną. Podjęto także budowę drugiej linii obronnej Rudzica—Iłownica—Bielowicko—Grodziec—Górki Małe. Dowództwo Frontu starało się też umożliwić wypoczynek, zwłaszcza tym oddziałom, które walczyły już kilka dni.

Dowództwo czeskie skierowało do pierwszej linii 12 batalionów piechoty wspartych kilkoma bateriami artylerii. Ponadto w obwodzie pozostawało 9 batalionów i 1 bateria. W dniu 28 stycznia oddziały te zaczęły zbliżać się do polskich linii obronnych, co pociągnęło za sobą starcia patroli i wymianę ognia artyleryjskiego. Oddziały czeskie ze zgrupowania płka Hanáka zajęły Ogródkę i Łączkę. Na odcinku północnym podejmowane były próby forsowania Wisły pod Drogomyślem i Ochabami. Obie nie udały się, a strona polska przeprowadziła wypad pociągu pancernego „Hallerczyk” w kierunku Pruchnej. Identyczne działania na tym odcinku miały miejsce w dniu następnym (29.01). Na głównej pozycji pod Skoczowem doszło do kolejnych walk (głównie ogień artyleryjski) w Ogródku, Łączce i Międzyświeciu. Oddziały czeskie starały się zbliżyć do polskich linii na odległość, z jakiej można przeprowadzić szturm. Nastąpiły starcia patroli w Golezowie — czeski 3. batalion 28. p.p. zajął wzgórze Chelm, a 1 batalion 35 p.p. leg. wkroczył do niebronionego Ustronia.

Dzięki napływowi w dniach 28—30 stycznia dość dużych posiłków oddziały polskie zwiększyły się do stanu: 35 kompanii piechoty, 3 szwadrony kawalerii, 5 baterii artylerii, pociąg pancerny — ok. 4200 ludzi, 18 dział.

Dowódca wojsk czeskich płk. Šnejdárk wyznaczył termin generalnego szturmu na godz. 7 w dniu 30 stycznia. Przed rozpoczęciem natarcia w pierwszej linii zgromadził 15 batalionów. Walki na odcinku północnym wzdłuż Wisły toczyły się pomiędzy zgrupowaniami mjr. Blachy i płk. Springwalda. Ze strony atakujących działania nie były prowadzone zbyt energicznie. Oddziały czeskie dotarły jedynie do polskich linii obronnych, lecz nigdzie im poważnie nie zagroziły. Wycofanie tych oddziałów zostało przyspieszone przez wypad pociągu pancernego „Hallerczyk”, który tym razem dotarł aż do stacji kolejowej w Pruchnej.

Na głównej linii obrony bataliony zgrupowania ppłk. Hanáka zajęły Iskrzyczyn, a następnie atakowały Simoradz i pozycję na Mirowej Górze. Ataki te nie przyniosły skutku w postaci przełamania polskich pozycji. W czasie walk o Simoradz polska artyleria była zmuszona zbombardować szkołę w Dębowcu, z której oddziały czeskich karabinów maszynowych prowadziły bardzo skuteczny ogień.

Największe zagrożenie dla polskich oddziałów stanowiły ataki prowadzone na południe od Skoczowa w rejonie Kisielowa, gdzie 3 batalion 35 p.p. leg. dokonał włamania w polską linię zdobywając wzgórze 340. Sukces ten był jednak chwilowy, gdyż uderzenie dopiero co przybyłego na front polskiego 3. batalionu 7. p.p. pozwoliło odzyskać teren. Ponowne przerwanie frontu groziło po zdobyciu Nierodzimia, którego broniły słabe oddziały polskie. Płk. Latinik skierował z odwodów dla powstrzymania nieprzyjaciela osiem kompanii Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej oraz baterię artylerii. Oddziały czeskie jednak nie podejmowały prób wykorzystania tego sukcesu i rozpoczęły odwrót. Wieczorem zrezygnowały one z dalszych prób dokonania przełamania. Strona

polska nie posiadała już żadnych rezerw, aby przeprowadzić kontratak i wyzyskać sukces w bitwie obronnej.

Plan strony polskiej miał charakter defensywny. Nawet chwilowe zagrożenie, powstałe w czasie walk 30 stycznia, powodowało przygotowania do cofnięcia się na drugą linię obrony. Wyższe władze wojskowe w Krakowie i Warszawie nadsyłały posiłki, które mogły wystarczyć jedynie do powstrzymania czeskiego ataku. Nie były jednak wystarczające do odzyskania utraconych terenów po „linię 5 listopada”. Obrona Śląska nie była priorytetem. Polskie wojska wysyłano przede wszystkim do Galicji Wschodniej. Polityka polska sprawę uregulowania granic zachodnich składała w ręce dyplomacji na obradującej w Wersalu Konferencji Pokojowej. Fakty dokonane na drodze walki zbrojnej postanowiono stworzyć jedynie na wschodzie. Odmienne niż w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku, gdzie powstania wymusiły na dyplomatach korzystniejsze dla strony polskiej decyzje, działacze ze Śląska Cieszyńskiego nie poprowadzili ludności do takiego wystąpienia.

Strona czeska, po opanowaniu kluczowych dla niej obszarów — okręgu przemysłowego i kolei koszycko-bogumińskiej, nie była już skłonna do kontynuowania walk. Takie stanowisko tłumaczyło zarówno niezbyt energiczne prowadzenie działań w dniu 30 stycznia, jak i zaproponowanie jeszcze w tym samym dniu zawarcia rozejmu. Propozycja ta została przez płka Latinika i jego zwierzchników przyjęta.

Mocarstwa rozmowy na temat kwestii cieszyńskiej podjęły już 29 stycznia, a 3 lutego zawarto tzw. umowę paryską ustalającą nową linię demarkacyjną do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia konfliktu. Linia ta pokrywała się generalnie z przebiegiem kolei koszycko-bogumińskiej, której odcinek od Cieszyna na południe kontrolowała strona polska, odcinek północny czeska. Po stronie polskiej pozostawały miasta Cieszyn, Frysztat i Jabłonków. Obsadzenie tej prowizorycznej granicy przez formacje polskie nastąpiło 26 lutego. W Cieszynie zjawiała się Komisja Międzysojusznicza.

Polityczne wysiłki wokół zakończenia sporu ciągnęły się przez wiele miesięcy. Przedstawiane projekty nie były akceptowane. 27 września 1919 roku Rada Najwyższa zadecydowała o przeprowadzeniu na spornym obszarze plebiscytu. W styczniu 1920 przybyła na Śląsk Cieszyński (oraz Spisz i Orawę) Międzysojusznicza Komisja Plebiscytowa a z nią oddziały francuskie i włoskie. Wojska polskie i czeskie wycofano. Jednak antagonizm polsko-czeski się nasilał, a data przeprowadzenia głosowania była stale przesuwana. W dramatycznych okolicznościach, gdy armia Tuchaczewskiego zbliżała się ku Warszawie, zabiegający o pomoc zachodnią rząd polski Stanisława Grabskiego na konferencji w Spa zmuszony został 14 lipca 1920 do odstąpienia od rozwiązania sporu na drodze plebiscytu i podporządkowania się decyzji Rady Ambasadorów. Decyzja została ogłoszona 28 lipca. W jej wyniku Śląsk Cieszyński został rozcięty granicą, która pozostawiała w całości po stronie czeskiej Zagłębie Karwińskie oraz linię kolejową Bogumin—Mosty, a także ponad stu tysięcy grup ludności polskiej.

Zarówno treść jak i okoliczności decyzji wywołały wśród Polaków poczucie krzywdy, dlatego też kwestia cieszyńska nie pozostała wcale zamknięta i była nadal źródłem konfliktu czesko-polskiego.

KAROL KAJZER

Z DZIEJÓW GMINNEJ SPÓŁDZIELNI W SKOCZOWIE

W 1999 roku przypada 50-lecie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Skoczowie. Jej początki przypadają na okres kiedy, w wyniku wprowadzania gospodarki uspołecznionej, większość placówek handlowych i usługowych, dotychczas prywatnych, została już przejęta przez instytucje spółdzielcze. Kończył się pierwszy etap uspołecznienia, określany „bitwą o handel”.

W Skoczowie już od czerwca 1945 roku prowadziła działalność Spółdzielnia Ludowa (późniejsza Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem”) oraz cieszyńska „Zagroda”, zajmująca się zaopatrzeniem rolnictwa.

Za Zjeździe Chłopskim, w grudniu 1944 roku powstała w Lublinie organizacja polityczno-gospodarcza Związek Samopomocy Chłopskiej, który przystąpił do organizowania handlu wiejskiego za pośrednictwem gminnych spółdzielni. Ich zadaniem było zaopatrzenie wsi w podstawowe artykuły spożywcze i przemysłowe, artykuły do produkcji rolniczej — sprzęt, narzędzia i maszyny rolnicze, nawozy mineralne, środki ochrony roślin, nasiona, opał, materiały budowlane. Do gminnych spółdzielni należał również skup i odbiór płodów rolnych od rolników.

Skoczów stanowił znaczące centrum handlowe i obrotu rolnego dla okolicznych wsi, posiadał właściwą lokalizację magazynów, możliwości w zakresie zaopatrzenia i odbioru produktów rolnych. Odbýwały się w mieście cotygodniowe targi, na które przyjeżdżała ludność wiejska z sąsiednich i dalszych miejscowości. Był też Skoczów ośrodkiem administracyjnym, jako siedziba gminy zbiorowej.

W drugiej połowie 1948 roku, w rezultacie nowej ustawy o spółdzielczości, w Cieszynie powstał Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni (PZGS) „Samopomoc Chłopska”, zrzeszający istniejące już w powiecie cieszyńskim gminne spółdzielnie i tworzący dla nich bazę zaopatrzenia hurtowego. W Katowicach istniał już wojewódzki Związek (WZGS). Struktura spółdzielczości „Samopomocy” była tym samym ukształtowana.

Zebranie w celu utworzenia Gminnej Spółdzielni w Skoczowie odbyło się 7 grudnia 1948 roku w lokalu restauracji Małysza, przy obecności 21 osób. Spotkaniu przewodniczył Józef Sabela. Uczestnicy podjęli uchwałę o założeniu Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” na obszar gminy zbiorowej Skoczów. Przyjęto wzorcowy statut Spółdzielni oraz uchwałę o przystąpieniu do Związku Spółdzielczości RP. Wybrano również 12-osobową Radę Nadzorczą, do której weszli: Jan Tobiasiewicz, Józef Byłok, Julia Jurkiewicz, Jan Husar, Adam Hausoter, Franciszek Strządała, Jan Chodura, Andrzej Kwapniewski, Helena Krzok, Ludwik Ciemała, Paweł Polok i Alojzy Zajac. Wysokość udziału członkowskiego uchwalono w wysokości 300 złotych. Przyjęto również maksymalną sumę zadłużenia Spółdzielni do wysokości 15 milionów złotych.

Pierwszym zadaniem było przygotowanie formalności do uregulowania stanu prawnego Spółdzielni i podjęcie kroków przygotowawczych do uruchomienia placówek handlowych. Postanowieniem Sądu Okręgowego w Cieszynie z 28 marca Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” w Skoczowie wpisana została do rejestru z datą 1 kwietnia 1949 roku z wyszczególnieniem składu zarządu w osobach: Jan Koźdoń,

Józef Nawrat, Stefan Pabiś, Józef Pernes i Józef Sabela. W tym samym dniu Gminna Spółdzielnia przejęła magazyn skupu zboża w dawnej „Raiffeisence” przy ul. Targowej od Spółdzielni „Zagroda”. Urządzono tam również pomieszczenia dla zarządu i księgowości. Od Witoszka Spółdzielnia przejęła magazyn z węglem i materiałami budowlanymi przy dworcu kolejowym. W budynku restauracji przy targowisku urządzono biuro sprzedaży i kasę.

2 kwietnia, na wspólnym posiedzeniu Rady Nadzorczej i Zarządu dokonano ukonstytuowania i podziału funkcji członków zarządu. Przewodniczącym Gminnej Spółdzielni, czyli prezesem został Jan Koźdoń, zaś wiceprezesem Józef Pernes, który objął ogólne kierownictwo i prowadzenie działu handlu. Józef Nawrat został odpowiedzialnym za skup i akcję „H”. Za sprawy kadrowe odpowiedzialność przejął członek zarządu Stefan Pabiś, a Józef Sabela został sekretarzem i przejął nadzór nad Spółdzielczym Ośrodkiem Maszynowym. Omówiono także sprawy związane z przejęciem części dotychczasowych członków Spółdzielni Ludowej.

W tydzień później, na kolejnym posiedzeniu, Zarząd podjął decyzję o wykupieniu kart rejestracyjnych na przejęte placówki a ponadto na sklep spożywczy w dawnej arendzie w Pogórze wraz z koncesją na piwo i wino oraz na sklep artykułów chemicznych i gospodarstwa domowego na rynku. Sklep ten przejęty został przez Gminną Spółdzielnię z dniem 1 lipca 1949 roku. Dokonano otwarcia konta w PKO w Skoczowie oraz w Państwowym Banku Rolnym w Cieszynie. Można zatem było rozpocząć starania o przyznanie kredytu na rozwój Spółdzielni. Podpisano również deklarację na członka Centrali Rolniczej „Samopomoc Chłopska” w Warszawie.

Pierwsze miesiące były okresem bardzo trudnym dla Spółdzielni. Wiele kłopotów przysparzało kierownictwu zwłaszcza przejmowanie placówek od dotychczasowych użytkowników. Spółdzielnia Ludowa starała się utrzymać swoje placówki w mieście a także na wsi, gdzie obok istniejących już sklepów GS-owskich „Ludówka” również prowadziła sklepy. Spółdzielnia Ludowa bowiem jako pierwsza organizowała handel na wsi. Sytuacja wówczas wymagała więc porozumień ze Związkiem Rewizyjnym Spółdzielczości w Katowicach, aby Gminna Spółdzielnia mogła uruchomić w Skoczowie sklep spożywczy, tekstylny i artykułów żelaznych. 8 maja zapadła decyzja o przejęciu sklepu żelaznego u Karcha na Rynku oraz sklepu przy ul. Bielskiej, z przeznaczeniem na tekstylia i wełnę. Przy ulicy Targowej GS wydzierzała dwie stajnie na pomieszczenia dla skupionych od rolników zwierząt gospodarskich. W wyniku starań w Urzędzie Ziemijskim w Cieszynie Gminna Spółdzielnia przejęła Spółdzielczy Ośrodek Maszynowy (SOM) w Pogórze.

W tym czasie działalność placówek Gminnej Spółdzielni przynosiła już pierwsze rezultaty. W kwietniu, czyli w pierwszym miesiącu działalności, Spółdzielnia uzyskała 8 milionów złotych obrotu. Wymagało to odpowiedniej obsługi dokumentacyjnej. Sytuacja w skupie i kontraktacji pozostawiała wiele do życzenia i wymagała uporządkowania i nadrobienia zaległości. Tymczasem warunki pracy kierownictwa były bardzo trudne. Przede wszystkim brakowało wykwalifikowanych pracowników, zwłaszcza w księgowości, nie było głównego księgowego, brak też było niezbędnych urządzeń biurowych — maszyn do pisania, liczenia i innych. Członkowie zarządu wykonywali w pierwszych tygodniach swoją pracę społecznie, nie pobierając wynagrodzenia, toteż byli nawet gotowi zrezygnować z funkcji. W tej sytuacji kierownictwo PZGS zaleciło zatrudnić dwóch stałych członków zarządu na pełny etat — Józefa Pernesa, wiceprezesa ds. handlu, i Juliusza Pietrzaka, który przejął dział skupu. Przyjęto również na trzymiesięczny okres próbny Stanisława Fajera, na kierownika Akcji „H” i Ośrodka Maszynowego, Rudolfa Raszkę na głównego księgowego i Adama Wachowskiego na magazyniera i kierownika punktu skupu.

Na dłuższą metę istnienie małych spółdzielni nie miało racji bytu. Zwłaszcza, że w miejscowościach sąsiednich w Piersćcu, Ochabach i Nierodzimiu — działały odrębne, równie małe spółdzielnie. Istniała zatem konieczność unifikacji w większe i silniejsze

jednostki gospodarcze. Przygotowaniem do połączenia zajął się Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni w Cieszynie.



Jak wynika z zapisów gromadzkiej kroniki Pierścica, już w maju 1945 roku powstała tam Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”. Prezesem został Franciszek Kocur; w poniemieckim baraku urządzono siedzibę Spółdzielni oraz uruchomiono sklep.

Z protokołów wynika jednak, że oficjalne zebranie założycielskie odbyło się dopiero 9 lipca 1945 roku. Uczestniczyło w nim 36 osób, a przewodniczył zebraniu Franciszek Kocur. Obecni przejęli wzorcowy statut Gminnej Spółdzielni, uchwalili wysokość wpisowego (10 złotych) i wybrali 9-osobową Radę Nadzorczą, do której weszli: Adam: Mencnarowski jako przewodniczący, Józef Boryś — zastępca przewodniczącego, Józef Wrona — sekretarz oraz Albin Waliczek, Franciszek Holisz, Alojzy Sosna, Florian Stroka, Paweł Sikora i Teofil Zmełty — członkowie. Powołano 5-osobowy zarząd w składzie: Franciszek Kocur — przewodniczący, Rudolf Tomanek — wiceprzewodniczący oraz Franciszek Feret, Stanisław Szczotka i Józef Knypys — członkowie zarządu.

Działalność GS obejmowała miejscowości Pierściec, Kowale i Kiczyce. Była jedną z pierwszych spółdzielni na ziemi cieszyńskiej, lecz zarejestrowana została w Sądzie Okręgowym w Cieszynie dopiero 29 listopada 1945 roku. Spółdzielnia była w posiadaniu młyna elektrycznego, który w marcu 1946 roku wdzierżawiła na trzy lata Romanowi Wojciechowskiemu a wkrótce dzierżawę przeniosła na Franciszka Musioła. W 1949 roku GS zrzeszała 180 członków.

Uchwałę o połączeniu z Gminną Spółdzielnią w Skoczowie podjęto 29 czerwca 1949 roku na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu GS, w którym uczestniczyło 57 delegatów. Wybrano wtedy 20 delegatów z Pierścica i 7 z Kowali na Walny Zjazd Przedstawicieli w Skoczowie.



Zebranie założycielskie GS „Samopomoc Chłopska” w Ochabach dla gminy Ochaby-Wiślica odbyło się 19 sierpnia 1945 roku. Członkostwo zadeklarowało zaledwie 20 osób, gdyż, jak odnotowuje kronikarz, *większa część obywateli nie wierzyła poczynaniom „szalonych” ludzi, którzy po wojnie, bez dachu nad głową, nie posiadających kapitału zakładowego, podolają przedsięwzięciu*. Do 6-osobowej Rady Nadzorczej zostali wybrani: Józef Fomol — przewodniczący, Jakub Pagiela — zastępca oraz Augustyn Michalik, Paweł Kubala, Gustaw Skoczylas i Franciszek Sodzawiczny jako członkowie. Zarząd składał się z 3 osób. Byli to: Leon Gawłowski — prezes, Ludwik Krzempek — wiceprezes i jednocześnie księgowy oraz Jan Gabryś — członek zarządu, kierownik Spółdzielni.

Działalność handlową rozpoczęła GS od 1 września po przejęciu sklepu spożywczego od Teodora Handzla w budynku Tramera. T. Handzel został zatrudniony jako kierownik placówki. Warunki były bardzo trudne. Towar do sklepu przywoził, nieraz osobiście, Jan Gabryś w plecaku na rowerze z odległego Cieszyna. Na zakup pożyczano pieniądze od miejscowych gospodarzy, członków Spółdzielni, by nie korzystać z kredytu bankowego, przy czym często już po 3 dniach pożyczki zwracano. Dbano przede wszystkim o szybką rotację towaru. Takie racjonalne i operatywne działanie zyskiwało zaufanie obywateli, toteż ilość członków zaczęła szybko wzrastać, a Spółdzielnia coraz bardziej się umacniała. Wkrótce otwarto kolejne sklepy, uruchomiono magazyn towarów masowych i skup. Według sprawozdania przedstawionego 18 maja 1947 roku na pierwszym walnym zebraniu, w którym uczestniczyło 60 delegatów. Spółdzielnia wypracowała na koniec 1946 roku 45.475 złotych zysku i wygospodarowała 1.270

złoty kapitału zakładowego. W rok później przeprowadzono skup zboża, utworzono Ośrodek Maszynowy, którego kierownikiem został Dominik Duda, w Wiślicy przejęto sklep spożywczy od skoczowskiej Spółdzielni Ludowej. Gminna Spółdzielnia zyskała uznanie Banku Spółdzielczego i odpowiednie kredyty na dalszą działalność. Wśród spółdzielni łączących się ze skoczowską Gminną Spółdzielnią. Spółdzielnia w Ochabach była pod względem efektywności gospodarczej najsilniejszą jednostką gospodarczą.

29 czerwca 1949 roku (w tym samym dniu co w Pierścću) odbyło się nadzwyczajne walne zebranie GS w Ochabach, które podjęło uchwałę o połączeniu z Gminną Spółdzielnią w Skoczowie. Wybrano 8 delegatów z Ochab i Wiślicy na połączeniowy walny zjazd do Skoczowa. W tym czasie GS w Ochabach liczyła 270 członków.



W Nierodzimiu istniał początkowo jeden sklep, uruchomiony w lipcu 1945 roku przez Spółdzielnię Ludową w Skoczowie, prowadzony przez przedwojennego działacza spółdzielczego, Franciszka Brudnego i jego pomocnika, Pawła Podzorskiego. Ograniczony zakres działalności „Ludówki” skłoniły mieszkańców wsi do powołania Gminnej Spółdzielni. W marcu 1946 roku na zebraniu miejscowych działaczy z udziałem przedstawiciela Powiatowego Zarządu Związku Samopomocy Chłopskiej, Stefana Kajzera, postanowiono założyć samopomocową Gminną Spółdzielnię. W tym celu wybrano tymczasowy zarząd Związku Samopomocy Chłopskiej w osobach: Józef Kowala, Paweł Podzorski i Alojzy Wałach. Wkrótce zawiązano Gminną Spółdzielnię. Była to jedna z najmniejszych spółdzielni. W 1949 roku przed połączeniem ze Skoczowem, liczyła 70 członków i posiadała 4 placówki handlowe. 22 stycznia odbyło się nadzwyczajne walne zebranie spółdzielni w Nierodzimiu, na którym przyjęto uchwałę o połączeniu z Gminną Spółdzielnią w Skoczowie.



10 lipca 1949 roku odbyło się walne zebranie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Skoczowie, w którym uczestniczyli delegaci z Gminnych Spółdzielni w Ochabach i w Pierścću. Walny zjazd przyjął uchwałę o połączeniu GS Ochab i Pierścća ze Skoczowem w oparciu o półroczne bilanse łączonych spółdzielni. Przyjęto nowy statut połączonej Spółdzielni z mocą obowiązywania od 1 lipca 1949 roku. Delegaci przyjęli też uchwałę o przystąpieniu GS Skoczów na członka Centrali Rolniczej Spółdzielni w Warszawie, Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni w Cieszynie oraz o uczestnictwie w Gieldzie Zbożowej w Katowicach. Uchwalono również maksymalną sumę zadłużenia Spółdzielni w wysokości 40 mln złotych. Do Rady Nadzorczej dokooptowano przedstawicieli z byłych Spółdzielni w Ochabach i Pierścću. Wybrano nowy zarząd. Prezesem GS został Rudolf Żertka, przedwojenny działacz spółdzielczy, pełniący dotychczas funkcję prezesa Spółdzielni Ludowej. Obowiązki wiceprezesów powierzono Juliuszowi Pietrzakowi, odpowiedzialnemu za obrót rolny i skup oraz Józefowi Pemesowi, odpowiedzialnemu za handel. Zastępcami zostali Helena Duda i Karol Stekla.

Po połączeniu z Ochabami i z Pierścćem Gminna Spółdzielnia Skoczów miała 20 placówek handlowo-skupowych i produkcyjnych. Spółdzielnia liczyła 636 członków, a jej fundusz udziałowy wynosił 9.400 złotych. Wszystkie dotychczasowe trzy jednostki gospodarcze osiągnęły łącznie 5.660.200 złotych obrotu i wykazały 9.400 złotych zysku.

W styczniu 1950 roku z Gminną Spółdzielnią Skoczów połączyła się Spółdzielnia w Nierodzimiu. Następnie połączyły się z Gminną Spółdzielnią spółdzielnie pastwiskowe. 6 lipca 1950 roku uchwałę o połączeniu przyjęto na walnym zebraniu Spółki

Pastwiskowej w Ochabach, a 26 listopada tegoż roku w Bładnicach. W 1955 roku spółdzielnie te zostały z GS-u odłączone.

Pierwsza połowa lat pięćdziesiątych była dla spółdzielczości niełatwa. Działalność ogniw spółdzielczych, sterowanych centralnie, była mocno biurokratyzowana, a operatywność gospodarza i samorządność w dużym stopniu ograniczone. Przedstawicielstwo samorządowe — rada nadzorcza, komitety sklepowe miały bardziej charakter fasadowy niż praktyczny. Obowiązek odprowadzania znacznej części zysku do Centrali (CRS), gdzie dokonywano podziału funduszy inwestycyjnych, nie sprzyjały rozwojowi. Przykładowo, na zaplanowaną w 1951 roku adaptację pomieszczeń na sklepy w budynkach prywatnych w Kiczycach i Międzyświeciu oraz modernizację sklepu w Kowalach potrzeba było uzyskać dotację z Centrali Rolniczej Spółdzielni w Warszawie. Było to łącznie 30.000 złotych.

Znaczne trudności finansowe przeżywała Spółdzielnia na początku 1952 roku, kiedy to bank cofnął przyznany już kredyt w wysokości 104 tysięcy złotych. Ponadto bank pokrył ze środków obrotowych stratę powstałą w Spółdzielczym Ośrodku Maszynowym na kwotę 54 tysięcy złotych bez wiedzy Zarządu GS. W efekcie spółdzielnia miała kłopoty z uzyskaniem środków na zakup towarów. Ponieważ w podobnych sytuacjach znalazły się również inne GS-y, potrzebna była interwencja PZGS i wspólne spotkanie z władzami banku dla przyjęcia odpowiednich ustaleń.

Rozdzielnictwo towarów odbywało się za pośrednictwem hurtowni jednego pionu handlowego, czyli dla GS-ów zaopatrzenie prowadziły hurtownie PZGS i WZGS. W wyniku decyzji władz administracyjnych i spółdzielczych nastąpiło rozgraniczenie sfery działalności między GS w Skoczowie a Spółdzielnią Ludową, która w 1952 roku zmieniła nazwę na Powszechną Spółdzielnię Spożywców „Społem”. Sklepy spożywcze, a także prowadzące sprzedaż artykułów przemysłowych, będące w granicach miasta, były prowadzone przez PSS, Gminna Spółdzielnia natomiast miała sklepy na wsi. W samym mieście posiadała tylko sklep chemiczny, artykułów gospodarstwa domowego i rolniczego a ponadto: magazyn rozdzielczy towarów spożywczych, magazyn zbożowy (Raiffajsen), magazyn towarów masowych (nawozy, węgiel, materiały budowlane, żelazo itp.), spółdowisko zwierząt, punkty skupu odpadów użytkowych, drobnego inwentarza, piekarnię. Zakład piekarniczy spółdzielnia przejęła od właściciela Komen-dery, a kierował nim przez niemal 40 lat Józef Meissner, mistrz piekarski, ceniony nauczyciel zawodu i wychowawca kadr piekarniczych.

W celu zwiększenia obrotów i uatrakcyjnienia handlu — w sytuacji, gdy asortyment towarów nie był zbyt szeroki, a o niektóre było trudno — zapoczątkowano organizowanie spółdzielczych jarmarków. Pierwszy jarmark urządziła skoczowska GS 18 września 1952 roku. Wspólnie z PZGS i sąsiednimi GS-ami wystawiono 33 stoiska na placu po dawnym hotelu koło remizy i Małym Rynku oraz na targowisku bydlą koło magazynu zbożowego. GS Skoczów wystawił 14 stoisk z konfekcją, obuwiem, artykułami spożywczymi, naczyniami i artykułami gospodarstwa domowego oraz z narzędziami i maszynami rolniczymi i in.

Była to w tym okresie bardzo znacząca impreza handlowa. Odtąd prawie co roku, a czasem dwukrotnie, odbywały się podobne jarmarki. Poza tym skoczowscy handlowcy wyjeżdżali ze stoiskami na jarmarki do sąsiednich GS-ów. Jarmarki pozwalały na wysprzedaż zalegających nieraz na półkach, małochodliwych towarów. Natomiast ich atrakcję stanowił towar z dodatkowych przydziałów, trudno dostępny na codzień, np. garnki emaliowane, naczynia żeliwne, ocynkowane, dziewiarstwo, towary z importu i inne. Jarmarki odbywały się również w pomieszczeniach, na przykład w remizie Straży Pożarnej, a także w niektórych wioskach.

W 1954 roku nastąpiły dość istotne zmiany w Zarządzie GS. Walne zebranie przedstawicieli z 14 lutego przyjęło rezygnację wiceprezesa Juliusza Pietrzaka, a na jego miejsce wiceprezesem ds. skupu został wybrany inż. Stanisław Broda. Na zastępców członków Zarządu powołano Leopolda Farugę, kierownika magazynu zbożowego,

i Emila Stryckiego, głównego księgowego. W sierpniu 1954 roku na stanowisko wiceprezesa PZGS w Cieszyńsku przeszedł Rudolf Żertka, zaś prezesem GS został Józef Pernes. Na funkcję wiceprezesa ds. handlu wybrany został Augustyn Rycko, zaś od marca 1955 roku wiceprezesem handlowym został Jan Staniczek.

Przełom polityczny, jaki nastąpił w kraju w 1956 roku i powstałe w jego wyniku ożywienie zmiany w polityce społeczno-gospodarczej wpłynęły korzystnie także na funkcjonowanie handlu, sfery usług oraz instytucji spółdzielczo-handlowych. Przywrócono w znacznym zakresie zasady samorządności organów spółdzielczych, zwiększył się wpływ samorządów na wewnętrzną gospodarkę spółdzielni. Wprowadzenie pojęcia rachunku ekonomicznego i rentowności przyczyniło się do wyzwolenia przedsiębiorczości pracowników. Spółdzielnie uzyskały możliwość gromadzenia funduszy na inwestycje i korzystnego nabycia kredytów, co umożliwiło rozwój inwestycji i modernizację sieci handlowej.

Dotychczas GS nie posiadała własnych nieruchomości. W nowych, korzystniejszych warunkach zarząd Spółdzielni nakreślił ambitne zadania inwestycyjne zarówno w mieście, jak i na wsi. Pierwszą inwestycją było wybudowanie pawilonu sklepowego w Kiczycach, oddanego do użytku w 1957 roku. W latach 1960–1961 na Zawisłu w Skoczowie wybudowano garaże oraz magazyn nawozów mineralnych. Największym przedsięwzięciem inwestycyjnym była budowa, w latach 1959–1962, dużego, 3-kondygnacyjnego Wiejskiego Domu Towarowego (WDT) w centrum miasta. Oddany do użytku 31 marca 1962 roku obiekt mieścił na parterze część handlową z zestawem branż przemysłowych: odzieżowej, obuwniczej, chemicznej, artykułów gospodarstwa domowego, artykułów elektrycznych, natomiast w drugim skrzydle budynku, pod szyldem Rolniczego Domu Towarowego (RDT) — sprzęt i narzędzia rolnicze, rowery, motocykle i części motorowerowe. Na piętrach znalazły się pomieszczenia biurowe, sala zebrań i imprez rozrywkowych oraz mieszkania dla pracowników. Urządzono tam również laboratorium do badań jakości towarów spożywczych, wykonujące zlecenia gminnych spółdzielni z całego województwa.

Otwarcie dużego, nowoczesnego na ówczesne czasy i dobrze zaopatrzonego obiektu handlowego w znacznym stopniu poprawiło zaopatrzenie ludności miasta i okolicznych miejscowości.

W nowym obiekcie GS zorganizowała Klub Rolnika, w którym prowadzono działalność kulturalno-oświatową, a także uruchomiła Ośrodek Nowoczesnej Gospodyni, prowadzony przez działaczki Koła Gospodyń Wiejskich. W Ośrodku organizowano kursy szycia, gotowania, prowadzenia gospodarstwa domowego, poradnictwa z dziedziny prawa, medycyny i innych, świadczone usługi repasacyjne, uruchomiono wypożyczalnię sprzętu kuchennego na wesela i inne rodzinne imprezy. W obszernej świetlicy odbywały się zebrania, spotkania okolicznościowe, uroczystości państwowe, spółdzielcze imprezy pracownicze. Powstał świetlicowy klub „Piekielek”, w ramach którego rozwinęły działalność zespoły amatorskie — teatralny, śpiewaczy, recytatorski, muzyczny. WDT był więc nie tylko obiektem handlowym i usługowym, lecz także ośrodkiem życia społeczno-kulturalnego w mieście.

Jedną z form działalności społeczno-wychowawczej samorządu spółdzielczego było tworzenie wspólnie ze szkołami spółdzielni uczniowskich, utrzymywanie z nimi stałych kontaktów i ich zaopatrzenie, aby uczyć młodzież zasad społecznego gospodarowania. Pierwsza spółdzielnia uczniowska powstała z końcem 1955 roku w Szkole Podstawowej nr 1 w Skoczowie. Później utworzono spółdzielnie w innych szkołach — Szkole nr 2, następnie w Pierścću, Ochabach, Nierodzimiu i innych.

Teren działania Spółdzielni powiększył się w 1959 roku, gdy ze Skoczowem połączyła się Gminna Spółdzielnia w Górkach Wielkich. Stało się to wskutek niegospodarności i nadużyć w Spółdzielni góreckiej. Wprawdzie po kilku latach teren Górek przekazano Gminnej Spółdzielni w Brennej, natomiast z dniem 3 marca 1963 roku ze Skoczowem połączyła się GS Dębowiec. Po 10 latach, wskutek reformy

administracyjnej, do gminy Dębowiec, a zatem do skoczowskiej GS włączone zostały wsie Ogrodzona i Gumna.

W wyniku wojewódzkiej reformy administracyjnej w kraju 1 lipca 1975 roku zlikwidowano powiaty i utworzono 49 województw, w tym bielskie. Istotne zmiany nastąpiły w strukturze spółdzielczości wiejskiej. Zlikwidowano PZGS, a bezpośrednim ogniwem nadrzędnym dla GS został Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni (WZGS) w Bielsku-Białej.

Reform dokonywano również w innych spółdzielczych i państwowych jednostkach gospodarczych. W lipcu 1976 roku GS w Skoczowie przejęła placówki handlowe w Ustroniu od skoczowskiego Oddziału Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców „Społem”^{*} i Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Opalem (WPHO).

Przez 14 lat na czele zarządu GS stał Józef Pernes, który był najdłużej urzędującym członkiem zarządu — od założenia Spółdzielni. Po jego odejściu na emeryturę, funkcję prezesa objął Emil Wawrzeczko. Po dwóch latach do PZGS Pszczyna przeniesiony został Jan Stanieczek, a wiceprezesem ds. handlu został Edward Sajak, poprzednio wiceprezes PSS w Skoczowie. Po nagłej śmierci Emila Wawrzeczki (w miejscu pracy) 10 lutego 1971 roku prezesem został Stefan Klimek, lecz tylko na kilka miesięcy, bowiem 2 grudnia 1971 roku również on nagle zmarł. Od stycznia 1972 roku obowiązki prezesa przejął dotychczasowy wiceprezes ds. obrotu rolnego i skupu Stanisław Broda. Na jego miejsce wiceprezesem został Józef Szczypka, zaś od 1974 roku Jan Malik. Kolejna zmiana w zarządzie nastąpiła w sierpniu 1977 roku, kiedy to Edward Sajak przeszedł na emeryturę, a wiceprezesem ds. handlu został Henryk Kałuża, który również przeszedł z zarządu PSS Skoczów-Ustroń. W czerwcu 1978 roku prezesem GS został na miejsce Stanisława Brody Brunon Bobrek, który przeszedł na wiceprezesa do WZGS w Bielsku-Białej.

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte były okresem intensywnego rozwoju Gminnej Spółdzielni. Dzięki dobrze prowadzonej i efektywnej gospodarce Spółdzielnia — mimo trudnych nieraz sytuacji w zakresie zaopatrzenia — wykonywała z nadwyżką zadania planowe. W 1980 roku obroty GS osiągnęły ponad 490 milionów złotych, a zysk 9.600 tysięcy. Spółdzielnia zrzeszała ponad 4.100 członków udziałowców.

Dobra rentowność pozwoliła Spółdzielni wygospodarować znaczne fundusze inwestycyjne i uzyskiwać wysokie kredyty, co umożliwiło rozbudowę i modernizację sieci handlowo-usługowej. Poza wymienionymi już Wiejskim Domem Towarowym, pawilonem handlowym w Kiczycach i garażami w Skoczowie, w latach 60. wybudowano kompleks magazynów wraz z pawilonem gastronomicznym na Zawisłu w Skoczowie, bazy magazynowe w Ustroniu, Pierścću, Ochabach i w Dębowcu oraz pawilony i sklepy spożywcze w Simoradzu, Kostkowicach, Pogórze, Dębowcu, Nierodzimiu. W następnych latach powstały również pawilony handlowe i gastronomiczne w Bładnicach, Ochabach, Harbutowicach, Wiślicy, Wytwórnia Wód Gazowanych w Lipowcu oraz pawilon handlowy (w 1988 roku), piekarnia w Harbutowicach (uruchomiona w 1990 roku).

Wskutek burzliwych wydarzeń społeczno-politycznych w latach 1980–81 nastąpiło całkowite załamanie rynku. Pomimo zarządzanej ścisłej reglamentacji i wprowadzenia kartek — bonów na cukier, mięso, artykuły zbożowe i inne towary spożywcze, a nawet na obuwie i alkohol i wiele innych artykułów, podaż towarów zmniejszała się w szybkim tempie. Wnet pojawiły się puste półki w sklepach zastawiane octem (którego wkrótce również zabrakło), tanimi, tandetnymi pędzlami do golenia i szczoteczками do zębów lub innymi artykułami bardzo ubogiej branży przemysłowej. Prawie niedostępne stały się meble, lodówki, pralki, telewizory itp. Sytuacja zaczęła się poprawiać dopiero w drugiej połowie 1982 roku. Stopniowo też znoszono reglamentację towarów, a rynek wolno się stabilizował.

^{*} Od reformy administracyjnej PSS Skoczów-Ustroń została Oddziałem Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców (WSS).

Na postępującą stabilizację i korzystne tendencje w gospodarce GS, po rozchwianiu rynku po 1980 roku, wskazują wyniki gospodarcze i finansowe przedstawione w sprawozdaniu na walne zebranie przedstawicieli, które odbyło się 3 kwietnia 1987 roku. Spółdzielnia osiągnęła w poprzednim roku 1.992 miliony obrotu, zwiększając go o niespełna 360 milionów w stosunku do roku 1985. Zysk został wypracowany w wysokości 36,4 milionów złotych. Poprawiła się sytuacja nie tylko w sprzedaży detalicznej, lecz także w gastronomii, skupie i w produkcji, o czym świadczy wzrost obrotów i rentowności poszczególnych działów. Wyniki te można było uzyskać dzięki ogólnej poprawie zaopatrzenia oraz możliwości dokonywania zakupów poza macierzystym, czyli spółdzielczym hurtem. Towar zakupywano w różnych hurtowniach całego kraju. Spółdzielnia podejmowała też dalsze inwestycje, m.in. wykupując parcelę pod budowę piekarni w Harbutowicach i kontynuując inwestycje rozpoczęte w Pierścću, Lipowcu, Ustroniu.

U schyłku lat 80. skoczowska Gminna Spółdzielnia obsługiwała 21 miejscowości na obszarze gmin Skoczowa, Dębowca i Ustronia. Prowadziła 52 sklepy spożywcze i przemysłowe, w tym z artykułami do produkcji rolnej, Wiejski Dom Towarowy, 7 zakładów gastronomicznych, 8 magazynów towarów masowych, sądowisko oraz skup produktów rolnych i surowców wtórnych. Współpracowała z 11 spółdzielniami uczniowskimi w szkołach podstawowych, zapewniając im towar, przyznając dotacje z czystej nadwyżki i organizując współzawodnictwo na najlepszą spółdzielnię z ufundowaniem nagród.

W wyniku zmian ustrojowych, podjętych w latach 1989–90, zapoczątkowany został proces urynkwienia i prywatyzacji gospodarki. Wprowadzone również istotne zmiany w prawie lokalowym zapewniały m.in. zwrot dzierżawionych lub zajętych przez jednostki gospodarcze obiektów prywatnych właścicielom i obligowały do stosowania rynkowych stawek czynszowych. Sytuacja ta, mająca zasadniczy wpływ na wzrost kosztów utrzymania, oraz rosnąca inflacja spowodowały spadek rentowności placówek handlowo-usługowych, co pogarszało sytuację finansową Spółdzielni. Zaistniała konieczność pozbycia się niektórych placówek, przekazania ich prywatnym właścicielom lub sprzedaży. W latach 1990–92 Gminna Spółdzielnia sprzedała 3 pawilony handlowe, w tym gastronomiczny w Ochabach i bazę skupu w Ustroniu. Część handlową Wiejskiego Domu Towarowego wydzierżawiono firmie „Jur-Gast”, która zmieniła jego nazwę na Miejski Dom Towarowy. W pomieszczeniach obiektu, poza biurami GS i firmy „Jur-Gast”, znalazły siedzibę również inne instytucje (ponad półtora roku mieściła się tam również redakcja „Tygodnika Skoczowskiego”).

Zmiany i reorganizacja objęły także kierownictwo i strukturę Spółdzielni. W 1990 roku zlikwidowane zostały stanowiska wiceprezesów ds. handlu oraz ds. obrotu rolnego i skupu. Działem handlu, po odejściu na emeryturę Henryka Kałuży, kierował Jerzy Juraszek — do 27 maja 1990, czyli do likwidacji stanowiska. Z dniem 1 kwietnia 1985 roku po odejściu Jana Malika, wiceprezesem ds. obrotu rolnego został Władysław Michałik, którego na tym stanowisku w listopadzie 1987 roku zmienił z kolei Jerzy Macura. Z dniem 31 marca 1990 roku stanowisko to przestało istnieć. W 1991 roku, po 13 latach kierowania skoczowską Spółdzielnią, odszedł na emeryturę Brunon Bobrek, zaś prezesem został Jan Kosiński, pełniący tę funkcję do maja 1994. Kolejnym prezesem GS został Władysław Michałik.

W 1982 roku stanowisko głównego księgowego, po odejściu Emila Stryckiego, objęła Ligia Targosz, zaś od 1986 roku Maria Macura, która w wyniku reorganizacji zarządu, w dniu 28 marca 1990 roku powołana została na wiceprezesa ds. ekonomicznych. Od tamtego zarząd pracuje w składzie: prezes i wiceprezes ds. ekonomicznych na etacie oraz społeczny członek zarządu.

Na konto Gminnej Spółdzielni zapisać należy znaczny dorobek gospodarczy, a także kulturalny. Były one w dużej mierze zasługą ofiarnych, długoletnich pracowników i działaczy spółdzielczych, którzy w większości całe dorosłe życie poświęcili pracy

zawodowej, etatowej, lub działalności społecznej w Gminnej Spółdzielni. Należeli do nich zwłaszcza: Rudolf Żertka, Józef Pernes, inż. Stanisław Broda, Jan Staniecsek, Brunon Bobrek, Jan Malik, Emil Strycki, Jan Gabryś, Dominik Duda, Józef Meissner, Józef Raszka, Leopold Faruga, Ligia Targosz, Bronisława Sochacz, Zofia Jaworska, Helena Staniecsek, Irena Zientek, Oton Szarzec i inni. Spośród działaczy społecznych, samorządowych, członków i przewodniczących rad nadzorczych, komisji, zasłużyli się głównie: Karol Santarius, Franciszek Brudny, Józef Balcar, Augustyn Danel, Julia Jurkiewicz, Rudolf Pszczółka, Stefania Hausoter, Ludwik Lebioda, Alojzy Sosna i inni.

Gospodarka wolnorynkowa lat 90. i coraz silniejsza konkurencja postawiły przed Spółdzielnią nowe, trudniejsze wyzwania. Aktualna rzeczywistość wyznacza Spółdzielni miejsce w nowym systemie, jako samorządowego podmiotu gospodarczego, jednocześnie pozbawionego pozycji monopolistycznej w handlu. Do tej sytuacji dostosowane jest nowe prawo spółdzielcze. Zmieniła się również ranga członkostwa, zwiększającego współodpowiedzialność samorządów i umacniającego rolę pracowników w samorządzie. Wymogi bezwzględnego respektowania prawa własności i wynikające z niego finansowe konsekwencje oraz wzrost kosztów utrzymania determinują rachunek ekonomiczny i rentowność Spółdzielni.

Obiekty własne, uzyskane dzięki aktywnej działalności inwestycyjnej prowadzonej przez GS w ubiegłych latach, stanowiły dobrą bazę do efektywnej działalności w obecnym okresie. Niektóre obiekty sprzedano, inne oddano w dzierżawę, co uwolniło Spółdzielnię od placówek nierentownych, nie pozbawiając jej dochodów.

Ostatnie lata przyniosły pewną stabilizację w działalności gospodarczej Spółdzielni. Kondycję Gminnej Spółdzielni na koniec 1997 roku ilustrują następujące podstawowe dane:

Skoczowska Spółdzielnia zrzesza 134 członków, a jej fundusz udziałowy wynosi 403 tysiące złotych. Fundusz zasobowy liczy 2.676 tysiące. Za rok 1997 GS uzyskała 15.557 tysięcy złotych zysku netto. Bezpośrednio Spółdzielnia prowadzi 9 placówek detalicznych, w tym 2 magazyny towarów masowych (w Skoczowie i w Ustroniu) oraz piekarnię w Harbutowicach i hurtownię. 26 placówek przekazano w dzierżawę.

Zarząd Spółdzielni stanowią: Władysław Michalik — prezes, Maria Macura — wiceprezes i Ligia Targosz — społeczny członek Zarządu. Rada Nadzorcza liczy 11 osób, a w skład jej prezydium wchodzi: Ewa Kubala — przewodnicząca, Helena Staniecsek — z-ca, Irena Małysz — sekretarz oraz członkowie Aleksandra Koniorczyk — przewodnicząca Komisji Rewizyjnej i Gustaw Podżorski — przewodniczący Komisji Gospodarczej.

Ten pobieżny przegląd działalności skoczowskiej Gminnej Spółdzielni, choć nie wyczerpuje wszystkich aspektów jej funkcjonowania, pozwala przynajmniej w skromnym zakresie ukazać jej 50-letni dorobek i wkład w przeobrażenia społeczne wsi i miasta Skoczowa. Najbliższe lata pokażą, na ile Spółdzielnia sprosta wyzwaniom nowych czasów i w jakiej mierze ugruntuje swoją pozycję na konkurencyjnym rynku.

KAZIMIERZ PAWEŁ RASZKA

WIEŚ, KTÓREJ NIE MA

W latach pięćdziesiątych wody Wisły zalały co najmniej 80 procent powierzchni Zarzecza. Powstało Jezioro Goczałkowickie. Spełniła się pierwsza część przepowiedni mówiącej o powstaniu wielkiego sztucznego jeziora w miejscu dawnego kościoła, która to wróżba była znana w tej okolicy — jak wynika z dokumentów — już 65 lat temu, w 1934 roku.

W SERCU ŻABIEGO KRAJU

Zarzecze stanowiło centrum tzw. Żabiego Kraju. Nie wiadomo dokładnie, kiedy pierwszy osadnik zdecydował się tu osiaść. Etymolog Henryk Borek utrzymuje, iż zdarzyło się to w XIII wieku. Według prof. Idziego Panica, było to już w XII wieku. Pierwsza pisana informacja o wsi pochodzi z 1223 roku. Wówczas to biskup wrocławski Wawrzyniec wystawił dokument protekcyjny przyznający rybnickim norbertankom prawo pobierania dziesięciny dla swojego klasztoru z kilku wsi, wśród których wymienione jest też Zarzecze.

Tradycja mówi, że najstarsze domostwa powstały w rejonie, gdzie później wybudowano kościół i pierwszą szkołę. Wioska rozrastała się dość szybko. W XVIII wieku było już ponad 100 gospodarstw. Z pierwszego spisu polskiego, przeprowadzonego w 1921 roku wynika, że wieś liczyła 2.581 mieszkańców. Po II wojnie światowej, gdy nadszedł czas budowy zapory, Zarzecze włączono do powiatu pszczyńskiego. W tym czasie mieszkało we wsi około 3 tysięcy osób. Sąsiednie Chybie miało w tym czasie 1,7 tysiąca, a Strumień 2.200 ludzi. Obecnie skrawki Zarzecza na obrzeżach zbiornika leżą w gminie Chybie. Pozostały tylko 74 budynki i niewiele ponad 300 mieszkańców.

POMYSŁ PRZEDWOJENNY

Projekt budowy zapory na Wiśle, oczywiście nie tak olbrzymiej jak obecnie, powstał jeszcze przed wojną, w 1937 roku — pisał na łamach „Echa Jaworza” Władysław Parma. — Później wybuchła wojna. Według Edwarda Przemyka, budowę zbiornika planowali też Niemcy. Zalew miał się oprzeć od północy o wzgórza Łąki, Wisły Wielkiej i Małej, ale za to na zachodzie miał sięgać do Strumienia, Zabłocia, Frelichowa i Chybia oraz objąć całe Zarzecze. Tylko przedpole z Drogomysłem i Pierścem było przewidziane do zalesienia.

Na początku 1948 roku stało się pewne, że z czasem wieś zniknie pod wodą. Wykonano mapę projektowanego zbiornika wodnego wraz z opisem jego przyszłej funkcji. W 1950 posłowie zatwierdzili budowę zbiornika. W dwa lata później rozpoczęto wyrąb 400-hektarowego lasu liściastego i iglastego; drewno wywożono na stacje kolejowe do Chybia i Czarnolesia. Rozebrano 338 budynków, ponad tysiąc zabudowań gospodarczych, kościół z 1788 roku, kaplicę z początku XIX wieku, dwie szkoły, trzy remizy strażackie, zabudowania PGR w Wiśle Wielkiej. Pierwszy próbny zalew miał miejsce w styczniu 1955. Na stałe zaczęto zalewać dolinę 13 lipca, a do eksploatacji

został zbiornik włączony w rok później, w 1956 roku. Długość maksymalna „śląskiego morza” wynosi 18 km, szerokość 4 km, maksymalna głębokość 14 m, a pojemność — również maksymalna — 165 mln m sześć. Powierzchnia zbiornika to 3.200 hektarów wody.

EKSODUS

Przeprowadzkę wsi rozpoczęto na przełomie lat 1953/54 od ekshumacji zmarłych. Przeniesiono ich na nowe miejsce spoczynku, na cmentarz w Chybiu. Nieco wcześniej przystąpiono do ekshumacji grobów wojskowych. Szczątki ok. 300 czerwonoarmistów, niezbyt starannie ekshumowanych, przeniesiono na cmentarz w Pszczynie.

— Zimą 1953 roku do Zarzecza zjechała specjalna ekipa ze sprzętem i urządzeniami w celu dokonania ekshumacji cmentarza — napisał Władysław Parma. — Ekipa składała się z więźniów odsiadujących karę dożywotniego więzienia. Ludność rejestrowała swych bliskich zmarłych, wskazywała miejsce spoczynku, które potem oznaczano odpowiednim numerem. O otwarciu grobu zostali zainteresowani powiadomieni i mogli być świadkami w trakcie wykonywania owych czynności. Dla każdego zmarłego była oddzielna trumna. Przy tych jakże nieprzyjemnych pracach asystowało zawsze wielu mieszkańców. Trumny, opatrzone krzyżem, przewożono specjalnym pojazdem do Chybia, a nowe groby oznaczano tymczasem numerem rejestracyjnym. Przewożono również pomniki. Ci, którzy dokonywali ekshumacji, codziennie wieczorem się upijali...

Eksodus mieszkańców rozpoczął się wiosną 1954 roku. Według Zygmunta Orlika, pierwszymi, którzy otrzymali nakaz opuszczenia ojcowizny, byli Małgorzata Kobiela, Franciszek Waleczek, Maria Kuboszek i Bolesław Mikołajczyk. Ten sam los spotkał w tym czasie Antoniego Waleczka z Wisły Wielkiej oraz Jadwigę Szkrobol i Alojzego Zachorka ze Strumienia. Po nich nastąpiła lawina dalszych wysiedleń. W związku z wyprowadzaniem się rodzin ubywało też z dnia na dzień dzieci w szkole. Kierownik szkoły w Zarzeczcu Antoni Ferfecki w kronice swojej placówki zanotował: *Zakończenie egzaminów 19 maja 1954 r. Po rozdaniu świadectw zakończono rok szkolny, ostatni.*

— Wysiedlono prawie osiemdziesiąt procent wioski wspomina Hermina Przemyk, emerytowana nauczycielka. — Opór? W tamtych czasach nie było mowy o proteście. Mieliśmy się wynosić.

Zarzeczanie znaleźli się w aż 72 (!) różnych miejscowościach. Najwięcej osiedliło się w Drogomyślu, Mazancowicach, Warszawicach, Pszczynie, Wiśle Wielkiej, Ligocie, Golasowicach, Jaworzu, Jasienicy, Bielsko-Białej, Międzyrzeczu, Kozakowicach, Zabrzegu, Chybiu, Pielgrzymowicach, Mnichu i na pozostałym skrawku Zarzecza. Niektórych los zawiódł do Zebrzydowic, Markłowic, Mikołowa, Tychów, Bierunia, Rudzicy, Hermanic, Kowali i Kiczyc.

W OBRONIE MADONNY

Trzy kilometry od kościoła parafialnego w Zarzeczcu, w dzielnicy Gołysz znajdowała się kapliczka z cudownym obrazem Matki Boskiej. Istnienie kaplicy w Gołyszu datuje się od roku 1768 pisze w kronikach parafialnych ks. Teodor Szmidt. Ze znajdującego się na probostwie archiwum wynika, że na miejscu dzisiejszej kaplicy stał prosty słup z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Przez szereg lat widziano nad tym słupem na niebie niezwykle jasność. Lud uznał to za znak, że Matka Boska chce sobie to miejsce obrać za siedzibę. Ponieważ w Zarzeczcu wówczas nie było ani kościoła, ani



Obecnie cudowny obraz znajduje się w kościele pw. Chrystusa Króla w Chybiu. Fot. Kazimierz P. Raszka

w Chybiu. Jak pisał Bogdan Widera w „Śląskim Kalendarzu Katolickim '85”, w nocy z 18 na 19 września 1955 wykradziono go. W kościele parafialnym w Chybiu umieszczono z konieczności kopię. Jednocześnie rozpoczęły się długotrwałe starania o odzyskanie oryginału. Blisko cztery lata apelowano do ludności o zwrot wizerunku. Bezskutecznie. Wobec tego ogłoszono w 1959 roku, że odwołuje się tradycyjny odpust gołyski. Dopiero ta groźba poskutkowała. W przeddzień odpustu „nieznani sprawcy” podrzucili obraz do kościoła w Chybiu. Odnaleziono go pod dywanem bocznego ołtarza. 5 lipca 1959 Matka Boska Gołyszna powróciła na swoje miejsce. W tym samym dniu obraz został ponownie poświęcony przez bp Herberta Bednorza.

POWRÓT OBRAZU?

Pierwsza część przepowiedni, mówiąca o wielkim sztucznym jeziorze, które powstanie w miejscu dawnego kościoła w Zarzeczcu, sprawdziła się co do joty. Druga wróżba, krążąca wśród ludzi mówi, iż zbiornik wyschnie. Wspomniany B. Widera podaje, że na miejscu zburzonego 45 lat temu kościoła stanie nowa, wspaniała świątynia. Do niej ma powrócić Matka Boska Gołyszna, aby znowu królować w miejscowości, którą sobie niegdyś upodobała.

większej kaplicy, przeto tutejsi mieszkańcy, należący do parafii Strumień, idąc za popędem religijnym zbudowali drewnianą kaplicę, która nie mogła jednak pomieścić coraz liczniej przybywających dla uproszenia łask.

Kaplica drewniana stała blisko 100 lat. W 1866 roku z dobrowolnych składek wybudowano murowaną. Odtąd ściagały pielgrzymki nie tylko z okolicznych parafii, ale i z dalszych stron Śląska Cieszyńskiego. Kult Matki Boskiej Gołysznej rozpowszechniał się coraz bardziej.

Największy problem powstał więc, gdy przyszedł czas zabrania z kaplicy obrazu. Tłum płaczących ludzi ostro zaprotestował. Zrzucano z drabiny tych, którzy ściągali obraz. 10 maja 1954 roku odbyło się w kaplicy ostatnie nabożeństwo. Parafianie przenieśli Cudowny Obraz do kościoła parafialnego p.w. Matki Boskiej Śnieżnej w Zarzeczcu.

— Był maj, dookoła wiosna, mnóstwo kwiatów na drzewach — wspomina Edward Przemyk. — Gdy ludzie wyszli natomiast z kościoła, było pełno śniegu, drzewa połamane, zboża pochylone...

Nieco później obraz tafił do kościoła p.w. Chrystusa Króla w Chybiu, gdzie znajduje się do dziś. Niektórzy jednak nie pogodzili się z koniecznością oddania obrazu świątyni

Czy sprawdzi się też druga część przepowiedni? Wydaje się to raczej nierealne, ale też nie całkiem, gdyż zbiornik goczalkowicki rzeczywiście wysycha, zwiększa się jego zamulenie. Na przykład w 1983 roku wskutek suszy wody tak opadły, że odsłoniły dawny cmentarz i miejsce, gdzie stał kościół. W dniu Wszystkich Świętych ludzie przychodzili tam i zapalali na wyschniętym mule świeczki, znicze i lampki. Podobnie było siedem lat temu. Woda odsłoniła nawet kości...

A TO CIEKAWÉ

Nazwa „dolar” pochodzi od niemieckiego „Thaler”, czyli talar. Była to duża srebrna moneta używana od XVI wieku w księstwach niemieckich. Nazwa „talar” także nie jest nazwą pierwotną.

W 1518 roku w miejscowości Joachimsthal, gdzie dwa lata przedtem uruchomiono kopalnię srebra, Kasper Schlick zaczął bić srebrną monetę, którą nazwał „Joachimsthaler”. Później nazwę pieniądza skrócono na „Thaler”. Następnie moneta rozchodziła się po całej Europie pod nazwą „Taler”, a wreszcie „talar”. Anglicy nazwali go z angielska „dolar” i pod tą nazwą wprowadzili u siebie walutę Amerykanie.

W Rosji dla monet obiegowych w XVI i XVII wieku przyjęto również nazwę od „Joachimsthlera”, tyle, że pozostawiono tylko pierwszy człon nazwy. Została więc

nazwa „joachimka”, czyli w uproszczeniu „jefimka”.

Dawny Joachimsthal to niemiecka nazwa obecnego czeskiego Jachymova (po polsku Jachimów), położonego nad Bystrzycą, w okolicach Karlowych Warów. Z tych obszarów pochodziła też ruda smoła, zawierająca znaczne ilości uranu i radu, z których Maria Curie-Skłodowska wyodrębniła pierwiastek rad.

Inne miejscowości dały również nazwy monetom, które tam były wyrabiane. Na przykład „floren” pochodzi od Florencji, „reński” od Renu, „halerz” od Schwabisch Hall. Monety nazywano również od symboli, które na nich uwidaczniano, np. „korona” od wizerunku korony, „kreuzer” (krajcar, gwar. grejcar) od krzyża itp.

PAWEŁ CZUPRYNA

PODZIELONA DIECEZJA

Wraz z planami nowego podziału administracyjnego kraju i likwidacji województwa bielskiego odżył problem utworzonej przed niespełna 7 laty diecezji bielsko-żywieckiej. Jak wiemy, została ona powołana do życia z woli Stolicy Apostolskiej bullą *Totus Tuus Poloniae Populus* w dniu 25 marca 1992 roku. W jej skład weszło 114 parafii z archidiecezji krakowskiej i 84 z diecezji katowickiej.

Dwuczłonowa nazwa nowej jednostki kościelnej od razu podzieliła katolików. Tworząc ją zbagatelizowano bowiem odrębność regionów o różnych tradycjach, kulturze i zwyczajach. A można było, znając te różnice, nazwać ją po prostu bielską albo beskidzką. Tak było z diecezją warmińską z siedzibą biskupa w Olsztynie czy z chełmińską, która ma katedrę w Pelplinie. Ponadto wyznaczając granice nowej diecezji zapomniano o pod-



Diecezja bielsko-żywiecka. Nowe dekanaty ustanowione zostały 14 sierpnia 1992 roku

stawowej rzeczy, jaką jest liczenie się z opinią ludzi na dole, a więc kapłanów i wiernych. Inaczej widzi się bowiem sprawy Kościoła lokalnego z warszawskiej siedziby nuncjusza apostolskiego i metropolity krakowskiego, którzy przygotowywali nową strukturę Kościoła w Polsce, a inaczej oczyma prostego parafianina, żyjącego tradycją swoich przodków.

To się mści. Czują to diecezjalni dostojnicy. Dlatego przy każdej bytności w Cieszyńskim, widząc odrębność tej ziemi, starają się wskazać na te elementy, które integrują wiernych na Podbeskidziu.

Biskup ordynariusz Tadeusz Rakoczy, w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego” (lipiec 1997) powiedział, że dotychczasowy dorobek dekanatów z części archidiecezji krakowskiej i katowickiej to bogactwo, które wnosimy w ten sam Kościół. Żadna z tradycji nie została w niczym uszczuplona, a dzięki powstaniu diecezji doszło do nawiązania bliższych kontaktów tak między duszpasterzami, jak i mieszkańcami Beskidu Śląskiego i Żywieckiego, wcześniej unikającymi wzajemnego zbliżenia.

Ks. infułat Władysław Fidelus, proboszcz konkatedry pw. Narodzenia NMP w Żywcu, również w „Gościu Niedzielnym” (czerwiec 1997) napisał: *Tworząc nową jednostkę kościelną chodziło na pewno o to, by połączyć w jedno dwie odrębne całości o różnych tradycjach, zwyczajach, kulturze, należące wcześniej do różnych diecezji, a jednocześnie podkreślić znaczenie jednej jak i drugiej części*”.

Ks. dr hab. Tadeusz Borutka w książce *Diecezja bielsko-żywiecka 1992—1997* pisze m.in.: *To, co szczególnie charakteryzuje ten region, to fakt spotkania i harmonijnego przenikania się tutaj dwu tradycji kulturowych i kościelnych: to znaczy krakowskiej i śląskiej. Zdaniem Papieża, jest to wielkie bogactwo tego regionu. Tradycja krakowska i śląska winny przyczynić się do pogłębienia i rozwoju życia chrześcijańskiego mieszkańców tego regionu.*

Kiedy w 1975 roku tworzone województwo bielskie, też mówiono wiele o przenikaniu kultur i tradycji. A co z tego wyszło? Dobrze wiemy. Kiedy pozwolono ludziom decydować o swojej przynależności, samorządy lokalne jednoznacznie określiły się, do kogo chcą należeć. Tak było w przypadku ziemi cieszyńskiej, którą przed 23 lata chciano wymazać z mapy Podbeskidzia. Zaś zabiegi polityków w 1998 roku, często nieprzemyślane, doprowadzały ludność do desperackich czynów. Swoje stanowisko jednoznacznie określiły: Związek Komunalny Gmin Ziemi Cieszyńskiej, Zarząd Główny Macierzy Ziemi Cieszyńskiej oraz Towarzystwo Ewangelickie w Cieszynie i Oddział Towarzystwa Ewangelickiego Regionu Bielsko-Cieszyńskiego. To, co się działo w związku z nowym podziałem administracyjnym kraju, najlepiej świadczy, ile zła uczyniono podejmując decyzje zza biurka, nie licząc się z odrębnością poszczególnych regionów, z ich zwyczajami, powiązaniami kulturowymi i tradycją.

Cieszyńscy są dumni i znają swoją wartość. Cenią sobie swoje miejsce w kulturze ogólnonarodowej, jak również wkład w utrzymanie tożsamości tego regionu. Dlatego walczą o swoje, czyli o nie odrywanie ich od Śląska. Ziemia Cieszyńska od blisko 1000 lat związana była z biskupem wrocławskim, a potem przez 70 lat z diecezją katowicką, a więc zawsze ze Śląskiem. Przez 155 lat istniał w Cieszynie Wikariat Generalny. Od 1770 roku miał on 10 rządców, a jeden z nich, ks. Franciszek Śniegoń, dostąpił godności biskupiej. To właśnie z tej ziemi wyszli dwaj nowi święci kapłani: Jan Sarkander ze Skoczowa i Melchior Grodzicki, urodzony w Cieszynie. Jan Paweł II wyniósł ich w 1995 roku na ołtarze i przybył na Kaplicówkę, gdzie z całym Episkopatem Polskim i zagranicznymi biskupami odprawił mszę św. dla blisko 300 tysięcy wiernych. Od Skoczowa rozpoczął 22 maja 1995 roku swoją krótką, jednodniową pielgrzymkę po naszej diecezji. Katolicy szczerą się tym i uważają to za nobilitację tej ziemi i tego wszystkiego, co ona wniosła do Kościoła powszechnego.

Wiernych ze Śląska Cieszyńskiego boli jednak to, że ich dorobek nie zyskuje odzwierciedlenia we władzach diecezji. A jest ich w liczącej 710 tysięcy katolików diecezji bielsko-żywieckiej prawie 300 tysięcy. Chodzi nie tylko o skromną reprezentację

w gronie kurialistów, ale również o kierowanie chętnych do kapłaństwa do seminarium w Krakowie a nie w Katowicach. Tym samym odcina się ich od wieloletniej tradycji, oddzielając Cieszyńskie od Śląska, od korzeni, podobnie jak dokonały tego władze państwowe w 1975 roku. Komu w Kościele zależy na tym, aby kroić żywy organizm i burzyć to, co przez wieki stanowiło jedność?

Przypadkowy zlepek odrębnych regionów w diecezję sprawił, że przysyłani do Cieszyńskiego kapłani z krakowskiej części diecezji gubią się w środowisku dwuwyznaniowym. Widać to szczególnie w kontaktach z młodzieżą w szkołach, gdzie trzeba spotkać się i porozmawiać z nauczycielem czy z katechetą ewangelickim. Podobnie jest na pogrzebach, w których uczestniczą przedstawiciele różnych wyznań. Księża z krakowskiego czują się nieswojo na spotkaniach ekumenicznych, a sprawdzone formy współpracy z innymi wyznaniem przyjmowane są przez nich z rezerwą. A trzeba wiedzieć, że na Śląsku Cieszyńskim żyje połowa chrześcijan wyznania ewangelicko-augsburskiego. Również nasi młodzi kapłani, pracujący za Białką, mają kłopot z „wkupieniem” się w łaski tamtejszych katolików. Często traktowani są przez swoich proboszczów z rezerwą.

Chciałoby się wierzyć, że ta odrębność regionów ubogaci beskidzki Kościół. Jest jednak warunek: że tradycja, kultura i dorobek wszystkich ziem będą traktowane jednakowo zarówno przez duchownych jak i wiernych.

CZY WIECIE, ŻE...?

Pierwsze informacje o operacjach nazywanych dziś plastycznymi pochodzą już z XIV wieku. Książkę o takich zabiegach napisał w 1597 roku. Włoch Tagliacotius. Przedstawił w niej metodę operacyjnego uzupełniania utraconych nosów, polegającą na przeszczepianiu ciała pobieranego z przedramienia.

★ ★ ★

Letnia przeciętna burza wyzwala energię o 13-krotnie większej mocy niż energia bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę.

★ ★ ★

Energia, którą teraz właśnie przyniosło światło słoneczne, zrodziła się w jądrze słońca 30 tysięcy lat temu. Ogromną wielkość tego czasu światło to zużyło na powolne torowanie sobie drogi z jądra, poprzez duże zagęszczenie atomów znajdujących się w słońcu aby dotrzeć na zewnątrz tej gwiazdy. Potem wystarczyło już tylko 8 minut, aby energia przebiegła przez pustą przestrzeń od Słońca na Ziemię.

WITOLD IWANEK

MIEJSCA PĄTNICZE NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

Pątnictwo czyli pielgrzymowanie do miejsc słynących z cudów celem wyproszenia u Boga łask i pomocy, znane od dawna w całej Europie, miało i ma miejsce również na ziemiach byłego Księstwa Cieszyńskiego. Niektóre z tych miejsc już zaginęły, do niektórych ludność udaje się jeszcze obecnie. Najslawniejsze z nich — prawdopodobnie nie wszystkie — podane są w układzie geograficznym.

W zabytkowym kościele parafialnym we Frydku (dziś Frydek-Mistek) znajduje się drewniana figura przedstawiająca Matkę Boską, do której ze wszystkich stron Księstwa przybywali pątnicy, wywożąc fajansowe kubki z naniesionym widokiem kościoła bądź figury Adorowanej. Podanie mówi, że w XVII wieku robotnicy pracujący przy wydobywaniu gliny w cegielni hrabiego Prażmy natknęli się na rzeźbę przedstawiającą Panią Nieba i przenieśli ją na probostwo. W nocy figura jednak powróciła na pierwotne miejsce. Następnie została ustawiona w kaplicy zamkowej i ponownie wróciła na pierwotne miejsce w cegielni. Hrabia Franciszek Euzebiusz Prażma w 1665 roku obudował ją tamże drewnianą kapliczką. Rzeźba, uzyskawszy rozgłos zaczęła przyciągać liczne rzesze mieszkańców, szczególnie Hanaków, dlatego otrzymała nazwę Panny Marii Hanackiej. W roku 1706 rozbudowano kaplicę. Nastąpiły spory prawne o nią między mieszkańcami Frydku, klasztorem Ojców Minorytów w Opawie i biskupem wrocławskim. Decyzją cesarza Karola VI w roku 1712 przeniesiono rzeźbę w pierwotne miejsce. Kaplica okazała się z biegiem czasu za mała dla wielkiej rzeszy pielgrzymów, dlatego w latach 1740–1756 wystawiono w mieście dużą, dwuwieżową świątynię, w której rzeźbę Matki Boskiej ustawiono pod podtrzymywanym 6 kolumnami marmurowym ołtarzem głównym, powstałym w latach 1791–1796. Najstarsi Cieszyńscy pamiętają jeszcze odbywające się pielgrzymki do Frydku.

W Górnej Łomnej koło Jabłonkowa, przy leśnej drodze do Sałajki, znajdował się wysoki drewniany krzyż, który od 1836 roku odgrywał wśród śląskiego społeczeństwa wielką rolę. W owym roku, jak i w latach następnych rozpowszechniła się na Śląsku Cieszyńskim cholera kosząc ludność wiosek i miasteczek. Lekarze byli wobec niej bezradni. Nagle rozeszła się wieść, że należy pielgrzymować pod krzyż, a człowiek zostanie uzdrowiony. Jabłonkowski tkacz a zarazem poeta ludowy Adam Sikora (1819–1871) wydał nakładem księgarza jabłonkowskiego Karola Płoszka zbiór własnych wierszy religijnych pt. *Nabożne pieśni o cudownym Krzyżu Świętym w Górnej Łomnej*. Pielgrzymi podczas marszu do Krzyża tak śpiewali: (zwrotka 5 i 17) *Procesya całem czasem / Prowadzi się zawsze lasem / Głos się tam ślicznie rozlega / Z gór wiele ludzi zbiega / Cale familie do tej kompanije / I dla tych, kto by chorował / Aptekę tam nagotował / U krzyża na prawej ręce / Cudowną wodę w studzience / Gdzie ludzi niemało, zdrowie otrzymało.*

W cieszyńskim kościele parafialnym, w bocznym ołtarzu Matki Boskiej Częstochowskiej znajduje się Jej wizerunek. Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku rozeszła się wśród ludności wieść, że na ręce Matki Boskiej ukazała się cyfra „XII”. Tłumy ścigały przed ołtarz modląc się gorąco, aby dwunastka oznaczała 12 dni wojny. Potem mówiono o tygodniach i miesiącach; o latach bano się myśleć. Hitlerowskie władze

zabroniły przystawania przy ołtarzu. Po kilku tygodniach cyfra, która mogła powstać przez sfaldowanie w tym miejscu płótna obrazu, zniknęła. Była jednak przez pewien okres celem pątniczym.

W byłej wiosce Bobrek, obecnie dzielnicy Cieszyna znajduje się przy cmentarzu parafialnym przydrożna kaplica z innym wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. W czasach Habsburgów określano ją jako „Wunderskapelle”, czyli kaplicę czyniącą cuda. W XIX wieku krążyła jeszcze fama, że we wnętrzu góry Czantoria śpi rycerski hufiec. W dniu ostatecznej bitwy światowej, która rozegrała się między trzema gruszami, wojska obudzą się i walkę zakończą. Drzewa te, tworzące trójkąt, znajdowały się: jedno przy wspomnianej kaplicy, drugie w Skalicy koło Frydku, a trzecie koło Pszczyny. Podanie to nie jest dla Cieszyniaków zapowiedzią radosną, dlatego odbywały się dawniej do kaplicy pielgrzymki błagalne, żeby odwrócić kataklizm.

Miejscem podróży pątniczych stała się również kaplica przyzamkowa w Końcyczach Wielkich. Ich właściciel, Jerzy Wilczek wystawił nową, drewnianą kaplicę i sprowadził jezuitów. Za specjalnym pozwoleniem papieskim (breve Innocentego XI z 25 maja 1689) założyli oni bractwo religijne oraz uruchomili własną drukarnię, w której ukazywały się liczne książki nabożne. Zachowało się kilkanaście egzemplarzy wydawnictwa pt. *Indulgentiae et obligationes Fratrum et Sororum sub protectione Divinae in Capella Magno-Kuntzicensi Ducatus Teschinensis* z roku 1762, stanowiącego wznowienie pierwodruku z roku 1692. Wielki napływ pątników wzbudzał zazdrość innych właścicieli wsi i proboszczów, lecz dla panów Końcycz Wielkich gromadzenie się w pobliżu zamku rzesz ludzkich stało się z upływem czasu uciążliwe. Starano się mu przeciwdziałać. W połowie XIX wieku, w czasie remontu kaplicy, ustał napływ pątników.

W Skoczowie, w kościele parafialnym pw. św.św. Apostołów Piotra i Pawła, w prawym bocznym ołtarzu znajduje się mały obraz przedstawiający Matkę Boską, pochodzący z XVIII wieku, znany w literaturze dzięki pisarzowi Melchiorowi Wańkowiczowi. W powieści *Tworzywo* wspomina że część Polonii kanadyjskiej z okresu przedwojennego posiadała w swych domostwach i farmach ten obraz, po domach cieszyniaków, co pierwsi na ziemi za Atabaskę w nieznane poszli, Madonnę ze Skoczowa posiadali. O obrazie tym krąży legenda, iż przybył do Skoczowa w czasach św. Jana Sarkandra z Moraw. Na jej odwrocie znajduje się łaciński napis następującej treści: *Ten obraz Błogosławionej Dziewicy Marii Częstochowskiej został skradziony przez świętokradczych heretyków — między którymi był najpierw wleczony konno do Skoczowa, niedaleko leśnego miasteczka — których grzeszną ręką został czterokrotnie przebity, zelżony i wrzucony do wody. Następnie skrycie przez dobrego katolika skoczowskiego z uwielbieniem został odnaleziony, wśród okrzyków do domu zanieiony i w końcu mnie, niegodnemu kapłanowi wtedy sprawującemu służbę w kaplicy, Janowi Kubickowi, został przyniesiony i oddany. Najszlachetniejszy niech będzie cierpliwy oddawca, a co uczynilem, niech odda mi Bóg.* Poniżej znajduje się jeszcze dopisek to uczynił grzeszny i w sprawiedliwość Bożą ufający Karol Zimende w roku 1765 (podpis Karola Zimendy jest słabo czytelny i może brzmieć *katolik Zimenetti*). Liczne wota okalające obraz wskazywały do XIX wieku na jego popularność wśród ludności.

W Pierścicu koło Skoczowa, w kościele parafialnym pw. św. Mikołaja, znajduje się w ołtarzu głównym niewielki drewniany posążek patrona świątyni, słynący do dzisiaj z łaski czynienia cudownych uzdrowień, czego doświadczają okoliczni mieszkańcy oraz przybysze z dalekich stron. Zdarzali się wśród nich nawet lekarze. Pierwsza historyczna wzmianka o cudownej figurze związana jest z pożarem, który w 1616 roku strawił pół wsi i drewnianą kaplicę, jednak rzeźba świętego ocalała. Protestanci wystawili nową kaplicę (1618), a po rekatalizacji społeczeństwa w roku 1775 wybudowano nowy drewniany kościół. Przetwał on do 1888 roku, kiedy to poświęcono nowy kościół murowany, przyciągający ze względu na figurę św. Mikołaja wiernych z całego Śląska. Tak jest do dzisiaj. W niepamiętnych czasach powstał zwyczaj pocierania o figurę św. Mikołaja chusteczki i bielizny chorych, celem wyproszenia uzdrowienia. Według podania, pasterz

pochodzący z wałaskich osadników w Brennej Mikoła, żyjący jeszcze w czasach piastowskich, wystrugał z lipowego drewna niewielką figurkę świętego. Już wtedy za sprawą rzeźby dokonywały się cuda, chroniąc m.in. mienie wieśniaków przed ogniem.

W Chybiu, w kościele parafialnym pw. Chrystusa Króla, znajduje się obraz z przedstawieniem Matki Boskiej, słynący wśród okolicznej ludności. Już w XIX wieku przybywano pątniczo przed jej obraz. Udawano się wtedy jednak do Gołysza koło Zarzecza, gdzie znana była jako Matka Boska Gołyska. Identycznie nazywa się obraz w Chybiu. Zawsze okalały go liczne srebrne wota stanowiące wyraz wdzięczności za doznane łaski.

Mało znanym miejscem pątniczym jest kaplica w uroczym bukowym jarze w Rudzicy, wsi leżącej w północno-wschodniej części Śląska Cieszyńskiego. Tamtejszy kościół parafialny pw. Narodzenia św. Jana Chrzciciela powstał około 1320 roku. Kaplica w bukowym jarze jest nowsza, bo z roku 1876, a została poświęcona św. Wendelinowi. Wewnątrz kaplicy znajduje się pod ołtarzem „cudowne” źródło, z którego stale wypływa woda. Jej leczniczych właściwości dowodzą liczne pielgrzymki, przybywające nawet z Górnego Śląska. Dzieje się tak każdego roku w dniu 25 kwietnia. Woda z tego źródła ma leczyć schorzenia oczu. Podobno *nawet Żyd się nią wyleczył, któremu żadne lekarstwa nie pomogły i groziła mu nieunikniona ślepotą*, jak stwierdził podczas kazania wygłoszonego przy kaplicy ksiądz Ferdynand Niemiec, w latach 1924–1962 proboszcz rudzickiej parafii. Ostatnio ustalono — dzięki proboszczowi Zygmunutowi Dudzie — że św. Wendelin (imię to oznacza wędrowca lub pielgrzyma) jest ulubionym świętym kaplic oraz pielgrzymek, patronem ludu, niw i bydła. Według legendy był irlandzko-szkockim królewiczem, który około 617 roku zmarł jako pustelnik lub mnich. Do Rudzicy jego kult mógł przywędrować wraz z osadnikami, zaś święty objął patronat nad źródłem, z którego wytryskiwała uzdrawiająca woda.

Za miejsce pątnicze należy uznać także kamień ołtarzowy znajdujący się pod szczytem góry Równica. W okresie prześladowań religijnych zbierali się tam potajemnie protestanci odprawiając nabożeństwa i modląc się o równouprawnienie religijne.

W artykule tym ominięto przypuszczalnie inne miejsca pątnicze, wyrosłe w nowszych czasach, bądź od dawna zapomniane. Opisany został wyłącznie dawny Śląsk Cieszyński. Tutejsza ludność pielgrzymowała grupowo bądź indywidualnie również do innych miejsc. Do końca XIX wieku udawano się — często potajemnie — do Matki Boskiej Częstochowskiej, przewożąc przez granice rosyjsko-pruską oraz prusko-austriacką ukryte kopie obrazu Czarnej Madonny. Obecnie pątnicy jeżdżą do Pszowa, Piekar Śląskich lub Turzy, do odległego Lichenia, a nawet do Francji, Portugalii i Włoch.

Kończąc, wymienić należy Kalwarię Zebrzydowską wchodzącą w pewnym sensie w obręb pątnictwa mieszkańców byłego Księstwa Cieszyńskiego. Wojewoda krakowski i starosta lanckoroński Mikołaj Zebrzydowski przystąpił w latach 1600–1620 do wybudowania w swych dobrach kościoła i klasztoru oo. bernardynów. Jego syn Jan poszerzył teren mający przypominać miejsca związane z męką Jezusa Chrystusa. Tak powstała Kalwaria z szeregiem kaplic, stacji, domów pustelniczych oraz zapleczem klasztornym. Przeszedłszy na wyznanie katolickie książę cieszyński Adam Wacław odbył w 1614 roku wraz z całym dworem, mieszczaństwem i ludnością wiejską pielgrzymkę do Kalwarii. Jako neofita, mimo olbrzymiego zadłużenia księstwa, przekazał Mikołajowi Zebrzydowskiemu pokaźne fundusze na dalszą budowę kościoła i klasztoru. Stało się to załącznikiem ściślejszych związków Kalwarii i Cieszyna, udokumentowanych archiwalnie od 1740 roku corocznym udziałem cieszyńskiej żeńskiej asysty w kalwaryjskiej procesji sierpniowej, w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. W procesji tej asysta cieszyńska kroczy w pierwszych szeregach.

JÓZEF GOLEC

EKSLIBRIS

KS. LEOPOLDA SZERSZNIKA

Wśród cieszyńskich ekslibrisów można znaleźć wiele różnych egzemplarzy, które kryją w sobie sporo ciekawostek. Na przykład ekslibris ks. Leopolda Szersznika jest najstarszym ekslibrisem o motywach cieszyńskich. Niezorientowany czytelnik nie dostrzeże w nim na pierwszy rzut oka elementów, które mówiłyby o związkach tego znaku z Cieszyнем. A jednak są takie.

Ekslibris ks. Leopolda Szersznika był od jego powstania aż do początków wieku XX niezauważony w literaturze. Nawet najwybitniejszy specjalista, znawca austriackich i niemieckich ekslibrisów K. E. graf Leiningen-Westerburg nie znalazł Szersznikowego



Powiększony ekslibris ks. Leopolda Szersznika

znaku książkowego. W swoim ponad sześciusetstronicowym dziele *Deutsche und Österreichische Bibliothekzeichen Exlibris* (Stuttgart 1901), poświęconym ekslibrisom austriackim i niemieckim, nie zamieścił żadnej informacji o znaku książkowym ks. L. Szersznika. W rozdziale poświęconym ekslibrisom przedstawiającym wnętrza biblioteczne wymienia ich kilkadziesiąt, o Szersznikowym znaku nie ma tam jednak ani śladu. Znak ten przeleżał w księgozbiorze Szersznika ponad sto lat. Dopiero Wiktor Karger opublikował pierwszy artykuł o tym znaku podając szereg ciekawych informacji

w „Zeitschrift für Geschichte und Kulturgeschichte Schlesien” (Opawa 1921, s. 129 – 130). I znów od ukazania się tego artykułu przez cały XX wiek ukazało się w paru wydawnictwach kilka tylko reprodukcji ze zdawkowymi informacjami. A znak ten jest wart wnikliwszego opracowania i podjęcia badań.

Od 1768 roku Leopold Szersznik kontynuował studia w akademickim kolegium jezuickim św. Klemensa w Pradze. Tam wszedł w świat cennych zbiorów bibliotecznych, szczególnie biblioteki Clementinum, której zbiory poznał jako pomocnik bibliotekarza.

Zapewne w tej bibliotece, a także w innych bibliotekach klasztornych zetknął się Szersznik z wieloma cennymi znakami własnościowymi książki i może one stały się impulsem wyzwającym pragnienie, by mieć własny ekslibris.

Kiedy Szersznik przebywał już w Cieszynie, utrzymywał kontakty z dawnymi przyjaciółmi i znajomymi, którzy pomagali mu w uzupełnianiu i powiększaniu księgozbioru.

Nie możemy zlokalizować dokładnie w czasie powstania ekslibrisu Szersznika. Nie wiemy, czy powstał za czasów pobytu poza Cieszynem, czy też już po powrocie do rodzinnego miasta.

Przyglądnijmy się jednak samemu ekslibrisowi księdza. Wykonany został w technice miedziorytniczej o wymiarach rytu 73 × 56 mm. Przedstawia wnętrze biblioteki utworzone z trzech ścian, w tym dwie boczne z regałami wypełnionymi książkami, przedstawione w silnym skrócie perspektywicznym. Obie ściany są zakończone na pierwszym planie pilastrami w formie kolumn, na zwieńczeniu których artysta umieścił dwa antyczne popiersia. Kto choć raz widział wnętrze praskiej biblioteki Clementinum, nie oprze się wrażeniu, że to ona była inspiracją dla książkowego znaku ks. Leopolda.

Na ścianie tylnej, przedstawionej frontalnie, widzimy dekoracyjnie podwieszone girlandy. Zwieńczenie tworzy muszla przedstawiona frontalnie, a od niej odchodzą labry. W środku, na sporych rozmiarów herbowej tarczy, przedstawiona jest sylwetka wilka stojącego na tylnych nogach, zwróconego w prawo. Ów kartusz z całą pewnością nie pasuje do bibliotecznego wnętrza, gdyż robi wrażenie raczej ołtarza. Potwierdza to i podkreśla także stół, również ustawiony centralnie, na którym stoją dwa globusy. Nie sposób jednoznacznie odczytać, co one przedstawiają, jednak trzeba tu przywołać znaną z całą pewnością Szersznikowi, jako bibliotekarzowi Clementinum, książeczkę Tomasza Campanelli (1568 – 1639) pt. *Miasto Słońca*. Uważny czytelnik fragmentów tej książeczki znajdzie zadziwiające analogie przylegające do kompozycji i wymowy poszczególnych elementów tego ekslibrisu. W centralnym miejscu ekslibrisu ponad stołem („ołtarzem”) widzimy na białej tarczy wilka. Szersznik chce nam na to zwrócić uwagę. Umieszczenie tam tego



Dom rodzinny ks. Leopolda Szersznika. Reprod. Tadeusz Kopoczek



Zabytkowy portal z domu rodzinnego ks. Leopolda Szersznika, zachowany do dziś w kamienicy nr 1 przy pl. św. Krzyża (od strony podwórza)

herbu, który Szersznik od dzieciństwa oglądał w portalu wejścia do swego rodzinnego domu, jest z jednej strony nawiązaniem do tradycji rodzinnej, z drugiej zaś pokazaniem — tak, ale przecież ten wilk (Wolf) na ekslibrisie jest odwrócony — tylko lustrzane odbicie.

Umieszczone na centralnym miejscu dwa globusy też znajdują odbicie w książce Campanelli, gdzie czytamy: *Na ołtarzu widać jeden ogromny globus z obrazem całego nieba i drugi — z obrazem ziemi. Nie zapominajmy, że Szersznik był jezuitą, ale jego zakon rozwiązano. Z całą pewnością był wewnętrznie zbuntowany. Nie mógł jednak oficjalnie demonstrować swoich poglądów.*

Czytamy też u Campanelli: *Dalej, na sklepieniu wielkiej kopuły oznaczono wszystkie gwiazdy nieba od pierwszej do szóstej wielkości, podając pod każdą z nich w trzech krótkich wierszach jej nazwę i moc, jakimi wpływa na ziemskie sprawy. Przecież nie jest to czysty przypadek, że Szersznik polecił rytmownikowi zwieńczyć sklepienie swojej biblioteki — świątyni napisem dotyczącym spraw tak bardzo ziemskich: MALO INVIDIAM QUAM MISERICORDIAM (wołę nienawiść niż litość). Ta właśnie rzymska sentencja wieńczyła również portal domu jego dzieciństwa. Co do tego, że był rozgoryczony i doznawał niezrozumienia i niesprawiedliwości, nie mamy wątpliwości, sam jednak okazywał litość, a nawet miłosierdzie swoim bliźnim.*

Drugi element tekstowy znajdujemy na płycie podłogowej. Tworzą ją perspektywicznie przedstawione kwadraty sugerujące, że jest to podłoga ze szlachetnego materiału, spotykana w pomieszczeniach szczególnych i wymagających szacunku. Grubość tej płyty, widoczna na pierwszym planie, została tak przedstawiona, że sugeruje, iż to stopień. Pierwszy stopień podstawowej wiedzy, którą trzeba posiadać, aby wejść do świątyni — biblioteki. Na nim artysta umieścił napis *Ex Bibliotheca Leop. Ioann Scherschnik* informujący, do kogo należy ten własnościowy znak, a tym samym księgozbiór.

Do tego pomieszczenia bibliotecznego pada światło z lewej strony, dzięki czemu połowa wnętrza jest oświetlona, zaś druga połowa znajduje się w cieniu, jakby w półmroku.

Własnościowy znak książkowy ks. Szersznika nie był zwykłym sobie ekslibrisem. Został on przez właściciela głęboko przemyślany i, jak się zdaje, zawiera całe przesłanie jego życia i głęboką ukrytą treść. Zapewne Szersznik dokładnie opisał wykonawcy swe życzenia dotyczące idei i koncepcji tego znaku, a może nawet przesłał mu szkice koncepcyjne.

Umieszczenie na stopniu wejścia do biblioteki nazwiska jej właściciela zaprasza jak gdyby do świata książek, a tym samym do wiedzy i nauki. Dwa globusy, jak na to już

wcześniej zwróciliśmy uwagę, to też przesłanie symboliczne. W okresie oświeconego absolutyzmu globus był symbolem ziemskości, rekwizytem gabinetów władców, muzeów, a przede wszystkim ludzi światłych. Drugi globus jest symbolem drugiego świata, pozaziemskiego. Książd Leopold Szersznik był jezuitą. Te dwa globusy to także nawiązanie do przesłania Ignacego Loyoli (1491 – 1556), założyciela zakonu jezuitów, który powiedział: *nie czujcie się panami na ziemi, bo jest drugi świat*.

Skąd tak wyeksponowany w kartuszu wilk w formie herbu? Rodzina Szersznika nie pochodziła z rodziny szlacheckiej i nie posiadała herbu. Dla Szersznika bardzo cenne było to, co wyniósł z rodzinnego Cieszyzna, z dzieciństwa, z rodzinnego domu. Jak wiemy, urodził się w Cieszynie, w narożnym domu przy obecnej ulicy Głębokiej (dawniej nr 30) i placu św. Krzyża. Stał tam dom, wybudowany pod koniec XVII wieku przez cieszyńskiego proboszcza ks. Henryka Samuela Wolfa. Później ten dom trafił do rodziny przodków Szersznika i w nim urodził się Leopold. Wejście do tego budynku tworzył portal, na zwieńczeniu którego został w kartuszu przedstawiony wilk. Prawdopodobnie na pamiątkę pierwszego właściciela tego domu, księdza, który nazywał się Wolf, co po polsku oznacza wilk. Na łukowatym obrzeżu tego portalu figurował napis wyryty w kamieniu o treści jak na ekslibrisie co było mottem umieszczonym na portalu przez ks. Wolfa. Obcowanie przez cały okres dzieciństwa i wiek szkolny Szersznika z tymi elementami zapadło tak głęboko w jego serce, że uznał je po latach, jako uniwersalne symbole swojego przesłania, przylegające do jego osobowości i z całą pewnością dlatego kazał je umieścić w swoim ekslibrisie.

Przez te dwa elementy, zaczerpnięte z rodzinnego domu, ks. Leopold Szersznik dał wyraz wdzięczności i hołdu przede wszystkim swojej matce za wychowanie i całej rodzinie, która dała mu podstawy wychowania i szansę dalszego kształcenia. Tymi dwoma elementami z portalu rodzinnego domu dał też wyraz miłości do swojego rodzinnego Cieszyzna.

Ekslibris ks. L. Szersznika jest najwcześniejszym księgoznakiem z motywami architektonicznymi zachowanymi do dziś.

Dom rodzinny Szersznika został rozebrany w 1911 roku, a na jego miejscu zbudowano kilkupiętrową nową kamienicę (dziś plac Św. Krzyża 1). Ów zabytkowy portal został jednak zachowany i wmurowany w wejście tej kamienicy od strony podwórka.

SENTENCJE

Ponad chmurami zawsze świeci słońce.
(Dorota Stalińska)

★ ★ ★

Skostnienie uważa się często za skryszowanie.

(Karol Irzykowski)

★ ★ ★

Tylko zarozumiali głupcy mają odwagę wyprzeć się wszelkiej zależności.

(Karol Irzykowski)

P przed Wiosną Ludów w Księstwie Cieszyńskim nie istniała prasa regionalna. Prenumerowano tu prasę wiedeńską lub pruską. W następstwie rewolucji w 1848 roku i ruchu panslawistycznego powstawać zaczęły pierwsze pisma. Najpierw ukazał się „Tygodnik Cieszyński” z datą 6 maja 1848, a za nim „Nowiny dla ludu wiejskiego” (od 5.7.1848), które zaczął wydawać pastor Andrzej Żlik. W 1851 r. Stalmach przekształcił „Tygodnik” w „Gwiazdkę Cieszyńską”.

Miejscowi Niemcy nadal prenumerowali niemieckojęzyczne pisma z zewnątrz. Dopiero 6.5.1860 roku Karol Prochaska otworzył księgarnię nakładczą i z dniem 15.5.1860 wydał pierwszy polityczny tygodnik pod tytułem „Schlesischer Anzeiger” (Biuletyn Śląski). Nad winietą tytułową umieścił lecącego śląskiego orla i niemieckie liberalne motto: „Postęp i jedność”. W maju 1863 roku tytuł został zmieniony i pismo zaczęło się ukazywać jako „Silesia”. Wkrótce zaczęło ukazywać się dwa, a od 1877 trzy razy w tygodniu, a mianowicie w środę, piątek i w sobotę (z dodatkiem). Od 1.7.1891 roku wychodziła codziennie, a po wybuchu I wojny światowej, od 1.8.1914 roku nawet dwa razy dziennie, w wydaniu rannym i wieczornym. W późniejszym okresie wojny zostało wydawanie zredukowane ponownie do jednorazowego wydania dziennie.

„Silesia” posiadała przedstawicielstwa i redakcje w wielu austriackich i śląskich miastach. Pismo docierało szeroko i daleko dzięki obrotowości wydawnictwa i redaktorów, którzy rekrutowali się przeważnie z Rzeszy. Jednym z nich był Albin Geyer (1842–1917), który pochodził z regionu Weimaru. Był redaktorem naczelnym „Silesii” (1897–1900), redagował także znane „Prochaska’s Monatsbände” (Miesięczniki Prochaski), „Familienkalender” (Kalendarz Rodzinny), a od 1903 do 1910 roku redagował „Jahrbuch der Weltgeschichte” (Roczniki historii świata). Później wydawał w Kolonii „Westdeutsche Allgemeine Zeitung”. Następcą Geyera, Wilhelm Pfannkuch, był również obywatelem Rzeszy. Po pierwszej wojnie światowej „Silesię” prowadzili kolejno: Malisch, Raschik i Hoffmann.

Po podziale Śląska Cieszyńskiego, w wyniku m.in. konkurencji ze strony „Deutsche Volkswehr”, „Friedeck”, „Grenzbote”, „P. Teschen” i innych „Silesia” podupadła. Po upadku firmy Prochaska, znalazła się w wydawnictwie „Ostrauer Verlag Kittl’s” spadkobiercy i spółki (w Koncernie z Wydawnictwem Mercy w Pradze), a następnie została połączona z „Ostrauer Zeitung” z tytułem „Mährisch-Schlesischer Grenzbote”.

W swoich najlepszych latach „Silesia” była wiodącą gazetą niemieckojęzyczną na Śląsku Cieszyńskim. Strony tytułowe przynosiły artykuły czołówkowe, wewnątrz można było znaleźć wiadomości regionalne i lokalne, kronikarskie zapiski i sprawozdania z małych miejscowości i poszczególnych wsi, felietony literackie, w dodatkach niedzielnych szereg tekstów literackich, seryjne opowiadania, a także wiersze. Przynosiła także sprawozdania z posiedzeń Śląskiego Landtagu.

Na łamach 60 roczników „Silesii” można znaleźć sporo interesującego materiału. Nie wdając się w ocenę polityczną tego pisma, które z racji swoich narodowych interesów stało stale w opozycji do lokalnego polskiego środowiska i polskich pism, trzeba stwierdzić, że roczniki tego pisma są także kopalnią wiadomości i wiedzy o przeszłości Śląska Cieszyńskiego.

Na klimat miast w okresie międzywojennym ogromny wpływ miały różnorodne zakłady usługowe, dobrze prosperujące rzemiosło, a także niewielkie zakłady przemysłowe i fabryczki. Nie brakowało ich także w Cieszynie. Nieraz były zagubione w bocznych uliczkach, a nieraz eksponowały się w samym centrum miasta. Jednym z takich miejsc była ulica Szersznika, gdzie pod numerem 5 współlegzystowali rzeźnik i restauracja, a w głębi budynku mieściła się fabryka. Właścicielem tych wszystkich zakładów był Marcin Babiński i jego rodzina.

Senior rodziny Babińskich, Marcin, nie był cieszyńskiem, gdyż urodził się 6 listopada 1883 roku w Roczynach koło Andrychowa. Już jako trzynastoletni chłopiec opuścił dom rodzinny w poszukiwaniu pracy. Trafił do Morawskiej Ostrawy i tam wyuczył się zawodu rzeźnika. Swoją pierwszą sklep rzeźniczy otworzył w Cierlicu, bowiem tam w 1912 roku poślubił Marię Piskorz. Rok 1921 okazał się dla niego, podobnie jak dla wielu Polaków

LUDWIK ROSNER

FABRYKA BABIŃSKICH

żyjących na Zaolziu, fatalny. Wyrzucony z Czechosłowacji, przeprowadził się do Cieszyna. Dzięki zarobionym pieniądzą i kredytowi zaciągniętemu w banku kupił kamienicę przy ulicy Szersznika. Bodaj w 1923 roku otworzył tu sklep rzeźniczy i restaurację. Zakłady te musiały dobrze prosperować, bo już w 1926 roku Babiński założył fabrykę o niespotykanie długiej dziś nazwie: Pierwsza Fabryka w Polsce wyrobów galanterii z drzewa, sztucznej masy i kości. Później dodano do niej jeszcze „(ze) sztucznego i prawdziwego bursztynu” a jeszcze po kilku latach: „oraz wiecznych piór”. Rozszyfrowanie nazwy nie nastręcza większych problemów — można sobie wyobrazić, co i z czego produkowano. A jednak zaskakującym jest fakt, że w fabryce produkowano aż 150 różnych wyrobów galanteryjnych, a licząc wraz z różnymi odmianami było ich około 800. Na pochodzącym z lat trzydziestych papierze firmowym, który jednocześnie reklamował fabrykę, wyodrębniono cztery działy produkcyjne: dział przyborów do palenia, dział przyborów kancelaryjnych, dział biżuteryjny i zabawkowy, dział okuć meblowych.

W pierwszym rzędzie produkowano przybory do palenia. Były to cygarniczki do papierosów (o dziwnych, niewiele dziś mówiących nazwach, jak trąbki, żabki, sztekery, wałeczki i inne), cygarniczki z badeńskiego drewna wiśniowego i jaworowego, cybuchy, rurki do fajek, zgiętki, ustniki. Bogaty w asortyment był również dział przyborów kancelaryjnych. Produkowano obsadki, ochraniacze do ołówków, przedłużacze do ołówków, kałamarze biurowe, noże, pieczątki, wkładki do książek, a także ołówki automatyczne. Od 1936 roku rozpoczęto produkcję wiecznych piór o na-



Marcin Babiński. Reprod. Dominik Dubiel



Kamienica nr 5 przy ul. Szersznika, w której mieściła się fabryczka Babińskich. Reprod. Dominik Dubiel

zwie „EMBECE”. Były to pióra oparte na systemie Pelikana, ze stalówkami połączanymi sprowadzanymi z Czechosłowacji lub złotymi, które pochodziły z Anglii.

Dużą część produkcji stanowiła biżuteria i różnego rodzaju ozdoby, jak naramienniki, kolie, broszki, figurki wykonywane ze sztucznej masy, prawdziwych lub sztucznych bursztynów, kości szpikowej wołowej, a nawet z kości słoniowej. Produkowano też szachy, domina, kule i kije bilardowe, „kostki szczęścia”, żetony, sztony, przybory do haftowania, iglice, tyżki do obuwia, szylldki i guziki do mebli. Wszystkie wyroby oferowano w różnych rozmiarach, kolorach, odmianach, z różnego materiału. Surowce sprowadzano z różnych zakątków Europy. Z Czechosłowacji importowano sztuczną żywicę „Juwelith” i drzewo bryjerowe na cybuchy do fajek. Z Austrii pochodziło drzewo wiśniowe do cygarniczek i fajek. Sztuczną masę „Galalit” i cybuchy porcelanowe do fajek kupowano w Niemczech. Pozostałe materiały i dodatki pochodziły z Polski.

W fabryce zatrudnionych było do

40 ludzi. Marcin Babiński sprowadził trzech fachowców z Czech, którzy kierowali produkcją przyborów do palenia, kancelaryjnych i zabawkowych. Dwaj mistrzowie z Niemiec zajmowali się biżuterią i rzeźbiarstwem. Bezpośrednio w produkcji byli zatrudnieni Polacy, w tym zwykle 15 kobiet. Prawie 30 procent produkcji wykonywali więźniowie Zakładu Karnego w Cieszyźnie. Głównym fachowcem i mistrzem w fabryce był Czech Josef Swaton, który w 1929 roku ożenił się z córką właściciela, Wiktorią. Wchodząc w rodzinę stał się stopniowo współwłaścicielem fabryki. Prowadzenie zakładu Babiński powierzył żonie i córce Wiktorii. W zakładach Babińskiego zatrudnieni byli także jego synowie. Syn Franciszek prowadził sklep rzeźniczy, w którym zatrudniano trzy ekspedientki oraz czeladników i uczniów. Młodszy Władysław przeznaczony został do kierowania restauracją, a pracę w niej zaczął jako piccolo.

Cała rodzina Babińskich na czele z Marcinem ciężko pracowała i niewiele miała czasu na rozrywki. Tych zresztą

Marcin Babiński nie potrzebował i bodaj tylko raz odwiedził kino uznając to za stratę czasu. Dzięki pracowitości właścicieli fabryka osiągnęła nie tylko duże obroty, ale uzyskiwała także nagrody na krajowych i międzynarodowych wystawach. Szczególnie szczęśliwy okazał się rok 1930. Fabryka zdobyła wtedy Grand Prix i Wielki Medal Złoty w Brukseli oraz Medal Srebrny w Wilnie. Z dobrymi wynikami wystawiała też wyroby w Poznaniu, Katowicach, Cieszynie.

Po wkroczeniu wojsk niemieckich w 1939 roku fabrykę zamknięto. Po wojnie w 1946 roku udało się ją ponownie uruchomić pod nazwą „EMBECE”. Współwłaścicielami zostali Władysław Babiński i Józef Swaton. Nastawiono się wtedy tylko na produkcję wiecznych piór i ołówków automatycznych. W krótkim czasie fabryka osiągnęła dobre wyniki i duże obroty. Jednakże w nowej komunistycznej rzeczywistości nie dane było prywatnej fabryce długo przetrwać. Właściciele otrzymali ogromny domiar w wysokości trzech milionów ówczesnych złotych. Zmuszono

ich w ten sposób w 1950 roku do zamknięcia zakładu. Przez wiele lat J. Swaton prowadził warsztat naprawy wiecznych piór, co było jednak tylko wspomnieniem po dobrze prosperującej fabryce. Władysław Babiński otrzymał nakaz pracy w Celmie, gdzie przepracował ponad 30 lat, m.in. na stanowisku kierownika zaopatrzenia, a potem kierownika przygotowania produkcji (co było rzadkie zważywszy „kapitalistyczną” przeszłość i fakt, że zawsze pozostał bezpartyjny). Marcin Babiński zmarł dwa dni po swoich 85. urodzinach i został pochowany w Cieszynie.

Działalność Babińskich przy ul. Szersznika trwała niespełna 25 lat, z przerwą wojenną. Pozostałością jest upaństwowiony sklep mięsny na rogu Szersznika i Szerokiej. Przez wiele lat w miejscu restauracji istniał bar mleczny. Po fabryce pozostały jej produkty, które niejednego cieszyniak odnajdzie na swoim biurku czy w witrynie kredensu. Pamiątką są też pozółkle fotografie, prezentowane w tekście, a przypominające inne czasy przy ul. Szersznika.



Stoisko z wyrobami firmy M.W. Babińskich na Targach Międzynarodowych w Poznaniu w 1936 roku.
Reprod. Dominik Dubiel

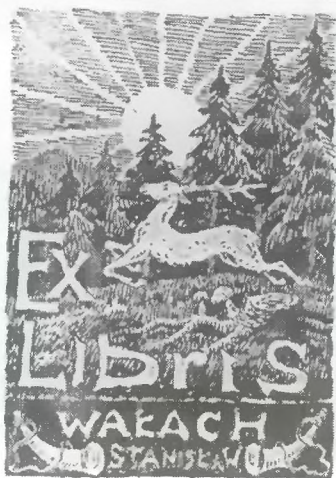
Przed rokiem zamieściliśmy artykuł wybitnego znawcy i wykonawcy księgoznaków, Józefa Golca. Wśród reprodukowanych przez niego ekslibrisów Cieszyńiaków znalazł się m.in. znak własnościowy ustrońskiego nauczyciela, dr. Alojzego Waszka, wykonany przez artystę malarza i grafika Jana Wałacha z Istebnej.

Jest on także autorem ekslibrisów wykonanych dla dwu innych znanych postaci.

Pierwszą z nich jest dr Ludwik Brożek (1907–1976) — bibliotekarz i bibliofil, doskonały znawca spraw regionu, redaktor i wydawca. Ekslibris przedstawia kobietę w stroju cieszyńskim z kwiatami i kłosami w ręku, na tle Wieży Piastowskiej z prawej oraz kopalnianego szybu, pieca hutniczego i kopalnianej haldy z lewej.

Drugi ekslibris został wykonany dla Teofila Hrabca (1906–1971), kościelnego w Cierlicku na Zaolziu, twórcy dużej kolekcji książek, dzieł sztuki, zwłaszcza ludowej, i zabytków. Zamawiał ekslibrisy u grafików zarówno polskich, jak i czeskich; miał ich 20.

EKSLIBRISY WAŁACHÓW



Autorką trzeciego reprodukowanego ekslibrisu jest córka Jana Wałacha, Maria, która wykonała go w 1958 roku dla swego brata, mgr. inż. Stanisława Wałacha (ur. 1920), absolwenta Wydziału Leśnego Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Pracował kolejno w Nowym

Targu, Limanowej i w Zburzycy Górnej, gdzie mieszka dotąd w leśniczówce. Prowadził Zespół Regionalny „Orawa”. Jest autorem artykułów poświęconych leśnictwu, a zwłaszcza ochronie lasów, które publikuje w prasie fachowej.

R.D.

A TO CIEKAWE

Ropa naftowa znana jest ludności od tysięcy lat. Asfalt do budowy dróg stosowali nad dolnym Eufratem m.in. Sumerzy, a Babilończycy w IX w. p.n.e. wybudowali z rozkazu królowej Semiramidy pod Eufratem kilometrowy tunel, którego mur wiązany był zaprawą zawierającą ropę naftową.

Wielką karierę ropa zrobiła jednak dopiero w obecnym stuleciu. W 1896 r. na całej kuli ziemskiej było jedynie 7 samochodów, a w 4 lata później już 10 tysięcy. Pierwszą lokomotywę z silnikiem Diesla uruchomiono w 1934 r., a napędy odrzutowe zastosowano w czasie II wojny światowej.

Pierwsza na ziemiach polskich kopalnia ropy i destylatornia powstały za sprawą Ignacego Łukasiewicza, który też skonstruował pierwszą lampę naftową.

W Galicji w 1909 r. wydobywano rocznie 2 mln ton ropy, co stanowiło aż 8 proc. ówczesnej produkcji światowej. Jeszcze dzisiaj sączy się ropa naftowa w szybie „Franek”, uruchomionym przez Łukasiewicza w Bóbrce pod Krosnem.

Niestety, sukcesy galicyjskie przyćmił Amerykanin Silimann, który również skonstruował lampę naftową, tyle że 2 lata później niż Łukasiewicz. Kiedy inny Amerykanin, Dracke, w 1859 r. zaczął wiercić pierwszy szyb naftowy w Pensylwanii, uznano to za początek przemysłu naftowego. Tymczasem (wspomniana już) kopalnia w Bóbrce w Galicji produkowała już od 8 lat a ropa, nazywana wtedy olejem skalnym, oświetlała szpitale i dworce kolejowe monarchii austriackiej.

DOKTORAT LUDWIKA BROŻKA

W problematyce badawczej Ludwika Brożka folklor postrzegany był — obok książki — jako przedmiot najgłębszych zainteresowań „śląskiego Estreichera”. Świadczy o tym niedwuznacznie fakt, iż tematem swej dysertacji doktorskiej uczynił właśnie folklor, a nie bibliografię, swą kolejną wielką pasję. Brożek — folklorysta prowadził swe badania z różnym nasileniem przez 45 lat (1931-1976), czego dowody znajdujemy w artykułach prasowych rozsianych licznie w czasopiśmie z tego okresu po obu stronach Olzy. Najważniejszym jednak jego dokonaniem w tej dziedzinie pozostaje bez wątpienia rozprawa doktorska, obroniona w jesieni życia, a podsumowująca dorobek naukowy badacza.

W Archiwum Uniwersytetu Wrocławskiego pod sygnaturą AU-4000/W II zarejestrowana została szara, wiązana teczka, w której znajduje się praca doktorska Ludwika Brożka pt. *Folklor cieszyński i jego odbicie w regionalnej kulturze i literaturze Śląska Cieszyńskiego. Zagadnienia wybrane*. Nie jest ona typowym złożonym w Archiwum maszynopisem, lecz szeregiem składających się na nią elementów, głównie wycinków prasowych naklejanych na sztywne kartki formatu A4 oraz nadbitek. Teczkę otwiera strona tytułowa, zawierająca imię i nazwisko autora, tytuł pracy oraz rok — 1968. Strona druga to *Spis rzeczy*, czyli treści pracy, na którą, składają się: Wstęp oraz dziesięć numerowanych rozdziałów:

1. Rodowód folkloru cieszyńskiego.
2. Tradycje ludoznawcze na Śląsku Cieszyńskim.
3. Z dziejów muzealnictwa w Cieszynie.
4. Z dziejów „Zarania Śląskiego”.
5. Ondrasciana.
6. Dokumenty zbójnickie.
7. Pisarze ludowi ziemi cieszyńskiej.
8. Jan Wantuła.
9. Jerzy Probosz.
10. Kalendarze cieszyńskie.

Strony od 3 do 6 stanowi maszynopis wstępu, datowany 1 marca 1968 roku, w którym L. Brożek informuje o zawartości poszczególnych rozdziałów. Wstęp otwiera stwierdzenie, iż studia i szkice zebrane w tej pracy w jedną całość poświęcone są folklorowi cieszyńskiemu, nie wyczerpują jednak tematu, stąd podtytuł: *Zagadnienia wybrane*. Następnie autor prezentuje krótko treść kolejnych rozdziałów, podporządkowując je tematowi rozprawy. Wyjaśnia, jak tak różne z pozoru zagadnienia łączą się ze sobą i co stanowi ich istotę. Przy prezentacji rozdziału pierwszego przywołuje nazwisko Jana Stanisława Bystronia i jego *Kulturę ludową*, której tezy rozwija w odniesieniu do folkloru cieszyńskiego. Wśród źródeł kształtujących kulturę ludową wymienia przede wszystkim położenie geograficzne, szlaki migracyjne oraz szeroko rozumianą akcję oświatową. *Tradycje ludoznawcze na Śląsku Cieszyńskim* nazywa Brożek swoistym katalogiem zagadnień etnograficznych i folklorystycznych, występujących na tym obszarze. Rejestruje w nim i charakteryzuje dorobek zarówno regionalny, jak i ogólnopolski, dotyczący Śląska Cieszyńskiego. Zwraca uwagę na Polskie Towarzystwo Ludoznawcze na Śląsku, które rozpoczęło pracę nad utworzeniem regionalnych

zbiorów muzealnych oraz periodyku, w którym na czoło wysunięte byłyby folklor i ludowość. Tym zagadnieniom poświęcone są w pracy Brożka dwa następne rozdziały. Dzieje muzealnictwa potraktowane zostały szeroko, z uwzględnieniem jego początków, sięgających przełomu XVIII i XIX wieku, związanych z nazwiskiem Szersznika. Trzy muzea cieszyńskie (Szersznikowskie, austriackie i Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego) stanowią — jak zauważa Brożek — dość ważną i ciekawą kartę w dziejach kultury regionalnej. Dzieje „Zarania Śląskiego” spisał Brożek — o czym informuje we wstępie — przy okazji jubileuszu 50-lecia pisma. Była to pierwsza próba przedstawienia nie tylko historii periodyku, ale i jego osiągnięć oraz znaczenia w regionalnej kulturze i literaturze Śląska Cieszyńskiego. Jak widać, Brożek miał świadomość własnej pionierskiej działalności również i w tej dziedzinie. Kolejne dwa rozdziały prezentują popularne w cieszyńskim folklorze motywy zbójnicze. *Ondrasciana* zawierają wiedzę historyczną o zbójniku beskidzkim, Ondraszku, podaniach i opowieściach ludowych o nim oraz o wątkach literackich z nim związanych. *Dokumenty zbójnicze* stanowią połączenie historii i folkloru; Brożek odtwarza odkryte przez siebie protokoły z przesłuchań znanego z podań ludowych zbójnika Juraszka, najbliższego przyjaciela Ondraszka i jego zabójcy. Rozdziały od siódmego do dziewiątego dotyczą pisarzy ludowych ziemi cieszyńskiej. Szkic ogólny — jak pisze Brożek — uzupełnia w wielu szczegółach prace prof. S. Pigonia i K. L. Konińskiego na temat pisarstwa ludowego. Kolejne dwa artykuły monograficzne, które sam autor określa jako „związłe”, poświęcone są Janowi Wantule i Jerzemu Proboszowi. W uzasadnieniu wyboru Brożek wyjaśnia, iż Wantule poświęcił już kilka szkiców i wydał jego pisma historyczno-literackie pt. *Książki i ludzie*, natomiast Probosz, którego nazywa wybitnym pisarzem ludowym, jest wciąż jeszcze twórcą prawie nieznanym. Ostatni rozdział, o kalendarzach cieszyńskich, stanowi dopełnienie informacji o wydawnictwach, które z jednej strony kształtowały kulturę ludową, z drugiej zaś znajdowały w niej swe odbicie.

Część końcowa wstępu świadczy o tym, iż autor rozprawy miał świadomość jej niedoskonałości. Píše o możliwości rozszerzenia i wzbogacenia tematów. Wymienia z nazwiska badaczy regionalnych, zajmujących się innymi dziedzinami folkloru: pieśniami (Jan Tacina), literaturą ludową (Robert Danel i Daniel Kadłubiec) oraz paremiografią (Józef Ondrusz). Stwierdza równocześnie, iż sam tymi sprawami się nie zajmował. Osobne studium — zdaniem Brożka — można by poświęcić związkom cieszyńskiego folkloru z regionalną literaturą piękną. Wspomina, iż folklor ten znalazł co prawda odbicie w twórczości kilku pisarzy regionalnych, ale poza utworami Morcinka nie można mówić o wybitniejszych dziełach. Związki literatury i folkloru w rozprawie znaleźć można natomiast w rozdziałach: *Ondrasciana* i *Z dziejów »Zarania Śląskiego«*. Brożek przypomina, że nie opracował pełnej monografii folkloru cieszyńskiego i jego związków z regionalną literaturą i kulturą, bo to — jak sam pisze — *przerastało chwilowo jego możliwości*, a zajął się tylko wybranymi zagadnieniami, które pragnął przedstawić w taki sposób, by nie powtarzać rzeczy znanych; niektóre zaś z jego ujęć — pisze dalej — *unoszą do tematu rzeczy nowe i to może mówić coś o ich wartości*. Widać w tym miejscu wyraźnie, że autor zdawał sobie sprawę z wagi naukowych odkryć, nie wahał się więc, by w słowach kończących wstęp to właśnie podkreślić.

W teczce oprócz wstępu znalazły się oprawne w granatowy i szary papier zeszyty różnego formatu (A4, A5 i B5), zawierające wycinki prasowe oraz nadbitki opublikowanych artykułów Brożka, które stanowiły poszczególne rozdziały rozprawy. Broszury opisane są niebieskim lub czarnym atramentem, ręką autora, który podaje źródło publikacji. Wyjątek stanowią nadbitki z *Pisarzy śląskich XIX i XX wieku: Jan Wantula i Jerzy Probosz*, gdzie znalazły się drukowane informacje, skąd pochodzą. Spośród dziesięciu rozdziałów pracy doktorskiej osiem stanowi samodzielne broszury, dwa natomiast zamieszczone w jednym zeszycie: *Pisarze ludowi ziemi cieszyńskiej i Kalendarze cieszyńskie*.

Do pracy dołączono Wykaz ważniejszych prac i artykułów Ludwika Brożka, obejmujący okres od roku 1929 do 1968, kiedy rozprawę przedłożono. Wykaz liczy 390 pozycji ułożonych chronologicznie na 24 stronach maszynopisu i sporządzony był z pewnością przez samego autora.

W teczce znajdują się recenzje pracy, autorstwa prof. dr hab. Juliana Krzyżanowskiego i doc. Józefa Ligęzy. Pierwsza z nich liczy niewiele ponad stronę maszynopisu, druga natomiast — aż pięć stron. Nie zachowała się opinia promotora — prof. dr. hab. Bogdana Zakrzewskiego, a próby nawiązania z nim kontaktu w tej sprawie nie dały pożądaných rezultatów¹.

Sledząc daty wydania poszczególnych artykułów, wchodzących w skład rozprawy, wypada stwierdzić, iż ich rozpiętość czasowa wynosi aż 21 lat. Najstarszy pochodzi z 1947 roku, dotyczy kalendarzy cieszyńskich i zamieszczony został jako ostatni rozdział pracy. Cztery następne opublikowane były w latach pięćdziesiątych (1950—59), kolejnych pięć — w latach sześćdziesiątych (1963—68). Jako ostatni powstał rozdział poświęcony pisarzom ludowym ziemi cieszyńskiej.

Rozdział pierwszy pt. *Rodowód folkloru cieszyńskiego* opublikowany został po raz pierwszy w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” na przełomie roku 1967 i 1968², a następnie włączony do pracy zbiorowej pod redakcją Daniela Kadłubca — *Płyniesz Olzo...*³ pt. *Źródła kultury ludowej*. Zgodnie z nakreślonym szkicowo we wstępie zakresem tematycznym Brożek zajął się w nim treściami kształtującymi kulturę ludową ziemi cieszyńskiej.

Rozdział drugi, zatytułowany *Tradycje ludoznawcze na Śląsku Cieszyńskim*, opublikowany został z początkiem 1959 roku na łamach „Zarania Śląskiego”⁴. Brożek zadedykował go pamięci ks. Józefa Londzina w 30-lecie jego zgonu. Dedykacja ta nie dziwi, gdy weźmie się pod uwagę fakt, iż to właśnie jemu autor miał do zawdzięczenia bardzo wiele, począwszy od ukształtowania zainteresowań bibliofilsko-bibliograficznych, poprzez zamiłowania folklorystyczne, na wyborze kierunków studiów skończywszy (inna rzecz, że niezbyt trafionym). Londzin był dla Brożka wzorem działacza, zaangażowanego w szeregu dziedzinach, człowieka z inicjatywą, który pozostawił po sobie bogate zbiory. Z nich też pochodziły ogłaszane pośmiertnie przyczynki i zakrojone na szerszą skalę prace; m.in. w przedwojennym „Zaraniu Śląskim” Brożek opublikował artykuł Londzina o strojach ludowych z własnym komentarzem i przypisaniami⁵. Nazwisko Londzina jako odkrywcy przywołał zresztą i w treści swego rozdziału, gdy pisał o pierwszych śladach zbieractwa pieśni w powiecie cieszyńskim oraz o roli, jaką odgrywał Londzin w tworzeniu Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie i gromadzeniu jego zbiorów.

Rozdział trzeci nosi tytuł *Z dziejów muzealnictwa w Cieszynie* i składa się z dwóch artykułów. Pierwszy z nich, obszerniejszy, zatytułowany jest identycznie jak rozdział⁶, drugi — kilkustronicowy, dotyczy zbiorów prywatnych na Śląsku Cieszyńskim⁷. Temat

¹ Autorka zraczała się do prof. Zakrzewskiego w tej sprawie w liście z dnia 13.10.1997, jednak odpowiedź z 22.10.1997, którą otrzymała, nie dotyczyła pracy doktorskiej L. Brożka. Poszukiwania korespondencji L. Brożka z B. Zakrzewskim z tego okresu również nie dały pożądaných rezultatów. W Centrum Wiedzy o Regionie przy Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Cieszynie zachowała się jedynie kartka pocztowa z dnia 26 czerwca 1970 roku nadesłana na adres cieszyńskiego Muzeum z Wrocławia przez B. Zakrzewskiego z podziękowaniami za przesłaną pracę K. Żurawskiego o E. Plater. Kartka zawiera również informacje o wyjeździe profesora do Lwowa i posiadłości Fredrów, gdzie zebrał rewelacyjne materiały, oraz o jego planach na lipiec.

² „Rodowód cieszyńskiego folkloru”, w: „Głos Ziemi Cieszyńskiej” 1967, nr 48—51 oraz 1968, nr 1.

³ „Płyniesz Olzo...” Zarys kultury duchowej ludu cieszyńskiego. Praca zbiorowa pod red. Daniela Kadłubca. Wyd. „Profil”. Ostrawa 1970. Teksty L. Brożka na stronach 21—31 („Źródła kultury ludowej”) oraz 75—94 („Cieszyńscy pisarze ludowi”).

⁴ L. Brożek: *Tradycje ludoznawcze na Śląsku Cieszyńskim*; w: „Zaranie Śląskie” 1959, zeszyt 1, str. 11—28.

⁵ J. Londzin: *Stroje ludowe*; w: „Zaranie Śląskie” 1931, zeszyt 3—4, str. 139—146.

⁶ W: *Rocznik Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Historia*, zeszyt nr 1. Bytom 1963, str. 15—45.

⁷ L. Brożek: *Zbiory prywatne na Śląsku Cieszyńskim*. Ibidem, str. 230—234.

ten był bliski Brożkowi ze względu na jego związki z muzealnictwem trwające przez cały okres powojenny, niemal aż do śmierci w 1976 roku.

Rozdział czwarty zatytułowany jest *Z dziejów „Zarania Śląskiego”* i opublikowany został w jubileuszowym dla pisma roku 1957⁸. Brożek jako jego równoletek również w tym roku obchodził swe 50. urodziny. Szczególnie mocno związany był z kwartalnikiem przez cały drugi okres jego istnienia, tj. w latach 1929—1939, pełniąc funkcję sekretarza redakcji i faktycznie wykonując większość prac związanych z jego wydawaniem. Artykuł stanowi próbę zebrania najważniejszych informacji o trzech okresach, w których pismo wychodziło, i zapowiada okres czwarty, który otwiera zeszyt jubileuszowy z Brożkowym tekstem. Trzy jego części odpowiadają kolejnym etapom wydawania „Zarania”, dla lepszego zilustrowania przeplatane fragmentami publikowanych w nim utworów, programów czy polemik. Nie pisze przy tym nigdzie o swoich zasługach, ogranicza się do stwierdzenia, że sprawował funkcję sekretarza redakcji od 1931 roku.

Rozdziały piąty i szósty dotyczą podobnych zagadnień. *Ondrasciana*⁹ — jak podaje sam autor — to wiadomości związane ze zbójnikiem beskidzkim Ondraszkim, garść faktów z historii na marginesie licznych prac o nim, zarówno polskich, jak i czeskich. *Zbójnickie sprawy i dokumenty*¹⁰, zaś to odkryte przez Brożka i opatrzone jego komentarzem protokoły zeznań czterech świadków w sprawie Jerzego Juraszka, zdrajcy Ondraszka, i jego towarzyszy oraz protokoły przesłuchań samego Juraszka i drugiego zbójnika — Polendy. Wspólna tematyka obu rozdziałów sprawia, iż mogą one stanowić swego rodzaju całość, tym bardziej, że i w pierwszym i w drugim przypadku skupia się Brożek na badaniu źródeł historycznych, dotyczących Ondraszka i jego towarzyszy.

Kolejnym tematem poruszonym przez Brożka w jego pracy jest pisarstwo ludowe. W trzech następnych rozdziałach (siódmym, ósmym i dziewiątym) charakteryzuje cieszyńskich pisarzy ludowych. Najobszerniejszy z nich jest szkic ogólny pt. *Pisarze ludowi ziemi cieszyńskiej*¹¹, dwa dalsze rozdziały — najkrótsze w pracy — stanowią prezentacje sylwetek Jana Wantuły oraz Jerzego Probosza.

Ich zwięzłe biogramy, bibliografie oraz wybór tekstów opublikowane zostały w antologii *Pisarze śląscy XIX i XX wieku*. O Wantule Brożek pisał w wielu artykułach, o czym była już mowa, może więc zastanawiać, dlaczego wybrał jako rozdział swej pracy właśnie ten, niezbyt obszerny biogram. Być może uznawał go za najlepszy, a może po prostu przyjął, że zawiera on wszystkie niezbędne informacje o robotniku-bibliofilu z Ustronia. Faktem jest, że artykuł nie odbiega od podobnych Brożkowych biogramów, które pisywał przez wiele lat do różnych wydawnictw.

Ostatni rozdział nosi tytuł *Kalendarze cieszyńskie*¹² i charakteryzuje kolejno wydawane na tym terenie kalendarze, od 1856 roku aż do roku, w którym artykuł powstał (1947), niezależnie od wyznania (katolickie i ewangelickie), grupy zawodowej (robotnicze, nauczycielskie, górnicze, rolnicze, ludowe itp.) czy narodowości, dla której były one przeznaczone (polskie, czeskie, niemieckie). Brożek wymienia również drukowane poza Śląskiem Cieszyńskim kalendarze, najczęściej „uniwersalne”, „wszechświatowe”, które cieszyły się znacznym powodzeniem, także i na tym terenie.

Zgodnie ze *Spisem rzeczy* rozdział o kalendarzach cieszyńskich kończy rozprawę doktorską Ludwika Brożka. Nie znajdziemy w niej osobnego podsumowania zagadnień, ponieważ rolę taką pełnił częściowo wstęp, a ponadto zagadnienia poruszane w pracy są tak różne, że trudno znaleźć dla nich jeden klucz. Łączy je z pewnością temat,

⁸ L. Brożek: *Z dziejów „Zarania Śląskiego”* (1907—1957); w: „Zaranie Śląskie” 1957, nr 1—2, s. 3—25.

⁹ L. Brożek: *Ondrasciana*, w: *Kalendarz „Głosu Ludu”* 1950, s. 40—48.

¹⁰ L. Brożek: *Zbójnickie sprawy i dokumenty*, w: *Kalendarz „Zwrotu”* 1955, str. 125—134.

¹¹ W: „Głos Ziemi Cieszyńskiej” 1968, nr 1—7. Ten sam tekst pt. „Cieszyńscy pisarze ludowi” wszedł w skład pracy zbiorowej „Płyniesz Olzo...” *Zarys kultury duchowej ludu cieszyńskiego*. Ostrawa 1970, s. 77—94.

¹² L. Brożek: *Kalendarze cieszyńskie*. „Szyndzioly” 1947, nr 9.

sformułowany szeroko, ale jednocześnie sygnalizujący, iż praca dotyczy wybranych tylko zagadnień. W większości Brożkowe opracowania omawianych problemów mają charakter pionierski, źródła, do których autor dociera, są różnorodne i ani bariera językowa (źródła czeskie czy niemieckie), ani czasowa (dokumenty i teksty z XVIII, XIX i początków XX wieku) nie stanowią dla niego żadnej przeszkody.

Recenzenci pracy, prof. dr hab. Julian Krzyżanowski i doc. Józef Ligeża, zwracali uwagę na czterdziestoletni wówczas dorobek naukowy Ludwika Brożka, obejmujący około 400 pozycji, większych i mniejszych, bardzo różnych pod względem wagi i tematu, popularyzatorskich i odkrywczych, przyczynkarskich i syntetycznych, krótkich recenzji i rozbudowanych studiów. Szerzej o dorobku Brożka pisze w swej recenzji Ligeża, przyznając mu należne w literaturze i kulturze regionu miejsce. Nazywa go *sumiennym bibliografem, wnikliwym biografem oraz historykiem kultury regionu*. Krzyżanowski natomiast określa go mianem *doskonałego i najwybitniejszego dzisiaj znawcy folkloru, literatury ustnej i drukowanej regionalnej Śląska Cieszyńskiego*, przypomina jego współpracę z Polskim Słownikiem Biograficznym oraz Słownikiem Folkloru Polskiego. Ligeża, ustosunkowując się do wyboru tematu przez Brożka, przyznaje, że znaczenie folkloru dla kultury Śląska Cieszyńskiego było wyjątkowe, stąd podjęcie tego tematu należy uznać za dotknięcie samego sedna kultury regionu. Dorobek Brożka w tym zakresie był poważny, wyróżniający się wśród innych opracowań.

Omawiając samą pracę, Krzyżanowski stwierdza, iż prezentuje ona *solidny poziom naukowy i obfity wachlarz zagadnień z zakresu folkloru cieszyńskiego*, jednocześnie sugeruje, iż szkice, wchodzące w jej skład, należałoby zebrać w jedną całość i opublikować drukiem, czym winien się zająć któryś z Instytutów Śląskich. Niektóre szkice — pisze dalej Krzyżanowski — *stanowią obok nieukończonej książki W. Ogrodzińskiego przewodnik po świecie ludowej kultury Śląska, przynoszą wiadomości o jej pionierach, oparte na solidnej i wyjątkowej znajomości dziejów tej kultury*. Rozdziały poświęcone Ondraszkowi recenzent porównuje do prac badaczy słowackich i przyznaje Brożkowi lepszą znajomość źródeł polskich. Ligeża natomiast ocenę rozprawy rozpoczyna od wyliczenia jej rozdziałów, a następnie przeprowadza podział na studia ogólne i opracowania cząstkowe, podając przykłady. Z kolei stwierdza, iż: *ważniejsze są opracowania szerszych zagadnień i te dzieli pod kątem tematu na: dotyczące bezpośrednio folkloru oraz stanowiące jego odbicie w regionalnej kulturze (co utożsamia z nauką) i piśmiennictwie*. Recenzent zatrzymał się nad zagadnieniami folklorystycznymi, poruszającymi przez Brożka. Nawiązuje do jego wstępu, w którym znalazło się wyjaśnienie przyczyn, z jakich autor rozprawy pominął te dziedziny folkloru, którymi zajmowali się inni badacze, wymienieni przez niego z nazwiska. Ligeża sugeruje, iż można było w oparciu o wyniki uzyskane przez wspomnianych badaczy pokusić się o *wzbogacenie grupy rozpraw dotyczących folkloru przez dodanie studium zawierającego przegląd i charakterystykę poszczególnych dziedzin folkloru*. Gdyby sugestia Ligeży została wykorzystana przez Brożka, praca być może zyskałaby kolejny rozdział, ale prawdopodobnie nie byłby on zgodny z koncepcją całości rozprawy, która — jak to jednoznacznie wynika ze wstępu — obejmuje studia, które mają prezentować rzeczy i ujęcia nowe, nie powtarzające spraw znanych i poruszanych przez innych. Brożek miał ambicję, by jego praca była oryginalna, a wyniki badań i odkrycia — jego własne, dlatego zapewne nie wykorzystał sugestii recenzenta. Ligeża chwali natomiast rozdział o pisa-rzach ludowych za niewchodzenie w przebrzmiałe spory z okresu przed — i tuż powojennego o status pisarza ludowego, jakie toczyły się wówczas przede wszystkim na łamach czasopisma „Wieś”. Szczególnie zaś wydobyć całego szeregu nieznanych twórców ludowych i omówienie ich dorobku zapewnia Brożkowi — jak twierdzi recenzent — *zasobny i trwały wkład w opracowanie tego tematu*. Ligeża wskazuje na jeszcze jeden — jego zdaniem — niedostatek pracy Brożka. *Brakuje mi tu — pisze autor recenzji — jednego, istotnego ogniwa. Myślę o studium skoncentrowanym na odbiciu folkloru w twórczości literackiej, przede wszystkim Gustawa Morcinka, ale nie tylko*

Morcinka. Luka ta jest tym bardziej zastanawiająca, że pisarstwo, jego dzieje i różnorodne przejawy znajdują się od lat w centrum uwagi autora. Pominięcie takiego studium jest wynikiem świadomego wyboru, o czym wspomina Brożek we wstępie, uważając, że o wybitniejszych dziełach, w których znalazły odbicie związki regionalnego folkloru z literaturą piękną, poza Morcinkiem, trudno mówić. Dlaczego jednak nie zdecydował się na analizę Morcinkowego *Ondraszka* pod tym kątem, trudno dziś dociec¹³. Być może dlatego, że nie opublikował takiej pracy, a wszystkie rozdziały jego rozprawy (poza wstępem) były wydane drukiem.

Prof. J. Krzyżanowski nie zgłasza zastrzeżeń do żadnego z rozdziałów; przeciwnie, zwraca uwagę na rozległy i dobrze udokumentowany materiał oraz staranny, prosty i jasny język. Na zakończenie ponownie wspomina o tym, że bardzo pożądane byłoby wydanie tej pracy drukiem w formie tomu szkiców, co tym razem sugeruje Muzeum miejskie (Krzyżanowski nazywa je Śląskim) w Cieszynie, macierzystej placówce kulturalnej doktoranta.

Doc. J. Ligęza również wskazuje na trwale dla historii kultury regionu, w wielu wypadkach pionierskie osiągnięcia L. Brożka zaprezentowane w tej rozprawie. Obaj recenzenci zgodnie stwierdzają, iż praca w pełni (Krzyżanowski pisze nawet, że z nadwyżką) odpowiada wymaganiom naukowym stawianym rozprawom doktorskim.

Ludwik Brożek obronił swą pracę 18 lutego 1969 roku. W listach do przyjaciela, Władysława Chojnackiego, wielkiego orędownika sprawy Brożkowego doktoratu, pisał: *Sprawa doktoratu mojego jest na ukończeniu. Sądzę, że mam ją załatwioną w 80%, a może nawet dalej. Praca przyjęta i pozytywnie oceniona (przez prof. Juliana Krzyżanowskiego i doc. Ligęzę z Bytomia, obydwóch folklorystów, bo praca nosi tytuł: Folklor cieszyński i jego odbicie w kulturze i literaturze Śląska Cieszyńskiego). Egzamin z filozofii marksistowskiej mam już za sobą. W styczniu ma być egzamin, mianowicie z piśmiennictwa śląskiego (u prof. Bogdana Zakrzewskiego), obrona pracy, no i koniec...* Sądzę, że jakoś to będzie, skoro i z filozofią jakoś było. Zdawałem tę filozofię u Andrzeja Nowickiego (dojeżdżającego z Warszawy do Wrocławia), czołowego ateisty polskiego. Piszę Ci o tym wszystkim, bo z listu Twojego wynika, że moje »niewczesne zamiary« trochę Cię zainteresowały i że jesteś mi życzliwy.¹⁴ W dziesięć tygodni później dodaje: *Pozwolisz, że dokończę rozpoczęty ongiś wątek opowieści o moich spóźnionych ciągotkach akademickich: 18. II zdałem we Wrocławiu egzamin z literatury i »broniłem« pracy doktorskiej; był to już drugi egzamin, pierwszy z filozofii zdałem 18. XI. Teraz już tylko czekam na »dyplom« i promocję...*¹⁵ Po uzyskaniu tytułu doktora Ludwik Brożek — jak twierdzi jego bratanek, Krzysztof¹⁶ — odżył. Było to uwieńczenie jego wieloletnich wysiłków i starań, a jednocześnie docenienie jego dorobku i wyeliminowanie kompleksu niższości, wynikającego z braku tytułu i uniwersyteckiego wykształcenia. Kiedy na mocy zmienionych przepisów udało się Brożkowi zdobyć potwierdzenie równoważności dyplomu przedwojennego Pedagogium i dyplomu ukończenia studiów, otworzyła się przed nim droga do uzyskania tytułu naukowego. Z szansy tej skorzystał w 62 wiośnie swego życia, potwierdzając tym samym to, o czym wiedzieli od dawna wszyscy korzystający kiedykolwiek z jego pomocy, że jest to wybitny naukowiec, w pełni zasługujący na taką satysfakcję.

¹³ Interesujący również wydaje się fakt, iż w Centrum Wiedzy o Regionie przy Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Cieszynie, w materiałach po L. Brożku, w teczce „Korespondencja z prof. Romanem Pollakiem, prof. Krzyżanowskim i prof. Zakrzewskim” znajduje się obszerny, czterostronicowy list prof. R. Pollaka do Gustawa Morcinka z 5. II 1955 r., który zawiera szczegółową analizę Morcinkowego „*Ondraszka*”. Brożek, będąc w jego posiadaniu, nie wykorzystał go, choć z pewnością byłby to interesujący materiał, pomocny zwłaszcza przy pisaniu szkicu o związkach cieszyńskiego folkloru z literaturą piękną.

¹⁴ List L. Brożka do Wł. Chojnackiego z 30.11.1968 r.: Ludwik Brożek: *Listy bibliofila*. Skoczów 1982, s. 185. Maszynopis w posiadaniu Muzeum w Cieszynie.

¹⁵ List L. Brożka do Wł. Chojnackiego z 12.3.1969 r. Ibidem, str. 188.

¹⁶ W wywiadzie z autorką z 19 IX 1996.

JAN RUSZ

ZANIM POWSTAŁO KOŁO MACIERZY...

W Warszawie mieszkało wielu znakomitych absolwentów wielce zasłużonej dla Śląska Cieszyńskiego uczelni, jaką było polskie gimnazjum w Orłowej, powstałe w roku 1909, a utrzymywane niegdyś z funduszków Macierzy Szkolnej. Po pół wieku jej istnienia szykowały się piękne uroczystości jubileuszowe, w których także absolwenci mieszkający w stolicy zamierzali wziąć gremialny udział.

Radosne nastroje i perspektywy spotkania się z rówieśnikami, kolegami i znajomymi potęgował optymizm, jaki zaistniał w Polsce po politycznej odwilży i wydarzeniach październikowych 1956 roku. Entuzjaści odnowy nie docenili jednak ówczesnej bezdusznej czujności, jaka panowała wokół nadolziańskiej granicy. Zawiedli się więc warszawscy Zaolziacy, którzy dotarli do samego Cieszyna w nadziei, że tu na starostwie otrzymają obiecane przepustki, potrzebne do przekroczenia granicy. Rozczarowali się także i ci, którzy w katowickim urzędzie wojewódzkim spodziewali się otrzymać odpowiednie dokumenty podróży. Zarówno jedni, jak i drudzy do Orłowej nie dojechali.

Kiedy tak w drodze powrotnej do Warszawy medytowali na dworcu kolejowym w Katowicach nad zaistniałą sytuacją, bodajże Bogusław Kożusznik wraz z profesorem Emilem Chroboczkim, Aleksandrą Saperową i innymi rozdrażnionymi podróżnymi doszli do wniosku, że dobrze byłoby co jakiś czas spotykać się w stolicy i utrzymywać łączność towarzyską, tym bardziej, że — jak szacowali — oprócz kilkudziesięciu orłowskich absolwentów mieszka w niej przecież co najmniej około setki osób, wywodzących się z Zaolzia. I tak się zaczęło.

Najpierw „orłowianie” dostarczyli jeszcze za Olzę książki i upominki zgromadzone z okazji 50-lecia gimnazjum w Orłowej. Z czasem ufundowali stroje śląskie i ofiarowali inne jeszcze podarunki.

SPOTKANIE W „ŚWITEZIANCE”

Pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych zarówno w „Życiu Warszawy”, jak i w „Kurierze Polskim” pojawiały się krótkie notatki, zapraszające Zaolziaków jak i Cieszyńiaków z polskiej strony Olzy na spotkanie w kawiarni „Świtezianka”. Nazwa ta miała wymowę swego rodzaju symbolicznej tęsknoty, bowiem zarówno Wileńszczyzna ze swoją Świtezią, jak i ziemia za Olzą pozostawały poza granicami państwa polskiego.

Gdy więc na skutek tych anonsów prasowych zjawiłem się i ja w „Świteziance”, szatniarz skierował mnie do stolika, przy którym siedziało kilka osób, a wśród nich Aleksandra Saperowa, Maria Wardasówna i Władysław Gawlas, z którymi potem najczęściej się spotykałem.

Motorem wszelkich poczynań organizacyjnych była Aleksandra Saperowa, która w bezpośrednich kontaktach z ludźmi wykazywała się wielkimi umiejętnościami, nabytymi m.in. w prowadzonym przez nią biurze porad matrymonialnych. Jej mąż przebywał wciąż jeszcze wśród „białych niedźwiedzi” na olbrzymich terenach ZSRR, dokąd został deportowany jeszcze w czasie wojny za przynależność do przedstawicielstwa polskiego rządu londyńskiego. Po Październiku 1956 czyniono usilne starania o jego

powrót do kraju, co w końcu zostało uwieńczone sukcesem. Po powrocie Saper pracował jako adwokat w Warszawie, ale po kilku latach wyemigrował wraz z żoną Aleksandrą do Anglii.

Zanim to się stało, Saperowa żyła na codzień tworzeniem Klubu Zaolziaaków, a potem Cieszyńiaków w Warszawie. Odbывała spotkania, wyszukiwała adresy znajomych, prowadziła ankietyzację i rejestrację kandydatów i członków klubu. Dlatego po okresie odnajdywania się, naradach o charakterze rozpoznawczym i posiedzeniach towarzyskich w „Świteziance”, kiedy odbyło się pierwsze walne zebranie Zaolziaaków-Cieszyńiaków w siedzibie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, przy ulicy Bagateli, została wybrana oficjalnie pierwszą prezeską klubu. Sekretarzewania podjęła się Aleksandra Szczawińska.

Znana pisarka, kobieta-lotnik, Maria Wardasówna odznaczała się niezwykłą energią i iście młodzieńczym temperamentem. Oprócz zebrzań klubowych aktywizowała się na spotkaniach z czytelnikami. W swojej pracy społeczno-oświatowej interweniowała nieraz w różnych trudnych sprawach. Cieszyła się, gdy udało jej się pomóc, jak chociażby w uzyskaniu dotacji na Dom Kultury w Istebnej. Martwiły ją trudności przyziemne. Na przykład kiedyś podczas pobytu w Rumunii otrzymała w darze samolot sportowy, który potem został zawłaszczony przez „Lot”. Długo i bezskutecznie domagała się jego zwrotu. Dopiero po kilkuletnim procesie sądowym (w jej imieniu występował adwokat Saper) otrzymała za niego stosunkowo niewielkie odszkodowanie, które właściwie pokryło jedynie związane z procesem koszty. W jej życiu codziennym sporo miejsca zajmowały sprawy związane z wydawaniem kolejnych tomów powieści *Wylom*, w której zawarła sagę kilku pokoleń rodziny Rajwasów. Pisarka miała ogromny żal, że jej powieść drukowana była na zwykłym, gazetowym, bardzo nietrwałym papierze. Mieszkała skromnie w jednym, ciasnym pokoiku na ulicy Poznańskiej. Z tego powodu m.in. wyprowadziła się do Krakowa, a potem na kilka lat do Stanów Zjednoczonych — swój pobyt w nich opisała w kolejnym tomiku wspomnień.

POSTACIE NIE TYLKO POPULARNE

Pochodzący z Zaolzia Władysław Gawlas zatrudniony był zawodowo w pionie Najwyższej Izby Kontroli. Z uwagi na charakter swojej pracy nie wysuwał się na czoło działania społecznego w klubie. Brał udział w zebraniach, służył radą i doświadczeniem. Był tym, który załatwił to, że spotkania Zaolziaaków-Cieszyńiaków mogły odbywać się w siedzibie ZSL. Kiedyś przypadkowo natknęliśmy się na siebie w pokoju gościnnym w Przasnyszu, gdzie przeprowadzał kontrolę w miejscowych instytucjach. Od tego czasu spotykaliśmy się częściej.

Gawlas był urzędnikiem niezwykle rzetelnym, prawym i nieskorumpowanym. Z czasem z tego powodu urabiano wokół niego opinię, że jest „człowiekiem niebezpiecznie uczciwym”, bo niepodatny na przekupstwa i bezwzględny wobec różnego rodzaju nadużyć. Opinia ta rodziła także ujemne skutki. Osoby skorumpowane, znajdujące się w kontrolowanych przez niego urzędach, zainicjowały nagonkę na „niebezpiecznie uczciwego”, organizowały intrygi, nastawiały nieoczekiwane pułapki, mające go skompromitować. Gdy wszystko to okazywało się niewypałem, sięgnięto do haniebnych metod prześladowczych, które odpierał lub znosił cierpliwie, bo był twardym, zahartowanym i — wydawało się — człowiekiem nie do złamania.

W czasie jednego z naszych spotkań w kawiarni „Sejmowa” dużo dobrego opowiadał o swoim synu — asystencie na Uniwersytecie Warszawskim. Był z niego dumny. W pewnym momencie zwrócił się do mnie bezpośrednio:

— Jak pan wie, w zasadzie nie pijam alkoholu. Chciałbym jednak wychylić z panem lampkę wina. Bo chyba widzimy się po raz ostatni. Jestem ciężko i nieuleczalnie chory. Ten kielich może przyspieszy rozwiązanie moich problemów życiowych. Zrezygnowany machnął ręką...

Po kilku tygodniach już nie żył.

Duszą wielu poczyniń klubowych był Paweł Kubica, wywodzący się z wielodzietnej rodziny w Łazach. Po ukończeniu gimnazjum w Orłowej studiował medycynę w Pradze, a potem (aby odpracować stypendium, jakie otrzymał z Macierzy Szkolnej) został zatrudniony jako lekarz służby przemysłowej w Boguminie.

W czasie okupacji niemieckiej trafił do Warszawy, gdzie działał m.in. w wolskim szpitalu zakaźnym oraz w otwockim sanatorium przeciwgruźliczym. Przeżył wiele tragedii, oglądał dramaty ludzkie, zwłaszcza podczas powstania warszawskiego, kiedy to, jako dyrektor szpitala ratował przed niechybną śmiercią nie tylko pacjentów, ale także pracowników pobliskiej fabryki Franaszka. Był lekarzem niezwykle wrażliwym i czułym na cierpienie, a zarazem bardzo lubianym i towarzyskim — jego warszawskie mieszkanie stało się miejscem licznych i serdecznych spotkań lekarzy, naukowców, twórców, w tym także wielu Cieszyńiaków z obu stron Olzy.

Klub skupiał nie tylko tak znane postacie, jak wywodzący się z Zaolzia: Bogusław Kożuszniak (wiceminister zdrowia), Emil Chroboczek (dyrektor naukowego instytutu sadowniczego-ogrodniczego), Bolesław Trombala (działacz społeczny, dyrektor wydawnictwa „Polonia” — obecny prezes warszawskiego Kola Macierzy), Jerzy Kukucz (ichtiolog, związany z instytucjami rybołówstwa morskiego), Ludwik Maceczek (nauczyciel, dyrygent chórów, aktywista kulturalno-oświatowy i ludowy). Klub stał się miejscem stałych i sporadycznych spotkań ludzi o różnych zawodach i zainteresowaniach, których łączyło umiłowanie swojego miejsca pochodzenia i Śląska Cieszyńskiego: Zofia Chroboczkowa, Eugeniusz Lukas, Władysław Kiedroń, Rudolf Gazurek, Władysław Dziedziak, Teofil Matusiak, Emilia Kisza, Jadwiga i Paweł Bieleszowie, Mariola i Leopold Bulandrowie, Helena i Józef Fryszczyńowie, Anna i Mirosław Stalowie, Helena i Józef Stańkowie, Zuzanna i Józef Zawadowie, Janina i Emanuel Zuczkwowie — to tylko niektóre z zapamiętanych postaci starszej generacji. Niestety, wielu z nich nie ma już wśród żyjących.

OWOCNA DZIAŁALNOŚĆ

Niewątpliwie lata sześćdziesiąte należały w działalności Klubu Cieszyńiaków do najbardziej owocnych. Oprócz spotkań towarzyskich, połączonych ze wspomnieniami, pogadankami, odczytami, różnymi konkursami, zabawami, wieczorami poezji i prozy odbyło się też kilka medytacji „przy warzonce” oraz wycieczki w plener. Rozwojowi ruchów regionalnych sprzyjał wówczas klimat społeczny powodujący, że oprócz Cieszyńiaków w Warszawie powstawały także kluby nowosądeczan, łomżyńian, sandomierzan, ziemi chełmskiej i inne.

W Klubie Cieszyńiaków na początku utarł się zwyczaj, że zebrani nie protokołowano, ani żadnych składek członkowskich nie zbierano. Jednak w miarę rozwoju wprowadzono listę obecności, bo tak życzyły sobie władze — poinformowała pewnego razu prezeska. Z czasem jednak „władze” życzyły sobie coraz więcej, a klub stawał się solą w czymś oku.

W swoich założeniach klub zawarł również różnorodną opiekę nad grupami i pomoc indywidualnym „przybyszom” z Zaolzia. Najaktywniejszymi przewodnikami w rozwiązywaniu nieraz bardzo skomplikowanych osobistych spraw okazali się Paweł Kubica i Karol Machej, którzy nieraz służyli również noclegiem i częstowali przybyłych obiadem.

Osobliwe zainteresowanie „władz” wzbudzał również fakt, że Zaolziacy mogli się w ogóle „zorganizować”. Potem podejrzane stało się to, że klubem kieruje ktoś, kto myśli o opuszczeniu kraju. Jeden z prominentnych Zaolziaków, który z racji pełnionej funkcji zawodowej był na przyjęciach w Ambasadzie Czechosłowackiej, dzielił się wrażeniami, jak to niby „pół żartem — pół serio” przy lampce wina dawano mu do zrozumienia, że ambasada wie, zna i obserwuje „wywrotową” działalność klubu — jak ją zaczęto określać

po ostatecznym uregulowaniu spraw granicznych. Nadzwyczajne zainteresowanie „władz” wzbudziło spotkanie z posłem na Sejm PRL, przewodniczącym Stronnictwa Demokratycznego, prezesem Sądu Powiatowego w Cieszynie Władysławem Gawlasem, który na zebraniu w klubie, jakie odbyło się w lokalu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, opowiadał o swojej pracy poselskiej i o problemach nurtujących wówczas mieszkańców tego nadolziańskiego grodu.

Wreszcie nastąpiło pierwsze bolesne uderzenie. Klub nie mógł spotykać się już w ZSL przy ul. Bagateli.

Nowy prezes klubu, Karol Machej, który był doradcą ówczesnego wicepremiera Piotra Jaroszewicza, załatwił miejsce zebrań w siedzibie Naczelnej Organizacji Technicznej, przy ulicy Czackiego. Aktywność imprezowo-towarzyska rozwinęła się na nowo. Cieszyńscy znów wyruszyli na zwiedzanie zabytków w Skierniewicach i Jabłonie, odwiedzali innych klubowiczów w miejscu ich zamieszkania na terenie Celestynowa i Podkowy Leśnej, zbierali grzyby w okolicznych lasach.

W lutym 1973 roku prezes zmarł. Przez wiele miesięcy nastąpiła przerwa we wzajemnym funkcjonowaniu.

EMOCJONALNA WIĘŹ Z ZAOLZIEM

Wtedy to państwo Niemczykowie zaproponowali odbywanie spotkań w ich mieszkaniu prywatnym, przy ulicy Kaliskiej. Wiktor Niemczyk pochodził z Bystrzycy nad Olzą. Był księdzem, biblistą. Dziełem jego życia stał się nowy przekład ksiąg Starego i Nowego Testamentu. Przez jedenaście lat Wiktor Niemczyk był rektorem Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, a jego syn Jan przez kolejne sześć lat. W ich prywatnym mieszkaniu, w atmosferze niezwykle sympatycznej i rodzinnej gromadziła się jednak ograniczona liczba uczestników.

Dzięki staraniom Władysława Gutka, pochodzącego z Rzeki, udało się załatwić znów parę spotkań w innej siedzibie NOT, przy ulicy Nowy Świat. Usiłowano też zbierać się w jednej ze szkół podstawowych, a nawet w Domu Chłopa, gdzie obchodzono 75-lecie urodzin rektora Wiktora Niemczyka oraz jubileusz profesora Emila Chroboczka.

Wylaniały się jednak wciąż nowe problemy z zalegalizowaniem pracy klubu, która rozwijała się w sposób nieformalny. I tak w połowie lat siedemdziesiątych przyjechał do stolicy prezes cieszyńskiego Klubu Propozycji Władysław Oszelda, który pośredniczył w nawiązaniu kontaktów z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej — organizacją posiadającą nie tylko osobowość prawną, ale udostępniającą również swój ośrodek na Saskiej Kępie. Wywodzący się z Cisownicy, a będący wówczas dyrektorem Pałacu Młodzieży Jerzy Berek w opracowanej koncepcji pracy TWP mocniej akcentował rolę wykładów i prelekcji, możliwie ilustrowanych przeżroczami. Cieszyńscy nawiązali i utrzymywali także kontakty z Towarzystwem „Polonia” i Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, przy pomocy których sprowadzano zespoły artystyczne znad Olzy, zapewniając im występy w stolicy, a wyżywienie i noclegi w hotelu ZNP. Swego rodzaju posłannictwo klubu widziano wtedy nie tylko w kształtowaniu emocjonalnej więzi środowiskowej, ale także w zacieśnianiu łączności z Zaolziem.

Miało to swój wyraz nie tylko w obchodach 130. rocznicy urodzin Jana Kubisza, czy wieczorze poświęconym poecie Henrykowi Jasiczkowi, ale również w zapraszaniu na zebrania klubowe mieszkających za Olzą historyków Stanisława Zahradnika i Władysława Jośka, popularnego „Jury spod gronia” — Władysława Niedoby i innych, a także w organizacji wystaw cieszyńskich malarzy. Imprezy te przyciągały nowych ludzi, deklarujących swoje korzenie i związek z ziemią cieszyńską.

I tak po „odkryciu” nowych Cieszyńiaków w Warszawie doszło do powstania Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, która ma już swoją własną, nową, bogatą, dwudziestoletnią historię — wartą upamiętnienia w odrębnym szkicu.

CIESZYNIACY POD WAWELEM

Kraków przyciągał zawsze ludzi znad Olzy. Już w latach 1400–1450 dwóch jabłonkowie kształcili się w Uniwersytecie Jagiellońskim, a później dziesiątki studentów z Księstwa Cieszyńskiego zapewniali sale UJ. Tak było przez stulecia. Zdobyta wiedza wracała i owocowała zakładaniem szkół, współpracą z Krakowskim Towarzystwem Szkoły Ludowej. Te związki dały plony dwukierunkowe: już w 1912 roku w skład Komitetu Organizacyjnego Akademii Górniczej w Krakowie weszli dyrektor Polskiej Szkoły Górniczej w Dąbrowie i jej profesorowie, którzy w 1919 roku objęli stanowiska profesorów i wykładowców w nowej uczelni, a złotymi literami w jej historii i historii nauki polskiej wpisali się profesorowie Antoni Gawel (AGH i UJ), Jan Kubisz, Oskar Nowotny, Jerzy Buzek, Wacław Olszak, Feliks Olszak, Roman Rieger, Antoni Schmitzek, Franciszek Byrtus i wielu innych. Absolwenci AGH tworzyli i zasilali międzywojenny i powojenny polski przemysł hutniczy i górnictwo. Nazwiska Cieszyńniaków znajdujemy w tym okresie w rejestrach absolwentów i doktorantów Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych krakowskich wyższych uczelni, a szereg z nich sięgnął po togi profesorskie, jak prof. Adam Kunicki, Kornel Michejda, Paweł Sikora, Karol Bromek, Władysław Milata, Jan Stanisław Bystroń.

Wojenna ucieczka po schronienie w Krakowie związała z tym miastem licznych cieszyńskich działaczy społecznych i politycznych, których kontakty powojenne dały zawiązek lokalnego koła Macierzy Cieszyńskiej. Początkowe koleżeńskie spotkania, których inicjatorem był przedwojenny współpracownik dwukrotnego chłopskiego premiera RP Wincentego Witosa, mgr Edward Kaleta, o bardzo już bogatym mimo młodego wieku dorobku działacza społecznego i politycznego w ruchu ludowym, przerodziły się w formalną organizację Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Spotkania odbywały się w kancelarii adwokackiej pierwszego prezesa Koła, mec. Kalety, a brali w nich udział założyciele Koła: profesor UJ Paweł Sikora, literat Kornel Filipowicz, Marian Ożóg, urzędnik skarbowy Karol Krzywoń, syn posła na Sejm Śląski Alfred Palarczyk, mgr inż. Andrzej Pilch i coraz liczniejsze grono Cieszyńniaków.

Koło nie dysponowało i nadal nie posiada stałej siedziby, a swoje spotkania odbywało w lokalach użyczanych przez macierzyste instytucje członków jak Stowarzyszenie Absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego przy ul. Podwale, Krakowskie Zakłady Tytoniowe przy ul. Dolnych Młynów, Wojewódzki Związek Spółdzielni Pracy w Rynku Głównym oraz, przez długie lata do czasów obecnych, Zespół Szkół Górnictwa Odkrywkowego przy ul. Rzeźniczej 4. Spotkania organizowane są średnio co dwa miesiące przy frekwencji około 70 procent członków. Uwzględniając zainteresowania, uwarunkowane składem socjalnym i wiekiem uczestników, sięgamy na nich do historii, tradycji, stosunków społecznych regionu, zapraszając specjalistów z zewnątrz, jak również korzystając z wiedzy członków. Gościliśmy w naszym gronie profesora Stanisława Hadyń z jego żywą opowieścią o zespole „Śląsk”, wzlotach i upadkach, ale również o nieznanym kulisach twórczości muzykologa i kompozytora, jak na przykład o naciskach, na szczęście bezskutecznych, w sprawie skomponowania muzyki do nowego hymnu PRL. W tematykę stosunków narodowościowych, religijnych, walki o język i szkołę polską na naszej ziemi cieszyńskiej wprowadzali nas doc. dr J. Paluch (Czesi, Słowacy, Polacy — kształtowanie się języków i narodów), dr Stanisław Zahradnik — żywa kronika tych walk, redaktor Władysław Oszelda z żoną Jadwigą. Nieocenionym źródłem informacji był i pozostaje jeden z założycieli Koła, profesor Uniwersytetu

Jagiellońskiego Paweł Sikora, podejmujący w cyklicznych prelekcjach zagadnienia historii, kultury, oświaty, a tematkę ruchów politycznych, społecznych, religijnych, z ciekawymi osobistymi przeżyciami przedstawiał aż do przejścia na emeryturę mecenas Edward Kaleta.

Dużym wydarzeniem, zapoznającym społeczeństwo Krakowa z problematyką ziemi cieszyńskiej, była zorganizowana w 1992 roku z inicjatywy i staraniem członkiń Biblioteki Jagiellońskiej w jej gmachu wystawa o Zaolziu, obejmująca historię oraz kulturę materialną i duchową tej ziemi. Bogaty przekrój tematów pokazał zabytki i pamiątki, więzi z Krakowem i Alma Mater Cracoviensis, walkę o polskość i język, organizacje polskie, folklor, życie gospodarcze, dając pełny obraz bogactwa kulturowego i historycznych zmagani o utrzymanie polskości tej ziemi. W Krakowskim Domu Polonii odbyła się publiczna prezentacja materiałów z wystawy — w tym również ciekawego foldera — przez jej autorki dr Helenę Wagner i mgr Joannę Blachnicką, wzbogacona projekcją bardzo udanego filmu o Zaolziu, nakręconego przez dr Aleksandrę Wagner.

Plejadę cieszyńskich twórców, przybliżonych naszym członkom i sympatykom na spotkaniach, otwiera Gustaw Morcinek, którego życie i dzieła literackie przedstawił obszernie i żywo Jan Broda ze Skoczowa, a nowoczesną poezję z ziemi „Albo-Albo” na wieczorze krakowskim „Domu Polonii” zaprezentowała młoda poetka z Zaolzia Renata Putzlacher. Wywodzący się z Kresów Wschodnich cieszyńskiak z wyboru nieżyjący już członek naszego Koła, literat Kornel Filipowicz na spotkaniu autorskim pokazał wybiórczo w swych utworach powojenne losy Cieszyńiaków. W okresie prezesury Koła sprawowanej po ustąpieniu mecenas Kalety przez profesora Akademii Górniczo-Hutniczej dr Karola Kropa zbliżyliśmy się również do istebniańskich plastyków Wałacha i Konarzewskiego, których warsztaty, dzieła i ciekawe sylwetki przedstawił nam dyrektor Muzeum w Wiśle mgr Jan Krop. Gościliśmy również obecnego Prezesa Z.G.Macierzy mgr Mariusza Makowskiego z prelekcją o twórczości malarskiej Karola Niedoby, a zabytki architektury Cieszyna i okolic przypomniał nam mgr inż. arch. Jan Janczykowski. Większość naszych spotkań ma oprawę plastyczną przygotowaną i omawianą przez obecnego prezesa Koła mgr inż. arch. Karola Morysa, który z pietyzmem odsłania nam niezauważane dzieła architektury naszej „małej ojczyzny”.

Perły staropolskiej, cieszyńskiej gwary wielokrotnie omawialiśmy również z udziałem profesjonalistów-twórców „Słownika gwarowego Śląska Cieszyńskiego” mgr. mgr Jadwigi Wronicz, Jana Kropa, Józefa Twardzika, a używanie gwary w spotkaniach Koła uznajemy za praktykę potwierdzającą nasze cieszyńskie korzenie. Poznaliśmy źródła naszej ludowej kultury również z pomocą nieocenionego popularyzatora Jana Brody ze Skoczowa, tradycje cieszyńskich „zapiśników”, sięgając do różnych źródłowych tekstów i dokumentów. Aby utrzymać stały kontakt z historią, przyjęliśmy zasadę prezentowania na każdym zebraniu życiorysu co najmniej jednego działacza naszej ziemi, eksponując szczególnie zasłużone w bojach o narodową i kulturową tożsamość cieszyńskie rody: sylwetki Stalmacha, Londzina, Świeżego, rodziny Michejdów, Kubiszów, Olszaków, a w tydzień po powołaniu na stanowisko premiera cieszyńsiaka zaprezentowaliśmy zasługi rodziny Buzków w krzewieniu i utrzymaniu polskości na Zaolziu oraz rolę tej rodziny w polskiej kulturze. Cennym źródłem informacji, wykorzystywanym przez nas są opracowania mgr. Józefa Golca, z którego pracą nad skompletowaniem, redakcją i wydaniem słownika biograficznego zapoznaliśmy się na zorganizowanym u nas spotkaniu.

Tych kilka wybranych tematów to część naszej działalności popularyzatorskiej. Naszą łączność z cieszyńskim środowiskiem podtrzymujemy w licznych kontaktach osobistych, nie tylko rodzinnych. Udzielamy zaolziańskim szkołom pomocy w organizowaniu wycieczek do Krakowa, współpracujemy w zapewnieniu zakwaterowania i wyżywienia, a nieocenioną bazę dla tej pomocy stanowił Zespół Szkół Górnictwa Odkrywkowego w Krakowie, kierowany przez długoletniego sekretarza naszego Koła mgr. Kazimierza Durczoka. Dług wobec swoich współziomków z Bogumina spłacają

również matka i córka dr. dr Helena i Aleksandra Wagner, służąc bezinteresownie swą wiedzą w prezentowaniu młodzieży z Zaozia zabytków Krakowa. Pamiętając o własnych kłopotach w stawianiu pierwszych kroków na krakowskim gruncie, pomagamy młodym studentom znad Olzy w zdobyciu dogodnych i tanich kwater, gdy brakuje miejsc w akademikach.

Koło nasze, niezbyt liczne (42 osoby), nie sięgające do całego krakowskiego środowiska rodem z cieszyńskiej ziemi, ma bardzo przyjacielski, koleżeński charakter. Nasze spotkania nasycone są atmosferą rodzinną, zwłaszcza corocznie obchodzone opłatki wigilijne, a tęsknotę za rodzinnym cieszyńskim domem wypełniamy osobistymi wspomnieniami i zgodnie ze starym obyczajem naszymi pieśniami, które brzmią zawsze, gdy jesteśmy razem: *Ojcowski dom, Płyniesz Olzo, Śpiewaj ludu polski złoty, Wypowiadaj swe tęsknoty.*

Zarząd Koła tworzą: prezes Karol Morys, wiceprezes Urszula Federowicz-Bruk, sekretarz Tadeusz Kojzar, skarbnik Ewa Czepita-Krówka.

CZY WIECIE, ŻE...?

Znane skorupiaki stonogi nie posiadają wcale stu nóg, jak mówi nazwa. Różne ich gatunki mają zaledwie po kilkanaście par odnóży. Więcej nóg, bo od 20 do nawet 400 par mają krocionogi, należące do wijów, będących jedną z grup stawonogów.

★ ★ ★

Podczas gwałtownej ulewy w roku 1858 w Hiszpanii woda wypłukała koronę króla Wizygotów, Swinthili, panującego w latach 621—631 i usuniętego z tronu. Przez ponad 1200 lat korona ukryta była pod warstwą ziemi.

★ ★ ★

Drzewa tropikalne nie mają słojów w przekroju pnia. Na podstawie liczby słojów określić można wiek danego

drzewa. Na wiosnę, miazga o sporej wilgotności wytwarza duże i ciemnocienne naczynia o jaśniejszym odcieniu. W lecie jest mniej wody i letni przyrost jest ciemniejszy. Dzięki temu, wskutek różnicy odcieni, zarysowują się warstwy słojów. W pasie tropikalnym natomiast nie ma pór roku i nie powstają różnice kontrastowe w postaci słojów.

★ ★ ★

W gwiazdozbiorze Centaura, w odległości 17 lat świetlnych od Ziemi, odkryto niedawno kosmiczny obiekt wielkości naszej planety, o średnicy 12.800 km i ogromnym ciężarze. Jak uważają amerykańscy astronomowie, obiektem tym ma być olbrzymi diament. Filiżanka materii tego ciała kosmicznego miałaby ważyć około 1 tony.

LEOPOLD NIEMIEC, TADEUSZ CUP

STALE NAS UBYWA...

Podpisane w lutym 1948 roku porozumienie pomiędzy rządami PRL i CSR oraz powrót do granic z przed 1938 roku, w znacznym stopniu ograniczyło kontakty rodzinne pomiędzy mieszkańcami po obu stronach Ołzy. Dotknęło to przede wszystkim tych Zaolzian, którzy znaleźli się poza pasem granicznym i po zakończeniu działań wojennych w 1945 roku na stałe zamieszkali na terenie Górnego Śląska i w Zagłębiu Wałbrzyskim.

Nic więc dziwnego w tym, że z początkiem lat pięćdziesiątych grupa osób, wśród których znalazł się prof. dr Feliks Olszak, syn znanego działacza na Zaolziu dra Wacława Olszaka, postanowiła utworzyć organizację pokrewną Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, a tym samym zacieśnić więzy rodzinne. Wszyscy bowiem pamiętamy na jakiego rodzaju trudności natrafiliśmy przy przekraczaniu granicy. Komitet organizacyjny zwołał spotkanie koleżeńskie w nie istniejącej już dzisiaj restauracji w Zabrzu, przy ulicy Wolności. W Zabrzu dlatego, gdyż tam właśnie mieszkała dość liczna grupa kadry inżyniersko-technicznej górnictwa. Należy też przypomnieć, że inżynierowie cieszyńscy stanowili trzon ówczesnego przemysłu. Liczba uczestników wynosiła ponad 100 osób. Listę obecności sporządzono w tym celu, żeby umożliwić zawiadomienie uczestników o następnym spotkaniu. Lista ta w niewyjaśnionych okolicznościach znalazła się w posiadaniu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach i organizatorzy zostali zobowiązani do zaniechania tego rodzaju spotkań. W ten sposób zebranie inauguracyjne było zarazem zebraniem ostatnim.

Dopiero w 1979 roku koleżeńskie kontakty mgra Jana Foltyna, wiceprezesa Zarządu Głównego Macierzy z katowickimi Cieszyńiakami zaowocowały zwołaniem w dniu 23 listopada zebrania organizacyjnego, którego celem było utworzenie Koła MZC w Katowicach. W zebraniu tym, któremu przewodniczył mgr Jan Foltyn, wzięły udział 24 osoby. Wybrano Zarząd Koła, w którego skład weszli: prof. dr Kazimierz Popiołek — prezes, mgr Tadeusz Kaszper — wiceprezes, dr Leszek Ogiegło — sekretarz, dr Teodor Pustówka — skarbnik.

Zarząd zarejestrował Koło w Urzędzie Miejskim w Katowicach. Liczba członków wzrosła do 80. Prof. Popiołek udostępnił nam klub studencki „Kubuś” na comiesięczne zebrania, natomiast wiceminister górnictwa mgr inż. Tadeusz Czechowicz zabezpieczył nam lokal w Głównym Instytucie Górnictwa na zebrania Zarządu Koła. Z pomieszczeń tych Koło korzysta do dziś.

Głównie z przyczyn naturalnych następowały zmiany w składzie Zarządu Koła. Kolejnymi prezesami byli: Leonard Guziur, Jaromir Granieczny, a od roku 1994 funkcję tę pełni Leopold Niemiec.

Formy działalności Koła na przestrzeni nie uległy zmianie. Są nimi informacje i pogłębianie wiedzy o ziemi cieszyńskiej, o żyjących na niej ludziach, historii miejscowości, zabytków, działających w cieszyńskim organizacji, o wszystkim, co jest nam bliskie. Szczególne miejsce zajmuje w naszej działalności popularyzacja wybitnych Cieszyńiaków. Systematycznie przez cały okres istnienia Koła pamiętamy o starszych i schorowanych członkach Koła przysyłając im życzenia z okazji świąt i osobistych jubileuszy. Co roku organizujemy spotkanie noworoczne, tzw. wigilijkę. Przeważa jednak wygłaszanie referatów, organizowanie imprez i wycieczek. Wśród prelegentów byli m.in.:

Władysław Byszewski, Ryszard Gabryś, Emanuel Guziur, Jan Hławiczka, Tadeusz Kijonka, Kazimierz Kaszper, Bronisław Kohut, Jerzy Kukuczka, Krzysztof Nowak, Andrzej Ofiok, Władysław Oszełda, Karol Polak, Karol Romer, Wojciech Riess, Władysław Sosna i Maria Wardasówna. Prelekcje wygłaszali też członkowie Koła; najciekawsze były wspomnienia osobiste. Niektóre z referatów były publikowane w „Kalendarzu Cieszyńskim”, „Kalendarzu Śląskim” i w „Zwrocie”.

Najważniejszą imprezą zorganizowaną przez Koło dla miasta Katowic była akademicka i koncert z okazji setnej rocznicy Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Imprezę uprządkowano w sali koncertowej Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej im. M. Karłowicza. Salę wypełniło ponad 300 osób, które entuzjastycznie odbierały program wykonany przez solistów, którymi byli wybitni pedagodzy, studenci i uczniowie Akademii Muzycznej i Szkoły Muzycznej w Katowicach. Uroczystość uświetnił również chór mieszany „Harmonia” z Cieszyna. Prezentowano utwory takich Cieszyńiaków jak: R. Berger, R. Gabryś, J. Gawlas, S. Hadyna, K. Hławiczka, J. Sztwierzniak i inni.

Miesięczne zebrania, których tematem było życie i twórczość kompozytorów, połączone były zawsze z występami zaproszonych artystów. Do muzycznych imprez zaliczamy również kilkakrotną obecność w Kole założycielki Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej, pani mgr Janiny Marcinkowej. Jej prelekcje były uzupełniane wyświetlaniem filmów o tańcach cieszyńskich i góralskich. Braliśmy udział w koncertach chórów „Colegium Canticorum”, „Gorol”, „Suszenie” i „Harfa”. Byliśmy na uroczystości 45-lecia Sceny Polskiej w Czeskim Cieszynie. Największym powodzeniem cieszyły się wycieczki na ziemię cieszyńską. Organizatorem i inicjatorem tych wycieczek był Mieczysław Jasek. Byliśmy gośćmi Kół MZC w Istebnej, Skoczowie i w Zabrzegu. Zorganizowaliśmy kilka wycieczek do Cieszyna, w tym z okazji 70. rocznicy utworzenia Rady Narodowej dla Księstwa Cieszyńskiego. Zwiedzaliśmy Muzeum im. Kosak-Szczuckiej w Górkach Wielkich, muzeum Konarzewskich w Istebnej, Muzeum Regionalne „Na Grapie” w Jaworzynce, Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w Ustroniu, Muzeum w Skoczowie i Ośrodek Sportu w Brennej. Nieco inny charakter miały wycieczki do Krakowa. Zorganizowaliśmy dwie takie wycieczki. Dzięki wielkiej sympatii dla Śląska Cieszyńskiego prof. dr Szablewskiego udostępniono nam komnaty Zamku na Wawelu, stale zamknięte dla zwiedzających. Złożyliśmy kwiaty na grobach zasłużonych Cieszyńiaków — prof. UJ dra Romana Dybowskiego i ks. prałata K. Dłopolskiego (Karola Kołtuna — kapelana Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji urodzonego w Zabłociu k. Bogumina). Nasze Koło gościło na odmianę wycieczki MZC ze Skoczowa i Strumienia.

Koło ściśle współpracuje z poszczególnymi członkami w zakresie ich zainteresowań. W Kole znajdują poparcie, pomoc i zachętę do działania. Nieodżałowanym indywidualistą był honorowy członek MZC Oswald Guziur, z zamiłowania historyk, którego Komisja Historii PAN powołała w skład zespołu do opracowania historii Śląska Cieszyńskiego. Jest autorem książki *Lido i Stragan — Ślązacy w wywiadzie AK*, w której przedstawił wybitną rolę, jaką odegrali w czasie okupacji Ślązacy w walce z najeźdźcą. Ma na koncie około 100 różnych publikacji o tematyce cieszyńskiej. Powszechnie cenioną jest honorowy członek MZC Maria Skalicka, wybitna bibliofila, fundatorka oddziału Zbiorów Marii Skalickiej przy Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w Ustroniu. Bogaty zbiór swoich cieszyńianów, ekslibrisów, grafik druków bibliofilskich i numizmatów prezentowała kilkakrotnie w Muzeum w Cieszynie, w Siemianowicach i dwukrotnie w Bibliotece Śląskiej w Katowicach. Wszechstronna działalność Marii Skalickiej skłoniła The Library of Congress w Waszyngtonie do nawiązania z nią współpracy.

W Kole nie udało się zorganizować zalecanej przez Zarząd Główny Sekcji Plastyków, niemniej utrzymywaliśmy kontakt z artystą grafikiem Pawłem Stellerem (którego żona jest członkinią naszego Koła), który udostępniał nam swoje prace i służył pomocą zainteresowanym plastyką członkom Koła. Jedną z aktywniejszych, działających w Kole plastyczek jest Wanda Skuza — prezes Klubu Seniora Katowickiego Związku

Polskich Artystów Plastyków. Artystka wystawia, współpracuje ze środowiskiem kombatanatów, organizując wspólne wernisaże z okazji różnych rocznic.

Członkami Koła jest wiele wybitnych osób, czego najlepszym dowodem są tytuły honorowych członków MZC. Od czasu utworzenia Koła tytuły te, oprócz wymienionych już Marii Skalickiej i Oswalda Guziura, otrzymali Maria Górską, Kazimierz Popiolek i Karol Stryja.

W sposób naturalny liczba członków co roku maleje. Oderwanie Cieszyna od województwa katowickiego i powołanie w Cieszynie filii Uniwersytetu Śląskiego, który miał być bazą członków Koła, spowodowało ograniczenie napływu Cieszyńiaków na Górny Śląsk, a tym samym ograniczyło możliwość naboru. Dzisiaj Koło liczy 38 członków. Mimo podeszłego wieku są to ludzie aktywni społecznie nie tylko w Kole MZC, ale również w wielu innych organizacjach.

Opracowanie zostało oparte na prowadzonej w Kole kronice oraz danych ze sprawozdań rocznych. W lipcu 1995 na skutek katastrofalnej powodzi (wylew Rawy) zalane zostały pomieszczenia Rektoratu Uniwersytetu Śląskiego, w tym również dokumenty Koła. Materiały te zostały stracone bezpowrotnie.



Zamek w Skoczowie, 1938 rok. Drzeworyt Henryka Konheisnera

JANUSZ GUZIUR

PÓŁNOCNY BASTION CIESZYŃSKIEGO

24 października 1998 roku uroczystą sesją jubileuszową w sali Senatu Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie uczczono piętnastolecie tamtejszego Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Koła, które kontynuuje bogate tradycje kontaktów nadolziańskiej ziemi z Warmią i Mazurami.

Zostały one zadzierżgnięte za sprawą Antoniego Osuchowskiego, który wspierał zarówno inicjatywy Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego, jak walkę o polskość Warmii i Mazur. Po przegranej plebiscycie w Prusach Wschodnich i w Działdowskim działało Zrzeszenie Ewangelików Polaków, przemianowane w 1922 roku na Polsko-Mazurskie Towarzystwo Ewangelickie. Zasilali je głównie polscy ewangelicy z Cieszyńskiego i z Warszawy. Czołową postacią był w Towarzystwie prof. Józef Biedrawa, pochodzący z Trzyńca na Zaolziu, wieloletni dyrektor Seminarium Nauczycielskiego w Działdowie. Oprócz niego w szkole tej przygotowywali się do zawodu pedagoga i do działalności na polu narodowym tacy m.in. przybyli ze Śląska Cieszyńskiego pedagodzy, jak Paweł Sikora, Robert Kożusznik, Piotr Klimosz, Paweł Ożana, Andrzej Sztetek i inni. W Mławie dyrektorem seminarium był Cieszyński ks. pastor Karol Banszel.

Żoną dyrektora J. Biedrawy została pisarka i działaczka Emilia Sukertowa. Dzięki niemu odbyła w 1927 roku podróż po Śląsku Cieszyńskim (nocowała w cieszyńskim hotelu „Pod Jeleniem”). Wybrała się także na Zaolzie, aby — jak potem napisała — przekonać się naocznie, czy to, co pisała prasa o poczynaniach czeskich w sto-

sunku do Polaków, było prawdą. Okazało się, że owszem.

W 1931 roku przybył na Mazury urodzony w Kostkowicach nauczyciel Jerzy Lanc, który stał się ofiarnym krzewicielem polskości na tym terenie. Przypłacił to w 1932 roku życiem. Obecnie szkoła w Piasutnie, gdzie uczył, nosi jego imię, w 1955 roku dokonano też odsłonięcia tablicy poświęconej pamięci pedagoga i działacza.

Na współczesnych kontaktach cieszyńsko-olsztyńskich najbardziej zaważyło jednak przeniesienie w 1950 roku z nadolziań-



Na zdjęciu od lewej: wiceprezes Zarządu Koła MZC w Olsztynie prof. Andrzej Faruga i prezes prof. Janusz Guziur. Fot. Archiwum

skiego miasta do stolicy Warmii i Mazur Państwowej Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego. Do Olsztyna przyjechało wówczas 87 procent świetnie wyszkolonej kadry tej szkoły, jak również kilku nauczycieli Liceum Ogólnokształcącego im. A. Osuchowskiego i Państwowego Liceum Pedagogicznego. Szczególnie warto spośród nich wymienić takich naukowców i pedagogów, jak: Wiktor Wawrzyczek, Józef Budzłowski, Dominik Wanic, Tadeusz Młynek, Halina Karnicka, Franciszek Kuczera, Karol Bijok, Janina Wengris, Zofia i Józef Dubiscy, Tomasz Dziama, Tadeusz Knaut, Ewald Bożek... Dowodem tego, że ich zasługi nie poszły w niepamięć, może być fakt uhonorowania ich w nazwach ulic, parków, zespołów, imprez kulturalnych bądź sportowych. Poza największym w centrum Akademii Rolniczo-Technicznej placem Cieszyńskim istnieją w Olsztynie ulice W. Wawrzyczka, J. Dubiskiego, A. Szostkiewicza, J. Wengris, T. Młynka i M. Gotowca, który był ostatnim rektorem cieszyńskiej PWSGW i pierwszym rektorem uczelni w Olsztynie. Mamy też w naszym akademickim kampusie park im. prof. Dominika Wanica, działający od 45 lat chór akademicki i stadion sportowy im. prof. W. Wawrzyczka, Muzeum Przyrodnicze im. prof. Janiny Wengris, co roku odbywają się także międzynarodowe turnieje siatkarskiej elity Europy im. W. Wawrzyczka.

Kilkakrotnie przewijało się to ostatnie nazwisko. Nie za sprawą przypadku, była to bowiem postać naprawdę nietuzinkowa. Do dziś opowiada się o nim anegdoty. Wokół prof. W. Wawrzyczka właśnie zaczęli się skupiać Cieszyńsiacy, często organizował bowiem spotkania i uroczystości, niektóre przy *kreplikach* i *warzonce*. Był najpopularniejszym profesorem uczelni, uznawanym za mistrza zarówno przez studentów, jak i asystentów.

Ale do instytucjonalnego skupienia Cieszyńsiaków z Warmii i Mazur doszło dopiero w październiku 1983 roku. Inicjatywa wyszła od mojego ojca, Emanuela Guziura, członka Zarządu Głównego Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, on też doprowadził do spotkania czternastoosobowej grupy Cieszyńsiaków. W ten sposób doszło do utworzenia najdalej na północ wysuniętego Koła MZC. Uczestnikami tego historycznego zebrania byli: Rudolf Juranek, Krystyna i Marian Kozłowski, Danuta Rutkiewicz, Bogusław i Romana Boguccy, Józef Pleban, Ingebork i Ewald Bożkowie, Jan Macura, Janusz Sztwiertnia, Ryszard Palach, Marek Kania i Janusz Guziur. Wybrano także pierwszy Zarząd w składzie: J. Guziur — prezes, B. Bogucki i R. Juranek — wiceprezesi, J. Sztwiertnia — sekretarz, D. Rutkiewicz — skarbnik oraz H. Nowak i R. Palach — członkowie.

Rozpoczęto żmudne penetrowanie regionu w poszukiwaniu Cieszyńsiaków. Na ogłoszony apel zgłaszali się ludzie z odległych nawet zakątków województwa. Byli to przykładowo Maria i Jerzy Matuszewscy z Bartoszyca, Alicja Majewska wraz z ojcem Emilem Szczybrochą z Dywitu, Marek Kania spod Lubawy, Jan Macura i małżeństwo Brudnych z Barczewka, Piotr Sztwiertnia z Pasłęka, Piotr Koziołek z Torunia, Bolesław Tolłoczko spod Nidzicy.

Mimo dzielącej naszych członków odległości wzajemne kontakty są częste i żywe. Nie stanowi bariery również wiek. Tak na przykład mimo dźwignia ósmego krzyżyka działa w olsztyńskim Kole MZC ostatni żyjący były asystent PWSGW w Cieszynie, dziś emerytowany profesor zwyczajny dr hab. Kazimierz Majkowski. Jego małżonką była nieżyjąca już dr chemii Helena Jakubowska-Majkowska, maturzystka w Liceum im. Osuchowskiego z 1945 roku, późniejsza wieloletnia asystentka prof. W. Wawrzyczka w olsztyńskiej Katedrze Chemii Ogólnej.

Godną uwagi jest też postać innego seniora Koła, 82-letniego Rudolfa Juranka rodem z zaolziańskiej Karpętnej, członka honorowego Macierzy. Stoi on na czele całego „klanu” Juranków w Kole — znanych mleczarzy i serowarów z cieszyńskiej PWSGW i olsztyńskiej ART. Najstarszym członkiem jest jednak 85-letni pastor ks. Władysław Pilch-Pilichowski z Mikołajek, twórca — wspólnie z córką Ireną — jedynego w kraju Muzeum Reformacji Polskiej. Połowa prywatnie zebranych eksponatów jest poświęcona cieszyńskiemu regionowi, wraz z Zaolziem. Inny materiał w postaci śpiewników i kancjonaliów, czy list confirmacyjnych dowodzi polskości Mazur.



Delegacja Koła MZC w Olsztynie na Walnym Zebraniu Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Cieszynie w kwietniu 1997 roku. W rzędzie I od lewej: dr Eugeniusz Tryniszewski i mgr Krystyna Faruga-Kozłowska, w rzędzie II: prof. Janusz Guziur, mgr Alicja Szczybrocha-Jastrzębska oraz inż. Danuta Rutkiewicz. Fot. Józef Matysiak

Spośród obecnych 70 członków Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej 56 mieszka w samym Olsztynie, ale kilkunastu w odległych miejscowościach regionu, m.in. w Kętrzynie, Mikołajkach, Bartoszycach, Nidzicy, Pasłękach. Mgr Boguś Karaś, dyrektor Gospodarstwa Rybackiego w Słupsku, absolwent byłego Wydziału Rybackiego, ma do Olsztyna 350 kilometrów, a mimo to dwa, trzy razy w roku przyjeżdża na zebrania.

Kobiet mamy w Kole na poziomie średniej krajowej; jest ich o osiem więcej aniżeli płci brzydkiej, a to za sprawą głównie studentek z Cieszyna, Dzięgielowa, Wisły i z Ustronia. Ponad połowa członków nie ukończyła pięćdziesiątki, choć co czwarty członek jest emerytem bądź rencistą. Klub Seniora, skupiający macierzowców w wieku od 75 lat wzwyż, liczy 9 członków, z czego czterech to rzeźkie osiemdziesięciolaki. Ponad połowa członków ukończyła Akademię Rolniczo-Techniczną, bądź jest z nią związana (skupiamy sześć studentek). Spośród 10 wydziałów ART najwięcej Cieszyńsiaków mają technologia żywności, mleczarstwo, agronomia, zootechnika i rybactwo. Wśród 28 akademickich pracowników naukowych mamy 14 profesorów, w tym 9 zwyczajnych, 9 doktorów nauk, 6 asystentów oraz 6 pracowników uczelnianej administracji i obsługi. Poza nauczycielami akademickimi mamy w Kole istną mozaikę zawodów. Jest wśród członków: 3 teologów (w tym senior ks. Pilichowski oraz ks. Roland Zagóra z Nidzicy i mgr teol. Halina Płoszek-Berndt z Olsztyna), 4 rolników i farmerów (W. M. Brudny z Barczewka, M. Kania spod Kętrzyna, Bolesław Tołłoczko spod Nidzicy), 9 pracowników branży żywnościowo-rolniczo-rybackiej (J. Kumor, J. Macura, D. Rutkiewicz, A. Kaczyńska i J. Adamus z Olsztyna, M. i J. Matuszewscy z Bartoszyca, H. Hruszka spod Białegostoku, B. Karaś ze Słupska), 4 nauczycielki i bibliotekarki, dwoje drukarzy (Władysław Sacha z żoną Teresą), 3 humanistów i filologów (w tym prof. Tadeusz Filipowski z Ośrodka Badań Naukowych), jeden oficer rezerwy z byłego WOP w Cieszynie (plk Ryszard Straub), jedna pani naczelnik z Urzędu Celnego w Olsztynie, a ponadto chemik, pielęgniarka, muzyk oraz kilku urzędników.

Mimo ograniczonych możliwości nadal penetrujemy obszar województwa w poszukiwaniu potencjalnych członków spośród Cieszyńsiaków i ... ciągle kogoś znajdujemy!

Paweł Steller, wywodzący się ze Śląska Cieszyńskiego, ze szczególnym upodobaniem powracał w swych dziełach do kraju swych przodków. Efektem tego jest szereg prac dotyczących ziemi cieszyńskiej, zawartych w wydanej w 1934 roku tece pod nazwą *Śląsk Cieszyński w drzeworycie*.

Prace te posiadają dziś w dużym stopniu charakter dokumentu, stanowiąc jednocześnie formę artystycznego zapisu przeszłości. Na przykład drzeworyt zatytułowany *Kaplica zamkowa i wieża piastowska* przedstawia jeden z najstarszych polskich zabytków, dawny kościół grodowy św. Mikołaja z XI wieku z nie istniejącym już dziś klasycystycznym podziałem elewacji, usuniętym podczas prac renowacyjnych. Na drugim planie artysta przedstawia cieszyńską basztę zwaną wieżą piastowską. Podkreśla rysunkiem jej szczegóły architektoniczne, dba przy tym o rozmaitość wymowy drzeworytniczej.

W tece można również znaleźć unikalne przedstawienie zburzonego w okresie okupacji skoczowskiego zamku; w otoczeniu bujnej roślinności widzimy starą budowlę o wysokim mansardowym

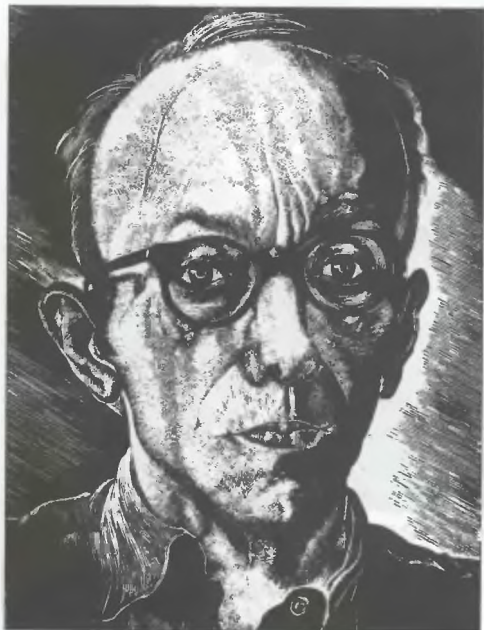
BRONISŁAW KOHUT

ŚLĄSKI DÜRER

dachu z charakterystycznymi przybudówkami. Wszystko to mocno nadwężone zębem czasu. Wiele w tej pracy nastroju i dekoracyjności, prostota form i patos historii. Skoczowa dotyczy również inna praca ukazująca urodzonego w tym mieście świętego Jana Sarkandra, który jest dziś czczony jako patron miasta.

Wiele wykonał Steller tematów cieszyńskich, prezentując zabytkową architekturę piastowskiego grodu. Do motywów tych powraca niejednokrotnie. W 1960 roku, z okazji obchodów 1150-lecia miasta, wydał okolicznościową tekę rysunków, powieloną w niedużym nakładzie w miejscowej drukarni. Wśród tych rysunków powtórnie pojawia się kaplica zamkowa, tym razem w przywróconym jej w pełni romańskim blasku. Powróci do niej artysta jeszcze raz przed samą śmiercią w roku 1974, wykonując jeden ze swoich ostatnich drzeworytów. Teką utrwaliła wiele zabytkowych obiektów. Są wśród prac *Widok na stare miasto*, *Studnia Trzech Braci*, *Zamek*, *Rynek cieszyński* z charakterystycznymi podcieniami i z rzeźbami Stanettiego z 1771 roku. Interesująco przedstawia dawną szkołę ewangelicką z XVII wieku.

Pełne uroku są te szybkie rysunki wąskich uliczek, na które z trudem docierają promienie słoneczne. Światła, cienie, biele i czernie żywo grają tu i kontrastują ze sobą. W pracy *Park im. Hajduka i budynek muzeum*, artysta tworzy romantyczny zakątek ze skłębionymi i poskręcanymi ze starości konarami drzew. Szare tło budynku harmonizuje z błyskami promieni słonecznych wśród rytmiki architektonicznych szczegółów. Do innych ulubionych tematów cieszyńskich Stellera należą *Dawny teatr* i *wieża ratuszowa*, *Ulica Kluckiego*,



Paweł Steller (1895 – 1974); autoportret — drzeworyt



Paweł Steller: Gaździnka z Cieszyńskiego, 1926, drzeworyt

Ulica Hażlaska, fragmenty ulicy Głębokiej w różnych ujęciach, a przede wszystkim wyjątkowo wdzięczna pod względem malar skim, tzw. *Cieszyńska Wenecja*. Rysunki z ulicy *Przykopa* podkreślają swoistość poszczególnych budowli, których charakterystycznymi cechami są, poza różnorodnością elewacji, stropów i dachów, nadwieszane ganki nad wodą z prowadzącymi do nich drewnianymi mostkami.

Szczególną sympatią darzył Steller budownictwo ludowe, zwłaszcza drewniane chaty i kościółki rozsiane na terenach górskich i podgórskich. Trzon artystycznej penetracji stanowiły najwyższe położone wsie góralskie, takie jak: Istebna, Koniaków, Jaworzynka i inne w kierunku Beskidu Żywieckiego. Twórca przedstawia te obiekty chętnie przycupnięte na górskich stokach, przysypane białymi czapami śniegu, bądź też wynurzające się z lasów, na jasnych polanach i w fioletach niknących na horyzoncie gór. Szczegółowy rysunek wyodrębnia indywidualne cechy tej tak różnorodnej architektury. Podkreśla również ze znanstwem wspólne cechy świadczące o specyfice etnicznej. Drzeworyty te pozwalają dostrzec piękno w prostej starej budowli, w formach czasem przypadkowo rozrzuconych, czasem zbędnych, jak rzeczy w bazarowym kramiku. Jest w tych pracach wiele ruchliwych światel, płochliwych cieni, obiektywnej prawdy i subiektywnych odczuć.

Piękno Beskidów jest dla artysty źródłem inspiracji i odpoczynku, jednakże żyjąc w przemysłowym klimacie Śląska, wśród kopalń, hut, wielkich stalowni, hałd, nie pozostaje obojętny wobec tego drugiego świata, tak różniącego się od kojącej zieleni, błękitu i przejrzystości górskiego powietrza. Zderzając z sobą te dwa światy, Steller z niezwykłą ekspresją ukazuje codzienny trud śląskiego górnika, hutnika i robotnika. Powstaje teka *Górny Śląsk w drzeworycie* (1933).

Do ulubionych tematów artysty należą wspomniane już kościoły drewniane. Poświęcił im wielki cykl rysunków, drzeworytów i akwareli, który obejmuje ponad sześćset prac. Dziś byłoby już nie sposób znaleźć większości z tych urokliwych świątyń, w których sztuka ludowa ujawniła

się bogactwem wyrażonym w konstrukcji i estetyce wnętrza. Praca domorośłych cieśli zadziwia artystę pomysłowością, praktycznością, roztropnością i przezornością. Rysując je stara się ujawnić jak najwięcej szczegółów, dotyczących zarówno rozwiązań konstrukcyjnych, jak i elementów zdobniczych.

Przedmiotem szczególnej fascynacji P. Stellera jest człowiek. Jego portrety zwróciły już uwagę profesorów praskiej uczelni w okresie studiów. Wyróżniając się specyficznymi walorami rysunkowymi, miękkością oraz szczególnym stosunkiem do modelu.

Steller wykonywał portrety nie mające w sobie nic oficjalnego. Będąc namiętnym turystą spotykał podczas licznych wędrówek ciekawych ludzi, przyjaźnił się z nimi, znał ich nazwiska, słuchał ich opowieści i kolei losu. Tworzony przez niego portret wyrastał z podziwu dla człowieczego trudu i charakteru, z chęci poznania tego wszystkiego, co pod zewnętrzną maską człowieka kryje się w jego wnętrzu. Z portretów tych bije dostojność, powaga i skromność a zarazem poczucie własnej wartości, nierzadko humor, lekka ironia, a nade wszystko umiłowanie osobistej wolności.

Różne typy ludzkie kształtuje Steller w odmienny sposób. Prace te wykonuje przy zastosowaniu różnych technik plastycznych, jednak największe osiągnięcia w tym zakresie posiada w drzeworycie. Powszechne uznanie przyniosła mu teka drzeworytów *Typy polskie*. Gdy się ją ogląda, przesuwają się przed oczyma har dzy wójtowie, zafrasowane gaździnki, dumni owczarze z Brennej, Wisły, Istebnej, koronkarki z Koniakowa, strojne w ludowe hafty kobiety z Górnego Śląska czy Opola, a także ludzie węgla i stali.

Twarze Stellera, gdy się w nie dobrze wpatrzeć, wyglądają jak studia pejzażowe, nie dziwi więc wyznanie artysty, że *twarz człowieka jest krajobrazem jego wewnętrznego życia, zaś utrwalone na papierze pejzaże są projekcją marzeń człowieka o naturze bujnej i surowej, pięknej i groźnej*.

Niektóre z portretów przykuwają dłużej uwagę oglądającego, np: *Włóczęga*.

Twarz ta jest ekspresywna i niezmiernie sugestywna. Nie wiadomo, co bardziej podziwiać w tym portrecie — wspaniałą ekspresję, czy kunsztowność i artyzm rzemiosła graficznego. Syntezę charakteru włóczęgi, czy czysto ludzkie cechy postaci uosabiające wieczny głód przygód i niezależności osobistej.

Inny portret, który dobitnie charakteryzuje rozległość skali artystycznej Stellera to *Filozof wiejski*. W pracy tej po raz pierwszy w twórczości artysty dochodzi do głosu humor. Czyż bowiem nie wywołuje od pierwszego wejrzenia uśmiechu twarz z uniesionymi brwiami, w okularach, ściśniętymi poważnie ustami, jakby w każdej chwili paść miały wielkie, decydujące słowa? Steller zobaczył go takim, gdy „filozof” w otoczeniu grona starszych i młodszych wieśniaków z rozłożoną na kolanach książką tłumaczył im poważnie tajemnice życia i złożoność ludzkiej egzystencji. Bieda temu, kto by chciał poddać w wątpliwość słowa wiejskiego wieszca...

Z portretu *Gaździnka*, tak typowej dla Śląska Cieszyńskiego, uśmiecha się do nas delikatnie słodka, długim życiem przeorana twarz. W kąciku ust czai się lekka ironia. Stara gaździnka wie swoje. Misterny czepek zdobi szlachetne czoło, chusta na głowie układa się w miękkie fałdy, a rysy twarzy mówią o długim, ciężkim doświadczeniu życiowym. Całość ujmuje łagodnością i dobrocią. W tym typie gaździnki zaklął artysta całe piękno, całą dostojność cieszyńskiego ludu. *Gaździnka* wywołała zachwyt u Anglosasów jako wspaniała synteza mieszkańców Beskidu, gdzie utrzymały się wieśniacza dostojność, nie fałszowana pobożność, niekląmaną dobroć i miłość.

Duże wrażenie wywołuje również *Bacą*, nieco podobny do pastora. Jego wzrok jest skierowany daleko przed siebie, a cała twarz, pełna uwagi, stanowi połączenie rzeczywistości i symbolu. Bardzo známym i popularnym portretem Stellera jest również *Owczarz z Baraniej*. Widzimy postać w ogromnym rozłożystym kapeluszu góralskim, spod którego patrzy przenikliwym okiem na otaczający świat gór. Twarz jest surowa, o szlachetnych rysach, pocięta głębokimi bruzdami twardego, gó-

ralskiego życia. Artysta wspomina to spotkanie z owczarzem następująco: *Kiedyś w młodości uporczywie szukałem źródeł Wisły pod Baranią. Włóczyłem się podczas burzy, zmokłem do nitki. Dopiero stary owczarz Legierski uświadomił mnie, że te wszystkie mlaki nad Baranią to początki Wisły. A ja z kolei uświadomiłem sobie, że stary owczarz jest znakomitą modelem. W 1933 roku wystawiłem jego portret wraz z wizerunkiem starej gaździnki na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytu w Warszawie.*

Spoglądając na następny portret *Ostatniego owczarza z Wisły*, można wywnioskować, że człowiek ten wie, że ginie jego świat bezpowrotnie i nikt już po nim nie będzie przemierzał z owcami szerokich szlaków Beskidu.

Innego rodzaju uczucia budzi siedzący na zydłu przed starą chatą *Istebniański Kolumbus*. Była to słynna w tym regionie postać, którego bieda zagnała ongiś aż do Ameryki. Przezwisko Kolumbus wzięło się z tego, iż trzykrotnie powracał i wiódł swoich ziomków przez ocean „za chlebem”. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Jan Wawrzacz z Andziolówki. Na stellerowskim portrecie w jego twarzy zastygła do dziś tęsknota za góralskim przypiekiem.

Pełna wyrazu jest również *Żona Kolumbasa*, z lekko zatroskaną twarzą, owinięta w białą chustę (dziś już prawie nie spotykany ubiór góralek w Istebnej). W ręce trzyma książkę — modlitewnik. Odświętny strój wskazuje, że udaje się na nabożeństwo do pobliskiego kościoła.

Portret Stellera przedstawiał w głównej mierze ludzi z jego stron ojczystych, artysta sięgał jednak również po przykłady z innych zakątków ziemi polskiej. Do takich należą niezwykle udane: *Bartnik z Wołynia*, *Kobieta z Bojkowszczyzny*, *Poleszczuk*, które przyniosły mu w 1937 roku złoty medal w Paryżu.

Podobnie jak Skoczylasa, Stellera fascynowało bogactwo form twarzy ludzi starych, pooranych w bruzdy i zmarszczki. Od mistrza swej młodości różnił się jednak w zasadniczy sposób, przede wszystkim stosunkiem do modela. U Stellera wyczuwa się większe zaangażowanie uczucio-



Paweł Steller: Pejzaż z Wlsy, 1954, drzeworyt

we, akcent przesuwają się wyraźnie z analizy czysto formalnej w kierunku analizy psychologicznej. Temu właśnie portrety te zawdzięczają swą wyjątkową sugestywność i prawdę, są pełne charakteru. Bruzdy i zmarszczki akcentuje w sposób świadomie przesadny, stosując często w charakterystyce modelu przerysowanie, zmierzające niekiedy ku grotesce, jak w niektórych twarzach beskidzkich baców. Zespół środków formalnych służy mu w głównej mierze do wyrażenia ekspresji, wewnętrznych przeżyć modelu. Ale nie tylko o przeżycia chodziło artyście. Przedstawiał on zarazem pewne zasadnicze elementy ludzkiej egzystencji dotyczące procesu niszczenia przez czas i wysiłek, przez cierpienie oraz choroby materialnej substancji ciała ludzkiego. Procesu walki materii z duchem. Trafnie podsumował to Alfred Ligocki pisząc o artyście: *Tak jak Matejko trwale wyryl w wyobraźni polskiego społeczeństwa wizerunki naszych królów i magnatów, tak Steller wyryl w tej wyobraźni wizerunki*

śląskiego robotnika i śląskiego chłopca. A to udaje się niewielu.

Powszechnie uznaje się P. Stellera za odkrywcę śląskiego pejzażu przemysłowego. Pejzaż górnośląski w jego twórczości to wzniesienia hałd, dymiące kominy i wieże wyciągowe kopalń. Ubogi drzewostan na tle światła hut i zanieczyszczonych zwalistych kłębow powietrza, dymu i sadzy wprowadzał do tych pejzaży refleksję melancholii, smutku i zadumy nad ludzkim losem w tym otoczeniu.

Ucieczką od miasta były wyjazdy w rodzinne strony Beskidu Śląskiego. Każdorazowy wyjazd plonował spotkaniami z pięknem umiłowanej ziemi cieszyńskiej. Związane z nią prace uderzają bogactwem, są pełne wzruszenia i ciepła, przepojone znajomością zabytków i folkloru. Lubił malować górskie potoki, poprzecinane małymi wodospadami, drobne strumyczki, wijące się wśród oślizgłych głazów piaszczowca, krajobrazy górskie ze starymi chatami i szopami na zboczach. Umiał dosko-

nale oddać duszę tego regionu, rzewny krajobraz górnej Wisły, pełen zadumy stary kościółek wśród wysokich dębów, czy zachód słońca nad Czantorią. Szczególną cechą tych obrazów jest ich przestrzenność. Zdaje się, że po tych drózkach i górskich ścieżkach można chodzić i obchodzić ustawione przy nich domki i parkany.

Podczas gdy w pejzażach górnośląskich artysta popada czasem w oschłość, pejzaże beskidzkie należą do najpiękniejszych w jego twórczości. Stare

formy architektoniczne doskonale harmonizują z przedstawieniami przyrody. Szczególnie uderzają swym pięknem akwarele, będące wspomnieniem artysty z upalnych dni lata, spędzonych wśród pachnących cieni Białej i Czarnej Wisłki.

Do dziś zachowała aktualność opinia Mieczysława Wallisa, który stwierdził: *Twórczość Steller*, zwłaszcza jego rysunki i drzeworyty to sztuka regionalna w najlepszym znaczeniu tego słowa, wyrastająca z gleby, zespolona silnie z pejzażem i środowiskiem, wśród którego powstała.



Chata w Istebnej, rok 1973. Linoryt Bronisława Kohuta

BEATA SABATH-ROZMUS

EWANGELIA I PIEŚŃ

*Wielbi dusza moja Pana
i raduje się duch mój w Bogu, Zbawcy moim*

Gdy w 1974 roku przełożona Zgromadzenia Sióstr Św. Elżbiety w Cieszyńie poleciła umieścić pierwszy werset *Magnificat* na obrazkach, jakie Urszula Wyrozumska miała rozdawać na pamiątkę uroczystości swoich obłóczyn, przypuszczała, być może, że w słowach tych zawrze się wdzięczność oraz istota życia zakonnego młodej postulantki. Czyż mogła jednak wtedy przewidzieć, że siostra Jadwiga (bo takie miało być nowe imię dziewczyny) owym radosnym uwielbieniem zdoła rozśpiewać nie tylko swą klasztorną codzienność, ale dziesiątki, setki, a nawet i tysiące ludzkich serc?

★ ★ ★

Wszystko zaczęło się w niewielkim Sędziszowie, w województwie kieleckim, gdzie mieszkała i wychowywała się mała Urszulka. W tej samej miejscowości prowadziły swój dom siostry Elżbietanki z Cieszyńska. Dziewczynka z coraz większym zainteresowaniem przyglądała się działalności sióstr, coraz bardziej starała się poznać reguły i sens życia poświęconego Panu. Wreszcie, w wieku 14 lat, opuściła rodzinny dom i przyjechała do Cieszyńska, ażeby rzucić się w ramiona Bogu. Lecz na złożenie ślubów zakonnych musiała jeszcze poczekać. Najpierw skończyła szkołę podstawową, potem Liceum Medyczne. W tym samym czasie, z woli swoich przełożonych, rozpoczęła naukę gry na fortepianie w Państwowej Szkole Muzycznej w Cieszyńie.

— *Decyzja przełożonych była dla mnie nie tylko sporym zaskoczeniem, zaszczytem i wyróżnieniem, ale i źródłem wielkiej radości. Choć miałam wówczas wiele obowiązków, związanych z nauką i kandydaturą w klasztorze, nigdy nie opuściłam ani jednej lekcji. Zarówno u mojej kochanej nauczycielki pani Wandy Kuchejdy, jak i później, podczas 4-let-*



Siostra Jadwiga zdołała rozśpiewać wiele ludzkich serc. Fot. Tadeusz Maciejczek



Siostra Jadwiga wśród aktorów-amatorów. Fot. Tadeusz Maciejczek

niego Studium Organistowskiego (przy Kurii Diecezjalnej w Katowicach) u profesora Józefa Jakaca — wspomina siostra Jadwiga.

W miarę upływu czasu coraz częściej zdarzało się, że ów surowy i wymagający mistrz organowej gry pozwalał zdolnej uczennicy, aby zastępowała go podczas nabożeństw w kościele Św. Piotra i Pawła w Katowicach, gdzie sam był organistą. Ona cieszyła się z tego wielce, nie przeczuwając, że już wkrótce będzie musiała wypełniać własne, i to wcale niemałe, obowiązki organistowskie. W 1972 roku przy kaplicy sióstr Elżbietanek w Cieszynie erygowana została nowa parafia pod wezwaniem Św. Elżbiety. Ta właśnie decyzja stać się miała dla siostry Jadwigi drogą wiodącą na spotkanie ludzkich serc, drogą, w którą ruszyła z pokorą i radością, z Ewangelią i pieśnią.

Najpierw spotkała na niej dzieci. W 1975 roku założyła w parafii pierwszą scholę, a tworząc ją grupa ośmiu dziewcząt wybrała dla swego zespołu nazwę „radość”. Ową radość członkinie scholi niosły nie tylko do swojej własnej wspólnoty parafialnej, lecz, w rezultacie licznych wyjazdów, niemal od Śląska po Mazury. Ba, franciszkanie z Niepokalanowa przyjeżdżali nawet do Cieszyna, aby tu nagrać uśmiechnięte piosenki scholi (wyróżnionej zresztą kilkakrotnie podczas kolejnych Sacrosongów), a potem rozprowadzali je na kasetach po całej Polsce. Nie skończyło się wyłącznie na śpiewaniu...

— W naszym Zgromadzeniu istnieje taki zwyczaj, że z okazji różnych świąt organizujemy u nas niewielkie przedstawienia. Kiedyś jedna z dziewczynek, należących do scholi, zapytała mnie, czy one też mogłyby przygotować jakąś inscenizację. W rezultacie 16 grudnia 1979 roku w klasztornej świetlicy wystawiłyśmy sztukę pt. „Bernadetta”, a w trzy lata później, 28 listopada 1982 roku następną — „Genowefę”. Odtąd naszym wspólnym, wielkim marzeniem stała się inscenizacja Drogi Krzyżowej. I tu wyniknęły liczne problemy, a zwłaszcza ten najważniejszy — kto ma zagrać rolę Jezusa? Zdecydowałam się poprosić o to Stanisława Pońca, ojca jednej ze śpiewających dziewczynek. Był zaskoczony. Nie odpowiedział od razu. Pelen obaw wyraził zgodę dopiero po dwóch tygodniach. Swój pomocy nie odmówili także Stanisław Putyra, Jan Sikora i Franciszek Bojda oraz młodzież naszej parafii.

Dzięki nim w 1984 roku udało nam się po raz pierwszy wystawić *Drogę Krzyżową* w naszym kościele. Było to ogromne przeżycie tak dla występujących, jak i dla licznie zgromadzonych wiernych. Do tego misterium powracaliśmy więc co roku, rozbudowując je o nowe sceny i zapraszając do uczestnictwa w nim coraz więcej osób. I znowu pojawiło się w naszych sercach kolejne pragnienie — przedstawić *Mękę Pańską* na scenie Teatru im. Adama Mickiewicza w Cieszynie — odpowiada siostra.

To, zdawać by się mogło, nierealne marzenie spełniło się w 1989 roku. Wtedy to Zespół Teatralny Parafii Św. Elżbiety wystawił w teatrze najpierw *Jaselka tradycyjne*, w dwa miesiące potem *Misterium Męki Pańskiej*, a w jakiś czas później jeszcze i sztukę Zofii Kossak-Szczuckiej *Gość oczekiwany*. Od tej pory owe spektakle prezentowane są widzom co roku — zawsze przy pełnej widowni.

Nie sposób dzisiaj obliczyć, ile obejrzało je osób, tym bardziej, że przyjeżdżają one do Cieszyna nie tylko z okolicznych województw, ale nawet i z zagranicy.

Zespół, założony i kierowany przez siostrę Jadwigę Wyrozumską, dwukrotnie zdobył pierwszą nagrodę podczas Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Jasełkowych w Łodygowicach. Gościł na antenie telewizyjnej i radiowej. *Misterium Męki Pańskiej* oraz *Jaselka tradycyjne* zostały utrwalone na kasetach wideo (kolędy z jasełek nagrano także na taśmę magnetofonową). Gorące i szczere wyrazy uznania, podziwu i wdzięczności przekazywali członkom Zespołu przedstawiciele hierarchii duchownej, władz wojewódzkich i miejskich oraz liczni widzowie, urzeczeni treścią i atmosferą spektakli.

Dla siostry Jadwigi wszystko to jest oczywiście niezmiernie ważne i cenne. Jednak w głębi serca cieszy się najbardziej z innego, jej zdaniem chyba największego, sukcesu Zespołu Teatralnego Parafii Św. Elżbiety:

— Wszyscy tworzymy wielką, blisko stuosobową wspólnotę ludzi, których złączyła nie tylko, co oczywiście najważniejsze, wiara, modlitwa, śpiew (członkowie Zespołu należą także do parafialnego chóru albo scholi) oraz teatralne przedstawienia, ale również serdeczność, życzliwość i przyjaźń, wyrażające się podczas wspólnych spotkań, uycieczek i pielgrzymek. Co ciekawe, wspólnotę ową tworzą już przedstawiciele trzech pokoleń — dziadkowie, rodzice oraz ich dzieci i wnuki! — cieszy się siostra.

Niezwykłe jest także i to, że kiedy zbliża się czas spektaklu, osoby należące do Zespołu potrafią zrezygnować z wolnego czasu (a mają go przecież tak niewiele — zajęci nauką, pracą i obowiązkami związanymi z życiem rodzinnym), „zapominają” o własnych, czasem bardzo bolesnych cierpieniach i troskach — i poświęcają wszystko, aby przedstawić swym bliźnim prawdę o Bożej miłości.

Może właśnie dlatego nie grają oni bynajmniej swoich ról, ale podczas każdego przedstawienia sami głęboko przeżywają te treści, którymi z pokorą i radością dzielą się z innymi nie tylko na scenie, ale także w życiu.

Drodzy i kochani aktorzy, a przecież nie aktorzy, ale z potrzeby serca wczuwający się w te role pod troskliwą opieką siostry Jadwigi, sprawiacie wieczór za wieczorem przedziwne zamyślenie w tej wielkiej świątyni słowa. Ten teatr cieszyński to tak, jakby na Was czekał. Z całego serca dziękujemy Wam. Wszyscy powstałi na znak szacunku dla Was, kochani. Niech Wam Bóg wynagrodzi — powiedział w ubiegłym roku na zakończeniu jednego z przedstawień *Misterium Męki Pańskiej* ksiądz Władysław Żął z Kamesznicy. A potem podszedł do stojącego obok na scenie „Jezusa”, ukląkł i ucałował jego dłoń.

— To był chyba najbardziej przejmujący moment w historii Zespołu — wyznaje siostra Jadwiga, próbując ukryć łzy wzruszenia, które pojawiają się w jej oczach na wspomnienie owej szczególnej chwili.

A potem odchodzi w swój zapracowany dzień. Kolejny dzień wypełniony Ewangelią i pieśnią.

EKUMENIA I UNIWERSYTET

Zmiany systemu oświaty w XIX-wiecznej monarchii habsburskiej i rozwój polskiego ruchu narodowego w Księstwie Cieszyńskim pozwoliły w 1895 roku na otwarcie pierwszej szkoły średniej na Śląsku Cieszyńskim: Polskiego Gimnazjum. Stało się to za sprawą Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego.

W latach 1904—1923 odbywały się w Cieszynie tzw. kursy uniwersyteckie, organizowane przez Polskie Towarzystwo Pedagogiczne w Księstwie Cieszyńskim. Kursy te miały na celu edukowanie nauczycieli poprzez wykłady prowadzone przez wybitnych przedstawicieli nauki polskiej. Byli wśród nich: wybitny filozof Kazimierz Twardowski, poeta i historyk literatury Jan Kasprowicz, historycy Franciszek Bujak i Adam Szelągowski, ekonomiści Józef Buzek i Stanisław Głabiński, przyrodnicy Emil Godlewski i Michał Siedlecki, artysta rzeźbiarz Jan Raszka.

W roku 1911 w Cieszynie Bobrku rozpoczęło działalność edukacyjną Polskie Seminarium Nauczycielskie, które przygotowywało przyszłych nauczycieli. W tradycji tego seminarium, obok kształcenia i rozwijania intelektu, zawsze była edukacja duchowa, która realizowana była podczas różnych nabożeństw w kaplicy Seminarium. W owym czasie była to kaplica jednowyznaniowa — rzymskokatolicka.

Reforma szkolnictwa z 1936 roku spowodowała likwidację cieszyńskiego Seminarium Nauczycielskiego. Od roku szkolnego 1937/38 w tym samym gmachu rozpoczęło działalność Liceum Pedagogiczne.

W 1922 roku powstała w Cieszynie, przeniesiona z Bydgoszczy, Państwowa Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego. Uczelnia ta była szkołą zawodową typu wyższego i posiadała Wydział Rolniczy i Wydział Instruktorско-Nauczycielski. Najwybitniejszym przedstawicielem kadry nauczycielskiej był entomolog Kazimierz Simm. Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego przetrwała w Cieszynie do 1950 roku, kiedy to przeniesiono ją do Olsztyna.

Aby zachować ciągłość w tradycjach akademickich i wypełnić lukę, jaka w lokalnej przestrzeni edukacyjnej i tradycjach akademickich powstała po przeniesieniu WSGW do Olsztyna, 15 maja 1971 roku utworzone zostało Wyższe Studium Nauczycielskie jako Filia Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Sześć lat później Studium to zostało zmienione w Wydział Pedagogiczno-Artystyczny i w takiej postaci funkcjonuje do dziś. To na uniwersytecie cieszyńskim w dniach od 21 sierpnia do 28 sierpnia 1995 roku odbył się Międzynarodowy Kongres Ekumeniczny, który zgromadził przedstawicieli 10 Kościołów chrześcijańskich (rzymskokatolicy, luteranie, prawosławni, reformowani, anglikanie, starokatolicy, baptyści, adwentyści, metodyści, wolni chrześcijanie).

Od tego czasu w uczelni cieszyńskiej celebrowane były w każdą sobotę nabożeństwa. Powstanie kaplicy ekumenicznej stało się więc wyrazem rzeczywistych potrzeb środowiska akademickiego. Jej otwarcie odbyło się 12 maja 1998 roku z udziałem najwybitniejszych postaci życia religijnego, akademickiego i społecznego Cieszyna, regionu, Górnego Śląska i Zaolzia.

Kaplica mieści się w miejscu dawnego obiektu sakralnego, jednak jej wygląd odbiega od pierwowzoru. Jest mniejsza, z nowoczesnym wystrojem zaprojektowanym przez cieszyńskiego artystę rzeźbiarza Jerzego Hermę. Jest on projektantem i wykonaw-



Uniwersytecka kaplica służyć będzie wyznawcom różnych religii. Fot. Krzysztof Marciniuk

cą soborowego ołtarza i ambonki. W tle ołtarza majestatycznie wznoszą się pieczołowicie odrestaurowane przez cieszyńskiego organmistrza Roberta Kopoczka dwunastogłosowe organy. Refleksyjny nastrój kaplicy dopełniają kryształowe kandelabry i subtelny błękit ścian.

Poświęcenia kaplicy dokonali ks. bp Tadeusz Rakoczy i ks. bp Paweł Anweiler. *Ta uniwersytecka kaplica jest przestrzenią materialną, ale i miejscem duchowym, w którym zatrzymują się na modlitwie, znajdują Boga i swoją orientację życiową wierzący w Chrystusa, którzy na różne sposoby przeżywają akademicką przygodę i uniwersyteckie doświadczenia. To miejsce otwarte dla wszystkich, którzy stają się poszukiwaczami Prawdy, oddając się wiedzy, która nie zamyka się do ciasnych, pragmatycznych horyzontów — powiedział bp T. Rakoczy, dziękując władzom uczelni za podjęcie inicjatywy otwarcia kaplicy i za troskę o intelektualną i duchową formację studentów. Biskup P. Anweiler życząc wszystkim, by poszukiwanie Boga było dla nich istotnym składnikiem życiowego zdobywania wiedzy, powiedział: Wyrażam nadzieję, że ta kaplica będzie miejscem osobistego szukania, wędrowania w głąb samego siebie po to, by szukać Boga, jak Go odnaleźć, by potem można było nauczać innych.*

Po poświęceniu kaplicy studenci Instytutu Pedagogiki Muzycznej pod dyr. Aleksandry Trefon-Paszek zaśpiewali *Missa Della Domenica* Girolamo Frescobaldiego, a Zygmunt Antonik publicznie po raz pierwszy wydobył dźwięk z organów grając fragment *Bogurodzicy*. Wspólna modlitwa, *Ojcze nasz*, błogosławieństwo biskupów i wystąpienie rektora Uniwersytetu Śląskiego prof. Tadeusza Sławka zakończyło uroczystość.

Tradycji uniwersyteckiej obca jest myśl o podziałach między ludźmi. Tak samo jak ekumenia „universitas” jest ogarnięciem wszystkiego. Nauka jest bowiem refleksją intelektualną nad człowiekiem, nad światem w jego różnorodności. Szukaniem, czasami

po omacku, dróg wiodących do prawdy, która nie jest niczym innym jak szukaniem odpowiedzi na najbardziej egzystencjalne pytania, również — a może przede wszystkim — na pytanie o jedność świata. Ekumenia i uniwersytet należą więc do jednego procesu dziejowego. Dlatego nie jest obca temu procesowi powstała kaplica ekumeniczna, jak również uruchomienie od roku akademickiego 1998/99 nowej specjalności: edukacja religijna o profilu katolickim i ewangelickim. Studia te będą przygotowywać przyszłych katechetów dla Kościoła katolickiego i Kościoła ewangelickiego.

A TO CIEKAWE

Lunetę wynalazł i opatentował w 1608 roku niderlandzki optyk Hans Lipperhey. W rok później dokonał jej udoskonalenia i nowe urządzenie nazwał teleskopem od greckich słów „tele” — daleko i „skopein” — widzieć. O wynalazku dowiedział się w 1609 r. Galileusz i sam zbudował podobny. Gdy skierował urządzenie w niebo, z zachwytem dziecka obserwował widoczne na Księżycu góry i kratery, odkrył plamy na słońcu, cztery księżyce Jowisza i pierścienie Saturna, które nazwał „uszami” tej planety. Przez wieki teleskop był ulepszany.

W 1990 r. jeden z najnowocześniejszych teleskopów wyniesiony został na orbitę okołoziemską. Teleskop Hubble waży 11,5 tony, główne zwierciadło ma 2,4 m średnicy, a w odległości 5 m znajduje się drugie pomocnicze mniejsze zwierciadło.

Inny najnowocześniejszy, niezwykle teleskop zainstalowano na szczycie Mauna Kea, jednego z wulkanicznych stożków na Hawajach, wyrastających prosto

z oceanu na wysokość 4200 m. Teleskop o nazwie Keck wygląda jak białe jajo w wielkim skalistym gnieździe. W jego olbrzymim wnętrzu mieści się zwierciadło o średnicy 10 m. Keck widzi obiekty 4-krotnie ciemniejsze niż jakikolwiek inny teleskop i spogląda w głąb wszechświata na nieznane galaktyki i kwazary.

Jeden z najdziwniejszych teleskopów Amanda umieszczono na Antarktydzie, w lodzie, na głębokości 1000 m. Jego zadaniem jest wychwytywanie jednego ze składników promieniowania kosmicznego, neutrina, którego cząsteczki przełatują przez przedmioty na Ziemi podobnie jak promienie Roentgena. Na Ziemi istnieją jeszcze 3 urządzenia podobne do Amandy — na Pacyfiku, w pobliżu Hawajów, na głębokości 6000 m, w Morzu Śródziemnym oraz na dnie syberyjskiego jeziora Bajkał. Urządzenia te, bardzo nowoczesne i niezwykle, stanowią dopiero początek nowej epoki badań kosmicznych.

C ofnę się do dalekiej młodości, kiedy to moja „starka” w murowanym a słomą krytym domku „na Szpitalku” (stoi do dziś z gniazdem bocianim na kominie) opowiadała mi o szarej godzinie dnia wiele podań, baśni i legend z bliższego czy dalszego otoczenia, przeplatając je często pieśniami z kancjonału czy też ludowymi. Było to nieraz powodem, że zapomniałem w zasluchaniu o „osnożeniu” palącej się szczypcy i jej zagaśnięciu, co kosztowało nową zapalną dla jej rozpalenia. Ale starka była dla mnie wyrozumiała, nie karała mnie za drobne uchybienia, spowodowane przez pięcioletniego ministra „oświecenia”.

Usłyszane od starki, a nieraz i od matki pieśni ludowe przenosiłem do starszej braci pasterskiej. Nie czyniłem tego bezinteresownie. Na gminnym pastwisku tzw. wesońkach opodal kościoła pasłem swoją Gwiazdulkę, przędzając ją przedej przed innymi pastuchami i biegłem zaraz pod dwie rozłożyste morwy, szukając spadłych w ciągu nocy soczystych i słodkich owoców. Reszta pastuchów po przygnaniu krów na pastwę wylaziła na drzewa i jak gawrony objadała dojrzewające owoce. Ja byłem za słaby by wspiąć się z nimi, więc obiecywałem nauczyć ich nowozasłyszanej w domu pieśni, by zdobyć od nich nieco świeżych morw.

Drugą atrakcją były przejazdy na pustych żelaznych kolebach, które od minionej jesieni stały pod szopą. Wspólnym wysiłkiem wyciskaliśmy je po szynach na niewielkie wzniesienie poza morwami, siadali do wnętrza i popchani przez najsilniejszego jechali jak pociągami do samej drogi przy zabudowaniach folwarcznych. Nie obeszło się czasem i bez wywrotki czy podartej skóry na łokciach albo galotek. Ale wszystko się z czasem zarosło, zaś przyjemne wspomnienia zostały. Dodać jeszcze muszę, że w wagonikach tych w sezonie jesiennym przewożono buraki do cukrowni w Chybiu.

Ważniejszym jeszcze nabytkiem, który zawdzięczam starce, było to, że mnie, niespełna pięcioletka nauczyła czytać i pisać tak z kancjonału ks. Heczki, jak i ze starych kalendarzy, nim jeszcze zacząłem

JAN BRODA

MOJE KONTAKTY Z PIEŚNIĄ I MUZYKĄ

edukację szkolną, co nie zawsze mi na dobre wychodziło.

Ze szkoły jednoklasowej w Krasnej poszedłem do szkoły wydziałowej w Cieszyńcu, a po jej ukończeniu do seminarium bobreckiego, którego progi przestąpiłem we wrześniu 1925 roku, po dwóch miesiącach pracy zarobkowej w Banku Ewangelickim w Cieszyńcu. Pół roku później umarł mój ojciec, za miesiąc po nim starka w Drogomyślu.

W seminarium torowali mi drogę do przyszłości dwaj świetni nauczyciele. Pierwszy to Karol Hławiczka. Pamiętam dobrze jeden spośród wielu dni deszczowych, kiedy to na kursie trzecim, chcąc nam uzmysłowić, jak w jego mniemaniu rodzi się u kompozytora natchnienie i jak je dzięki okolicznościom przelewa na papier, kazał zasłonić okna roletami, zasiadł przy fortepianie i zaczął w takt dzwoniących o parapet okienny kropli deszczu grać preludium deszczowe Szopena, a potem powtórnie je zagrał na tle recytacji wiersza L. Staffa *O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...* To była niezapomniana lekcja i nie było już trzeba słów zachęcających nas do zbierania pieśni ludowych, do czego wiersz nawiązywał.

Drugim tak znaczącym wykładowcą był Alojzy Milata, geograf, autor niejednego podręcznika metodycznego dla studentów i nauczycieli. Jako kierownik wycieczek był niezastąpionym przewodnikiem. Nie przeszedł z nami koło żadnego zabytkowego zamku, kościoła czy granitu skandynawskiego, nie ominął skupisk cieszyńnianki czy cieszyńnity, by w ciekawy sposób nie wzbudzić zainteresowania danym obiektem. Na ścieżkach górskich czu!

się jak ryba w wodzie. Teren całego kraju znalazł z osobistych wędrówek, stąd też jego podręczniki tchną do dziś serdecznością i miłością kraju ojczystego. Był też założycielem jednego z pierwszych kół krajoznawczych w Polsce i każdego ze swych wychowanków nauczył, jak opracowywać monografię własnej wsi rodzinnej. Zachęcał też do gromadzenia ludowych opowieści, do odrysowywania ornamentów na trótlach chłopskich, do fotografowania starych kapliczek przydrożnych czy obrzędów ludowych. Nic też dziwnego, że z pełnymi sakwojami jechaliśmy na zjazd krajoznawczy w 1928 roku do Wilna, gdzie wystawa naszych eksponatów i rysunków wzbudziła powszechne zainteresowanie, a kolejna w Cieszynie (1932) była jeszcze bogatsza.

Mając tak świątłych i umiejących tak bezpośrednio przelewać swe umiejętności w młodsze pokolenia nauczycieli, wielu z nich poszło śladem swych wychowawców. Należeli do nich m.in.: w dziedzinie muzyki i śpiewu: bracia Bublikowie (Edward i Erwin), Janiccy (Franciszek i Leopold), Paweł Ożana, Ferdynand Pustówka, Jan Samiec, Stryjowie Karol i Rudolf, Jan Sztwiertnia, Jan Tacina! W dziedzinie folkloru i malarstwa wybili się: Franciszek Czernik, Gustaw Fierla, Jan Pelar, Karol Piegza, Karol Prymus, Jan Ślawnicki. Inni próbowali swych sił w pracach literackich, zbieractwie i zapisie ginącej kultury ludowej czy dziejopisarstwie regionalnym (Burek, Cichy, Foltyn, Halfar, Kocur, Pasek, Franciszek Sikora).

Ale dość tych nazwisk. Mam mówić o swych dalszych kontaktach z muzyką i pieśnią.

W seminarium bobreckim należałem do chóru, a przeszedłszy do Ostrzeszowa, do tamtejszego seminarium ewangelickiego (jedyne w Polsce), stałem się członkiem chóru i orkiestry (tylko dwudziestoosobowej). Dawaliśmy koncerty nie tylko dla ostrzeszowian, ale też w Kępnie, Mikstacie, Kobylagórze i Ostrowie Wielkopolskim.

Po ukończeniu seminarium (1931) byłem zrazu w kłopotcie, czy uda mi się uzyskać posadę nauczycielską, czy myśleć o innym jakimś zawodzie, choćby tym-

czasowym, bo były to lata największego światowego kryzysu gospodarczego i wielu kolegów mego kursu zostało bezrobotnymi nauczycielami (jak to boleśnie kłuł w serce napis na kopercie: bezrobotny nauczyciel), którzy mogli liczyć na kontrakt po przepracowaniu bezpłatnym półtora roku do trzech lat w zawodzie nauczycielskim. Wysłałem prośby do kilku instytucji w kraju, by uzyskać posadę, ale żadnej nie było na nie odpowiedzi. Aż tu w ostatnich dniach sierpnia 1931 otrzymałem równocześnie dwa zawiadomienia o posadzie: z Inspektoratu w Ostrzeszowie i z Dyrekcji Teatru w Krakowie, gdzie mi proponowano posadę suflera. Wybrałem oczywiście Ostrzeszów i zaraz tam wyjechałem. Naza jutrz inspektor Hęćka skierował mnie do Kuźnicy Myślniewskiej, oddalonej od miasta blisko piętnaście kilometrów, a otoczonej z trzech stron lasami. Ani należyta droga nie prowadziła do wsi, a tylko gospodarcza w piachu. Od księdza Tyca udało mi się nabyć rower na spłaty ratalne i ten mi służył wiernie przez sześć najbliższych lat na kolejnych posadach.

Kuźnica Myślniewska była rozległą chałupniczo-rolniczą wioską, a raczej domkowo-rolniczą, bo chalup drewnianych prawie nie było jak na terenie byłej Galicji czy Kongresówki, choć poszycia na domkach były tu i tam słomiane. Sklepu we wsi nie było i po najpotrzebniejsze artykuły spożywcze było trzeba jechać sześć kilometrów do Kobylagóry. Domki we wsi były daleko oddalone od siebie, wśród pól i sosnowych lasów. Mieszkania dla siebie nie znalazłem ani w szkole ani w jej sąsiedztwie. Było trzeba zamieszkać w zamkniętej przed kilku laty szkole w sąsiedniej dzielnicy — Jeziorze. I tu rower okazał się dla mnie zbawienny. Codziennie odmierzałem na nim drogę do szkoły. Liczba dzieci była w dwu klasach wysoka, przeszło dwieście, z czego sto dwadzieścia przypadła dla mnie (niższe oddziały), reszta dla kierownika. O jakiegokolwiek pracy społeczno-oświatowej nie było tu jeszcze słychu-dychu. Próbowalem sklecić jaki taki chór, ale po dwu spotkaniach rozpadł się. Za daleko było młodym przychodzić, a raczej wracać ciemną nocką do domu. I ja tych baranich głosów nie żałowałem,

raczej im współczułem, a większą uwagę skierowałem na rozśpiewanie swych niższych klas.

Po dwóch latach pracy powołany zostałem do czynnej służby wojskowej w Szkole Podchorążych w Cieszynie. Wtedy to codziennie bywał śpiew w marszu, jak i w biegu na „egzercyrok” na Guldowy.

Po odbytej służbie wojskowej zostałem bez pracy. Inspektorzy zostali pozmieniani i miejsc wolnych w żadnym z południowych powiatów poznańskiego nie było. Kursowałem tedy przez sześć tygodni (dobrze że choć pogoda była słoneczna) na trasie Krotoszyn, Rawicz, Leszno, Nowy Tomyśl i Łódź. Bezskutecznie. W końcu otrzymałem zawiadomienie o kontrakcie w szkole niemieckiej w Toruniu. Z kolegą szkolnym Tschernikiem, Łużyczaninem, długośmy nad tym debatowali, aż ostatecznie Tschernik postanowił przyspieszyć swój wyjazd do rodzinnych Łużyc, rezerwując posadę w Glińnicy koło Odolanowa dla mnie. Dochrapał się niedługo doktoratu z socjologii i pracował w Berlinie.

Glińnica była, w odróżnieniu od Kuźnicy Myślniewskiej, małą wioską typu ulicowego, z dobrą drogą dojazdową, sklepem i gospodą równocześnie, blisko miasta, przez które prowadziła kolej do Ostrowa Wielkopolskiego od zachodu. Miała dwie szkoły: katolicką i ewangelicką. Ja włodarzyłem w tej drugiej, prowadząc naukę oddziałową jak na poprzednim stanowisku. Ale praca była łatwiejsza, bo dzieci miałem zaledwie ponad czterdzieści. Mając więcej wolnego czasu dla siebie, poświęciłem go zbieractwu pieśni rejonu południowej Wielkopolski. Spisałem ich ponad setkę, uzupełniając je na następnej posadzie w Strzyżewie, a wnet po wojnie, po przepisaniu ich przez słuchaczkę Uniwersytetu Ludowego w Nierodzimiu p. Kowalanek, przesłałem cały zbiór 170 pieśni do Ossolineum we Wrocławiu.

Na trzeciej, ostatniej wielkopolskiej posadzie byłem w Strzyżewie. Strzyżew jest pamiętny z tego, że w tamtejszym dworze nocował w 1827 roku Fryderyk Chopin w drodze do niedalekiego Antonina, siedziby hr. Radziwiłła, dyrygenta królewskiej orkiestry w Berlinie, zaś Oskar Kolberg

w trzydzieści lat później spisywał tu pieśni ludowe. I ja dozbierałem też kilkadziesiąt pieśni i opracowałem lapidarną monografię folklorystyczną Strzyżewa.

Ostatni przedwojenny rok przeużyłem w podgórskiej wsi Guty pod Jaworowem. W lutym 1939 roku gościłem u siebie dyrektora Szkoły Muzycznej z Bytomia Stanisława Stoińskiego; zjechał na parę dni, by opisać znane miejscowej ludności tańce ludowe, a przede wszystkim teksty do nich. Niezły plon wywiózł, nie ujrzał już jednak światła dziennego, bo z chwilą wybuchu II wojny światowej Niemcy zniszczyli większość jego dorobku śpiewaczo-muzycznego. W czasie trzyletniego pobytu w Gutach znalazłem sobie przyszłą towarzyszkę życia Ewę i napisałem dwuczęściową monografię wsi. Tam też urodzili się moi „następcy tronu”, a ja pracowałem w hucie trzynieckiej, kosztując różnych zawodów.

W czasie II wojny światowej, gdy okupant rozwiązał wszystkie organizacje kulturalno-oświatowe i zaczął zapelniać więzienia i obozy koncentracyjne ludźmi niewygodnymi sobie, nie czas było myśleć o jakimś scalonym życiu muzycznym. Ale już wtedy wielu ludzi z mojego i młodszego pokolenia, wierząc że Polska zmartwychwstanie, przygotowywało społeczeństwo na ten czas. Świadczy o tym dość obszerna prasa podziemna, choćby wymienić z naszego terenu „Śląsk wierny Ojczyźnie” Zbyszko Bednorza, „Śląską Ojczyznę” Stanisława Ligonía, szereg drobnych druków patriotycznych Zofii Kossak. I nawet wagański nasz rodzimy poeta Jerzy Brudny napisał już we wrześniu 1939 roku poemat o napaści na Polskę, nie wróżąc Hitlerowi szczęśliwego jej zakończenia.

Po wojnie pracowałem jeszcze jakiś czas w hucie, czekając na posadę w którejś z przygranicznych miejscowości, dokąd można by codziennie dojeżdżać z Zaolzia. Ale inspektor w Cieszynie zgłaszających się Zaolziaków kierował do miejscowości najodleglejszych od granicy, by zapewnić miejsce koło Cieszyna znajomkom spoza Białki. Przyjąłem tedy pracę u prof. Kreta na Uniwersytecie Ludowym w Nierodzimiu, wykładając tam historię, literaturę i prowadząc zajęcia świetlicowe,

głównie śpiew. Co tydzień urządzaliśmy tam dla miejscowej ludności „wieczory czwartkowe”, różnotematyczne, z dostosowaną do tego oprawą artystyczną. Ostatni pożegnalny czwartek na zakończenie kursu zimowego poświęcony był Polakom na Zaolziu, a inspiratorem jego był przebywający na leczeniu w Cieszynie pisarz Paweł Hulka-Laskowski, autor *Księżycy nad Cieszynem*.

Potem posada w Pruchnej. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że będę uczył w rodzinnej wsi mego ojca. Stało się to w dwadzieścia lat po jego śmierci. Wieś była do cna rozbita. Tylko tu i ówdzie stał cały budynek, poreperowany już po zakończonej przed rokiem wojnie. Miejsc zamieszkiwanych sporo. Przyjechaliśmy do wsi w dniu ciepłym, wrześniowym, przystanęliśmy samochodem przed oszarpanym budynkiem Urzędu Gminnego, by się zameldować i dostać przydział mieszkania. Skierowano nas pod numer trzynasty. Niezbyt optymistycznie nas to nastrajało, ale trudno! Wjechaliśmy przez otwarte wrota na podwórze, zaś gospodyni, zobaczywszy nas, zaraz z drugiej strony wyszła, zamykając drzwi za sobą i pospieszyła do pracy w polu. Podążyłem za nią, ale perswazje nie doprowadziły do niczego. Co tu robić? Było trzeba sprowadzić telefonicznie milicjanta z Zebrzydowic, by przekonać w jego asyście wylekaną gospodynię, że nie jesteśmy jakimiś przybłędami ze wschodu, ale że przydzielono mi tu posadę nauczyciela. Zgodziła się tedy opróżnić jeden pokój i kuchnię, z tym, że musimy przystać na noclegowanie w kuchni „pogonicza” Ernesta. Trudno! Przy pełni księżyca do północy zładowaliśmy nasz bagaż z samochodu i urządzili sobie prowizorycznie pokój, a udobruchana gospodyni posłużyła nam wieczorą i tym samym pakt zgody na najbliższe sześć lat został zagwarantowany.

Pierwszą czynnością społeczno-religijną poza pracą zawodową było reaktywowanie Związku Polskiej Młodzieży Ewangelickiej, założonego w roku 1928 przez kolegę Pieczkę, a ściślej przekształcenie istniejącego już chóru w ZPME. Liczba jego członków wynosiła około trzydziestu. W ciągu pierwszych ośmiu miesię-

cy urządzono 60 zebrań, na których wygłoszono 15 referatów na bieżące tematy, wyćwiczono 15 pieśni chóralnych, zorganizowano 90-tomową bibliotekę i wystawiono 3 sztuki sceniczne; zaś w roku następnym wyćwiczono 20 pieśni i 2 wianki tańców ludowych, z którym to bagażem „pruchniańska trzynastka” wyjechała końcem czerwca 1947 roku na „Święto Morza” do Szczecina, gdzie za występy taneczno-chóralne uzyskała równorzędną z zespołem wiślańskim I nagrodę. Mieliśmy też okazję spotkać się z prezydentem Bierutem.

W 1948 roku została zawieszona działalność wszelkich związków religijnych, a więc i ZPME. Przekształciliśmy się znowu w Chór Kościelny.

W jakich warunkach się wówczas pracowało? W latach 1946–1949 pozwolił nam kierownik Wilczek zgromadzić się i ćwiczyć chór w szkole na pół zrujnowanej, ale było widno i przestronno. Ale po zawieszeniu ZPME już w styczniu 1949 roku Inspektorat Szkolny zabronił używania sali szkolnej na zebrania. Przenieśliśmy się zatem do naszej prywatnej kuchni, gdzie na powierzchni 13 metrów musiało się pomieścić 20–25 osób. Jedni siadali na wniesionej od gospodyni ławie, inni na krzesłach, jeszcze inni na obrzeżu wygasłego pieca, czy zgoła na ziemi. I tak się śpiewało, ćwiczyło nowe sztuki, wysłuchiwało referatów chórzystów. Nikt nie szemrał na warunki. Do ochotniczej pracy zachęcały sukcesy występów, które dawały jakiś dochód na spłaty długu remontowanej kaplicy. Siłą przyciągającą były też dalsze wojaże i wycieczki. I tak, w maju 1949 roku braliśmy udział w festiwalu muzyki ludowej w Warszawie, gdzie przyjmował nas minister Kozłuszniak. W sierpniu braliśmy udział w występach w Wiśle dla Polonii zagranicznej.

Od 1950 do 1955 roku, jako członek Akcji Zbierania Folkloru Muzycznego, mając pewną zniżkę godzin z pracy szkolnej, zapisywałem i nagrywałem z Ekipą Katowicką pieśni ludowe, zebrane w Puńcowie, Hażlachu, Zebrzydowicach, Pruchnej, Drogomyślu, Chybiu, Międzyrzeczu, Bielowicku, Jaworzu, potem w Górkach i Brennej. Przeszło 2500

usegregowałem działami, przepisałem i w siedmiu oprawnych tomach przekazałem Ossolineum we Wrocławiu, by zasilić nieco budżet domowy. Dla siebie zostawiłem tylko *Folklor muzyczny Jaworza* (272 pieśni).

Na ostatniej, najdłuższej posadzie w Górkach, poza śpiewem i chórem w szkole, prowadziłem też śpiew w kierowanym przez siebie Uniwersytecie Powszechnym przez 12 lat (1957–1969).

Czelodka pruchniańska kilkakrotnie nas odwiedzała, przyjeżdżając kuli-
giem i dając wspaniałe koncerty pieśni Beethovena, Moniuszki, czy Chopina (dyrygował Pilich), na co mnie nie było stać. W lipcu 1953 roku byłem z tą młodzieżą na Babiej Górze. Przybyliśmy do schroniska już późnym wieczorem i zdawało się, że będziemy spali na gołej podłodze. Ale

młodzież tym się nie przejmowała. Zjadłszy wieczerzę, rozpoczęła śpiewanie naszych śląskich i ogólnopolskich pieśni towarzyskich, co tak się spodobało wszystkim wycieczkowiczom, że zeszli do ogólnej sali na bezpłatny koncert. Mało tego. Sam właściciel schroniska, stary przewodnik o wydatnym orlim nosie, aż się rozplakał, słuchając naszych pieśni. — Takiego koncertu w swoim życiu jeszcze tu nie miałem — powiedział i wzamian wskazał nam zarezerwowane łóżka w sąsiedniej szopie za połowę ceny. Taka bowiem była moc naszych pieśni!

O tym, że pruchnianie nie zapomnieli swego starego dyrygenta — świadczyła specjalna uroczystość jaką mi sprawili w 70-lecie urodzin, co wymownie świadczy, że pieśń łączy także pokolenia.

SENTENCJE

Kiedy chodzi o posiadanie dóbr doczesnych, trudno jest ludziom myśleć w zgodzie ze sprawiedliwością.

(Umberto Eco)

★ ★ ★

Człowiek robi pieniądze, ale pieniądze nie robią człowieka.

(cygańskie)

★ ★ ★

Bez mitów religia nie może istnieć.

(Peter do Rosa)

★ ★ ★

Religia, ponieważ jest protestem przeciw śmierci, jest także podstawą kultury.

(Peter do Rosa)

★ ★ ★

Człowiek i jego los stanowią sedno wielkiej sprawy bytu i błędzi albo okłamuje siebie czy innych, ktokolwiek gada inaczej.

(ks. Leonard Świderski)

KAROL FERDYNAND SABATH

LISTY DO EWY

Można sądzić, iż z łaski Boga tyle jest zmartwychwstania w człowieku, ile w nim wprzód było miłości. A sama miłość, ta zwyczajna, codzienna — czy ma szansę na przetrwanie?

Wydaje się, iż dla uczucia drogą do wieczności stają się słowa, prowadzące do Pana i tajemnicy zakochanych serc. Takie na przykład, jak te, zapisane w listach Karola Ferdynanda Sabatha do jego najdroższej narzeczonej — Ewy Heller.

On, urodzony w 1902 roku w Gutach na Zaolziu, po przeniesieniu się rodziców do Brennej już w młodym wieku został tam prezesem Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej. Samouk, erudyta i wielki miłośnik książek pełnił potem funkcję sekretarza posła ks. Józefa Londzina, po jego śmierci zaś do wybuchu drugiej wojny światowej był redaktorem i administratorem „Gwiazdki Cieszyńskiej” oraz korektorem wydawnictw „Dziezictwa”.

Swą miłość ofiarował skromnej i ślicznej Ewie Heller (ur. 1905), która, aby się godnie przygotować do przyszłej roli żony i matki — opuściła rodzinną Brenną i wyjechała do Szkoły Gospodyń Wiejskich w Końskiej koło Trzyńca. To właśnie tam jej narzeczony przysyłał swoje listy, których fragmenty poniżej.

BEATA SABATH-ROZMUS

Cieszyn, dnia 30 czerwca 1924

Kochana Ewko!

Blizsza znajomość nasza datuje [się] od półtora roku, od świąt Bożego Narodzenia 1922. Przez okres ten miałem sposobność poznać Cię lepiej, poznać Twoje usposobienie, Twoje zdolności niepospolite. Jako druhna byłaś mi najbliższą idealu, jaki sobie wyrobilem o dziewczynie.



Karol Ferdynand Sabath z adresatką jego listów — późniejszą małżonką Ewą z Hellerów w dniu ich ślubu

Uczyłem się Cię szanować i — kochać. Od tej chwili postępowałem bezustannie w jednym kierunku, chcąc położyć podwaliny pod budowę mojej przyszłości. Po wielu przeżyciach — były w nich zarówno jasne chwile jak i ciemne — zdawało mi się nareszcie, że jestem u celu. Było to w dniu 27 kwietnia br. Z ust Twoich usłyszałem wtenczas, że życzenia moje mogą liczyć na spełnienie.

Doszło do tego, że dziś słusznie mogę Cię nazwać moją narzeczoną, chociaż oficjalnych zaręczyn dotąd nie było. Dlaczego? Zaręczyny mają za warunek miłość wzajemną, szczerą, trwałą, a godłem jej to pierścień zaręczynowy. Mickiewicz powiedział: „Raz tylko w życiu kochamy, raz tylko szczerze i trwale”. Pierścień tej mojej miłości złożyłem Ci w podarunku dnia 16. grudnia ubr., przyjąłś go, a i sama dałaś mi zapewnienie, że niezadługo również oddasz mi swój pierścień. Wynika stąd jasno, że chociaż przed ludźmi nie jesteśmy jeszcze niczym związani, przed Bogiem i przed własnym sumieniem postąpiliśmy już dalej.

Czego żądam od Ciebie? Wyczerpującą odpowiedź na to pytanie da Ci list mój, w którym przed pół rokiem przesłałem Ci pierścień. Chciałbym, byś się stała ideałem druhny-dziewczyny, zdobna w te cnoty i przymioty, które stanowią najpiękniejszy i najcenniejszy posąg dziewczyny katolickiej. Nie pieniądze lub inne skarby ziemskie mają kiedyś stanowić Twoje wiano ślubne, lecz bogactwa charakteru, duszy i umysłu, o które dziś tak trudno. Ponieważ droga do tego celu prowadzi w dzisiejszych warunkach jedynie przez Stowarzyszenie¹, pragnę, byś była druhną nie tylko na papierze, lecz w całym tego słowa znaczeniu, taką, jaką przedstawiają wykłady, np. wykład „Ideal druhny”.

Pomyślisz może, że za dużo żądam od Ciebie. Wcale nie! Żądam tylko tyle, ile jest możliwe przy dobrej woli, a z drugiej strony powinnaś także pamiętać o tym, że Ci uzamian ofiaruję bardzo wiele. Możesz liczyć na moje zupełne poparcie w każdej sprawie, a tak, jak w przeszłości starałem się spełnić wszelkie Twoje życzenia, także w przyszłości prośbom Twoim nigdy nie odmówię.

Jeszcze jedno. Pracując od pięciu lat w stowarzyszeniach breńskich, nie ułękłem się żadnych ofiar ani trudności, zwłaszcza od czasu, kiedy uśmiechała mi się najpiękniejsza nagroda za moje wysiłki. Nagrodą tą byłaby wymarzona towarzysza życia — w Twojej osobie. Jesteś najsilniejszym ogniwem, które mnie dziś łączy z Brenną, z tamtejszemi stowarzyszeniami młodzieży. Gdyby to ogniwo pękło, musiałbym się odwrócić od wszystkiego, co mi przez całych pięć lat było drogim, aczkolwiek uczyniłbym to ze łzą w oku, z bólem w sercu... Piękna budowla owej młodej Brennej, którą chciałem pomóc wznieść, musiałaby runąć, a dla mnie pozostałyby tylko smutne, ach, bardzo smutne wspomnienia!...

Sprawie służ!

Twój

Karol

Brenna, dnia 3 sierpnia 1924

Kochana Ewko!

Pragnąłem też koniecznie omówić sprawy Stowarzyszenia. Za dwa tygodnie Stowarzyszenie męskie obchodzić będzie 5-letni jubileusz istnienia. Byłoby nie tylko obowiązkiem, lecz także piękną grzecznością, gdyby która z druchen — najlepiej Ty oczywiście — w dniu tym przemówiła na temat wspólnej pracy obu Stowarzyszeń. I to

¹ Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej.

dzisiaj zaniedbano, — w następną niedzielę za późno; niechaj więc, jeżeli już tak musi być, i w tym przypadku ujawni się oplakany obecny stan Stowarzyszenia żeńskiego. Mogło być inaczej...

Weźmy sprawy wewnętrzne Stowarzyszenia żeńskiego. Odbycie się posiedzenia Zarządu nie ma widoków, zebrania w sierpniu i w wrześniu prawdopodobnie również nie będzie. Widzę, że się druhenom nie śpieszy, mnie po dzisiejszym również ochota opuścić, bo po cóż pracować, kiedy ciągle jesteśmy na jednym miejscu? Cóż choćby z najpiękniejszych wykładów, kiedy słowa idą wiatr, nie przynosząc żadnej korzyści, żadnej zmiany w sercu, w charakterze druhen, chociażby tylko u jednej z nich?

Jakże zupełnie inaczej było przed dwoma laty, za przewodnictwa Zuzanki!² Praca nie była lepsza, niż dziś, może nawet znacznie trudniejsza, druhen były niewyrobione, a jednak rok 1922 to najpiękniejszy okres żeńskiego Stowarzyszenia, okres, w którym Stowarzyszenie męskie, chociaż posiadające dobre siły, nie mogło się równać z młodocianą siostrzycą. Zasluga w tym jednej jedynej druhen: Zuzanki! Zdaje mi się, że nie korzystała ona w domu z większych uprawnień, aniżeli Ty je dziś posiadasz, a mimo to od pierwszego aż prawie do ostatniego dnia całą duszą pracowała w Stowarzyszeniu, wykonała wszelkie obowiązki tak sumiennie i wzorowo, że naprawdę nie życzylbym sobie nigdy lepszej przewodniczącej. Za tę tak wzorową pracę zachowam jej zawsze wdzięczną pamięć, mówiłem sobie zawsze w duchu, że gdybym mógł znaleźć drugą taką druhenę-brenniankę, uważałbym ją za ideał, musiałbym ją pokochać, bo wytrzymałaby porównanie z wykształconą, bogatą mieszcanką, — dla przymiotów serca, duszy i charakteru, cenniejszych niż jakieś tam powierzchowne wykształcenie szkolne lub worek pieniędzy.

Dlatego to wszystko wspominam? Bo raz jeszcze powtarzam, że tylko druga taka Zuzanka zdolna jest podnieść Stowarzyszenie żeńskie, bo tylko wspólnie z nią, widząc jej szczere, wytrwale usiłowania, gotów jestem ponownie zaprzagnąć się do pracy — inaczej zrezygnuję ze stanowiska, bo pracy połowicznej, o tak dla rozrywki nie zniosę, ani nie poszanuję u innych. Albo — albo! Mam postanowienie gotowe.

Sprawie służ!

Twój

Karol

Cieszyn, dnia 2 września 1924

Ewko!

Wczoraj dopiero wysłałem Ci list, dziś piszę drugi, bo czuję, że chwila obecna dla nas obojga nader ważna, więc winienem uprzytomnić Tobie całą doniosłość sprawy, o której wyniku Ty, Ewko, masz stanować.

Wiem, że są ludzie, którzy w naszym projektowanym związku małżeńskim widzą wielkie różnice, dzielące na pozór nas obydwóch. Sama mi nawet, Ewko, wyznałaś, że nieraz miewasz takie lub podobne myśli. Ja zapatruję się na to przeciwnie, nie widzę żadnej różnicy, która naszemu połączeniu stałaby na przeszkodzie. Dlaczego?

Od dawna już przyrosło mi do serca życie wiejskie. Czar jego zachwycił mą duszę tak dalece, że nawet będąc zawodowo w mieście, tęsknię za nim, a w każdym razie przeniosę jego spokojny tryb ponad gwar miejski. Szczególnie cenię stan rolniczy, który, aczkolwiek znojną ma pracę, w całej swej istocie jest jednym z najwznieślijszych

² Pod tym imieniem występowała w jednej ze sztuk siostra adresatki listów, Helena Heller.

zawodów. Nie dziw więc, że wobec tych warunków już wtenczas, kiedy Ciebie, Ewko, jeszcze nie знаłem, w myślach mych widziałem ideał dziewczyny w wieśniaczej, w córce naszego ludu śląskiego. Nie przeczę, że wielu widzi ideał swój w pannach miejskich, wysoko wykształconych, no i otoczonych bogactwami i przepychem. Co do mnie, kładę większą wagę na bogactwa wewnętrzne, cnoty i skarby duszy, na inteligencję serca niż umysłu. Praca w Stow. żeńskim przekonała mnie, że w Brennej nie trudno było o taki ideał (Zuzanka!), a niedługo później poznałem Ciebie, Ewko, której zalety zewnętrzne i wewnętrzne, zdolności, usposobienie w zupełności odpowiadały wymaganiom mojego ideału. Znalazłem tedy przedmiot godny miłości, a przebieg wypadków wykazuje, że miłość ta się znalazła i (tak sądzę przynajmniej) stała się wzajemną. Że zdolności umysłu nie były wykorzystane, charakter nie wyrobiony, nic w oczach moich nie szkodziło, bo to wszystko przy dobrej woli da się nadrobić.

W tych warunkach stałaś się moją narzeczoną. Kocham Cię nad wyraz, cenię Cię także i szanuję, a z uczuciami tymi przed nikim się nie kryję, bo stały się one fundamentami mojego życia. Okres narzeczeństwa, który zazwyczaj trwa najwyżej rok, nazначyłem dłużej — zupełnie planowo — by wykorzystać w nim moje prawa jako narzeczonego i w ścisłym porozumieniu z Tobą wydoskonalić Cię pod niektórymi względami tak, ażeby małżeństwo zastało Cię jako wiejską, chłopską córkę uprządkowaną (powinnaś się tego nigdy nie wstydić, owszem dumną być z swego pochodzenia i arcypięknego stroju nigdy nie zmieniać!), lecz wyrobioną umysłowo, z charakterem, opartym na zasadach religijności, takim, jakiego lepszego nie szukać ni w pałacach, ni gdzie indziej.

Wybudowałem sobie w myślach piękny gmach przyszłości. W planach tych Ty, Ewko, zajmujesz pierwsze miejsce, bo Bóg widzi, że stałaś się dla mnie uosobieniem szczęścia, a szczęścia tak bardzo pragnę... Jesteś dla mnie najbliższą osobą, to też codzień włączam Cię w moje modlitwy. Mając Ciebie u boku, jako towarzyszkę w pracy, w zamiarach, pełną zrozumienia, chętnie zabrałbym się do pokonania największych nawet przeciwności i trudności, z drugiej strony brak zrozumienia i poparcia u Ciebie musiałby zniweczyć wszystko, co sobie dotąd tak mozolnie przygotowałem...

Karol

Cieszyn, dnia 11 grudnia 1924

Moja najdroższa Ewko!

Niewątpliwie zaraz na wstępie będziesz się na mnie dąsać, że jako niepoprawny grzesznik piszę do Ciebie znów „najdroższa” zamiast „kochana” i w ten sposób przestępuję Twoje przykazanie. Lecz cóż robić, mam przecież tych praw niewiele, a wolność w pisaniu w każdym razie do nich należy, zwłaszcza, że piszę jedynie tak, jak mi dyktuje serce i ponieważ listy przeznaczone są jedynie dla Ciebie. Zdaje mi się, że pisząc do Ciebie: „aniolku”, „gołąbku” itd., grzechu śmiertelnego nie popełniłem, ani nie zasługuję na karę potępienia. Gorzej byłoby, gdybym Cię tytułował „diabełkiem”, „jastrzębką” lub „sówką”, bo przez to wyrządzałbym Tobie, moje kochanie, krzywdę i słusznie mogłabyś czuć żal do mnie. A co do „królowej” i „księżniczki”, to prawdą jest, że żyjemy w republikańskiej Polsce, w której nie ma tytułów, lecz niemniej Tobie ten tytuł przysługuje, bo jesteś nią dla mego serca i nie dałbym Cię za żadną prawdziwą dostojniczkę. Jeśli mimo takiego usprawiedliwienia nie mogłabyś mi, najdroższa, przebaczyć, wówczas wyznacz mi pokutę, byle by nie za srogą, a ja przyjmę ją z pokorą, lecz serca mego w obręcze żelazne okuć nie mogę i nadal będę do Ciebie, jedyna, pisywał tak, jak mi nakazuje miłość, to święte uczucie i najpiękniejsza z cnot.

Może przy czytaniu powyższych słów pomyślisz sobie, że piszę to wszystko o tak tylko dla rozrywki, bez wewnętrznego przekonania. A jednak, wierzę mi, Ewko, nie przesadzam. Jestem tu w Cieszyńcu w pracy, do której czuję zamilowanie, bo odpowiada moim myślom i zasadom. Myśli moje w chwilach, wolnych od pracy, są w Brennej, są u Ciebie. Patrząc na Twoją fotografię na biurku przede mną (na farze) wspominam ubiegłe chwile szczęścia, no i przy tym nieraz myślę o przyszłości, o tym, jak będzie kiedyś, gdy dojdę do celu. Jesteś osią, około której snują się wszystkie moje plany, dla Ciebie pracuję, chcąc zgotować Tobie kiedyś pomyślniejsze warunki życia.

Karol

W Cieszyńcu, dnia 6 października 1924

Jedyna, najdroższa Ewko!

Jako jeden z wyników wczorajszego dnia donoszę Ci dziś oficjalnie, że cofam zgłoszoną przed 4 tygodniami dymisję ze stanowiska członka Patronatu w Stowarzyszeniu żeńskim i zarazem oświadczam gotowość do podjęcia dalszej pracy, rozpoczętej przed 2½ laty. Upoważniam Cię do uwiadomienia druhen-zarządowych o powyższym moim postanowieniu i do zwołania posiedzenia Zarządu na niedzielę, 12 bm., godz. 2 po południu. Porządek obrad załączam na osobnej karteczce (dla przewodniczącej!). Życzeniem moim jest, by o ile możliwości wszystkie zarządowe się zjawily (E. Gillówna, E. Hellerówna, A. Szczepanówna, B. Kisiałówna, H. Gawlasówna, F. Mendrkówna, F. Jaworska, A. Hellerówna, J. Bojdówna, A. Kisiałówna, E. Moskalówna, D. Rakówna, H. Bąkówna, J. Gielatówna, M. Markówna), gdyż chcę się z nimi rozmówić i odebrać od nich przyrzeczenie karności. Koniecznym warunkiem jest, by zaraz po rannym ktoś pomówił z zarządowymi, które nie pójdą na sumę, ewent. druha Jagna.

Odnosnie do przekształcenia Zarządu są dwie możliwości. Albo druha przewodnicząca ustąpi, wówczas należałoby obsadzić na nowo prawie wszystkie miejsca, albo też pozostanie na swym stanowisku, wówczas, moim zdaniem, obejdziesz się także bez wyboru skarbniczki. Walne zebranie już niezbyt daleko, dlatego będzie najlepiej, że Ty, Ewko, obejmiesz tymczasowo także kasę, a druha. Agnieszka I. 111 pełnić będzie funkcje gospodyni.

Ściskam i całuję! Gotów!

Twój

Karol

W Cieszyńcu, dnia 4 listopada 1924

Moja najdroższa Ewko!

Na posiedzeniu Zarządu męskiego dnia 2 bm. omawiano m.in. sprawę przedstawienia w Roztropicach. Postanowiono przydzielić słowo wstępne Antoniemu, a zakończenie Rudolfowi, wobec czego, wbrew mojemu pierwotnemu zamiarowi, słowo wstępne na Ciebie nie przypada.

Za to mam do Ciebie, Ewko, drugą prośbę. Przy układaniu programu Święta młodzieży (16 bm.) zwrócono uwagę, że oprócz wykładu o Stalmachu i Miarce, który

wygłosi p. naucz. Potysz, należałoby ustanowić drugi wykład „o znaczeniu Święta młodzieży”. Ponieważ nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego referenta, zobowiązałem się, iż osobiście kogoś wyznaczę. Zwracam się dziś do Ciebie z prośbą o przyjęcie tego (krótkiego!) wykładu, zwłaszcza, że zebranie to jest wspólne dla obu Stowarzyszeń, a wiem z doświadczenia, że Ty najlepiej umiesz reprezentować Stow. żeńskie. Wykład dołączam do listu i polecam go Twojej troskliwej opiece.

Zalączę też porządek obrad dla niedzielnej posiedzenia Zarządu, z prośbą, byś go oddała druźnie przewodniczącej przed posiedzeniem. Pierwsza próba „Raubczyków” odbędzie się w niedzielę po sumie (posiedzenie przez to się nie opóźni, bo może się odbyć równocześnie!), druga dnia 16 bm. podczas sumy (przed zebraniem).

Druźnie Jagience³, gorliwej czytelniczce książek, przydzielimy w niedzielę ładną deklamację na Święto młodzieży, bo inaczej mogłaby myśleć, że o niej zapomnieliśmy, a przecież i o niej pamiętam, bo wiem, że także dla niej życie się niezadługo otworzy.

Na tym winienem dziś skończyć. Materiału malbym jeszcze dosyć lecz nie nadaje się on do listu, więc go odkładam. Myślę o Tobie, Najdroższa, proszę usilnie o wytrwałość w samokształceniu (list!), a tymczasem, do niedzieli, w duchu ściskam Cię i całuję...

Twój

Karol

P.S. Łączę ukłony i pozdrowienia dla wszystkich w domu.

Cieszyn, dnia 28 stycznia 1925

Moja najdroższa Ewko!

Nadeszła wreszcie stosowna pora, w której mogę napisać dłuższy list i wypowiedzieć się szerzej nad tematami, które dotyczą Ciebie i Twojej przyszłości, a więc pośrednio i mnie samego.

Poznawszy Cię bliżej przed dwoma laty, stałaś się, Ewko, wnet drogą memu sercu. Ukochałem Cię w pierwszej miłości, ukochałem Cię taką, jaką wówczas byłaś, nie bacząc na różnice, które nas rozdzielały, patrząc tylko w duszę i w serce. Ta miłość była, jest i będzie zawsze dla mnie świętością, hasłem przewodnim, które mi przyświeca w drodze mego życia.

Gdybym zważał tylko na głos serca, pragnąłbym jak najprędzej dojść do połączenia, do małżeństwa. Rozum jednak mówi, że wprzód trzeba poczynić pewne przygotowania, które stwórzą podstawy upragnionego szczęścia. Z tej to przyczyny ustanowiliśmy termin ślubu dosyć późno, bo dopiero w maju 1927. Moje starania pójdą w kierunku polepszenia bytu, a więc są natury czysto materialnej.

Jakież przygotowania czekają Ciebie, Najdroższa? Obejmują one głównie dwie dziedziny. Pierwszą z nich to oświata i wiedza praktyczna. Wspomniałem już na początku listu, że ukochałem Cię taką, jaką byłaś, a nie uzależniałem miłości mojej od jakiegoś tam wykształcenia. I dziś pod tym względem zapatrywania nie zmieniłem. Kocham Cię za to, czym jesteś, a nie za to, co umiesz. Z drugiej strony nie mogę zaprzeczyć, że warunki nowego życia, otoczenie itd. same wymagają będą od Ciebie pewnych podstawowych wiadomości, a więc wyższego niż dawniej poziomu umysłowego, a także szeregu znajomości praktycznych. Posiadasz niewątpliwie przyrodzone zdolności, a to niepospolite, dlatego przekonany jestem, że uzyskanie tych wiadomości pójdzie gładko, bez

³ Jagienka to siostra adresatki listów, Agnieszka Heller.

trudności. Dowodem tego choćby tylko dotychczasowe postępy w nauce pisania. Co prawda małą dopiero część nauki masz za sobą, większa czeka Cię jeszcze. Będzie trzeba rok bieżący dobrze wykorzystać, ażebyś w styczniu 1926 wstąpiła do szkoły w Końskiej z należytym przygotowaniem, które w wielkiej mierze ułatwi Tobie dalsze postępy. W samokształceniu Twym, Najukochańsza, liczyć możesz na najwydatniejszą pomoc z mojej strony, czy to pieniężną, czy też jakąkolwiek inną. Ty sama winnaś się do dobrego wyniku przyczynić pilnością, wytrwałością i — dobrą wolą. Również i Rodzice Twoi mają święty obowiązek dopomóc Ci, Ewko, przez to, że uwolnią Cię o ile możliwości od pracy domowej.

Jest jeszcze druga, trudniejsza dziedziną, którą chciałbym również widzieć w programie Twych przygotowań przedślubnych. Mam na myśli udoskonalenie, uszlachetnienie charakteru. Sprawę tę poruszyłem już w niezliczonych wykładach, w całym szeregu listów, we wszystkich życzeniach, składanych Tobie w pamiętnych okazjach. O co mi chodzi? Otóż słuchaj. Charakter to najszlachetniejsza część człowieka, zwierciadło duszy ludzkiej, które składa się z samych drobnych części, tworzących cnoty. Człowiek o najczystszym, najszlachetniejszym charakterze to nasz ideał, wzór, przykład, którego staramy się naśladować. Chciałbym, byś i Ty, moja Najdroższa, stała się takim ideałem, ideałem druheny. Wiem, że praca nad charakterem to najmozolniejsze z zadań, lecz i w niej można dojść do celu, o ile się ma wytrwałość i — dobrą wolę. Jesteś mi już dziś, Najukochańsza, ideałem miłości — pragnę gorąco, byś była także ideałem charakteru, ideałem druheny.

Na Zjazd skoczowski Stowarzyszenie żeńskie ma przydzielone opowiadanie (bajkę), które Ty wygłosisz. Materiał weźmiemy z „Zarania Śląskiego”. Na zebraniu dnia 22 lutego będziesz miała wykład „O naszych obowiązkach względem Stowarzyszenia”.

Kończąc na dziś, tulę Cię, Ewko najdroższa, do serca i całuję.

Twój

Karol

Cieszyn, dnia 23 marca 1925

Moja najdroższa Ewko!

Przechodzę do spraw Stowarzyszenia. Ze wszystkich organizacji, które pomagałem powołać do życia, przez pewien czas najbardziej przyłgnęło mi do serca Stow. żeńskie. Zapal, jaki w początkach w nim panował, sprężystość pierwszych zarządów, sumienne wypełnianie obowiązków przez druheny, to wszystko wlewało mi otuchę w serce, zachęcało do współpracy. Obie pierwsze przewodniczące stały na wysokości swego zadania; pierwsza, nierównana Zuzanka, była prawdziwą duszą stowarzyszenia, umiała je prowadzić i godnie reprezentować na zewnątrz, gdzie tylko tego zachodziła potrzeba — przyznać jej trzeba, że choć była wysoce uzdolniona, pracowała z rzadkim poświęceniem się, z zapalem i bezinteresownie. Druga, druhenka Ferdecka, choć co do zdolności nie mogła się równać z pierwszą, starała się być jej równą w pracy, młoda (młodsza niż Ty obecnie), wywiązywała się skrupulatnie z wszelkich danych jej zleceń, nigdy nie usuwała się od obowiązków ani w Brennej, ani poza Brenną. Po jej odejściu nastąpiły inne stosunki w Stow., druheny kierujące nie pracowały z dawnym zamięłowaniem, tylko od tak sobie, byle zbyć ciężar; usuwano się od pracy, zamiast jej szukać, a zwykle druheny nie spełniały nawet najprostszych obowiązków, widząc, że kierowniczkę odstępili od cnot dawnych. Posiedzenia Zarządu są jakby martwe, jedna wyręcza się drugą, a zebrania raz po raz odbywają się przy udziale — 12 członkiń.

Miałbym jeszcze wiele do napisania, lecz papier już się kończy. Pragnę atoli w końcu podkreślić, że miłość moja do Ciebie, Ewko najdroższa, jest tak głęboka, iż nikt i nic zmienić jej nie może. Ofiarowałem Ci serce moje, obrałem Cię na jego Królową i licząc na wzajemność Twych uczuć, pragnę złożyć Ci śluby u stóp ołtarza. Jesteś dla mnie najbliższą i najdroższą istotą na świecie, w połączeniu z Tobą widzę ukoronowanie mych życzeń, Tobie też dochowam zawsze, w szczęściu i nieszczęściu, wiarę i miłość. Jako narzeczonej przysługuje Ci prawo stanowienia wszelkich życzeń, które z ochotą spełnię, jak również każdej chwili korzystać możesz z mojego poparcia moralnego i materialnego. Nagrodą za wszystko są mi te piękne, ach choć tak krótkie zawsze chwile, które mogę spędzić u Twego boku, gawędząc o różnościach; słyszę wtedy serca Twego bicie, czuję, że jest ono tak czarownie czyste, całkiem mi oddane i wierne. Nie dziw więc, że w takich chwilach dusza ulatuje mi jakby do nieba, że cenię się szczęśliwym, iż kiedyś skarb ten stanie się moją wyłączną własnością.

Ściskam i całuję — Twój Karol

Cieszyn, dnia 23 kwietnia 1925

Moja najdroższa Ewko!

Piszę, by Tobie przysporzyć nowego kłopotu, mianowicie upoważniam Cię i proszę, byś raczyła „napytać” furmana, który by w niedzielę o godz. 10 wieczorem przywiózł nas siedmiu delegatów ze Skoczowa do Brennej. Właściwie miałem zamiar sam zamówić furmana, lecz byłby to „dólan”, a przecież rozchodzi mi się o to, byś i Ty, najdroższy aniołku, wygodnie mogła przyjechać aż do pobliza domu, nie zaś od Spalonej męczyć się w ciemnościach piechotą. Z tej uwagi raz jeszcze proszę Cię, Ewko, byś — ewent. przez kogo innego — zamówiła furmana, najlepiej z okolicy kościoła. Żdaną cenę zapłacę zaraz w niedzielę. Sądzę, że nietrudno będzie dostać koni, bo dziś każdy rad zarobi. Poza tym, gdyby na rano zapowiadała się niepogoda, sam i na tę drogę postaram się w sąsiedztwie o furmankę, dlatego, by się „szróty nie niszczyły”.

Kiedy już mowa o „szrótach”, dołączam prośbę, byś się na Zjazd naleźycie „wysztrychnęła”. Jesteś dla mnie, najukochańsza, zawsze ładną, piękną, miluchną i nadobną, lecz mimo to, ze względu na innych, lubię Cię widzieć „w paradzie”, tak, by i inni mogli Cię podziwiać i — mi zazdrościć!

A zatem spodziewam się, że w niedzielę rano przywitam Cię śliczną jak aniołek, piękną jak lalka, rumianą jak — zawsze.

Do Cieszyna, a raczej do Skoczowa przyjechałem wczoraj przy nieszczególniej pogodzie. Trochę jeszcze czulem się chory to też dziś byłem u lekarza i pilnie zązywam przepisanych mi „prószków”. Możesz sobie wyobrazić, że niechętnie choruję, a o umieraniu dziś, kiedy jestem w przedsiönku szczęścia, wcale nie chcę słyszeć. Dziś czuję się już jako tako i mam nadzieję, że Pan Bóg wkrótce wróci mi resztę sił, bym mógł nadal żyć — dla Ciebie.

Ślę miluchne pozdrowienia, ściskam rączkę i całuję po trzykroć

zawsze Cię kochający

Karol.

Jedyna moja!

Rok minął od czasu, gdy w dzień odpustu, Ewko najdroższa, po raz pierwszy włożyłaś na palec pierścionek zaręczynowy, to godło miłości i wierności, oznaczając, iż w głębi Twojej duszy dziewiczej postanowiłaś wysłuchać mej prośby, oddać mi Swą rękę i Swe serce. Kilka dni później, w pamiętnego b.lipca, obchodziliśmy nasze zaręczyny, obchodziliśmy samotnie, Pana Boga jedynie mając za świadka i własne sumienie.

Minął rok... Patrząc wstecz, widzę, że rok ten był najpiękniejszy i najszczęśliwszy w mym życiu dotychczasowym, był nim dzięki Tobie, Ewko, i Twojej miłości, która swym jasnym, nieskazitelnym blaskiem opromieniała wszystkie dni, choćby najbardziej zszarzałe i ponure.

W tak wzniosłą i świętą dla mnie rocznicę pragnę Tobie, Najdroższa, złożyć holdy kochającej duszy, chciałbym odnowić to ślubowanie, które uczyniło Cię niepodzielną władczynią mego serca, uosobieniem mych pragnień i marzeń. Kocham Cię nade wszystko, Ewko droga, kocham i zawsze kochać będę, boś godna tego, boś od Boga mi przeznaczona.

Raz tylko w życiu kochamy,

Raz tylko szczerze i trwale. —

Narzeczeństwo to czas próby i przygotowania do stanu doskonalszego: do małżeństwa. Przygotowując się doń, każdy z nas obojga ma inne obowiązki, inne zadania do spełnienia. Gotowość Twoja, Ewko, do wszystkiego, czego przyszłe stanowisko od Ciebie wymaga, będzie mi najcenniejszym podarkiem dnia dzisiejszego i lat przyszłych.

Z harmonij najpiękniejszą bywa

Miłość prawdziwa,

jeśli więc czerpać będziemy z jej niespożytego źródła, Pan Bóg łaskawy nam dopomoże, czas narzeczeństwa upłynie jakby jedna mroczna chwila, a dzień ślubu otworzy nam podwoje do łąki rajskiego, bo zgodnego i szczęśliwego życia, którego miłość będzie treścią, a Ty, Królowo moja, przecudną ozdobą.

Z tym życzeniem proszę Cię, Najdroższa, o przyjęcie tradycyjnego podarku odpustowego, który równocześnie przesyłam.

Ściskam Cię, Ewko moja, i całuję ... krotnie

zawsze Cię kochający

Karol

Cieszyn, dnia 20 lipca 1925

Moja najdroższa Ewko!

Przed wszystkim przyjmij szczerze dzięki za wczoraj mi doręczony liścik. „Co z serca pochodzi, łatwo znów trafia do serca”, więc i list ten, pisany z głębszym uczuciem, odczytałem — kilkakrotnie — z prawdziwą ulgą, która choć w części koila mą tęsknotę z powodu Twojej nieobecności.

Wierzaj mi bowiem, Najdroższa, że bardzo, ach bardzo tęskniłem i tęsknię do Ciebie, mój Aniolku. Widok Twój, możność przytulenia Cię do serca choć raz na tydzień stały się dla mnie potrzebą życiową, są one dla mnie dziś największą rozkoszą. Tak jak ryba łaknie wody, jak roślinka uzdycha do orzeźwiającej kropli rosy, tak ja pragnę zawsze

niedzieli, nie z innego powodu, tylko, bym mógł zobaczyć Ciebie, Ewko, która nigdy nie schodzisz mi z pamięci, której jasna postać przez cały tydzień znajduje się przed oczami mej duszy niby gwiazdka przewodnia, jako jedyna radość mego samotnego życia tułaczkiego. Postawiłem Tobie, Jedyna, ołtarzyk w moim sercu, Tobie składam życie, przyszłość moją w ofierze, więc i Pan Bóg nie weźmie mi tego za złe, że kocham Cię dziś już nade wszystko i nigdy kochać nie przestanę...

Zawsze Cię kochający
Karol

Cieszyn, dnia 14 grudnia 1925

Jedyna, Najdroższa Ewko!

Zbliża się dzień drogi sercu mojemu, dzień Twych urodzin, a zarazem 2-ga rocznica przesłania Tobie pierścionka zaręczynowego. Spieszę z tej milej okazji złożyć u Twych stóp, Najukochańsza, życzenia moje, skromne uprzedzie, lecz płynące z serca na wskroś Tobie oddanego.

Pan Bóg pozwolił Ci, Ewko, przeżyć 20 lat życia, dał Tobie rozkwitnąć jak róży w młodości wiosnie i wyposażoną hojnie wszelkimi Jego darami, niciami pierwszej, szczerzej miłości związał na zawsze z sercem moim. Cieszę się wielce z tego, że mogę Cię, Ewko, nazwać moją narzeczoną i że uczucia moje znalazły oddźwięk w Twym serduszkach, to też przyszłość u boku Twego tak rajska zapowiada się być rozkoszą. Czytałem niedawno, że kochanie to jest po prostu anioł, który z dwóch dusz ludzkich leci ku Bogu i chwałę Mu z ziemi przynosi. Zdaje mi się, że tak naprawdę być musi, miłość bowiem Ku Tobie jest mi świętością, na której buduję gmach marzeń i wszelkich projektów przyszłości, jest mi świętością, której ołtarzyk po wsze czasy pozostanie w moim sercu. Modlę się do Pana Boga, by mi dał doczekać tej chwili, w której człowiekiem prawdziwym człowiekiem się staje i żywot swój dopełnia żywotem drugiej ukochanej nad wszystko istoty, — chwili zaślubienia Twojego. Czuje, że wówczas dopiero stanę się naprawdę szczęśliwym, gdy będę mógł żyć wyłącznie z Tobą i dla Ciebie, Najdroższa, a czynną, dogonną miłością wynagrodzić Ci wszystko, cokolwiek dla mnie uczyniła, — wynagrodzić Twe przywiązanie, wierność i dobroć.

Rok ubiegły zapisał się w dziejach naszej miłości chlubnymi głoskami. Owa pół setka niedziel, kiedy wolno mi było choć godzinkę spędzić razem z Tobą, ukończył się Twym widokiem i pogwarzyć, należeć będzie do najpiękniejszych moich wspomnień. Szczególnie niektóre z nich głęboko utkwiły mi w pamięci, np. 26 kwietnia (zjazd w Katowicach, przechadzka południowa i powrót wieczorny), 26 lipca (urocza wycieczka we dwójkę na Kotarz) i 23 sierpnia (chrzciny Marynki, byłaś w kabotku!).

Sienkiewicz powiedział: „Kochać — to już dobrze, ale jest jeszcze coś lepszego — być kochanym!” Rok miniony był mi dowodem, że dostąpiłem w całości już i tego szczęścia wyższego, o którym mówi Sienkiewicz, i świadomość ta pozostanie dla mnie najlepszym, drogocennym wspomnieniem.

Składając Ci, Najdroższa, życzenia moje w dniu dzisiejszym, dołączam do nich holdy kochającego Cię serca, uczucia wierniej, głębszej miłości i zapewnienie, że Ty, Ewko, jak dotąd, tak i nadal zawsze będziesz mi ukochaną, jedyną królową serca, myśli i duszy...

Całuję Cię stokrotnie

Twój
Karol

Moja Najdroższa Ewko!

Z okazji dzisiejszych Twych Imienin zechciej, Najdroższa, przyjąć szczere i serdeczne moje życzenia. U stóp drzewka wigilijnego obchodzisz święto swej Patronki, łączysz swą uroczystość z ogólną radością całego chrześcijaństwa. Oby i życie Twoje zawsze płynęło pod tym pomyślnym znakiem, abyś, zewsząd otoczona życzliwością, przyjaźnią i miłością, w szczęściu i pogodzie ducha dążyła do wytkniętych sobie celów. Rok przyszedł stanie się ważnym krokiem na tej życia drodze, nie odwiedzie on Cię od drogich, starych zwyczajów, lecz da Ci ten zasób wiedzy i wiadomości praktycznych, które stworzą podstawę dla Twego przyszłego stanowiska. Mimo to życzenia moje nie ograniczają się wyłącznie do tej dziedziny, — ważniejszą dla mnie od nauki jest wartość duszy, jest ten nieoceniony skarb wewnętrzny, który mieszka w czystym prawym i kłiwym, kochającym serduszk. Abyś skarb ten swój najdroższy zachowała i o ile możliwości jeszcze spotęgowała, — w tym kierunku idą moje gorące życzenia, od tych drogocennych pereł bowiem spodziewam się, iż braskiem swym, przymiotami nie-spożytymi umilą mi życie u Twego boku, wrócą mi choć po części ten raj, utracony przez Twą Patronkę, prababkę naszą.

Życząc Ci raz jeszcze wszelkich łask i błogosławieństw Bożych, które oby każdego dnia spływały na Ciebie jak z rogu obfitości, tulę Cię, Jedyna moja, do serca i całuję
zawsze i wiernie Cię kochający
Karol

Cieszyn, dnia 16 lutego 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Wysłałem wczoraj dla Ciebie, według zapowiedzi niedzielnej, książkę o fizyce, oraz dołączyłem spis ziem dawnej Polski z mapką. Gdybyś potrzebowała jeszcze jakąś książkę, proszę, napisz tylko, a chętnie o takową się postaram.

Ostatnie odwiedziny u Ciebie, a szczególnie długa nasza rozmowa pozostawiły w mej pamięci jak najlepsze wrażenie. Nie mówiąc już o tym, jak miłą i przyjemną mi jest każda sposobność zobaczenia się z Tobą, niedzielne odwiedziny w większej mierze niż dotąd pozwoliły mi z niej skorzystać i umożliwiły mi dłuższą, wyczerpującą rozmowę, której od wyjazdu Twego do Końskiej z Tobą, Ewko, dotąd nie miałem.

Powtarzam, wrażenia doniosłem najlepsze, bo przekonałem się, że pomimo wszystko poglądy nasze na sprawę Twego wykształcenia są prawie te same. Bardzo mnie to cieszy, bo widzisz, Najdroższa, kiedy już jesteś raz w szkole, chciałbym, byś korzystała z niej o ile możliwości jak najwięcej i opuściła ją nie inaczej, jak po ukończeniu kursu lub w razie pojawienia się przeszkód, których by w inny sposób nie dało się usunąć. Że w toku nauki często nadarzą Ci się przykrości, łatwo można zrozumieć, lecz bez nich nigdzie się nie obejdzie, wszędzie w większej lub mniejszej mierze nam się nasuwają, czy to w szkole, czy u wojska, na służbie, przy pracy, czy wreszcie w życiu codziennym. Dla Ciebie, Ewko, okres obecny jest niejako okresem próby, i przygotowania do późniejszego życia, a ponieważ po raz pierwszy wypada Ci przy tym być poza rodzinnym domem, tym większe masz do przezwyciężenia trudności. Jednak, Ewko Droga, nie zrażaj się tym, myśl raczej o przyszłości, o tym, że ten okres próby niedługo przejdzie, miną i wszystkie

gorzkie wspomnienia, a pozostaną na zawsze odniesione korzyści, które wyposażą Cię bogato i wszechstronnie do przyszłego życia. Za trudy i mozoly teraz poniesione będę się starał kiedyś, gdy nowy układ życia da mi do tego sposobność, hojnie Ci się, Najukochańsza, wynagrodzić i odwdziaczyć, przez to, że wszystkie moje siły, wszystkie uczucia wraz z serdeczną, najszczerzą miłością Tobie, Jedyna, poświęcę i Twojemu dobru. Pan Bóg widzi, jak szczerze dziś już Cię kocham, jak bardzo pragnę Twojego szczęścia. Dziś modlić się tylko mogę za Ciebie i prosić Pana Boga, by Cię otaczał Swą opieką, ale gotów także jestem w każdej potrzebie stanąć u Twym boku i ile sił moich, być Ci pomocą i podporą. Ta świadomość, że w pobliżu ciągle myśli o wybranej, najdroższej istocie i gotowa jest spełnić wszelkie jej życzenia, świadomość ta, moim zdaniem, powinna Ci przyświecać w chwilach rozterki i zmniejszać uczucie tęsknoty i samotności, gdy ono się obudzi: „Czym większe są trudności, tym większe będzie zwycięstwo”, głosi przysłowie, to też, Ewko Droga, ufaj i nie zrażaj się przeszkodami, lecz wytrwale pracuj, ucz się — dla siebie i dla mnie. —

Zasylając serdeczne pozdrowienia, ściskam Cię, Najdroższa i całuję
zawsze Cię kochający
Karol

Cieszyn, dnia 11 marca 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Gdybyś, Ewko, czuła, jak chciwie wyczekuję każdego Twego listu, jak wielką takowy sprawia mi radość, — wiem na pewno, że pisałabyś częściej. Bo czymże to są nasze listy? Są one jak gdyby skrzydlate posłańcy miłości, one przyjmują na papier nasze uczucia i zdążając do określonej osoby, usuwają przestrzeń, która nas dzieli. One mają ukochanej nieść pozdrowienia, życzenia i błogie wspomnienia, utwierdzać ją w postanowieniach i zapewniać, że ja, tylko ja jedyną się kocha i ciągle o niej myśli... Gdy uczucie wzbiera mi w sercu, a tęsknota zbyt głośno się odzywa, jakże chętnie wtedy siadam, chwytam za pióro i piszę, piszę do Ciebie, Najukochańsza, o tym, co czuję i co mnie boli... Piszę w nadziei, że list za kilka godzin dojdzie do Twych rąk i w Twym odosobnieniu będzie Ci małą, skromną pociechą...

Wiernie Cię kochający
Karol

Cieszyn, dnia 13 kwietnia 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Wierzę w Twoją miłość i nie mogę inaczej, bo ona jest osią, podstawą mego życia, ona jest tą świętością, na której oparłem wszelkie moje ideały, od niej zależy moja wiara w życie i wiara w ludzi w ogóle, która musiałaby się raz na zawsze załamać, gdyby runął jej fundament. W ostatnich czasach nieraz zdawało mi się, że może Twoja miłość uległa pewnej zmianie, okazało się jednak, że obawy takie były przynajmniej dotąd nieuzasadnione. Za to zapewnienie jestem Tobie, Ewko nad wyraz wdzięczny, bo gdyby było inaczej, byłby to dla mnie najcięższy cios, jaki w życiu mógłby mnie spotkać.

Odtąd stosunek mój do Ciebie będę się starał ściśle zastosować do otrzymanych wskazówek. Nie przeczę, że do tego będzie potrzeba dużo siły woli, boć nadchodzi teraz najpiękniejsza pora roku, natura budzić się zaczyna po śnie zimowym, a mnie biednemu przyjdzie przetrwać czas ten w osamotnieniu, bo nic mi względem Ciebie nie wolno, ani Cię widzieć (chyba fotografię), jedynie tylko pisać mogę, ale i to nie za często... Zaś ludziom trzeba ukazywać twarz wesolą, grać dalej rolę szczęśliwego narzeczonego i nikomu nie dać poznać, jak w sercu smutno i tęskno... Ale nie, wszystko chętnie poniosę, bylebym tylko Ciebie, Ewko, zadowolił i za te ofiary mógł liczyć na jaką taką wdzięczność, jeśli już nie nagrodę...

Jest jeszcze jedna sprawa, do której przywiązuję wielką wagę, mianowicie sprawa Twojego zdrowia. Zdrowie to skarb największy człowieka, trzeba je jednakowoż pilnować. Wrazie choroby wszystko dalbym za to, by Tobie, Ewko, skarb ten zachować i mieć Cię zawsze taką zdrowiuteńką, rumianą i piękną, jaką Cię dotąd widziałem. I dlatego, Najdroższa, proszę Cię, zważaj zawsze na swe zdrowie i gdyby tego kiedykolwiek zaszła potrzeba, nie omieszkaj skorzystać z porady lekarskiej. Pod tym względem każdego czasu możesz liczyć na poparcie finansowe z mojej strony. Mam nadzieję, że obecnie co do Twego zdrowia nie będzie żadnych uzasadnionych obaw, w każdym razie wiadomość o tym powitałbym z wielką ulgą.

Kończąc na dziś, ślę dużo serdeczności, całuję posłusznie w rączkę i pozostaję

zawsze Cię kochający
Karol

Cieszyn, dnia 21 kwietnia 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Myślałem, że do dwóch tygodni z pewnością otrzymam jakąś wiadomość od Ciebie, choćby tylko doniesienie o stanie zdrowia. Niestety nadzieja ta zawiodła. Jak bardzo milczenie to mnie niepokoi, a nawet męczy swą niepewnością, trudno w ramach listu opisać.

Był czas, kiedy pisywanie listów było dla nas zbyteczne. To owe piękne półtora roku Twojej bytności w domu, kiedy bez ograniczeń wolno mi było co niedzielę widzieć Cię, Ewko, i mówić z Tobą. A jednak, oprócz przepięknych wspomnień pozostała mi z tego okresu także paczka listów Twoich, tak prostych, może jak na początku trochę niezgrabnych, ale dla mnie drogocennych, bo mieszczących w sobie część Twojej duszy i objawy kochającego serduszka. Listy te, nawiasem mówiąc, jedyna pamiątka, jaką prócz pierścionka i fotografii z rąk Twoich odebrałem, będą dla mnie po wsze czasy miłym i drogim zabytkiem archiwum rodzinnego.

Powiedziałas mi ostatnim razem, że piszę za dużo o mojej miłości. Czy tak jest rzeczywiście? W pewnym liście Stasi do Szczepana czytałem niedawno następujące zdanie: „Kocham Cię bardzo, Janku Drogi, kocham Cię może zanadto, a jednak zdaje mi się zawsze, że to jeszcze za mało, że Cię powinienam więcej kochać.” I ja tak samo myślę. Miłość, to nie grzech, to święte uczucie, skarb nam od Boga dany, który wraz z wiarą i nadzieją daje nam szczęście doczesne i wieczne. Kochać nigdy za dużo nie można, a pisząc do Ciebie, Ewko, o mojej miłości, piszę tylko szczerą prawdę, której nie mam powodu wypierać się lub wstydić. Twierdzeniu, że miłość powinna się znaleźć dopiero po ślubie, słuszności przyznać nie mogę, gdyż właśnie ona ma być budowniczym, twórcą małżeństwa, a gdyby jej przed ślubem nie było lub byłaby tylko niewystarczająca, to

wtenczas małżeństwo takie zbudowane byłoby na bardzo słabych podstawach. I dlatego myślę, że wolno mi Cię kochać wielką, czystą miłością już i przed ślubem.

Przypomnisz sobie, Ewko Najdroższa, ilekroć już dążyłem do zbliżenia naszych charakterów, do nawiązania i ściśnięcia tych nici, które by, oprócz miłości, przez utrzymywanie łączności duchowej i wzajemne zrozumienie się stworzyły fundament pod gmach wspólnej naszej przyszłości. Wychodziłem i wychodzę z tego założenia, że Ty, Ewko, jako ukochana narzeczona i przyszła małżonka jesteś mi już teraz najbliższą istotą na świecie, bliższą od matki, ojca, siostry, brata, krewnych lub przyjaciół, że więc tym czasem pomiędzy nami nie powinno być żadnych tajemnic, i że nawzajem powinniśmy sobie otworzyć wszelkie tajniki duszy i serca.

Tyle na dzisiaj. Ile dalszym za to, bym mógł czym prędzej otrzymać odpowiedź, równie obszerną i pomyślną, z dobrymi wiadomościami, odpowiedź taką, która by w me życie, przepojone tęsknotą i smutkiem, wniosła promyczek nadziei, radości i szczęścia!

Żegnam Cię, Najdroższa, łączę wiele serdeczności i całuję w rączkę, pozostaję

zawsze Twój
Karol

Cieszyn, dnia 15 maja 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Widzę jak w lustrze całą naszą historię naszej miłości, pamiętam jak dziś wszystkie przeżycia z ostatnich czterech lat, które, radosne czy smutniejsze, złożyły się na wspólne dzieje dwu serc, złączonych wolą Bożą. Pierwsze z mroku przeszłości wynużają się wspomnienia z roku 1922, gdy jako niespełna 17-letnią dziewczynkę bliżej Cię poznałem. Wówczas w sercu moim zapaliła się isierka tego świętego uczucia, które, obce mi do tej pory, dane nam jest dla uszczęśliwienia. Iskra pierwszej młodzieńczej miłości, zrazu słabo i nieśmiało tlejąca, wkrótce zamieniła się w płomień żywy, w miłość tak mocną, jaka tylko jedna w sercu przez życie całe pomieścić się może. Pokochałem Cię, Ewko, pierwszą na świecie, pokochałem niewymownie, obrałem sobie Ciebie jako ideal dziewczęcy, oddając Tobie na zawsze serce w niepodzielne posiadanie. Przeszły lata, a dziś z czystym sumieniem stwierdzić mogę, że nigdy się tej miłości nie sprzeniewierzyłem, myślą nawet przeciwko Tobie, Ewko, nie zgrzeszyłem. Nie wstydę się tego, że Cię tak bardzo kocham, przeciwnie, sądzę, że zasłużyłbym na nagane, gdyby miało być inaczej.

W Polsce źle się dzieje, bardzo źle. Od trzech dni mamy w Warszawie rewolucję, Piłsudski zbuntował wojsko, obsadził stolicę i otoczył zamek Belweder z Prezydentem i całym rządem Witosa. Leje się krew bratnia, grozi ogólny strajk kolejowy, mobilizacja, powołanie do wojska rezerwistów, i co za tym idzie, doszczętne zrujnowanie złotego. Nikt nie wie, co najbliższe dni przyniosą. Dobrze przynajmniej to, że, przewidując coś podobnego, zabezpieczyłem się zawczasu co do koron czeskich, tak, że opłata szkolna dla Ciebie do końca roku jest zapewniona.

Nowego w Brennej tyle, że rzeźbiarz Jaworski żeni się w lipcu br. z Otylią od Kamieniczka.

Łączę moc serdeczności, całuję rączkę i pozostaję

Twój Karol

Droga Ewko!

Zapytujesz się w liście, jak spędziłem święta obecnie. Otóż, bez porównania gorzej od zeszłorocznych Zielonych Świąt, nielepiej niż inne niedziele obecne, po „kawalersku”, samotnie. Była zabawa, ale i ona mnie nie rozweseliła, tym bardziej, że widząc tańczące i szczęśliwe pary, myśli moje ulatywały mi daleko tam, gdzie moja bogdanka, moje szczęście przebywa. Rzecz inna, że potem było mi jeszcze smutniej na sercu. Na przedstawieniu było ludzi znacznie mniej, niż pierwszym razem. Zysk wynosił 33.30 zł z ogólnego dochodu 44 zł, od tego z bufetu 10 zł. Zato na zabawie amatorów tańca znalazło się pełno. Tańczono do godz. 2³/₄ po północy. Bawili się przede wszystkim młodzi nauczyciele, pp. Potysz z narzeczoną, Kareta z dwiema Cholewiankami od Heczka (na 1 maja postawił im „moją”) i Lipka z Franką z Dowanisk. Od Was były obie Agnieszki, ale tylko na przedstawieniu. Szczepanównej ani Milki z Moczydła nie było. Moczydlanka pono miała wtenczas jakieś zaręczyny, nosi pierścione i opowiedziała mi, że jakiś Chmiel z Zebrzydowic ma się w jesieni z nią żenić i że ją weźmie na swój grunt. Ile w tym prawdy, niedługo się dowiemy. U Was w domu zakupili nowego konia za 380 zł, bardzo mi się podoba. Szczepan od miesiąca zajęty jest w Hażlachu, pisał mi dziś, że na niedzielę wybiera się do Poznania i że, być może, że Stachna z matką w lecie przyjadą do Brennej w odwiedziny. Francek* pisał mi również, że w lipcu będzie chciał przyjechać na urlop do domu.

Po świętach posłałem do Ciebie pocztą 100 Kč. Aczkolwiek nic o tym w liście nie wspomniałaś, przypuszczam, że nadeszły. Dziś załączam 20 Kč na bieżące wydatki. O ile miałabyś jakie potrzeby, proszę, napisz mi tylko, a żadaną kwotę nadeślę.

Twój

Karol

Odpis z pamięci

Cieszyn, dnia 3 sierpnia 1926

Droga Ewko!

„Nie ma siły, która by zdolna była zabronić żywej istocie kochania” — tak mówi poeta. I ja, wstępując w życie młodzieńcze, pokochałem całym sercem, pierwszą i zarazem jedyną miłością, — pokochałem dziewczę hoże, podobne do różyczki rozkwitającej, jaśniutkie i czyste jak ta zorza poranna, cudne w liliowej szacie duszy. Tą wybraną, nad wszystko ukochaną istotą, w której znalazłem swój ideał, a pragnąłem znaleźć także szczęście i cel całego życia, — byłaś Ty, Ewko. Pokochałem Cię od chwili, gdy spojrzałem w Twe dobre, czyste, wiernie oczy. Jak bardzo zawsze Cię kochałem, nie sposób tu wyrazić, Bóg tylko, który patrzy w me serce, widział całą moc i świętość tego uczucia, co błogą, nieprzepartą siłą na zawsze owaładnęło mym jestestwem.

Odebrałem ukrótce zapewnienie, że i Ty, Ewko, mnie kochasz. Nastąpiły potem zaręczyny, rozpoczynające okres zwykle najpiękniejszy w życiu ludzkim — narzeczeństwo. Byłem, a raczej byliśmy wówczas oboje, zdaje mi się, bardzo szczęśliwi. Znane przysłowie powiada:

* Francek — Franciszek Heller, brat Ewy.

Z harmonij najpiękniejsza bywa
miłość prawdziwa.

I słusznie. Miłość nasza w owym czasie nacechowana była harmonią dusz i serc, przyjaźnią ducha, szczerością, która zawsze i wszędzie jest podstawą miłości. Czy można ukrywać coś przed sobą nawzajem, jeśli się kocha? I czy można kochać naprawdę, nie znając się? Nie znając się do dna i całkowicie? Nie! Ów okres błogi, szczęśliwe godziny poufnej pogawędki i płomienne chwile pierwszych pocałunków, gdy dusze nasze wspólnie marzyły o szczęściu, o raju, serca harmonijne miały uczucia, a usta, uświęcone pocałunkiem zaręczynowym, także Twoje, zawsze mówiły z szczerością, otwarcie i śmiało, — wszystko to pozostanie mi do końca życia w milej, drogiej pamięci. Podkreślam to umyślnie, ponieważ w ostatnim czasie często się wyraziłaś, że wspomnienia tych chwil dla Ciebie są — smutne.

Przełupnęły dwa lata, lecz w uczuciu moim, w mej bezgranicznej miłości ku Tobie żadna, nawet najmniejsza, nie zaszła zmiana. Prawdę mówi poeta:

Prawdziwa miłość nie podlega zmianie,
Żadnym się brakiem nigdy nie zniechęci,
W zaćmieniu szczęścia wierną nam zostanie,
W zawodach życia boleść nam uświęci.

A Ty, Ewko! Czyż i w Twym serduszu to samo jeszcze mieszka uczucie, tak szczere i tkliwe, że czyniło mnie najszczęśliwszym człowiekiem?

Zawsze Cię kochający
Karol

Cieszyn, dnia 8 września 1926

Droga Ewko!

Kocham Cię zawsze całą mocą, młodzieńczego serca, uczucie to dziś żywię i pewny jestem, że nigdy mnie ono nie opuści. Lecz nie samą tylko miłość czuję dla Ciebie, Najdroższa, czuję i szacunek, który mężczyzna winien okazać każdej kobiecie i dziewczynie, a szczególnie tej, którą kocha. Jako narzeczona jesteś mi najbliższą istotą, lecz równocześnie drogim klejnotem, skarbem cnót dziewczęcych, który z głębi duszy szanuję i uwielbiam. Dziś jesteś dla mnie liliowym kwiatem, przed którym z pokorą schylam głowę, a będziesz dla mnie świętością także i wtenczas, gdy rozkwitnąwszy w królewską różę, zostaniesz, jeśli Bóg da, moją towarzyszką życia...

W końcu przytoczę wierszyk, który właśnie w obecnej chwili jest na miejscu i doskonale zgadza się z moimi uczuciami:

Czym dla mnie jesteś, Ewko ma droga!
Dziś Ci opowiem tak, jak przystało,
Ilem ja westchnień posłał do Boga —
I jak Cię serce me ukochało...

O! Żebyś, Ewko, oczkami swymi
Zawsze świeciła w mej życia dobie,
Milo by było w sercu na ziemi —
I lekko może tam kiedy w grobie...

O! Jakże pragnę żyć z Tobą społem,
Byśmy nawzajem wspierali siebie,
Ty byś mi była stóżem aniołem,
Ja opiekunem byłbym dla Ciebie.

Ja bym Ci radził, Ewko ma miła,
 Jak to lub owo wykonać trzeba,
 Ty zaś nawzajem mnie byś uczyła,
 Którą się drogą — idzie do nieba.
 I tak wspierając wzajemnie siebie,
 Szlibyśmy, Ewko, ku tej krainie,
 Tam za błękity, do Boga w niebie,
 Gdzie szczęście wieczne, co nie przeminie...
 O! Ewko! Ewko moja jedyna!
 Czym dla mnie jesteś, posłuchaj proszę:
 Tyś mi najmiłsza w świecie dziewczyna,
 Ciebie jedyną w mym sercu noszę.
 A jeśli będziesz mojego zdania,
 I podasz, Ewko, mi rączkę swoją,
 Toć będę wdzięczny aż do skonania,
 I będę zwał Cię Królową moją...
 W tej myśli kończę, całuję rączkę i zasyłając moc serdeczności, pozostaję
 Twój
 Karol

Cieszyn, dnia 23 września 1926

Najdroższa Ewko!

Teraz co do przyszłej niedzieli. Piszesz mi, Najdroższa, bym do Ciebie przyjechał.
 Niestety, dusza ochotna, lecz nie wolno... Dowiedziałas się już zapewne z „Gwiazdki”, że
 w tę niedzielę właśnie mamy przedstawienie na Spalonej. Wierzaj mi, Ewko, że stokroć
 chętniej pojechałbym do Ciebie, wiesz jednak, co to jest obowiązek. Proszę Cię zatem,
 nie pomyślaj mi tego za złe, lecz przebac. Choć nieobecny przy Tobie, zawsze mam Cię
 przed oczyma duszy, myślę o mej Ewce o każdej porze dnia, marzę we śnie, pamiętam
 przy modlitwie, w samotności i przy pracy. Tak będzie również w tę niedzielę, przy
 zabawie, która dla mnie nie ma uroku, bo będę tam sam, bez Ciebie. Przedstawienie
 samo zapowiada się dosyć ciekawie, ponieważ po raz pierwszy grają także nauczyciele.
 Potysz przyjął główną rolę po młodym kościelnym, który nie mógł się jej nauczyć
 (widziałas go na próbie!), a także Kareta ma dwie role w „Janku doktorze”.

Twój szczerze Cię kochający
 Karol

Cieszyn, dnia 28 września 1926

Najdroższa Ewko!

W Brennej mam teraz co niedzielę dużo zajęcia, mimo to ułożyłem wszystko
 w ten sposób, by dzień 10 X był dla mnie wolnym. Czy będziemy mogli się zobaczyć
 i dzień ten wspólnie przepędzić? Zależy to tylko od Ciebie, Najdroższa.

A więc prosiłbym Cię, Ewko, byś w niedzielę, 10 X rano o godz. 7.25, przyjechała
 pociągiem do Cz. Cieszyna, gdzie będę Cię oczekiwał na dworcu. Stamtąd pojedziemy do

kościola tutejszego na mszę 8-ową, poczem o godz. 9 będziemy mogli zająć się naszymi sprawami. Czasu do rozmowy, zdaje mi się, będzie dosyć. Jeśli takie wyrazisz życzenie, możemy następnie, po południu, razem pojechać na czeską stronę, na kótłkie odwiedziny do Łyżbic. W każdym razie wieczorem doprowadzę Cię z powrotem do Korńskiej. Czy program taki znajdzie Twoją zgodę? Sądzę, że tak. Więc będę Cię oczekiwał na pewno, z gorącym sercem, pełnym wdzięczności i — tęsknoty... Jeśli Ci czas pozwoli, możesz mi zresztą jeszcze napisać w tej sprawie.

Prosisz w liście o jakąś deklamację. Szkoda, że bliżej nie wyszczególniłaś, jakiego rodzaju ma być, czy poważna, czy wesoła, czy patriotyczna lub inna. Nie mam pod ręką dużego wyboru, przesyłam więc w załączeniu dwie tylko, odpisane. Może z nich która będzie odpowiadała celowi.

Mieliśmy w niedzielę przedstawienie na Spalonej. Wynik stosunkowo bardzo dobry. Ogólny dochód wynosił 104,55 zł, z czego czystego zysku będzie około 75 zł. Słowo wstępne wygłosił bardzo ładnie ks. proboszcz. Sztuki udaly się równie znakomicie, pomimo nielicznych (i kiepskich) prób. Wspaniale grali Potysz jako kapral, Gielata jako „kozidoktor” i Tonka. Inni trzymali się także niezle, tylko Francka z Dowanisk w roli Chlebowskiej nie dopisała. Ludzie śmiali się do rozpuku, a oklaskom nie było końca. Amatorzy byli po raz pierwszy uszmkowani, a bardzo ładnie robiły się kostiumy krakowskie z Macierzy, za które zapłaciliśmy 50 zł za dwa przedstawienia. Powtórka będzie dnia 17 października w lokalu.

Teraz coś ze spraw matrymonialnych. Gielata Francek żeni się, a zgadnij z kim? — z Gillówną Józefą. Do słowa istego doszło w niedzielę o godz. 11 wieczorem, po przedstawieniu, na drodze przy Spalonej. Przyznać się muszę, że sam ważną w tym odgrywałem rolę, ponieważ Gielata, jako wiesz, w tym względzie nie grzeszy wcale odwagą. Uproszony przez niego, byłem pośrednikiem, albo jak mówią, swatem. Gillówna bez najmniejszego wahania przyjęła ofertę. Co do wesela, nie wiem jeszcze, kiedy się odbędzie. Gielata życzy je sobie w tym roku, przed adwentem, ponieważ u niego do wesela wszystko, także mieszkanie w „willi”, przygotowane. Gillówna jednak powiada, że u niej w domu będą tym zaskoczeni i ma odpowiedź co do terminu dać w niedzielę. Możliwe więc, że wesele odbędzie się dopiero w mięsopuście, czego i ja bym sobie życzył — ze względu na Ciebie. Wesele to będzie huczne i, dziwny przypadek, obchodzić je będą skarbnik ze skarbniczką jak przed trzema laty prezes, brat jego, z przewodniczącą. Ślub rzeźbierza z Otylią odbędzie się dnia 12 października, równocześnie ślub siostry młodszego Gaszczyka z jakimś stolarzem z Dobki, który z ewangelika przestępuje na katolika. Wesele prezesa z Bojdówną naznaczone jest na wiosnę. Herzyk trwa w stanie kawalerskim. Żołnierze z rocznika 1903, m.in. Gaszczyk młodszy, powrócili już do domu.

Jeszcze jedną ważną nowość mam Tobie do zakomunikowania. W Brennej tworzy się nowa, Chrześcijańska Spółka spożywcza, która rozpocznie swą działalność w lutym 1927. Zamierza ona wydzierżawić od Kasy „konsum” i tam na wielką skalę rozpocząć handel towarów, ewent. w połączeniu z piekarnią. Oczywiście, że w takim razie musiałby się Moskala ze starą Spółką, która i tak ledwie dycha, usunąć z budynku. Nowa Spółka będzie całkiem w naszych rękach, a dyrektorem jej będzie Franek, brat, który w tym celu opuszcza w grudniu Poznań i przyjedzie na Śląsk, najpierw na 1—2-miesięczną praktykę w jakimś sklepie, a potem na nowe stanowisko do Brennej. Kapitał potrzebny (około 3000 zł) mamy zapewniony. Co prawda dużo jeszcze mamy trudności do przezwyciężenia, głównie co do budynku, ufam jednak, że wszystko da się zrobić.

Dzisiaj wysyłam pocztą 350 Kc na opłatę i bieżące wydatki. Jeśli masz jakie dalsze potrzeby, podasz mi je na drugą niedzielę, a chętnie spełnię wszystko, czego sobie tylko będziesz życzyć.

Na tym kończę, zasylam dla Ciebie, Droga moja Ewko, moc serdeczności, całuję Twoją rączkę i pozostaję

Twój kochający Cię Karol

Cieszyn, dnia 7 października 1926

Najdroższa Ewko!

Program niedzielny mam ustalony. O godz. 7.25 rano oczekiwać Cię będę, Ewko, na czeskim dworcu, jak już ostatnim razem podalem. Po nabożeństwie 3 godziny, od 9-tej do 12-tej, możemy poświęcić rozmowie, po czym zaś, o ile takie masz życzenie, o godz. 12.27 pojedziemy do Łyżbic, gdzie jednak zabawić możemy nie dłużej niż do godz. 2¹/₄. Wiadomo Tobie zapewne z „Gwiazdki”, że do Cz. Cieszyna przybył sławny cyrk światowy Kludsky. Otóż otrzymaliśmy dla „Gwiazdki” po 2 bezpłatne bilety na każde przedstawienie, — na dobre miejsca, bo w wartości kilkudziesięciu koron, — a ponieważ cyrk ten godny jest odwiedzenia, postanowiłem skorzystać z biletów dla nas obojga w niedzielę o godz. 4 po południu. Mam nadzieję, że mi nie odmówisz, lecz chętnie zrobisz mi tę przyjemność, że będziemy mogli razem — po raz pierwszy w tym roku — uczestniczyć w widowisku tak pięknym. W Polskim Cieszynie jest równocześnie katolicki kiermasz z przedstawieniem „Chłopów arystokratów”, lecz na to nam już czasu nie starczy. Wróciłabyś potem do Końskiej z cyrku o godz. 7.28.

Oczekuję niedzieli z wielką tęsknotą. Wszak od blisko półtora miesiąca nie widziałem Cię, Najdroższa, a zapewne w październiku więcej Cię nie zobaczę. Więcej jeszcze niż to, należy nam się wzajemnie rozmówić, zrozumieć do dna serca i miłość naszą ugruntować tak, by ona, oparta na wzajemnym zaufaniu, przez szczęśliwe odtąd dni narzeczeństwa zaprowadziła nas do wrót nowego życia, do ślubu i małżeństwa. Tak bardzo pragnę Tobie, Najdroższa, wyznaczyć moją bezgraniczną miłość, złożyć ją u Twych stóp, jako Tej, której dawno już oddałem na całkowitą własność serce i życie i wszystko, co posiadam.

Co do przepustki, uważam, że możesz i powinnaś ją sobie wyrobić, a na drogę do Trzyńca czas znaleźć się musi chociażby w sobotę po południu, kiedy macie wolne wyjście. Gdybyś bowiem nie mogła przejść na polską stronę, niedziela prawdopodobnie zakończyłaby się nie tak, jak sobie tego oboje życzymy.

W nadziei, że za trzy dni Ciebie, Ewko Najdroższa, zobaczę, kończę i zasylam Tobie dużo serdeczności, całuję rączki

Twój kochający Cię Karol

Cieszyn, dnia 14 października 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Powracam do dawnej formy nazwania Cię, ponieważ przebieg ostatniej niedzieli zmazał z pamięci wszystko, co w naszym stosunku kiedykolwiek było niestosownego, a nadto dał mi gwarancję, że odtąd będzie nam zawsze tak dobrze, jak było kiedyś w chwilach najszcześniejszych. „Najdroższą” byłaś mi już od dawna, od zarania naszej miłości w roku 1923 poczynsz, nieprzerwanie aż do dzisiaj, pozostając nią do końca życia — „moją” znów mogę Cię, Ewko, nazywać, mimo, że nie wiąże nas jeszcze ślub kościelny, tylko słowo, które kochający się wzajemnie sobie oddawają, a które my oboje zgodnie uznawamy za przysięgę świętą i nierozłączną.

Zaznaczyłem już na wstępie, że niedziela ostatnia spełniła pokładane w nią nadzieje. Tak! Był to dla mnie najszcześniejszy dzień w bieżącym roku, dzień, który

w pamięci na zawsze zajmie pierwszorzędne miejsce obok lipca 1924. Wówczas uświęciliśmy miłość naszą zaręczynami, kładąc tym samym kamień węgielny pod budowę wspólnej przyszłości, teraz, łącząc dłonie i serca do szczerzej, zgodnej odtąd współpracy, uszlachetniamy narzeczeństwo, wznosimy fundamenty, na których łatwo już powstanie gmach małżeństwa, cel i ideał wszystkich kochających, bo złączający ich na całe życie, dający im spełnienie wszelkich życzeń i pragnień.

Wierząc mi, Ewko, że wspomnienie tych chwil szczęśliwych, kiedy mogłem Cię przycisnąć do serca i pocałować w słodkie usteczka, na cały miesiąc będzie mi najmielszą nagrodą, a zarazem bodźcem do pracy, zachętą, która każe mi przetrwać łatwiej rozłąkę i z otuchą patrzeć w przyszłość. Za wszystką tę radość i rozkosz i szczęście, których z Twojej przyczyny doznałem, chciej przyjąć ode mnie, Najukochańsza, serdeczne dzięki... Poświęciłaś dla mnie całą niedzielę, poniosłaś niejedną ofiarę, ale dałaś mi wiele za to, utwierdziłaś w przekonaniu, że mimo wszystko leży „szczęście w miłości!” Nie zapomnę o tym i kiedyś... kiedyś będę się starał odwzajemnić, czyniąc Tobie życie tak przyjemnym i słodkim, jaką była dla mnie ubiegła niedziela.

Nowości w tym tygodniu nie mam prawie żadnych. Francek już odpisał, godzi się na objęcie kierownictwa Spółki w naszym domu, a chce przyjechać w grudniu, może już na 1-go. Prawdopodobnie jednak opuści Poznań dopiero na 15 XII, by po praktyce w styczniu z dniem 1 lutego rozpocząć nowy interes.

Wspomniałaś, Ewko, w niedzielę o lekcji tańców. Powiedziałem już, że chętnie zgadzam się, byś i Ty w lekcjach uczestniczyła, bo zawsze byłem tego zdania, że taniec nie jest nic zdrożnego, owszem jest ładną zabawą, wzgl. rozrywką, a zresztą wszystko jest dobre, co się umie. Chciałbym tylko zaznaczyć, że inne zgola mam zdanie o tzw. „modnych” tańcach, jak: shimmy, fox-trott, two-step i itd., które szpecą tylko zabawę, choć w miastach wielu mają zwolenników. Przypuszczam, że tam na lekcjach tych właśnie „modnych” tańców uczyć nie będą, gdyby jednak były w programie, wtedy, Ewko, prosiłbym Cię bardzo, byś się z nich wyłączyła, a uczyła tylko polskich i śląskich tańców, od tamtych o wiele piękniejszych, a dla dziewczyny wiejskiej jedynie stosownych.

O ile w niedzielę znajdziesz czas na napisanie kilku słów, bardzo będę Tobie wdzięczny. Nie zapomnij też odpisać Franckowi, a do domu przesłać przynajmniej pozdrowienia. W przyszłym tygodniu znów napiszę.

Kończąc, zasylam dużo serdeczności, całuję Cię, Ewko Droga i pozostaję

zawsze Cię kochający
Twój

Karol

Cieszyn, dnia 20 października 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Znów tydzień upłynął, zatem pora napisać do Ciebie. Czynię to każdym razem bardzo chętnie, nawet z wielką przyjemnością, ciesząc się, że w ten sposób mogę z Tobą, Ewko, rozmawiać chociaż listownie. Gdy ktoś kocha tak jak ja, a ideał swej miłości, przedmiot marzeń i snów widzi daleko od siebie, prawie niedosięgalny, jaką Ty dla mnie teraz jesteś, wtedy może swą bogdaną ubóstwiać jedynie w skrytości serca, gdzie obrazek jej ze czcią świętą jest przechowywany, tęsknota zaś, jaką czuje, znajduje ulgę tylko w listach, które ukochanej niosą odblask wiernych uczuć, szczerze pozdrowienia i holdy serca.

W ubiegłą niedzielę, jak Tobie wiadomo, mieliśmy w lokalu przedstawienie. Z powodu całodziennego deszczu udział nie był bardzo liczny, mimo to wieczorem na zabawie sala wypełniła się nie najgorzej. Bawiono się spokojnie i ochoczo do godz. 1½ po północy. Dochód ogólny wynosił 87 zł, czysty zysk około 55 zł.

Jagienka również była na przedstawieniu — z Agnieszka, Odprowadziłem ją potem aż po kapliczkę, przy czym rozmawialiśmy także o Tobie. W domu u Was wszyscy zdrowi, mała Helcia także. Podobno tata mieli wielką ochotę pojechać do Cieszyńska, by choć raz w życiu zobaczyć cyrk i wszystkie zwierzęta. Szkoda, lecz może jeszcze kiedyś znajdzie się na to sposobność. Mama zamierzając zanieść wybrać się na dni kilka do Łyżbic, również i do Ciebie, Jagienka zaś sama przyjedzie krótko przed Twoim odejściem do domu, by z Tobą razem powrócić. Czekają na pismo od Ciebie, zasyłają Tobie przeze mnie pozdrowienia, a może w tych dniach sami napiszą.

W niedzielę zdziwiłem się bardzo, widząc w kościele Maciejczkową ubraną w stroju śląskim, w czepcu i jakli. Przestroiliła się, choć z mieszczańskiego pochodzi rodu, może trochę na złość Kisiałowej, która postąpiła odurotnie. Krok taki zasługuje na uznanie, tym bardziej, że dziś coraz mniej jest u nas kobiet, które cenią swój piękny strój ludowy. Piszę i cieszę się z tego, że Ty, Ewko, jak sama oświadczyłaś, nigdy nie sprzeniewierzysz się tradycji w tym względzie. Milszą mi zawsze jesteś, to prawda, gdy widzę Cię ładnie ubraną, lecz na to nadaje się właśnie najbardziej strój śląski, który potrafi z dziewczyny czy kobiety uczynić istne cacko, godne uwielbienia, a który wśród innych strojów ludowych nielatwo znajduje sobie równego. Oczywiście, że modne teraz „bubikopfy” do kabotki i sukni przystosować się nie dadzą, nie mówiąc już o tym, że z naturą i powołaniem kobiety nie mają nic wspólnego.

O czymże jeszcze pisać? Teraz mamy jesień, dżdżystą i ponurą w jej ciągłych deszczach i wichurach, a niezadługo nadciągnie groźniejsza jej siostrzyca, zima. Obydwie te pory roku już same przez się są nieprzyjemne, odrażające dla ludzi, a odczuwają to szczególnie ci wszyscy, którzy z jakiej bądź przyczyny nie posiadają własnego gniazdka rodzinnego. I ja doznaję podobnych uczuć. Mam środki potrzebne do życia, mógłbym używać do syta, „złotej wolności” i najróżniejszych uciech, jakich dostarcza miasto, a jednak nie czynię tego, żyję sobie swoim, odrębnym życiem. Inna rzecz, że życie takie mnie nie zadowala. Wiem i czuję, że mi czegoś brakuje, co w życiu jest najpiękniejsze, — brak mi takiego gniazdka rodzinnego, gdzie bym się czuł naprawdę w domu, brak mi podstawy i ozdoby tego gniazdka — żoneczki milej, wiernej i kochającej, która by, dzieląc ze mną słodycze i znoje życia, uczyniła domostwo rajem, a małżeństwo istnym niebem. Tak, Ewko Najdroższa, czekam z upragnieniem tej chwili, kiedy spełnią się marzenia lat czterech, czekam i pocieszam się tym, że chwila ta zbliża się coraz bardziej, a jesień, wzgl. zima obecna jest ostatnią, która mnie od niej dzieli. Byłoby Pan Bóg pozwolił szczęśliwie jej się doczekać!... —

Umówiliśmy się ostatnim razem, że spotkamy się znowu w Cieszyńsku i w Łyżbicach w niedzielę, dnia 31 października. Proszę Cię, Ewko, napisz mi tej niedzieli, 24 bm., parę słów, bym miał pewność, że wszystko odbędzie się według programu. I nie omieszkaj postarać się zawczasu o przepustkę, bo szczęście jest zmiennie i choć zdaje się Tobą, Najdroższa, opiekować, mogłoby kiedyś zawieść.

Kończę, zsyłam moc serdeczności, uściski i całusy, pozostaje

zawsze Cię kochający

Twój
Karol

Cieszyn, dnia 27 października 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Zbliża się niedziela, dzień, w którym znów mamy się zobaczyć. Nie uwierzysz, Ewko, z jaką radością wypatruję tę chwilę, jak liczę dni i godziny, co mnie od niej dzieli. Nic mnie tak nie cieszy, jak owe błogie, rzadkie niestety chwile, które wolno mi przeżyć u Twego boku, Najdroższa, a które przedkładam nad wszelkie inne przyjemności. Nieraz nad tym się zastanawiałem, zadając sobie pytanie, dlaczego tak jest. Nie mogłem znaleźć innej odpowiedzi prócz tej, że kocham Cię, Ewko, bardzo i nade wszystko, kocham szczerze, z całego serca. Bóg dał memu sercu tę miłość, której nie umiem się oprzeć, miłość, co mnie uszczęśliwia i wzbogaca. Jesteś dla mnie, Najukochańsza, tym skarbem nieocenionym, który należy czcić zawsze jako świętość, poważać i gorąco, nieskończenie miłować. Czyniąc tak, nie grzeszę, owszem, stosuję się do tego, co prawem ludzkim i Boskim jest dozwolone.

Na tym kończę, ślę moc serdeczności i pozostaję do zobaczenia się w niedzielę
Twój

Karol

Cieszyn, dnia 5 listopada 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Zamierzałem już wczoraj list ten napisać, lecz nie miałem czasu, będąc zajęтым w drukarni. „Gwiazdka” bowiem z okazji Święta Młodzieży wyszła w podwójnej objętości, Jest w tym numerze także mój feljeton, czyli artykuł „pod sztrychem”.

W niedzielę dosyć mi się poszczęściło. Do pociągu przyszedłem na 10 minut przed odjazdem. Również drogę pieszą do Brennej przebyłem, mimo ciemności, bez wszelkich przygód.

W Brennej nic ważniejszego nie zaszło. Uchwaliliśmy jedynie dnia 21 listopada, w ostatnią niedzielę przed Adwentem, odegrać na Spalonej „Raubczyków spod Czantorii”. Obsadzenie ról pozostaje niezmienione, tylko żandarma Gilowskiego weźmie zamiast Lojzka p. Potysz, a Halkę prawdopodobnie Bojdówna. Sam cieszyłbym się najbardziej, gdybyś Ty, Ewko, chciała i mogła na ten dzień przyjechać, by rolę swą odegrać, zdaje sobie sprawę z tego, że trudności są zbyt wielkie. Proszę, napisz mi, Najdroższa, jak Ty o tym sądzisz. —

Życzylas sobie ostatnim razem kilka wierszy do pamiętnika. Otóż poniżej przytaczam ich parę do wyboru.

Życia Twego proste drogi
Z pogodą jako na niebie,
Przebywaj śmiało, bez trwogi;
Bóg niechaj prowadzi Ciebie!
Wiara z miłością, nadzieją
Niechaj Ci zawsze jaśnieją!



Niechaj życia Twego droga
Zasypana będzie kwiatem,
Niech każdy u Twego proga

Będzie Tobie siostrą, bratem.
Otoczona troską nieba,
Do tak błogiej dojdź przyszłości,
Byś mówiła: Ach, nie trzeba
Większej w życiu pomyślności.



Jak łódka w pędzie
Niech Twa przyszłość będzie
I chyża i żywa,
A zawsze szczęśliwa!
Gdy łódka na wodę,
To zawsze pogodę
Na jasnym miej niebie,
A brzegi dla Ciebie
Co będą przyszłością,
Niech samą radością
I wiarą, nadzieją,
Zawsze Ci jaśniej!



Żyj wśród prawdy jak Bóg jasnej,
W bratniej z ludźmi żyj miłości,
Znajdziesz skarb w Twojej duszy własnej,
Co da szczęście Twojej przyszłości.



Niech Ci rajem będzie świat,
Miłość, przyjaźń łączy dłoń,
Łzy radości tylko roń,
Nie znaj nigdy ciężkich strat.



Miej serce i patrz w serce!
A. Mickiewicz



Przyszłość zdobywa, kto o nią walczy.
J.I. Kraszewski



Nie licz wśród burz na żadną latarnię,
Ani na ziemi, ani też na niebie.
Bo kto jej czeka, zatonię ten marnie
I będzie dzwonem na własnym pogrzebie.
Noc tylko tego w swój płaszcz nie ogarnie,
Kto światło swoje wykszesze sam z siebie
I sam na drodze swej zaświeci jasno,
Ducha słoneczność roztluszy swą własną.
Maria Konopnicka



Młodość jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć upływa sama szpalko,
Cios jej dłuta wieczno trwały.
Z. Krasiński



Nie porzucaj nadzieję,
Jakoć się kolwiek dzieje,

Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po zlej chwili piękny dzień przychodzi.
Jan Kochanowski



Bóg przeznaczył kobietę do wyższych prawdziwie celów. Zadaniem jej stworzenie rodziny, tego posiewu świętego, przez który ludzkość się odradza, społeczeństwo uzacnia, i na którym świat stoi.

J. Wieniawski



Pamiętaj, dziewczyno droga, że w świetnym posagu Boga piękne rozumu zalety,
ale w sercu tron kobiety.

Al. hr. Fredro



Być pieczęcią w rodzin gronie,
Rajskiej strzechy kochać próg,
Mieć żar w sercu, piosnkę w tonie,
To mi tylko kazał Bóg!

Deotyma



Dalej, naprzód, tam do słońca,
Ciemność, to nasz wieczny wróg;
Tam, gdzie światłość jaśniejąca,
Tam jest prawda, tam jest Bóg!

St. Grudziński



Pod wierszykami wpisać można następujące zdanie: „Ku miłemu wspomnieniu
wpisała” (podpis); albo: „Na pamiątkę”, „W szczerej przyjaźni”;
„W dowód życzliwości” .

Kończąc na dzisiaj, ślę moc serdeczności i całuję Cię, Najukochańsza,

zawsze Twój

Karol

Cieszyn, dnia 10 listopada 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Szybko płyną jeden za drugim dni listopada, ostatniego miesiąca Twojej nauki i bytności tam za granicą, zdała od domu i — ode mnie. Często obliczam, jak długo to jeszcze potrwa, ile tygodni i dni, a bardzo się cieszę, widząc, że wkrótce już, bo za 17 dni od dzisiaj, powrócisz do Swoich ukochanych.

Rok ten, spędzony w zakładzie, był dla Ciebie, Ewko, okresem wytężonej pracy i nauki, pełnym niewygód osobistych i ofiar. Zdaję sobie z tego dokładnie sprawę, to też za wszystko, coś uczyniła dla Swej przyszłości, teraz i zawsze będę czuł dla Ciebie najszczerzą wdzięczność. Wydatek pieniężny, który poniosłem, jest wobec Twoich poświęceń drobnostką i nie poczytuję sobie tego wcale za zasługę, iż wolno mi było wyłożyć kilka marnych koron dla tak wzniosłego celu, jakim jest wykształcenie Twoje. Wszak ja Cię kocham, kocham tak gorąco, a zdaje mi się, że za skarb tak nieoceniony, jakim jest Twoja miłość, nigdy nie będę się mógł należycie wypłacić, lecz na zawsze pozostanę Twoim dłużnikiem.

W niedzielę doniosła mi Jagienka, że nie chcą jej w domu pozwolić na podróż do Łyżbic, ponieważ mama życzą sobie sami tam pojechać. W tym celu wyrobiłem już wczoraj dla mamy przepustkę. Możliwe, że jeszcze w tym tygodniu, przed niedzielą, tam się udadzą, a potem razem z Tobą powrócą. Czy takie rozwiązanie sprawy jest lepsze, nie wiem, — wolalbym, by przy odjeździe towarzyszyła Tobie Jagienka, wobec tego, że pogoda prawdopodobnie się pogorszy.

Innych ciekawych wiadomości nie ma. W najbliższą niedzielę obchodzimy Święto Młodzieży, w następnej, jak już pisałem, gramy „Raubczyków”. Przy sposobności pokażę Tobie dwie fotografie, jedną zbiorową z wesela rzeźbiarza z Otylią, dosyć udatną, drugą przedstawiającą naszego chrześniaka, małego „Zachariasza”, którą otrzymałem jako niespodziankę, na pamiątkę 2-letnich urodzin, wzgl. na imieniny.

Korespondencja z Franckiem jest w toku. Wszystko tam w porządku, toż samo u nas w Brennej. Plan nasz się urzeczywistni, tylko potrzeba będzie pieniędzy, dużo pieniędzy, które atoli znaleźć się muszą.

Zasylałam dużo serdeczności, całuję i pozostaję

zawsze Cię kochający
Karol

Cieszyn, dnia 11 grudnia 1926

Moja Najdroższa Ewko!

Za dni kilka obchodzić będziesz Urodziny swoje, uroczystość także dla mnie nader drogą, a tym razem pamiątką o tyle, że kończąc 21 rok życia, stajesz się pełnoletnią, wstępujesz do życia dojrzałego jako nowa obywatelka, by wyposażona w wszelkie wdzięki, jakimi Bóg przyozdabia dziewczę młode, korzystać odtąd także z całej pełni praw obywatelskich i ludzkich.

W dniu tym składam u Twych stóp, Ewko Jedyna, najszczerze życzenia i holdy wiernego narzeczonego, składam me serce cale, co Cię kocha i wielbi jako swą królową, władczynię i panią. Żyj, Ewko, nadal pod opieką Najwyższego w zdrowiu i szczęściu, bądź dla otoczenia tą cudną różyczką, co rozkwitając wszystkich upaja swym widokiem czarującym i zapachem.

Kocham — to znaczy: bądź dla mnie, o Droga,
Ty towarzyszką życiowych kolei;
Na moim niebie, bądź gwiazdą nadziei,
Bądź pośredniczką do Boga!

Kocham — to znaczy: że Ciebie otoczę
Wszystkim, co piękne, szlachetne i wzniósłe,
Że będziem razem, jak topole rosłe,
Strzelać wierzchołkiem w błękitu przeźrocze;

Kocham — to znaczy: dla Ciebie, przez Ciebie
Stanę się czystym; dla braci mych będę
Druhem serdecznym; że mężny na straży
Ojczystych progów usiądę;
Że będę plugiem na ojczystej glebie,
Ogniem ojczystych ołtarzy.

Kocham — to znaczy: że z Tobą podzielę
Dolę, niedolę, myśl każdą, pragnienie;
Że w Tobie złożę, jak w moim kościele,
Każdą obronę i każdą nadzieję,

Że gdy się w walce ze światem zachwieję,
Ty będziesz me wspomóżenie.
Kocham — to znaczy: że jeśli Twe siły
Mdleć zaczną w długim i ciężkim pochodzie,
Ja wesprę Ciebie rękoma męskimi;
Że jeśli zbłądzisz — wszakżeś córką ziemi —
Nie rzucę Ciebie, o chłodzie i głodzie,
Samotną aż do mogiły.

Kocham — to znaczy: będę pobłażliwym
Dla Twoich słabości; wiem, że w Twoim łonie
Złożono wielkich, ciężkich prób nasiona,
Że do poświęceń Ty jesteś stworzona,
Że często chodzisz w ciemniowej koronie.

Rok ubiegły był dla nas obojga okresem przelomowym, brzemiennym w przeżycia różnego rodzaju. Z jednej strony przeżywać musieliśmy wiele prób ciężkich, wynikających z rozłuki 11-miesięcznej, którą ja szczególnie odczułem nadwyraz boleśnie.

Jest jednakowoż i dodatnia strona bilansu zeszłorocznego. Jest nią ukończenie przez Ciebie kursu w Szkole gospodyń wiejskich w Końskiej. Wyniki nauki, tak zdumiewająco pomyślne świadczą najwymowniej o tym, na jaki ogrom pracy, pilności i wytrwałości Ty, Ewko, wychowanka końskiej szkoły, musiałaś się zdobyć prawie przez rok cały. Pierwsza z dziewcząt breńskich osiągnęłaś wyższy poziom wykształcenia, odniosłaś wielki sukces moralny, a zarazem wzbogaciłaś znacznie swą wiedzę i wiadomości praktyczne, jednym słowem, złożyłaś egzamin dojrzałości na przyszłą, samodzielną gospość domu i rodziny. Ja jako narzeczony najwięcej jestem Tobie zobowiązany do wdzięczności i podzięk, a nie tylko to, dumny jestem z Ciebie, Ewko, i z Twojej pracy dokonanej, — czuję się szczęśliwym, iż taki klejnot drogocenny wkrótce już będę mógł nazwać swą żoną ukochaną...

Wiersz poniższy, który wyczytałem w starej „Gwiazdce” z roku 1857, najdokładniej przedstawia moje myśli w sprawie małżeństwa.

Ten, kto dla złota żonę wybiera,
Z braku miłości zuykle umiera.
Miłość tu sama szczęście stanowi,
Ta uprzyjemnia żonę mężowi,
Do niej jak do chleba, co je dnia każdego,
Wstrętu mieć nie będzie aż do zgonu swego.
Pięknie tylko rośnie na polu miłości
Ten kwiatek, co zowią kwiatkiem szczęśliwości,
A gdzie zdobi małżeńskie łóże,
Mąż niewygodnie leżeć nie może;
Gdzie miłość w parze z miłością staje,
Jarzmo małżeńskie ran nie zadaje!
Gdzie wóz małżeński, co jest rzeczą główną,
Mąż z swoją żoną ciągną z chęcią równą,
Tak, że się waga w żadnej życia chwili
Na żadną stronę nigdy nie przechyli —
Gdy miłość wtenczas im drogę toruje,
Pomaga ciągnąc i koła smaruje,
Choćby najbardziej obciążony,
Toczy się prędko tak popychany,
Przykrym! drogi, górą, uboczą,
Wóz życia pędzi śmiało, ochoczo,
I dopiero wtenczas ich jazda się kończy,
Gdy tę lubą parę moc śmierci rozłączy! —

Dlatego składając Tobie, Ewko, życzenia urodzinowe, ostatnie jako narzeczonej, myśli moje dziś biegną o ośm miesięcy naprzód, do owej chwili, gdy u stopni ołtarza zaprzysięgniemy sobie nawzajem miłość i wierność małżeńską, — gdy stanę u celu mych pragnień i marzeń, a najwyższe szczęście doczesne dla nas obojga przyoblecze się w kształty rzeczywistości...

Wykład Twój zatytułuj „Z mojego pobytu w Szkole gospodyń”. Przepisz go proszę, atryamentem na czysto, by można go przechować na pamiątkę.

Całuję Cię

Twój

Karol

Cieszyn, dnia 30 marca 1927

Moja Najdroższa Ewko!

Od chwili, kiedy Ty, Ewko, zdobyłaś sobie moją miłość, serce me należy niepodzielnie do Ciebie. W ciągu lat czterech byłaś dla mnie zawsze wyobrażeniem najgorętszych uczuć, uosobieniem szczęścia i nigdy jasnej Twojej postaci nie zaćmiły żadne cienie. Kochałem Cię, Ewko, zawsze tak, że nikt bardziej i szczerzej kochać nie potrafi. „Co to znaczy — kochać? Kochać to jest myśleć ciągle o kim i szukać zawsze tej osoby”... Tak tłumaczą jedni, drudzy zaś dodawają: „Ten, w czyjej wyobraźni pamięć ukochanej nie jest wiecznie przytomna, ten kłamie, mówiąc, że kocha!”

Święta prawda! Pamięć o Tobie, zawsze żywa, która mnie nigdy nie opuszczała, cierpienia serca, wynikające z każdego dłuższego niewidzenia się z Tobą, są najlepszym dowodem, że powyższe słowa prawdę oznaczają i uczucia moje zasługują na nazwę prawdziwej miłości.

W życiu moim codziennym odróżniam trzy działy: pracę zawodową, pracę ideową i życie serca. Zawód mój lubię, gdyż daje mi on możliwość zużytkowania wszelkich umiejętności, a nadto daje mi chleb, zaspakaja potrzeby życia. Pracę ideową uważam za konieczne dopełnienie pierwszego działu, za obowiązek swój względem bliźnich, Boga i potomnych, obowiązek święty, pomimo, że nie wypływa z niego dla mnie bezpośrednio żadna korzyść, raczej różne ciężary i niewdzięczność. Jeśli chodzi o życie serca, miłość, to z niej spodziewam się słodkiej nagrody doczesnej za wszystkie trudy, położone na ołtarzu pracy społecznej. Dodać muszę, że miłość to dla mnie świętość nietykalna, a nie jakieś uczucie sprofanowane, wyszydzone, za jakie je dziś niestety coraz więcej ludzi uważa, goniących za chwilową tylko przyjemnością, a nie mających zrozumienia dla tego uczucia najszlachetniejszego. Miłości bez cierpień nie ma, podobnie jak nie znajdziesz róży bez kolców, chodzi tylko o to, by boleść nie przewyższała miłości. Co do mnie, dużo przecierpiałem, ale za nic w świecie nie wyrzekłbym się Ciebie, Najukochańsza, nie wyrzekłbym się nagrody i szczęścia, które widzę tylko w połączeniu się z Tobą na wieki.

Zanim to nastąpi, kochać Cię będę, Ewko, zawsze, w szczęściu i nieszczęściu, w smutku i radości, a gdyby, co nie daj Boże, przerwać się miała nić mego życia, bądź pewną, że wspomnienie Twoje towarzyszyć mi będzie do ostatniej chwili...

Przebac, Najdroższa, że zeszedłem na tak smutny temat, ale wiadomo przecie, że życie nasze spoczywa w ręku Pana Boga i mało nikt nie wie, co nam przyszłość przyniesie może.

Tymczasem ściskam Cię, Ewko, całuję i pozostaję

zawsze Cię kochający
Karol

Moja Najdroższa Ewko!

Znalazłem już mieszkanie. Pewien znajomy doniósł mi wczoraj rano o niem, w południe poszedłem obejrzeć i ponieważ mi się podobało, zaraz je zamówilem. Oddalone jest 15 minut od Rynku (zatem jak od Was do lokalu), w Bobrku przy „cesarskiej”, trzeci dom za seminarium (naprzeciw internatu). Dom stoi w ogrodzie, a właścicielką jest niejaka Foberowa, wdowa (katoliczka), rodzona Bilkowa z Krasnej, której jedyna córka jest żoną kierownika szkoły w Wapienicy. Budynek murowany, ładny; z światłem elektrycznym, od drogi parterowy, od kolei (tor prowadzi obok ogrodu) piętrowy. Mieszka w nim właścicielka z ojcem, starym Bilką z Krasnej, byłym wójtem, który jest u niej niby na wymowie, obok nich jest nasze mieszkanie, a w dole jeden lokator. Mieszkanie nasze zajmowali dotąd akademicy, składa się ono z kuchni (4 metry do kwadratu, 1 okno) i pokoju (3½ metra kwadr., 2 okna), wymalowane, z ładnym widokiem na okolicę. Cena wynosi 26 zł miesięcznie (stosunkowo niedużo), którą za miesiąc maj już naprzód zapłaciłem. Jak już na wstępie zaznaczyłem, podoba mi się to mieszkanie, mimo że jest trochę daleko. Okolica piękna, wiejska, w zieleni pól i sadów, sam budynek czysty, schludny, a w nim spokojnie, bez hałasu dzieci lub współlokatorów. Do dworca 10 minut drogi.

Sądzę, że i Tobie, Ewko, mieszkanie to przypadnie do gustu, tym bardziej, że życzyłaś sobie zawsze taką okolicę. W każdym razie powinnaś je obejrzeć i zdecydować, czy mamy je zatrzymać, albo też mam poszukać odpowiedniejszego. Ty jedynie będziesz w tej sprawie rozstrzygała, Twoje życzenia będą dla mnie drogowskazem, gdyż pragnę z całego serca, byś Ty, Najdroższa, w nowym, naszym ognisku domowym czuła się zadowolona i szczęśliwa, chcę zapewnić Tobie wszystko, co do tego szczęścia jest potrzebnym. Dopiero kiedy cel ten osiągnę, a zobaczę Cię uśmiechniętą i szczęśliwą, jako moją nad wszystko ukochaną żonę i towarzyszkę życia, — wtenczas dopiero wybije i dla mnie upragniona godzina szczęścia, będę się czuł bogatszym od wszystkich, hojnie wynagrodzonym za wszystkie przykre chwile przeszłe i obecne...

Pragnę, by oględziny mieszkania mogły nastąpić dnia 19 bm., tj. we wtorek po świętach, dlatego, że w dniu tym odegrana zostanie w Cieszynie opera „Halka”, najslawniejsza z oper polskich, której po raz drugi niełatwo zobaczymy. O bilety postaram się z góry; myślę też, że Rodzice nie zrobią mi tej przykrości i nie zabronią Ci wyjazdu w tym dniu, jeśli o to ładnie poprosisz. Nocleg dla Ciebie u pp. Pastuchów zapewniony.

W poniedziałek byłem w teatrze na operze „Niziny”. Piękna to rzecz, bo przedstawiająca we wstępie uroczę góry i życie tamtejsze. Cóż z tego, kiedy osamotniony napróżno szukam rozrywki, chociażby tak szlachetnej. Wierzaj mi, Ewko, że wołałbym stokroć bawić w Twoim towarzystwie, które przekładam nad wszystkie przyjemności świata, a bez którego nawet w wesołym gronie przyjaciół (w Brennej, bo tu ich nie mam) lub w domu rodzicielskim zawsze czuję się nieswój, osamotniony; choć twarz pokazuję wesołą, w sercu nurtuje mi tęsknota słodko-bolesna do Tej, którą zrządzenie Boże i głos serca postawiły na uświęconym ołtarzyku mojej miłości. To do Ciebie, Ewko, tak tęsknię...

Zapewne przez czas dłuższy (całe dwa tygodnie) z Tobą, Najdroższa, się nie zobaczę. Piszę więc list niniejszy, by uwiadomić Cię o bieżących sprawach i tą drogą wyrazić Tobie wszystko, co w sercu mi się nagromadziło. Będę o Tobie, Ewko, myślał zawsze, okiem duszy szukał w każdej dnia porze i z oddali przesyłał westchnienia serca i modlitwy...

Do widzenia zatem, Najukochańsza, polecam Cię Panu Bogu i pozostaje
zawsze Twój
Karol

Długi, aż czteroletni okres narzeczeństwa Ewy Heller i Karola Sabatha uwieńczył ślub, który odbył się 29 sierpnia 1927 roku. Ich miłość powołała na świat sześćcioro dzieci.

Lecz niewiele radości dane było zaznać małżonkom. Śmierć 8-miesięcznej córeczki Marysi była zaledwie zapowiedzią tragedii, która miała dotknąć ich dom. W 1941 roku Karol, który nigdy nie wyrzekł się polskości, został aresztowany przez Niemców i w dwa lata później, 23 grudnia 1943 roku zginął w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Ewa musiała sama poprowadzić przez życie pięcioro dzieci, co też z godnością uczyniła. Jej ziemskie trudy dobiegły końca 11 czerwca 1985 roku.

A wzajemne uczucie małżonków? Trwa nadal w słowach listów, które, niby rodzinna Ewangelia, uczą pochylać się przed pięknem i mocą ludzkich serc.



Weselni goście zaślubin Ewy z Hellerów z Karolem Ferdynandem Sabathem (29 sierpnia 1927 roku)

STANISŁAW GAJDZICA

MOJE WOJSKO

Trzy były powody, dla których zdecydowałem się na odsluzenie służby wojskowej zaraz po ukończeniu szkoły średniej. Pierwszy to ten, że jako notoryczny leń miałem serdecznie dosyć nauki. Drugim była chęć odciążenia finansowego rodziców, a szczególnie matki, mającej na swej stroskanej głowie permanentny ciężar łatania mizernego budżetu domowego. Trzeci powód to chęć pokierowania własnym wojskowym losem, który przecież i tak nie mógł mnie ominąć, w wyniku czego, jako ochotnik, mający prawo wyboru broni, 21 września 1937 roku znalazłem się w tzw. podchorążówce, czyli w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy 21 Dywizji Piechoty Górskiej (DPG), przy 4 pułku strzelców podhalańskich (psp) w Cieszynie. Sądzę, że po latach mogę sformułować wniosek, że istniał jeszcze jeden powód: podświadoma chęć sprawdzenia siebie i przeżycie niebanalnej przygody.

Do Cieszyna przyjechałem już ostrzyżony na tzw. „nulkę”, jak się wtedy określało głowę kompletnie pozbawioną włosów. Podchorążówka mieściła się powyżej koszar, przy jednostronnie zabudowanej ulicy, w stosunkowo dużych salach koszarowych pierwszego i drugiego piętra.

Po zdaniu cywilnych łachów i jakim takim dopasowaniu siemniężnych mundurów, sierż. Łaciak wybrał co roślejszych i przypadających mu do gustu chłopaków do służby w cekaernach i moździerzach. Pozostała zaś reszta, którą od razu nauczono nas nazywać „zającami”, została podzielona na trzy plutony strzeleckie, podczas gdy nas podzielono na trzy drużyny. Z najroślejszych utworzono pierwszą drużynę, średniaków — w tym i mnie — wcielono do drugiej, zaś z najniższych spośród wybranych utworzono drużynę moździerzy, z później dodanym doszkoleniem w broni przeciwpancernej.

Z magazynów plutonowego Marszałka i Kawy pobraliśmy cekaemy i moździerze, broń indywidualną (krótkie karabiny tzw. kbk, typu Mauser, bagnety, nowego typu hełmy, z którymi, jak się miało okazać, nie rozstawaliśmy się ani na jeden

dzień, do samego zakończenia służby wojskowej). Pobraliśmy też czapki wyjściowe (rogatywki) z tzw. orlim piórem, jako że byliśmy dywizją strzelców górskich, a więc wojskiem podhalańskim. Ku naszemu zmartwieniu wyłączone były z pod przydziału peleryny i kapelusze góralskie, z takimż piórem. Ubieraliśmy je tylko na defilady i specjalne uroczystości.

Już od pierwszych dni zaczęło się bardzo intensywne szkolenie. Musztra strzelecka, kroki, szyki, salutowanie, regulamin służby wewnętrznej, no i nauka o broni. Chyba już pod koniec tygodnia pomaszzerowaliśmy ulicą Solną i Bielską, na odległy o około trzy kilometry plac ćwiczeń na Mnisztwie. Odtąd niejedna kropla potu żołnierskiego wsiąkla w ten poligon. Wychodziliśmy w każdą pogodę. Dowództwo pułku odwoływało swoje ćwiczenia ze względu na złą aurę, nas to jednak nie dotyczyło nigdy.

Rygor szkolenia zawdzięczaliśmy komendantowi naszej szkoły, mjr. Antoniemu Michalikowi. Był to człowiek niezwykle surowy tak dla siebie, jak i dla swoich oficerów, nie mówiąc już o nas. Ale dbał z wzorową gorliwością o powierzonych swojej pieczy wychowanków. Nieśtety nie był pedagogiem. Dlatego dopustem bożym były jego inspekcje na placu ćwiczeń. Dopustem dla kadry instruktorskiej a wprost nieszcześciem dla delikwenta, któremu zadał pytanie. Potrafił sformułować je w tak zagmatwany sposób, że nigdy nie wiedziało się, o co mu chodzi.

Zostańmy jednak przy kadrze, bo już ten pierwszy okres, ugruntowany późniejszymi doświadczeniami, pozwolił na zorientowanie się „kto jest kto”.

Prawą ręką komendanta szkoły był szef, sierż. Józef Kolek, lubiący podkreślać, że jest matką kompanii. Był to w zasadzie człowiek dobry, sumiennie wypełniający swoje obowiązki, jednak nie przepadał

my za nim, jako że poziom inteligencji był adekwatny do jego nazwiska. Przeżywalismy go „pipulką”, ponieważ w którymś z rozkazów dziennych, poprzedzających wizytację dowódcy dywizji płk. dypl. Kust-ronia apelował do nas, abyśmy starali zaprezentować się przynajmniej tak dobrze, jak poprzedni rocznik, który od momentu wizytacji stał się „pipulką” tegoż pułkownika.

Plutonem ckm dowodził ppor. Włodzimierz Pochwat, mając do pomocy zastępcę w osobie sierż. Łaciaka. Pochwat, należący do tzw. pistoletów, nigdy nie zaskarbił sobie naszej sympatii.

Jego przeciwieństwem był sierż. Łaciak, żołnierz pierwszy z najpierwszych. Stanowiło satysfakcję służyć pod jego rozkazami, mimo że był bardzo wymagający. Był inteligentny, ale największą jego zaletę stanowiło to, że potrafił budować w nas ambicję bycia dobrym żołnierzem.

Nic dobrego natomiast nie mogę powiedzieć o moim dowódcy drużyny kpr. Drapie. Był to typowy zupak, dla którego nic nie stanowiło przeszkody na drodze do uzyskania upragnionej trzeciej belki.

Dowódca pierwszej drużyny, kpr. Kozak był postacią dosyć bezbarwną, ale nie negatywną, natomiast kpr. Mogilski, który dowodził trzecią drużyną (moździerze) wyrastał ponad swoich kolegów. Cechowało go opanowanie i duża kultura osobista. Był wychowankiem Szkoły Podoficerskiej dla Małoletnich i, o ile pamiętam, pochodził z Nowego Targu.

Z oficerów plutonów strzeleckich zapamiętałem sympatyczną sylwetkę ppor. Juliana Chrzastowskiego, szczególnie jednak por. Smrokowskiego, który, będąc dowódcą pierwszego plutonu, był równocześnie nieetatowym zastępcą mjr. Michalika. Był to człowiek akceptowany przez wszystkich i bardzo lubiany. Nie zapornę jego wykładu na tematy ogólnowojskowe, kiedy obrzucał któregoś z kolegów za złą odpowiedź. Widząc jednak jego zmartwioną minę, śpieszył go pocieszyć, aby się nie przejmował, stawiając za przykład siebie. Dowódca dywizji już niejednokrotnie proponował mu zmianę kapelusza z piórkiem na melonik, a on mimo to

tkwi uparcie w wojsku, zaś władza jakby się z tym pogodziła.

Do łóżek kładliśmy się zawsze w miłym cieple. Gorzej było jednak rano, na pobudkę. Na dwóch dyżurnych wiadrach z wodą tworzył się w nocy znacznej grubości lód. Psu na budę przydawało się nasze jesienne oklejanie szyb cienkimi paskami gazetowego papieru. Zdecydowanie lepsze wyniki dawało podkradanie miału węglowego, którego zmrożone bryły przynosiłmy potajemnie w fartuchach przy okazji przynoszenia obiadu z kuchni pułkowej. Moja funkcja piecowego zwalniała mnie wprawdzie z uczestniczenia w codziennych pracach porządkowych ale za to musiałem — jeszcze przed pobudką — doprowadzić piec do takiego stanu czystości, że służbowy oficer, kontrolując jego wnętrze, nie miał prawa zabrudzić sobie rękawiczki. Oczywiście nigdy nie wyszło to poza sferę teorii.

Jedliśmy strawę z żołnierskiego, pułkowego kotła, ale mieliśmy pewne preferencje. Stanowiły je dodatki. A więc do fasowanego każdego ranka bochenka komiśnego chleba otrzymywaliśmy 1/16 część kostki masła. Do obiadu był dodatek w postaci deseru, który stanowiły dwa świeżo smażone pączki lub kawałek drożdżowego ciasta^o z posypką. Natomiast w każdą popołudniową sobotę dostawaliśmy dodatek w postaci kawałka kielbasy, sera najczęściej w owczej bryndzy. Na smaku tej ostatniej nie wszyscy się znali, więc jej nie jedli. O tyle więcej dostawało się smakoszom, koneserom tego gatunku sera, do których i ja się zaliczałem. Należy jeszcze wspomnieć o cosobotniej przyjemności fundowania sobie w kantynie bulki z masłem i pasztetówką, na co nas było stać, jako że każdy z nas pobierał na dekadę 85 (o ile dobrze pamiętam) groszy zółdu.

29 listopada był zawsze Dniem Podchorążego. W tym dniu składaliśmy na przykościelnym placu (chyba Dominikańskim) przysięgę przy udziale nie tylko naszych rodziców i rodzin, ale również szerokich rzesz cieszyńskiego społeczeństwa. Była to piękna, a nawet wzruszająca uroczystość, zakończona występami arty-

stycznymi kolegów oraz wspólnym obiadem w Domu Żołnierza.

Dzień przysięgi odmienił w jakimś stopniu nasze dotychczasowe wojskowe życie. Definitywnie zakończył się dla nas okres rekrucki, zawsze przecież najtrudniejszy. Otrzymaliśmy możliwość indywidualnego wychodzenia do miasta, naturalnie za przepustką. Nudne już, bo rutynowe i umiejscowione niezmiennie w tym samym terenie ćwiczenia coraz częściej przeżytkane były ćwiczeniami z udziałem pułku, i to na różnych szczeblach dowodzenia oraz takichże kierunkach geograficznych, o wielokilometrowych punktach docelowych. A ja zawsze uwielbiałem chodzić. Zaś ukoronowaniem pierwszej fazy szkolenia były dwudniowe ćwiczenia dywizyjne, w trudnych warunkach ówczesnej ostrej zimy, zakończone w Jasienicy pod Białym Białym.

Na wiosnę zaczęły się ostre strzelania piechotne na strzelnicach w Boguszowicach, a nawet strzelania z broni maszynowej. Odbływały się one w Cisownicy. Z Cieszyna szliśmy piękną doliną Puńcówki, która w swoim górnym biegu, w Lesznej, płynęła w dużym gęstym lesie, o przewadze drzew liściastych, natomiast powracaliśmy drogą przez Goleiszów i Bażanowice. Stanowiska do strzelania zajmowaliśmy na górze Machula, strzelając ponad leżącą w dolinie wsią do tarcz i makiet usytuowanych na stoku Cisa i Goruszki, w tle Małej Czantorii.

Przyszło też wystawianie samodzielnych wart i to nie tylko w obrębie koszar. Mile wspominam całodobowe dowodzenie wartą w lasku boguszowickiej prochowni, pełnym kwietniowych odgłosów wiosny.

Uzyskaliśmy możliwość wyjazdu na urlop. Pierwszy wyjazd nastąpił na Święta Godowe. Poprzedzony był uzyskaniem zezwolenia na noszenie własnego munduru. Kogo więc tylko było na to stać, szły sobie go u Zaręby, cieszyńskiego mistrza wojskowej igły. Tak więc większość z nas, jadąc do domu prezentowała się całkiem nieźle wyjąwszy nasze płaszcze, które nikomu podobać się nie mogły. Natomiast wyjazd na święta wielkanocne poprzedzony został dla znakomitej większości kur-

santów awansem na starszego strzelca z cenzusem, zaś później miały miejsce dwa awanse na kaprała, co wiązało się z podniesieniem żołdu o 50–60 groszy.

Ostatnim znaczącym cieszyńskim wspomnieniem przed wyjazdem na letni obóz były uroczystości trzeciomajowe, zakończone defiladą w Rynku. Pamięć tego faktu mało jednak wiąże się z defiladą a więcej z dniem poprzedzającym święto. Odbył się wówczas wieczorny capstrzyk zakończony zwykle okazjonalnym przemówieniem któregoś z cieszyńskich notabli. Tym razem jednak postanowiono, że zastąpi go nasz wspaniały kolega Jasio Achtelek, wyznaczony może i dlatego, że był prymusem kursu, umiał też mądrze i ze swadą przemówić. Jakaż była jednak konsternacja, gdy okazało się, że Jasio połączył idee trzeciomajowe z pierwszomajowymi i więcej mówił o sprawiedliwości społecznej niż o Konstytucji, która zresztą — jak mówił — tylko dlatego została uchwalona, że nie było szans na jej realizację. Szumu z tego było niemało.

Czwartego maja, a więc w pierwszy dzień po święcie, opuściliśmy Cieszyn. Załadowano nas do wagonów i transportem wojskowym przez Bielsko, Żywiec, Chabówkę zawieziono nas do Nowego Targu, skąd dwunastokilometrowym marszem dotarliśmy do pięknej spiskiej wsi o nazwie Nowa Biała. Oprócz nas skierowano tam też po jednej kompanii z każdego pułku naszej dywizji w celu synchronizacji szkolenia. Było to szkolenie liniowe, do szczebla dowódcy plutonu włącznie. Pobyt na tym obozie wspominam jako jedno wielkie pasmo pięknych przeżyć.

Tam też miał miejsce akt formalnego zakończenia szkoły. Stanęliśmy do egzaminu przed komisją, której przewodniczył dowódca dywizji, płk Józef Kustron i jego zastępca płk. Alojzy Wir-Konas. Miałem szczęście i honor być egzaminowany przez płk. Kustronia, który był nie tylko szanowany ale i powszechnie lubiany tak przez kadrę, jak i żołnierzy.

Zaliczenie egzaminu z pozytywnym wynikiem spowodowało nie tylko otrzymanie świadectwa ukończenia szkoły oficerskiej, ale i oczekiwany tytuł podchorążego,

z prawem noszenia srebrnych galonów na rękawach munduru, zaś 60 kursantom, którzy zaliczyli egzamin z wynikiem bardzo dobrym, przyniosło awans na plutonowego-podchorążego. W taki sposób wkroczyliśmy w oficerską aspiranturę.

Otrzymaliśmy kilkudniowy urlop, z równoczesnym przydziałem personalnym do poszczególnych pułków. Spełniono moje życzenie i przydzielono mnie do 4 psp w Cieszynie.

ŚLUŻBA W PUŁKU

Czwarty pułk strzelców podhalańskich (4 psp), do którego szczęśliwie zostałem przydzielony, był wraz z 1 psp z Nowego Sącza, 3 psp i 21 pal z Bielska — 21 DPG (Dywizją Piechoty Górskiej), z siedzibą w Bielsku. Pułk nasz miał ambicję bycia najlepszym w dywizji i najczęściej skutecznie walczył o tę pozycję z pułkiem bielskim. Nie zawsze mu się udawało, ale zawsze najlepszą w pułku była nasza orkiestra pod batutą kpt. Baranowskiego, kompozytora przepięknego marsza naszej dywizji, którego dzielnie wspierał chor. Kubik, tambormajor orkiestry. Dowódcą pułku był ppłk dypl. Bronisław Warzybok, jego zastępcą ppłk dypl. Stefan Szlaskowski, zaś za najbardziej bojowego dowódcę batalionu uchodził mjr Franciszek Perl, co zresztą z nadadkiem potwierdziła wrześniowa wojna obronna, weryfikując z całą surowością postawy żołnierskie wszystkich jej uczestników.

Swój letni poligon zorganizował pułk w Ludźmierzu nad Czarnym Dunajcem, około trzech kilometrów od Nowego Targu, stolicy Podhala. Nowe tereny, nowa geografia, ćwiczenia wyłącznie na wyższym szczeblu dowodzenia, na kwaterę dla swojego plutonu otrzymałem stodołę pani Krupowej, bliskiej krewnej Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Natomiast w domu Krupowej zlokalizowano kasyno oficerskie. Przedziwne koleje losu spowodowały, że trzydzieści lat później, przemierzając z synem góry — od Krynicy po Jeleśnię — przechodziłem przez przysiółek Brzeżki, należący do Ludźmierza. Wstąpiliśmy w obejście przydrożnego gospodarstwa,

aby napić się wody. Gospodarzem okazał się być człowiek, który jako mały chłopiec biegał do swej ciotki Krupowej podglądać kwaterujące tam wojsko. A to przecież byłem ja i „moje” wojsko.

Wiele pamiętam z tamtego okresu, mojej wojskowej edukacji. Las „do boru”, las „do Grela” i jego trzęsawiska, Krauszów, Piekielnik, Czarny Dunajec z Domajskim Wierchem, Lasek, Klikuszową, w której rodziły się ponoć najpiękniejsze góralki, no i przede wszystkim Nowy Targ, który był niejako pod ręką. Pamiętam kurne jeszcze chaty góralskie Maruszyny czy Miętustwa, do których to wsi docieraliśmy w trakcie ćwiczeń. Boże, co za bieda i niesamowita mieszanina odorów i smrodu. Ale pamiętam też przyjemność kąpieli w Czarnym Dunajcu w pełni lata oraz mile biesiady wieczorne na plebanii u sympatycznego staruszka, którym był miejscowy proboszcz, bardzo nam życzliwy. Wspominam też strzelecki poligon przeciwlotniczy na krauszkowskich mokradłach, gdzie uczylismy się strzelać do powietrznego worka, ciągniętego przez samolot.

Najwięcej jednak satysfakcji dawały wielkie ćwiczenia na szczeblu pułku lub całej dywizji, jako że miejscem zgromadzenia ćwiczebnego pozostałych pułków był rejon Nowego Targu. Ćwiczenia te dawały możliwość sprawdzenia siebie, nabytych umiejętności, swoich sił i wiary w powodzenie tego, czego od nas wymagano, a czego wyniki były tak widoczne i sprawdzalne.

Na największych wtedy ćwiczeniach w tym rejonie miał miejsce fakt, który w jakiś sposób zaważył na moim wojskowym sukcesie. Były to ćwiczenia dywizyjne z postawy wyjściowej w rejonie Klikuszowej, a więc na północ od Nowego Targu. Zadaniem było zajęcie jak najlepszych pozycji w boju spotkaniowym. Przeciwnik siedł od Chochołowa, mając to same zadanie do wykonania. Nie pamiętam, dlaczego wraz z moim plutonem znalazłem się w szpicy całego zgromadzenia, które parło na południe. Jeszcze nigdy nie czułem się tak silny fizycznie, jak wtedy. Prowadziłem pluton w takim tempie, że tylko wielka ambicja nie pozwalała moim żołnierzom na jego zwalnianie, a przecież wielu z nich było wyższych i silniejszych

ode mnie. Nie pamiętam też szczegółów przejścia do boju, dla wsparcia piechoty. Pamiętam jednak, że po minięciu Nowego Targu i Szaflar, mając przed sobą skraj zabudowań Białego Dunajca, przeskoczyłam wraz z plutonem tor kolejowy, by na stoku górki, ze zdobiącym jej szczyt krzyżem (znajduje się tam po dzień dzisiejszy), zając najkorzystniejsze stanowiska. Ponieważ wykonanie mojego rozkazu zajęcia stanowisk wydawało mi się za powolne, doskoczyłem do najbliższego cekaemu, zarzuciłem go sobie na ramiona i biegiem na stok. Jasne, że pozostałe dwa cekaemy musiały dostosować się do rytmu mojego działania. A ponieważ górka była goła, nie zalesiona, moje działanie było widoczne jak na dłoni i to w dodatku dla dowództwa lub rozjemców, którzy gdzieś w tym terenie się znajdowali. Nie miałem możliwości sprawdzenia, ale zawsze byłem przekonany, że to zaważyło na moim przydziale do batalionu mjr. Perla.

Największe przeżycia były jeszcze przede mną.

Zacząło się od wielkich manewrów na Wołyniu, które miały być pokazem siły i sprawności całej polskiej armii. Pod koniec sierpnia cały nasz pułk załadowano do wagonów w Nowym Targu i transportem wojskowym, przy najpiękniejszej pogodzie, przejechaliśmy Chabówkę, Nowy Sącz, Tarnów, Przemyśl i Lwów do stacji Kamienica Polska. Miałem wtedy w plutonie kaprała-rezerwistę. Nazywał się Nawrot. Był to typowy Górnosiłazak, gdzieś spod Wodzisławia, mąż żonie, ojciec dzieciom. Czynną służbę wojskową zaliczył w którymś z miast między Łwowem a Kamienicą i teraz zupełnie nieoczekiwanie dla niego nasz przejeżdżający pociąg pozwolił mu wrócić do czasów jego młodości, sprzed kilkunastu lat. Albowiem wzdłuż toru, na znacznej przestrzeni, ciągnął się teren ćwiczeń, takie jego cieszyńskie Mnisztwo, gdzie zdobywał żołnierskie ostrogi. Był podekscytowany i z trudem ukrywał niemeńskie wzruszenie. Cenilem go zawsze za jego karność, bezpośredniość i poczucie odpowiedzialności, ale od tej chwili zyskał sobie moją całkowitą sympatię, tym bardziej, że nigdy nie opuszczała go pogoda ducha i wrodzony dowcip.

Po wyładunku z wagonów, poprowadzono nas późnym, ciepłym wieczorem do wsi, gdzie rozlokowano na odpoczynek na jakiejś łące, pachnącej suszonym sianem. Mnie zaś wezwano do dowództwa i po niewielkim zaprowiantowaniu rozkazano maszerować do dalekich przedmieść Dubna, gdzie na rzece Ikwie (tej od Juliusza Słowackiego), miałem zorganizować swoim plutonem obronę przeciwlotniczą mostu drogowego i kolejowego. Obrona miała działać od świtu dnia następnego. Zebrałem więc pluton i przy pełni księżyca pomaszerowaliśmy szerołkim, bitym, chyba wapiennym — bo białym — podolskim traktem. Droga prowadziła m.in. przez miejscowość Zahorce, gdzie do istniejącego dużego fortu przylegał mały cmentarzyk wojenny z okresu walk polsko-ukraińskich. Cmentarzyk, oddzielony od fortu drogą, górował nad nim. Zarządziłem postój i odpoczynek. Było jasno i białe. Wrażenie potęgowały groby i głębie cichej, spokojnej nocy. Jedyńie tu i ówdzie zdorożeni żołnierze pochrapywali między grobami.

Przed świtem jeszcze dotarliśmy na miejsce do wsi Straków, którą Ikwa dzieliła na dwie części: ukraińską i czeską. Za Strakowem było już Dubno. Stacjonowaliśmy tam dwa czy trzy dni, niepokojeni przez nikogo.

Ponieważ manewry odbywały się w trójkącie Łuck – Równe – Kowel, po wykonaniu zadania i ściągnięciu nas z placówki mieliśmy sporo do maszerowania.

Manewry kończyły się w niedzielę defiladą w Łucku. Odbierał ją marsz. Józef Śmigły-Rydz w obecności generalicji i attachés wojskowych, akredytowanych w Warszawie. Była to impreza prestiżowa o najwyższym, politycznym znaczeniu, ponieważ w tym czasie sytuacja międzynarodowa była bardzo napięta. Po to, aby dywizja nasza mogła przedefilować przed trybuną, otrzymała swoje kilkadziesiąt minut na ściśle oznaczoną godzinę południową. Po to zaś, abyśmy mogli zdążyć na czas, marsz docelowy do Łucka rozpoczęliśmy o piątej rano. Ponieważ w drodze okazało się, że czasu mamy nie za wiele, dywizja przez pewien czas nie maszerowała, a biegła truchtem. W plan marszu

wmontowano jednak, krótko przed celem, nie dłuższą od godziny przerwę na doraźny wypoczynek, w czasie którego nastąpiło czyszczenie wszelkiego sprzętu, biedek i koni (łącznie z natłuszczaniem im kopyt dla wywołania należnego efektu) oraz przemundurowanie w mundury wyjściowe, które przez cały czas manewrów nosiliśmy w tornistrach.

Łuck był pełen nie tylko wojska, ale i ludzi, przybyłych na to wielkie widowisko. Było to dla nas dodatkowym obciążeniem, ponieważ wzdłuż całej, chyba dwukilometrowej trasy, od wschodnich oplotków po dworzec towarowy szliśmy krokiem defiladowym, a więc na baczność, w tunelu głów i postaci, z karabinami przyciągniętymi do pasa. Pocięliśmy się jednak, że stacja kolejowa i zbawcze wagony są tuż, tuż. Rzeczywistość okazała się jednak mniej różowa. Musieliśmy przemaszerać jeszcze naście kilometrów (a może to było tylko kilka?), by około godziny 18 osiągnąć punkt docelowy, którym była jakaś zamożna, czeska wieś. W czasie marszu byliśmy wszyscy tak zmęczeni, że na własną odpowiedzialność pozwoliłem żołnierzom złożyć tornistry na biedki, sam zresztą robiąc to samo, i w dodatku pozbywając się wcale nie lekkiej saperskiej łopatki. W tejsze wsi dowództwo rozluźniło dyscyplinę, czym byłem mile zaskoczony i już bez pośpiechu, zbiórek i komend wyznaczono nam kwatery i zadysponowano wolny czas na mycie i odpoczynek. Okazało się jednak miało, że worek z niespodziankami, przeznaczonymi na ten dzień, jeszcze nie w pełni się rozwiązał. Chyba po niecałej godzinie luzu zarządzono alarm, ale tym razem na spokojnie, bez wielkiego pośpiechu i poganiania ustawiono wojsko ponownie w kolumnę marszową, zapowiadając konieczność dojścia do stacji Kiwerce, gdzie jeszcze tego samego dnia czekał na nas załadunek do wagonów. Dobrze przed północą osiągnęliśmy cel, nie muszę dodawać, że w stanie najwyższego wyczerpania.

Po załadunku koni i sprzętu przysła kolej na wojsko, a ponieważ zrezygnowano ze zorganizowania służby dyżurnej w czasie transportu, żołnierze momentalnie zasnęli głębokim snem. Ja jednak

byłem na tyle podekscytowany, że na przejazdach stacyjnych zwrotnic budziłem się, kontrolując mimo woli drogę przejazdu. Byłem zaskoczony stwierdzając, że jedziemy przez Łuków, bo jak ten kierunek miał się do Cieszyna, który — jak nam zapowiedziano — mieliśmy jak najszybciej osiągnąć ze względu na zaognienie sytuacji politycznej na polsko-czeskiej granicy? Już jednak rano stwierdziłem, że wszystko jest w porządku, bo właśnie mijaliśmy Radom, by dalej przez Kielce, Tunel, Strzemieszce i Oświęcim dojechać do Dziezdziel. Tu na krótkim postoju nastąpiło maskowanie transportu, by przez Zebrzydowice dotrzeć we wczesnych godzinach popołudniowych do Cieszyna.

W następnych dniach po pełnym odpoczynku zapoznano kadrę z sytuacją polityczno-wojskową na granicy, wydano z magazynów sukienne mundury, ostrą amunicję, aluminiowe blaszki tożsamości i rozdzielono zadania. Otrzymałem rozkaz zorganizowania osłony lotniczej w najwyższym punkcie wzniesienia, położonego na południe od koszar, za tzw. „szubienicznikiem”. Kwaterowałem w jakimś gospodarstwie, gdzie przed domem rosła duża, rozłożysta lipa. Wykorzystałem ją na doraźny punkt obserwacyjny, mając świadomość tego, że w niedalekiej odległości, na wieży kościoła ewangelickiego, znajduje się rozbudowany, właściwy punkt obserwacyjny. Jednak nic szczególnego się nie działo, jedynie nasze karasy przelatywały sporadycznie, naruszając bezkarnie czeską granicę państwową. Mimo to nie brakowało pewnego napięcia, a może tylko ekscytacji. Ale samopoczucie żołnierzy było wspaniałe, objawiające się m.in. skłonnością do żartów i figli.

W jednym z ostatnich dni września otrzymałem informację, że lotniczym korytarzem wlotowym poleci nasz samolot z kurierem na pokładzie i, jak się później okazało, z ultimatywnym żądaniem zwrotu Zaolzia. Rzeczywiście, informacja się sprawdziła i w dwa, trzy dni później rozszedł się lotem błyskawicy komunikat PAT-a, że rząd czeski ultimatum przyjął i drugiego października wojska polskie wkroczą na Zaolzie, po osiemnastu latach swej tam nieobecności.

Od tego momentu każdy dzień, każda jego godzina była dla mnie jednym wielkim świętem. To, co mój ojciec w mundurze polskiego pogranicznika, a później żołnierza, musiał w lipcu 1920 roku oddawać Czechom, przywracał Polsce jego syn w październiku 1938.

A była to macierz nie tylko moich obojga rodziców i ich rozległych rodzin, ale i moja ziemia rodzinna, kraj moich gór, grzybnych lasów, pstrągów w potokach i rzekach. Marzył mi się południowy kierunek marszu: Trzynieć, Łyżbice, Wędrzyna i rodzinna Bystrzyca, z przylegającą do niej ojcowizną Gajdźców w Nydku. A może i dalej — stolica regionu beskidzkiego Jabłonków, słynny, austriacki „wolały Wiedeń”. Jasne jednak było, że są to marzenia nierealne. Aby wejść w posiadanie terenu trzeba iść w głąb kraju, a nie defilować wzdłuż granicy.

Itak się istotnie stało. W ów pamiętny dzień drugiego października 1938, dokładnie o godzinie 14.30 wkroczył na Most Jubileuszowy w Cieszynie mjr Perl na czele swojego II batalionu, a wraz z nim por. Paszkowski, do którego byłem przydzielony ze swoim plutonem. Salutował nas na moście ówczesny szef Sztabu Generalnego, gen. Malinowski w otoczeniu wysokich rangą polskich i czeskich oficerów oraz polskiej władzy cywilnej wysokiego szczebla. Radośnie, a nawet entuzjastycznie witani przez miejscową ludność,

maszerowaliśmy frydecką szosą wprost na zachód, osiągając już w pierwszym dniu rubież rzeki Stonawki w Trzanowicach, które tak blisko związane są z osobą ks. Jerzego Trzanowskiego, ewangelickiego apostoła Słowaczyny, jak określało się wtedy Słowację.

Kwaterę wyznaczono mi w jakimś dworze. Do spania zaproszono w piernaty. Uradowani mieszkańcy okolicznych wsi przychodzili do nas, swoich wyzwolicieli, na krótkie choćby pogawędki. Doszukiwali się wspólnych znajomych. Spotkała mnie też przygoda. Było już późno wieczorem, kiedy idąc drogą wzdłuż Stonawki natknąłem się na wychodzących z nadbrzeżnych wiklin dwóch czeskich żołnierzy, w pełnym uzbrojeniu. Okazali się być zbiegami zza rzeki. Jeden Polak z Jabłonkowa, a drugi Niemiec sudecki. Najmilszą jednak przygodą była możliwość odwiedzenia wujostwa w pobliskim Żukowie oraz jednodniowy wyjazd do Nydku i Bystřicy.

Szczęśliwy czas nie liczy dni. Dlatego też ubywało ich w przyspieszonym tempie, a trzeba było chodzić po ziemi, a nie z głową w chmurach. Czekwały zaplanowane studia. Poprosiłem więc o zdemobilizowanie i już 14 października znalazłem się w Krakowie.

I w taki to oto sposób zakończyłem to, co zaczęło się 21 września 1937 roku, a nosiło imię „wojsko”.

CZY WIECIE, ŻE...?

Twórcą juvenaliów, dzisiejszych im-prez studenckich, był rzymski cesarz Neron. Gdy w 59 roku nowej ery cesarz ukończył 22 lata, zgolił puszystą bródkę i na tą cześć urządził zabawy i uroczystości pod nazwą „Juvenalia”, święta młodo-

ści, bowiem jako *iuvenis* wchodził w szeregi młodych mężczyzn. Osobiście też występował w roli pieśniarza na arenie swego cyrku. W następnych latach juvenalia były powtarzane, a inni cesarze również do nich nawiązywali.

Z harcerstwem zetknąłem się bardzo wcześniej, bo mając zaledwie 7 lat wziąłem udział w spotkaniu ze skautami, które miało miejsce w sali Domu Robotniczego w Stonawie. Było to latem 1928 roku. Skautów, bo tak wtedy nazywano harcerzy, było z ośmiu, a dzieciarni pełna sala. Wszyscy bawiliśmy się doskonale, całe popołudnie. Pamięć tego spotkania przetrwała do dzisiaj, a pierwszy kontakt z harcerzami zaowocował wkrótce utworzeniem 1-szej Stonawskiej Drużyny Harcerskiej im. ks. Piotra Skargi. Świadczy o tym zachowana do dziś „Książeczka zastępowego”, w której pierwszy zapis pochodzi z dnia 1.12.1931 r. Organizatorem i drużynowym był wtedy Antoni Toboła. Razem z nim drużyna liczyła 8 druhów, czyli jeden zastęp. Już pod koniec stycznia 1932 roku ilość członków zaczęła wzrastać, ale prawdziwy rozwój nastąpił w latach 1934—1939. Drużyna liczyła już wtedy 4 zastępy. Drużynowym był Rudolf Stala a jego przybocznym był Włodzimierz Hebda (Włodek). Dzięki jego pomysłowości i niespożytej energii, duch harcerski ogarniał coraz to dalsze kręgi młodzieży. Pod koniec 1936 r. drużynowym został Tadeusz Niemczyk a przybocznym Bronisław Molenda, gdyż Rudolf Stala i Włodzimierz Hebda zaczęli studiować poza Zaolziem.

Tadek Niemczyk był harcerzem z krwi i kości i to dzięki niemu oraz przychylności licznych sympatyków harcerstwa, można było zorganizować obóz letni pod Godulą. Bardzo pomagał również Włodek, chociaż nieoficjalnie.

Ostatnie wakacje 1939 roku miały nam beztrosko. Razem z Tadkiem organizowaliśmy zbiórki harcerskie, wycieczki i ogniska.

Dzień 1-go września wstał słoneczny.

Było już około godz. 8.00, co stwierdziłem patrząc na zegar na wieży kościelnej, odległej o około 1 km, gdy do moich uszu doleciał głos trąbki. Nie ulegało wątpliwości, że to alarm: „Bracia do boju nadszedł czas...”

„Włodek — krzyknąłem do brata — „trąbią na alarm, pędzimy na zbiórkę”!

Wskoczyliśmy na rowery i po kilku minutach byliśmy koło harcówki. Było już tam kilku druhów a inni nadjeżdżali.

BRONISŁAW MOLENDĄ

WRZEŚNIOWY SZLAK

„Jest wojna, Niemcy napadli na Polskę” oznajmił Włodek — „Tadek pojechał zobaczyć, jak daleko jest front”.

Wtem nad naszymi głowami z hukiem przeleciały trzy samoloty z czarnymi krzyżami. Ledwie się oddaliły w kierunku Cieszyna a już spadła na nas wiadomość najgorsza. „Tadek został postrzelony serią z automatu przez brzuch, kiedy na granicy Stonawy i Olbrachcic natknął się na niemiecki patrol. Żyje, ale jest ciężko ranny”. Po krótkiej naradzie podjęliśmy jednoznaczną decyzję: „Jedziemy na wojnę”!

Ustaliliśmy, że wszyscy natychmiast wrócą do domów, aby powiadomić rodziców, zabrać do plecaków najniezbędniejsze rzeczy i szybko wrócić do harcówki. Do wojska pojadą tylko ci druhowie, którzy mają rowery i co najmniej 14—15 lat. Oczywiście wszyscy w pełnym umundurowaniu harcerskim.

Włodek i ja popędziliśmy z powrotem do Kopiec. Rodzice ze zdumieniem wysłuchali naszych relacji, ale ani słowem nie sprzeciwili się naszemu zamiarowi pojechania do wojska.

Na ponowną zbiórkę stawilo się 8 harcerzy: Włodek Hebda, Alfred Putkiewicz, Walter Wygrys, Leopold Bulandra, Władysław Molenda, Bronisław Molenda, Bolesław Duława, Józef Bulandra z tym, że tylko 6 miało pełne umundurowanie. Dwóch najmłodszych, Bolesław Duława i Józef Bulandra miało rowery i plecaki oraz wielką chęć jechania z nami. Trudno było im odmówić.

Było już po godz. 10.00 kiedy wyruszyliśmy w kierunku Frysztatu.

Do Bielska dotarliśmy pod wieczór. Wszędzie było pełno ludzi, ale pytani o wojsko odpowiadali, że będzie się ono wycofywało. O powrocie do domu już nie

mówiliśmy. Stało się dla nas oczywistym, że trzeba szukać noclegu, który znaleźliśmy w jakiejś stodole za Bielskiem. Tak minął nam pierwszy dzień wojny.

Na drugi dzień po naradzie, postanowiliśmy jechać dalej. Decydujący głos miał Włodek jako najstarszy wiekiem i stazem harcerskim.

Kontynuowaliśmy więc naszą wyprawę przez Andrychów, Wadowice i Myślenice w kierunku Bochni. Było już po południu kiedy nadleciało kilka samolotów i rzuciło bomby na Bochnię. Leżeliśmy o kilka kilometrów opodal na jakiejś skarpie. Po nalocie dojechaliśmy do miasta. Bomby spadły na przedmieście. Na drodze leżał nieżywy koń, kilka domów było uszkodzonych ale rynek nie ucierpiał. Kłębiły się tu tłumy ludzi, którzy uciekali przed Niemcami. Było też sporo wojska i sprzętu wojskowego a moje szczególne zainteresowanie wzbudziła potężna 42 mm armata wyprodukowana w zakładach Skoda. Z rozmów z żołnierzami wynikało, że nie ma żadnej linii obrony, wojsko cofa się i lepiej żebyśmy nie zawracali głowy.

Pogoda nadal dopisywała i można było spać byle gdzie, bez przykrycia. Niestety pomagała i Niemcom, gdyż nawet polne drogi były twarde. My ruszyliśmy rano drogą na Tarnów, ale już w południe myśleliśmy o jakimś posiłku. Blisko drogi nie można już było niczego dostać do jedzenia, więc postanowiliśmy odbić trochę dalej i gdy pojawiła się tabliczka informująca, że w lewo droga prowadzi do Rzezawy, pojechaliśmy w tym kierunku. Po chwili wjechaliśmy w nieduży laszek gdzie natknęliśmy się na znaczny oddział wojska.

„No to jesteśmy na miejscu” — pomyśleliśmy zgodnie i wmieszaliśmy się pomiędzy żołnierzy. Przyniesiono nam po kilka sucharów, jakąś wojskową derkę i polecono zacząć. Nagle stanął przed nami Kapelan Harcerstwa Polskiego ks. Kołtuń, który był przez kilka lat wikarym w Stonawie i znał nas wszystkich doskonale. To przecież on śpiewał z nami przy ogniskach, pomagał organizować obozy pod Godulą czy w Dobracicach i z nim, jako jego adiutant, objeżdżałem obozy harcerskie w czasie wakacji.

Zdziwienie ks. Kołtuna nie miało granic. Wypytywał nas o szczegóły naszej wyprawy i o nasze dalsze zamiary. W końcu zamyślił się a potem krótko wyraził swój pogląd: „Do wojska was nie wezmą, bo wszyscy jesteście za młodzi a poza tym wojsko ma własne problemy. To już nie zabawa w podchody i szukanie śladów. Musicie sobie radzić sami”. O powrocie do domu nie wspomniał, a i nam to nie było w głowie.

Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy do bliskiej już Rzezawy. Bliskość wojska dawała nam poczucie bezpieczeństwa a gwarna wioska nadzieję na dobre jedzenie i nocleg.

Gospodyni okazałego gospodarstwa przyjęła nas życzliwie, ale patrząc na osiem wygłodniałych chłopców oświadczyła, że chętnie by nas nasyciła, ale nie ma czym. Pszenica jest w stodole, ale nie wymłócona.

„To my wymłócimy”!

— „Ale trzeba też pomieścić na żarach.”

To my pomielimy!

„Jeśli tak to idźcie do stodoły. Wera pokaż im drogę!”

Młoda, może szesnastoletnia dziewczyna pobięła przed nami. Jej oczy śmiały się do nas wesoło a bujne włosy w lokach fruwały wokół głowy. Po prostu była ładna.

Pomogliśmy jej otworzyć stodołę na oścież i zabraliśmy się do zdejmowania mundurków. Wiedzieliśmy z doświadczenia, jak przy takiej pracy będzie nam gorąco. Pozostaliśmy tylko w spodenkach.

Ułożyliśmy słomę na gumnie i tu konsternacja — do młócenia były tylko dwa cepy. Ale jakie? Na długim drążku był przymocowany właściwy cep, cienki i zbyt długi. Z trudem, lecz dość szybko poradziliśmy sobie z techniką młócenia tymi dziwolągami, a po chwili już równo było słychać „cap, cap, cap”...

To nam się nie podobało, więc mówię do Wery: „Pożycz u sąsiadów jeszcze dwa albo trzy cepy”!

Pobięła chyżo i po chwili zaroilo się koło stodoły. Dziewczyny poprzynosiły kilka cepów, z których wybraliśmy dwa solidniejsze. Do młócenia stanęli Włodek,

Poldek, Wladek i ja. W Stonawie młóciło się wszystko ręcznie, poza kilkoma dużymi gospodarstwami, gdzie już wprowadzono pierwsze maszyny do młócenia.

Nic więc dziwnego, że po chwili rozległo się rytmiczne „po-pe-cyn-ku, po-pe-cyn-ku”! Podglądające nas dziewczyny oniemiały z podziwu. Pierwszy raz w życiu widziały aż czterech młodzieńców, młócających razem w harmonijnym rytmie i w takich skąpych strojach.

Podeszła i nasza gospodyni z dwoma sąsiadkami. Przez chwilę patrzyły i słuchały. Nagle najstarsza z nich spojrzała groźnie na dziewczyny i huknęła: „Skaranie boskie, zabierajcie się stąd! Nie patrzcie na tych golasów”.

Pod wieczór mieliśmy wymłóconych sporo snopków, a pod ścianą stodoły ładny wałek pszenicy. Pozostałych czterech harcerzy kręciło żarnami i też już namieliło spory garnek krupicy.

Gospodyni była zachwycona. Ugotowała w dużym garnku zmieloną pszenicę, całość wylała do dużej miski i zalała gorącym mlekiem. Wymyć i umundurowani siedliśmy na ławach wokół stołu z łyżkami w rękach.

Na drugi dzień rano, po dobrym śniadaniu, wypoczęci i w dobrym nastroju ruszyliśmy w drogę. Kiedy wjechaliśmy w znajomy lasek, zdziwił nas brak wojska, po którym nie było najmniejszego śladu.

„Wojsko znów się wycofało” — Alfred skwitował ten fakt, jak zawsze, z flegmatycznym spokojem. Wyjechaliśmy na krakowską szosę i tu nowe zdziwienie. Nigdzie żywego ducha. Zniknęły tłumy uciekinierów pieszych i zmechanizowanych. Ujechaliśmy może kilometr drogi, gdy za nami rozległ się warkot motocykla, pędzącego na dużych obrotach. Żołnierz jadący na nim lekko przyhamował i tylko krzyknął: „Niemcy są za mną!” Nacisnęliśmy pedały, nasłuchując i spoglądając za siebie, ale nic się nie działo. Tak dojechaliśmy do Sufczyzna.

W tej wiosce mieszkali krewni Włodka, których udało się szybko odnaleźć. Znów na jedną noc mieliśmy zapewniony nocleg w stodole no i pożywienie. Już pożegnaliśmy się z myślą o przyłączeniu się

do wojska, teraz trzeba było przetrwać i nie dać się złapać.

Po drabinie dotarliśmy do pełnego sąsiedka i spokojnie zasnęliśmy.

Wczesnie rano obudziły nas jakieś hałasy. Wujek naszego Włodka stał w drzwiach stodoły i krzyczał: „Uciekajcie, uciekajcie, bo Niemcy są na granicy wiojski”. Zeskoczyliśmy z sąsiedka i w pośpiechu wkładaliśmy na siebie mundurki i buty.

Kiedy po dwóch dniach dojechaliśmy do Biłgoraja, naszym oczom przedstawił się okropny widok. Miasto paliło się. Z domów wzdłuż drogi buchały płomienie, ale nikt nie gasił pożaru. Drewniane domy płonęły jak zapalki. Tłum ludzi przepychał się drogą w stronę Zamościa, który był i naszym celem. Najwięcej było Żydów w ich charakterystycznych strojach. Niektórzy szli piechotą, inni siedzieli na małych wozach z dziećmi i tobołami. Na Zaozlu nigdy takich Żydów nie widzieliśmy, bo na ogół byli kupcami, lekarzami lub adwokatami i niczym nie różnili się od innych mieszkańców poza nazwiskiem.

Był 13 września, z czego nie bardzo zdawałem sobie sprawę, ale w tym dniu Włodek napisał do Milusi swój kolejny miłosny list i stąd ta pewność. Minęło już południe gdy dotarliśmy do Zamościa. Wszędzie pełno uchodźców cywilnych i pojedynczych żołnierzy. Łatwo znaleźliśmy punkt żywieniowy, który obsługiwały młode kobiety wyraźnie zdenerwowane. „Jedzcie i zabierajcie co chcecie, bo likwidujemy ten punkt”.

„Chcemy gdzieś przenocować” — dopytywaliśmy się w nadziei, że nas skierują — na jakąś kwaterę.

„Niedaleko jest budynek sądu — może tam coś znajdziecie”.

Rzeczywiście — kilka ulic dalej stał ogromny gmach sądu. Przez szeroki wjazd dojechaliśmy na duży brukowany dziedziniec, z którego w czterech kierunkach prowadziły bramy do klatek schodowych i korytarzy. Rowery postawiliśmy pod ścianą i skierowaliśmy się do bramy wejściowej z prawej strony. Do góry prowadziły schody na piętra, ale woleliśmy zostać na parterze. Zajęliśmy pokój po prawej stronie korytarza skąd mogliśmy patrzeć na podwórze i nasze rowery.

W tej chwili wpadł do naszego pokoju żołnierz, skoczył do kąta koło okna i postawił tam karabin. „Zamość jest otoczony, nie ma gdzie uciekać!” z tymi słowami wybiegł na korytarz. To była zła wiadomość.

Nagle zobaczyłem jak zza muru wychyliły się dwa hełmy każdy po jednej stronie wjazdu. Skuleni żołnierze kręcili głowami bacznie obserwując okna na dole, potem na piętrach, ale że nic groźnego nie zobaczyli, ruszyli skokami śmiało do przodu a za nimi pędziło już całe mrowie. Rozbiegli się na wszystkie strony, kilku wpadło do naszej klatki schodowej i już było słychać ciężkie kroki w kierunku naszych drzwi, które zresztą zaraz zostały gwałtownie otwarte.

Dwóch żołnierzy skierowało do nas karabiny a jeden z nich krzyknął „Hönde Hoch”. Podnieśliśmy ręce do góry i nastała chwila ciszy. My patrzymy na nich — oni na nas, jakby zdziwieni. W końcu coś poszwandroszyli i jeden wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił z podoficerem i zaczął mu coś tłumaczyć wskazując na nas.

„Quatsch” — krzyknął starszy rangą. — „Pfadfinder, raus” — dodał.

Ruszyliśmy w kierunku drzwi i na podwórze. Sytuacja zaczynała być groźna. Wyszliśmy dwójkami. Włodek i ja na przedzie, — potem Poldek i Włodek, Alfred i Walter a na końcu Bolek i Józef. Ci ostatni od początku byli po cywilu, ale w tej chwili stanowiliśmy wszyscy jedną zwartą grupę. Zauważyliśmy, że Niemcy spędzają na podwórzu również żołnierzy z podniesionymi rękami, których wyluskali z różnych zakamarków tego wielkiego budynku. Postanowiłem pozbyć się straszaka, z którego ani razu nie wystrzeliłem, teraz zaś mógłby mi przysporzyć kłopotów. Nogą wymacałem ruchomą kostkę bruku, ostrożnie ją odsunąłem, w dół położyłem straszak i przykryłem go tą samą kostką. Pozostała niewielka nierówność, ale tym się już nie przejmowałem.

W miarę jak przybywało wojska, wzrastała nasza nadzieja na przeżycie, bo przecież wszystkich nie rozstrzelają. Wtedy nie znaliśmy jeszcze słowa „Freiwillige” i nie uświadamialiśmy sobie jakie konse-

wencje czekają ludzi zakwalifikowanych do tej grupy.

Stawało się oczywiste, że zaliczono nas do wojska i wkrótce to się potwierdziło. Po utworzeniu kolumny z pięcioosobowych rzędów wydano rozkaz do wymarszu. Całej operacji od początku przyglądała się spora grupa miejscowych cywilów, żadnych krwi i trupów. Ci ludzie, gdy tylko zobaczyli, że jesteśmy w niewoli i nie wolno nam niczego zabrać, na naszych oczach rzucili się do rowerów i naszych plecaków. Był to dla nas przykry widok.

Kiedy doszliśmy na rynek w Zamościu już się ściemniało. Staliśmy w pierwszym szeregu, tuż przed schodami z lewej strony. Wokół nas widzieliśmy wielkie ilości naszych żołnierzy. Rozmawiali i jakoś nie wyczuwało się obawy przed niewolą. Jeszcze nie zdawali sobie sprawy z tego, w czyje ręce się dostali. W pewnej chwili zbliżył się do naszej grupki młody żołnierz niemiecki, chyba obeznany z widokiem harcerzy. Na jego twarzy widać było zmęczenie i grubą warstwę kurzu, ale oczy patrzyły przyjaźnie.

— Skąd wy jesteście? — zapytał po niemiecku.

— Ze Śląska — brzmiała nasza odpowiedź.

— Tak? A jak się tu znaleźliście?

— Przyjechaliśmy na rowerach, a teraz wszystko straciliśmy i jesteśmy w niewoli.

— Kiedy wyjechaliście ze Śląska?

— Pierwszego września!

— I już tu dojechaliście? My jedziemy na motocyklach i samochodach i też dopiero dzisiaj jesteśmy w Zamościu!

Południe już minęło, gdy podjechały duże budy i zaczęto do nich upychać jeńców. Zostało nas harcerzy tylko sześciu, bo najmłodszych jako cywilów zwolniono, więc staraliśmy się trzymać razem i tak dostaliśmy się na jeden z samochodów.

Byliśmy już teraz jeńcami wojennymi w pełni tego słowa znaczeniu, jako harcerze. Rogatywki na głowach, bluzy, chustki, sznury i krzyże harcerskie na piersiach nie budziły najmniejszej wątpliwości kim jesteśmy, poza tym jednym przypadkiem, gdy biorący nas do niewoli żołnierze w Zamościu zgłupieli, biorąc nas

prawdopodobnie za „hajotów”. Niemniej nasze umundurowanie nie dawało najmniejszych szans na zwolnienie z niewoli o czym mieliśmy się wkrótce przekonać.

Drogę z Łańcuta do Tarnowa odbyliśmy piechotą. Długa kolumna wojska, idąca od frontu pod eskortą, wzbudzała zainteresowanie. Ludzie przystawali i patrzyli ze współczuciem. Zdarzyło się, że na odludnym odcinku drogi od oddalonego domu oderwała się postać dziewczęcia w białej sukience, biegnąca w naszym kierunku. Przy drodze znalazła się chwilę później!

— „Och, harcerze, jacy młodzi” — i w geście żalu skrzyżowała na piersiach ramiona z zaciśniętymi pięściami.

Uśmiechami podziękowaliśmy jej za współczucie, ale ani na chwilę nie mogliśmy się zatrzymać.

Nadszedł wieczór, potem noc a my szliśmy dalej. Zmęczenie dawało się już mocno we znaki. Tak samo jak inni żołnierze chwyciliśmy się pod ramiona, żeby nie upaść. Wtedy pierwszy raz idąc, spałem. Była już późna noc gdy dotarliśmy do Tarnowa. Tu miejscem postoju była wielka szkoła z przylegającym boiskiem. Było już tam przed nami dużo wojska. Pod ścianą przylegającą do boiska, piętrzyła się masa niemieckich pojazdów, uszkodzonych w czasie walk. Widok ten ucieszył nas bradzo, — bo nareszcie mieliśmy dowód, że jednak Niemcy ponoszą jakieś straty. Wybraliśmy niezniszczone szoferki i jako tako urządziliśmy sobie kwatery.

Wieczorem wyprowadzono dwie kolumny wojska na dworzec w Tarnowie, gdzie nas załadowano do krytych bydłych wagonów. Kierunek jazdy był niewiadomy, bo nic nie widzieliśmy na zewnątrz. Późną nocą pociąg wtoczył się na dworzec, który szybko rozpoznaliśmy. Był to Kraków. Po peronie uganiał się na rowerze oficer niemiecki i ponaglał wachmanów do formowania z jeńców kolumny marszowej.

Głód, zmęczenie, głęboka noc — to wszystko dawało znać o sobie. Trzymając się pod ramiona w półśnie przebieraliśmy nogami, idąc krok za krokiem. Szliśmy tak już długo, kiedy w końcu dotarliśmy do obozu jenieckiego w szcze-

rym polu, przylegającym do kilku chałup. Niemcy ogrodzili drutem kolczastym duży teren, na którym zgromadzili już nie setki lecz tysiące jeńców. Widoczne w oddali murowane budynki były kiedyś koszarami w Kobierzynie.

Cały czas stanowiliśmy grupkę sześciu harcerzy i to chyba przyczyniło się do tego, że zostaliśmy zauważeni. Szybkim krokiem przesuwaliśmy się pomiędzy jeńcami młody człowiek w schludnym polskim mundurze. Kiedy nas mijał przystanął i bardzo zdziwiony zaczął wypytывать jak się dostaliśmy do niewoli, skąd jesteśmy i dlaczego nas dotychczas nie zwolniono.

— „Chodźcie ze mną — musicie się stąd wydostać, bo jeńcy będą transportowani dalej na zachód i będzie coraz gorzej”.

Podprowadził nas pod nieduży budynek bliżej zabudowań i powiedział krótko:

„Czekajcie tu na mnie, choćby to trwało długo”. — „Nie zapomnę o was, ale jeżeli stąd odejdziecie, to was już nie odnajdę”.

Staliśmy teraz, podpierając ściany i spoglądając w kierunku zabudowań za którymi zniknął ten polski oficer bez dystynkcji, ale niewątpliwie pełniący jakąś ważną funkcję, a swoją postawą i sposobem bycia, zdradzający wysoką inteligencję.

Czas oczekiwania skracaliśmy sobie domysłami co nas czeka. W sercach tliła się nadzieja na zwolnienie, ale czy do tego dojdzie?

Było już chyba około trzeciej po południu, gdy zobaczyliśmy zmierzającego do nas znajomego polskiego oficera (tak go nazywaliśmy) w towarzystwie krępego, nie wysokiego starszego niemieckiego oficera. Na barkach miał narzucony płaszcz wojskowy, którego poły dynały w takt szybkich kroków. Na głowie czapka. Gdy znaleźli się koło nas, nasz oficer, jak się okazało tłumacz, zaczął przekonywać komendanta obozu, bo to on był osobiście, o konieczności zwolnienia nas z niewoli jako młodocianych i nie mających nic wspólnego z wojskiem. Niemiec słuchał uważnie a jego wzrok taksował nas od stóp

do głów. Coś tam pogadał ale zapamiętałem, że padło słowo „Freiwillige”.

„Nein, nein” — zaprzeczył Wladek a tłumacz jeszcze dorzucił kilka zdań, w których przewijało się słowo „Ausflug”.

Teraz ważyły się nasze losy. W końcu komendant obozu wyciągnął notes i ołówkiem napisał na kartce kilka słów, kartkę podał tłumaczowi i patrząc na nas wypowiedział słowa, których nigdy nie zapomnę.

„Gerade nach Haus” a podnosząc rękę z wycelowanym palcem w skroń dodał:

„Oder puk”!

Gest i słowa były tak jednoznaczne, — że nie budziły żadnych wątpliwości. Tłumacz podprowadził nas do budki przy bramie, podał kartkę strażnikowi i po chwili brama stała dla nas otworem. Podziękowaliśmy naszemu wybawicielowi i szybkim krokiem ruszyliśmy do domu, który był jeszcze tak daleko. Radość jaka rozpieła nasze piersi i serca, została nagle zgaszona. Obok nas zatrzymała się ciężarówka a żołnierz siedzący w szoferce kazał wejść do góry. Byliśmy zbyt blisko obozu, żeby się sprzeciwić. Gdy ciężarówka ruszyła patrzyliśmy aż obóz zniknął nam z oczu. Gdy to nastąpiło kilka pięści zaczęło bębnić po dachu szoferki aż kierowca zatrzymał pojazd. Szybko zeskoczyliśmy a wskazując kierunek południowy mówiliśmy, że tam jest nasz „Haus”.

Dobrze pamiętaliśmy czym się kończyło takie podwożenie spotykanych po drodze nie tylko żołnierzy ale i cywili. Wszyscy lądowali w najbliższym obozie. Żołnierz machnął ręką i odjechał. Może rzeczywiście chciał nam tylko zrobić „grzeczność”. Ruszyliśmy polnymi drogami, byle dalej od obozu i szosy.

Nie mieliśmy żadnej wątpliwości, że wolność a może i życie zawdzięczaliśmy temu tłumaczowi, który 23 września 1939 roku spowodował nasze wyjście z obozu.

Nastaly dla nas teraz dobre czasy. Byliśmy pierwszymi umundurowanymi, którzy szli od frontu. Ludzie wypytywali nas o stan wojny, gościli i udzielali noclegu. Maszerowaliśmy dwójkami w pełnej gali, więc robiliśmy bardzo dobre wrażenie.

Byliśmy już dwa dni w drodze, ale nigdzie nie natknęliśmy się na Niemców. Dwudziestego piątego pod wieczór doszliśmy do Wadowic, od strony północnej. Trzeba było pomyśleć o wieczery i noclegu. Weszliśmy do pierwszego okazałego domu. Przyjęto nas bardzo gościnnie, ale w trakcie wieczery gospodarze zaczęli przejawiać obawy czy aby uda nam się przejść przez Bielsko w mundurkach harcerskich. Uradziliśmy wspólnie, że trzeba się przebrać do cywilnych ubrań i jak najdalej ominąć centrum Bielska. Na drugi dzień rano już jako cywile wyruszyliśmy w drogę.

Rzeczywiście Bielsko i okolice to już był inny świat. Pomimo, że byliśmy daleko od centrum, nagle zobaczyliśmy przed jakimś budynkiem SA-mana z karabinem na warcie pod niemiecką flagą. Spojrzał zdziwionym wzrokiem, ale nie zareagował na grupkę „obdartusów” — bo tak możnaby nas teraz określić.

Ominęliśmy Cieszyn od północy i wyszliśmy na wzgórze Kaczyc i Pogwizdowa. Przed nami rozciągała się dolina Olzy, a za nią wzgórze w Stonawie i nasz Kopiec. Było już dobrze po południu, więc, jak zawsze weszliśmy do obszernego gospodarstwa prosząc o coś do jedzenia. Tym razem gospodyni spojrzała na nas nieprzychylnym okiem, ale zaczęła kroić chleb i do kubków nalewać mleko. Rzeczywiście, teraz nie byliśmy już harcerzami, ale włóczęgami, których było się trzeba bać.

W Łakach była na Olzie „Ława” czyli masywna kładka, prawie mostek. Teraz byliśmy już jak w domu. Postanowiliśmy wstąpić do Wygrysów, było to po drodze, chociaż Walter pozostał dzień wcześniej u swoich krewnych koło Cieszyna, to na pewno ucieszą się jego rodzice, że idziemy z dobrą nowiną.

Rzeczywiście radość była ogromna a opowiadaniom o naszych losach nie było końca. Nie śpieszyliśmy się, chcąc doczekać zmroku, bo należało zachować środki ostrożności.

Wladek i ja mieliśmy do przebycia około 2 kilometrów do domu, częściowo przez las, częściowo polami. Było już ciemno, gdy wyszliśmy na ostatni, prosty odcinek drogi, prowadzącej prosto do nasze-

go domu, który jak czarna bryła zamajaczył na tle nieba. Jeszcze chwila i stanęliśmy przed drzwiami wejściowymi. Wszędzie panowała cisza. Nawet pies nie zaszczekał. Przez oszklone drzwi zobaczyłem palącą się w sieni benzynkę, pamiątkę dziadka z kopalni. Od lat zapalał ją wieczorem i stawiał w kąciку sieni pod drzwiami na tył domu. Wszystko było więc normalne.

Nacisnąłem klamkę i załomotałem drzwiami.

— „Kto tam” — Mama stała na końcu sieni i patrzyła z niepokojem w stronę drzwi wejściowych.

„To my” — odpowiedziałem niezbyt głośno.

„Kto” — niedosłyszała lub niedowierzała.

„No my”!

Teraz już biegiem podeszła do drzwi i szybko, jak mogła, przekręciła klucz w zamku.

„Chłopcy przyszl!” rzuciła za siebie i już się z nami witała.

W kuchni byli wszyscy. Dziadek,

siostra i ojciec, który jeszcze nie wyjechał do pracy na nocną zmianę. Nigdy u nas nie okazywano jakichś wielkich czułości, więc i teraz radość z naszego powrotu była widoczna tylko w załzawionych oczach Mamy i siostry. Dziadek kiwał głową a ojciec patrzył, jakby jeszcze nie dowierzał, że to my.

Oczywiście zaraz zabraliśmy się z Władkiem do krupicznika leżącego na stole i chaotycznie zaczęliśmy opowiadać o swoich przygodach. Teraz też dopiero dowiedzieliśmy się, że Tadek już nie żyje. Zmarł 3-go września w szpitalu w Bielsku. Był na naszym terenie pierwszą ofiarą wojny. Całą naszą grupę harcerzy też już oplakiwano jako rozstrzelanych, gdzieś w polach koło Katowic. Różne, nieraz sprzeczne wiadomości o naszej śmierci krążyły po Stonawie, przyprowadzając bólu naszym rodzicom.

A tu taka niespodzianka, wróciliśmy cali i zdrowi i do tego wszyscy, tak jak wyjechaliśmy 1 września 1939 roku, po 26 dniach tułaczki.

SENTENCJE

Deklamowanie wzniosłych słów budzi nieufność a nawet podejrzenie.

(Ryszard Świerkowski)

★ ★ ★

Jednym ze znamion dobrej kultury jest czasem postępować wbrew samemu sobie, wbrew własnemu interesowi.

(Karol Irzykowski)

★ ★ ★

Na polu, na którym są pagórki, nie opowiada się tajemnic.

(żydowskie — Aleksander Drożdżyński)

★ ★ ★

Lepszy uczciwie wymierzony policzek, niż fałszywy pocałunek.

(żydowskie — Horacy Safrin)

★ ★ ★

Podarek daje się, by kogoś sobie zjednać, jałmużnę — by kogoś się pozbyć.

(żydowskie — Horacy Safrin)

Zostałam aresztowana w Ustroniu w 1940 roku. Potem było więzienie i przyjazd do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Otrzymałam numer 3643 i wyrok: dożywocie. Przez pięć lat marzyłam o zwolnieniu i bałam się, że gdy to nastąpi, zwariuję z radości. I może dobrze się stało, że nie od razu przyszła ta wolność.

Ravensbrück leży w Maklemburgii, jest oddalony około 80 kilometrów od Berlina. Był tam jedyny obóz koncentracyjny dla kobiet. Od 1939 do 1945 roku przeszło przez obóz 132.000 kobiet i dzieci, w tym 40.000 Polek, z których przeżyło tylko 8.000. W roku 1941 dobudowano obóz dla mężczyzn, w którym było 12.000 więźniów.

Wiosną w 1945 roku zbliżał się do nas front radziecki, a z drugiej strony aliancki. W nocy słychać było bombardowanie Berlina i widziałyśmy łuny na niebie. Wzrastała nadzieja, ale i obawa, czy wyjdziemy wolne. Według pogłosek, w razie zbliżania się frontu obóz miał być wysadzony w powietrze.

Tymczasem od pierwszych dni kwietnia 1945 roku działo się coś niezwykłego. Stare kobiety, które po selekcji umieszczono w tzw. *Jugendlager* mieszczącym się poza obozem i systematycznie gazowano, wróciły do naszego obozu. Nigdy nie zapomnę tego marszu ludzkich cieni, które powoli wlokły się od bramy obozowej do bloków.

Z początkiem kwietnia wyszedł z obozu pierwszy transport 100 Francuzek, przebranych w cywilne stroje. Wśród nich była jedna Polka, przywieziona do obozu jako *Sonderhaftling* (więzień specjalny), Karolina Lanckorońska. Wywieziono je autokarami do Szwajcarii. Potem wyjechały dalsze Francuzki, Norweżki, Belgijki i Holenderki (już tylko w obozowych ubraniach). Koleżanki pracujące poza obozem widziały samochody Czerwonego Krzyża. A co będzie z nami, Polkami?

W niedzielę zawołały mnie po pracy koleżanki, bym zobaczyła auto Czerwonego Krzyża stojące na dziedzińcu rewiru. Pobiegłam i widzę na własne oczy stojącego mężczyznę z opaską Czerwonego Krzyża, a przy nim naszego komendan-

WŁADYSŁAWA SIKORA

AKCJA HRABIEGO FOLKE

ta obozu, Suhrena. Do karetki wnoszą chore z rewiru. Słyszę, jak komendant zwraca się do więźniarki ze słowami: *vorsichtig*, co znaczy ostrożnie. Nie mogłam uwierzyć! Ten okrutny człowiek, który nas bił i był wielkim postrachem, teraz mówi, by nieść chore ostrożnie?

Wypędzono nas z ulicy obozowej i karetka odjechała. Wieczorem rozmawialiśmy z polską koleżanką, też więźniarką, lekarką Zosią Adamską. Niemiecki lekarz rewirowy kazał jej spisać Polki chore, które przetrzymają transport 48 godzin. Nie chciała się zgodzić, bo w tym czasie słowo transport znaczyło śmierć lub wywóz do innego, gorszego obozu. Wszystkie broniły się, lecz Niemiec zapewniał, że to dobry transport. W nas znowu wzrastała nadzieja. A może i nas wyzwolą?

Kilka dni potem blokowe (więźniarki kierujące blokami) otrzymały polecenie, że 25 kwietnia Polki nie pójdą do pracy. Codziennie po apelu liczebnym ustawialiśmy się do apelu roboczego. Rozkaz obejmował tylko część polskich bloków, mojego nie. Pracując widziałam z daleka przez otwarte drzwi wielki ruch na głównej ulicy obozowej. Podeszła do nas dozorczyń, a ja odważyłam się jej powiedzieć, że my, Polki, będziemy wyzwolone przez szwedzki Czerwony Krzyż. Usłyszałam od niej słowa: „Sikora i ty jesteście takimi głupcami, że wierzysz w Czerwony Krzyż? Czy ty wiesz, dokąd te tłumy pojadą?”. Po jej odejściu moja towarzysząca pracy, Bronka Gomoła, która pochodziła z Opola i nie miała na czerwonym trójkącie litery „P”, chociaż była gorliwą Polką i za to była aresztowana wraz z całą rodziną, sprowokowała mnie, bym uciekła tylnymi drzwia-

mi i zobaczyła, co się tam dzieje. Koleżanki, które miały nocną zmianę, ucieszyły się na mój widok mówiąc, że mnie już zapisały. Musiałam się niepostrzeżenie dostać do czterdziestoosobowej grupy Polek stojących na ulicy. Zapisano tam po 40 osób i transportowano do niedawno ewakuowanego męskiego obozu.

Było tam nas około 4.000 Polek. Czekaliśmy kilka godzin bez jedzenia i picia. Potem dozorcynie kazały zerwać czerwone trójkąty — oznaka więźniarek politycznych — i nasze numery naszyte na więziarskich ubraniach. Ustawione piątkami pomaszrowaliśmy przez główną ulicę naszego obozu. Przed kuchnią dano nam paczkę żywnościową. W kwietniu Czerwony Krzyż przysyłał do obozu paczki, które po napełnieniu SS-magazynów, częściowo rozdawano więźniarkom. Przechodzimy przez bramę i maszerujemy pod eskortą dozorczyń, jak zwykle z psami, trzykilometrową trasą na stację kolejową w Fürsterberg. Stał tam długi towarowy pociąg. Miny nam zrzedły. Gdzie tu Czerwony Krzyż? Ładują do każdego wagonu po 80 osób. Na pewno bydło miałoby więcej miejsca niż my. Stałam przy małym okienku i widzę z radością na peronie stojącego obok mężczyzny z opaską Czerwonego Krzyża naszą główną dozorczynię Binz. Nadzieja! A może to jednak transport Czerwonego Krzyża?

Jedziemy. Po kilku godzinach pociąg staje. Próbujemy otworzyć drzwi. Wychodzimy. Co za radość! Nie ma dozorczyń! Jest tylko jeden SS-man, który ma nasze spisy nazwisk i siedzi razem z maszynistą. Na lokomotywie napis: „Nach Lübeck” tzn. do Lubeki. Lokomotywa odjechała, a my stoimy w polu. Jest wiosna. Wszędzie zielono. Po raz pierwszy od pięciu lat siedzę na trawie! Dotykam jej obiema rękami. Przedsmak wolności. Już nie ma zniechęconego czerwonego pyłu, którym były wysypane obozowe ulice, nie ma muru i drutu kolczastego. Tylko tak bardzo mężczy pragnienie.

W obozie w tym dniu już nie było chleba. Mamy paczkę Czerwonego Krzyża. Ale tam są konserwy, które trzeba jeść bardzo ostrożnie, by nie zaszkodziły na wygłodzone żołądki. Przyjechała lokomo-

tywa i jedziemy dalej. Nadchodzi noc. Zimno, ciasno. Za mało miejsca, by się położyć na podłodze. Jedna opiera się na drugą. Lokomotywa znów odjeżdża, a my stoimy w dzień i w noc.

Najgorzej było z sprawą potrzeby fizjologicznej. Mój ciągle przeziębiony pęcherz wymagał częstego oddawania moczu. W nocy, w czasie postoju pociągu wychodzę z koleżanką z wagonu, a tu pociąg rusza. Nie zdążyliśmy wejść do swojego. Wdrapałyśmy się na schodki. Tak uczepione, bardzo zmarzniete i umęczone, jechałyśmy kilka godzin. Trzeba było rozmawiać, by nie zasnąć, bo znajdźmy się pod kołami. Wreszcie pociąg staje i idziemy do naszego wagonu. Koleżanki przywitały nas radośnie, bo myślały, że już po nas. Można by uciec, ale dokąd? Przecież jesteśmy w obozowych pasiakach albo w cywilnych sukienkach, na których są namalowane z przodu i z tyłu szerokie olejne pasy. Wszędzie Niemcy, więc któż nam pomoże? Raz prosiłam w pobliskim domu o wodę. Dali nam, ale patrzyli nieprzyjaźnie. Czasem można było zdobyć trochę wody przy lokomotywie. Ale spragnione kobiety tak się pchały, że jedna drugiej wylewała.

Po kilku dniach pociąg stanął w lesie. Przed nami była szosa, przez którą przejeżdżały cofające się wojska niemieckie. Groza! A może nas tu przywieźli, byśmy osłaniały odwrót wojsk niemieckich! W lesie zamaskowane koszary. Żołnierze niemieccy mówią nam, że tu jest bardzo niebezpieczne miejsce. Jedna iskra, a wszyscy wylecimy w powietrze. Znowu stoimy, bo nie ma lokomotywy. Zmęczone, spragnione i głodne. Jedne płaczą, inne się modlą. Zmuszamy jadącego z nami SS-mana, by dzwonił po naszą lokomotywę. Przewoziła ona transporty wojskowe. Wreszcie jedziemy. Po drodze widzimy zbombardowane pociągi Czerwonego Krzyża, słyszymy wybuchy i strzały. Po trudnych sześciu dniach dotarł nasz pociąg do Lubeki. Tam dano nam skwaśniałe kakao. Za to wspaniała wiadomość! Przejmuje nasz transport Polek Szwedzki Czerwony Krzyż i jedziemy przez Danię do Szwecji. Jedziemy jeszcze tym samym pociągiem. Nieopisana radość. Ze skrawków

białych i czerwonych robimy chorągiewki i machamy nimi do uśmiechających się do nas Duńczyków. Pociąg jedzie wolno, a oni już wiedzą, że pasażerkami są Polki z obozu koncentracyjnego. Jeszcze czasem widać żołnierzy niemieckich, ale już bez dawnej buty, a Duńczycy mówią do nas: *Hitler kaput*.

Wczesnym rankiem dojeżdżamy do stacji Padeborg. Pociąg staje. Jesteśmy bardzo wzruszone. Wita nas ksiądz. Panowie w mundurach Czerwonego Krzyża dostawiają do wysokich wagonów schodki, by łatwiej było zejść. Niektóre boją się widząc mundury. Wszędzie uśmiechy i zapewnienia, że nic się nam już złego nie stanie. Prowadzą nas do pięknego pulmanowskiego pociągu. Miękkie pluszowe poduszki, wygodne siedzenia, dużo miejsca. A my, szare, niemyte, bardzo brudne, nie możemy uwierzyć, że to prawda. Przyносят nam zimne mleko i bułki (w Danii i w Szwecji pije się zimne mleko). Jakie wspaniałe! Resztę Polek przeprowadzono do przejściowego obozu, by potem wysłać do Szwecji.

Nasza grupa wsiadła w Kopenhagę na szwedzki statek. Tu, w ładnej jadalni, jem po raz pierwszy po pięciu latach prawdziwy obiad. Do jadalni wchodziły panie jednymi drzwiami, a potem wychodziły innymi. Był taki ścisk, że nasza służba obozowej konspiracyjnej drużyny harcerskiej „Mury” musiała utrzymywać porządek. Służbę tę pełniliśmy w czasie całej naszej trudnej podróży. Po pewnym czasie pyta nas szef statku, ile nas jest? Odpowiadamy, że około 250. Na to on, że wydano już 300 obiadów, a jeszcze ciągle chodzą. Wy tłumaczyliśmy, że jesteśmy wygłodzone i niektóre, widząc że nie ma kontroli, jadły dwa razy.

Statek dopłynął do Malmö. Wysiadamy witane przez zebranych na lądzie Szwedów. Niektóre mogły iść same. Inne trzeba było prowadzić, a chore nieść. Czekaliśmy na nas podstawiony pociąg. Nieopisana radość! Pierwszego maja jesteśmy na wolnej szwedzkiej ziemi. Pociąg zatrzymuje się na stacji Lund. Otrzymujemy kartki z pięknym tekstem przywitania i instrukcją, że nie wolno samej opuszczać pociągu. Przed wagonami widać panie i panów

z napisem „tłumacz”. Byli to Polacy, którzy zaraz nauczyli nas szwedzkiego okrzyku *Sverige skall leve*, tzn. niech żyje Szwecja. Wszystkie wykrzykujemy z radością. Po kilka osób, prowadzone przez Szwedów, wchodzimy do stojącego obok budynku. Kiedy to wspominam, myślę o dwóch tak różnych przeżyciach.

Przybycie naszego transportu do obozu Ravensbrück w 1940 roku. Wprowadzono mnie do przedsiönka baraku, w którym była łazienka, i tam, wśród krzyku dozorczyń, szczekania psów rzucali się na mnie jak szakale zdzierając ze mnie wszystko i nago wrzucali do łaźni. Kąpiel i obozowe pasiaki. To było odczłowieczenie! Odtąd musiałam stać się tylko numerem 3643.

A teraz, w wolnej Szwecji, nastąpił powrót do człowieczeństwa. Wszędzie przyjazny uśmiech. Też odbierają wszystko, ale powoli, powoli pomagają się zbierać. Tylko listy i jakieś drobiazgi można włożyć do koperty z nazwiskiem. W łazience szwedzka siostra pomaga mi się myć. I znowu naga mam wejść do pokoju, gdzie jest komisja lekarska. Potem idę we wskazanym kierunku długim korytarzem. Półprytomna ze zmęczenia i wrażeń widzę dużą salę, na środku której jest piękny basen z niebiesko-zieloną wodą. I teraz przeraziłam się. Mam się w tym basenie kąpać? Dlaczego? Czy ja jestem normalna? Czy to może sen? Rozglądam się. Prawa strona sali cała oszklona. Na końcu widzę jakieś panie. Spoglądam w lewo i widzę amfiteatralne schody i wołają mnie jakieś panie. Tam były poukładane potrzebne nam części garderoby: bielizna, sukienki, buty, pończochy, przybory toaletowe. Przechodzę jak przy taśmowej robocie. Na końcu, w butach, ubrana w ładną niebieską garsonkę, mam grzebień i spinki do włosów. Dzięki Ci, Panie Boże! Jestem znowu kobietą, jak przed pięciu laty!

Dołączyłam do pań, które widziałam na końcu tego krytego basenu, bo to były moje już przebrane koleżanki. Potem zawożono nas karetkami pogotowia do szkół. W opróżnionych klasach były na ziemi sienniki, koce i papierowa bielizna pościelowa. Szwedzi bali się chorób i zaraz ją palili. Szwedzkie studentki, pracujące

przy rozmieszczaniu nas w klasach, prosiły te, które znały język niemiecki, o pomoc w zapisywaniu naszych nazwisk. Zgłosiłyśmy się. Dopiero po północy, bardzo zmęczone, ale szczęśliwe położyliśmy się na szeleszczącym sienniku bez obawy, że nas obudzi syrena, pewne, że nie będzie komina krematoryjnego i wydobywającego się z niego straszego płomienia.

Pod dwumiesięcznej kwarantannie byłam znowu wolnym człowiekiem. Gościnna ziemia szwedzka wyzwoliła liczne rzesze więźniów, leczyła, karmiła i po częściowym odminowaniu Bałtyku umożliwiła powrót do swoich. Była to akcja hrabiego Folke Bernadotte, kuzyna króla szwedzkiego, dyplomaty, działacza Czerwonego Krzyża. W trakcie pertraktacji z Himmlerem, bez wiedzy Hitlera, uzyskał on zezwolenie na wywiezienie z obozów koncentracyjnych więźniów. Akcję tę opisał hr. Folke Bernadotte w książce, wydanej w roku 1946 w języku szwedzkim pt. *Stutet*. Tłumaczenie w języku polskim nosi tytuł *Koniec Trzeciej Rzeszy*.

Niedawno wróciłam z Niemiec, z uroczystości 50. rocznicy wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, na którą przyjechały liczne rzesze byłych więźniarek i byłych więźniów z różnych krajów. Baraków już nie ma. Przednia część obozu jest Miejsmem Pamięci *Mahn — und Gedenkstätte*. Jest część muru poświęcona różnym narodowościom, krematorium, ściana śmierci, gdzie rozstrzelano przeważnie Polki, a w bunkrze, miejscu kaźni i tortur, znajduje się Muzeum. Nad jeziorem Schwedt-See na wysokim cokole jest pomnik przedstawiający wychudzoną więźniarkę niosącą swą zmarłą koleżankę.

Na zakończenie podniosłych ekumenicznych uroczystości wszyscy podeszli nad brzeg jeziora. Jest ono grobem zmarłych i pomordowanych naszych koleżanek, bo tu wrzucano popioł ich spalonych w krematorium ciał. Fale jeziora pokryły się kwiatami.

Od Polek piękne białe i czerwone paki róż...

CZY WIECIE, ŻE...?

Najwyższą górą w naszym planetarnym Układzie Słonecznym jest prawdopodobnie wygasły wulkan Olympus Mons na Marsie. Wysokość góry wynosi 25 tysięcy metrów (25 km), zaś jej średnica u podstawy blisko 600 km. Na Ziemi wulkan tej wielkości załamałby się pod własnym ciężarem, natomiast mniejsza grawitacja na Marsie pozwala na utrzymanie gór o takich wysokościach.

★ ★ ★

Zwyczaj zasłaniania twarzy młodej panny welonem w czasie ślubu pochodzi ze starożytnego Rzymu. Miało to ją ustrzec przed złymi duchami. Modę na biały kolor dla młodej panny wprowadziła angielska królowa Wiktorja (żyjąca w latach 1819—1901), ponieważ kolor ten symbolizował czystość i dziewictwo oraz miał dar odpędzania złych duchów. Królowa pilnowała też, aby jej potomstwo nie zawierało ślubów w maju, gdyż w czasach pogańskich był to miesiąc kultu płodności i dzikich orgii.

...póki by się fundamenty w proch nie rozsypały
a dom nie zamienił w gruzy chwastem porosłe.

ZOFIA KOSSAK

W kwietniu 1945 roku, gdy przewaliły się już wszystkie wojska radzieckie, byłam z mamą (Zofią Kossak-Szatkowską) w Częstochowie. Powiedziała jej, że mam ochotę pojechać do Górek zobaczyć, co tam słychać. Mama się zastanowiła i powiedziała:

— Dobrze, ale nie sama.

Namówiła starszą ode mnie trochę koleżankę, Genię Godlewską, która była z nami w Częstochowie, żeby wybrała się ze mną i zapowiedziała, żeby nie pokazywała się we wsi. Mama się jeszcze ukrywała i nie było wiadomo, co się w Górkach dzieje. Umówiłam się z mamą, że po-

ANNA
BUGNON-ROSSET

STERCZĄCE KOMINY

staram się cichcem dojść do państwa Sojków; to byli pewni ludzie, bardzo za przyjaźnieni i przez nich mogłam się dowiedzieć, co słychać.

No i z początkiem maja wybrałyśmy się do Bielska, częściowo jakimś towarowym pociągiem, częściowo jakimś wozem, bo wtedy nie było normalnej komunikacji, tak że człowiek jechał jak mógł. Z Bielska chodził pociąg, ale tylko do Jasienicy, bo dalej tory nie były jeszcze naprawione. Więc z Jasienicy do Górek poszłyśmy piechotą. Powiedziała mojej koleżance, że obejdziemy je tak, aby nas nikt nie widział — to znaczy pójdziemy przez Witalusz, przez Bucze, do mostu i wałami przejdziemy do Sojków. Idziemy więc tą drogą i wchodzimy na Bucze, gdzie była poręba, ciągnąca się od góry do dołu. Powiedziała Geni:

— Wiesz, wyjdziemy tutaj na górkę i zobaczymy, co się dzieje, czy wieś stoi.

Wyszłyśmy tam, wszystko bardzo wyrosło. Zagajnik, który był mały, zrobił się duży. Zdałam sobie sprawę wtedy, że czas uciekł... Z góry, z tej poręby zobaczyłam dwa sterczące kominy naszego domu, z nich jeden dość uszkodzony. Tyle się naoglądałam spalonych budynków, że od razu zrozumiałam, co się stało.

Zeszłyśmy z Genią z Bucza, przeszłyśmy wałami i o jakiejs piętej po południu dotarłyśmy do państwa Sojków. Hanka Sojczanka jakby upiora zobaczyła, chwyciła się za głowę z okrzykiem.

— Anno, skąd się tu wzięłaś?

Wyjechałam z Górek jak miałam jedenaście lat, a wróciłam jako dorosła. Sojkowie nie mogli uwierzyć, że prze-



Anna Bugnon-Rosset — córka Zofii Kossak.
Fot. Dominik Dubiel

szyliśmy przez Bucze, dlatego że — jak mówiono — tam wszystko było zaminowane. Zeszliśmy bardzo kamienistą, gliniastą drogą wymytą przez deszcze, która schodziła aż do mostu i wałów. Podobno noga ludzka nie stawała na wałach, także zaminowanych, więc naprawdę Aniołowie nas strzegli.

Przyjęli mnie bardzo serdecznie, jak najbliższą osobę; nakarmili nas i napoiли. Od razu posłali kogoś na rowerze po Helę Szafarz (obecnie Barską) — naszą dawną opiekunkę, która w Goleszowie trzymała sklep swego brata rzeźnika, poległego na froncie w Rosji. Hela przypędziła na rowerze wieczorem. W międzyczasie Sojkowie oczywiście naopowiadali mi wszystko, co się tutaj działo. O dworze mówili, że się spalili, gdy w Górkach były działania wojenne. Nie wiadomo, czy został spalony przez Niemców, którzy porobili w domu duże inwestycje (była tam szkoła gospodarstwa domowego dla młodych Niemek z hajotu) i odchodząc podpalili go ze złości.

O naszym przybyciu dowiedzieli się, bo mieli jakichś swoich wywiadowców, partyzanci — chłopcy Dańców, Józek i Henryk. Dużo z nimi bawiliśmy się przed wojną, gdy pasali krowy, byli trochę starsi od nas. Gdy już było ciemno, przyszli do Sojków — było to bardzo wzruszające. Większą część nocy rozmawialiśmy o tym, co się dzieje w reszcie Polski, jak tam wygląda, o Powstaniu w Warszawie, o AK, w ogóle wypytawali o masę rzeczy. Przed świtem wrócili w góry. Byli w partyzantce akowskiej; cały ich oddział niedługo po moim pobycie zlikwidowano. Zginęli obaj.

Nazajutrz obejrzałam ruiny dworu. Spalił się cały dach, jego wieża oraz pierwsze piętro. Stały jeszcze kominy, a także ściany działowe. Wewnątrz było jedno wielkie rumowisko. Park był zdziczały, niektóre drzewa i krzewy okaleczone, bryły osmolonych gruzów, blachy i belek porozwalane w trawie.

A więc dom się spalił. Trudno, gorzej by było, gdyby rodzina została zdesiatkowana. Napatrzyliśmy się tylu nieszczęść; tyle człowiek przeżył, tylu ludzi zginęło na naszych oczach, tylu zniszczeń byliśmy świadkami... Właśnie w kwietniu, przed moją wyprawą do Górek, byliśmy z mamą w Warszawie, pomagałam rodzicom koleżanek, które zginęły w Powstaniu, odkopywać ich resztki, potem trzeba było rozpoznawać niektóre trupy. Tysiące ludzi, podobnie jak my, odkopywało wówczas tych, co zginęli pod gruzami. Nie wiadomo było, kto był kto; jedną z koleżanek rozpoznaliśmy po spince i kosmyku czarnych włosów — tyle co z niej zostało. W ogrodzie Biblioteki Krasińskich aleje rozkładających się trupów, odkopanych i przyniesionych ze Starówki dla ewentualnej identyfikacji — ale wśród tych szczątków myśmy już nikogo nie mogły rozpoznać... W tychże dniach obie z Mamą ekshumowałyśmy zwłoki mojej babci, Anny Kossakowej, prowizorycznie pochowanej pod koniec Powstania na podwórku Szpitala Wolskiego. Wysuszony wiórek, zawinięty w stare prześcieradło. Potem pogoń za deskami, aby zbić jakąś skrzynię-trumnę, pogoń za furmanką, aby ją przewieźć na cmentarz...

W obliczu tego wszystkiego, jakże tu oplakiwać sterczące kominy spalonego domu i dziedzinstwa? Cieszyłam się, że mama żyje, ufałam że ojciec i bracia w obozach w Niemczech żyją również — i myślałam już co dalej. Dom był w takim stanie, że można go było wtedy odbudować.

Wróciliśmy z Genią do Częstochowy, obdarowane żywnością wszelkiego rodzaju. Zreferowałam mamie przebieg naszej wyprawy i snułyśmy już plany pełne nadziei na powrót do Górek. Ale jak wiadomo, losy nasze potoczyły się inaczej i dopiero po dwunastu latach dane mi było odwiedzić znowu Górkę.

Opracował: **MARIUSZ MAKOWSKI**

S tało się: Skończyła się wojna, a rozpoczęła wędrówka ludzi, według zasady: każdy wraca na stanowisko, jakie zajmował przed wojną. Wrócił więc do Istebnej z wygnania ks. prałat Emanuel Grim na stanowisko proboszcza, a ks. prof. Jerzy Juroszek na stanowisko profesora do Polskiego Gimnazjum w Orłowej. Agórale wnioskowali: „Pewnie wezną nóm i paterka. Pójdzie pewnie do gimnazyje za profesora albo za prałata, albo i za biskupa. Dyć se na to zasłużył. Był przeca kapelanem partyzantów grupy »Barania Góra«”. I spełniło się.

Zostałem przeniesiony z Istebnej do Lublińca, ale nie do gimnazjum za „profesora”, ale do Zakładu Głuchych i za wikarego przy parafii św. Mikołaja. Nie mogli tego zrozumieć górale, a mnie też było smutno. No, ale służba nie druźba. Urządzono mi wspaniałe pożegnanie w Urzędzie Gminnym, a przemówienie dziękczynno-pożegnalne wygłosiła pani Rychła, która piastowała urząd wójta. Było to bardzo miłe pożegnanie z Istebną. Natomiast jazda do Lublińca była bardzo trudna. Do Katowic zabrał mnie na motocykl pracownik Nadleśnictwa, a z Katowic miałem jechać pociągiem. Kupiłem więc bilet i czekałem na pociąg pośpieszny z Krakowa do Poznania. Przyjechał bardzo spóźniony i rozpoczęła się walka o miejsca w pociągu. Ludzie wchodzili do pociągu przez okna, bili się, przepychali, trącali, a ja patrzyłem osłupiały na te widowisko. Zauważył mnie konduktor, podszedł do mnie i pyta: „A ksiądz chce jechać?” „Oczywiście — odpowiadam — ale nie wiem, czy potrafię wejść do pociągu”. „Ja księdzu pomogę”, powiada konduktor i prowadzi mnie do budki hamulcowej, gdzie były już trzy kobiety. Było ciasno, okienka wybite, ale się jechało. Miałem tylko obawę, czy w Lublińcu przyjdzie pan konduktor otworzyć drzwi, abym mógł wysiąść. A jeśli nie przyjdzie i zawiezie mnie do Poznania?

Pan konduktor przyszedł jednak w Lublińcu i wypuścił mnie z tego więzienia. Podziękowałem mu i dałem mu tyle waluty, ile miałem w kieszeni. A on wziął, pokiwał głową i obrzucił mnie pogar-

KS. JAN URBACZKA

DZIWI NAD DZIWAMI

dliwym spojrzeniem. Zrozumiałem jego smutek, ale cóż mogłem zrobić, skoro w Istebnej nie było ani polskiej, ani jakiegokolwiek innej waluty, a liczyło się tylko: jajka, kiełbasa, słonina, wyroby mleczne, a najbardziej samogon ze słowacką „wyczapną śliwowicą” na pierwszym miejscu. Pociąg odjechał, a ja poszedłem na nową placówkę, czyli do kościoła św. Mikołaja. Proboszcz przyjął mnie bardzo serdecznie, ale zaraz zauważył: „To niemożliwe, aby mój wikary był równocześnie katechetą w Zakładzie Głuchych. Tu jest dość roboty dla dwóch wikarych”.

Następnego dnia poszedłem przedstawić się do Zakładu Głuchych. Dyrektor przyjął mnie bardzo grzecznie, ale zaraz dodał: „To niemożliwe, aby katecheta zakładowy był równocześnie wikarym przy parafii oddalonej o dwa kilometry od Zakładu. Pojadę do Kurii i przedstawię ten problem biskupowi. Jestem przekonany, że mnie zrozumie”. I rzeczywiście, ksiądz biskup rozumiał, że dla kapelana w Zakładzie jest dosyć roboty od rana aż do wieczora. Zamieszkałem więc w Zakładzie Głuchych. Zakład był wspaniały. Najpiękniejszy w Polsce. Informator Lubliniecki podaje: Śląski Zakład Głuchoniemych czynny jest od 1 kwietnia 1935 roku i należy do najbardziej wzorowych instytucji tego rodzaju nie tylko w Polsce, ale także zagranicą. Zakład jest przeznaczony dla normalnych dzieci głuchoniemych w wieku od 7–16 lat. Pomieścić może do 200 wychowanków.

Otrzymałem w Zakładzie wspaniałe mieszkanie z łazienką, bieżącą wodą ciepłą i zimną, było też centralne ogrzewanie. Raj na ziemi. Ale Zakład był prawie pusty. Dzieci można było policzyć na palcach. Nie było dzieci, bo ludzie nie wierzyli,



Państwowy Zakład dla Głuchoniemych w Lublińcu

że to jest już koniec wojny. Panowało powszechnie przekonanie, że to jest tylko taka przerwa wojenna, po której rozpocznie się prawdziwa wojna między Ameryką a Związkiem Radzieckim. Mówiono: „To będzie dopiero prawdziwa wojna!”. W takiej niepewności nie chcieli ludzie oddawać dzieci do dalekiego Zakładu.

Ale była jeszcze inna trudność. W 1945 roku panowała zasada: państwo przyjmuje na utrzymanie tylko te szkoły, które były przed wojną utrzymywane przez Skarb Państwa. A Zakład Głuchych był przed wojną utrzymywany przez Skarb Śląski, ponieważ Śląsk miał autonomię. Po wojnie Śląsk utracił autonomię i nie było jasne, kto ma Zakład utrzymywać. Pan Dyrektor jeździł po różnych urzędach i magistratach, zebrał o pomoc dla dzieci głuchych i niekiedy coś tam przywiózł, ale to była kropla wody w morzu potrzeb. W tej sytuacji trzymano się zasady: przyjmujemy dzieci głuche tylko ze Śląska.

Dzieci było więc mało. A ponadto gruchnęła jeszcze wiadomość: Do Zakładu przyjedzie komisja wojskowa, aby zbadać, czy Zakład nadaje się na szpital polowy.

Dyrektor zmartwił się tą wiadomością i postanowił: pokażemy komisji, że mamy dużo dzieci i powstanie problem, gdzie te dzieci głuche umieścić? Moje zadanie w tym dziele pokazania, że tych dzieci jest dużo, polegało na tym, bym z dziećmi głuchymi chodził od jednego internatu do drugiego, aby dyrektor mógł komisji pokazać: Proszę, gdzie dać te dzieci, jeśli ma tu być szpital polowy.

I udało się. Komisja odjechała, a dyrektor polecił mi, abym rozejrzał się po okolicznych parafiach i przyprowadził dzieci głuche do Zakładu. Siadłem na rower i pojechałem do pobliskich parafii, aby wyszukać dzieci głuche i namawiać rodziców do oddania dzieci do Zakładu. Siadłem na rower i jadę na ten połów głuchych do Zakładu. Ale i to nie zdało się na nic. Wchodzę do wskazanej mi przez proboszcza rodziny i rozmawiam z matką głuchego dziecka. Matka zgadza się na oddanie dziecka do Zakładu, ale o tym musi zdecydować ojciec. Idziemy więc do ojca i matka przedstawia tę sprawę. Odpowiedź ojca była następująca: „Babo i ty wierzysz, że to będzie za darmo? Miej

rozum, babo! Klupnij sie w czoło! Czy ty już widziałeś, żeby ksiądz zrobił coś za darmo?”.

A więc i ten wysiłek nie przyniósł rezultatu. Czulem się jednak coraz lepiej. Uczylem się od dzieci mowy migowej, a od nauczycieli metody nauczania. Mimo, że w Zakładzie panowała bieda, atmosfera była serdeczna. Ja jednak czulem, że dzieje się coś dziwnego. We śnie i na jawie byłem ciągle pod Złotym Groniem w Istebnej. Zachorowałem na coś, co się zowie tęsknica za górami. Ciagle myślałem o tym, co przeżyłem w czasie pobytu w Istebnej, w czasie wojny. „To było życie, to była praca duszpasterska, a teraz to mizerna wegetacja, to marnowanie sił i czasu. Za jakie grzechy mnie tu wsadzono?”.

Ten przygnębiający nastrój nie opuszczał mnie we dnie i w nocy. Wreszcie nie wytrzymałem i poszedłem do dyrektora z następującą prośbą: „Panie Dyrektorze. Ja tutaj nie wytrzymam. Proszę napisać do Kurii Diecezjalnej w Katowicach, że nie nadaję się do pracy wśród głuchych”. Dyrektor odpowiedział: „Tego nie mogę zrobić, ponieważ nie byłoby to zgodne z prawdą. Rozumiem jednak księdza i udzielam księdzu bezterminowego urlopu. Niech ksiądz jedzie do tych umiłowanych gór, a gdy ta tęsknica księdza opuści, to proszę wrócić do Lublińca”.

Ucieszyłem się i pojechałem najpierw do Orłowej, do księdza Juroszka, który w czasie wojny administrował parafią Istebna, pożyczyłem parę koron na bilet do Jabłonkowa, a potem szedłem pieszo do Istebnej przez Jasnowice. Jaki byłem szczęśliwy! jak przeżywałem to co ujął w słowa ks. Grim:

*Góry nasze góry,
wy Śląska ozdobo,
wśród was serce płonie
człek czuje się sobą.*

I rzeczywiście, czulem się sobą, serce płonęło mi radością, i gdybym mógł, całowałbym te gronie i płakał z radości.

Szedłem powoli, unikałem spotkania z ludźmi. Wstąpiłem do kościoła i na plebanie. Ksiądz prałat Grim zaoferował mi nocleg na farze, a ja z radością przyjąłem tę ofertę. Szczęśliwy i zmęczony wnet zasnąłem. W nocy nawiedził mnie okropny sen. Pokój napelniał się jakimś dziwnym blaskiem i dał się słyszeć głos: „Ty jesteś kapłanem Jezusa Chrystusa?” „Tak”, odpowiedziałem we śnie. A głos mówił dalej: „Ty jesteś kłamcą, ty jesteś ostatnim draniem i oszustem. Ty Judaszu, ty zdrajco. Ty złożyłeś ślub posłuszeństwa biskupowi, a co ty teraz robisz? Biskup posłał cię do Lublińca do głuchych, a ty uciekasz stamtąd i włóczysz się po Beskidach! To ma być służba Bogu i Ojczyźnie?! Ty zdrajco, ty samolubie, ty potworze w sutannie! Ty hańbo duchowieństwa! Wstawaj i natychmiast wracaj do Lublińca, do głuchych!”. Obudziłem się spocony, wystraszony, ale sumienie mówiło mi: „To głos Boży! Usłuchaj i wracaj do Lublińca”.

No i wróciłem. A dyrektor, zdziwiony tak rychłym powrotem z urlopu, pyta: „A tęsknica za górami już znikła?”. „Tak jest, dyrektorze! Wszystko już w porządku. Dziękuję za dobrą radę, dziękuję za urlop. Teraz pozostanę już w Zakładzie”. Powolotku zacząłem rozumieć głuchych, a gdy miałem jeszcze jakieś trudności, prosiłem doświadczonych nauczycieli i wychowawców o pomoc.

Mijał rok szkolny 1945/46. Pan dyrektor zwrócił się do mnie z zapytaniem: „Jak się ksiądz czuje po roku pracy w Zakładzie?”. Odpowiedziałem: „Dobrze, ale niekiedy mam trudności”. Dyrektor odpowiedział: „To zrozumiałe. To się da usunąć przez studia w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Czy ksiądz się zgadza na takie studium?”. „Owszem, bardzo się cieszę”.

No i pożegnałem się na rok z Lublińcem i pojechałem do Warszawy. A Warszawa w tym czasie to była ruina, to było bardzo dziwne życie. Ale o tym w następnym „Kalendarzu”.

Autor publikowanego niżej wspomnienia urodził się w 1924 roku w Cieszynie. W rodzinnym domu przy ulicy Frysztackiej uzyskał patriotyczne wychowanie. Dowodem tego może być m.in. fakt, że w listopadzie 1939 roku zamurował wraz z bratem Alfonsiem tablicę ku czci zwycięstwa Jana III Sobieskiego pod Wiedniem oraz spiżową płaskorzeźbę z pomnika legionistów pod Zamkiem. Obydwie przetrwały wojnę. W czasie pierwszych miesięcy okupacji ćwiczył się w posługiwaniu bronią. Dopiero w 1941 roku wyjechał do Linzu w Austrii, gdzie podjął pracę w polskim obozie.



W następnym roku został wcielony do Wehrmachtu. Znalazłszy się we Włoszech skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji i zbiegł do V Armii Stanów Zjednoczonych. Lecząc się z doznanych obrażeń w amerykańskim szpitalu zgłosił się ochotniczo do II Korpusu Polskiego, w którego szeregach walczył we Włoszech. Uzyskał tam również maturę.

W 1946 roku został przerzucony wraz z 4. Wołyńską Brygadą do Wielkiej Brytanii. Po przeszkoleniu podjął pracę w kopalni. Na powrót do kraju zdecydował się późną jesienią 1948 roku. Kompletnie rozczarowany polską rzeczywistością, zdecydował się wraz z narzeczoną na ucieczkę. Zostali ujęci przez NKWD na granicy polsko-niemieckiej i natychmiast rozdzieleni. A. Tomica był więziony kolejno w Dreźnie i we Wrocławiu. 30 stycznia 1950 roku został skazany na śmierć za rzekomą współpracę z amerykańskim wywiadem. W kwietniu tegoż roku, w wyniku starań rodziny, prezydent Bolesław Bierut go ułaskawił. Wyrok śmierci zmieniono na 15 lat więzienia.

Pobyt w kazamatach stanowi treść poniższego wspomnienia. Zostało ono nagrodzone w ogólnopolskim konkursie na wspomnienia więźniów okresu stalinowskiego i weszło do książki *W złowieszczych murach Wronek i Rawicza lat 1945—1956. Wspomnienia więźniów politycznych*.

Po opuszczeniu więzienia autor był wieloletnim pracownikiem cieszyńskiego handlu i gastronomii. Obecnie, już jako emeryt, mieszka na Małym Jaworowym. Jest czynny m.in. w ruchu kombatanckim, a w Macierzy Ziemi Cieszyńskiej pełni od kilku kadencji funkcję zastępcy prezesa Zarządu Głównego. Uzyskał godność członka honorowego MZC.

R.D.

Z Wrocławia jechaliśmy stłoczeni w klatce więziennego wagonu. Moi dwaj towarzysze niedoli, z którymi byłem transportowany, skazani zostali na najcięższe wyroki: Polakowski z Białostockiego na dożywocie; Piotruś z Lubelskiego (nazwiska niepamiętam) były żołnierz AK, jeniec obozu w Kałudze, na 15 lat. Taki sam był też i mój wyrok. W pewnym momencie wyczuliśmy, że przetaczają nas gdzieś na boczny tor. Była późna grud-

ANTONI TOMICA
MIŁOŚĆ
SILNIEJSZA
OD NIENAWIŚCI

niowa noc 1950 r. Zbliżał się okres Bożego Narodzenia. W tych właśnie dniach z perfidią i upodobaniem przemieszczano więźniów. Następowala ustawiczna wymiana ludzi w obrębie cel czy więzień. Wspólną niedolą scementowane rodziny więzienne rozdzielano celowo. Premedytacja bolszewicka stwarzała jeszcze dotkliwsze warunki przeżycia wigilijnej wieczery.

Z wagonu wyprowadzono nas na mały placyk. Na ścianie ceglanego budynku przeczytałem napis Rawicz. Rozglądając się wokół, stwierdziłem, że z wrocławskiego więzienia przewieziono w tym transporcie około 200 osób.

Nagle pojawiło się wielu funkcjonariuszy więziennych. Syci, dobrze zabezpieczeni przed mrozem, spoglądali na wygłodzonych i zmarzniętych, świadomi naszej bezbronności, a swojej przewagi fizycznej, bezkarnej, opartej wyłącznie na bezprawiu i przemocy. Otoczeni szpalerem strażników, z psami utrzymanymi na smyczy, prowadzeni byliśmy do więzienia przy ul. 19 Stycznia. Padaly jakże znane ostrzeżenia: „Krok w prawo lub w lewo — kula w łeb”.

Po kilkuminutowym marszu, w smugach światła zobaczyłem długi mur, a za nim zabudowania. Przed wejściem rząd oddziałowych szczelnie zabarykadował ulicę. W głębokim skupieniu, milcząco przekroczyłem więzienną bramę. Zauważyłem, że wiele osób z przejściem czyniło znak krzyża.

„JO WAS NAUCZYM POZNAWAĆ RAWICZ”

Po przejściu licznych, zakratowanych wejść, oddzielających nas od wolnego świata, znalazłem się na dziedzińcu więziennym, pośrodku którego stał kościół. Patrzyłem na małe zakratowane okienka, wtopione w grube ściany budynku. Pomimo nocnej pory, blok uśpiony był tylko pozornie. Doświadczenie, jakie zdobyłem w okresie 17-miesięcznego więziennego stażu, utwierdzało mnie, że obserwuje nas wiele nie tylko współczujących, ale również pełnych nienawiści — mściwych oczu. Przy bramie do pawilonu oče-

kiwało kilku oddziałowych. Pośród nich szczególnie wyróżniał się jeden funkcjonariusz, trzymający wielki pęk kluczy. Przywitał nas tymi słowami: „Jo was nauczym poznawać Rawicz! Wy tu wszyscy będziecie gliną srać! Wy będziecie nawozić rawickie pola!” W taki to sposób przedstawił się nam Kukawka, szef oddziałowych rawickiego więzienia.

Pobliski zegar wybija północ. Powoli wchłonieni zostajemy przez więzienny blok. Schodzimy do suterenu. W korytarzu, przed celami, sterty drewniaków i więziennych łachów, ułożonych w tzw. kostkę. To po tych, których zdążono już ulokować. Teraz nasza kolej. Mała klatka musi pomieścić 6 osób. Pada rozkaz: „Rozbierać się do gaci i koszuli”. Kukawka krzyczy: „Kto ma skarpety to też zdejmować!”

Następuje krótka prezentacja. Ludzie dotąd obcy, stają się sobie bliscy. Już wszystko wiemy: kto... skąd... ile... jaki pretekst...? Trzech z ludowego wojska za tzw. szeptankę i wrogość wobec ZSRR. Gigantyczne donosicielstwo panujące w owym czasie nie oszczędziło nikogo. Prosty żołnierz mógł zakapować nawet swojego przełożonego oficera. Stawał się tym samym użytecznym bohaterem PRL-u. Pozostali dwaj z nielegalnych organizacji. Podobno chcieli obalić ustrój. Ja, za ucieczkę z kraju i rzekome szpiegostwo.

Układamy się do snu. W celi dwa wąskie sienniki ze zużyta słomą i sześć lichych flanelowych koców, ułożonych na betonowej posadzce, nie chroni przed dokuczającym chłodem, pomimo że do snu kładziemy się zwartą grupą. Perspektywa naszej vegetacji w rawickim więzieniu, związana z potworną wróżbą Kukawki, długo nie pozwalała nam zasnąć.

Rano pobudka — istne trzęsienie ziemi. Najpierw dzwonek. Zaraz po nim trzask żelastwa, towarzyszący otwieraniu licznych cel. Kalefaktoryzmy małymi kroczkami biegiem zdążali na koniec korytarza z kiblami, które tam opróżniali. Takie same czynności powtarzały się wieczorem. Rano odbieraliśmy z korytarza nasze więzienne łachy, tzw. kostkę. Wieczorem trzeba było ją zdać.

W suterenu, gdzie zostaliśmy umieszczeni, przechodziliśmy kwarantan-

nę, bez żadnego kontaktu z więźniami z poprzednich transportów. Wobec nas zastosowano szczególną izolację. Tylko kilka razy dziennie otwierano i zamykano celę. Nie było żadnych spacerów po dziedzińcu więziennym.

Święta Bożego Narodzenia to okres szczególnej tęsknoty, trudnej do opanowania. Serdeczne życzenia, jakie w Wigilię składaliśmy sobie nawzajem, były nierealne. Zdawał mi się z tego sprawę, trwał bowiem okres niebezpiecznej, imperialistycznej polityki Stalina, do której wciągnięty został nasz zniewolony kraj. Tliły się konflikty na całym świecie, które przerodzić się mogły w III wojnę światową. Minister BP Radkiewicz, który często wizytował Rawicz i Wronki, oświadczył, że w wypadku konfliktu, wyda polecenie zlikwidowania tej bandy zdrajców. Po takich odwiedzinach pogarszano warunki nędznego bytowania.

Zaraz po Nowym Roku, przystąpiono do przesiedlania nas do innych cel. Specjaliści od tej roboty długo główkowali kogo z kim posadzić? Co zrobić, by skłócić więźniów, tak by się psychicznie sami wykańczali. Szperali po kartotekach. Naszali kapusiów na domniemanych groźnych. Ta działalność nie przynosiła spodziewanych efektów. Nasłani szybko dekonspirowali się własną głupotą.

W pierwszych dniach stycznia 1951 r. stanąłem przed celą 102, na której widniał napis „inteligencja”. Były także cele oznakowane: „robotnicy” oraz „rolnicy”. Do celi trafilem jako piąty lokator. Zostałem w niej: Chrzanowskiego z Warszawy, sierżanta Kota z lubelskiego AK, Juliana Gądka z krakowskiego WIN-u, Jana z Lubelskiego (nazwiska nie pamiętam). Przyjęty zostałem życzliwie.

POTĘGA MIŁOŚCI

W tym miejscu, w więzienne wspomnienia, wypada mi wprowadzić postać mojej żony Ireny. A dlaczego? — to się niebawem okaże.

Poznałem Irenę w jej domu rodzinnym, przekazując przesyłkę pieniężną oraz list od jej ojca, z którym razem byłem

w czasie wojny na robotach przymusowych w Linzu (Austria). Irena urodziła się w polskiej rodzinie na terenie Śląska Cieszyńskiego, w tej części, która po r. 1920 przypadła Czechosłowacji.

W taki sposób Irena pojawiła się w moim życiu, by już na zawsze w nim pozostać, chociaż dość długo nasza znajomość polegała głównie na korespondencji. Różnymi drogami przedostałem się na Zachód. Jako żołnierz 2 Korpusu walczyłem we Włoszech. Następnie po demobilizacji osiedliłem się w Anglii. Irena w r. 1948 ukończyła szkołę średnią w Polsce. U władz czechosłowackich udało się jej wywalczyć stałą przepustkę upoważniającą do przekraczania granicy.

W tym czasie uzmysłowiliśmy sobie, że nasza dziecięca przyjaźń przerodziła się w prawdziwe uczucie. To skłoniło mnie do powrotu. Pod koniec października 1948 r. wróciłem do kraju. Po przyjeździe zostałem w RKU w Pszczynie zdegradowany. Byłem ustawicznie przez funkcjonariuszy UB werbowany do współpracy. Nie miałem nawet możliwości odwiedzać Irenę. Mieszkała w tym czasie na terenie Czechosłowacji. Odmawiano mi wydania przepustki. Nie widzieliśmy żadnych perspektyw ułożenia sobie życia w kraju.

Postanowiliśmy wyjechać.

W lipcu 1949 r. zostaliśmy w strefie okupacyjnej Niemiec aresztowani przez funkcjonariuszy NKWD i od pierwszego momentu izolowani od siebie. Byłem więziony w centrali NKWD w Dreźnie, następnie przez WUBP we Wrocławiu oraz we wrocławskim więzieniu przy ulicy Kłęczkowskiej. Po półrocznym, potwornym śledztwie, zostałem 30 stycznia 1950 r., wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego we Wrocławiu, skazany na karę śmierci. W celi śmierci siedziałem przez 2 miesiące. Przy pomocy obrońcy wojskowego Bohdana Zwinklewicza z Wrocławia, prośbę o ulaskawienie syna napisała moja matka. Starszy brat osobiście złożył ją w Warszawie. W pierwszych dniach kwietnia 1950 r. Bierut skorzystał z prawa łaski. Wyrok śmierci uchylono. Skazano mnie na 15 lat więzienia.

Z celi śmierci zezwolono mi na napisanie listu do Ireny, lecz ona w tym

czasie była jeszcze w więzieniu. Przetrzymywano ją w NKWD w Zgorzelcu, następnie w niemieckim więzieniu w Zgorzelcu i kolejno w piwnicy zgorzeleckiego WOP-u. Po trzech tygodniach przekazana została do PUBP w Zgorzelcu. Ostatnie miesiące swego uwięzienia spędziła we Wrocławiu przy ulicy Sądowej. Tam przekonała się, że zostanie matką. Więziona była prawie przez cały okres ciąży (8 miesięcy).

W dwa tygodnie po zwolnieniu, 7 kwietnia 1950 r. (Wielki Piątek) rodzi się nasza córeczka Lucynka. Matka i dziecko walczą ze śmiercią. W dniu urodzin naszej córeczki adwokat powiadamia mnie, że zostałam ulaskawiony. Równocześnie dowiaduję się od niego, że jestem ojcem.

Po moim uwięzieniu Irena pierwszy raz podjęła starania o nasz osobisty kontakt w tygodniu przedświątecznym, w grudniu 1950 r. Przyjechała do Wrocławia. Na mrozie, przed więzienną bramą na ul. Kłęczkowskiej, przez wiele godzin wyczekiwała na tzw. widzenie. Kiedy wreszcie została wywołana, poinformowano ją, że: „Więzień o takim nazwisku w tym zakładzie się nie znajduje”. Na pytanie, gdzie przebywa, otrzymała odpowiedź: „Jego miejsce pobytu nie jest nam znane”.

Rawicz, poniedziałek 22 stycznia 1951 r. Wielki dzień. Miłość pokonała kraty. W murach rawickiego więzienia Irena doprowadziła do naszego ślubu. Niechaj sama opowie, w jaki sposób tego dokonała:

„Do Powiatowej Rady Narodowej w Czeskim Cieszynie wysłałam podanie o zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego z obywatelem polskim, studentem, zamieszkałym we Wrocławiu przy ul. Kłęczkowskiej. O jego uwięzieniu nie wspominałam. Zezwolenie otrzymałam. Do obrońcy p. B. Zwinklewicza wysłałam pismo z prośbą, żeby wyznaczył termin (koniecznie w poniedziałek) i zechciał być świadkiem przy zawarciu związku małżeńskiego. Ślub ma się odbyć w więzieniu w Rawiczu. Potrzebne zezwolenie władz czechosłowackich już otrzymałam. Listownie pan mecenas wyznaczył termin: poniedziałek 22 stycznia. Poniedziałek podałam ze względu na to, że był to jedyny dzień w tygodniu, w którym udzielano zezwoleń

na odwiedziny. Chciałam z tego skorzystać, gdyby moje plany związane ze ślubem zawiodły.

W owym czasie posiadałam obywatelstwo czechosłowackie. Miałam jednorazową przepustkę graniczną, która upoważniała mnie do przebywania na terenie Polski wyłącznie w obrębie 15 km pasa przygranicznego przez 3 dni. Na dalsze podróżowanie w głąb kraju zobowiązana byłam posiadać paszport. Na jego uzyskanie nie miałam żadnych szans. Wyjeżdżając do Rawicza, popełniłam przestępstwo graniczne i w każdym przypadku mogłam zostać zatrzymana.

W godzinach rannych, w towarzystwie mojej siostry Janiny i p. mecenas Zwinklewicza, przyjechałam do Rawicza. Niezwłocznie udaliśmy się do Urzędu Stanu Cywilnego w ratuszu. Przyjął nas młody zastępca kierownika USC p. Marian Balcerowiak. Przedstawiłam sprawę. Pan Balcerowiak wyjaśnił, że związek małżeński może być zawarty tylko w stałym miejscu zamieszkania jednej ze stron, w przeciwnym przypadku, konieczna jest zgoda województwa. Zaproponował o taką się postarać. Zdawałam sobie sprawę, że w naszym przypadku, w którym Tomka wykreowano na szpiega, takie zezwolenie jest nieosiągalne. Zasugerowałam, że 15-letni okres przebywania w Rawiczu, to z całą pewnością pobyt stały. Moje argumenty trafiły do przekonania. Pan Balcerowiak telefonicznie połączył się z województwem (w owym czasie był to Poznań). Kompetentnego pracownika zapytał, czy długoletniemu więźniowi może udzielić ślubu. Uzyskał zezwolenie. Po sporządzeniu z tej rozmowy notatki służbowej chciał przystąpić do spisania naszych danych osobowych. Ponieważ pragnęłam Tomka zobaczyć jak najprędzej, prosiłam żeby wszelkie wpisy uzupełnić po naszym powrocie. Zaznaczyłam, że mamy córeczkę i trzeba będzie sporządzić akt o przyznaniu ojcostwa.

W ten pamiętny, styczniowy poranek, cztery osoby stanęły przed więzienną bramą. Pan mecenas zastukał. W kłapie okienka pojawiła się twarz strażnika. Padło pytanie: „Czego tam?” — „Jesteśmy z Urzędu Stanu Cywilnego. Przybyliśmy więź-

niowi udzielić ślubu” — oznajmił pan mecenas. Zaskoczony strażnik krzyknął w kierunku wartownika: „Ty przyszedłeś ze ślubem. Zadzwonić gdzie trzeba”. Po małej chwili wejście zostało uchylone.

Weszliśmy za pierwszą bramę. Utrata, spec rawickiego więzienia, stał w pozycji wyczekującej, niczym przyczajony, warujący pies u swego domostwa. Pan Zwinklewicz wyjaśnił: „Jestem obrońcą wojskowym, to urzędnik USC, narzeczona i jej siostra przybyła jako świadek. Mamy zezwolenie na spisanie aktu małżeństwa z więźniem tutejszego zakładu.”

Nastąpiło kompletne zaskoczenie i natychmiastowa reakcja, która zawsze zaczynała się od jakiegoś „nie”. W tym przypadku, to pierwsze „nie” na szczęście okazało się niegroźne. Polegało na wyłączeniu siostry Janki z grona tych którym pozwolono na wejście. Utrata kategorycznie oświadczył: „Pani na teren zakładu nie wejdzie. Świadkiem więźnia będzie pracownik tutejszej służby więziennej”.

Uzmysłowiłam sobie, że w tym zakazie zawarte było przyzwolenie na zrealizowanie moich małżeńskich planów i odetchnęłam z ulgą. Udał się do świetlicy więziennej, do której po chwili doprowadzony został Tomek. Pan Balcerowiak przystąpił do sporządzania aktu małżeństwa, lecz zaraz na wstępie tej czynności został wywołany do telefonu. Po powrocie odebrał nasze ślubowanie małżeńskie. Drugim świadkiem został, narzucony nam oddziałowy Ryszard Fryszkowski.

W tym dniu nie zezwolono mi podać mężowi przygotowanej paczki. Zbliżała się ciężka chwila rozstania. Mój świadek, pan Zwinklewicz zwrócił się do męża w te słowa: „Pójdziemy teraz na lampkę wina. Może pan poprosi swojego świadka, by pana przy tym zastąpił”. Małżonek skwitował to powiedzeniem: „Tego nie zrobię, bo nie jest to żony ani moim życzeniem”.

W czwórkę, wraz z oczekującą nas siostrą, udaliśmy się do restauracji. Pan Balcerowiak wyjaśnił wtedy że w trakcie spisania aktu telegrafowano z województwa i otrzymał zakaz udzielenia ślubu. Odpowiedział jednak, że para została już zaślubiona. Relacjonując nam to

wydarzenie oświadczył, że do udzielenia tego ślubu został zmuszony, bowiem kiedy nas oboje zobaczył, nie mógł postąpić inaczej”.

W chwili, kiedy jak co dzień spacerowaliśmy po celi, zostałem z niej wywołany. Polecono mi zabrać kurtkę i wyjść. Na korytarzu stał Kukawka z innym oddziałowym, znanym z rygorystycznego prowadzenia spacerów. Obaj przyglądali mi się spode łba. Kukawka zapytał: „Czy wiecie, że będziecie się żenić?” Odpowiedziałem, że dobrze. Mówił dalej: „Spotkacie tam ludzi z wolności i musicie się zachować jak trzeba”.

Boże, jak bardzo się ucieszyłem. Prawdziwy cud. Zaskoczenie, o którym tylko, śnić. Z Irką rozdzielono mnie po przejściu Nysy. Pamiętnej lipcowej nocy w r. 1949. wpadliśmy w łapy NKWD. Nic gorszego nie mogło nas spotkać. Potem oboje doznaliśmy tyłu upokorzeń, bolesnej zniewagi i szyderstwa. Najbardziej dotkliwa była ludzka mściwość i nienawiść, którą popisywali się brutalni, stalinowscy oprawcy.

Siedziałem w kierunku bramy. Tam gdzieś się spotkamy — myślałem. Raptem znalazłem się w pomieszczeniu, w którym widziałem tylko Irenę. Wpadliśmy sobie w objęcia. Było nas tylko dwoje. Jak to się stało, że zniknęło to potworne, pełne nienawiści miejsce? Po chwili zauważyłem mecenasa Zwinklewicza.

Rozmawiamy z Irką o naszej córce. Opowiada mi szybko, żeby jak najwięcej o niej opowiedzieć. Stoimy tak blisko siebie. Patrzymy sobie w oczy. Wiele z nich odczytujemy. Nie trzeba nam słów.

W szczególności ponurej scenerii staliśmy się małżeństwem. Zniecierpliwiony oddziałowy Fryszkowski czekał, by mnie jak najprędzej wyprowadzić. Ogromnie podobała mi się Irka, która świadomie go nie zauważała, ignorując jego obecność. Nastąpiło krótkie, pełne smutku pożegnanie. Znowu rozdzieliły nas kraty. Oddalałem się szybko, ponaglany przez mego świadka. Przed wejściem do pawilonu, wściekły Fryszkowski oznajmił: „Za chamskie zachowanie przy ludziach z wolności, należy wam się kara”. Tej zemsty cały czas

byłem świadomy. Okres jego działalności, jako spec do zadań specjalnych, to wielkie żniwo w rawickim więzieniu.

Swój podpis złożył niestety nie tylko na naszym akcie małżeństwa. Ten spec podpisywał również liczne akty zgonu.

ZEMSTA FRYSZKOWSKIEGO

Koledzy w celi nie bardzo uwierzyli w mój tak nieprawdopodobny ślub. Zaledwie zacząłem opowiadać, na polecenie Fryszkowskiego, oddziałowy otworzył drzwi. Padł rozkaz: „Zabierajcie się do karceru”.

W Rawiczu strażnicy porozumiewali się między sobą uderzając kluczem w metalowe poręcze. Jedno uderzenie wskazywało na najniższe położone cele. Równocześnie z metalowym dźwiękiem doszły mnie słowa: „Posyłam ci go”. Na samym końcu korytarza, oczekiwał kolejny oddziałowy. Drzwi były już otwarte. Wprowadzono mnie do „przedpokoju”. Musiałem rozebrać się do bielizny. Oddziałowy otworzył ostatnie blaszane drzwi. Powiedział: „No, tam se idźcie”. Byłem w karcerze. Ogarnęła mnie ciemność i chłód. Słyszałem trzask zamykanych za mną drzwi.

W takich chwilach przeraża własna bezsilność wobec stosowanej przemocy. Wymierzona kara wskazywała na to, że moja postawa przyjęta była jako lekceważenie władzy. To dało mi pełną satysfakcję. Siły do pokonania kolejnej udręki czerpałem jedynie ze szczęścia, tej błogosławionej chwili naszego bezpośredniego spotkania. Oczywiście wyobraźni widziałem Irkę. Starałem się utrwalić w pamięci jej sylwetkę. Zawsze wiedziałem, że dopóki życie trwa, dopóty nas dwojga nic i nikt rozdzielić nie może. Dopiero po chwili zorientowałem się, że nie jestem sam. W karcerze razem ze mną było jeszcze dwóch skażńców. Na mokrej, betonowej posadzce siedzieć się nie dało. Więźniowie najczęściej trwali w przysiadzie, niekiedy ściśle do siebie przylegając plecami. W taki sposób bronili się przed utratą własnego ciepła.

Od jednego z nich dowiedziałem się, że w więzieniu karnym przebywał bez wyroku za tak zwaną faszyzację kraju przedwojenny policjant z Lublina. Nazywał się Krzywicki. Mówił również, że przed wojną prowadził śledztwo m.in. przeciwko komunistycznej młodzieży. Przesłuchiwał też późniejszego generała władzy ludowej Franciszka Józwiaka. Drugi uwięziony należał do ośrodka mobilizacyjnego AK Wilno.

Dwa razy przebywałem jeszcze w karcerze. Sądzę, że w Rawiczu niewielu było takich, którym udało się tego miejsca uniknąć. Przebywanie w karcerze wynikało nie tylko z łamania więziennego rygoru, lecz także było następstwem trwania w niezłomnej postawie. Tego nasi oprawcy tolerować nie chcieli.

Wróciłem do swoich umęczony, głodny, zziębnięty, lecz nie załamany. Koledzy zrobili mi miejsce na kiblu, jedynym miejscu, na którym można było usiąść, a sami kontynuowali spacer po celi. Minął kolejny ciężki dzień.

Racje naszego pożywienia były głodowe, a w dodatku zostaliśmy pozbawieni możliwości otrzymywania paczek z zewnątrz. Zafundowano nam natomiast tzw. wypiskę. Każdy, dysponujący na swoim koncie gotówką, mógł nabywać żywność w kantynie więziennej. Oferowano najczęściej przeterminowane towary, które nie znalazły nabywcy poza więzienną bramą. Wpychane nam były po paskarskich cenach i nie miały żadnej wartości odżywczej.

Całkowicie byliśmy pozbawieni prasy i książek. Papier higieniczny, względnie jakikolwiek zastępczy, był dla nas nieosiągalny.

Raz na dwa tygodnie korzystaliśmy z łaźni. W Rawiczu, w białym pawilonie, prysznice znajdowały się w piwnicy. Więźniów kierowano tam w samej bieleźnie. Wierzchnie okrycia trzeba było pozostawiać na miejscu. Kilka cel otwierano równocześnie. Sprowadzano nas większymi grupami. Strażnicy poszczególnych oddziałów zaostżeli czujność, uniemożliwiając kontakty pomiędzy więźniami z innych cel. W praktyce nigdy nie było wiadomo, czy zdołamy się umyć. Obsługujący prysz-

nice często urządził złośliwe praktyki. Ciepłą wodę włączał na krótko, a zaraz po niej puszczał zimną. W efekcie przy namydleniu ciała, brud został jedynie rozmazany. Gdy odbieraliśmy czyste koszule i kalessony, padał rozkaz: „Szybko ubierać się”. Powracaliśmy często niedomocy, umęczeni, zawsze krzykiem ponagłani przez oddziałowych. Cały dzień minął, zanim wszyscy mieszkańcy pawilonu zostali obsłużeni. Kąpielowa farsa kończyła się dopiero pod wieczór.

Dla chorych i starszych wiekiem taka kąpiel stanowiła zagrożenie życia. Przez pewien czas przebywałem na wspólnej celi z Konradem Nekanda-Trepką. Szlachcic z Budziszławia herbu Topór siedział, jak sam opowiadał, w związku ze sprawą Adama Doboszyńskiego. Pan Trepka w łaźni kurczowo trzymał moje ramię i drżącym głosem prosił: „*Panie Antoni, pan mi pomoże*”. Pomocy udzielałem.

Bardzo schorowany po przeprowadzonej na Mokotowie operacji, pan Trepka był sporo starszy od mojego ojca. Osłabionego trzeba było następnie holować po schodach. Tempo, jakie oddziałowi narzucali nam, przekraczało możliwości wielu więźniów.

Były w więzieniu chwile wprawdzie ulotne, ale dające poczucie szczęścia. Należały do nich spotkania z najbliższymi oraz odbieranie korespondencji. Regularnie, co miesiąc, otrzymywałem list od żony. Zawsze dodawała mi otuchy i zapewniała o swojej do mnie miłości. Irena często załączała zdjęcia naszej córeczki, której nie mogłem oglądać.

Sposób, w jaki udzielano widzeń został perfidnie spreparowany. Zakładano z góry, że takie widzenie zdąży do przerwania bliskiej więzi skazańców z rodzinami i odwrotnie. Liczono na to, że liczba odwiedzających zmaleje. Stąd wymuszane, wielogodzinne oczekiwania przed widzeniem. Chociaż kontakt osobisty ograniczony był wyłącznie do wzrokowego utrwalenia wizerunku osób bliskich, nieszczęśliwe polskie rodziny tłumnie i wytrwale stały pod więzienną bramą, manifestując swoje poparcie dla ciemieźzonych, a pogardę dla ciemieźców.

Jak wyglądały widzenia z drugiej strony muru dowiedziałem się z relacji mojej żony.

W Rawiczu, podanie o udzielenie widzenia wręczało się strażnikowi z samego rana. Następnie — pod gołym niebem, bez względu na pogodę — przez wiele godzin wyczekiwałam chwili, w której zostanie wywołana. Stałam na małym placu, położonym wprost więziennej bramy. Miejsce to od ulicy szczelnie odgradzał drewniany parkan. Wraz ze mną stało wielu oczekujących; usiąść nie było jak, ani gdzie. W tłumie uważny obserwator mógł niekiedy zauważyć nasłanych donosicieli. Chodnik, biegnący wzdłuż więziennego muru oraz połowa jezdni zagrodzone były szlabanem. Do bramy więziennej podchodziło się wyłącznie w asyście strażnika.

Korespondencja mego męża, wskazywała na wielkie pragnienie pierwszego osobistego kontaktu z ukochanym dzieckiem. Tomek zapewniał mnie, że jeśli przyjadę z Lucynką to — jak mu przyrzeczono — podczas widzenia nie będą dzieliły nas kraty. Zdecydowałam się spełnić jego życzenie. W czerwcu 1953 r. z trzyletnią córeczką pojechałam do Rawicza.

Więzienny spec porucznik Utrata, bezpośredni kontakt z dzieckiem uzależnił jednak od zobowiązania się męża do współpracy z nimi. Pragnął wykorzystać niepowtarzalną okazję. Pozyskać kapusia. Donosiciel, cieszący się zaufaniem współwięźniów, to dla nich bardzo cenna zdobycz. Możliwość jakiegokolwiek współpracy mąż wykluzył. W następstwie tego ojciec, który 3-letnie dziecko widział po raz pierwszy w rawickim więzieniu, zmuszony został uczynić to poprzez dwie kraty. Lucynka położyła główkę na moje ramię szlochając głośno. W milczeniu z przerażeniem spoglądaliśmy na siebie. Koszmar widzenia się skończył.

Podczas kolejnego widzenia, Tomek poprosił o dostarczenie podręcznika do nauki języka francuskiego. Po odwiedzinach nie wypuszczono mnie razem z pozostałymi. Podszedł do mnie jeden ze strażników i oświadczył: „*Pani pójdzie ze*

mną". Wyprowadzona zostałam na pierwsze piętro więziennego budynku. Polecono mi zaczekać. Strażnik zniknął za wyciszonymi drzwiami. Po chwili wrócił i polecił wejść. Za biurkiem, niedbale rozłożony siedział Utrata. Widziałam go już w dniu naszego ślubu. Stwierdził: „Pani zdaje się miała jakieś życzenie”. Zdziwiona poprosiłam o zezwolenie na dostarczenie podręcznika.

— *Więc to tak my tu wychowujemy człowieka, a pani chce dostarczać podręczniki do francuskiego i kształcić szpiega* — powiedział podniesionym głosem. Po takim stwierdzeniu, rozwścieczony Utrata otworzył drzwi i wykrzyknął: „Oddziałowy, wyprowadzić za bramę!” Odetchnęłam z ulgą.

W warunkach naszego wyniszczającego bytowania, spacerowały prawdziwym dobrodziejstwem. Niestety, wyprowadzano nas tylko 2 razy w tygodniu. Jeśli dobrze pamiętam, to w spacerze brali udział więźniowie z 12 do 15 cel. Spacer często prowadził Ryszard Fryszkowski. Należał do szczególnie zaufanych pracowników służby więziennej. W swojej pracy prześcigał najbardziej gorliwych. Szczególną uwagę zwracał na każdy ruch, który mógł sugerować przekazywanie informacji. Obserwowało nas jeszcze dwóch oddziałowych, którzy pełnili służbę na tzw. kogucie. Były to budki strażnicze, nadbudowane na murach okalających więzienie. Spacer trwał maksymalnie 20—25 minut.

Pomimo takiej czujności, zdołaliśmy się wzajemnie kontaktować, nawet przekazywać grypsy. Spacer to okazja do poznania współwięźniów z sąsiednich cel. Przekazywaliśmy pozdrowienia oraz życzenia z racji świąt. Niekiedy można było odnowić starą znajomość, zawartą w transporcie względnie w poprzednim więzieniu. Odwzajemnialiśmy subtelne ukłony i rozdawaliśmy życzliwe uśmiechy. Przy wchodzeniu do bramy często udało się zamienić kilka zdań.

Ze spacerów z tego okresu pamiętam: Skalskiego, Siłę-Nowickiego, Kuleszę, Brzostowskiego, Bukowskiego z Wilna, Salamona, Sawickiego ze Lwowa, Wałacha z Istebnej, Walczaka z Francji,

Janusza Krasieńskiego, Jurka Juszkiewicza, Jana Pareniuka z Winnicy, Zygmunta Wachnickiego, Broniewicza, Karwowskiego z Białostockiego i wielu innych.

Jesienią 1951 r. władze więzienne szczebla centralnego urządziły sobie w rawickim więzieniu makabryczną rozrywkę. Z samego rana w białym pawilonie słysząc było doniosłe polecenia i niespotykany ruch na korytarzu. Kolejno otwierały się wszystkie cele. Polecono rozbierać się do naga i wychodzić na korytarz. Musieliśmy stać twarzą do ścian, z rękami opartymi na tułowiu. Nagie, trzęsące się z zimna postacie tworzyły szpaler, w środku którego przechadzała się świta funkcjonariuszy MBP z Warszawy, w tym również wiele kobiet. W tym czasie ekipy specjalne przetrząsały cele. Z sienników wysypano resztki słomy. Rozrzucono nasze ubrania, zapasy żywności, lekarstwa przesłane przez rodziny, także najdrobniejsze przedmioty osobiste. Zniknęły trzy książeczki do nabożeństwa oraz kilka rodzinnych zdjęć. Do celi wróciliśmy po pół godziny. Na efekt kipiszu patrzyliśmy ze zgrozą. Miał on pozorować poszukiwanie źródeł przecieków wiadomości, przekazywanych poza mury więzienia. Kiedy podano mocno spóźniony obiad, brodziliśmy zmarznięci w pozostałościach sproszkowanej słomy.

W szare więzienne życie wkradały się też niekiedy zabawne chwile. Zimą porą karmiliśmy gołębie, wysypując za okno okruszki więziennego chleba. Jeden z najbardziej wulgarnych oddziałowych — Kukawka zauważył pod oknem przesiadujące ptaki. Wpadł z krzykiem do naszej celi i zapytał: „*Który tutaj karmi gołymbie? Czy wy wiecie co to jest gołomb? Gołomb jest to taki ptok, który wam może przynieść wolność. Jak was jeszcze roz chycym, pójdziecie wszyscy do karcera*”.

Niepostrzeżenie w naszej celi zrobiło się wesoło. Nasz ciemiężca swoją głupotą potrafił wszystkich roześmieszyć.

W więzieniu czas upływał w zwolnionym tempie. Niestety w odwrotnej proporcji postępowało wyniszczanie naszych organizmów. Podczas rutynowego prześwietlania więźniów, wykryto u mnie postępującą chorobę płuc. Pełniący obo-

wiązki lekarza, więzień dr Mróz, skierował mnie do szpitala. Na izbę chorych przeznaczono jedną dużą salę, która mieściła około 50 więźniów, oraz kilka niewielkich pomieszczeń, gdzie w maleńkich odstępach ustawiono po 10 łóżek. Początkowo skierowano mnie do izby malej, po pewnym czasie przeszedłem na wielką.

Leczenie polegało przede wszystkim na tym, że chorzy otrzymywali na śniadanie mleczną zupę oraz łyżkę cukru. Poza tym łóża betonowej posadzki zamieniono na żelazne łóżka. Był koc, którym można się było okryć nawet w ciągu dnia i dowoli korzystać z posłania. Wspólnie z doktorem Mrozem opiekę nad chorymi sprawował medyk Spyrka. Oboje wykazywali wielką troskliwość, chociaż możliwości niesienia pomocy były bardzo ograniczone. Aplikowane lekarstwa pochodziły przede wszystkim od rodzin.

Przyznać muszę, że już sam od-poczynek w warunkach względnego spokoju, gdzie wyeliminowano zrywanie więźnia na każdy zgrzyt klucza, był wielkim dobrodziejstwem i bardzo korzystnie wpływał na stan naszego zdrowia. W tym miejscu możliwy stawał się bliski, serdeczny kontakt z wieloma więźniami. Wspólna egzystencja zależała od atmosfery, która zawsze była wypadkową cech osób ze sobą związanych. Przebywało się w towarzystwie wielu ciekawych ludzi, dowolnie przez siebie wybieranych. Poszerzało się wiedzę o życiu i świecie.

Większe grupy więźniów często zbierały się wokół rotmistrza (nazwiska nie pamiętam), który w zaawansowanej chorobie, barwnie i wesoło opowiadał frontowe historyjki. Pewnego dnia, po zejściu z wagi dowcipnie zauważył, że jest już całkiem dobrze, bo waga jego ciała dorównała ciężarowi cukrowego worka. Z tego okresu dobrze zapamiętałem Janusza Krasieńskiego, który — siedząc na łóżku opatulony kocem — pochylał się nad książką. Często rozmawialiśmy o literaturze. Niekiedy Janusz recytował wiersze. Na izbie chorych spotkałem Karwowskiego; partyzanta z Białostockiego. Pomimo ciężkiej choroby wielką w nim była wola życia. Uszkodzone podczas śledztwa nerki wy-

magaly częstego odsączania wody, stałe gromadzącej się w organizmie. Byliśmy równi wiekiem zaledwie 28 lat.

PRZEPROWADZKA DO WRONEK

Po trzymiesięcznym pobycie w szpitalu powróciłem na normalną celę do czerwonego pawilonu. W grudniu 1953 r. zakończył się mój pobyt w Rawiczu. Transport starym zwyczajem przypadł na kilka dni przed Bożym Narodzeniem. W Rawiczu załadowano nas do wagonów o zmierzchu.

Nocą dojechaliśmy do Wroniek. Na dworcu oczekiwał pełen komplet strażników. Krzykami, długą aleją popędzono nas do więziennej bramy. Cały rawicki transport przyjęto bez wyszukanych okrucieństw, jakie zwykle stosowano podczas przyjmowania nowo przybyłych więźniów. Tę poprawę prawdopodobnie spowodowała ucieczka na Zachód funkcjonariuszy MBP, z pułkownikiem Światło na czele. Informacje o bestialstwie całego resortu świat uzyskał od bezpośrednich sprawców. W aparacie ucisku postępowała powolna odwilż.

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia znalazłem się w północnym skrzydle na parterze. Spotkałem tu nowe twarze, innych ludzi, tylko nasze tragiczne losy były podobne.

Kolejne święta Bożego Narodzenia upłynęły w ponurym nastroju. Rachuby na amnestię, której spodziewano się w r. 1952 w związku z uchwaleniem konstytucji, zawiodły. Wolność zdawała się być ciągle odległą. Gnębiące nas choroby budziły wątpliwość przetrwania. U mnie rozpoznano anemię oraz postępującą chorobę płuc. Doktor Starobrzeski z wielkim poświęceniem opiekował się chorymi więźniami. Zalecił odpowiednie lekarstwa oraz witaminy. Żona przysłała je pocztą.

W tym roku zima była bardzo ostra. W celach dokuczał chłód. Władze więzienne udzielały zezwolenia na korzystanie z własnych swetrów. W styczniu 1954 r. żona przywiozła do Wroniek własnoręcznie zrobiony sweter. Niestety, służba więzienna odmówiła jego odbioru. Polecono nadać

go przesyłką pocztową. Sweter przez pełne dwa miesiące przetrzymywano w więziennym depozycie. Odebrałem go z końcem marca. Cieszyłem się nim zaledwie przez kilka dni. Nadeszła wiosna i pomimo dokuczliwego zimna trzeba było ponownie oddać go do depozytu. Tego rodzaju poczynania, pozorujące tylko dobrą wolę administracji więziennej, były bardzo częste.

Zwyczaj więzienne we Wronkach nie różniły się szczególnie od tych, jakie panowały w pozostałych, znanych mi zakładach karnych. Tam, jak też i tutaj, raz na dwa tygodnie sprowadzano nas do łaźni. We Wronkach podczas kąpieli nie stosowano w tym czasie żadnych przykrych niespodzianek, jak to się zdarzało w Rawiczu. Spacer więźniów odbywał się nieregularnie i zależał od widzimisie oddziałowych. Miejsce przeznaczone do spaceru było małe. Zamykało się między dwoma skrzydłami bloków więziennych.

Jesienią 1954 r. we Wronkach przebywali pracownicy Prokuratury Generalnej z Warszawy. W celi indagowali mnie za co siedzę. Naświetliłem sprawę. Polecono mi opisać przebieg aresztowania oraz zredagować prośbę o wznowienie postępowania karnego do Kolegium Sędziów przy Sądzie Najwyższym w Warszawie. Obszernie ze szczegółami przedstawiłem moje uwięzienie oraz sposób przeprowadzenia śledztwa.

26 marca 1955 r. odbyła się rozprawa. Sądowy przewód potwierdził absurdalność oskarżenia z 20 stycznia 1950 r. Teczka mojej sprawy obwarowana była klauzulą „bez prawa wglądu do akt”. Podniesiono również sprawę doniosłej wagi: „Kiedy powstała Polska”. We Wrocławiu na to pytanie, zadane mi przez por. Kapczuka (jednego z sędziów) odpowiedziałem, że 11 Listopada 1918 r. Wówczas moja odpowiedź wywołała oburzenie zasiadających w sądzie. Postrzegano mnie, jako analfabetę i wroga. W Warszawie już nie negowano tego stwierdzenia, chociaż dodano, że 22 Lipca też jest świętem odrodzenia.

Podczas tej rewizji nie wszyscy akceptowali moje zwolnienie. Utrzymywano, że nie zasługuję na wolność, gdyż w czasie

pobytu w zakładach karnych wykazywałem wrogą postawę wobec socjalistycznych osiągnięć naszego kraju. Taką opinię załączono z więzienia. Jednak większość sędziów wystąpiła w mojej obronie. Zwrócono uwagę, że prawie cały mój pobyt w powojennej Polsce to okres uwięzienia. Padło również pytanie: „Czy dochodziły do nas informacje o aktualnych wydarzeniach i sukcesach w kraju”. Odpowiedziałem, że do mnie dotarła tylko jedna wiadomość: o śmierci Stalina w marcu 1953 r. W czasie jego pogrzebu musieliśmy w celi stać na baczność.

Po rozpatrzeniu sprawy, kolegium postanowiło oddalić pierwotne oskarżenie. Uchyłono kolejny wyrok 15 lat. Za ucieczkę z kraju i nielegalne przekroczenie granicy skazano mnie na 1 rok i 6 miesięcy pozbawienia wolności. Kara śmierci, 15 lat i po prawie 6-letnim pobycie w więzieniu taki wyrok. Typowy przykład łamania prawa w naszej ojczyźnie.

Po rozprawie nie powróciłem do moich przyjaciół w celi. Przez kilka dni przebywałem w pojedynce w skrzydle administracyjnym więzienia, koło dyżurki. W tym czasie władze więzienia wzywały mnie wiele razy. Pytano o miejsce mego przyszłego zamieszkania, a także o to, czy noszę się z zamiarem wyjazdu do Czechosłowacji. Odpowiadałem, że moje miejsce jest w kraju.

2 kwietnia 1955 r. nareszcie otwarto przede mną więzienną bramę. Wyszedłem prosto, aleją drzew — drogą, którą tyle razy pędzono więźniów — teraz pustą. Świadomy byłem, że poza mną pozostały setki cel, w których pulsowało życie. Nurkowało mnie jedno gorące pragnienie; westchnąłem do Boga, by dla pozostałych za kratami, jak najrychlej nastąpił kres cierpień. Z Nimi żegnałem się w moich rozmyślaniach.

EPILOG

Do rodziny i bliskich wracałem z bagażem ciężko opłaconego doświadczenia. Udałem się na pocztę. Wysłałem telegram do żony. Treść jego była krótka: „Jestem wolny, jutro u ciebie”. Tylko nas

dwoje rozumiało, Ile to proste zdanie zawierało doznanych krzywd i zapowiedzi wspólnego szczęścia. Wieczorem wyjechałem z Wronek na Śląsk.

Pierwszy osobisty kontakt z moim dzieckiem, które właśnie kończyło 5 lat, trwał zaledwie 3 dni. Skończyła się ważność jednorazowej przepustki granicznej; żona wraz z dzieckiem zmuszona była wracać do Czechosłowacji. Perspektywa stałego połączenia się z rodziną okazała się bardzo odległa, bo uznawano mnie za wroga socjalizmu i odmówiono mi odwiedzin. Graniczny most polsko-czeskiej pseudoprzyjaźni z tego okresu był przeszkodą nie do pokonania. Dotąd dzielące nas kraty, zamieniono na rodzimą Olę. Dopiero po długotrwałych, licznych interwencjach, na polecenie Warszawy — kilka dni przed Bożym Narodzeniem — otrzymałem upragniony dokument, upoważniający mnie do stałego przekraczania granicy.

Starania o wspólne ognisko domowe trwały pełnych 5 lat. W r. 1960 powiększyliśmy naszą rodzinę. Na świat przyszła druga pociecha — Liliana. W kilka miesięcy później żona wraz z dziećmi zamieszkała wspólnie ze mną w Cieszynie.

★ ★ ★

W styczniu 1991 r. rawicki USC przesłał zaproszenie na uroczystość jubi-

leuszu 40-lecia naszego małżeństwa. Pojechaliliśmy do Rawicza. W naszej uroczystości udział wzięli: burmistrz miasta Bronisław Lachowicz, kierownik USC Stefania Lis, a także — na nasze życzenie — udzielający nam ślubu Marian Balcerowiak. Były przemówienia, kwiaty, serdeczne życzenia, pocałunki i łzy.

3 maja 1991 r. Urząd Miasta oraz Komitet Organizacyjny „Solidarność” w Rawiczu zaprosili nas na uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablic, upamiętniających ofiary stalinowskiego terroru w latach 1945—1956. Jedną tablicę umieszczono na murze więziennym, drugą na cmentarzu. Obydwie poświęcono równocześnie.

Po poświęceniu tablicy wygłosiłem krótkie przemówienie. Powiedziałem m.in.: „Jako więzień tego zakładu, przebywałem tutaj z trzema pokoleniami walczących o niepodległość Polski. Wszystkich łączyło umiłowanie wolności, za którą wspólnie cierpieli”.

Moje przemówienie zakończyłem osobistym fragmentem: „W tych murach spędziłem trzy ciężkie lata mego życia. Miejsce to jest mi mimo wszystko bliskie. Tutaj, 40 lat temu zawarłem z moją tu obecną żoną związek małżeński. Daliśmy dowód tego, że nawet krata nie może rozdzielić — bowiem w każdym przypadku miłość silniejsza jest od nienawiści!”

SENTENCJE

Dobrze czasami spojrzeć na siebie oczami obcych.

(Melchior Wańkowicz)

★ ★ ★

Nasze troski byłyby znośne, gdyby nie sprawiały radości naszym sąsiadom.

(Kornel Makuszyński)

★ ★ ★

Posiadanie znaczy mniej niż nadzieja.

(Władysław Tatarkiewicz)

Są ludzie, którzy przychodzą, żyją wśród nas i odchodzą najczęściej zapomniani. Jest to nieodmienna losów kolej tych wszystkich, którym nie było dane zabłysnąć jasnym światłem, wielkopomnym czynem, losem niezwykłym, który utrwaliłby się w pamięci potomnych. A przecież każdy chce, by pamięć o nim była łaskawa, dobra i długa. Takie małe pocieszenie przed ostatnią drogą w nieznanie do lepszego jakoby świata.

Spotkałem ich wielu, bo wielu spotyka się na długiej drodze. Na pewno wielu zapomniałem, ale są tacy, którzy mimo ogólnej niepamięci zasługują na przypomnienie ich postaci, chociaż krótko byli wśród nas. Leżą teraz na wiślańskim cmentarzu i może kiedyś jakaś miłościwa ręka postawi świeczkę na ich zapomnianych mogiłach. Czas bowiem i litość zabiera.

Był rok 1956. Przez cały kraj przevaliła się dramatyczna rozmowa Polaków o Polsce. Świata nadzieja na normalne życie. Mijały najgorsze czasy, bo stalinizm nie był dla nikogo lekki. Gorszym od niego być mogła i była tylko hitlerowska okupacja.

Odwiłz, jak ten okres popularnie nazywano, obejmowała nasz kraj, ale też naszych sąsiadów. Zelżały obłędne rygory. Uchyliły się wrota więzień i obozów. Z dalekiej, zimnej Syberii zaczęli wracać Polacy, którzy przeżyli. Przeżyli najboleśniej gehennę pokuty za winy nie popełnione. Wstydliwie ukrywano, skąd wracali. Mówiło się po prostu *repatrianci* ze wschodu. Resztę trzeba było sobie dośpiewać samemu. Nie był to powrót masowy. Wracający na ogół szukali rodzin, a niektórym, co nikogo z rodziny wojna nie oszczędziła, pomagała władza.

Wszedł do gabinetu i stanął bez słowa przy drzwiach. Niewysoki, szczupły, ubrany w wytartą kurtkę z szalikiem mocno dołem postrzępionym. Siwy sumiasty wąs. Twarz pociągła, jakby trochę za mocno ogorzała. Włosy prawie białe i badawczo patrzące niebieskie, trochę przez wiek spłowiałe oczy. Czegoś mi brakowało. Myślę, że rogatki z narodową rozetą, dwururki na plecach, pistoletów za pasem i miałbym powstańca z Grotgerowskiego obrazu.

WŁODZIMIERZ GOŁKOWSKI PROFESOR

Wstałem pytając, czym mogę służyć.

Nieznajomy zawahał się przez moment, poczem podszedł i wyciągając rękę przedstawił się: Julian Szpunar.

Był to nauczyciel gimnazjalny z dalekich kresów wschodnich, a nade wszystko tułacz polski wywieziony za miłość do ojczyzny do dalekiej Kamczatki, gdzie spędził lata całe. Wrócił teraz do swoich, a gdy mówił o tym, oczy mu wilgotniały. Nie potrzebował mieszkania. Znalazł przytulisko u krewnej swojej żony, zacnej wdowy po znanym malarzu. O nic nie prosił. Chciał tylko spotkać się z ludźmi, pogadać i zaoferować swoją miłość do ziemi. Powiedzieć, co to jest tęsknota i co to jest radość powrotu.

Do pracy już był zbyt leciwy. Niemniej chętnie pomagał korepetycjami z języka polskiego nie najtęższymi w tej materii uczniom. Żona jego, doktor medycyny, też nie pracowała zawodowo, ale wielu ludziom pomogła i to prawie zawsze bezinteresownie.

Ale to wszystko działo się później. Wizyta u mnie była na początku, wnet po przyjeździe. Uważał, że trzeba poznać władzę, a dopiero potem zawierać inne znajomości. Stąd wizyta w moich progach.

Gadatliwy był bardzo. Mówił z prawdziwą przyjemnością, jakby chciał wygadać się za samotność wygnańca. Mówił jednak ostrożnie, by nie powiedzieć za dużo. Przecież już dosyć doświadczył. Wiedział, że słowo wróblem wylata, a wołem wraca, a przede wszystkim nie wiedział z kim rozmawia, no bo skąd.

Zagadaliśmy się setnie, aż sekretarka po raz któryś zaglądając przypominała, że czekają inni.

Od tej pory był moim prawie codziennym gościem. Przychodził z reguły pod koniec dnia pracy i zaczynały się popołudniowe rodaków rozmowy. Gdy przeszkodziło jakieś zebranie, był niepokieszony. Otwierał się co raz bardziej, aż wyjawiał, że właściwie jego prawdziwym posłannictwem jest poezja!

Pisał dużo i nie najlepiej, ale w tych poprawnie ułożonych strofach gorzała wielka miłość do Polski i jej narodu. Mniej parął się liryką, choć ta wychodziła mu nawet lepiej. Miał, jak każdy lepszy czy gorszy twórca, swoje marzenia. Marzył, jak sam mówić, zostać wiślańskim poetą. Może myślał o całej Wiśle łącznie z rzeką, bo często podkreślał, że chce być wiślanym poetą. A to trochę więcej jak jedna dziedzi-
na. Biedakowi brakło czasu. Przyjechał w Beskidy jako stary, zmęczony człowiek z nie najlepszym zdrowiem. Mimo to stał się widoczny w mieście i w społeczeństwie. Tylko czas uciekał coraz szybciej, a nasz Profesor chylił się bardziej i bardziej ku matce ziemi.

Lubił przemawiać nad grobem jeśli chowano nawet mało znaną mu osobę. Krasomówczym wywodem wprawiał w zdumienie nie tylko księdza, ale nawet najbliższych, że tak wielką ponieśli stratę. Nawet przewidywany spadek i stypa nie miały poprzednich uroków. A profesor tryumfował, drobiać w kierunku domu.

Wysokie Władze przypominały sobie, że trzeba by pokazać, że troszczą się o repatriantów ze wschodu. Przybył więc pewnego dnia z Katowic, aż z KW partii towarzysz na inspekcję. Wizytujący musiał się nazywać Poniński, a czasu jak zwykle miał bardzo mało. Czekwały jeszcze niezwykłe ważne zadania po drodze. Jedno z nich nazywało się pospolicie „u Dybilasa” i w istocie rzeczy było bardzo dobrą knajpą.

Poszliśmy rażno do domu pani K., gdzie zamieszkiwał nasz profesor wraz z małżonką. Dom położony był dość wysoko, dojazdu prawie nie było, więc drapaliśmy się piechotą. Towarzysz Poniński był raczej markotny i zdyszany. Otworzyła drzwi pani domu, a pan profesor zatopiony był w twórczości poetyckiej. Wyglądało to tak, że leżał na tapczaniku niepolityczną częścią ciała do góry i zawzięcie coś skrobał

w brulionie. Widząc gości podniósł się szparko i grzecznie zaprosił, by zająć miejsca za zagraconym papierami stołem. Zaczęła się jak zwykle w takiej sytuacji prezentacja gości. Ja byłem znany, ale gdy padło nazwisko gościa z KW, profesor poderwał się i bardzo grzecznie zapytał:

— Szanowny pan z których Ponińskich? Tych poznańskich czy też może z linii Ponińskich związanych z Targowicą?

Towarzysz Poniński, którego tatko nazywał się zapewne jeszcze Pomerantz, najpierw dokładnie zbaraniał, a potem, jak otworzył usta, to rozwiął wszelkie wątpliwości. Myślał, że jedyny związek obecnego Ponińskiego z targowicą był przez babkę, która w dni targowe na targowisku sprzedawała śledzie i kiszzone ogórki. Wizyta się odbyła i więcej tow. Ponińskiego nikt nie widział.

Profesor Szpunar opowiadał to zdarzenie wszystkim znajomym nie mogąc odżalować, że pan Poniński tak szybko odjechał nie zostawiając trochę czasu na głębsze rozmowy o antenatach.

Pod arkadami miał warsztat zegarmistrzowski pan Alfred Delong. Był to mistrz nad mistrze. Znał swój zawód doskonale i, co najważniejsze, był w swoich zegarkach zakochany. Znał ich tajemnice od strony praktycznej, a mógł również godzinami mówić o historii czasomierzy oraz ich twórcach. Całymi nocami siedział w książkach fachowych, które sprowadzał, sobie tylko znanymi sposobami, ze Szwajcarii i z Niemiec. Znał doskonale język niemiecki, trochę gorzej francuski, więc z literaturą fachową żadnych trudności nie miał. Tylko mocno zaczerwienione oczy świadczyły, że pan Alfred znowu całą noc rozgryzał zawiloci Patka czy innego Schafhausena.

Przyglęśli do siebie. Pan Julian i Alfred stanowili dobrany duet. Alfred wpatrywał się w wady naprawianych zegarów, a Julian snuł opowieści. Dla zmiany nastroju czasami pan Alfred odzywał się po niemiecku, co zaraz podchwytывał Julian równie mocno w tym języku.

Kiedyś w jednym z domówwczasowych przebywała grupa Rosjan, może Ukraińców, w każdym razie radzieckich ludzi. Dwóch czy trzech reprezentantów

Kraju Rad wpadło do warsztatu mistrza Alfreda, aby, jak sędzę, naprawić, a może sprzedać jakiś zegarek. Weszli akurat, kiedy dwaj starsi panowie rozmawiali po niemiecku. Do zdziwionych nieco przybyśków pan Alfred zwrócił się grzecznie, jak zawsze, po polsku, pytając co sobie życzą. Przybyli odezwali się po rosyjsku, a na to czekał tylko pan Julian, by uruchomić wodospad swojej elokwencji, tym razem w języku Tolstoja i Puszkina.

Mile zaskoczeni Rosjanie, gdy tylko na chwilę ustał potok wymowy zacnego Profesora, zapytali skąd tak doskonale zna ich język, a jak zauważyli to równie biegle włada jeszcze polskim i niemieckim.

— Jeszcze francuskim, angielskim i włoskim — wypalił podekscytowany Profesor. — Polska inteligencja na ogół zna parę języków — zakończył z dumą. — Wszego zaś języka nauczyłem się na Kamczatce, gdzie jak wy dzisiaj odbywałem turystyczną podróż w nieznane.

— Aluzju poniał — odburknął najstarszy z grupy i wycieczka opuściła przybytek pana Alfreda, chichocząc.

W te pędy po tym zdarzeniu przybiegli zacni panowie do mnie, nie będąc pewnym skutków rozmowy z niespodziewanymi gośćmi. Uspokoilem profesora — bo Alfred siedział raczej cicho — że moim zdaniem już nie te czasy i z pakowaniem się na nową wyprawę krajoznawczą nie musi się śpieszyć. Uspokoił się starszek. Wyszli rozmawiając, tym razem po polsku.

Minęły lata. Nie ma już pana Alfreda, nie ma profesora Juliana Szpunara. Nie został wiślanym poetą. Nie wiem nawet, czy ktoś ma jego wiersze, choć pisał ich tak wiele.

Bezlitosny czas zaciera pamięć. Może kiedyś tych słów parę opowie komuś o tych co żyli, marzyli, cierpieli i zgaśli jak świece na wietrze, a wiatr niepamięci zasypał ich ślady?...

CZY WIECIE, ŻE...?

W golfa gra ponad 80 milionów ludzi. Ta sportowa gra uprawiana jest w Szkocji od XV wieku. Tradycyjne pole golfowe posiada zawsze 18 dołków.

★ ★ ★

Ziarna kawy przywieźli do Europy w 1644 roku z Konstantynopola marynarze płynący do Marsylii. Początkowo uważano, że kawa jest lekarstwem i sprzedawano ją w aptekach. Była też bardzo droga i tylko nieliczni mogli sobie na nią pozwolić. Pierwsza kawiarnia powstała w Paryżu w 1671 roku, a druga 12 lat później w Wiedniu, założona przez Kolschitzkiego (Kulczyńskiego). Polak ten dostał się do zapasów, pozostawionych w czasie odsieczy wiedeńskiej

w obozie Kary Mustafy, i otworzył „Kaffehaus”.

★ ★ ★

Kawałek ludzkiej skóry wielkości przeciętnego znaczka pocztowego zawiera około 3 milionów komórek, 100 gruczołów potnych i 15 tłuszczowych, 25 końcówek nerwów, metr naczyń krwionośnych włoskowatych i 4 metry włókien nerwowych.

★ ★ ★

Okolo szóstej części sekundy wynosi przerwa pomiędzy kolejnymi uderzeniami ludzkiego serca. Praktycznie więc przez jedną szóstą część naszego życia serce „nie pracuje”.

Niezwyczajnie ruchliwy, szczerze zawsze w każdą dziedzinę zaangażowany nieodżałowanej pamięci Jan Foltyn, którego bez przesady nazwać można hetmanem cieszyńskich społeczników (prawda, że brzmi to dziś niezwykle egzotycznie?), często wracał do znaczącego dla mnie spotkania:

— Pamięta pan naszą rozmowę na wystawie rolniczej?...

Jakże nie pamiętać! Było to u schyłku lata 1955 roku. Liczyłem wtedy 25 wiosen, z czego już 5 lat dość wydajnej współpracy z oddziałami „Trybuny Robotniczej” w Bielsku-Białej i w Cieszynie oraz prawie 3 lata działalności w skoczowskim radiostudio. J. Foltyn nie bez satysfakcji zapewniał mnie wtedy, że finalizowane są starania o wydawanie naszej, cieszyńskiej gazety. Jego zdaniem pismo (tytuł nie był jeszcze ustalony) powinno się ukazać pod koniec 1955 roku. W wydanej w październiku ulotce *Do naszych Przyjaciół*, jej autorzy J. Foltyn i Emanuel Guziur stwierdzili m.in.: *Jesteśmy przekonani, że pismem naszym będą zainteresowani nie tylko stali mieszkańcy Ziemi Cieszyńskiej, lecz w równym stopniu wszyscy ci, których różne więzy łączyły, względnie łączą ze Śląskiem Cieszyńskim. Pozwoliliśmy sobie nazwać ich naszymi Przyjaciółmi...*

W październiku 1955 roku w kioskach PUPiK „Ruch” pojawił się „Głos Ziemi Cieszyńskiej”, pierwsza powiatowa gazeta w województwie katowickim i w kraju, o czym niewątpliwie zadecydowały przebogate tradycje prasowe Śląska Cieszyńskiego w okresie przedwojennym.

Odnieść można było wrażenie, że istotnie cała ziemia cieszyńska „przeniosła się” na łamy dwutygodnika. Tematyka, ciekawe rubryki oraz rodzaj specyficznego ciepła emanującego z „Głosu” sprawiły, że napisałem dla nowej gazety kilka informacji. Wszystkie znalazły się w następnym numerze, co zachęciło mnie do odwiedzenia redakcji. Mieściła się kątem w dawnym zakładowym Domu Kultury Celmy (wówczas jeszcze zwanej M-2) na I piętrze przy ulicy Menniczej 10. W „rozkręcaniu” sekretariatu pomagała Wanda Strzelec, pra-

TADEUSZ KOPOCZEK

MOJA PRZYGODA Z „GŁOSEM”

cownica cieszyńskiego Oddziału „Trybuny Robotniczej”. Mgr Emanuel Guziur, redaktor naczelny, któremu spieszo było na jakieś ważne spotkanie, w drzwiach zachęcił mnie do dalszej współpracy. Poznałem też dziennikarskiego wygę red. Władysława Oszeldę, który — nie wiem z jakiego powodu — z miejsca zastrzegł się, że działa tylko „z doskoku”, bowiem jego *idée fixe* jest dziennikarskie „wolne strzelectwo”.

W redagowaniu pierwszych numerów „Głosu” ofiarne — i co godne jest szczególnego podkreślenia — bezinteresownie pomagał red. Edward Popek, katowicki dziennikarz, były naczelny redaktor śląskiej gazety harcerskiej „Na Tropie”.

Sprawy finansowe „za symboliczną złotówkę” prowadził mgr Kazimierz Fober. Kilka tygodni później sekretarką została Irena Broda, zaś autor wspomnień na etat przyjęty został 15 stycznia 1956 roku. „Głos” tłoczyła drukarnia RSW Prasa w Katowicach.

Gazeta, tak bardzo chciana i oczekiwana przez Cieszyńiaków (żywa bowiem była jeszcze pamięć o przedwojennej „Gwiazdce Cieszyńskiej”), nie dysponowała nie tylko telefonem, ale nawet własną... siedzibą. Na warunkach darmowego sublokatora redakcja przysparzała została przez Związek Chórów i Kół Śpiewaczych (pomieszczenie o kilku zaledwie metrach kwadratowych!), zaś redaktor naczelny gabinet dzielił z kierownikiem zakładowego domu Kultury M-2 Oswaldem Szczurkiem. Zwykle pod jego nieobecność...

Mimo niedostrzeganych przez czytelników niedogodności, „Głos” z numeru

ORGAN FRONTU NARODOWEGO. W CIESZYNIE

ROZPOCZYNAJMY wydawanie własnego, regionalnego pisma, nawiązując do tradycji postępowej prasy polskiej, ukazującej się na przestrzeni ostatnich stu lat na naszej Ziemi Cieszyńskiej. Zdobytając się na to decyzję, zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę: „*światów król nie zalewie kilkunastodniowy termin, nie odstraszył nas jednak od prawdy powiększenia. I oto leży przed Wami pierwszy numer „GŁOSU ZIEMI CIESZYŃSKIEJ”.*”

Wydając nasze pismo mieliśmy na uwadze nie tylko przyszłość, ale także i przeszłość naszej Ziemi Cieszyńskiej: „GŁOS ZIEMI CIESZYŃSKIEJ” ma na wspanim odcinku realizować te zadania, które przyświecają całemu naszemu narodowi.

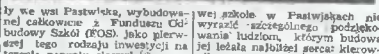
Pragniemy jednocześnie, aby periodyk cieszyński stał się rzecznikiem naszych spraw, naszych pragnień, aby przebiegało w nim to wszystko: co drga prawdą o naszym regionie, o tym wszystkim, co nas nurtuje, co nas cieszy i boli.

Trudny początek jest już poza nami. Teraz zabierzmy się do wspólnej pracy, by „GŁOS ZIEMI CIESZYŃSKIEJ” stał się naprawdę pismem Waszym — pismem Wam bliskim i drogim.

KOMITET FRONTU NARODOWEGO
W CIESZYNIE
I KOLEGIUM REDAKCYJNE

Radosnym, rucodziennym wydarzeniem było otwarcie w pier-
wzawiel polowie września bieżącego
roku szkolnej, nowoczesnej szko-
ły. Nie będziemy tu podawać
szczegółów otwarcia uczynia to
już za nas prasa codzienna i ra-
dio. Trudno jednak pisać o no-

Radosnym, rucodziennym wydarzeniem było otwarcie w pier-
wzawiel polowie września bieżącego
roku szkolnej, nowoczesnej szko-
ły. Nie będziemy tu podawać
szczegółów otwarcia uczynia to
już za nas prasa codzienna i ra-
dio. Trudno jednak pisać o no-

[illegible]

Nie będziemy tu podawał szczegółów otwarcia uczyniła to już za nas prasa codzienna i radio. Trudno jednak pisać o no-

węj szkole w Pastwiskach nie
wyrazić szczególnego podzięko-
wania ludziom, którym budowa-
nie leżało najbliższemu sercu: kierow-

Otwarcie szkoły w Pastwiskach przy udziale kilku (1) tysięcy ludzi daje początek budowie no-

wych 14 szkół, które wystawione
będą w różnych miejscowościach
naszego powiatu w ramach planu
pięcioletniego. (x)

w naszym powiecie

Z chwilą, gdy oddawa-
liśmy do druku nasz nu-
mer, otrzymaaliśmy telefo-
nicznie ostatnią meldunek
z frontu skupu. Tak więc do
dnia 25. 9. br. powiat kie-
szyński wykonał skup zbo-
ża w 89,5 proc. Do przodu-
jących w dostawach „spół-
dzielni, które wykonały w
100 proc. plan, należą:
ISKRYCZYŃSK, WILAMO-
WICE, DĘBOWICE I ZE-
BRZYDOWICE. Inne spół-
dzielnie jak: SIMORADZ,
PUNCOV I DZIEGIELÓW
pozostają daleko w tyle,
dostarczwszy zaledwie o-
kolo 50 proc. z obowiązko-
wych dostaw.

Z gromad najwięcej wy-
żazyszy się KĄCZYCE,
WICE, wykonując plan w
100 proc., co jest zasługą
ścisłej współpracy Prezy-
denta GRN z aktywem gro-
mady. Z innych miejscow-
ości miasto STRUMIEN
wykonało plan w 96 proc.,
STRUMIEN-WIEŚ w 88,6
proc., SKOZÓW - MIA-
STO 95,7 proc., SKO-
ZÓW WIEŚ 86,4 proc., o-
raz PIERSCIEŃ 95 proc.
Niektóre gromady mają
dogodne warunki do
wykonania planu, a ni-
mo to zalegały w do-
stawach. Do nich nale-
żą OGRODZONA i PRU-
CHÓW. Ogrodzona wyko-
nała 87 proc. planu, PRU-
CHÓW 92 proc., OGRO-
DZONA 75,4 proc. oraz
PUNCÓW 83,3 proc.

Jeśli chodzi o cłhopów indywidualnie gospodarujących, to na 8764 wykonało plan dostawy 4130 gospodarzy. Wiclu spośród nich zasługuje na wyróżnienie za ponadplanowe do sławy. Wymienić tu przede wszystkim należy: KAROLA SŁIWKE, KAROLA NOWAKA, JANINĘ KUPOWSKĄ, wszyscy z O. GRODZONIEJ; ADAMA BRUDNEGO i ADAMA JFZOKA z ŁĄCZKI oraz JANINĘ SZWEDĘ, JERZEGO KOCURĄ i PAŁWA BRAKA z KISIEŁOWA

W. J. I. SLE⁺

Próby rozpoczną się w październiku

Nasza redakcja nie ma jeszcze własnego środka lokomocji, więc „wypud” w teren możliwy był tylko na krótko i to na pożyczonym motocyklu. Dlatego też „wywied” został o 6. Później w Leśkim, kierownikiem Państwowej Instytutu Weterynaryjnego w Gumińsku był własny nie lakoniczny Instytut, o której mowa. Istnieje — o czym chyba było mało mieszkańców naszego po-

wiatu — zaledwie półtora roku. Jej celem jest naukowe badanie choroby cieszyńskiej świn, zwanej inaczej „cieszynianką”, a występującą co roku w powiecie cieszyńskim, bielskim, pszczyńskim i rybnickim.

Naszym rolnikom nie trzeba chyba przypominać, jak straszne spustoszenia wyrządza gospodarka chowliwej ta choroba. Niejednemu z nich doświadczył jej własnej zagroźnej. Nadzwyczajnie szuka się po dziś dzień do skutecznego środka do walki z nią.

"Cieszyntanko" — zbliziona do choroby Helme-Medina — u sw wystepuje jako zakazne zapeleni mózgu i rdzenia, stanowiac powazny hamulec w hodowli. Tote wiadomosc, ktora podzielsi z nami dr. Larski, ze juz wkrótce rozpoczna sie próby, w now

szczęśliwą, owoceń zmierzonych
wysoko tego i dr. doc. Szlachet-
skiego z Wojewódzkiego Instytu-
tu Higieny Weterynaryjnej w
Stalinozdroju, winna zaintereso-
wać naszych rolników. Niesłusz-
nie Laraki jest skromnym pra-
cownikiem naukowym. I cho-
dowiadzenia laboratoryjne da-
ją z nową szczęśliwą dodatnie wy-
niki, ogólnie na ten temat o-
biecuję porozmawiać z redakcją
„Głosu Ziemi Cieszyńskiej” po
potwierdzeniu jej skuteczności w
praktyce. Nastąpi to krótko, bo
już w październiku br. pierwsze
próby z nową szczepionką prze-
prowadzone zostaną na terenie
powiatu parczyskiego.

działki organizacyjne: Włosa Osle
dla — Uzdrowisko, oraz Włosa —
Gromada.

Odpowiednie rozporządzenie z
ważnością od 1 lipca br. ogłoszo-
ne zostało w Dzienniku Ustaw Nr
34 z dnia 8 września br.

Zmiany administracyjne przeprowadzone na terenie tej jednej z największych wsi w Polsce, bo liczącej ponad 111 km kw. obszar, powitane zostały przez całą ludność wsi z radością. Dzięki temu uprawni się praca gromadcy, zżęgnięcie zaopatrzenie, a sam teren uodrowiżnikowo-wczamowy zyska nowe możliwości rozwojowe.

Na przewodniczącego Gmiedlowo
Uzdrowskiej Rady Narodowej
wybrany został dotychczasowy
gospodarz Wisły — ob. Gołkowski,
znany ze swej sprężystości i
zapobiegliwości w trosce o po-
trzeby terenu, zaś przewodniczą-
cą Gromadzkiej Rady Narodowej po-
wieszcza ob. A. Pilewski.

W skład Wisły-Osiedla wcho-
dzą skupiska: Obłaziec, Wista-
Centrum, Nowa Osada, Głębiec,
Dziechcinka, Gościejów i Kopy-
cie, reszta skupisk Wisły objęte
zostają administracją Gromad-
zkiej Rady Narodowej. (x).

Nadrobić zaległości w dostawie mleka

Dostawa mleka w powiecie cieszyńskim przebiega na ogół pomyślnie. Jednak należy nadrobić jeszcze zaległości, które w paru gromadach są dość poważne.

Miaskupu mleka na miesiąc wzrósł np.: dla Koniaków wynosił 3.500 litrów, a tego dnia 15. 9. dostarczono załadowo 744 litrów.

Najlepiej z doślaw mleka wywózują się gospodarze z DĘBOWĄ, DROGOMYŚLĄ i GOŁEŹSZÓWĄ; najgorsze wyniki w wykończeniu planu skutku notują gromady górskie. Jak: ISTEBAŃ, JAWOZYZNA, KONIAKÓW i BRZENA.

CZYTANIE

w następnym numerze

fiction

Gustawa Morcinka

„Miłość nie rdzewieje“

na numer zyskiwał na renomie, co zapisać należy głównie na konto liczego grona współpracowników, które tworzyli: Maria Różycka, Jan Broda, Ludwik Brożek, Władysław Czaja, Karol Kajzer, Walenty Krzyszczyk, Gustaw Morcinek, Andrzej Podżorski, Maria Kocyk, Edmund Rosner, Franciszek Sikora, Bolesław Stalmach i wielu innych.

E. Popek nie szczędził mi rad, wskazówek i pouczeń. Wprowadził mnie też w podwoje katowickiej drukarni, w owych czasach na polską miarę szczytującą się nowoczesną techniką. Od przychylności dwóch niezwykle energicznych dysponentów: Lucjana Wajzera i N. Cieślaka zależał terminowy druk „gazetki”, jak w drukarni nazywano naszą cieszyńską dumę.

Miałem też okazję uczestniczyć „w ratuszu” w kilku jałowych naradach w sprawie siedziby dla redakcji (może dlatego, że byłem dość natrętny, a może z tego powodu, że naczelny miał już po uszy bezowocnej w tej sprawie gadaniny). W gmachu „pod wieżą” możni bowiem nie czuli problemu:

— Gazeta wychodzi? No to nie ma sprawy!..

A warto przypomnieć, że „ratuszem” trząsł wtedy duet w osobach Józefa Nowaka i Heleny Suchy, których wymiotti pierwszy powiew Października (1956).

Ciężko także było z pieniędzmi. Początkowe wydania rozchodziły się zaledwie w 3—4 tysiącach egzemplarzy, na co wpływ miała przede wszystkim niezwykle niska wtedy sieć kiosków „Ruchu”, które poza Cieszynem znajdowały się jedynie w Golezowie, Skoczowie, Strumieniu, Ustroniu i w Wiśle.

Redakcja oraz Komitet Wydawniczy, któremu przewodził Jan Foltyn, próbowali przeto kolportażu zastępczego poprzez sieć sklepów Gminnych Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej”. Część nakładu kierowano zatem do magazynów Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni w Mnisztwie, skąd wraz z innym towarem „Głos” trafiał do wiejskich sklepów powiatu. Niestety, handlowa biurokracja rychło położyła niezłą na owe czasy inicjatywę.

Wozilem tedy pociągami po 2 tysiące egzemplarzy do skoczowskich fabryk, w których zmontowałem bezzwrotny kolportaż. Przy każdej nowej dostawie inkasowałem należność za poprzedni numer, kolporterowi zostawiając 15 procent prowizji. W tym miejscu warto poinformować, że „Ruch” już wtedy zdzierał 32 procent prowizji za sprzedanie jednego egzemplarza gazety!..

Zaczęły zatem narastać trudności finansowe, zwłaszcza że organizatorzy pisma nie posłuchali dobrych rad E. Popka i przystąpili do wydawania gazety z kilkoma zaledwie tysiącami złotych finansowego „podkładu”.

Błędy, którego skutki na „Głosie” mściły się w okresie kilku lat, nie powielili już nasi następcy: „Nowiny Gliwickie” (ukazały się 15 stycznia 1956 roku) i „Kronika Beskidzka” (pierwszy numer wyszedł 25 listopada 1956 roku). Oba pisma, a także wiele dalszych powstałych na Śląsku gazet powiatowych, wystartowały z zasobami powyżej 100 tysięcy złotych „w zanadrzu” (dla porównania: w owych latach koszt budowy domku jednorodzinnego wahał się w granicach 120 tysięcy złotych).

Gazety „żyją” z ogłoszeń, ale gdyby kanon ten zastosować do „Głosu”, pismo musiałoby u swego zarania „umrzeć z głodu”, bowiem wiele jeszcze lat dla owej oczywistej prawdy nie było w regionie należytego zrozumienia. Dwa pierwsze firmowe ogłoszenia pojawiły się dopiero w numerze 4, a gdyby wprowadzić średnią do końca 1956 roku, wypadłoby po niespełna 4 niewielkie ogłoszenia na jedno wydanie gazety!..

Ileż zachodu kosztowało „wydeptywanie” inseratów w dyrekcjach fabryk Cieszyna i regionu, mógłby opowiedzieć wytrawny katowicki akwizytor prasowy Stanisław Rejmanski, „z doskoku” przez pewien okres zasilający „Głos” w ogłoszenia.

Gazety powiatowe województwa katowickiego praktycznie były niczyje. Niektóre stanowiły oficjalnie organy lokalnych komitetów Frontu Narodowego, jednakże z tego tytułu niczego pożytecznego dla nich nie wynikało. Szczególnie dotkliwie

dawał się we znaki brak osobowości prawnej. Stan taki utrzymywał się do lutego 1961 roku.

Finansowe tarapaty dodatkowo pogłębiane były nieprzewidzianymi niepowodzeniami. Wydarzyło się tak z numerem 13 z 15 marca 1956 roku. Śmierć Bolesława Bieruta spowodowała konieczność przeredagowania pierwszej kolumny (strony), na której znaleźć się musiał całostronicowy nekrolog (na domiar złego usiany został licznymi błędami linotypowymi). Numer zawierał nadto kilka lepszych materiałów, co, zdaniem cenzury, zdecydowanie kolidowało z żałobnym charakterem wydania. Kolportaż „Głosu” zatem wstrzymano i dopiero po przeredagowaniu mógł się pojawić w sprzedaży. Ukazał się przeto ze znacznym opóźnieniem, co zmniejszyło sprzedaż nakładu, zaś podwójna praca w drukarni podwoiła koszt wydania. Szczupłutkie finanse gazety odbyły kolejną kurację odchudzającą...

Faktu ukazywania się pism powiatowych tzw. „wielka prasa” prawie nie dostrzegała. Jedynie Wilhelm Szewczyk „objechał” nasz „Głos” za dość swobodne potraktowanie tekstu Jerzego Putramenta (*O witaminie, której nie może zabraknąć naszej gazecie*, GZC nr 2). Istotnie. Adiutacyjna nieporadność, a głównie niedopatrzenie korekty (obowiązki te, w dodatku nie najlepiej, wykonywała pracownica katowickiej drukarni) mogło wywołać wrażenie, iż myśli J. Putramenta bezceremonialnie autor felietonu w „Głosie” przypisuje sobie. Pióro katowickiego publicysty — za sprawą łamów „Trybuny Robotniczej” — nie pozostawiło zbyt wielu suchych nitek na raczkującej „powiatówce”.

Po raz drugi W. Szewczyk zrugał nasze pismo w rok później za artykuł Władysława Czaji pt. *Warsztat pisarski Pawła Kubisza* (nr 18 z 15 listopada 1956 roku), w którym autor wziął w obronę zaolziańskiego poetę, szczerze i atakowanego przez różnego autoramentu antagonyzistów, z czeskimi nacjonalistami na czele.

W tym czasie, używając pseudonimu Marian Krawczyk, pisywałem krytyczne (nawet bardzo!) pozycje, wytykając nonsensy i absurdy regionalnej rzeczywistości. To ja wykpiłem — wywołując praw-

dziwą burzę — dwumetrowej wysokości stalową siatkę rozpiętą na betonowych słupach wzdłuż granicy rozdzielającej oba Cieszyzny...

Coraz głośniejsze stawały się sarkania decydentów, iż „Głos” staje się organem... Związku Chórów i Kół Śpiewających. Stawiano zarzuty, że pismo jest mało ambitne oraz hołduje drobnomieszczańskim gustom Cieszyńiaków. Opinię tę częściowo podzielał również E. Popek, bezskutecznie usiłujący podpowiadać publicystyczną tematykę. Przejawem swoistej nagonki było niezmiennie wymowne zdziwienie, jakie miało miejsce w połowie maja 1956 roku. W zecerni katowickiej drukarni pojawiła się Alicja Olczykowa z Wydziału Prasowego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, która gruntownie „przekopała” złamany już numer 10/17, co stało się bez wiedzy naczelnego i redakcji. Po tym wydaniu „Głosu” Wydział Prasowy KW PZPR dokonał zmiany na stanowisku redaktora naczelnego...

Został nim (w drugiej połowie maja) były pracownik ... kolportażu „Trybuny Opolskiej”, myśłowiczanie Wiktor Witecki. Nie znając specyfiki regionu ani nawet dziennikarskiego warsztatu, „podziękował” za pomoc E. Popkowi, przez pewien czas szukając rady i wsparcia N. Tepera, bodajże redaktora jakiegoś katowickiego pisma górniczego. Doradcą w sprawach technicznych (bardzo krótko) był Jerzy Adaszek z „Dziennika Zachodniego”. W. Witecki „pożegnał” się również z red. W. Oszełą, a K. Fobra uznał za zbyt czynnego.

Jego „nasłanie” zbiegło się z „wygotowaniem” nam przez władze miasta pierwszego samodzielnego lokalu. Była to jedna izba na parterze z widokiem na... chłewiki rodziny Kofinów, z wejściem przez zakamarkowy korytarz od strony Gęsiego Targu. Prawie awantura „w ratuszu” oraz wszelkie możliwe interwencje spowodowały, że w październiku 1956 roku przenieśliśmy się do obszernych pomieszczeń w Domu Narodowym (parterowa amfilara po prawej stronie korytarza).

Zatrudniono gońca (Irena Werner), ale nade wszystko W. Witecki zaangażował... kierownika administracji (Jerzy

Fabianowski), który do końca niezbyt długiego pobytu w „Głosie” nie znalazł swych obowiązków. „Kronika Beskidzka” podsunęła nam Ewę Kwiecińską, a pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że korektorem będzie Zygmunt Kuna (z Mysłowic!). De facto Z. Kuna był kompanem częstych wypadów W. Witeckiego i do niczego więcej się nie nadawał.

CORAZ BARDZIEJ STROMO POD GÓRĘ

Z numerem 12(19) pojawił się Jerzy Sikora w charakterze fotoreportera. Była to rozsądna decyzja kadrowa. J. Sikora dysponował bowiem własnym samochodem, dzięki czemu stworzyliśmy operatywny duet reporterski, docierający do najbardziej odległych zakątków regionu. Dostarczaliśmy ciekawostek oraz informacji o życiu i pracy mieszkańców powiatu.

Niech mi będzie wolno na dygresję, anegdotyczną.

W Hażlachu urządzono wystawę najbardziej dorodnych płodów rolnych. I tam dotarliśmy z J. Sikorą. Naszym cicerone był Walenty Kuchejda, komisarz wystawy. Notowałem wszystkie jego wypowiedzi, w tym tajemnicze wyhodowania przezeń dorodnych ziemniaków. Długo potem kpili ze mnie agronomowie i rolnicy. Mój rozmówca (jak dowiedziałem się później, znany kawalarz) swoje ziemniaki „wyhodował” z nasion, w jakie przeistaczają się kwiaty kartoflanej naci (GZC nr 20(27). „Maliny”, w jakie wpuścił mnie W. Kuchejda, były typowym frycowym, jakie zapłacić trzeba w każdym zawodzie...

Czerołamowa winieta (projektu Gustawa Porębskiego) z numerem 13(20) została ścieśniona do trzech szpalt, ale już w numerze 21(28) pojawiła się nowa, projektu artysty plastyka Edwarda Biszorskiego. Był to też pierwszy numer, który zapoczątkował cotygodniowe ukazywanie się „Głosu”. Winiety były prawdziwą zmurą naszej gazety. Jeszcze dwukrotnie zmieniał się ich wizerunek (projektów Leszka Januszewskiego oraz mgr. inż. arch. Zbigniewa Kołdra), zanim przyjęto ostateczną wersję (artysty plastyka Jana Hemny).

Nie pamiętam, aby W. Witecki „zhańbił” się napisaniem czegokolwiek, nie skleił najbardziej nawet lapidarnego podpisu pod zdjęcie. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość: 16 września 1956 roku „Głos” zorganizował I Wyścig Kolarski Dookoła Ziemi Cieszyńskiej — imprezę, która zyskała duży rozgłos. Ale też prawdą jest, że pomysłodawcą i głównym organizatorem był Bolesław Stalmach, który ideą wyścigu zarazić potrafił liczne grono cieszyńskich działaczy sportowych.

Tymczasem kasa „Głosu” coraz bardziej przeświecała pustym dnem, co na nowym szefie nie wywierało najmniejszego wrażenia. Zachłystywał się wielkimi planami zdobycia ogromnych pieniędzy, co w istocie sprowadzało się do ciągu finansowych niepowodzeń, które dotkliwie objawiły się z numerem świątecznym (Boże Narodzenie 1956 roku). Zapowiadany szumnie jako 12-stronicowy, w istocie wyszedł w normalnej 8-stronicowej objętości, a na dokładkę z ogromnym opóźnieniem: po świętach. Czyż można się dziwić, że znakomita większość nakładu przeleżała się w kioskach do następnego wydania? Był to skutek opieszałości W. Witeckiego, a nade wszystko ignorowania godzinowego harmonogramu, ustalonego przez kатовicką drukarnię prasową. Nie był to odosobniony przypadek.

Finansowym zbawieniem miał być kalendarz ścienny na 1957 rok (pierwszy, w efektownej szacie graficznej, na rok 1956 ukazał się już na początku grudnia 1955 roku). Kalendarz zapewne byłby znaczącym zastrzykiem gotówki (na rynku nie miałby prawie żadnej konkurencji), gdyby nie prozaiczny fakt: z druku wyszedł dopiero pod koniec... lutego (sic!). Jego stosy zalegały redakcję do czasu „wydumania” nowego panaceum na podratowanie finansów gazety. Miał nim być... flirt towarzyski, zaś kalendarz, a ściślej jego niezadrukowana strona, posłużył w charakterze banderoli dla kolejnego niewypału W. Witeckiego. Flirt na przestrzeni wielu lat odbijał się dokuczliwą czkawką, kiedy po gruntownych inwentaryzacjach w wiejskich sklepach czy kioskach „Ruch” do redakcji wracały sterty wydawniczego bubla.

Kolejnym ciosem było wstrzymanie na kilka dni rozpowszechniania numeru 3(38) z 16 stycznia 1957 roku (numer przedwyborczy, w którym przedstawiano technikę głosowania z koniecznością udania się za... kotarę; tymczasem na kilka dni przed wyborami ukazał się apel Władysława Gomułki o głosowanie bez skreśleń). Podobnie jak świąteczny, numer do kiosków dotarł kilka dni po tradycyjnym terminie ukazywania się w sprzedaży (czwartek), skutkiem czego nie został rozsprzedany.

Katowicka drukarnia, której „Głos” zalegał za druk kilkunastu numerów, groziła odmową dalszych usług. Kropłą w morzu potrzeb była dotacja Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w kwocie... 18 tysięcy złotych. Tymczasem koszt druku jednego numeru (wraz z kosztem papieru) wynosił około trzech tysięcy.

Wstrzymano wypłatę honorariów, co dotkliwie ugodziło zwłaszcza w mój byt. Byłem jednak jedynym dyspozycyjnym dziennikarzem, w większości zapelniającym łamy pisma. E. Kwiecińska umiejętnie potrafiła zniknąć na kilka dni, toteż na jej miejsce W. Witecki przyjął Jerzego Kocinę z... katowickiego „Kolejarza”. Redagowałem i opracowywałem rozrywki umysłowe, z numerem 6(41) zapoczątkowałem rubrykę *Na harcerskim tropie*, zacząłem pisywać krótkie krytyczne felietony, sygnowane pseudonimem Pankracy Wszędobylski.

Z numerem 15(50) pojawił się Jan Rusz, co prawda z „Trybuny Mazowieckiej”, ale rodowity Zaolzianin. Powiało nadzieją, bowiem miał ciekawe pomysły, ale W. Witecki w obawie „o stół” szybko przepędził go z „Głosu”. Złożyłem pisemne wymówienie, które „naczelný” podarł na moich oczach. Sklejone przechowuję wśród osobistych dokumentów.

Drukarnia w Katowicach dotrzymała słowa. Po wydaniu 17(52) numeru kategorycznie odmówiła dalszego druku „Głosu”. Po dwutygodniowej przerwie z okładem numer 18(53) wyszedł jako gazetowy debiut Cieszyńskiej Drukarni Wydawniczej, krótko przed tym usamodzielnionej po wielu latach „niewoli” w bielskiej akcydensówce. Ucierpiała szata graficzna, gdyż odtąd „Głos” drukowany

był w jednym kolorze, na maszynach płaskich, co wyraźnie wydłużyło proces technicznego powstawania gazety. CDW nie dysponowała też niezbędnymi do łamania gazety materiałami zecerskimi, a nade wszystko chemografią. Stąd materiał fotograficzny ukazywał się w „Głosie” z dwutygodniowym opóźnieniem, gdyż cynkowe klisze wykonywane były w różnych drukarniach w centrum Śląska. CDW natomiast posiadała atut niepodważalny w postaci linotypistów, zecerów ręcznych i drukarzy obdarzonych szczerym sentymentem dla „Głosu”.

W. Witecki wyleciał z hukiem pod koniec maja 1957 roku. Do dziś nie wiem dlaczego o tym fakcie czytelników powiadomiono dopiero w miesiąc później...

Redakcyjny ster ujęła Maria Różycka, dotychczasowy kierownik cieszyńskiego Oddziału „Trybuny Robotniczej”. Z personelu pozostali: I. Broda, I. Werner, a z grona dziennikarzy J. Kocima, zresztą nie na długo, i ja. Na łamy „Głosu” powrócił W. Oszełda, niezmiennie jako „wolny strzelec”.

Brakowało fotoreportera. J. Sikora rozkręcał prywatne interesy, a nie było pieniędzy dla zatrudnienia następcy. Spróbowałem, a dzięki wyśmienitej szkole, jaką przeszedłem pod okiem nieodżałowanego przyjaciela inż. Leszka Sikorowskiego, „frycowe” było i krótkie i mało kosztowne. Kupiłem (za swoje!) świetny aparat, zgromadziłem sporo fachowej literatury i fotografowałem, wywoływałem filmy, kopiowałem. Słowem, nabierałem rutyny. Dziś, z czasowego dystansu, wejście w drugą dziennikarską „skórę” oceniam jako... samobójczy zamach.

Szefowanie M. Różyckiej charakteryzowało zrozumiałe zaciskanie pasa. Z Robertem Danelem (na łamach „Głosu” pojawił się z numerem 35(70) nie otrzymaliśmy nadobowiązkowej wierszówki, mimo iż tzw. normy miesięcznego obowiązku mieliśmy wywindowane do maksimum. Mimo daleko posuniętych oszczędności, kłopotom finansowym w dalszym ciągu nie było końca, a ogłoszenia napływały nader skąpo. Gazeta nadal była pismem niczym. Dopiero w marcu 1960 roku powstał dziwotwór mający stanowić pana-

ceum na wszystkie dolegliwości śląskich pism powiatowych: Wojewódzki Zakład Wydawniczy pod dyrekcją Antoniny Myrchy. Od tej pory trzeba było łożyć — i to nie mało! — na utrzymanie coraz liczniejszych darmozjadów i wszelkiego autoramentu nieudaczników, zatrudnianych przez WZW. Nie pamiętam, by „Głos” doznał jakiegokolwiek pomocy ze strony WZW, zwłaszcza w tak newralgicznej kwestii, jak zdobywanie papieru drukowego, będącego surowcem reglamentowanym. Na zmianę z R. Danelem (poza redaktorem naczelnym byliśmy jedynymi dziennikarzami) niezależnie od naszych zawodowych obowiązków, jeździliśmy do wytwórni papieru i różnych drukarni, by wyzebrać — często tylko kilkadziesiąt kilogramów cennego surowca, niezbędnego do wydrukowania kolejnych numerów „Głosu”. WZW — mimo buńczucznych obietnic — nie unormował nawet naszych spraw pracowniczych.

Pieniądzy zatem nadal brakowało. M. Różycka, znająca moje uzdolnienia organizatorskie, sentyment do pisma oraz zdobyte w regionie znajomości, niedwuznacznie sugerowała mi zajęcie się pozyskiwaniem ogłoszeń. Czegóż nie robiłem dla dobra „Głosu”? Na rok przestałem być dziennikarzem (akwizycja ogłoszeń stoi w sprzeczności z dziennikarskim kodeksem obyczajowym, ale też prawdą jest, że członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zostałem dopiero w kilka lat później), natomiast zostałem „wypożyczony” dla celów akwizycyjnych (posiadam wszystkie dokumenty sprawy). W krótkim czasie kasę „Głosu” — tfu! tfu! — Wojewódzkiego Zakładu Wydawniczego zasilłem niebagatelnym zastrzykiem.

Akwizycja kosztowała wydeptywanie ścieżek (także w dosłownym znaczeniu: nie dysponowaliśmy żadnym pojazdem!), polerowanie klamek, straty czasu, a nawet upokorzenia. Niechętnie bowiem zlecano „Głosowi” zamieszczanie ogłoszeń! Popędzany jednakże ambicją, nie ustępowałem. Cieszyłem się także na zagwarantowaną umową prowizję, gdyż zamierałem kupić motocykl — pojazd marzenie w warunkach tak bardzo rozległego powiatu (mało kto zdaje sobie sprawę z faktu,

że chcąc z Koniakowa dotrzeć do Strumienia lub Zebrzydowic pokonać trzeba odległość ponad 60 kilometrów) oraz lubianej przeze mnie reporterki. Kiedy jednak doszło do wypłacenia mi należności, zmieniono warunki umowy, skutkiem czego otrzymałem zaledwie czwartą część zagwarantowanej prowizji!...

Długotrwały niesmak łagodził fakt, iż moja roczna akwizycja w znaczący sposób przyczyniła się do likwidacji wszelkich długów, w jakie popadł „Głos” głównie za sprawą myślowickiego nieudacznika.

„GŁOSU” CZAS NORMALNOŚCI...

Z dniem 1 lutego 1961 roku gazety powiatowe województwa katowickiego przejęła RSW „Prasa”. Zbiegło się to ze zmianą na stanowisku naczelnego redaktora „Głosu”, którym został Jerzy Stanisław Polaczek — poeta, prozaik, przedwojenny szef cieszkowskiego „Dziennika Polskiego”, po II wojnie światowej korespondent Polskiej Agencji Prasowej w Pradze.

RSW „Prasa” zaczęła porządkować i normować wiele dotychczas zaniedbanych lub niedostrzeganych spraw. Oprócz normalnych dziennikarskich obowiązków dodatkowo objąłem funkcję redaktora technicznego, a w jakiś czas później jeszcze... fotoreportera. Korektorem, w miejsce Ludwika Halskiego, został Karol Sabella, akwizytorami ogłoszeń byli Tadeusz Wójcik, a po nim Jan Ociepka. Jeszcze za szefostwa M. Różyckiej zwolniła się Irena Broda-Niedoba, na której miejsce zatrudniono Marię Gomola.

Coraz liczniejszy był krąg renomowanych współpracowników. Ich listy „Głos” zamieszczał z okazji jubileuszy oraz w numerze pożegnalnym (w wykazie tym zapomniano nazwiska Stanisława Ceranowicza).

Redakcja gnieździła się natomiast w dwóch tylko pomieszczeniach Domu Narodowego na pierwszym piętrze, spośród których redaktor naczelny zajmowała jedno z dwóch pomieszczeń. W opuszczonych przez „Głos” parterowych pomieszczeniach powstała niebawem sympatyczna

tyczna klubo-kawiarnia „Nasz Kąć”, w której koncentrowało się kameralne życie kulturalne Cieszyna.

Podpatrzyłem, że amfiladowo przylegające do redakcji dwa lokale rzadko wykorzystywane były przez Dom Kultury (po Październiku 1956 roku Komitet Powiatowy PZPR przeniósł się do kamieniczki przy ulicy Menniczej 10). Podjąłem starania o przydzielenie nam tych pomieszczeń. Uzyskałem zgodę kierownika Domu Kultury Jana Cieślara. Było to dla zespołu redakcyjnego zbawienne, bowiem o spokojnej pracy w sytuacji, gdy jeden drugiemu siedział „na plecach” nie mogło być mowy, zwłaszcza, że zespół powiększony został o Władysława Oszeldę. Opowiadał nam później J.S. Polaczek, że kilka razy nakłaniał W. Oszeldę do objęcia etatu w „Głosie”, ale nie udawało mu się niczego wskórać u nieprzejednanego dziennikarskiego „wolnego strzelca”. Użył wreszcie argumentu ostatecznego:

— Nie będzie pan coraz młodszy, trzeba zacząć myśleć o zabezpieczeniu starości. Kto panu zapewni emeryturę?...

„Dasz palec — musisz dać także rękę” — mawia znane porzekadło. Innymi słowy „ubrano” mnie również w pokierowanie remontem oraz adaptacją czterech redakcyjnych pomieszczeń, z czym uporałem się mimo... normalnych zawodowych obowiązków. Zdobyłem meble oraz luksus na owe czasy: kilkunumerową centralkę telefoniczną, co dało powód do wytargowania jeszcze jednego niewielkiego pomieszczenia na pierwszą w dziejach „Głosu” ciemnię fotograficzną (w której umieszczono także telefoniczną łącznicę).

Sport w „Głosie” zaczął redagować Józef Kliś (kierownik bielskiego Oddziału „Trybuny Robotniczej”). Pisywał on również wywiady z ludźmi polskiego filmu, opatrując je fotosami oraz ich dedykacjami dla czytelników „Głosu”. Skąd J. Kliś mógł wiedzieć, że wybitny operator Kurt Weber pochodził z... Cieszyna, a będąc u rodziców przeczyta wywiad z... sobą? Wybuchła awantura. Autor wywiadów ubłagał jednak przebaczenie wielkodusznego J.S. Polaczka.

Jakiś czas pracował w „Głosie” Tadeusz Patan, który popadł w konflikt

z naczelnym „Kroniki Beskidzkiej” Władysławem Czają. Po jego powrocie do Bielska-Białej, przyjęta została Urszula Burzywoda, absolwentka cieszyńskiego Studium Nauczycielskiego. Na krótko jednak. Na jej miejsce przyjęty został najstarszy współpracownik Stanisław Ceranowicz, urodzony do dziennikarki oraz obdarzony niezwykłym talentem wynajdywania gazetowych tematów.

„Głos” zaczął przeżywać rozkwit. Nakład rósł z miesiąca na miesiąc. Naczelnny i sekretarz redakcji — Robert Danel — tworzyli wyjątkowo zgrany tandem, co piśmu wychodziło na dobre.

290 tygodni „Głos” składany, łąmany, i drukowany był w Cieszyńskiej Drukarni Wydawniczej, która (zwłaszcza wtedy, zanim uległa rozbudowie i modernizacji) nie była przystosowana do wydawania gazety. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość ówczesnemu zespołowi kierowniczemu w osobach Franciszka Halskiego, Teofila Frydla oraz Emila Kałuży, którzy uczynili wszystko, aby gazetę wydawać. Załoga zaś „wychodziła ze skóry”, by stale polepszać techniczną stronę tworzenia „Głosu”. Warto zatem przypomnieć ich nazwiska. Linotypiści: Paweł Brudny, Karol Fajker, Maksymilian Kaczmarek, Karol Kajzar, Eugeniusz Latanik, Karol Mendroch, Józef Neffe, Zygmunt Ogrodzki, Jan Oskroba, Józef Oskroba, Karol Paździora, Jan Starzec, Franciszek Stec, Karol Stoszek, Leszek Szczygiel, Michał Wałach, Karol Wantulok, Jan Żyła. Zecerzy ręczni: Adam Bereziński, Stanisław Dąbrowski, Gerard Dudek, Erwin Folwarczny, Karol Franek, Jan Glajc, Władysław Gołębiowski, Karol Kostka, Bogusław Kubaszczyk, Franciszek Piecha, Teodor Pierchała, Walter Rygiel, Władysław Sacha, Zbigniew Walica, Adam Wałach. Obu zespołami kierował Ludwik Halski, który często także siadał za linotypem. Maszyniści: Karol Chmiel, Władysław Gabzdyl, Andrzej Jurczok, Franciszek Kmoniczek, Rudolf Kuboszek, Franciszek Pollak, Jan Raszka, Józef Skudrzyk, Szczepan Szczotka, Józef Wiśniowski, Karol Wiśniowski, Jan Żertka.

Nr 51/2/342/3 był ostatnim, który zszedł z maszyn Cieszyńskiej Drukarni Wydawniczej. Dalszego tłoczenia „Głosu”

ponownie podjęła się katowicka drukarnia RSW „Prasa”, której już dawno cieszyńska „powiatówka” spłaciła zadłużenie.

Pcha się pod pióro zdarzenie godne zbioru dziennikarskich anegdot.

Istniała w powiecie firma, do której zadań należała troska o jakościowy stan dróg. Aliści było to przedsiębiorstwo, któremu raz po raz coś wytykaliśmy. Aż nadszedł jubileusz 15-lecia PRL, a wraz z nim nakaz zaprezentowania pozytywnego obrazu gospodarki. Z braku skorych do spłodzenia laurki o firmie, w którą wycelowane było ostrze naszej krytyki, temat podjął się J.S. Polaczek. Jednakże dowcipny linotypista w Cieszyńskiej Drukarni Wydawniczej (a takich nigdy nie brakuje) miast złożyć Rejon Eksploatacji Dróg Publicznych, przeinaczył nazwę na „Rejon Eksploatacji... Domów Publicznych” (sic!). Korektor w wyrazie „Domów” błędu się nie doszukał i... poszło!

Użyli sobie po „Głosie” krakowski „Przekrój”, łódzka „Karuzela” i katowicki „Kocynder”, ale gwoździem wszystkiego był sądowy pozew Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych, wniesiony przeciwko „Głosowi” o... zniesławienie.

J. Ociepce zaczęło być w „Głosie” ciasno. Akwizytorem ogłoszeń została Zofia Kawecka, obsługująca równocześnie „Kronikę Beskidzką”. Poznanianka z pochodzenia zapisała się jako pracowita, obowiązkowa i wysoce kulturalna osoba, wzór wielkopolskich cnót i zalet.

Wiosną 1967 roku zespół redakcyjny zasilił Paweł Czupryna. Nie bez oporów rozstawał się z „prawdziwą gazetą”, jaką była „Trybuna Robotnicza”, w której znalazł się bezpośrednio po zakończeniu studiów. Miejsce S. Ceranowicza zajął Franciszek Zahradnik.

Ktoregoś dnia w redakcji zjawił się niespodziewanie dyrektor Śląskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa” mgr Karol Szarowski oraz przedstawiciel Wydziału Prasowego KW PZPR w Katowicach. Obaj przywieźli „prezenty”. Dyrektor dodatkowy etat, zaś aparatczyk... Urszulę Garbień. Urszula szybko przełamała lody. Okazała się bardzo równą koleżanką. Ale nie tylko. Oprócz dobrego pióra cechowała ją pracowitość, chęć zgłębiania tajników

redakcyjnej kuchni. Szybko opanowała techniczną stronę redagowania gazety i w bardzo krótkim czasie zaczęła dobrze fotografować (posiadła również arkana fotograficznej obróbki laboratoryjnej). Była jedynym dziennikarzem „Głosu” dysponującym własnym samochodem, dzięki czemu nie trudno jej było docierać do najbardziej odległych zakątków powiatu.

Tradycję prima-aprilisowych zwołów zapoczątkowaliśmy z numerem 13(48), na którego łamach pojawił się m.in. spreparowany przeze mnie fotomontaż oraz wiadomość o rozpoczęciu przez Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni ratalfnej sprzedaży zagranicznych samochodów osobowych, co miało się odbywać w obszernych magazynach na Mnisztwie. Skutek? Jeden z czytelników (z Wodzisławia) roztrzaskał swoją łaskę o redakcyjne biurko...

W dalszych latach „rodziły się” w Cieszynie aprilisowe trojaczki, Prezydium Powiatowej Rady Narodowej rozpoczynało budowę domków jednorodzinnych ze splatą na raty (dowcip na poważnie przechwyciła Polska Agencja Prasowa!), zawałiła się (fotomontaż) baszta cieszyńskiego zamku, a Celma postanowiła „wydrążyć tunel” pod miastem, by doprowadzić do fabryki bocznice kolejową.

W czterdziestoletnich dziejach pisma odnotowaliśmy też kilka procesów sądowych o zniesławienie, z których — poza jednym przypadkiem (dla ścisłości w sprawę „wrobił” nas jeden z sekretarzy KP PZPR) — wychodziliśmy z „tarczą”.

Jeden proces wart jest nie tyle przypomnienia, co wyciągnięcia na światło dzienne, bowiem by nie drażnić „lwa”, przemilczany został jego epilog.

J.S. Polaczek w oparciu o rozpaczliwy list opisał makabryczne i karygodne zdarzenie: na oczach sankujących się zebrzydowickich dzieci myśliwy zastrzelił psa. Czworonóg był znajdującym, wyleczonym, karmionym i hołubionym przez działwę. Myśliwy (wieść gminna niesła, iż był stałym dostawcą dziczyzny do „białego domu”) wniósł do sądu pozew o zniesławienie. W sprawę wniósł się I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR Antoni Huczek, czego efektem było sądowe uznanie auto-

ra artykułu winnym zniesławienia (nie bez znaczenia w sprawie była wyraźna stronniczość ze strony dyspozycyjnego sędziego). Apelacja wniesiona przez J.S. Polacka do Sądu Wojewódzkiego w Katowicach spowodowała skierowanie sprawy do ponownego rozpoznania przez Sąd Powiatowy w Cieszynie, jednakże w zupełnie innym składzie sędziowskim. Pozew „obrażonego” myśliwego został oddalony, zaś on sam musiał wysłuchać wielu cierpkich słów, jakie padły z ust sędziego.

A. Huczek postanowił nie dać za wygraną. Widać było wyraźnie, że „zagął parol” na redaktora naczelnego „Głosu”. Chociaż Jerzy (po kilku latach, kiedy byłem już na rencie inwalidzkiej, mój były szef zaproponował mi przejście na ty) jeszcze wiele lat z powodzeniem mógł kierować redakcją, wypchnięty został na emeryturę (kilka miesięcy wcześniej w stan zawodowego spoczynku przeszedł W. Oszelda, zaś U. Garbień osiągnęła wymarzony cel: etat w warszawskim piśmie kobiecym).

W latach 1971—1972 kierował „Głosem” Andrzej Niedoba, poprzednio spiker w TV Katowice. Narzucony przez niego profil tygodnika nie uzyskał akceptacji czytelników. Z początkiem 1973 roku naczelnym redaktorem został R. Danel. Udało mu się nakłonić Kazimierza Gołębiowskiego do objęcia funkcji sekretarza redakcji (wrzesień 1973) i nie można było dokonać trafniejszego wyboru! F. Zahradnik został dyrektorem Miejskiej Biblioteki Publicznej, a z tarnogórskiego „Gwarka” przeniosła się do „Głosu” Jadwiga Lachówna. Sekretariat objęła Alina Kumiega i wszyscy bardzo żalowali, gdy po czasie odchodziła na inną, bardziej płatną posadę. Jej miejsce zajęła Wanda Ciecierska, zaś gońcem (przyuczonym do prac w sekretariacie i administracji) została Dorota Musiał (Irenę Werner-Gogółka, mimo naszych protestów, zwolnił A. Niedoba).

JESZCZE CHMUR NIE BYŁO WIDAĆ...

„Wywachałem”, iż Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane opuszcza pomieszczenia przy ulicy Menniczej

10 (KP PZPR zagamął bowiem biurowiec cieszyńskich służb komunalnych przy placu Wolności 6), toteż zgłosiłem pomysł ulokowania tam redakcji. Znowu uzyskałem całkowicie wolną rękę do sfinalizowania zamysłu, co poparł także nowy szef „białego domu” Jan Chodura. Wszelkie formalności potoczyły się bez najmniejszych oporów.

Za to kolejny raz „zwalilem” sobie na głowę koordynację remontu (wierzyć się nie chciało, że „budowlańcy” w takim stanie potrafili zostawić zwalniane pomieszczenia!), adaptację i wyposażenie lokali szóstej już siedziby redakcji „Głosu”. Kolejna przeprowadzka była niejako powrotem... „do źródeł”: w jednym z pomieszczeń przed 18 laty rodziły się pierwsze numery „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”.

Nareszcie mieliśmy wyśmienite warunki pracy (choć zimą dzwoniliśmy zębami, „zimny wychów” zawdzięczając wyjątkowej opieszałości administratora). Redakcja dysponowała ośmioma obszernymi pomieszczeniami (łącznie z sekretariatem, lokalem administracji i ciemnią fotograficzną; nie bez znaczenia był także obszerny, w miarę wytworny hall, stanowiący poczekalnię dla licznych interesantów).

Redakcja zasypywana była listami czytelników, zawsze przez zespół traktowanymi poważnie i z wielką uwagą. Część listów publikowana była na łamach „Głosu”, reszta stanowiła przedmiot redakcyjnej interwencji. Konia z rzędem temu, kto byłby zdolny zliczyć sprawy, jakie dla dobra czytelników zespołowi gazety udało się załatwić! Byli też i tacy czytelnicy, którzy ze swymi bolączkami przychodzili do redakcji osobiście lub sięgali po telefoniczną słuchawkę.

Nakład gazety zaczął rosnąć. Nie tylko odzyskani zostali czytelnicy utraceni w czasie kierowania pismem przez A. Niedobę, ale osiągnięty został pułap, o którym najwięksi marzyciele nie ośmielili się nawet myśleć: 30 tysięcy nakładu! Praktycznie, co piąty statystyczny mieszkaniec powiatu kupował „Głos”, co pod względem poczytności, albo też tzw. „czytelniczego nasycenia” — stawało cieszyńską gazetę na pierwszym miejscu w kraju!

Ma też „Głos” na koncie kilka długotrwałych akcji, jak wieloletnie cykle Podwórko oazą zieleni i wypoczynku, Z naszego archiwum, Porządek, ład, gospodarność, Szukamy śladów starego Cieszyna (co zaowocowało utworzeniem ochotniczej grupy, która absolutnie społecznie — znowu egzotyka! — penetrowała miejskie lochy i najniższe kondygnacje piwnic najstarszych kamieniczek). I wreszcie strzał w dziesiątkę: zamieszczaliśmy kącik Powiedz, co zbierasz, co dało asumpt do założenia (czerwiec 1972) działającego z wielkim powodzeniem do dziś Cieszyńskiego Klubu Hobbystów. Natomiast felietony W. Oszeldy pod nazwą Propozycje kulturalne legły u podstaw Klubu Propozycji, do dziś prowadzonego przez jego twórcę.

W tym miejscu winien jestem uzupełnienie istotnego faktu: u zarania „Głosu” naczelnym redaktorem mianowany został W. Oszelda (taką nominację przywiózł z Katowic E. Popek). Ale był to czas, w którym W. Oszelda żadną miarą nie zamierzał etatowo wiązać się z którąkolwiek redakcją. Nominacja przeto scedowana została na E. Guziura, jednakże zastrzegł on sobie ścisłą współpracę W. Oszeldy.

Bezspornie najwięcej gazeta zdziałała na rzecz regionalizmu, publikując w odcinkach historię regionu, słowniki pisarzy, muzyków i plastyków, przedstawiając okupacyjną martyrologię mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, czy, zwłaszcza, drukując niezliczone materiały przyczynkarskie z dziedziny literatury, ludoznawstwa, tradycji kulturowych itp. „Głos” nie stronił też od pozycji krytycznych.

Stanowiliśmy żyty i zgrany zespół. Zanosilo się na zwiększenie objętości do 8 kolumn (od 1 stycznia 1968 roku „Głos” wychodził w objętości 6 stron, jednakże zwiększonego formatu: B-3), coraz częściej przewijał się także temat comiesięcznego dodatku kulturalnego. Nadszedł jednak czas kataklizmu w postaci likwidacji powiatów oraz utworzenia nowych województw. Komitet Wojewódzki PZPR w Bielsku-Białej zapragnął własnej gazety.

Dziennikarz katowickiej „Trybuny Robotniczej” Tadeusz Wielgolawski przekonał I sekretarza KW partii Józefa Buziń-

skiego, a głównie jego zausznika Apolonia Kuliga, iż jedyna droga do upragnionego celu wiedzie poprzez likwidację „Głosu Ziemi Cieszyńskiej” i „Kroniki Beskidzkiej” oraz utworzenie wzamian tygodnika wojewódzkiego. Zdaniem T. Wielgolawskiego, pismo powinno się nazywać „Zdarzenia”. O kształcie i szacie graficznej „Zdarzeń” decydować miał jakiś tajemniczy docent Lenk z Łodzi. Szefem bielskiego tygodnika został T. Wielgolawski, którego wspierali Jerzy Kamieniecki i Andrzej Czeczot.

Mimo lekarskiego zwolnienia współuczestniczyłem — od strony technicznej — w tworzeniu numeru próbnego nowego pisma. Cenzura nie zezwoliła na nazwę „Zdarzenia”. Był w tej sprawie wyraźny i specjalny zapis wraz z uzasadnieniem: nazwa nowego tygodnika, który powstaje z połączenia dwóch dotychczas wychodzących, ma brzmieć „Głos Beskidzki”. Ponieważ numer próbny finalizowany był nocą, T. Wielgolawski nie był w stanie niczego wskórać, mimo rozdzwaniania się na wszystkie prawie strony Polski. Powetował sobie porażkę w przebiegły sposób: nakład numeru próbnego prawie w całości zrzucano na podwórce przy ulicy Dubois 6 w Bielsku-Białej, tylko kilkadziesiąt egzemplarzy „Głosu Beskidzkiego” doręczono najbardziej wpływowym osobistościom nowego województwa.

Spreparowano natomiast rzekome protesty przeciw nazwie nowego pisma. Mimo takich zabiegów — „Zdarzeń” T. Wielgolawski jednak nie przeforsował, a dla wyjścia ze sporu z twarzą skłonił się w kierunku nazwy „Kronika”.

Zredagowałem technicznie pierwszy, normalny już numer „Kroniki”. W trakcie makietowania numeru drugiego dopatrzwszy się w jego treści oraz układzie kolumn jawnych kpin z czytelników, złożyłem stanowczy protest wobec T. Wielgolawskiego, który przez cały czas moich wywodów drwiąco się uśmiechał. Cóż miałem począć? Spakowałem się i... tyle mnie w „Kronice” widzieli! Tego samego dnia trafiłem do kardiologa, który położył mnie do łóżka i doradził przejście na rentę inwalidzką.

Moje obawy i zastrzeżenia spełniły się co do joty. „Kronika”, wychodząca z czarną, by nie rzec nekrologową plamą winiety, bardzo długo nie mogła znaleźć czytelniczego uznania. Nie pomagał nawet przymusowy kolportaż, polegający na kupowaniu przez fabryki i przedsiębiorstwa ustalonej rozdzielnikiem KW PZPR liczby egzemplarzy „Kroniki” i darmowym rozdawnictwie tygodnika załogom.

Kilka lat byliśmy świadkami nie kończących się protestów przeciwko likwidacji „Głosu”. W byłym powiecie cieszyńskim nie było też fabrycznego czy środowiskowego zebrania, na którym nie krytykowano by „Kroniki”: za jej niestrawność, niedostatek informacji (a trzeba pamiętać, że ukazywała się w objętości 16 stron!), arogancję, a zwłaszcza publicystykę, która do problemów województwa przystawała niczym przysłowiowa pięść do oka. Wytykano także nekrologowy charakter winiety nowej wojewódzkiej gazety.

Godzi się przypomnieć, iż skromną namiastką zlikwidowanego „Głosu” była przez kilka lat celmowska „Nasza Trybuna” i wszelka za to cześć ówczesnemu kierownictwu największej cieszyńskiej fabryki! „Nasza Trybuna” układem graficz-

nym, a nawet dodatkowym kolorem i niektórymi rubrykami jako żywo przypominała regionalny tygodnik, do którego w ciągu ponad 20 lat kilkadziesiąt tysięcy czytelników zdołało się przyzwyczaić.

„Nasza Trybuna” — niestety — dostępna była wyłącznie w Cieszynie i z tej też racji, oprócz tematyki fabrycznej, dotyczyła tylko spraw miejskich. Celmowski dwutygodnik redagowali Robert Danel (naczelny) i Kazimierz Raszka, ja zaś zajmowałem się makietowaniem i łamaniem pisma, które tłoczyła Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza.

Po pięcioletniej z okładem przerwie, 2 października 1981, ukazał się w sprzedaży „Głos Ziemi Cieszyńskiej”. Odrodził się niczym feniks z popiołów. Duża w tym zasługa mieszkańców regionu, którzy nie ustawiali w żądaniach przywrócenia swego pisma, nigdy nie godząc się z dokonaniem na ich czytelnicze prawa zamachem. Wyczerpująco i z nerwem napisał o tym w pierwszym wznowionym numerze — 1(1057) redaktor naczelny Robert Danel.

Mnie natomiast przypadło w udziale urządzenie kolejnej siedziby redakcji przy placu Wolności 6...

A TO CIEKAWE

Już w kalendarzu starożytnego Egiptu rok liczył 12 miesięcy po 30 dni i kończył się 8 dniami świąt, zatem w sumie miał 365 dni, podobnie jak współcześnie rok zwyczajny. W rzeczywistości, jak wiadomo, rok ma 365 i $\frac{1}{4}$ dnia, więc co cztery lata mamy rok przestępny liczący 366 dni, ustanowiony w 1582 r. przez papieża Grzegorza XIII. Aktualnie obowiązujący kalendarz (za wyjątkiem kościoła prawo-

sławnego i in.) nazywamy więc gregoriańskim.

Uroczystości noworoczne, które odbywają się obecnie, tzw. sylwestrowki i Święto Nowego Roku, mają zapewne początek w egipskich świątach końca roku, trwających wówczas 5 dni. Nie zaliczano ich do roku kalendarzowego i w ciągu tych dni czas jak gdyby nie istniał lub stał w miejscu.

BOLESŁAW LUBOSZ

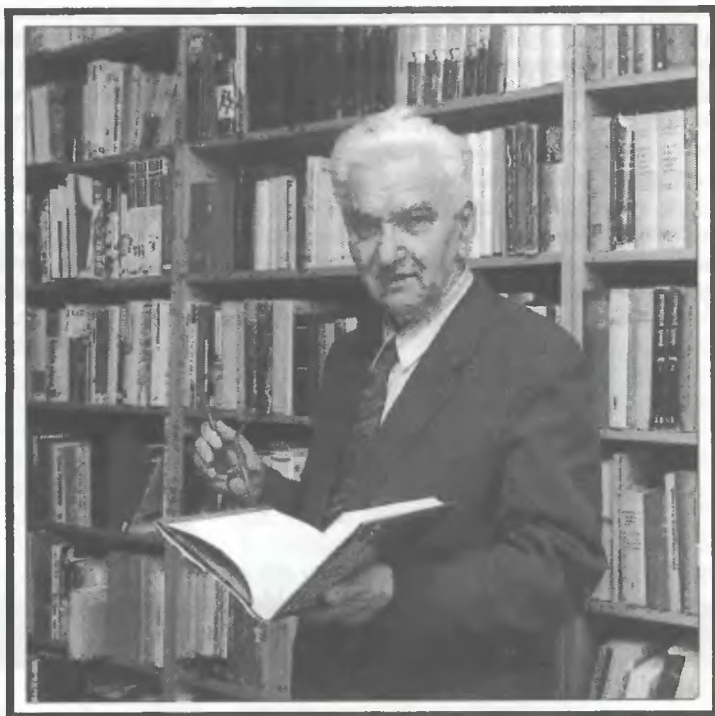
ŻAL PO ROSNERZE

Należał do ludzi pracowitych i stonowanych, dlatego nigdy nie podnosił głosu w dyskusji i nie narzucał się opinii publicznej ze swoimi badawczymi odkryciami i osiągnięciami, pozostając myślą przy biurku wśród książek i gazet, które pomagały odsłaniać nowe, nieznane fakty literackie i historyczne. Charakter miał pobłażliwy i szlachetny. Atoli przy całej swojej sumienności badawczej i grzebaniu w księgozbiorach, profesor Edmund Rosner zawsze mocno wiązał się z kulturalnym istnieniem publicznym, jako promotor życia naukowego w regionie i poza nim, jako wielki miłośnik ziemi cieszyńskiej, będąc dla miejscowych działaczy wsparciem i wyrocznią, a także inspiratorem.

Poznaliśmy się bardzo dawno — jeszcze podczas polonistycznych studiów w krakowskim Uniwersytecie Jagiellońskim. Immatrykułowałem się rok później, ale my, Ślązacy, Ignęliśmy do siebie, żeby nie zagubić się wśród tylu mądrych i pewnych siebie ludzi. Przychodząc do Krakowa z prowincji śląskiej, musieliśmy wiele nadrabiać, ale wkrótce zaczęliśmy przeć do przodu, ciesząc się ze studiów i z naszych sławnych profesorów.

Po powrocie na ziemię rodzinną zbliżyły nas do siebie podobne zainteresowania historyczno-literackie, które jednak Edmund bardziej ode mnie rozszerzał i zgłębiał, dzięki czemu szybko wspiął się na profesorską katedrę uniwersytecką.

Całym sercem cieszyłem się z tej przyjaźni i każde spotkanie z nim sprawiało mi wiele radości. W listach, które wymienialiśmy, przeważają opinie o książkach, o zagadnieniach naukowych, o artykułach w czasopiśmie, albo o pisaniu do nich. Nasze osobiste sprawy, związane z domem, z naszymi chwilowymi słabościami, pozostawały w tle. Dlatego dwa ostatnie listy wywołały mój prawdziwy niepokój:



Z listem do Ciebie czekałem na ukazanie się książki, a teraz z powodu różnych kłopotów, m.in. ze zdrowiem, stać mnie tylko na kilka słów. — Zatem przesyłam zbiór szkiców o polsko-austriackich kontaktach literackich. Może ten lub ów tekst Ciebie zainteresuje. Cieszyłbym się z tego powodu.

W kolejnym liście Edmund Rosner po raz pierwszy pisał z lękiem: Od 17.04. będę w Katowicach — w klinice w Ochojcu. Wykryto tętniaka aorty brzusznej i z tego powodu mam być operowany na oddziale chirurgii naczyniowej. Oczywiście boję się i to operacji, jak i szpitalnej atmosfery, którą ciężko znoszę. Zdarza się przecież, że człowiek jest sam mimo gadulstwa współmieszkańców pokoju i otoczenia. Trzeba też zrezygnować ze swoich przyzwyczajeń, a tych w naszym wieku jest kilka.

Potem był telefon do mnie z Katowic. Dzwonił ktoś z rodziny, powiadamiając mnie, że profesor jest już w szpitalu i prawdopodobnie dnia następnego będzie operowany. Chciałby jednak jeszcze dzisiaj ze mną rozmawiać, ponieważ interesuje go pewien mój szkic o Grażynie Adama Mickiewicza. Miałem zadzwonić między 21 a 22, bo tylko wówczas będzie mógł podejść do telefonu. Spełniając prośbę przyjaciela cierpliwie raz po raz — przez całą godzinę — wykręcałem podany mi numer do odpowiedniego szpitalnego oddziału, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Pomyślałem z ulgą: prosił o pewien mój szkic w przeddzień operacji, a zatem nie może z nim być aż tak źle. Myśli perspektywistycznie, snuje plany. Uspokojony postanowiłem poczekać na lepsze wieści. I dla poprawienia humoru otwarłem mój *Alfabet śląski*, w którym Edmund jest jednym z bohaterów. Przedstawałem w nim swoich przyjaciół w krzywym zwierciadle, kpiąc sobie z nich dobrotliwie. Niektórzy krzywili nosami, chrząkali niezadowoleni, ale Edmund był człowiekiem wspaniałomyślnym i miał poczucie humoru. W liście napisał, że sprawilem (mu) dużą przyjemność i że z żoną razem śmiali się z mojego przecherstwa. Ale jest w tej korespondencji pewna jakże ważna sekwencja, o której zapomniałem, a z pewnością godna przytoczenia. Edmund pisał o sobie: Mijający rok akademicki zaliczam do bardzo pracowitych. Prowadziłem kilka seminariów i teraz czytam prawie 30 prac magisterskich. To ciężka robota. Do tego musiałem przygotować kilka referatów na konferencje (krajowe i zagraniczne, m.in. na Csokor-Symposium, zorganizowane przez wiedeński PEN Club), ostatnio na katowickim sympozjum: „Książka polska na Śląsku w latach 1945—1956”. Mówiłem o książce na Zaolziu.

Gdy z pociągu (wracałem z Warszawy) szedłem w kierunku Uniwersytetu, m.in. ul. Kościuszki, myślałem o Tobie, o „Zaraniu Śląskim” i o naszych wspólnych znajomych. Cieszyński numer „Zarania”, choć po korekcie, nie może wyjść z drukarni...

Jakże odległe wydają się te czasy. Należeliśmy z Edmundem do Rady Redakcyjnej „Zarania Śląskiego” i martwiła nas zawsze niemrawość przy wydawaniu kolejnych numerów tego szacownego kwartalnika. Po posiedzeniu wracaliśmy prze-ważnie we dwoje ulicą Wojewódzką, skręcając przy kinie „Rialto” w stronę Rynku. Nie nudziliśmy się po drodze, ponieważ zawsze wiele mieliśmy sobie do powiedzenia. Rosner szedł przeważnie jeszcze do rektoratu U.Śl., albo przyspieszał (od Rynku) w stronę stanowiska autobusu, bo pilno mu było do Cieszyna. Boże, jak on się do tego miasta zawsze niecierpliwił, jakby je opuścił nie przed kilku godzinami, ale wiele tygodni temu.

Po nieudanych próbach porozumienia się z przyjacielem w szpitalu wyjechałem na dawno zaplanowany wypoczynek do Brennej. I tam, któregoś dnia, nasza miła gospodyni przyniosła do domu świeży egzemplarz „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”. Zawsze ciekawy tej gazety sięgnąłem po nią wartko i prawie natychmiast poczułem wielki ucisk wokół serca. Na stronie tytułowej redakcja donosiła: Prof. E. Rosner nie żyje. — 17 maja zmarł w Katowicach prof. dr hab. Edmund Rosner, związany od 1972 r. z Filią Uniwersytetu Śląskiego, wcześniej polonista Zespołu Techników Rolniczych w Cieszynie. Pięć dni wcześniej skończył 68 lat. Był najlepszym znawcą cieszyńskiej literatury, wybitnym regionalistą, badaczem polsko-austriackich stosunków literackich. Od pierw-

szych numerów „Głosu” z nim współpracował. Wczoraj spoczął na cmentarzu w Bielsku-Białej.

Niezwykle trudno przyszło mi myśleć o nim w czasie przeszłym. Po powrocie z Beskidów do domu otoczyłem się jego książkami, bo taki jest mój obyczaj, gdy żegnam się z przyjacielem na zawsze. W swoich publikacjach pozostają żywi i przemawiają do mnie...

Ostatnią pracę zamieścił Profesor w książce okolicznościowej poświęconej moim 70. urodzinom. Jego piękna rozprawa nosi tytuł *Rozważania o pograniczu*, w której pisał: *Współczesne procesy cywilizacyjne, rozliczne przemieszczenia ludności, wprowadzają elementy pograniczności już nie tylko na tereny przylegające do dwóch (trzech) państw, ale często do środowisk znacznie oddalonych od ziem kresowych. W dosłownym i przenośnym znaczeniu pękają granice między ludźmi różnych narodowości, religii, kręgów kulturowych i in. i z uznaniem przychodzi odnotować słowa Henryka Jasiczka, wypowiedziane prawie proroczo w 1969 roku (i dlatego może tak bardzo zwalczane?): „Żyjemy w czasie, kiedy zmiana granic niczego już nie rozwiąże. Należy znieść granice, które są w nas. Są to granice ograniczoności, niezrozumienia i nietolerancji”.*

SENTENCJE

Życie trwa krótko, sztuka — długo,
sposobność jest przelotna, doświadcze-
nie — zawodne, ocena — trudna.

HIPOKRATES

★ ★ ★

Człowiek myślący nie zużywa nigdy
więcej światła, chleba i myśli, niż trzeba.

BERTOLT BRECHT

★ ★ ★

Co rozumem, pilnością i cnotą stanęło,
to się nierozumem, niedbałością i złością
ludzką obala.

PIOTR SKARGA

★ ★ ★

Życie ludzkie jest jak gra w kości. Jeśli
nam się nie dostała do rąk ta kość, której
chcemy, trzeba się starać jak najlepiej
wyzyskać tę, która nam była przez los
sądzoną.

TERENCJUSZ

★ ★ ★

Myśleć to co prawdziwe, czuć to co
piękne i kochać co dobre — w tym cel
rozumnego życia.

PLATON

WŁADYSŁAW SOSNA

NIEPOSPOLITY PEDAGOG

Mało już takich nagrobków na cieszyńskim cmentarzu ewangelickim w Cieszynie. Lekko zbieżny, ścięty ostrosłup spoczywa na prostopadłościennym podstawie. U góry wyryty krzyż, pod nim napis głosi: *Jan Śliwka Nauczyciel szkoły ewangelickiej w Cieszynie. ★ 5.2.1823 w Ustroniu † 15.4.1874 w Cieszynie. On pierwszy dał dzieciom polskim na Śląsku polski podręcznik szkolny do ręki. Na cokole niżej podanych jest dziesięć tytułów książek, które wydał w latach 1852–1870.*

Dziś przechodzień, jeśli zwróci uwagę na ten stary nagrobek na początku głównej alei, raczej nie zastanawia się nad treścią i wymową tego lapidarnego napisu, zamykającego 51 lat życia człowieka, a uwieńczonego wydaniem kilkunastu polskich podręczników dla polskiej diatwy szkolnej. Jeszcze rzadziej współczesny przechodzień uświadamia sobie stan oświaty tamtych lat, szczególnie w wiejskich szkołach ludowych, jak również ogromny mozół dzieci w pierwszych latach szkolnych. Najczęściej musiały one bowiem najpierw wywiązać się z różnych powinności domowych, a potem mogły poświęcić czas na przyswojenie materiału, najczęściej pamięciowe. Jeśli były do dyspozycji jakiegokolwiek książki, to czeski „ślabikarz” i polska książka nabożna drukowana szwabachą. Pozostałe książki były w języku niemieckim. Jeśli uczeń miał z nich mieć jakikolwiek pożytek, język ten należało jak najszybciej opłacać. A nauczyciel? Jakież niski był jego status społeczny, jak rozliczne obowiązki pozaszkolne! Jeśli miał jeszcze siłę i chciał popracować nad sobą, pozostawała mu już tylko noc. Jan Śliwka należał do tych, u którego w oknie było widoczne światło lampy naftowej albo świecy do późnej nocy...

Jan Śliwka był najstarszym synem komornika Jerzego i Anny Kolkowskiej. Ojciec pełnił obowiązki kościelnego w kościele ewangelickim Apostoła Jakuba Starszego w Ustroniu. W wielodzietnej rodzinie, gnieźdzącej się w niewielkiej *drzewionce*, często gościł niedostatek. Radością rodziców był ich pierworodny syn, wybijający się na tle rówieśniczej czeladzi przyparafialnej szkoły ludowej wyjątkową pracowitością i zdolnościami. Zwrócił na to uwagę w czasie wizytacji szkoły ks. Karol Kotschy. On to przekonał rodziców, aby chłopaka posłać do cieszyńskiego gimnazjum i wyjednać dla niego minimum egzystencji. Na stancję przyjął go katecheta gimnazjalny ks. Gustaw Henryk Kłapsia wzamian za posługi domowe. Tak więc, począwszy od 1839 roku, kolejnych sześć lat spędził Jan Śliwka w cieszyńskim gimnazjum ewangelickim.



Jan Śliwka. Reprod. Tadeusz Kopoczek

Wymaganiom szkoły starał się sprostać ze wszystkich sił z równą pracowitością, jak w szkole ludowej. Nie ułatwiała mu jednak życia rola pucybuta nauczyciela, jak i to, że będąc trochę starszym, uczęszczał do niższej klasy. Pod koniec nauki w gimnazjum równie ambitny i młodszy Paweł Stalmach założył uczniowską organizację samokształceniową Złączenie Polskie. Ale, jak to sam przyznał, *pod wpływem wykładu pastorów pobudzeni do samodzielnego myślenia, zaczęliśmy sami nad własnym wykształceniem pracować, rozumie się jednak, w duchu niemieckim* (Pamiętniki, s. 160). Toteż nie dziwne, że Jan Śliwka, być może, nie palił się do nowej inicjatywy Pawła Stalmacha zwłaszcza, że tenże jeszcze po latach z przekąsem zapisał: *Do jednej rzeczy nie zdołano mnie nigdy skłonić, to jest do „sztyfelpucerstwa” czyli czyszczenia obuwia i odzieży profesorom lub bogatym studentom, o co się inni koledzy nawet z wyższych klas radzi ubiegali* (s. 156). Jan Śliwka był pucybtem nie z nadmiaru służalczości, czy z potrzeby pozyskania łaski rektorskiej, lecz w wyniku smutnej konieczności. Niemniej Stalmach czuł do niego żal: *usiłowaliśmy też pozyskać, ale nadaremnie, bo tylko w Niemczech się kochał (...). Dosyć na tym, Jan Śliwka zaczął między następcami rej wodzić, wybił im z głowy zamilowanie ojczystego języka, i namówił ich do rozwiązania kółka i rozdzielenia biblioteki między siebie* (s. 164).

Trudno dziś wyjaśnić do końca, co skłoniło Stalmacha do tak ubliżającego osądu szkolnego kolegi, zwłaszcza że przecież, jak potwierdza to inny ich rówieśnik obydwu, Andrzej Cienciała — *byliśmy wszyscy synowie chłopski (...), gimnazjaliści cieszyńscy (...)* wszyscy Niemcy, chociaż rodzice nasi ani słówka po niemiecku nie umieli (Pamiętnik, str. 173). Dążenie do lepszej znajomości języka ojczystego jest godne najwyższego uznania, ale wówczas jeszcze nie wynikało ono z pobudek świadomego patriotyzmu. Wszak obydwa ówczesni proboszczowie cieszyńscy też władali językiem polskim, lecz kierowali się raczej względami pragmatycznymi, a nie po to aby umacniać „ducha polskiego”. Dopiero zderzenie się naszych gimnazjalistów z pozaszkolnymi realiami pozwoliło im zrzucić *nałożony pokost niemieczyny* (Jan Kubisz). Każdy z nich doszedł do tego inną drogą.

Jan Śliwka po ukończeniu gimnazjum, z racji mizernego zabezpieczenia materialnego, nie mógł nawet marzyć o studiach. Skorzystał więc z jedynej realnej dla niego możliwości awansu i ukończył kurs pedagogiczny w niemieckiej propagandzie. Już jesienią 1844, względnie najpóźniej w styczniu 1845 roku został nauczycielem szkoły ludowej w podcieszyńskiej wiosce — Końskiej. W roku następnym ożenił się z Marianną Matulą (1824–1900), z którą miał dziesięcioro dzieci.

Z objęciem posady nauczyciela Jan Śliwka wszedł w krąg ewangelickich pedagogów szkół ludowych, wśród których z czasem zaczął odgrywać czołową rolę. Od kilku już lat próbowali oni ograniczyć kuratelę duchowieństwa, wyjednać dla siebie godziwsze warunki socjalne, a także, w myśl aktualnie głoszonych zasad pedagogiki, starali się zmienić podejścia do obowiązków szkolnego zwłaszcza na wsiach, opowiadali się za prowadzeniem zajęć w języku ojczystym we wszystkich przedmiotach nauczania i w oparciu o polskie podręczniki, posiadali już też własną bibliotekę i gromadzili się na konferencjach metodycznych. Wszystkie te niedostatki stanu nauczycielskiego i samej szkoły widział z całą ostrością młody Jan Śliwka.

Wiosną 1848 roku w różnych miejscach Europy wybuchały niejednokrotnie krwawe wystąpienia niższych klas społecznych, zatrzęsły się trony absolutystycznych władców. Echa tych wydarzeń lotem błyskawicy doszły także do Cieszyna, jak i wieść o wydaniu „Najwyższego patentu” marcowego. Prawie jednocześnie zawiązały się — zjednoczeniowy ruch ogólnoniemiecki i ruch drugi, panslawistyczny, pod skrzydłami monarchii Habsburgów. Wobec tych wszystkich wydarzeń Jan Śliwka znalazł się na rozdrożu: jeszcze wsparł swojego opiekuna ks. Karola Kotschego, stojącego po stronie frankfurczyków, gdy jego gimnazjalni koledzy występowali na Zjeździe Słowiańskim w Pradze; jako syn prostego komornika doskonale rozumiał, co niosą z sobą wiedeńskie hasła uwłaszczenia chłopów i wydatnie je popularyzował; jako nauczyciel w pełni

jednoczył się z postulatami pedagogów i podpisał wystosowaną do parlamentu petycję, sam wreszcie zdobył mandat posła do Sejmu Krajowego w Opawie i uczestniczył w delegacji do cesarza Ferdynanda I. Dwa lata później został deputowanym zborowym z Końskiej, od 17 XI 1850 roku objął funkcję sekretarza Zboru Cieszyńskiego. Wreszcie w 1852 roku przeszedł na etat Szkoły Ewangelickiej w Cieszynie, co umożliwiło mu o wiele szersze oddziaływanie na środowisko nauczycielskie.

Nie miał już wątpliwości co do kierunku rozwijanej działalności i podjął służbę dla środowiska, z którego wyszedł. Starał się o jak najwyższy poziom konferencji nauczycielskich, nawiązał szereg kontaktów, wzbogacał bibliotekę, do której ściągając co przedniejsze dzieła z zakresu pedagogiki. Były wśród nich prawdopodobnie publikacje czołowego pedagoga niemieckiego Fryderyka A.W. Diesterwega (1790–1866) i wielkopolanina Ewerysta Estkowskiego (1820–1856). Z wielkim trudem przebijała się inicjatywa wprowadzenia do szkół polskiego elementarza. Sprowadzone do Cieszyna podręczniki z Galicji nie odpowiadały wymogom szkół ewangelickich ze względu na ich treść konfesyjną. Sięgnął przeto Śliwka po wielkopolskie wzorce Estkowskiego.

W 1852 roku ujrzał wreszcie światło dzienne pierwszy podręcznik Jana Śliwki, napisany przy współpracy Jana Kotasa: *Początki czytania dla użytku szkół ludowych w Górnym Śląsku*. Drugie, znacznie ulepszone i poszerzone wydanie z 1854 roku nosiło tytuł: *Początki czytania dla ewangelickich szkół ludowych na Śląsku Austriackim*. I ono na odwrocie strony tytułowej podaje współpracownika Jana Kotasa, choć nad tytułem widnieje tylko Śliwka. W następnych latach lista podręczników i książek pomocniczych wydawnictw została powiększona. Większość tytułów zostało wydanych co najmniej dwukrotnie, za każdym razem przedyskutowane na konferencjach nauczycielskich i uzupełnione. Tak więc w 1857 roku pokazały się *Piosenki dla dzieci* (II — 1867), następnie cykl książek po części związanych z nauką religii: *Krótką historią reformacji dla użytku ewangelickiej młodzieży* (1858, 1863), *Historia wiary ewangelickiej w Śląsku Austriackim* (1859, polski skrót pracy G. Biernana na jubileusz Kościoła Jezusowego), *Historie biblijne dla początkowej nauki dzieci* (1860, wydane wielokrotnie), *Jan Hus, jego życie, czyny i śmierć* (1863). Dążył też Jan Śliwka do wydania podręczników ułatwiających naukę języków. Owocem tych zabiegów był *Słowniczek polsko-niemiecki* (1858). Przymierzał się również do opracowania gramatyki polskiej. Był też autorem kolejnej innowacji, wprowadzając do nauczania elementarnego tzw. „naturalia”. Wiadomości z tego zakresu przynosiły kolejne podręczniki: *Geografia czyli opis ziemi dla uczącej się młodzieży* (1863, 1872) i *Historia naturalna zawierająca ważniejsze wiadomości z królestwa zwierząt, roślin i kopalin* (1865, 1874). Książek z zakresu fizyki a także historii powszechnej nie zdołał już przygotować, ale zrealizował tak bardzo upragniony przez niego wybór czytanek pt.: *Książka do czytania dla wyższych oddziałów szkół ludowych* (1870, 1874).

Poza podręcznikami, Jan Śliwka wydał dwa *Roczniki ewangelickie poświęcone rzeczom kościoła i szkoły* (1862, 1864), jest autorem szeregu artykułów w wydawanym przez ks. dr. Leopolda Otto „Zwiastunie Ewangelicznym”, a także, mimo zadrażeń z redaktorem, w „Gwiazdce Cieszyńskiej”. Jak więc widać, dorobek publicystyczny Jana Śliwki jest nieprzeciętny ponad wszelką wątpliwość, zarówno co do ilości tytułów, jak i różnorodności podjętych tematów i nowatorskich rozwiązań. Pod tym względem nie miał na ziemi cieszyńskiej równego sobie i w całej pełni zasłużył na miano jednego z najznakomitszych polskich pedagogów XIX wieku.

A przecież Jan Śliwka nie korzystał z żadnych ulg w bieżących obowiązkach szkolnych, wiele też czasu pochłaniały różne funkcje w cieszyńskim zborze. Dzięki jego zabiegom wakujące stanowisko proboszcza po śmierci obu cieszyńskich duszpasterzy objął w 1866 roku ks. dr. Leopold Marcin Otto z Warszawy. Jan Śliwka był jego niezawodną i stałą podporą w zborze. Udzielał się też w reaktywowanej w 1861 roku Czytelni Ludowej, należał do grona współorganizatorów Towarzystwa Pszczelarskiego (1862) i Towarzystwa Rolniczego (1868).

W drugiej połowie XIX wieku wydano szereg istotnych ustaw szkolnych. C.K. Gimnazjum Ewangelickie przeszło w 1850 roku pod zarządek państwowy. Szkołę ludową, dwuklasową dalej utrzymywał zbor. Staraniem Śliwki w 1860 roku poszerzono ją o klasę trzecią, zaś w dwa lata później o klasę czwartą. Śliwce chodziło o przekształcenie szkoły ludowej w szkołę główną, dającą możliwość założenia seminarium nauczycielskiego oraz o wyposażenie uczniów w minimum wiedzy humanistycznej i przyrodniczej, a nie, jak dotąd, tylko w umiejętność czytania, pisania i podstawowych rachunków. Ciągłe też toczyła się batalia o równoprawność tzw. języków krajowych i możliwość nauki języka polskiego. Co do tego ostatniego władze szkolne uważały bowiem, że ten znają dzieci z domu, więc nie trzeba go udoskonalać. Potrzebę założenia w Cieszynie seminarium nauczycielskiego uzasadniono tym, że przecież do szkoły ewangelickiej uczęszczali uczniowie z Austrii, Czech, a przede wszystkim ze Śląska Cieszyńskiego i z tego kręgu należało oczekiwać przyszłych nauczycieli. Wszystkie te zabiegi zostały jednak sparaliżowane m.in. przez urzędującego w Bielsku seniora ks. dra T. Haasego. Już w 1867 roku doprowadził on do założenia seminarium niemieckiego w Bielsku. Do Cieszyna zaś ściągnięto wizytację, której wynikiem było oskarżenie Śliwki o prowadzenie agitacji politycznej w szkole i wycofanie przygotowanych reform.

Z początkiem 1867 roku odbyło się dramatyczne nabożeństwo i wiec w obronie ks. dra Leopolda Otto, który dla zborowników orientacji niemieckiej i samego seniora był osobą na wskroś niepożądaną w Cieszynie. Zresztą, w 1868 roku wydana została nowa ustawa o likwidacji szkolnictwa wyznaniowego. W tej sytuacji budowa nowego gmachu szkolnego, ukończona w 1869 roku (obecnie Zespół Szkół Mechaniczno-Elektrycznych), do którego wzniesienia bardzo wiele wysiłku włożył także Śliwka, jak również dalsze istnienie ewangelickiej szkoły ludowej postawiło zbor przed wieloma problemami. Chodziło bowiem o to, aby w dalszym ciągu utrzymać ewangelicki charakter szkoły, jako tzw. szkoły prywatnej.

Zdażył jeszcze Śliwka doprowadzić w 1868 roku do powołania Towarzystwa Nauczycieli Szkół Ludowych i został zastępcą przewodniczącego zarządu. W 1870 roku zdołał przeforsować na zebraniu większego zastępstwa zborowego uchwałę o utrzymaniu ewangelickiej szkoły ludowej. Na krótko został zastępcą dyrektora, gdyż z powodu innych pełnionych obowiązków na funkcję kierownika szkoły się nie zgodził. Niestety, od dawna cierpiący na „chorobę piersiową”, obciążony nadmiarem pracy, szybko się spalał. Doraźnie podejmowana kuracja w Jaworzu niewiele dawała. Pracował do ostatnich chwil życia.

Żegnały go zastępy uczniów i przyjaciół, żegnał go też złotousty ks. dr Leopold Otto. Stracił w nim bliskiego współpracownika na niwie kościelnej i narodowej. Wkrótce zresztą wyjechał z Cieszyna.

Zasłużonego pedagoga pochowano na cmentarzu na przeciw szkoły, której oddał swoje najlepsze lata. Po śmierci żony doczesne szczątki Jana Śliwki przeniesiono na cmentarz przy ulicy Bielskiej. Mimo iż za sprawą następcy ks. dr. L. Otto wycofano ze szkoły większość podręczników Śliwki, przez wiele lat przechowywano je z pietyzmem w domach. Sięgano po nie często, by nie tylko w pamięci odświeżyć szkolne wiadomości, ale poszukać w nich pokrzepienia i złożyć pokłon wielkiemu przyjacielowi, który trudem swojej pracy zaszczerpił w tym pokoleniu miłość do oczekiwanej z tak wielkim utęsknieniem Ojczyzny.

TEODOR CIENCIAŁA

POCZET RODU CIENCIAŁÓW

Cienciała to nazwisko popularne i powszechnie znane na Śląsku Cieszyńskim. Na ten fakt składają się dwie przyczyny: pierwsza to liczebność, a druga to profesje noszących to miano, w przeważającej większości nauczycieli. Wszyscy Cienciałowie wywodzili się bądź z małorolnych chłopów, bądź z zamożnych rolników. Bez wykształcenia zawodowego umiejętnie wykorzystywali uprawianą ziemię. Były to czasy panowania austriackiego. Tylko nieliczni ukończyli średnią szkołę umożliwiającą wstęp na wyższe uczelnie. Dla innych przeszkodę w podjęciu studiów wyższych, a nawet wydziałowych stanowiła bariera językowa. Ludzie o tym nazwisku nie zawsze byli z sobą spokrewnieni, ale łączył ich i zbliżał do siebie i innych rodzinny patriotyzm, szczególnie potrzebny w czasach austriackich. Tym tłumaczy się częste występowanie nazwiska Cienciała w różnych organizacjach, a nawet w urzędach. Spośród innych szczególnie walorami charakteru, postawą moralną a także patriotyzmem wyróżniał się Jerzy Cienciała z Mistrzowic, zwany przez współczesnych mu „królem polskim”. Także dla pozostałych Ojczyzna miała priorytet. Nie brakowało ich na frontach zachodnich i wschodnich. W okresie pokoju czynnie włączali się do prac społecznych, gospodarczych i kulturalnych, byli pionierami w ruchu sportowym itp.

Niżej bogramy kilkunastu spośród nich.

PAWEŁ (1833 – 1922)

magister farmacji, pierwszy aptekarz w Wiśle

Urodził się 3 grudnia w Karpętnej w domu nad potokiem Kopytnej, dopływem Olzy, w rodzinie chłopskiej. Po ukończeniu szkoły ludowej w Bystrzycy wstąpił do Niemieckiego Gimnazjum w Cieszynie. Ukończywszy 6 klas wyjechał do Preszburga (dzisiejsza Bratysława) na przeduniwersyteckie studia filozoficzne. Studia trwały 2 lata i realizowały program 7 i 8 klas gimnazjum. Językiem wykładowym była łacina. Końcowe świadectwo (matura) zapewniały wstęp na każdy wydział Uniwersytetu Wiedeńskiego. Cienciała wybrał farmację. Studia trwały 4 lata. Utrzymywał się w tym czasie z udzielanych lekcji. Dyplom magistra farmacji — drukowany po łacinie — otrzymał 19 lipca 1858 roku.

Nie podjął pracy w swoim zawodzie, gdyż został powołany do austriackiego wojska. Miało to związek z agresją Francuzów pod wodzą Napoleona III. Cienciałowie przydzielono do punktu sanitarnego pod Magentą. W bitwie pod Solferino w 1859 roku setki żołnierzy po obu stronach zginęły, a wielokrotnie więcej wymagało pomocy lekarskiej i sanitarnej. Nastąpiło zawieszenie broni, w czasie którego ciężiej rannych Austriaków odtransportowano do Wiednia, a Francuzów do Turynu. Żabitych natomiast grzebano na miejscu, sporządzając dokładną ewidencję, w czym szczególnie zasłużył się Henryk Dunant w odniesieniu do Francuzów, a mgr Paweł Cienciała wobec poległych Austriaków. Tę wspomniała akcję opisał H. Dunant, szwajcarski podróżnik, w wydanej w 1862 roku książce *Wspomnienia spod Solferino*, która stała się podstawą do uchwalenia w 1864 roku tzw. Konwencji Genewskiej.

Po zakończeniu wojny Cienciała wrócił do Wiednia, a następnie jako magister farmacji skierowany został do jednej z aptek we Lwowie. Po dwóch latach przeniósł się

do Pragi, gdzie podjął pracę w jednej z aptek. W 1865 roku wziął udział w konkursie na kierownika apteki w Wiedniu. Konkurs wygrał i objął kierownictwo apteki w śródmieściu. Prowadził ją wzorowo aż do przejścia w 1898 roku na emeryturę.

W tym czasie dostał wiadomość z Wisły, że jego bratanek Andrzej Cienciała owdowiał i utracił jedną z córek. Pojechał do Wisły, gdzie na stałe zamieszkał, pomagając bratankowi w wychowaniu osieroconych dzieci. Okazał się również potrzebny miejscowej ludności, której udzielał pomocy, korzystając z podręcznej apteczki. Sprowadzał z wiedeńskiej hurtowni aptecznej sporo niezbędnych leków i materiału opatrunkowego. Stworzył punkt apteczny, z którego korzystali nie tylko ludzie miejscowi, ale również chorzy z dalszych okolic. Udzielał pomocy w schorzeniach prostych, natomiast w przypadkach poważniejszych kierował chorych do szpitala w Cieszynie. Ten nielegalny proceder leczniczy (bowiem jako emeryt nie mógł dostać koncesji) prowadził przez ponad 20 lat nierzadko ratując życie ludzkie. Kiedy nie miał już sił, posiadane wiadomości, głównie z zakresu ziołolecznictwa, przekazał bratankowi.

Nie miał dzieci. Był kawalerem. Zmarł 11 stycznia 1922 roku, w wieku 89 lat, i został pochowany w Wiśle, na cmentarzu ewangelickim.

ANDRZEJ (1860–1927) nauczyciel, działacz społeczny, ornitolog amator

Urodził się 15 października w Karpętnej jako syn Jana i Anny z domu Hodzieczek, w wielodzietnej rodzinie chłopskiej. W 6. roku życia zaczął uczęszczać do szkoły ludowej w Bystrzycy, gdzie uczył go najpierw Raszka a potem Klimosz. W 1872 roku wyjechał do Cieszyna, by kontynuować naukę w szkole powszechnej, gdzie nauczycielami byli Śliwka i Wałach. Po 2 latach wstąpił do niemieckiego Seminarium Nauczycielskiego (bo polskiego nie było), w którym kształcił się w latach 1874–1877. Ponieważ nie chciał mieć dyplomu szkoły niemieckiej, przeniósł się do Krakowa, by tam ukończyć studia pedagogiczne w polskim seminarium. Bezpośrednio po zdaniu matury, 18 czerwca 1880 roku otrzymał powołanie do wojska ze skierowaniem do Opawy, gdzie wraz z innymi nauczycielami przeszedł szkolenie wojskowe. Miało to związek z okupacją Bośni i Hercegowiny wskutek powstałej tam insurekcji. W 1882 roku brał udział w bitwie z Serbami Bośniackimi. Za waleczność otrzymał dwa medale i awans do stopnia plutonowego. Jako nauczyciel został zdemobilizowany jesienią 1883 roku. Zgłosił się w inspektoracie w Bielsku, skąd skierowano go do Wisły z przydziałem do „szkoły kątowej” na Kałuży, prowadzonej od 7 lat przez prostego chłopca Jana Chraścine. W warunkach nader prymitywnych rozpoczął naukę w październiku 1883 roku. Dla uzyskania stałego etatu zdał egzamin kwalifikacyjny w Krakowie. Po powrocie z uzyskaną nominacją czynił usilne starania o wybudowanie nowej szkoły. Przyszło mu to o tyle łatwo, że został radnym w Wydziale Gminnym i prezbiterem w Radzie Kościelnej. Dzięki tym kontaktom powstała w połowie października 1889 roku nowa drewniana szkoła w widłach potoków Głębieczka i Łabajowa, poświęcona przez miejscowego proboszcza ks. Jerzego Mrowca.

Poza starannie prowadzonym nauczaniem dzieci szkolnych udzielał się społecznie, m.in. wraz z nauczycielami Goszykiem i Kubiszem był współzałożycielem Polskiego Kółka Pedagogicznego w Ustroniu. W 1890 roku w 30. roku życia, ożenił się z Zuzanną Cieślar, córką nauczyciela Pawła z Malinki. Mając unormowane życie rodzinne, mógł więcej czasu poświęcić pracy zawodowej i społecznej. I tak, w założonym przez Bogdana Hoffa w 1893 roku Kółku Rolniczym wygłaszał referaty z zakresu rolnictwa, sadownictwa i bartnictwa. Sam zresztą prowadził własne gospodarstwo rolne i stosował sprzęt rolniczy udostępniony miejscowym chłopom. Prowadził także szkółkę drzewek owocowych, zachęcając gospodarzy do zakładania przydomowych sadów, a także do zakładania pszczelich pasiek.

Z dodatkowych zajęć można wymienić pisanie podań do urzędów (obowiązywał język niemiecki, którego Wiślanie nie znali) i sporządzanie planów budowy drewnianych domów w miejsce prymitywnych chat kurnych. Wydział Gminny uchwalił budowę ratusza według szkicu Andrzeja Ciencialy. Wobec częstych pożarów prowadził Agencję Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych w Krakowie.

Był cenionym pedagogiem czego wyrazem były prowadzone przez niego lekcje poglądowe na szczeblu powiatowym. Odbywane rok rocznie w czerwcu wycieczki szkolne na Stożek, Czantorię i Baranią Górę traktował jako lekcje poglądowe z geografii, przyrody i historii. W trosce o rozwój fizyczny dzieci stosował gimnastykę i naukę pływania w przygotowanych doraźnie „płosach” na Głębieczku, a w okresie zimowym narciarstwo na tzw. „tenionkach”, to jest wyrwanych z płotu deseczek.

W okresie epidemii duru brzuszego utracił żonę i dwie córki. Po roku ożenił się powtórnie z Marią Polok, która zaopiekowała się trójką osieroconych dzieci. Dużą pomoc okazał rodzinie emerytowany aptekarz Paweł Cienciala.

Po 38 latach pracy w nauczycielstwie zmarł na cukrzycę 3 sierpnia, w 67. roku życia.

ARTUR JAN (1914–1985)

artysta rzeźbiarz, pedagog, działacz społeczny

Patrz: „Rzeźby pana Artura”, Kalendarz Cieszyński 1998, s. 263–268.

ANDRZEJ TEOFIL (1892–1952)

nauczyciel, działacz społeczny, sybirak

Urodził się 29 lipca w Wiśle Głębcach, jako syn Andrzeja i Zuzanny z d. Cieślar, w rodzinie nauczycielskiej. Polskie Seminarium Nauczycielskie w Bobrku ukończył w 1913 roku, poczem od 1 listopada tegoż roku podjął pracę w Białej, a od 1.05.1914 roku kontynuował ją w Ustroniu.

Po wybuchu I wojny światowej został powołany do wojska austriackiego. W 1915 roku doznał postrzału w klatkę piersiową i był leczony w szpitalu wojskowym w Pradze. Rekonwalescencję odbywał w sanatorium w Karłowich Warach. Wiosną 1916 roku został ponownie wcielony do wojska w randze plutonowego i skierowany na front wschodni. Dostał się do niewoli i został wywieziony na Syberię. W nieludzkich warunkach, walcząc z głodem i chłodem, spędził tam 5 lat. Po zakończeniu wojny wraz z zorganizowaną grupą dostał się koleją do Władywostoku, skąd drogą morską, po 6-miesięcznej podróży dotarł do Polski 2.11.1920 roku. Po wielomiesięcznym leczeniu podjął w lutym 1921 roku pracę jako nauczyciel w Wiśle Głębcach, u boku swego ojca. Gdy ten przeszedł na emeryturę, w 1922 roku objął kierownictwo szkoły.

Był wybitnym pedagogiem i dobrym organizatorem tak pracy szkolnej jak i społecznej. Domeną jego działalności były Kółko Rolnicze, Kasa Spółdzielcza, Macierz Szkolna, Związek Strzelecki, Związek Zachodni itd. Jako radny wywalczył w Radzie Gminnej zgodę na budowę nowej szkoły. Rozpoczęto ją w 1933 roku nad potokami Głębieczka i Łabajowa, a ukończono w 1937 roku. Uzyskano nowoczesny, jednopiętrowy budynek przeznaczony na 7-klasową szkołę. Patronem jej został ks. Franciszek Michejda, budzielnik ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Z pomocą młodzieży pozaszkolnej zorganizował kółko teatralne prezentując takie sztuki jak *Karpaccy górale*, *Chata za usią*, *Doktor mimowoli* itp.

Założył także Koło Polek, które przekształciło się po wojnie w Koło Gospodyń Wiejskich. Wśród młodzieży szkolnej propagował ruch turystyczny i narciarski, w wyniku czego jego uczniowie zdobywali czołowe miejsca w skali wojewódzkiej, a nawet krajowej. Jego zasługą była budowa skoczni narciarskiej w Łabajowie. Jej otwarcie odbyło się z uczestnictwem skoczków krajowych i zagranicznych w obecności prezydenta Ignacego

Mościckiego i wojewody dra Michała Grażyńskiego. Zorganizowana przez Ciencialę banderia konna, składająca się z 20 jeźdźców w strojach regionalnych uświetniła w 1937 roku uroczyste obchody Święta Gór. Przy pomocy banderii były prowadzone, jako jedyne w kraju, górskie wyścigi konne.

Z zamiłowania był bartnikiem i sadownikiem, ale jego pasją, przejętą po ojcu i stryju farmaceucie, było ziołolecznictwo. Zaowocowało to przynosząc mu skromne środki na utrzymanie, gdy jako nauczyciel Polak nie miał żadnych szans na otrzymanie w czasie okupacji pracy. Pod koniec wojny, wcielono go, jako byłego podoficera austriackiego, do okupacyjnej armii. Po zakończonej wojnie i rehabilitacji wrócił do Wisły i ponownie objął kierownictwo szkoły w Głębcach. Zmarł 24.01., i został pochowany na cmentarzu ewangelickim.

EDWARD (1901 – 1970)

nauczyciel, działacz społeczny, jeńiec oflagów

Urodził się 16 lutego w Wiśle Głębcach pod nr 514, w rodzinie chłopskiej, jako syn Andrzeja i Marii z d. Polok. Po ukończeniu szkoły ludowej prowadzonej przez ojca, wstąpił do Gimnazjum w Cieszynie. Po 3 latach podjął studia pedagogiczne w Seminarium Nauczycielskim w Bobrku k/Cieszyna. W listopadzie 1918 roku przerwał naukę i ochotniczo wstąpił do wojska polskiego. Po przeszkoleniu bojowym we Fryszacie wrócił do koszar w Cieszynie.

Pod koniec stycznia 1919 roku, wobec ogromu przewagi wojsk czeskich, które najechały Śląsk Cieszyński, jednostki polskie wycofały się w kierunku Skoczowa. Tam stoczono ciężkie walki, w których uczestniczył także Edward Cienciala. Po zawieszeniu broni walczył z Niemcami w okolicach Sosnowca, Dąbrowy Górniczej. Następnie został zwolniony z wojska celem dokończenia nauki. Jednakże już w kilka miesięcy później znalazł się w szeregach powstańców walczących z Niemcami pod Górą Św. Anny. Stąd z wojskiem przeniósł się do Lwowa, gdzie walczył z Ukraińcami.

Po zwolnieniu z wojska wrócił do Cieszyna. Seminarium ukończył w czerwcu 1923 roku i został skierowany do polskiej szkoły w Międzyrzeczu Górnym. Został tam liczną kolonią niekiecką, z własną szkołą i nauczycielami narodowości niemieckiej. Kierownikiem szkoły polskiej był nauczyciel i pisarz ludowy Walenty Krząszcz. Współpraca układała się pomyślnie. Mając jego poparcie, poza pracą zawodową, mógł teraz Cienciala wystawiać sztuki teatralne, na które nierzadko przychodziła młodzież ze szkoły niemieckiej. Został powołany do rocznej szkoły w Śremie, gdzie uzyskał stopień podporucznika, a po zaliczeniu Centralnej Szkoły Strzeleckiej w Grudziądzu — porucznika. Ponownie podjął pracę w szkole. Założył Związek Strzelecki, przy którym utworzył sekcję narciarską dla młodzieży szkolnej.

W 1933 roku ożenił się z Gizelą Seberaś. Z małżeństwa tego przyszło na świat 5 dzieci.

Z chwilą wybuchu II wojny światowej Cienciala został przydzielony do jednostki broni maszynowej na wzgórz za Skoczowem, a potem do Wadowic. Stąd, wycofując się pod naporem wojsk niemieckich, dotarł z towarzyszami broni do Narola, gdzie dostał się do niewoli. Po wielodniowym marszu dotarł wraz z wielotysięczną grupą żołnierzy do Przeworska, a po dalszych 2 tygodniach do koszar w Bochni, skąd wywieziono wszystkich do Niemiec. Przerzucany z miejsca na miejsce (Braunzweig, Hadamar, Dorsten i Doessel) przebywał w oflagach 5 lat.

Po powrocie z niewoli otrzymał etat nauczyciela w Szkole nr 1 w Wiśle.

Z początkiem września 1968 roku przeszedł w stan spoczynku. Nadal jednak był czynny. Piastował stanowisko prezesa PTTK. Zorganizował i uruchomił jako jedną z pierwszych Stację PTTK z 12 łózkami noclegowymi. Jako jeden z nielicznych pełnił funkcję przewodnika beskidzkiego. On także wraz z Erwinem Niemcem wytyczył i oznakował olejną farbą ciekawe szlaki turystyczne i osobliwości regional-

ne na terenie Wisły. Uczestniczył w pracach komisji rewizyjnej Ochotniczej Straży Pożarnej.

Za zasługi na polu zawodowym i społecznym otrzymał wiele odznaczeń, m.in. medal Za Obronę Śląska, Gwiazdę Śląską, Krzyż na Wstędze Śląskiej, Złotą Odznakę PTTK i inne.

Zmarł nagle w Wiśle, w wyniku trzeciego zawału serca, 28.10., i został pochowany na cmentarzu ewangelickim.

PAWEŁ (1807–1883)

rolnik, działacz, społeczny, patriota

Urodził się 9 maja w Dolnej Lesznej. Był synem Jana i Zuzanny z d. Sikora. Nauki pobierał w cieszyńskiej szkole ewangelickiej. Przez związek małżeński z Anną Pellar został dziedzicznym wójtem w Mistrzowicach. Do 1848 roku poza gospodarstwem prowadził, wraz z bratem Janem, warzelnię soli potasowej na Węgrzech. Gdy tam wybuchła rewolucja, rząd austriacki skonfiskował jego majątek wartości 30.000 florenów.

Wrócił do kraju i do swej gospodarki. Wiele czasu poświęcał teraz na czytanie książek o tematyce patriotycznej, co przyczyniło się do jeszcze mocniejszego utrwalenia polskiego poczucia narodowego. Przykład zbuntowanych Węgrów był dla niego bodźcem do walki ze zniemczoną szlachtą. W oparciu o Towarzystwo Rolnicze w Cieszynie pisał artykuły do „Gwiazdki Cieszyńskiej”.

Zmarł 5 maja, w 76. roku życia. Jego syn Jerzy był wieloletnim posłem do parlamentu austriackiego, drugi syn dał się poznać jako znakomity pomolog i bartnik.

PAWEŁ (1842–1921)

rolnik, pomolog, pszczelarz

Urodził się w Mistrzowicach jako syn wójta Pawła i Anny z d. Pellar. Był bratem Jerzego zwanego „królem polskim”. Gospodarstwo i stanowisko wójta odziedziczył po ojcu. Obok ks. Karola Kotschego i nauczyciela Jana Drozda był najwybitniejszym śląskim pomologiem. Zajmował się sadownictwem i pszczelarstwem. Posiadał dość dużą bibliotekę fachową. Przez 30 lat współpracował z redakcją „Rolnika Śląskiego”.

Zmarł w Mistrzowicach i tam został pochowany.

JERZY (1834–1913)

poseł na sejm śląski, działacz społeczny, rolnik

Urodził się 4 kwietnia w Mistrzowicach. Był synem tamtejszego wójta Pawła i Anny z d. Pellar. Ukończył niższe gimnazjum w Cieszynie. Działalność publiczną zaczął w wydziale gminnym Mistrzowic, gdzie pełnił przez 12 lat funkcję wójta (do 1873). W 1868 roku był współzałożycielem Towarzystwa Rolniczego. Przez rok piastował urząd wiceprezesa, a następnie przez 44 lata, do 1912 roku, prezesa.

W latach 1871–1909 był, z niewielką przerwą, posłem do sejmu śląskiego, a w latach 1873–1879 także do parlamentu wiedeńskiego.

Na szerszej arenie politycznej działał w oparciu o mądre rady ks. Franciszka Michejdy. W regionie udzielał się jako przewodniczący w cieszyńskim Wydziale Okręgowym Drogowym (1880–1900).

Z ramienia Powiatowej Rady Szkolnej wystąpił z projektem zorganizowania szkoły rolniczej w Kocobędzu i zimowej szkoły rolniczej w Cieszynie. Poza tym był aktywnym prezbiterem w Radzie Kościelnej w Cieszynie i członkiem honorowym Towarzystwa Rolniczego, a także Czytelni Ludowej w Cieszynie.

Przez pół wieku reprezentował śląskiego chłopą polskiego, wchodził w skład wszystkich deputacji z Cieszyńskiego. Dzięki mądrości życiowej zjednywał sobie

ogromną popularność podpartą zaufaniem wsi śląskiej, gdzie nazywano go „królem polskim”. Sam żarliwy ewangelik, nie uznawał różnic wyznaniowych. Miał wielu przyjaciół i zwolenników wśród katolików.

Żonaty był dwukrotnie: w 1856 roku z Anną Gryczówną, a następnie z Marią Górniakową.

W 1893 roku z okazji 25-lecia Towarzystwa Rolniczego, otrzymał złoty Krzyż Zasługi z Koroną.

Zmarł 5 kwietnia, w 80. roku życia, i został pochowany na cmentarzu w Mistrzowicach.

JERZY (1884–1940)

profesor, przyrodnik, działacz społeczny

Urodził się 4 lutego w Ligotce Alodialnej na Zaozlu, jako syn Adama. Szkołę ludową ukończył w Mistrzowicach, a w 1904 roku otrzymał maturę w Gimnazjum Polskim Macierzy Szkolnej w Cieszynie. Był nauczycielem w Szumbarku, Błędowicach Dolnych, kierownikiem szkoły w Witkowicach. W czasie I wojny światowej walczył w randze porucznika na froncie rosyjskim, a później włoskim. Po wojnie pełnił do 1920 roku obowiązki inspektora szkolnego we Fryszacie, a następnie do 1928 roku był nauczycielem w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie, później jego dyrektorem (do 1936). Po zlikwidowaniu Seminarium przeszedł do Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego. W latach 1922–1931 pełnił funkcję sekretarza Oddziału PTT „Beskid Śląski”. Doceniał rolę turystyki w wychowaniu młodzieży i szeroko ten ruch propagował. Był także jednym z organizatorów „Watry” i założycielem oraz prezesem Towarzystwa Ogrodniczo-Pszczelarskiego w Cieszynie.

W czasie kampanii wrześniowej został aresztowany przez gestapo. Po kapitulacji wrócił do domu. W listopadzie 1939 roku został zwerbowany przez dra Pawła Musioła do tajnej organizacji wojskowej „Odwet”, gdzie pełnił obowiązki dowódcy sekcji wojskowej, społecznej i propagandowej w Cieszynie. W kwietniu 1940 roku został ponownie aresztowany i wywieziony do obozu w Mauthausen, gdzie zginął 1 października.

Uma z jego prochami spoczywa na cmentarzu ewangelickim w Cieszynie.

JAN (1889–1968)

nauczyciel, działacz społeczny, turysta-narciarz

Urodził się 4 maja w Kostkowicach. W 1908 roku ukończył Seminarium Nauczycielskie w Bobrku k/Cieszyna. Od 14. roku życia uprawiał aktywnie narciarstwo. Po powstaniu Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego włączył się do jego działalności popularyzując szczególnie jazdę na nartach.

Podczas wojny światowej został wzięty do niewoli rosyjskiej i wywieziony w okolice wschodnich granic Uralu. Gdy w 1917 roku udało mu się zdobyć narty, w okresie zimowym przebył z Czelabińska dystans około 800 km i dotarł do Kazania. W listopadzie 1918 roku znalazł się w Cieszynie. Natychmiast wstąpił w szeregi wojska Polskiego. Zorganizował kompanię karabinów maszynowych. Z armią doszedł pod Lwów i brał udział w walkach dowodząc batalionem cieszyńskim. Z tymże batalionem przedostał się na Górny Śląsk i tam walczył z Niemcami w III Powstaniu Śląskim.

Po demobilizacji wrócił do Cieszyna, do pracy w szkolnictwie. W tym czasie zorganizował sekcję narciarską PTT i podjął się dozoru budowy schroniska na Stożku.

W 1923 roku został przeniesiony do Wielkopolski, gdzie był zatrudniony jako inspektor szkolny w Kępnie i Odolanowie. Ranny w czasie kampanii wrześniowej, zdołał przetrwać okres okupacji. Po wyzwoleniu pracował w szkolnictwie zawodowym i przyczynił się do reaktywowania „Watry” w Katowicach.

Od 1959 roku był prezesem Związku Emerytów. Ostatnie lata życia spędził w Domu Nauczyciela w Mikuszowicach, gdzie zmarł 6 sierpnia 1968 roku.

Odnaczony był dwukrotnie Krzyżem *Virtuti Militari*, Śląskim Krzyżem Powstańcym I klasy z Gwiazdą, Krzyżem Niepodległości i wieloma innymi, a także honorowymi odznakami PTT i Polskiego Związku Narciarskiego.

ANDRZEJ (1901 – 1973)

makler, działacz społeczny

Urodził się 13 listopada w Kostkowicach. Był synem Andrzeja i Anny z Kowalów. Do gimnazjum uczęszczał w Cieszyń. Naukę przerwał wstępując do wojska polskiego. Brał udział w Powstaniu Śląskim 1921 roku. Szkołę Morską ukończył w Tczewie (1925). W 1928 roku zawarł związek małżeński z Wandą Waismann.

W latach 1927 – 1939, był dyrektorem Agencji Morskiej w Gdańsku, a później w Gdyni. Był honorowym konsulem estońskim na woj. pomorskie. W czasie kampanii wrześniowej został dokooptowany do Ministerstwa Transportu. Dotarł do Rumunii, a stamtąd do Anglii. W latach 1930 – 1945 był dyrektorem przedsiębiorstwa statków handlowych.

Po wojnie, w latach 1950 – 1951, zorganizował wyprawę do Afryki na połów rekinów, pod egidą firmy brytyjskiej. Od 1952 roku przebywał w Montrealu pełniąc funkcję eksperta od ubezpieczeń dla kanadyjskiej placówki maklerskiej. Napisał dwie prace: *Zarys przyszłej polityki morskiej Europy Środkowo-Wschodniej* (Londyn 1943) i *Rola Polski w zagadnieniach morskich* (Londyn 1943).

Zmarł 11 listopada w Montrealu i tam został pochowany. (Informacje podała jego córka Anna Cienciała, profesor Uniwersytetu w Kansas, USA).

JERZY (1903 – 1986)

działacz polonijny

Urodził się w Ustroniu. Ukończył Wyższą Szkołę Handlową w Warszawie. Pracował jako księgowy w kopalniach na Górnym Śląsku. Brał udział w kampanii wrześniowej i dostał się do niewoli rosyjskiej. Od 1942 roku przebywał w Anglii pracując na Uniwersytecie w Oxfordzie. Był współorganizatorem Zrzeszenia Ewangelików Polaków w Anglii. Publikował artykuły na łamach prasy polonijnej. Działal w Związku Polskich Ziemi Zachodnich.

Zmarł 14 II w Anglii i tam został pochowany. Był ostatnim wnukiem „króla polskiego” Jerzego Cienciały.

LUDWIK (1922 – 1984)

działacz kulturalny, autor tekstów gwarowych

Pochodził z Lesznej Dolnej. Od 1938 roku, z wyjątkiem okupacji, którą spędził w więzieniu i na robotach przymusowych w III Rzeszy, pracował w warsztatach mechanicznych Huty Trzynieckiej. Należał do aktywnych działaczy Pol. Zw. Kulturalno-Oświatowego. Występował w zespole śpiewaczym „Gorol”. Propagował piosenkę polską w ramach Festiwalu Piosenki Polskiej. Odbýwał się on co dwa lata pod patronatem PZKO w Karwinie.

Ale największym osiągnięciem Ludwika Cienciały było stworzenie postaci wiejskiego mędrka, jakąty Macieja. Wraz z Władysławem Niedobą występował w tej roli w kołach PZKO, na Świętach Gorolskich w Jabłonkowie, podczas Tygodni Kultury Beskidzkiej w Wiśle, a nawet Zakopanem, podczas Festiwalu Folkloru Ziemi Górskich.

Zbiór jego humorystycznych utworów wydał ostrawski „Profil” w 1986 roku. Pozostałe teksty opublikował na łamach „Głosu Ludu”, „Zwrotu”, „Kalendarzy Śląskich”.

Zginął tragicznie w 1984 roku podczas eksplozji gazu w jednym z bloków mieszkalnych w Trzyńcu.

ANDRZEJ CINCIAŁA (1825–1898)
dr praw, notariusz w Cieszynie, dialektolog

Urodził się 8 czerwca w Kozakowicach Górnych pod numerem 38, jako syn Andrzeja i Anny z domu Rańdów z Końskiej. Szkołę ludową ukończył w Golezowie, poczem wstąpił do niemieckiego Gimnazjum w Cieszynie (bo polskiego nie było). W czasie rewolucji 1848 roku napisał broszurę dla ludu *Nowości niesłychane...* i wydawał „Tygodnik Cieszyński”, pierwsze polskie pismo na Śląsku Cieszyńskim. Jesienią tegoż roku zapisał się na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Po jego ukończeniu napisał i obronił pracę doktorską. W 1853 roku wrócił do Cieszyna i podjął praktykę u dr. Ludwika Kluckiego, u którego odbywał przez 12 lat praktykę adwokacką. Mając odpowiednie kwalifikacje, został skierowany do Schilbergu na rejenturę, a stamtąd do Frysztatu. W 1881 roku wrócił do Cieszyna i samodzielnie otworzył kancelarię notarialną. W wolnych chwilach opracował *Słownik dialektyczny*, nagrodzony przez Akademię Umiejętności. Poza tym wydał drukiem *Poradnik prawniczy*, ogłosił *Pieśni ludu śląskiego* i dwukrotnie *Przysłowia śląskie*. Ożeniony był z Matyldą z Klugów i pozostawił troje dzieci, z których Maria wyszła za mąż za prof. Jana Bystronia.

Zmarł 18 lutego w Cieszynie.

EDWARD (1892–1951)
dr medycyny, działacz społeczny, naczelnik Wydziału PKP

Urodził się 15 lutego w Suchej Średniej na Zaolziu, w rodzinie chłopskiej. Gimnazjum ukończył w Cieszynie w 1912 roku. Studia lekarskie odbywał na Uniwersytecie Lwowskim, ale musiał je przerwać z uwagi na mobilizację i służbę wojskową odbywaną w latach 1914–1918. Uczestniczył w akcji plebiscytowej na Śląsku Cieszyńskim i służył w Wojsku Polskim. Dyplom doktora wszech nauk lekarskich uzyskał w 1922 roku. W czasie studiów należał do Znicza — stowarzyszenia studentów Polaków ze Śląska Cieszyńskiego.

Pracę lekarską podjął jako asystent w Lecznicy Spółki Brackiej w Mysłowicach. Od 1925 roku, z przerwą okupacyjną, pracował w Dyrekcji PKP w Katowicach, jako naczelnik Wydziału Sanitarnego. Zorganizował Sanatorium Kolejowe w Bystrej Wilkowicach, dla chorych na płuca. Był przewodniczącym Rady Miejskiej w Mysłowicach, prezesem Rodziny Kolejowej i sekretarzem Śląskiej Okręgowej Izby Lekarskiej w Katowicach. Podczas okupacji był więźniem obozów w Dachau i Mauthausen-Gusen. Po wojnie pracował jako lekarz w Siemianowicach Śląskich. Był zastępcą przewodniczącego Związku Zawodowego Lekarzy woj. śląsko-dąbrowskiego, zastępcą przewodniczącego Rady Śląsko-Dąbrowskiej Izby Lekarskiej w Katowicach.

Zmarł 22 sierpnia w Siemianowicach.

Źródła: *Słownik Biograficzny, Śląski Słownik Biograficzny, Słownik Biograficzny Ziemi Cieszyńskiej, 75 lat turystyki na Ziemi Cieszyńskiej, wywiady osobiste.*

HISTORYK ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Już Leopold Jan Szersznik planował napisanie dziejów Śląska Cieszyńskiego, udało się to zrealizować jego następcy Albinowi Heinrichowi w 1818 r. Pierwsza poważna synteza historii tego regionu ukazała się jednak dopiero w 1863 r., a jej autorem był Gottlieb Biermann.

Gottlieb Biermann urodził się 12 kwietnia 1824 r. w Bratysławie w rodzinie ewangelickiej. W swoim rodzinnym mieście ukończył szkołę średnią, następnie studiował filozofię i teologię na uniwersytecie w Jenie. Jednym z jego nauczycieli był tutaj historyk kościoła ewangelickiego Karl August von Hase. Po ukończeniu studiów Biermann na krótko pracował jako nauczyciel w ewangelickiej szkole średniej w Bratysławie, by w 1852 r. podjąć dalsze studia, tym razem w Wiedniu. Studia w zakresie germanistyki i historii ukończył w 1854 r., dwa lata później został mianowany nauczycielem w gimnazjum ewangelickim w Cieszynie. Odtąd przez 17 lat Biermann bardzo aktywnie działał w Cieszynie stopniowo zajmując znaczące miejsce w kulturalnym życiu nadolziańskiego miasta.

Biermann urodził się i wychował w środowisku niemieckim, stąd też identyfikował się z interesami niemieckiej części zboru cieszyńskiego i ewangelickiego kościoła na Śląsku Cieszyńskim. Z tego względu należał do współpracowników wydawanego w Bielsku w latach 1865–69 przez pastora Theodora Haasego czasopisma „Neue Protestantische Blätter für evangelische Österreich”. Na polu publicznym opowiadał się za programem niemieckich liberalistów i był jednym z promotorów powołania w 1869 r. w Cieszynie „Związku Niemieckiego”, który postawił sobie za cel realizowanie tego programu w bieżącej polityce. Polskich uczniów gimnazjum ewangelickiego traktował jednak sprawiedliwie, co podkreślali zgodnie nawet po jego śmierci. Jako profesor najważniejszej szkoły ewangelickiej na Śląsku Cieszyńskim zajmował też ważną pozycję w życiu miejscowej społeczności protestanckiej. Był m.in. delegatem na II synod generalny superintendentury morawsko-śląskiej w 1866 r., w czasie którego opowiadał się stanowczo przeciwko podziałowi superintendentury na część morawską i śląską. W latach 1871–3 pełnił obowiązki dyrektora gimnazjum ewangelickiego, teraz określanego jako II (ewangelickie) gimnazjum państwowe w Cieszynie.

Główną zasługą Gottlieba Biermann pozostaje jednak jego działalność naukowa i publikowane prace z zakresu historii. Już w 1857 roku ukazał się w sprawozdaniu gimnazjum ewangelickiego jego pierwszy artykuł na temat polityki czeskiego króla Przemysła Ottokara II wobec Kurii papieskiej i Rzeszy niemieckiej. Następne prace poświęcone były w większości dziejom Śląska Cieszyńskiego, a ukazywały się we wspomnianych sprawozdaniach gimnazjalnych albo w wydawanych w Brnie przez marawsko-śląskie Towarzystwo wspierania rolnictwa, natury i nauki o ziemi „Notizenblatt der historisch-statistischen Sektion”. Znajdujemy wśród nich artykuły o zniszczeniu Bielska w 1682 r. przez Kuruców, o założeniu Cieszyna, o historii miasta i Śląska Cieszyńskiego w czasie wojny trzydziestoletniej, o urbarzach winnym i piwnym Cieszyna, o regale menniczym książąt cieszyńskich, o klasztorze benedyktynów w Orlowej, a także o księciu opawskim Mikołaju II oraz o zarządzie Opawy przed 1614 r. We wrocławskim „Zeitschrift für Geschichte Schlesiens” Biermann opublikował dłuższy artykuł po-

święcony dziejom górnośląskich Piastów. Był zresztą członkiem historyczno-statystycznej sekcji morawsko-śląskiego Towarzystwa wspierania rolnictwa i natury w Brnie oraz członkiem korespondentem wrocławskiego Stowarzyszenia dla Historii i Starożytności Śląska. W 1875 roku otrzymał tytuł doktora honoris causa uniwersytetu we Wrocławiu. Poza tym ma Biermann w swoim dorobku prace na temat dziejów księstwa oświęcimskiego i zatorskiego oraz cesarza Karola IV.

Najwięcej uwagi poświęcił jednak Biermann historii kościoła protestanckiego na Śląsku Cieszyńskim. Już w 1859 roku, z okazji obchodów 150-lecia powstania Kościoła Jezusowego w Cieszynie ukazała się książka Biermanna „Geschichte der Evangelischen Kirche Österreichisch-Schlesiens mit besonderer Rücksicht auf die der Gnadenkirche vor Teschen” (Historia ewangelickiego Kościoła na Śląsku Austriackim ze szczególnym uwzględnieniem Kościoła Łaski w Cieszynie), w tymże samym roku wydana po polsku w tłumaczeniu Jana Śliwki. W tymże 1859 roku Biermann wydał jeszcze „Historie ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie” (Geschichte des evangelischen Gymnasiums in Teschen). Poprawioną wersję dziejów kościoła protestanckiego na Śląsku Austriackim Biermann opublikował w późniejszym czasie w Pradze w 1897 roku pt. „Geschichte des Protestantismus in Österreichisch-Schlesiens”.

Dziełem życia Gottlieba Biermanna jako historyka są jednak opracowane przez niego syntezy dziejów księstwa cieszyńskiego oraz księstwa opawsko-karniowskiego, czyli dwóch części składowych ówczesnego Śląska Austriackiego. To drugie dzieło, które ukazało się w 1874 roku jest znacznie obszerniejsze, liczy bowiem prawie 700 stron druku. Nas jednak bardziej interesuje „Historia księstwa cieszyńskiego” (Geschichte der Herzogthums Teschen), której pierwsze wydanie ukazało się w Cieszynie w 1863 roku, zaś drugie, poprawiane w 1894 roku. Praca Biermanna dzieli się w zasadzie na trzy części, z których pierwsza omawia prehistorię Śląska Cieszyńskiego oraz proces powstawania księstwa ze stolicą w Cieszynie. Dwie następne części omawiają dzieje księstwa cieszyńskiego pod rządami Piastów oraz czasy późniejsze, przy czym historia współczesna jest potraktowana w sposób ewidentnie skrótowy. Obie części Biermann rozpoczyna przeglądem wydarzeń politycznych, następnie omawia różne sfery życia społecznego i gospodarczego, co jest szczególnie wartościowym, prekursorskim fragmentem książki, aczkolwiek oddaje stan wiedzy współczesny autorowi, a więc niedoskonały. W przeciwieństwie do wcześniejszych dziejopisów cieszyńskich praca Biermanna, podobnie jak jego inne opracowania, oparte były o solidne badania źródłowe, które prowadził zarówno w archiwach krajowych, jak też zagranicznych, np. we Wrocławiu. Nie licząc pracy Heinricha z 1818 roku opartej na skąpym rozeznaniu źródeł książka Biermanna była pierwszą syntezą dziejów Śląska Cieszyńskiego i jest wykorzystywana przez historyków do dzisiejszego dnia.

Co nie znaczy, że jest wolna od wad. Biermann starał się zachować w swoim dziele niezbędny obiektywizm badawczy, niemniej nie udało mu się tego zachować w całej rozciągłości. Zwłaszcza początkowe fragmenty książki oparte są o założenie, że we wczesnym średniowieczu nie istniały właściwie żadne ukształtowane instytucje na tym terenie i że powstały one dopiero wraz z kolonizacją niemiecką. Wypunktowała to już w 1864 roku „Gwiadka Cieszyńska” recenzując pierwsze wydanie książki Biermanna, aczkolwiek jej opinia, że książka generalnie ma za cel tendencje germanizatorskie jest znacznie przesadzona. Biermann słusznie np. krytykował przekonanie o założeniu Cieszyna w 810 roku przez synów polskiego władcy, wskazując że jest to późniejsza legenda bez żadnego pokrycia w źródłach i rzeczywistości. W czasach, kiedy Biermann pisał swoją pracę nie istniały poza tym opracowania, któreby w naukowy sposób udowadniały stanowisko przeciwne i rzetelnie rozróżniały pomiędzy wkładem Słowian a Niemców w procesie organizacji życia politycznego i społecznego na Śląsku we wczesnym średniowieczu. W drugim wydaniu swojej książki Biermann zresztą dość znacznie zmienił pierwsze partie swojego dzieła.

Po reorganizacji szkolnictwa średniego w Cieszynie w 1873 roku, w czasie którego istniejące dotąd gimnazja katolickie i ewangelickie zostały połączone w jedno gimnazjum państwowe Gottlieb Biermann został mianowany dyrektorem niemieckiego gimnazjum na Malej Stranie w Pradze i opuścił Cieszyn. W Pradze otrzymał tytuł radcy szkolnego, kontynuował, choć w mniejszym stopniu, prace badawcze, był też działaczem Stowarzyszenia Badań nad dziejami Niemców w Czechach (Verein für Geschichte der Deutschen in Böhmen). Zmarł w Pradze 10 stycznia 1901 roku.



Droga ku wzniosłości... Fot. Wojciech Trzcionka

PORTRECIŚCI CIESZYNA

Ubiegłoroczna (1998) kilkumiesięczna wystawa starych widoków Cieszyna, starannie i z rozmachem przygotowana przez Muzeum, unaoczniała mało znany fakt, iż jednym z pierwszych fotografów — jeśli nie pierwszym — którzy uroki książęcego miasta nad Olzą uwieczniali na najstarszych fotogramach, był Ryszard Jastrzebski.

Urodzony w Cieszynie 23 marca 1839 roku całe swoje dorosłe życie poświęcił doskonaleniu fotograficznego rzemiosła, co przyniosło mu m.in. zaszczytny tytuł „cesarsko-królewskiego dostawcy dworu”.

Kto zwiedził wzmiankowaną ekspozycję, kto nadto zadał sobie trudu przeczytania opisów poszczególnych fotogramów, niewątpliwie zauważyć musiał, iż autorem większości najstarszych wizerunków Cieszyna był Ryszard Jastrzebski. I szkoda wielka, że dla potomnych nie zachował się żaden fotograficzny portret tego zasłużonego dokumentalisty nadolziańskiego grodu.

Cały swój kunszt oraz tajniki warsztatu (kto kiedykolwiek choćby tylko amatorsko parą się fotografowaniem, a następnie laboratoryjną obróbką materiałów negatywowych i pozytywowych, ten wie ile wiedzy i zachodu dziedzina ta wymagała, zwłaszcza u jej zarania. Ryszard Jastrzebski wszystkie arkana zawodu przekazał synowi trojga imion Karolowi Augustowi Ryszardowi (urodził się 1 sierpnia 1877 r. w Cieszynie w domu „Pod Królem Polskim” przy ulicy Wyższa Brama).



Parterowa chatka przy ulicy Garncarskiej 16 w Cieszynie, mieszcząca zakład fotograficzny Karola Augusta Ryszarda Jastrzebskiego. Reprod. Tadeusz Kopoczek

Jego córka, p. Henryka Jezierska z Rybnika napisała w liście, że ona urodziła się już przy ulicy Schodowej 3, gdzie (w ogrodzie) ojciec posiadał zakład fotograficzny. Także on, wzorem jej dziadka, uwieczniał na kliszach ukochane przez siebie miasto. Ale nie tylko. Zostawił po sobie także niezliczoną ilość urokliwych portretów, zarówno cieszyńskich знаmienitości, jak również przeciętnych mieszkańców miasta.

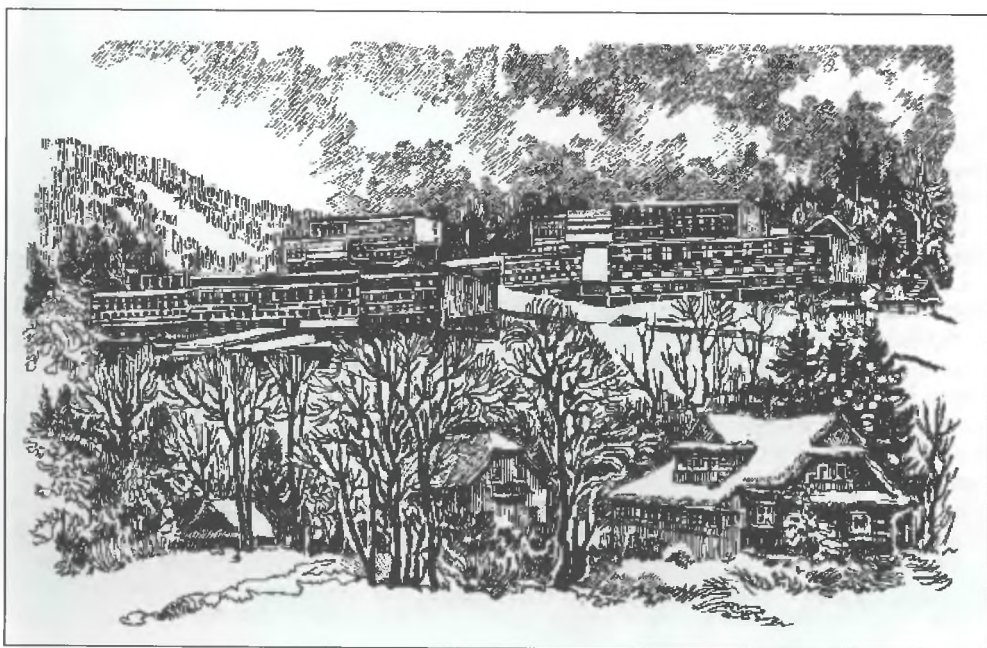
W 1929 roku K.A.R. Jastrzembski przeprowadził się do drewnianej parterowej chatki przy ulicy Garmcarskiej 16 (u zbiegu z ulicą B. Chrobrego), w której do końca swych dni prowadził własny zakład fotograficzny.

Ryszard Jastrzembski (ojciec) zmarł w wieku 69 lat 3 stycznia 1908 roku w Cieszynie, a w metryce zgonu odnotowano, że na skutek zwapnienia naczyń krwionośnych. Jego syn, Karol August Ryszard Jastrzembski, zmarł w 1952 roku w Cieszynie.



T.K.

Karol August Ryszard Jastrzembski (1877–1952). Reprod. Tadeusz Kopczek



Wisła, 1980 rok. Rys. tuszem Bogusława Heczki

TURYSTYCZNE ZASŁUGI JANA GALICZA

Większość biografów najczęściej zatrzymuje się prawie wyłącznie na pracy zawodowej opisywanej osoby, podaje mniej lub więcej szczegółów z życiorysu, a tylko wyjątkowo, jakby na marginesie, dotyka jej hobbistycznych zainteresowań, czy działalności. W odczuciu piszącego te słowa jest to krzywdzące nie tylko z tego powodu, że pokazana jest tym sposobem jakby połowa danej postaci, ale także dlatego, że przecież tej drugiej, „niepłatnej” pracy opisywany bohater poświęcał niejednokrotnie sporo energii i czasu, a często właśnie w tej dziedzinie dokonał więcej, niż w tzw. „zawodowym życiu”. Jest to godne podkreślenia zwłaszcza dziś, gdy u tak bardzo wielu pojęcie pracy społecznej wzbudza zdziwienie, czy nawet politowanie. Do takich postaci można zaszeregować dr. Jana Galicza.

Dla porządku przypomnijmy ważniejsze szczegóły jego życiorysu. Biografowie zgodnie stwierdzają, iż Jan Galicz był synem chorwackiego imigranta Jana i Joanny z Uherków. Niewątpliwie dużym magnesem dla poszukujących pracy była m.in. rozwijająca się huta żelaza w Leskowcu, dziś dzielnicy bliźniaczego miasta powiatowego Frydku-Mistku. Tam właśnie, 28 I 1874 roku, urodził się Jan Galicz. Wątpliwe tylko jest, czy ojciec miał w Leskowcu gospodę, czy od razu został pracownikiem huty; w każdym razie po przeprowadzce do Trzyńca pracował w tamtejszej hucie żelaza. Młody Jan uczęszczał do szkoły ludowej w Końskiej, potem w Cieszynie, gdzie także w 1896 roku uzyskał maturę w Gimnazjum. Tam też zdobył pierwsze szlify społecznego zaangażowania. Niestety nie wiemy, kto i co spowodowało, że w końcu nie mający miejscowej tradycji, wywodzący się raczej z prostej rodziny chłopak wpisał się do organizacji młodzieżowej „Jedność”, został jej sekretarzem, a w ostatnim roku nauki gimnazjalnej był jej prezesem. Potem kolejna zagadka, gdy czas studiów dzielił pomiędzy teologię w Olomuńcu, germanistykę na UJ w Krakowie, znów seminarium w Widnawie, ale ostatecznie ukończył w 1902 roku Uniwersytet Jagielloński, zdobywając kwalifikacje w zakresie germanistyki, filologii klasycznej, częściowo historii literatury. Swoim zainteresowaniom dał upust, zajmując się szczególnie twórczością austriackiego dramaturga Franza Grillparzera (1791–1872) i poetyckiego antagonisty osławionego kanclerza Klemensa v. Metternicha — Anastasiusa Grüna (właściwie Antona Alexandra v. Auersperga). Temu ostatniemu zresztą, dziesięć lat po studiach, poświęcił pracę doktorską na Uniwersytecie Jagiellońskim.



Jan Galicz. Reprod. Władysław Sosna

Już pod koniec studiów zaangażował się w organizowanie gniazd Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. W 1902 roku podjął pracę w polskim Gimnazjum macierzowym, jako nauczyciel języka niemieckiego, pomocniczo łaciny i greki; szybko przechodził kolejne szczeble awansu kwalifikacyjnego. Od 1905 roku prowadził w Macierzy dla dziewcząt kurs uzupełniający z historii (do 1922 roku). Zaangażowanie w pracy „Sokoła” pozwoliło mu doprowadzić do zlotu sokolego w 1908 roku w Cieszynie oraz założyć Towarzystwo Śpiewacze.

Ekspansja niemieckiej organizacji „Beskiden-Verein” musiała napawać troską wielu działaczy polskich, którzy dotąd nie zdołali organizacyjnie uchwycić turystycznych zainteresowań Polaków mieszkających na Śląsku. Dr Jan Galicz najprawdopodobniej od początku znalazł się w gronie tych, którzy schodzili się u znanego „rektora” Józefa Jońca w Rzece (wioska pod Ropiczką, obecnie CR), by radzić wspólnie z polskimi działaczami spoza prusko-austriackiej granicy rozdzielającej Śląsk, nad utworzeniem wspólnej polskiej organizacji turystycznej. Kilka miesięcy trwało, zanim władze zatwierdziły statut, indagowane przez BV, któremu powstanie polskiej organizacji wadziło. Wreszcie, 10 III 1910 roku w Cieszynie odbyło się zebranie założycielskie Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid” w Cieszynie.

Dr Jan Galicz znalazł się wśród członków pierwszego zarządu i musiał tam mieć znaczące słowo. Od razu bowiem zarząd podjął starania o wybudowanie w Beskidzie Śląskim własnego, pierwszego polskiego schroniska w czasie, gdy BV miało ich już osiem. Być może, był to efekt zapamiętanych przeżyć z wcześniejszej eskapady przez Stożek, gdy grupkę młodych turystów zaskoczyła burza, a potem pokazał się im rozległy widok z gołego wówczas wierzchołka góry. Wybór miejsca budowy schroniska padł właśnie na Stożek. Wstępne poczynania PTT zakończyły się skandalem, którego echa rozległy się nawet w parlamencie wiedeńskim. Choć w końcu otrzymano satysfakcję, jednak wobec rozpętanej przez nadleśnictwo (podległe Komorze Cieszyńskiej) akcji zniweczenia inicjatywy PTT i szykan górali, którzy działkę sprzedali, lepiej było od zamiaru odstąpić. Toteż w końcu pierwsze polskie schronisko stanęło 3 lata później na Ropiczce.



Schronisko na Stożku z czasów działalności Jana Galicza. Reprod. Władysław Sosna

Niebawem wybuchła I wojna światowa, dr Jan Galicz został zmobilizowany; do 1916 roku służył w armii austriackiej. O jego przygodach wojskowych nic nie wiemy. Wrócił szczęśliwie do Cieszyna, zasilając przerzedzone grono profesorskie polskiego Gimnazjum. W rok później zajął się kierowaniem prywatnego kursu seminaryjnego, przekształconego w 1919 roku na szkołę państwową. W tymże roku został dyrektorem Szkoły Realnej, do czasu jej likwidacji w 1921 roku. Przeniesiony do Katowic, do Wydziału Oświecenia Publicznego, po roku wrócił na stanowisko reaktywowanego Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego. W 1932 roku został zwolniony na wcześniejszą emeryturę. Biografowie na ogół zgodnie podają, iż przyczyną takiego pociągnięcia władz były narodowo-demokratyczne przekonania dr. Jana Galicza. Od wielu zresztą lat dr Jan Galicz był także działaczem Związku Śląskich Katolików, które, po 4-letniej fuzji z Chadecją, w 1927 roku znów się usamodzielnili i przeszło na pozycję śląskiej sanacji. Jakie stanowisko w tej sprawie zajął dr. Jan Galicz, mogłyby odpowiedzieć szczegółowe badania. Jak się zdaje, do odsunięcia dr. Galicza mogły się przyczynić nie tyle względy polityczne, co natury moralno-wychowawczej. Piszący te słowa wiele razy miał okazję usłyszeć raczej powściągliwą opinię starszych osób, którzy zetknęli się z dr. Galiczem, na temat stosowanych przez niego metod nauczania. Ich odbicie znajdziemy m.in. w pamiętniku prof. Józefa Pietera Cząsy i ludzie (cz. I, s. 162–164, Katowice 1986): *Oryginałem wyjątkowym, nawet jak na owe czasy (...) był dr Jan Galicz (...). Różne legendy o nim krążyły, ale rzeczywistość przerastała je. (...) Ostry sposób przemawiania, pogroźki od pierwszych prawie że słów i groźne oblicze działały niepokojąco, a może i paraliżująco. Rychło okazało się, że za byle niedokładność w odpowiedzi dostawało się „dwóję” (...). Galicz przynosił zawsze z sobą na lekcję gruby notes, „flajszbuch” (który) trzymał nieustannie w rękach, co chwilę bowiem zapisywał komuś dwóję (...). Pomimo stosowania metod na ogół nie uznawanych przez pedagogów, Galicz uczył skutecznie, przynajmniej języka niemieckiego, którym władał znakomicie. Razem uziqwszy, nie był człowiekiem złym, lecz narwanym i po prostu źle wychowanym.*

Równoległe z pracą zawodową w szkole kontynuował działalność w Macierzy, pozostając członkiem Zarządu Głównego przez 8 lat, w tym przez rok był prezesem (1922–23). Po zakończeniu I wojny światowej reaktywował działalność Sokola, w latach 1919–22 pełnił obowiązki prezesa X Okręgu Sokolego Dzielnicy Śląskiej. Po połączeniu cieszyńskiego PTT z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim i utworzeniu oddziału PTT „Beskid Śląski” został sekretarzem zarządu (może wcześniej?), w latach 1924–34 był prezesem oddziału, od 1929 roku członkiem Zarządu Głównego PTT, w 1930 roku uzyskał godność honorowego członka PTT.

Gdy schronisko na Ropiczce zostało podpalone i uległo całkowitemu zniszczeniu (4 IV 1918), po odzyskaniu niepodległości, ale w warunkach pogarszających się stosunków z Czechami, dr Galicz z największą radością powrócił do swojej inicjatywy budowy nowego schroniska na Stożku. Mimo braku pełnego pokrycia finansowego, już 26 I 1919 roku powzięto decyzję o jego budowie. Niebawem miało dojść jeszcze jedno nieoczekiwane wydarzenie: oto w lipcu 1920 roku wytyczono granicę pomiędzy Polską a Czechosłowacją zaledwie parę metrów od budującego się schroniska. Wreszcie 9 lipca 1922 roku Jan Galicz mógł uznać za swój wielki dzień. Tysięczne tłumy z obu stron Olzy zebrały się na wręcz manifestacyjnym otwarciu schroniska na Stożku. Schroniskiem tym prezes był tak dalece zafascynowany, że wręcz nie dopuszczał myśli, aby doszło do budowy dalszych obiektów tego typu w Beskidzie Śląskim.

Mimo tylu obowiązków, dr Jan Galicz znajdował czas na publicystykę, którą szczególnie rozwinął na emeryturze. Należy tu przypomnieć wiele różnych artykułów, które umieszczał w „Gwiazdce Cieszyńskiej”, w „Zaraniu Śląskim”, „Wierbach”, w różnych wydawnictwach okolicznościowych np. w księgach pamiątkowych „Jedności” i „Znicza”, jak i większych opracowań, m.in. dwóch biografii (o gen. Józefie Bemie i ks. Ignacym Świeżym), szkiców historycznych (o Związku Śląskich Katolików, o ruchu narodowym), a także książek o charakterze podręcznikowym (*Historia Polski (...)*,

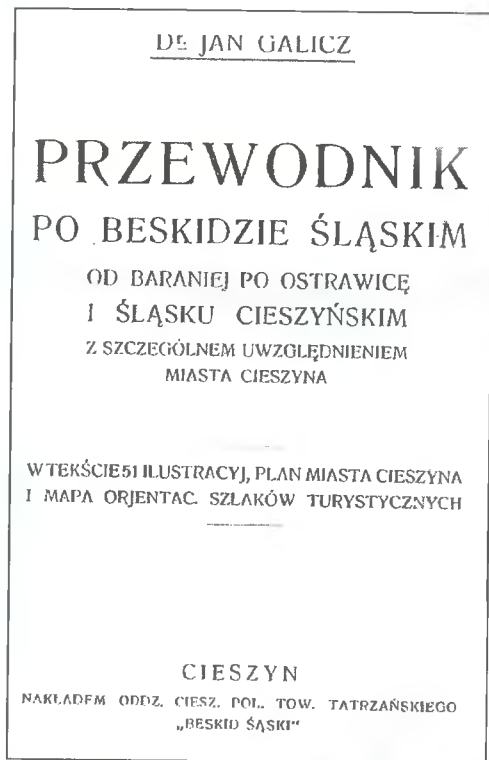
Historia powszechna), czy rozprawkę *Powstanie listopadowe w poezji niemieckiej* i ostatnią publikację *Cieszyńskie kościoły parafialne na przestrzeni wieków*. Jeśli jednak wspominamy dziś dr. Jana Galicza, to głównie ze względu na jego publicystykę, która w odniesieniu do naszego regionu stanowi „klasykę”, a w historii pisarstwa turystycznego zajmuje poczesne miejsce.

W latach 1930–36 dr Jan Galicz był redaktorem „Roczników PTT”, których w sumie pokazało się siedem. Wobec zniszczenia archiwów oddziału w czasie II wojny światowej, mają one dziś szczególną wartość, gdyż są jedynym drukowanym dokumentem działalności PTT w Cieszynie. W tychże „Rocznikach”, obok innych artykułów o charakterze krajoznawczym, wymienić trzeba dwa: *PTT Beskid w Cieszynie 1909–1929* oraz *Po 25 — latach*. Przez ponad pół wieku cała wiedza o początkach turystyki opierała się o te właśnie artykuły. Dopiero w latach osiemdziesiątych podjęto szerszą penetrację źródeł i poddano rewizji niektóre stwierdzenia Galicza, odnoszące się do początków turystyki na Śląsku Cieszyńskim.

Kolejnym osiągnięciem Galicza są dwie jego publikacje: *Przewodnik po Beskidzie Śląskim od Baraniej po Ostrawicę i Śląsku Cieszyńskim ze szczególnym uwzględnieniem miasta Cieszyna*, wydany nakładem oddziału PTT w 1931 roku o objętości 256 stron druku, oraz *Przewodnik po Cieszynie i okolicy*, wydany dwukrotnie, w 1933 i 1939 roku nakładem Dziedzictwa w Cieszynie, stron 80. Ten pierwszy spotkał się z niezbyt pochlebną recenzją w „Wierchach” (R. IX, s. 207); zarzucono autorowi wręcz plagiat wcześniej wydanego III wydania *Przewodnika po Beskidach Zachodnich* Kazimierza Sosnowskiego oraz „zaśmiecanie” go informacjami z terenów pozagórskich, zamieszczenie w wykazie literatury turystycznej przewodników i map dawno przestarzałych i wyczerpanych. Pominąwszy fakt, iż autor recenzji znany jest z autorytatywnych

wypowiedzi, jego opinia o przewodniku jest po prostu krzywdząca. Przecież wówczas były to początki polskiej literatury przewodnikowej, przynajmniej na Śląsku Cieszyńskim. Przewodnik Galicza, poza wspomnianym Sosnowskim, był wówczas jedynym polskim przewodnikiem po Beskidzie Śląskim, napisanym przez miejscowego autora, a drugą po ks. Macoszu pozycją przewodnikową po Śląsku Cieszyńskim. Wcześniej wydane w języku niemieckim przewodniki były zapewne szczegółowsze, ale nie spełniały oczekiwań polskiego turysty. Przeniesienie więc polskiego wzorca z Sosnowskiego, poszerzone o „dolinne” wiadomości należałoby raczej zakwalifikować bardziej pozytywnie. Do oczekiwanego II wydania jednak nie doszło.

Kolejny przewodnik po Cieszynie doczekał II wydania, wydatnie uzupełnione o część zaolziańską. Jak na owe czasy, zawierał sporo wiadomości krajoznawczych. Wczytując się w oba przewodniki, z łatwością można odgadnąć, jakich poglądów był autor, także gdy chodzi o sprawy konfesyjne, ale to także było właściwe tamtym czasom.



Strona tytułowa „Przewodnika po Beskidzie Śląskim”

Sumując, należy przypomnieć, że dr Jan Galicz spośród ówczesnych działaczy cieszyńskiego PTT, który podjął się napisania przewodników, przez długich kilkadziesiąt lat nie miał równego sobie następcy.

Postępująca choroba i zachodzące wydarzenia przyspieszyły zgon. Zmarł 5 XI 1939 roku, bardziej niż skromnie pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Cieszynie. Szczęśliwie jego grób ocalał do naszych czasów.

Pozostawił po sobie żonę Wandę z domu Gawińską (zmarła w 1945 roku) i córkę Marylę, żonę profesora filozofii w Seminarium Nauczycielskim na Bobrku Franciszka Czapli, straconego w obozie Mauthausen-Gusen w 1940 roku.

LITERATURA

1. *Polski słownik biograficzny*, t. 7, s. 224, Kraków 1948–1958.
2. *Śląski słownik biograficzny*, t. 3, s. 104, Katowice 1981.
3. Józef Golec, Stefanía Bojda, *Słownik biograficzny ziemi cieszyńskiej*, t. 1, Cieszyn 1993, s. 104.
4. Zenon Jasłński, *Mały leksykon nadolziański*, Opole 1990, s. 50.
5. Krzysztof A. Kuczyński, *Pedagog i społecznik*, w: *Kalendarz Cieszyński* 1987, Cieszyn 1986, s. 136.
6. *Od PTT do PTTK na ziemi cieszyńskiej*, Cieszyn 1985.
7. Józef Pieter, *Czasy i ludzie*, Katowice 1986, s. 162–164.
8. *Roczniki Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid Śląski” w Cieszynie*, I–VII, Cieszyn 1930–1936.
9. Wierchy, R. IX, Kraków 1931, s. 207.



Zanikające budownictwo beskidzkie, rok 1976. Rys. tuszem Bogusława Heczki

BOLESŁAW ORSZULIK

WIELKI JAŁMUŻNIK NARODU

Franciszek Popiołek nazwał Antoniego Osuchowskiego *wielkim jałmużnikiem Polski*, a E. Tryniszewski — *jałmużnikiem Narodu*. W tych określeniach nie ma żadnej przesady, bo ów adwokat, działacz społeczno-polityczny, mecenas nauki i oświaty, obrońca polskości w Wielkopolsce i Królestwie, na Warmii i Mazurach, a także na Śląsku Cieszyńskim, w pełni zasługuje na to, by tak go również nazywać. Jego niezmordowana działalność na polu narodowym w czasach zaborów jest godna podziwu, stąd też na zawsze utrwaliła się w narodowej pamięci. Jest to bowiem działalność wszechstronna i imponująca, co szczegółowo przedstawił Jan Hulewicz (zob. *Polski Słownik Biograficzny*. T. XXIV/3, z. 102. Wrocław 1979, s. 594–601; tu również obszerna bibliografia). W 70. rocznicę śmierci A. Osuchowskiego warto przypomnieć jego zasługi dla utrzymania polskości na ziemi cieszyńskiej, a są one niemałe.

Kontakty A. Osuchowskiego z Cieszynem, a ściślej z Macierzą Szkolną dla Księżstwa Cieszyńskiego, datują się od 1887 roku, kiedy to Macierz w odezwie „Do Rodaków całej Polski” apelowała o przyjęcie z pomocą finansową dla mającego powstać w Cieszynie polskiego gimnazjum. Od 1897 roku zaś ów mecenas co pewien czas przyjeżdżał tu osobiście, by nawiązać bezpośrednią współpracę z polskimi działaczami narodowymi i zorientować się w trudnej sytuacji polskiego szkolnictwa ludowego. Wtedy też poznał zagrożenia dla polskiego stanu posiadania ze strony nieprzebiegających w środowiskach nacjonalistycznych Niemców i Czechów. Był to bowiem okres wzmożonej na tym terenie działalności różnych ośrodków antypolskich, z których jedne dążyły do zgermanizowania polskiej ludności, drugie zaś do jej czzechizowania.

Owe ścisłe kontakty A. Osuchowskiego oraz związane z tym jego obserwacje spowodowały, że ten działacz narodowy, znany już ze swego patriotycznego zaangażowania w innych dzielnicach Polski, objął swym patronatem także ziemie nadolziańską. Począwszy od 1899 roku aż do końca swego pełnego poświęcenia dla polskości życia († 1928 r.) usilnie zdobywał dla cieszyńskiej Macierzy Szkolnej środki pieniężne, osiągające niejednokrotnie bardzo wysokie sumy.

Już pierwszy list A. Osuchowskiego skierowany 28 XII 1899 roku do Zarządu Macierzy pozwala zorientować się, w jakim stopniu nadawca korespondencji zaangażował się w sprawę polskiego szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim. Warto zatem przypomnieć (za F. Popiołkiem) fragment owego listu:

Mam zaszczyt donieść Wielebnemu ks. profesorowi [Józefowi Londzinowi, sekretarzowi], że miałem dzisiaj długą rozmowę z p. dr. Stanisławem Hassewiczem, pomiędzy innymi o potrzebach cieszyńskich — i że dr. Hassewicz powziął postanowienie ponieść z własnych funduszy koszty założenia szkoły ludowej (polskiej) w Cieszynie i kosztu jej utrzymania przez pierwsze dwa lata. Prosił mnie, ażebym o tym postanowieniu zaraz doniósł W. ks. profesorowi i najusilniej go prosił, ażeby łaskawie tą sprawę niezwłocznie zając się raczył tak, ażeby szkoła ludowa w Cieszynie, nie czekając początku przyszłego roku szkolnego, już od 1 stycznia 1900 r. zainstalowana być mogła. Dr. Hassewicz niedawno, widząc się z ks. Świeżym w Wiedniu, w ogólnych słowach omawiał z nim potrzeby cieszyńskie i potrzebę pilną szkoły ludowej — dzisiaj powziął już stanowcze postanowienie [...] Raczy W. ks. profesor przesłać dr. Hassewiczowi wiadomość, jaki potrzebny jest fundusz, a on rzeczony fundusz do jego dyspozycji

prześle. Wielce ucieszony jestem tym hojnym darem dr. Hassewicza (był lekarzem w Karlsbadzie) — którego zacna obywatelska działalność i ofiarność szerokim kołom za przykład służyć powinna. Dzięki Bogu ofiara ta umożliwia od razu instalację i byt tak nader potrzebnej szkoły ludowej.

Oprócz tego spieszę donieść, że na dzień 28 bm. [grudnia] zwołałem zebranie, na którym zamierzam przedstawić sprawę cieszyńską i zwerbować członków założycieli [...].

W dalszej części listu Osuchowski zawiadamia Macierz, że udało mu się pozyskać także dodatkowe fundusze. Tak więc dzięki inicjatywie „wielkiego jałmużnika” dr S. Hassewicz przekazał cały swój znaczny majątek na cele polskiego szkolnictwa, dzięki czemu trwale zapisał się w historii naszego regionu. Imię tego ofiarodawcy przyjęła „jego” polska szkoła ludowa i wydziałowa w Cieszynie, dziś nosi je sala gimnastyczna w Szkole Podstawowej nr 1 w Cieszynie.

Dzięki pomocy A. Osuchowskiego mogły również później funkcjonować polskie szkoły ludowe, a także ochronki, w innych miejscowościach, zwłaszcza w tych, w których trzeba było przeciwstawiać się antypolskiej działalności dobrze zorganizowanym szkołom niemieckim i czeskim, np. w Boguminie, Gruszowie, Dzieńmorowicach, Radwanicach, Pietwałdzie, Niemieckiej Lutyni i in. W owym szkolnictwie bowiem widział Osuchowski „najskuteczniejszy i właściwie jedyny środek prowadzący do narodowego uświadczenia szerokich mas”. Aby ten cel osiągnąć, zaczął już pod koniec 1901 roku myśleć o założeniu w Cieszynie seminarium, które kształciłoby polskich nauczycieli. Oto jakie znaczenie przypisywał powołaniu do życia polskich szkół średnich (cytat za Emilem Sznatką): *Zadaniem gimnazjum polskiego jest stworzenie na Śląsku austriackim polskiej inteligencji i tym samym naturalnych przewodników ludu. Zadaniem seminarium będzie uświadczenie i odniemczenie ludu u samej podstawy.*

Polskie prywatne gimnazjum powstało dzięki staraniom Macierzy Szkolnej w 1895 r. Wówczas z wydatną pomocą przyszedł ziemianin ze Żmudzi Konstanty Kmita. Później zaś A. Osuchowski przez kilka lat (1898 – 1903) z niestrudzoną energią zabiegał o upaństwowienie owej placówki, by świadczone na nią prywatne fundusze mogła Macierz skierować na inne cele oświatowe. Owe starania utrudniały jednak w pewnym stopniu powołanie do życia polskiego seminarium. Władze bowiem — już i tak niechętnie polskiemu gimnazjum — tym bardziej nie chciały zgodzić się na powstanie drugiej polskiej szkoły średniej. Wobec nacisków, zwłaszcza posłów Koła Polskiego w Wiedniu, inspirowanych przez Osuchowskiego, rząd austriacki wprawdzie ustąpił, lecz uczynił to tylko połowicznie, w dodatku dość perfidnie. Nie chcąc dopuścić do założenia prywatnego seminarium nauczycielskiego, zezwolił w 1904 roku otworzyć polskie paralełki przy niemieckim seminarium. Równocześnie jednak zobowiązano Macierz, by na ich początkowe utrzymanie uiściła znaczną kwotę, którą znów zebrał i przekazał „wielki jałmużnik”.

Dążąc do otwarcia polskiego seminarium A. Osuchowski pozyskał dla tej sprawy pochodzącego ze środowiska ziemiańskiego na Żmudzi warszawskiego lekarza Nestora Bucewicza, który hojnym zapisem (50.000 koron) wsparł to ważne dla sprawy polskiej przedsięwzięcie. Jego realizacja nastąpiła dopiero w 1910 roku, kiedy po odłączeniu polskich paralełek od niemieckiego seminarium powstało samodzielne polskie seminarium nauczycielskie, znajdujące w 1911 roku własną siedzibę w nowym gmachu na Bobrku. W tej trudnej i długiej walce o polski zakład mający kształcić nauczycieli dla polskich szkół ludowych wielką rolę odegrał mecenas Osuchowski, kwestując usilnie i z powodzeniem dla finansowego wsparcia wyznaczonego już w 1901 roku celu. Równocześnie zbierał fundusze na bursę Macierzy Szkolnej (otwartą w 1905 roku) i stypendia dla wychowanków gimnazjum i seminarium. Na ten cel urządził w Warszawie loterię fantową, osobiście zdobywając u wybitnych artystów dzieła sztuki. Jego kwestowanie wydatnie przyczyniło się również do otwarcia przez Macierz w 1909 r. polskiego gimnazjum realnego w najbardziej uprzemysłowionej części Śląska Cieszyńskiego — w Orłowej. Gimnazjum postawiło sobie zadanie kształcenia polskiej inteligencji

technicznej, tak potrzebnej w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim, gdzie dotąd wszystkie ważniejsze stanowiska na kopalniach, w hutach, fabrykach itp. zajmowali Niemcy lub Czesi, najczęściej negatywnie ustosunkowani do polskości.

W latach 1904–1907 członkowie Zarządu Macierzy podzielili się na dwa przeciwstawne obozy, co wpłynęło ujemnie na działalność towarzystwa. W dodatku w tym czasie wystąpiły duże trudności finansowe. Macierz przechodziła poważny kryzys organizacyjny.

Na skutek ścisłych kontaktów (osobistych i korespondencyjnych) mecenas Osuchowski dobrze orientował się we wszystkich owych problemach. Zwłaszcza rozłam w Zarządzie bardzo go zaniepokoił. Dlatego poprzez Komitet Warszawski Macierzy, w skład którego wchodził oprócz niego dr Nestor Bucewicz, dr Stanisław Hassewicz i Henryk Sienkiewicz, dążył do uzdrowienia owej sytuacji i spowodował, że ów Komitet przestał Zarządowi wprost zalecenia, od których spełnienia miała — jak się wydaje — zależeć dalsza współpraca. W myśl zawartych w owym memoriale wskazówek Zarząd Macierzy został niejako zobligowany do gruntownej reorganizacji. Opracował więc nowy statut i rozpoczął zakładanie własnych kół poza Cieszynem. W tym celu porozumiał się z terenowymi polskimi organizacjami, które zadeklarowały współpracę z Macierzą, niektóre nawet podporządkowały się organizacyjnie, przekształcając się w jej koła. Uczyniło tak m.in. radykalne ugrupowanie frysztackie „Jedność”, mające w Zagłębiu szereg dobrze działających agend.

Objęcie działalnością całego obszaru Śląska Cieszyńskiego miało na celu nie tylko roztoczenie opieki nad polskim szkolnictwem, ale także organizowanie życia kulturalno-oświatowego wśród dorosłych (kursy dokształcające, odczyty, przedstawienia, obchody narodowych rocznic, zakładanie bibliotek, chórów itp.). Poprzez zakładanie kół w regionie pozyskiwano dla pracy narodowej nowych członków, którzy także wspierali owe inicjatywy finansowo. Odtąd Macierz będąc najważniejszą instytucją organizującą polskie życie kulturalne na Śląsku Cieszyńskim, stała się — jak to określono — „bastionem polskości”. Wielka w tym zasługa A. Osuchowskiego.

Wraz z rozszerzeniem działalności Macierzy wzrosły również jej wydatki. Np. w 1913 roku towarzystwo utrzymywało gimnazjum w Orłowej, 6 szkół ludowych, 2 przemysłowych i 10 ochronek, a także organizowało różne kursy dokształcające (np. dla analfabetów). W tym właśnie czasie towarzystwo znalazło się ponownie w głębokim impasie finansowym. Także i tym razem „wielki jałmużnik” przyszedł z wydatną pomocą ratując przed likwidacją szkoły i ochronek. Syntetyczną, choć niezmiernie trafną ocenę jego licznych świadczeń na rzecz utrzymania polskości w naszym regionie dał bezpośredni świadek tamtych czasów, wspomniany już F. Popiołek. Stwierdził on mianowicie (podaję za J. Hulewiczem): *Śląsk Cieszyński zawdzięcza Osuchowskiemu prawie wszystko, co posiada pod względem narodowym. Tylko najstarsze pisma i Macierz powstały bez jego przyczynienia się. Wszystkie inne instytucje polskie jemu zawdzięczają, jeśli nie początek, to poparcie i utrzymanie się do 1919 r.*

Dla dopełnienia tej oceny należy jednak dodać, że ów „jałmużnik” także po wojnie przychodził z finansową pomocą Śląskowi Cieszyńskiemu, m.in. gorliwie zaopiekował się zwłaszcza młodzieżą w tej części regionu, która znalazła się w Czechosłowacji. Zbierał bowiem fundusze na stypendia dla uczniów orłowskiego gimnazjum oraz na polskie oddziały seminarium w Morawskiej Ostrawie.

Zasługi Osuchowskiego dla utrzymania polskości na Śląsku Cieszyńskim są ogromne i nie do przecenienia, choć stanowią tylko część wysiłków, jakie ów mecenas świadczył na rzecz wielu regionów Polski w czasach zaborów. Dlatego we wdzięcznej pamięci społeczeństwa cieszyńskiego zapisał się jako wielki orędownik i obrońca sprawy polskiej na nadolziańskiej ziemi.

NIEZAPOMNIANY PAN TOMASZ

Tomasz Mański urodził się 29 grudnia 1889 roku w Radzionkowie. Przypada więc 110. rocznica jego urodzin. To był ktoś niezwykajny. W latach siedemdziesiątych odwiedzaliśmy go wspólnie z Antonim i Anną Wieżikami w Wiśle, gdzie zamieszkiwał w ostatnich latach życia willę Stanisława Hadyna. Obdarowywał nas swoją pogodą ducha, a nade wszystko mądrością, którą dawkował dyskretnie i niepostrzeżenie. Był dobrym, obdarzonym niezwykajnym wglądem w rzeczywistość człowiekiem. Czuliśmy to, ceniąc sobie te przyjacielskie wizyty. Zdaje się, że i on doceniał naszą wspólną znajomość, bowiem w ostatnim okresie pędził dość samotniczy tryb życia.

Z wykształcenia był muzykiem, absolwentem konserwatorium w Bytomiu. Czas jakiś pracował jako nauczyciel muzyki. Grał na organach w kościołach katolickich, powoływał do życia chóry, które sam szkolił i prowadził, przekazując dyrygenturę następcom. Komponował również pieśni kościelne i patriotyczne, które ukazały się później drukiem w Krakowie, Lipsku, Stanach Zjednoczonych i Francji. Muzycznym pasjom towarzyszyły zainteresowania zjawiskami parapsychologicznymi. Mański był członkiem Towarzystwa Metapsychicznego w Krakowie, które utworzył stryj Stanisława, Jan Hadyna. Orientował się w zagadnieniach mediumizmu, spirytyzmu, astrologii oraz innych dziedzinach „wiedzy tajemnej”. Znal również ródzkarstwo, na którego temat sporządził ciekawe uwagi. Napisał również kilka prac o tematyce wizyjnej i ezoterycznej, sygnując swoje utwory pseudonimem SZAMOTA. Zapoznał się także z tajemną wiedzą hawajskich Kahunów, która po latach zaczęła przeżywać w świecie swój renesans. Wkrąg jego zainteresowań wchodziła również duchowość Dalekiego Wschodu, a szczególnie system jogi Patandzalego. W swoim mieszkaniu zgromadził księgozbiór złożony z książek o tematyce okultystycznej. Był powstańcem śląskim, członkiem francuskiego ruchu oporu, odznaczonym przez gen. Władysława Sikorskiego Krzyżem Walecznych. Został także uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz odznaką Zasłużony dla Województwa Bielskiego.

Nade wszystko Mański był propagatorem nauki duchowej Josefa Antona Schneiderfrankena, znanego jako Bo Yin Ra. Ten wybitny filozof, mistyk i malarz niemiecki wyrażał mądrość Orientu w kategoriach mentalności ludu Zachodu. Mański z chwilą zetknięcia się z tym przekazem zrewidował dotychczasowe zainteresowania okultyzmem, poświęcając się upowszechnianiu prac wielkiego Niemca. Zaopatrzył 19 polskich bibliotek, w tym głównie ośrodki uniwersyteckie, w komplet 49 dzieł Bo Yin Ra oraz ich cenne tłumaczenia w maszynopisach. Te niezwykle inspirujące prace trafiły także do rąk papieża Jana Pawła II.

Całą swoją działalność prowadził bezinteresownie, zgodnie z duchem karma jogi, jogi bezinteresownego czynu. Miał artystyczną duszę, nade wszystko jednak wielką wyobraźnię i wrażliwe serce; był znany powszechnie ze swej dobroci i uczynności. Do ostatnich chwil pomagał biednym i potrzebującym. Jego brat, ksiądz salezjanin, Idzi Mański, znany kompozytor pieśni religijnych, zginął tragicznie w Tatrach.

Kiedy odwiedziliśmy pana Tomasza na kilka miesięcy przed jego śmiercią, przycinał akurat drzewa w ogrodzie. Usiedliśmy na ławeczce pod akacją i usłyszeliśmy następujące słowa: „Pod koniec tego roku będę umierał...”. W rękach miał zeszyt, w którym gryzmolił jakieś obliczenia. Wyszyły same dziewiątki — dodał tajemniczo

w zamyśleniu, nie tracąc nic ze swojej swady i pogody ducha. Zaskoczył nas wówczas swoim proroczym widzeniem, któremu po ludzku nie dawaliśmy wiary. Jednak na dnie świadomości tliła się pewność, że to się wydarzy. I stało się tak, jak powiedział.

Zmarł 21 września 1983 roku, przeżywszy owocnie 93 lata. Pozostawił małżonkę Annę, z domu Dzierżynogę, z którą przeżył 71 lat, siostrę Marię Jankowską, syna Józefa, zamieszkałego w Kanadzie i córkę Agatę, żonę Stanisława Hadyny oraz liczne grono przyjaciół w kraju i za granicą.

CZY WIECIE, ŻE...?

Noszenie spodni zapoczątkowano przed wiekami w Azji, gdzie strój ten przeważał wśród ludów koczowniczych i pasterskich. Starożytni Rzymianie w tym czasie mieli spodnie w pogardzie i uważali, że jest to ubiór barbarzyński. Jednak już w średniowieczu spodnie stały się obowiązującym elementem męskiego stroju. Najpierw były bardzo krótkie, w formie majtek i łączono je z długimi pończochami. Rycerze pod zbroją nosili obcisłe rajstopy, których jedna nogawka musiała różnić się kolorem od drugiej.

W okresie renesansu spodnie zostały oddzielone od pończoch, były krótkie i bufiaste. W XVI wieku, za przykładem królowej Margot (1553—1615), która zaczęła nosić spodnie na niektóre szczególne okazje, rozpowszechniano ten strój wśród kobiet.

Długie, sięgające kostek spodnie rozpowszechnili Francuzi pod koniec XVIII wieku, w okresie Rewolucji Francuskiej. W następnym stuleciu spodnie były już w powszechnym użyciu. Coraz częściej też przywdziewały je kobiety. Jeszcze po I wojnie światowej, choć coraz więcej kobiet ubierało spodnie, do pracy, do lokalu, kawiarni czy na przyjęcia obowiązywała tylko spódnica, czy suknia. Dopiero w kolejnych latach stopniowo mijały uprzedzenia. Dziś noszenie spodni przez kobiety stało się powszechne, a krój spodni damskich wcale nie różni się, lub różni niewiele od męskich.

Warto w związku z tym przypomnieć, że jednym z argumentów uzasadniających skazanie Joanny d'Arc przez spalanie na stosie w 1431 r. był fakt, że nosiła spodnie.

ŻYCIE ODDANE ORŁOWSKIEMU GIMNAZJUM

Pod koniec lat osiemdziesiątych otrzymałem od profesora Jerzego Starczawskiego z Łodzi zaproszenie do współpracy nad *Słownikiem badaczy literatury polskiej*. Miałem opracować biogramy polonistów ziemi cieszyńskiej, którzy poza pracą dydaktyczną poświęcili się też badaniom historyczno-literackim. Zainteresowałem się wtedy postacią Józefa Niemca. Zgromadzenie źródeł okazało się bardzo trudne. Nawet rodzina, mieszkająca w Cieszynie, nie była w stanie udostępnić dokumentów związanych z osobą bardzo popularnego zaolziańskiego nauczyciela. Pozostały tylko teksty w „Poglądach”, „Zwrocie” i „Ogniwie” oraz biogramy w *Polskim Słowniku Biograficznym* i w *Małym leksykonie zaolziańskim* (notabene powtórzone w *Słowniku biograficznym ziemi cieszyńskiej* Józefa Golca i Stefanii Bojdowej). M.in. dlatego oraz z powodu stwierdzenia małej aktywności badawczej prof. Józefa Niemca z zakresu historii literatury biogram ostatecznie nie wszedł do łódzkiej publikacji. Ale zgromadzone wspomnienia i informacje pozwalają na częściowe rozszerzenie wiedzy o człowieku, który stał się wielkim autorytetem dla swoich wychowanków i dla zaolziańskiego środowiska, m.in. literacko-artystycznego.

Józef Niemiec urodził się 4 lipca 1891 roku w Suchej Średniej. Jego matka Joanna wywodziła się z rodu Szymeczków, zaś ojciec Józef był tamtejszym kowalem. Prof. Niemiec miał troje rodzeństwa — siostrę Zofię oraz dwóch braci: późniejszego inżyniera, pracownika PKP oraz Ferdynanda — katolickiego księdza, proboszcza w Rychwaldzie i w Rudzicy k. Bielska.

Po nauce w czeskiej szkole ludowej w Suchej Średniej oraz w szkole ćwiczeń przy niemieckim seminarium nauczycielskim w Cieszynie J. Niemiec wstąpił do Gimnazjum Macierzy Szkolnej, które ukończył w 1911 roku. W tej ostatniej szkole jego nauczycielami byli m.in. dr Ernest Farnik, Jak Galicz, Henryk Maurer, dr Jan Wytrzens, Edward Klich, dyrektor Wiktor Schmidt. Wywarli oni bodaj duży wpływ na jego zainteresowania humanistyczne, jak również na gruntowną znajomość języków, m.in. łaciny, greki, a także polskiego i niemieckiego.

Na prośbę matki rozpoczął studia teologiczne w Widnawie, ale po roku studiował już polonistykę i germanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie (1912–1914). W czasie I wojny światowej kontynuował je we Wiedniu aż do czasu, gdy został powołany do austriackiego wojska. Ostatecznie ukończył studia w 1920 roku w Krakowie i od tego czasu pracował do 1958 roku (z przerwą lat wojny) w Polskim Gimnazjum Realnym w Orłowej. Posadę objął po znakomitym historyku, krytyku i metodyku literatury polskiej Henryku Życzynskim (1890–1940) i pośrednio po późniejszym profesorze Uniwersytetu Poznańskiego i współtwórcy Istituto di Cultura im. A. Begeya w Turynie, znawcy piśmiennictwa staropolskiego — Romanie Pollaku (1886–1972). Współpracował zaś m.in. z pisarzami Ludwikiem Kobiłą (1897–1945) i Adolfem Fierlą (1908–1967), którzy w latach trzydziestych też byli nauczycielami w Orłowej.

W Polskim Gimnazjum Realnym Józef Niemiec uczył przede wszystkim języka polskiego i propedeutyki filozofii, natomiast w Państwowym Seminarium Nauczyciel-

skim w Ostrawie, gdzie uczył w latach 1923–1938, wykładał język, literaturę i metodykę nauczania polskiego, pedagogikę, historię wychowania.

Lata wojny spędził w Krakowie, gdzie pracował w Polskim Urzędzie Mieszkaniowym. Zaraz po zakończeniu działań frontowych powrócił do Orlowej i podjął obowiązki pedagogiczne. W roku akademickim 1949/1950 prowadził dodatkowo lektorat języka polskiego na uniwersytecie w Olomuńcu. Po wojnie zmienił też stan cywilny — ożenił się z Gabriellą Kunz, którą poznał bodaj w latach trzydziestych, gdy była kierowniczką bursy szkolnej w Ostrawie. Jej syn z pierwszego małżeństwa, Zbigniew Kunz, zginął w czasie II wojny światowej, rozstrzelany przez Niemców. Gabriela Kunz-Niemiec zaopiekowała się orłowskim polonistą i — jak wspomina dr Maria Zobačowa — dawała liczne dowody troskliwości o męża, gdy ten po przejściu na emeryturę chorował, m.in. na niewydolność serca. Z tego powodu w 1974 roku znalazł się pod opieką dra Donocika w szpitalu sióstr elżbietanek w Jabłonkowie. Tam zmarł 15 października tego roku i został pochowany na tamtejszym cmentarzu.

Treścią życia J. Niemca były książki i przekazywanie umiłowania literatury pięknej młodzieży. Inż. Tadeusz Wratny tak wspomina swego polonistę: *Jego wykłady były dostosowane do poziomu naszej wiedzy i wieku, lecz Pan Profesor często przemyczał do nich (a może czynił to nieświadomie?) zakres daleko szerszy i temat traktował bardziej dogłębnie [niż było to przewidziane programem]. Po prostu czuł się w swoim żywiole i chciał się podzielić z nami swymi wiadomościami. Szczególnie szeroko omawiał Kazania Świętokrzyskie, Psalterz Floriański, a później Dziady Adama Mickiewicza, do których pałał miłością, trwałą i głęboką.*

Przez swoją pracę pedagogiczną, wyjątkową dbałość o poprawność i piękno języka polskiego i ujmującą osobowość zyskał, jak powiedziano, duży autorytet. Był człowiekiem spokojnym, skromnym, prawym i opanowanym (T. Wratny), w życiu pozaszkolnym nawet mało mównym (J. Szymeczek). Mimo to często był wciągany w prace organizacyjne (na przykład w PZKO), oświatowe, literackie.

Jako znaczący polonista wygłaszał odczyty o literaturze polskiej, pisał też recenzje podręczników szkolnych. Nie umiając odmawiać znajomym i byłym uczniom, opracował nawet kilka tekstów. Dość często jest wymieniana jego broszura o Henryku Sienkiewiczu z 1924 roku, dziś niedostępna (wspominał o niej, jako o prawie „białym kruku”, Józef Ondrusz), zachował się też rękopis artykułu *Życie literackie i artystyczne polskie na Śląsku czechosłowackim* (należał do wymienionego J. Ondrusza). Byłoby jednak przesadą mówienie o jego aktywności publicystycznej i popularnonaukowej, podobnie jak o żywej działalności w Śląskim Związku Literacko-Artystycznym (1937–1939) i Sekcji Literacko-Artystycznej PZKO (po 1947). Mimo to J. Niemiec miał wpływ na zaolziańskie życie oświatowe i literackie (szerzej — kulturalne), bowiem służył radami cieszyńsko-śląskim literatom przed II wojną światową, a w latach pięć- i sześćdziesiątych garnęli się do niego m.in. niektórzy twórcy z pokolenia *Pierwszego lotu*. Czuł się bodaj patronem wysiłków pisarskich niektórych swoich byłych wychowanków.

J. Niemiec zgromadził duży księgozbiór, o którym urosły prawie legendy. Z powodu nieudolności i trudności z transferem nie został częścią Biblioteki Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, co było bodaj jego życzeniem. Tylko część zbiorów znalazła się w Bibliotece Powiatowej w Karwinie, reszta uległa rozproszaniu, na przykład roczniki prasy śląskiej. Jest to niewątpliwa strata dla zaolziańskiego środowiska, bowiem zaprzepaszczone zostały owoc bibliotekarskiej pasji orłowskiego polonisty.

J. Niemiec był spadkobiercą żywych tradycji humanistycznych, kultywowanych na Śląsku nie tylko przez inteligencję, ale także przez warstwy chłopską, rzemieślniczą, mieszczańską. Wchłaniał tę tradycję i przekazywał uczniom. Na nich skupiała się głównie jego uwaga i dlatego ma rację Tadeusz Wratny, gdy kończy wspomnienie o swoim nauczycielu stwierdzeniem, że losy pozwolił mu prawie do ostatnich chwil życia spoglądać z okien swego mieszkania na budynek Polskiego Gimnazjum Realnego w Orlowej, na miejsce, z którym niepodzielnie złączone były losy jego życia.

ZASŁUŻONY DLA USTRONIA

Na fasadzie ustrońskiego Muzeum znajduje się mosiężna tablica z napisem: *Jan Jarocki, inżynier mechanik (1899–1980) — zasłużony kuźnik, organizator techniki kuźniczej w Polsce, działacz społeczny, inicjator Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w Ustroniu*. Tę pamiątkową tablicę z popiersiem Jana Jarockiego odsłonięto 20 VII 1986 roku. Tego dnia, zgodnie z uchwałą Miejskiej Rady Narodowej, nadano nowoutworzonej placówce muzealnej imię Jana Jarockiego.

Urodził się 16 IV 1899 roku w Tarnowie. W 1926 roku ukończył Politechnikę we Lwowie, a w 1931 roku otrzymał pracę na stanowisku głównego inżyniera w Fabryce Śrub i WYROBÓW KUTYCH w Ustroniu. W 1932 roku został kierownikiem, a w 1935 dyrektorem tego zakładu. Główną uwagę poświęcił pozyskiwaniu nowych zamówień, modernizacji i polonizacji tej austriackiej fabryki.

W czasie II wojny światowej mieszkał i pracował we Lwowie i w Warszawie, a po wyzwoleniu wrócił do Ustronia i 16 V 1945 roku objął ponownie stanowisko dyrektora fabryki. Zaangażował się też w uruchomienie przyzakładowej szkoły średniej. Od 1950 do 1959 roku był dyrektorem technicznym Kuźni Ustroń. Zakład wówczas przeszedł gruntowną modernizację, a ilość i jakość produkcji zapewniły mu miejsce w czołówce zakładów zrzeszonych w Zjednoczeniu Przemysłu Motoryzacyjnego.

W 1968 roku J. Jarocki przeszedł na emeryturę, lecz pracował nadal jako adiunkt w Instytucie Obróbki Plastycznej w Poznaniu, Oddział w Ustroniu.

Był wybitnym specjalistą w dziedzinie kuźnictwa, rzeczoznawcą Ministerstwa Przemysłu Motoryzacyjnego, autorem około 40 publikacji naukowych oraz kilka patentów. Był też działaczem społecznym zaangażowanym w sprawy miejscowości, w której pół wieku żył i pracował. Przez wiele lat działał w Towarzystwie Miłośników Ustronia, założył też w Ustroniu koło Polskiego Związku Zachodniego.

W 1965 roku opracował memoriał w sprawie ochrony przyrody i techniki w Ustroniu oraz podjął starania o zorganizowanie muzeum.

Przez wiele lat gromadził i opracowywał materiały źródłowe dotyczące historii hutnictwa i kuźnictwa. Przechowywał cenne archiwalia, które pozyskiwał w zakładzie lub od długoletnich pracowników. Wielokrotnie przekonywał władze miejskie i dyrekcję Kuźni o konieczności utworzenia muzeum na 200-lecie tego zakładu, które przypadało na rok 1972. Jako pierwszy wskazywał, że na siedzibę placówki najwłaściwszy będzie



Jan Jarocki w 1975 roku w trakcie opracowywania zbiorów dla ustrońskiego muzeum hutnictwa i kuźnictwa

budynek dyrekcji huty, bo jest położony w centrum miasta i jednym z najstarszych budynków w Ustroniu. W 1971 roku, po wykwaterowaniu mieszkańców, rozpoczęto prace remontowe, które jednak ze względu na przewidywane duże koszty tego przedsięwzięcia dyrekcja FSM w Bielsku-Białej wstrzymała. Kuźnia przekazała obiekt szkole przyzakładowej, a na 200-lecie zakładu utworzono tylko Salę Historii w Zakładowym Domu Kultury „Kuźnik”.

Inż. Jarocki był rozczarowany i zniechęcony, jednak gdy dyrekcja Zakładów Kuźniczych w 1979 roku przyjęła mnie w charakterze pracownika ds. organizacji muzeum, przekazał do nowotworzonej placówki wszystkie zgromadzone przez siebie archiwalia.

Zmarł 2 VI 1980 roku, nie doczekał więc uruchomienia muzeum, które powstało dopiero 6 lat później. Co kilka lat placówka organizuje poświęcone mu wieczornice. Ostatnia z nich odbyła się 2 VI 1995 roku, w 15. rocznicę jego śmierci. A oto fragmenty wypowiedzi podczas tej uroczystości:

Marian Żyromski: Inż. Jarocki był wielkim humanistą. Dał temu wyraz m.in. w swej pracy publicystycznej, czego przykładem jest artykuł „Postęp techniczny a człowiek”. Ciągłe powtarzał, że to ludzie decydują o działalności produkcyjnej. Nie będąc pedagogiem z wykształcenia, był jednak znakomitym pedagogiem. Zawsze podkreślał, że tylko ludzie wysoko wykwalifikowani mogą tworzyć rzeczy dobre, przydatne i pożyteczne. Dlatego już w 1938 roku podjął pracę nad tworzeniem szkoły przyzakładowej, która cieszyła się ogromnym zainteresowaniem. Po II wojnie światowej w nawale prac związanych z uruchomieniem Fabryki, inż. Jarocki znalazł jednak czas, aby uruchomić również szkołę.

Karol Kubala: Inż. Jarocki swoim entuzjazmem potrafił zachęcić innych do realizacji swoich wizji. (...) Zawsze powtarzał, że jeśli cokolwiek na tym świecie jest piękne, to jest również doskonale pod względem technicznym.

Bolesław Kiecoń: Inż. Jarocki nigdy nie mówił, że czegoś się nie da zrobić. Biuro konstrukcyjne wykonało dokumentację młota czy prasy, odlewnia zrobiła odlewy i zakład sam wykonywał całe skomplikowane maszyny.

Oldrych Sikora: Jeszcze raz powtarzam, że był to najlepszy dyrektor, jakiego pamiętam, a przeżyłem tych dyrektorów całą plejadę. Każdemu chciał pomóc i bardzo był zadowolony z pracownika, który chciał pracować.

SENTENCJE

Kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie tajdakiem.

(George Clemenceau)

★ ★ ★

Nie według małości małych trzeba oceniać naród, lecz wielkości wielkich.

(ks. Leonard Świdorski)

★ ★ ★

Piękna żona jest jak kaczką: za dużo na jednego a za mało na dwóch.

(Kornel Makuszyński)

STANISŁAW ZAHRADNIK

KS. JÓZEF BERGER

Dobrze znany jest olbrzymi wkład pracy ks. dr. Józefa Bergera dla dobra kościoła ewangelickiego a.w. na Śląsku Cieszyńskim. Był również cenionym artystą malarzem oraz działaczem społeczno-narodowym. Natomiast jego poczynania jako wybitnego społecznika nie były dotąd należycie docenione i dlatego pragnę zwrócić na nie baczniejszą uwagę.

Ks. dr Józef Berger urodził się 14 marca 1901 roku w Orłowej, w rodzinie górniczej. Wychowywany przez matkę-wdowę w patriotycznym duchu, w gronie rodzeństwa i przyjaciół, był mocno związany ze swym regionem o charakterze wyraźnie polskim. Wielkie wydarzenia historyczne w pierwszej połowie XX wieku na Śląsku Cieszyńskim, których był bezpośrednim uczestnikiem, kształtowały jego postawę życiową, jego osobowość.

Początkowe doświadczenia w pracy społecznej zbierał w harcerstwie polskim, kiedy to jako kilkunastoletni student gimnazjum orłowskiego był członkiem pierwszej drużyny harcerskiej na Śląsku Cieszyńskim. Po wojnie kontynuował tę działalność; w latach 1927–1928 był głównym komendantem Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji. Pełnił też funkcję redaktora pisma młodzieżowego „Na Przełomie” i napisał szereg artykułów w miejscowych pismach młodzieżowych.

Od lat młodzieżowych brał żywy udział w pracy najbardziej zasłużonej organizacji polskiej — Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji. W latach 1935–1937 był członkiem Zarządu Głównego, a w 1938 roku jego wiceprezesem.

W drugiej połowie lat trzydziestych wszystkie polskie stronnictwa przejawiały wzmoczoną aktywność w związku z usiłowaniami o uzyskanie pewnej formy autonomii narodowej dla polskiej ludności Zaolzia. W tym właśnie czasie ks. Berger zaczął coraz intensywniej poświęcać się pracy politycznej w ramach Polskiego Stronnictwa Ludowego (dalej PSL) i wkrótce stał się nie tylko czołowym działaczem tej partii, lecz w ogóle społeczności polskiej w Czechosłowacji.

Przybierają na sile tendencje wytworzenia jednego polskiego stronnictwa politycznego, aby wspólnymi siłami łatwiej osiągnąć zamierzony cel. Pierwszym krokiem w tym kierunku było utworzenie w 1937 roku Komitetu Porozumiewawczego, w skład którego weszły obie polskie partie narodowe — PSL, Związek Śląskich Katolików (dalej ZŚK) i Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza (dalej PSPR). 7 grudnia 1937 roku na spotkaniu delegacji Komitetu Porozumiewawczego, z premierem czechosłowackiego rządu Milanem Hodzą, ks. Berger wykorzystał okazję i zwrócił się do niego z prośbą o przychylne załatwienie ustawy kościelnej polskich ewangelików a.w. w Czechosłowacji.

W tym czasie sytuacja dojrzała do podejmowania bardziej radykalnych kroków celem obrony praw ludności polskiej. W tym celu 26 marca 1938 roku ZŚK i PSL utworzyły Związek Polaków w Czechosłowacji. Prezesem Związku został dr Leon Wolf, pierwszym wiceprezesem dr Jan Buzek, a sekretarzem ks. Józef Berger (obaj z PSL). Z odezwy Związku do ludności polskiej w Czechosłowacji wynika, że powstał dla uzyskania większej siły przebicia, a dążyć będzie do stworzenia niewzruszonych gwarancji narodowego rozwoju dla całości naszej narodowej grupy, jak i dla pojedynczych jej członków.

Związek uważał za podstawowe zadanie uzyskanie dla ludności polskiej autonomii narodowej w ramach Republiki Czechosłowackiej. W swych dokumentach i wystąpieniach podkreślał, że jest przedstawicielem całej ludności polskiej na Zaolziu. W rzeczywistości nie było to całkiem prawdą, bowiem PSPR nie weszła do Związku, a część społeczności polskiej sympatyzującej z komunistami była kategorycznie przeciwko Związkowi, wytykając mu działalność o pierwiastkach faszystowskich na rzecz rozbicia państwa. Lecz Związek zyskiwał coraz większe poparcie miejscowej ludności polskiej. We wrześniu 1938 roku, kiedy ważyły się losy Czechosłowacji w Monachium, ks. Berger razem z dr. Buzkiem złożył podpis na odezwie do Polaków, w której wzywano do zachowania spokoju i karność i wyrażono wiarę w lepszą przyszłość.

W pierwszych dniach października 1938 roku Polska zajęła, za zgodą władz czechosłowackich, Zaolzie. Zdecydowana większość miejscowej ludności polskiej witając zmianę jako wyzwolenie spod władzy czeskiej. Entuzjazm, który początkowo udzielał się ludności polskiej, w konfrontacji z rzeczywistością stopniowo jednak malał. Nowe władze polskie zamieniły dotychczasowy ucisk ludności polskiej w ucisk ludności czeskiej, częściowo także niemieckiej. Często zapominały o istnieniu i zasługach miejscowych Polaków, a między poszkodowanymi znajdowali się i ewangelicy, uważani przez katolicką Polskę za Niemców.

W zaistniałej sytuacji ks. Berger na powrót rzuca się w wir pracy społeczno-politycznej. Działalność ta miała charakter wyraźnie prorządowy. Był zwolennikiem jednej siły politycznej w państwie, nie liczył się z opozycją, postępował w myśl modnej wówczas zasady, że tylko partia rządząca ma prawo decydować. Takie postępowanie na Zaolziu, które było wychowywane w okresie międzywojennym w duchu demokratycznym, o mocno zróżnicowanych poglądach ideologicznych, narodowościowych, wyznaniowych itp., nie spotykało się wszędzie z posłuchem. Ks. Berger stał się po prezesie Związku Polaków, dr. Ł. Wolfie, drugą osobistością na arenie politycznej Zaolzia.

Zarządzeniem z 23 października 1938 roku prezydent Polski powołał na posłów do Sejmu Śląskiego ks. J. Bergera, dr. Franciszka Bajorka z Frysztatu, Augustyna Łukosza z Łąka n/O i Rudolfa Paszka z Jabłonkowa. Na uroczystym posiedzeniu Sejmu Śląskiego 27 października 1938 roku z okazji zjednoczenia Śląska za Olzą z Macierzą przemówił w imieniu nowomianowanych posłów z Zaolzia ks. Berger, kończąc tymi słowami: *Miłość ojczyzny, która nas prowadziła jako gwiazda przewodnia w latach niewoli, ma nas prowadzić dalej do najściślejszego zbratania z całym narodem, od którego byliśmy oddzieleni przez sześć wieków. Oto nasz program, którym chcemy wstąpić do pracy na terenie województwa śląskiego i na terenie Sejmu Śląskiego. W tym niech nam dopomoże Bóg.*

5 listopada 1938 roku Związek Polaków w Czechosłowacji wstąpił do prorządowego, ogólnokrajowego Obozu Zjednoczenia Narodowego. *My, delegaci 27-tysięcznej rzeszy zorganizowanych członków Związku Polskiego na Śląsku Zaolziańskim apelujemy dziś i wołamy na całą Polskę: precz z partyjniactwem, precz ze wszystkim, co osłabia i dzieli Naród, niech żyje jedność wszystkich ludzi dobrej woli, całego narodu. Pójdźmy razem, nie jako skłócone partie, ale jako jeden wielki Obóz Zjednoczenia Narodowego* powiedział w swym przemówieniu ks. Berger przy tej okazji.

Obóz Zjednoczenia Narodowego stopniowo opanowywał nie tylko życie polityczne, narodowe, ale i kulturalno-oświatowe oraz ruch robotniczy. Opozycję tworzyli głównie socjaliści, którzy na Zaolziu nie podporządkowali się Obozowi Zjednoczenia Narodowego, ale prowadzili nadal własną politykę, która zwłaszcza w dziedzinie socjalnej przynosiła ludziom użytek.

Szeroko o postulatach ludności zaolziańskiej, o ich bolączkach i kłopotach życia codziennego mówił ks. Berger w Sejmie Śląskim 31 stycznia 1939 roku. Przedstawił konkretne postulaty rolnictwa, kupiectwa i rzemiosła oraz stanu średniego. Często występował też na zgromadzeniach publicznych, na których informował o stosunkach w Polsce, o normalizacji życia społecznego, o stanie gospodarczym, o perspektywach

i rosnącej groźbie hitlerowskiego faszyzmu. Na manifestacji młodzieży ewangelickiej 30 maja 1939 roku w Orłowej (około 15 tysięcy uczestników) podziękował młodzieży za postawę patriotyczną i gotowość do ofiar dla ojczyzny.

W sytuacji narastającej groźby nowej zawieruchy dziejowej ks. Berger zaufała polskim władzom, wierzył w potęgę Polski, jej dobre przygotowanie do odparcia jakiegokolwiek agresora w myśl proklamowanego wówczas hasła „silni, zwarci, gotowi”. Otrzeźwienie przyszło wraz z wybuchem II wojny światowej i z pierwszymi doświadczeniami hitlerowskiej okupacji. Rozważania na ten temat zawarł we wspomnieniach, z których przytaczam kilka fragmentów:

(...) inaczej sobie wyobrażałem przebieg wojny, tak jak inaczej wyobrażali go sobie wszyscy inni. Z jednej strony propaganda głosiła, że nie tylko nie oddamy kawałka płaszcza, ale nawet guzika od płaszcza nie pozwolimy sobie zabrać. (...) Nie podejrzewałem, żeby rząd mógł tak cynicznie obelgiwać cały naród i narażać go na kompletne załamanie moralne, gdy prawda wyjdzie na wierzch. (...) Byłem w Katowicach i rozmawiałem z wojewodą Grażyńskim. Pytam się jasno i wyraźnie — będzie wojna, czy nie, a co mamy robić na wypadek, gdyby była. Odpowiedział swoim sposobem krótko: Wszystko w porządku, nie tracić głów, trwać każdy na swoim stanowisku. (...) Ja sobie to tłumaczę tym, że wojna i jej efekt tak na mnie podziałały, tak zachwiały mymi wyobrażeniami i przekonaniemi, mymi poglądami, tak poderwały moje zaufanie do tego, w co do teraz wierzyłem, to jest do tej Polski, jaką ona wtedy była, wobec tego chaosu i strasznego nieszczęścia, jakie spadło na naród, że zupełnie zbałamutałem i nie mogłem się zorientować w tym, co się z nami dzieje (...).

Działalność ks. Bergera, zwłaszcza w ostatnich latach przed wybuchem wojny spowodowała, że na listach okupantów figurował wśród tych, którzy zostali przeznaczeni do fizycznej likwidacji. Ks. Berger zaraz następnego dnia po powrocie z ucieczki przed wojskami hitlerowskimi, 15 X 1939 roku, został aresztowany przez cieszyńskie gestapo. Spędził rok w więzieniu cieszyńskim, następnie przemieszczono go do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, stamtąd do Dachau. Zwolniony 8 marca 1942 roku, został wysłany na przymusowe prace do Rzeszy. Los był jednak dla niego łaskawy i udało mu się z nadwątlonym zdrowiem przeżyć hitlerowskie okropności.

Po wyzwoleniu ks. Berger powrócił z całą energią do pracy. Przede wszystkim zajął się ratowaniem kościoła ewangelickiego a.w. przed tendencjami połączenia go z Kościołem Czeskobraterskim i zachowaniem jego polskiego charakteru. Znalazł też czas i ochotę do pracy na polu społeczno-narodowym. Pomagał tworzyć nowy model bytu narodowego ludności polskiej na Zaolziu.

Udział ks. Bergera przy tworzeniu polskich organizacji był znaczący. Był współtwórcą nowych statutów Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, brał czynny udział w organizowaniu ich zrębów. Wszedł w skład Tymczasowego Zarządu Powiatowego PZKO w Czeskim Cieszynie w lipcu 1947 roku, a następnie był członkiem Zarządu Powiatowego, a w 1950 roku Zarządu Głównego PZKO. W lipcu 1947 roku nie wahał się podpisać *Odezwy do ludności polskiej*, w której proklamowano, że obowiązkiem każdego Polaka dobrej woli, bez względu na przekonania polityczne czy wyznaniowe, jest przystąpić od razu na członka do jednego z tych Związków w swym miejscu zamieszkania i przyczynić się do utworzenia jak najściślejszej jedności polskiej na polu kulturalno-oświatowym.

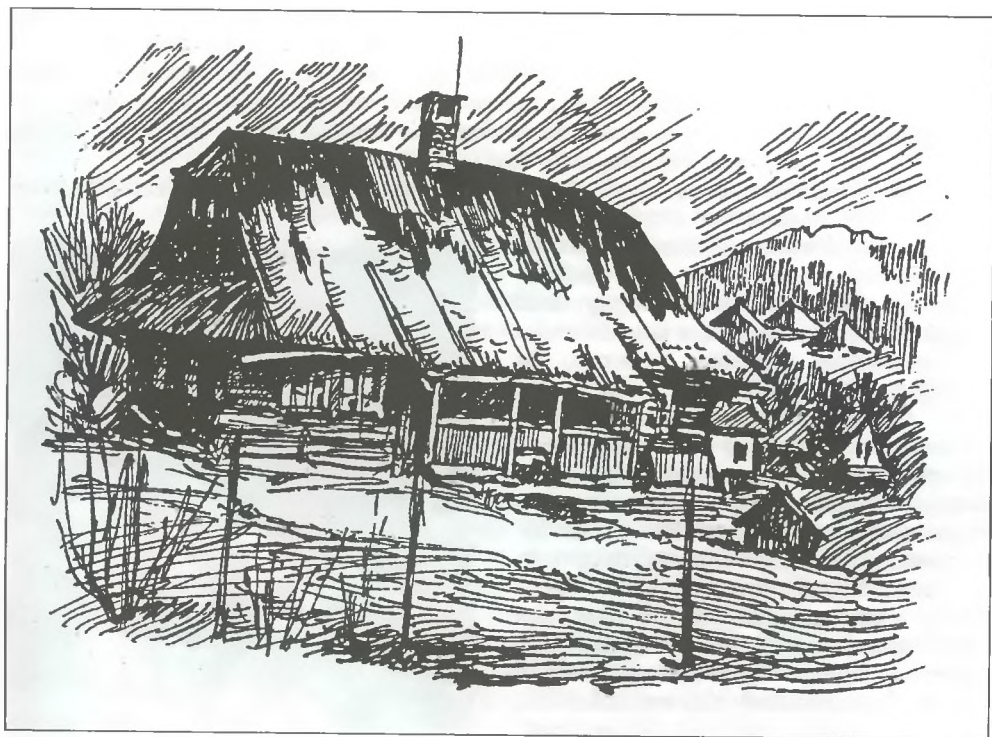
Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych doszło do wydarzenia, w którym ks. Berger brał tylko pośrednio udział, lecz w zdecydowany sposób zaważyło na jego dalszych losach życiowych. Chodziło o tzw. platformę Pawła Cieślara. Z P. Cieślarem, czołowym działaczem komunistycznym na Zaolziu, współpracował ks. Berger od lat powojennych przy tworzeniu podwalin nowych organizacji polskich. Paweł Cieślak, długoletni doświadczony działacz robotniczy, nie mógł pogodzić się z polityką narodowościową KPC po 1948 roku. Swoje poglądy i uzasadnione wnioski, nazwane później „platformą P. Cieślara”, przedstawił okręgowym władzom partyjnym pod koniec

1950 roku. Partia rozprawiła się z „platformą” w bezwzględny sposób. W lutym 1952 roku Komitet Okręgowy KPC w Ostrawie potępił ją, a jej autora usunął z partii i jako burżuazyjno-nacjonalistycznego nieprzyjaciela klasy robotniczej i partii pozbawił wszystkich funkcji.

Wkrótce potem władze partyjne oskarżyły ks. Bergera o współudział w tworzeniu „platformy” i przepisywanie jej na maszynie w biurze ks. Bergera. Ten kategorycznie temu zaprzeczył, lecz później dowiedział się, że dr Pawlas, prawnik zatrudniony w Radzie Kościelnej, pisał coś na życzenie P. Cieślara, bez uzyskania na to zgody ks. Bergera.

Wydaje się, że władze partyjno-rządowe od dłuższego czasu nosiły się z zamiarem usunięcia ks. Bergera z Zaolzia, by w ten sposób izolować go od ludności polskiej. Nie mogły mu wybaczyć zwłaszcza jego działalności z lat 1938–1939, a sprawę „platformy” wykorzystały jako pretekst. Są to tylko przypuszczenia, bowiem do materiałów źródłowych nie udało się dotrzeć, a ks. Berger, o ile wiadomo, nie wypowiedział się na ten temat. Do opuszczenia Zaolzia w 1952 roku i osiedlenia się w Bratysławie z całą rodziną oficjalnie był zmuszony z powodów zdrowotnych. Był to niezmiernie bolesny cios dla człowieka, który całe uprzednie życie poświęcił dla dobra ziemi rodzinnej.

Zmarł na obczyźnie, w Bratysławie, 11 czerwca 1962 roku został pogrzebany na cmentarzu w Ropicy.



Ustroń stary i nowy. Rys. piórkiem Bogusław Heczko

URSZULA PATYK

UJEC KAWULOK

Postać Jana Kawuloka należy do bardziej znanych sylwetek twórców w naszej kulturze ludowej ostatnich dziesięcioleci. W tym roku, we wrześniu, będziemy obchodzili setną rocznicę jego urodzin. Z tej to okazji warto więc sięgnąć do przeszłości i przypomnieć specyficzną, jakże bogatą osobowość tego górala.

Aby opisać dorobek Jana Kawuloka wypada sięgnąć wstecz w lata dzieciństwa i młodości. Wtedy bowiem ukształtował się szkielet zainteresowań artysty, których korzenie tkwiły w tradycjach rodzinnych, środowiskowych, kulturowych.

Jan Kawulok urodził się 20 IX 1899 roku w Istebnej na Stecówce, w domu, w którym rodzina Kawuloków przebywała w okresie letnim. Na zimę przenosili się do domu ojca Michała Kawuloka znajdującego się w Istebnej „u Skały”. Rodzice Jana posiadali bowiem dwa gospodarstwa. Jan Kawulok miał dziesięcioro rodzeństwa. Janek był trzecim dzieckiem w małżeństwie i jak wynika z opowiadań jego siostry Zuzanny Marekwicy, bardzo odznaczał się pomiędzy braćmi, głównie tym, że wszystkim chętnie pomagał.

W żadnym wypadku nie można pominąć atmosfery panującej w domu rodzinnym. Ojciec — Michał Kawulok trudnił się ciesielką. Na przełomie XIX i XX wieku był znany w górach, jako działacz społeczny, obrońca sałaszy, zwany „królem gór”. Z racji tego należy przypuszczać, że Jan jako dziecko był świadkiem wielu ważnych spotkań i wydarzeń. Razem z Kawulokami mieszkała też babcia. Dzięki jej zdolnościom ziołoleczniczym chłopiec poznał lecznicze działanie wielu roślin i dlatego tak często w późniejszym czasie służył dobrą radą niedomagającym.

Jan Kawulok szkołę ukończył w 14 roku życia. Był zdolnym uczniem, toteż rodzice uznali, że powinien uczyć się dalej. Chciał zostać lekarzem. Jednakże pieniądze gromadzone w „kasie austriackiej” przepadły. Chłopiec musiał zrezygnować z nauki. Pozostałe jednak w tym kierunku zainteresowania z czasem rozwinęły się w swoistą sztukę „składania połamanych kości”. W powojennych latach Jan próbował wesprzeć finansowo rodziców i pracował jako cieśla i stolarz w warsztacie ojca. Bezpośrednio po odbyciu służby wojskowej skuszony lepszym zarobkiem oraz dopingowany chęcią niesienia pomocy matce, pojechał do Francji. Miał wtedy 18 lat. Należy zaznaczyć, że było to zaraz po pierwszej wojnie światowej. W górach żyło się bardzo ciężko i wyjazdy za granicę „za chlebem” nie należały do rzadkości. We Francji pracował w kopalni. Nie przyzwyczajony do pracy pod ziemią, źle znosił nowe warunki, dlatego po dwóch latach



Jan Kawulok przy swoim warsztacie pracy. Fot. Tadeusz Kopoczek

pobytu na obczyźnie powrócił do Istebnej. Tu pomagał w pracy na roli oraz chodził z ojcem „po tesorce”. Przez 5 lat był pastuchem, prawdopodobnie na ostatnim „salaśze” w rejonie Istebnej. Miało to miejsce w latach 20 naszego wieku. Ów „salaśz” mieścił się na Baraniej Górze. Owczarzem był tam Jan Legierski z Łączyny z Istebnej. Razem z Kawulokiem pasał owce Michał Sikora zwany „Sikorką”. Ten ostatni świetnie grał na gajdach i skrzypcach. Często z Janem muzykowali. Mieli tam sporo czasu na to, aby robić piszczałki i śpiewać. Po ukończonej pracy, wieczorami siadali przy ognisku. Starzy górale mieli wiele do opowiadania, młodzi natomiast słuchali i zbierali naukę na całe lata. Niewątpliwie i Jan z tych wieczorów wiele zapamiętał, co owocowało w późniejszych latach w jego gawędziarskich poczynaniach i nie tylko.

W 1931 roku ożenił się z Franciszką Legierską i osiadł na gruncie jej przybranych rodziców — „u Wojtosza”. Od razu dał się poznać jako dobry gospodarz. Hodował różne zwierzęta domowe, uprawiał to, co tylko w górach mogło wydać plony. Jako wierny uczeń R. Szotkowskiego przez długie lata zajmował się pomologią.

Jedną z ciekawszych zdolności Jana Kawuloka było składanie połamanych kości. Słynął z tego na całą okolicę. Początkowo leczył i opatrywał zwierzęta, potem ludzi. Przyjeżdżano do niego nawet z dalszych stron. Jak wskazują wypowiedzi wielu informatorów Kawulok dokonywał niekiedy karkołomnych operacji. Na przykład składał nosy, łamał nieprawidłowo zrósnięte kości. Chociaż obiektywne warunki udaremniły jego marzenia związane z medycyną, wrodzony pęd ku wiedzy powodował, iż czytał bardzo dużo książek medycznych i dzięki temu poznał anatomię ludzkiego ciała. Pierwszy raz złożył kości swojemu ojcu, który uległ wypadkowi w lesie. Po udanym zabiegu nabrał odwagi i wielokrotnie powtarzał tę czynność. A jak to robił? O tym opowiada córka Zuzanna, która bardzo często towarzyszyła ojcu przy owych operacjach „...złamaną rękę lub inną część ciała kładł na stół lub trzymał w dłoni i lekko ją pociągał, po czym ścisnął, tak aby ta kość była równo złączona. Na złamaną rękę nakładał opatrunek z żywokostu zwanego w regionie „kosztyfolem”. Z tej rośliny robił maść wg specjalnego przepisu. Maść tę rozsmarowywał na szmatkę, a później owijał nią chore miejsce. Tak opatrzone złamanie bandażował, a następnie okładał namoczoną tekturą, która dawała się łatwo formować. Po wyschnięciu tektura usztywniała złamaną lub zwichniętą kończynę...” Z prośbą o pomoc medyczną i porady zielarskie zwracało się do Kawuloka dużo ludzi, w różnych porach dnia, a nawet nocą. Nigdy nie odmawiał. Przychodzili ludzie starzy, jak i młodzi, a nawet dzieci. Zwłaszcza z tymi ostatnimi umiał nawiązać serdeczny kontakt.

Składanie kości było najbardziej cenioną, przez mieszkańców Istebnej, umiejętnością Jana Kawuloka. W ten sposób niósł pomoc bliźnim, a do tego świadczył usługi za darmo brał pieniądze tylko za bandaże).

Inną pasją, której Kawulok poświęcił sporą część życia było sadownictwo. Koło jego domu można było znaleźć polećka różnych warzyw, a także sad. Pierwsze drzewa zaczął sadzić jeszcze przed wojną, ale pełne zainteresowania w tym względzie rozwinęły się w czasie wojny. Już wtedy z sadu zbierał bogate plony. Kawulok nie był odosobniony w swoich poczynaniach. W górach było więcej sadowników. Do wiodących należeli: nauczyciel Szotkowski, Jerzy Śliwka, Józef Bocek, Józef Krężelok, bracia Kawuloka — Antoni i Michał. Godne podziwu, że ci prości ludzie do spraw sadownictwa podchodzili w sposób możliwie najbardziej naukowy. Czytali rozmaite książki pomologiczne wydawane w Polsce, Czechosłowacji i Niemczech. Niespotykaną, a przez to godną podziwu, stałą formą wymiany doświadczeń były „wieczory beskidzkich sadowników”. Trzy razy w roku spotykali się w domu Krężeloka na specjalnych naradach, w czasie których smakowali jabłka, oceniali ich wady i zalety, zgadywali co to za odmiana. Była to bardzo ciekawa forma spotkań, po części naukowych, po części towarzyskich, organizowanych jakby na wzór „szkubaczek”. Te „wieczornice jabłkowe” tkwią jeszcze w pamięci wielu górali.



Jan Kawulok na przybzie swej istebniańskiej chaty — dziś miniaturowe muzeum. Fot. Tadeusz Kopoczek

Z biegiem lat Kawulok ograniczył swoje zainteresowania związane z sadownictwem. Gdy jego dom zaczęły odwiedzać wycieczki miał coraz mniej czasu. Tracił też bardzo potrzebne do pracy siły. W dalszym ciągu służył radą i pomocą innym w zakresie pomologii.

Na Śląsku Cieszyńskim często opowtarzają starsi ludzie, że „ten, kto śpiewa, miłuje muzykę — jest dobrym człowiekiem”. Takie stanowisko w wychowaniu dzieci zajmował ojciec Jana. Sam Michał Kawulok pięknie i często śpiewał, umiał grać na gajdach i skrzypcach. Od niego Jan otrzymał pierwszą piszczałkę i okarynę. Poza tym cała wieś była znana jako jedna z najbardziej rozśpiewanych.

Jan Kawulok wielokrotnie opowiadał zainteresowanym o tym, jak to zaczął budować pierwsze instrumenty. Już jako małe dziecko wykazywał ogromne zainteresowanie muzyką,

co po części przejawiało się grą na sztachetkach płotu. Kawulok ten moment dzieciństwa określał po latach sam, jako wstęp do późniejszego muzykowania.

Kiedy Jan podrósł, otrzymał od ojca piszczałkę, bo ta była nieodzowna przy pasieniu krów. Niedługo jednak cieszył się prezentem. Któraś z krów nadepnęła piszczałkę i chłopiec zmuszony był z kawałka łodygi czarnego bzu zrobić swój pierwszy instrument. Od tego czasu wykonywał wiele piszczalek dla siebie i kolegów. Później Jan Kawulok robił fujary. Z czasem postanowił zrobić skrzypce. Ojciec miał warsztat stolarski w domu, toteż po długim majsterkowaniu Janek zrobił „hóśle”. Sam wykonał struny „a” i „d” z owczych jelit, a najcieńszą kupił. Zrobił też smyczek.

Dla Jana przez całe życie najbardziej frapującym instrumentem były gajdy. Jako dziecko, zawsze przysłuchiwał się gajdoszom, a jak podrósł, uważnie podpatrywał budowę tegoż instrumentu. Nie było to łatwe, tym bardziej, że każdy twórca gajd strzegł usilnie tajemnicy swego wyrobu. Wszak od jakości gajd zależał priorytet gajdosza we wsi. Po wielu próbach udało mu się skonstruować pierwsze gajdy. Z biegiem lat wykonał drugie. Na tym instrumencie grywał na „pobabach” i weselach. Już wtedy cieszył się dużą popularnością, bo był dobrym muzykiem, a — jak sam zauważył — „...Jyny w łokolicy nas było pięć par gajdoszy. Dwo byli z Kóniakowa, dwo byli na Jistebnym, a jedyn był na Jaworzynce. Na Jaworzynce gajdosz się pominól i jo potym miól wziynci. Jo był gajdoszym...”

Gdy się ożenił zrezygnował z gry na gajdach, nawet sprzedał instrument. Po drugiej wojnie światowej, zachęcony przez „Cepelię” powrócił do dawnego zajęcia. Zaczął robić fujarki, gajdy, rogi pasterskie. W sumie po wojnie zrobił ok. 20 szt. gajd, w tym dla zespołów „Mazowsze” i „Śląsk”. Większość instrumentów robił dla „Cepelii”, a ta pośredniczyła w sprzedaży za granicę. Aby zrobić gajdy, trzeba być nie lada mistrzem. Nie tylko umiejętności grającego, ale i zewnętrzny wygląd instrumentu, jakoś jego głosu, decydowały o popularności gajdosza.

Oprócz gajd, Jan Kawulok robił też trombity i rogi pasterskie, które w przeszłości służyły do przekazywania pewnych informacji z gór w doliny. Były więc nieodzowne w pasterskich szalasach. Tym samym można by je uznać za relikty przeszłości. Nasz twórca w specyficzny dla siebie sposób wniósł je do „żywego muzeum” — swojej izby regionalnej. Tam można było nie tylko je oglądać, a także śledzić proces ich

powstawania. Co więcej, artysta umiał wydobywać z nich najpiękniejsze dźwięki i równie interesująco o nich opowiadać.

Utalentowany muzyk cieszył się wielką popularnością w zespołach, do których należał (najpierw do zespołu „Istebna”, a potem „Koniaków”). Jako jeden z nielicznych gajdoszy na swoim terenie, stanowił wraz ze swoją córką, grającą na skrzypcach, kapelę zespołu koniakowskiego. Jan Kawulok wywarł ogromny wpływ na swoją córkę. Umiejętności obydwójga pozwalały na najpiękniejszą grę. Cepeliowski zespół z Koniakowa, uchodził za jeden z najlepszych w regionie, wielokrotnie występował w kraju, za granicą, a rodzina Kawuloków należała do bardziej liczących się członków zespołu.

Jan Kawulok, świadom swych zdolności muzycznych, poszukiwał młodych ludzi, aby im przekazać spuściznę przodków. Pomijając córkę Zuzannę, która jest bezpośrednią spadkobierczynią talentu ojca, jednym z najzdolniejszych jego uczniów okazał się Józef Broda — nauczyciel z Istebnej. Uczniem Kawuloka został również Władysław Niedoba, kierownik zespołu „Gorol” z Jablonkowa, a także Oswald Szczurek, później członek Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej.

GÓRALSKIE „BAJANI”

Do ujawnienia i rozgłoszenia talentu gawędziarskiego Jana Kawuloka w dużym stopniu przyczyniła się „Cepelia”. W 1964 r. jej oddział w Katowicach dostał polecenie utworzenia Izby Twórczej w Beskidach. Z tą propozycją zwrócono się do Kawuloka, który chętnie skorzystał z tego pomysłu. Od tego momentu do Istebnej zaczęło kierować się coraz więcej wycieczek. Stara kurna izba z „kurlawym” piecem, warsztat w którym stary góral robił instrumenty, a także gościnni gospodarze, przyciągały całe rzesze słuchaczy. W ten sposób, stopniowo prócz robienia instrumentów, coraz więcej opowiadał, a tym samym przemieniał się w ludowego gawędziarza.

Ze szczególnym upodobaniem opowiadał o swojej pracy, zwłaszcza o robieniu instrumentów. Ten czynnik subiektywny zadecydował, że gawędy z wątkiem muzycznym należały do jego stałego repertuaru. Treści dotyczące muzyki, wykonywania instrumentów, przygód wiejskich muzykantów, najczęściej przewijały się w jego gawędach. Sam siebie cenił jako muzykanta i twórcę instrumentów. Gawędziarstwo, w jego mniemaniu, było tylko uzupełnieniem zdolności do muzykowania. Zdaniem Kawuloka gawędy niekoniecznie muszą wywoływać śmiech słuchaczy; wszak nadmierne dążenie do rozbawienia widowni spłyca niejednokrotnie temat. Cenił gawędziarzy, którzy w swój przekaz słowny wplatali wątki moralne, tzn. starali się nadać opowiadaniu charakter bajki. Z reguły dla Kawuloka wątek był tylko pretekstem do opowiadania np. w gawędach o dawnych czasach: „Istebniańskie brucliki”, „O kurnej chałupie, piecu, nalepie”, „Gańczor gad z Czortkuli”, „Wąż złotogłowiec” i w szeregu innych. W większości gawęd nie skupiał się na akcji, bardziej interesowało go tło.

Osobnicze piękno języka J. Kawuloka przejawiało się szczególnie w stylizacji, która uzależniona jest od wrodzonych i nabytych właściwości mówiącego, realizujących się w zależności od tematu, funkcji wypowiedzi, składu audytorium.

Na Kawuloka należy patrzeć jako na świadomego twórcę, zmierzającego do określonego celu. Był świadomy wartości kultury, której był reprezentantem, i trzeba podkreślić, że dla propagowania tejże zdaniem prof.dr hab. Daniela Kadłubca, zrobił tyle, jak nikt w tym środowisku.

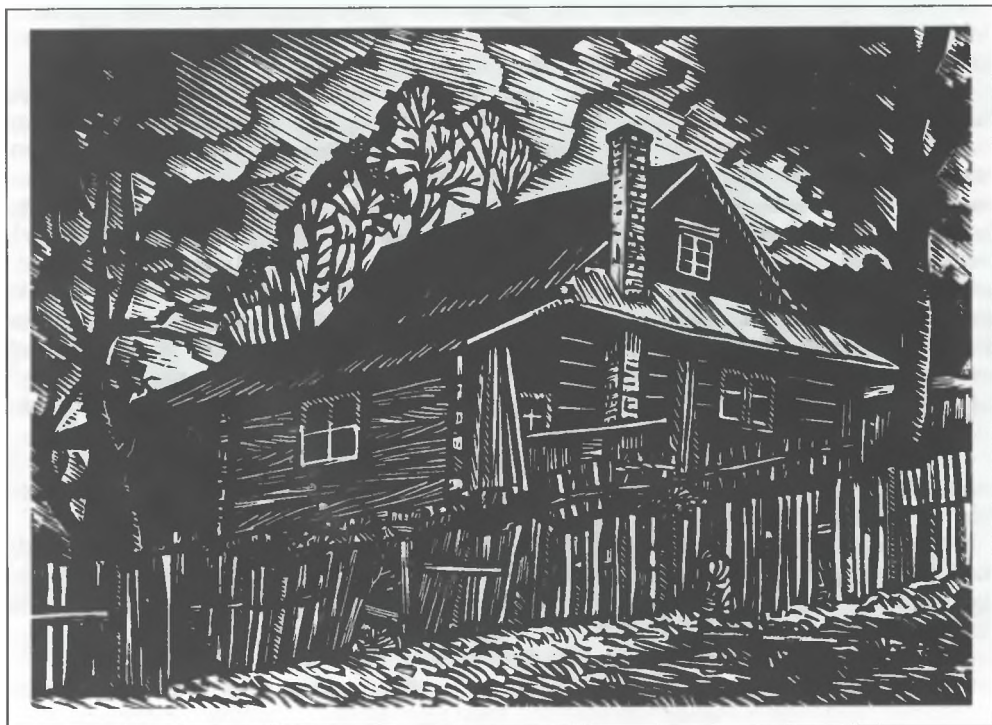
Trud pracy Jana Kawuloka, na niwie kultury ludowej, został doceniony. W 1976 roku wytypowano go do Nagrody Oskara Kolberga nadawanej przez miesięcznik społeczno-kulturalny „Barwy”. Medal im. Oskara Kolberga — najwyższe odznaczenie za zasługi dla kultury ludowej — nobilituje artystę ludowego i nadaje mu rangę artysty narodowego.

Niestety, Jan Kawulok sam nie odebrał należnych mu holdów; uczyniła to córka spadkobierczyni jego talentu.

Zmarł nagle 13 maja 1976 roku w wieku 77 lat. „Polaty się szczere lzy zebranych. Jedni żalowali, że umarł artysta, inni, że muzyk, jeszcze inni, że góral z krwi i kości. Byli tacy, którzy żalowali człowieka bezinteresownego, dobrego, sprawiedliwego człowieka tak naprawdę ludzkiego, jak na dzisiejsze czasy. Tych ostatnich — można sądzić — było najwięcej”.

Tymi słowami, w kilka lat później, mgr Jan Krop ocenił postać Jana Kawuloka wspominając jego uroczystość pogrzebową.

Po wielu latach godzi się przypomnieć tę osobliwą sylwetkę człowieka, który w świadomy sposób bronił tradycji i kultury przodków. Dziś, kiedy „regionalizm”, jako program wchodzi do szkół, należy jeszcze bardziej docenić trud, jaki włożył w ochronę tego, co cenne i wartościowe dla następnych pokoleń.



Chata w Koniakowie, rok 1973. Linoryt Bronisława Kohuta

ŻYWOTY WROŚNIĘTE W BESKIDY

Co roku Beskidy stają się inne. Coraz bardziej wtopione w klimat ludzkich wzruszeń i przeżyć. Coraz bardziej przypisane człowiekowi. W rozłące z górami człowiek odczuwa ich brak; rodzi się wtedy ból tęsknoty.

Paweł Łysek, góral z Jaworzynki, potem profesor uniwersytetu w Nowym Jorku, odkrył wielką prawdę o niezmiernym bogactwie beskidzkiej góralszczyzny dopiero na obczyźnie. Iluż jest takich ludzi, oddanych bez reszty bogactwu beskidzkiego krajobrazu, a dziś zagubionych w dalekim świecie? Dla nich uroda naszych gór, ich zapach i barwa, ich nieposkromiona zieloność tkwi nie tylko w krajobrazie, ale przede wszystkim w człowieku. Zmienia się on pod wpływem przemian cywilizacyjnych, wykrusza się z niego dawność. Ale nie bez reszty. Są wśród nich tacy, co swoją twórczością, swym profilem, odbijają od reszty. Tworzą oni historię beskidzkiej góralszczyzny, mateczniki swojskości, nie zarysowanej żadnym obcym śladem. Gdy umierają, ich cienie schodzą z gór. Coś się wtedy w tych górach zmienia, coś, czego nie zdoła wyrazić nawet najbardziej układne słowo. Coś wtedy umiera wraz z człowiekiem.

Przyjrzyjmy się tym ludziom w ich różnolitych postawach, działalności, życiu domowym. Oderwijmy z ich bogatej spuścizny strzępy wspomnień. Z nie odnotowanych przez historię regionu zapisów pamięci, z niedoskonałych wciąż treści, wyczarujmy wizerunki ludzi, którym winniśmy dług wdzięczności. Za to, że te góry uczynili bliższymi nam i tym, co po nas przyjdą. Opiewali je w słowie poetyckim, barwili wszystkimi kolorami tęczy, wtapiali w wątki gawędziarskie, wpisywali w dzieje turystyki, wzbogacając przez to ich urodę, moszcząc im drogę do sławy. Dziś cienie ich zeszyły z gór. Ale ślady ich pozostaną na zawsze żywe w tych treściach, które tworzą tło: historyczne, folklorystyczne, obyczajowe, artystyczne, przebogatego podglebia kulturowego beskidzkiej góralszczyzny.



Michał Sikora mieszkał w Koniakowie na przyboczu drogi leśnej, wskazującej kierunek do źródeł Wisły. Przez lata całe rozślawiał Beskidy graniem na gajdach. Nikt nie potrafił tak po beskidzku grać jak on. Jego śmierć była śmiercią jego pieśni, jego gry tak zrośniętej z tłem beskidzkim, iż czuło się w dudnieniu instrumentu to wszystko, co tworzy istotę „gorolskiego żywobycia”. Była tam radość i strach, pochwała przyrody i wielka, przeogromna tęsknota za czymś, co tłumi bicie ludzkiego serca. Nazywali go ludzie grajkiem. Ale Sikora nie grał, on tworzył. Jego przyspiewki, rubaszne i żarmutne, zadzierzyste i budzące grozę, były prawdziwą poezją gór. Znany był w całej Polsce, znali go ludzie nawet po drugiej stronie oceanu. Wybrał się tam jeszcze przed wojną, zaproszony przez Polonię amerykańską. I tam dudniąc i, zda się, niema pieśń budziła zachwyt. Pieśń bez słów, lecz jakże żywa i mowna. Stroił ją mistrz z Koniakowa przez całe życie w barwne kwiatki swego ciętego dowcipu, zawadiackiej juhasowości i choć wiek przybił go do ziemi, choć słowa straciły dawny blask i siłę wyrazu, dalej porywały swoją jedynością, zapachem groni, bogactwem melodycznych pobrzmiwań.

Było to wczesną jesienią. Podbaraniogórskie buki pokryły się pierwszym śladem wędnącej żółtości. Michał Sikora, złożony ciężką niemocą, leżał w swej drewnianej chacie, niczego więcej nie pragnąc jak spokoju. Ciężkie, nawisłe czerwienią słońce złoćilo

mur lasu, który wdierał się w chude poletka koniakowskich obejść. Wybraliśmy się do gajdosza. Wiedzieliśmy, że dni jego są policzone.

— Przyszliśmy was odwiedzić, Michale. I zaprosić na koncert, wasz koncert — akcentował każde słowo Jerzy Drozd, inicjator wielu beskidzkich imprez. I stała się wtedy rzecz dziwna, o której długo rozprawiano w „dziejnie”. Gajdosz, który od wielu tygodni nie opuszczał swego łoża, ubrał się jak na święto i wyszedł ze swoimi gajdami w pełne jeszcze słońce parnego przedwieczera. Rozejrzał się wokół, uśmiechnął do gór i... zagrał. Staliśmy niemi. Zasluchani w ten ostatni już koncert człowieka, któremu nikt nie postawi pomnika. Szło dudnienie jego gajd ku groniom, spływało ku dolinom, przetaczając się w przyspiewkowym rytmie ku ludzkim zagrodom. Instrument jakby lkał; wydawał tony rzewne by, rozbeczeć się tłumionym szlochem. Melodie rozedrgane w powietrzu kładły się do ludzkich serc; był w ich brzmieniu i barwie onomatopeiczny sens, jakaś jedność z tym, co tworzy urodę beskidzkich groni.

...Gdy pierwsze śniegi zaścieliły beskidzkie rozłogi, stary gajdosz już nie żył...



Był żywą historią wsi i choć zadziwiał pamięcią i składnością powieściowego wątku, żaden przyjeżdżający do Górek Wielkich turysta nie odkrył w nim „ciekawego człowieka”. Uczynił to dopiero Jan Broda, znany folklorysta. Dzięki temu Żerdka nie umarł i zapisał się na trwałe w dziejach regionu.

We wsi miano go za dziwaka. Poniektórzy zazdrościli mu krzepy i jasności umysłu, a przede wszystkim nigdy nie gasnącego humoru. Czasem zajeżdżał do domu bazarza jakiś zbieracz ludowych wątków, zapisując skrzętnie opowieści góreckiego gazdy. A umiał on opowiadać przedziwnie, unikając jak ognia słów wyświechtanych już w gazetowej literaturze. Mówił zawsze „po swojemu”. Ludziska nazywali to *fulaniem*. Ale folklorysty dopatrywali się w tym świeżych wątków słowotwórczych, które wprawione mocą wyobraźni w wirujący świat przeżyć, jednały Żerdce wiernych słuchaczy i wielbicieli. Mówił więc o swej doli chłopca, który — cierpiąc biedę od dziecka — potrafił uporem i zapobiegliwością łamać wszystkie przeszkody. Wtedy to w małym „*Francku*” zrodziła się żyłka społecznego działania. Pomagał — jak wspomina — uczyć dzieci *rektorowi* Kozłowi. A było tego *cosik ponad sto trzycet* — lubił przypominać dawne dzieje, potem śpiewał i grał na organach, prowadził procesje na odpusty; było wiele w tym nie tyle pobożności, co pasji do śpiewania, której dawał upust wędrując po wsiach i miasteczkach. Był też na służbie u żywieckiego Habsburga. Ale choć mu tam było dobrze, porzucił służbę. Ciągnęły go Beskidy. Zebrzydka, Czupel, a z drugiej strony drogi Lipowski Groń, Równica i zarysowany w lekkiej mgielce pas morawskiego Beskidu. Ale niedługo tu znowu popasał; trzeba było *rukować* do wojska na wojnę turecką z Bośnią i Hercegowiną. I wtedy — jak opowiadał — coś go *napadało*. I tak zaczął pisać pamiętniki. Wspomina w nich flirt z bogatą Bośniaczką i... ucieczkę do swych rodzinnych Górek.

Chociaż Żerdkę nazwano bazarzem, więcej jednak przystawałoby do niego tytuł ludowego śpiewaka. Bo choć nie śpiewał w zespole, śpiewactwo było jego namiętnością. Przez lata całe wędrował z Górek do pracy w Trzyńcu. Przez góry. Dlatego może przylgnął do nich, i jak twierdził, one najchętniej słuchały jego „roztomyłych pieśniczek”. Komponował wtedy nie tylko wątki słowne, ale nawet i melodie; w jego ustach każda zasłyszana nuta znajdowała inny wyraz, inną barwę i moc.

Kimże on nie był! Cieślą, murarzem, hutnikiem, kaflarzem; potrafił zrobić wszystko. Tak o sobie mówił i chyba nie przesadzał. Nic też dziwnego, że Żerdka, wykonując tyle zawodów i chodząc na roboty od chaty do chaty, stał się prototypem tak w pewnym okresie modnego... korespondenta wiejskiego — z tym, że swoje „korespondencje” chętnie układał w barwne opowieści, zaprawione szczyptą satyry, a czasem i gorzkiej prawdy. Ale lubili go wszyscy. Zawsze był bowiem usłużny, cierpliwie znosząc pod koniec życia liczne odwiedziny badaczy kultury ludowej. Wprawdzie czasem nie wiedział, o co tym ludziom chodzi, ale odpowiadał chętnie na pytania. A że był

człowiekiem ceniącym sobie nade wszystko czas, nie odrywał się od roboty i odpowiadał tylko półgębkiem. Raz jeden ze zbieraczy folkloru muzycznego zastał Żerdkę na dachu jego domu przy układaniu *szyndzielów*. Mimo namów stuletni już wtedy Żerdka nie zszedł do gościa, lecz z wysokości wyśpiewywał bogaty repertuar pieśniarski.

Pozostawił po sobie oprócz wspomnień, które zanikają w wioskowej pamięci, nieco spisanych opowiadań, gawęd i różnych nieusystematyzowanych zapisów.



Droga do Malinki nie należała do najlepszych, gdy wybierałem się do osiemdziesięcioletniego Andrzeja Szalbota. Wędrowałem wówczas po górach z prof. Janem Taciną, najwybitniejszym znawcą muzyki beskidzkiej, autorem wielu cennych wydawnictw muzycznych. Szalbot przyjął nas jak starych znajomych.

— Przyszlismy do was Szalbotcie, byście nam cosikej zagrali — rozpoczął prof. Tacina. Gospodarz domu chrząknął kilka razy ponarzekał na mróz (że to instrument też marznie podobnie jak człowiek) i kazał sobie przynieść swoją trombitę mającą trzy i pół metra długości. Nim jednak przyłożył ją do ust zięć musiał ją długo ustawiać.

— Trzeba z nią jak z dzieckiem; inaczej będzie niema — tłumaczył się Szalbot, głaskając ukochany instrument.

— Znali mnie daleko i szeroko, a w roku 1892 zaprosili mnie aż do Wiydnia. Z całej Austrii zjechali się ludziska na tę wystawę. Grali na ni różni muzykancio, aż przyszła kołyj na mnie. Grolech sóm, nie wiym jak. Widziolech jyny nasze hole i smreki, a melodia sama sie cisła do fujary. A gdy skończylech, wielcy wydyńscy muzykancio przisli ku mnie i pytali: „co to mocie w tyj trómbie, że wóm tak pięknie gro?” I „merwirdig”, „merkwardig”, szczękali kole mnie, dziwując się niepomniernie. A jo im klaruje: panowie, tromba sama nie gro; do ni trzeja... serca. A gdy mnie pytali, kiery mnie uczył grać, powiedziolech: a dyć ten wiat, co duje od groni, jawor na kopcu, szuszczenie liści, dzwonkowe ciurlikanie łowiec. Pukali stukali do trombity, zaglądali do środka i nie wierzyli, że to „nur mit Lippen”. Słuchol mnie wtedy i sóm cysorz Franc Jozef i bardzo mi sie tyż dziwował.

Skończył Szalbot swój przydługi monolog i rozpoczął granie. „Nikt tak już nie zagra jak Szalbot” — powiedział prof. Tacina. To jest człowiek który tworzy, niepowtarzalny w swym autentyzmie. Jego granie niosło się ku żywieckim dolinom, leciało jak ptak ku szczytom Stożka, Czantorii i Baraniej Góry.

Teraz dopiero spostrzegłem, że grajek jest pozbawiony wzroku. Nigdy o tym nikomu nie mówił; zachowywał się jak człowiek, który widzi, chociaż dziwiłem się, że kazał sobie to i owo podawać córce lub zięciowi.

Szalbot grał w Beskidach przez pełne sześćdziesiąt lat. Gdy zamilkł, próbowali naśladować go inni. Każdy z naśladowców musiał jednak przyznać, że tajemnicę „beskidzkiego grania” Szalbot zabrał do grobu.



Któż nie słyszał w Istebnej o Michale Wawrzaczu, co to jako pierwszy wyruszył za ocean, by tam szukać „lżejszego chleba”? Nazywano go z tego powodu „Kolumbusem”. Ale nie zwabiła go amerykańska wygoda. Zateśknął do swoich i po kilku latach wędrówki zawitał znów do Istebnej. Wrócił wzbogacony o niejedną mądrość życiową, pozbawiony złudzeń, że dolary dają szczęście. Jemu przyniosły zwątpienie i cierpkie życiowe doświadczenie. Miłość do swojszczyzny, rozpalona tęsknotą, przemieniła się teraz w żar. I słusznie mawiano: Michał zakochał się na nowo w górach. Nie darmo nadano mu tytuł, nie szlachecki wprawdzie, ale góralski, poczęty z dobrowoli wszystkich mieszkańców wsi, która widziała teraz w Wawrzaczu „ambasadora beskidzkiej góralszczyzny”. Tak pierwszy na pogrzebie, który ściągnął do Istebnej masę ludzi z beskidzkiej trójwsi, nazwał Michała kierownik szkoły Franciszek Sikora. I takim pozostał w pamięci wszystkich, którzy — choć nie posługiwali się wyszukany, tytułem — widzieli w Michale tego, który najlepiej, najgodniej reprezentuje ich góralski honor.

Czemu właściwie Kolumbus zawdzięczał swą olbrzymią popularność? Wszak nie tylko pisano o nim, nie fotografowano przy każdej sposobności, nie umieszczano na pocztówkach z Beskidów. Wokół tej góralskiej postaci rosła mimo to legenda, widziano w nim niemal herosa. Robiła to sama sylwetka Wawrzacza, niby rzeźba górala o ostrych, jakby w skale wykutych rysach twarzy, z nieodłączną fajką w zębach. Górale beskidzcy nie szanowaliby jednak tak człowieka, który był przecież jednym z nich, gdyby nie jego ciętość, odwaga w wypowiedziach. Patrzył on też inaczej na życie niż jego ziomkowie. Był filozofem obdarzonym widzeniem zjawisk w ich całym bogactwie powiązań z tymi wartościami, które tworzą prawdziwą mądrość życia. Był to więc człowiek osobiwy. A już humor miał niezrównany. Przebijały w nim wszystkie blaski i cienie beskidzkiego „żywobycia”. Kochali go swoi i obcy. Swoi za to, że był wyrazicielem tego wszystkiego, co tkwi głęboko w góralskiej duszy; obcy za śmiałość myśli, potoczysty język i soczystość wypowiedzi. Powiedzenia Wawrzacza weszły w istebniańską obyczajowość, wchodziły do ludowych opowieści, zadomawiały się w folklorystycznych wątkach. Mówiono o nim, że będąc dróżnikiem nikogo nie przepuścił. Do każdego zagadał, każdemu umiał dorównać w rozmowie i choć wyrażał się nieforemnym, ledwie obciosanym słowem, lgnęli do niego ludzie. To on uczył turystów, rozgonionych po górach, dostrzegać otaczające ich piękno i rozumieć ludzi, którzy w tych górach mieszkają. Wawrzaczem interesowali się pisarze, artyści, no i dziennikarze, z którymi lubił się przekomarzać. Interesowali się tym „prostym góralem” w czasach międzywojennych także ludzie z najwyższej hierarchii państwowej, przyjeżdżający do zameczku prezydenta w lśniących limuzynach. Jakże mało go rozumieli, widząc w Wawrzachu jedynie dziwaka. A on swoją mądrość czerpał z życia, ze swych wypraw, kiedy to z kilkoma innymi góralami wybrał się na wędrowkę po kraju, by móc go lepiej poznać. Zapisywał też wiernie w swej pamięci to wszystko, co dostrzegał po drodze. Z tych doświadczeń i obserwacji rodziły się jego słynne *godki*.



Jerzy Żydek umierał, gdy dochodził do setki. Uważany za najstarszego narciarza w Beskidach, lubił opowiadać jak to brał udział w pierwszych zawodach, zorganizowanych przez Komorę Cieszyńską, mającą we władaniu lasy i ludzi. Zajął wtedy pierwsze miejsce. Dawne to dzieje i inne czasy. Żydek lubił swój zawód, bo kochał góry i wszystko, co w tych górach było: lasy, rośliny, krzewy, zioła i zwierzyne. W obronie tej zwierzyny potrafił wniknąć w każdą gęstwinę, tropiąc klusownika. Bano się go, ale i szanowano. Nie wiedział, co to polityka: żył lasem i jego sprawami. Znal jego tajemnice lepiej od każdego innego, ubranego w mundur leśnika. Mawiano o nim, że umiał rozmawiać z drzewami.

Odwiedzałem Żydkę na krótko przed śmiercią. Przykurczony, o wciąż jednak bystrych oczach, lubił snuć wątek przebrzmiałych lat. To z nim splata się historia budowy pierwszego schroniska PTT na Stożku; znali go turyści i krajoznawcy, boć stanowił niemal część beskidzkiego krajobrazu. Był czujny w stosunku do ludzi, pewnie nauczył się tej czujności w lesie. Gdy ludzie spotkali go na leśnych ścieżkach, był w ich odczuciu częścią społeczności drzew. Znaleźli się tacy, co słyszeli, jak rozmawiał z bukami, przekomarzał się z brzoźkami, uragał sosnom, targanym przez wichrowe poszumy.

Jerzy Żydek zmarł w ciszy swego domostwa w wiślańskich Głębcach. Pogrzeb miał góralski, zwyczajny...



Rudolfa Szotkowskiego należałoby nazwać beskidzkim Sabalą. Miałem szczęście znać osobiście *reктора* z Młaskawki, stanowiącej część Istebnej. Otaczał go powszechny szacunek górali. Kochali go na swój sposób, bo choć *pón rector był nie stela*, wrósł w beskidzką wysoczną i stał się jednym z nich. Nosił się po góralsku; ba, nie wstydził się nawet w deputacji do Warszawy w stroju góralskim pojechać. Z latami narosła świadomość ucisku, no i potrzeba walki z napierającą z zewsząd niemczyzną. Wcisnęła się

ona pod stemplem austriacczyny nawet do chat górskich; trzeba było wypowiedzieć jej zdecydowaną walkę. Ale jak walczyć, kiedy się jest nauczycielem w szkole ck. mości? Szotkowski wniósł do tej walki wszystko, co działało na umysły góralskie: satyrę, dowcip, zakamuflowane, dobrze nacelowane szyderstwo. Imponował przy tym odwagą i umiejętnością wyjścia obronną ręką z najtrudniejszej sytuacji. Tępiący przez władze szkolne, przetrzucany z miejsca na miejsce, nie ustępował nigdy i po wielu tarapatach wracał znowu do ukochanych gór, których był piewcą i czołowym przedstawicielem. Nie kto inny, a on był organizatorem wielu imprez góralskich, które miały otworzyć oczy Polsce całej na urodę beskidzkiej góralszczyzny. On zbierał pieśni, klechdy i opowieści ludowe. Wydał nawet zbiór pieśni ludowych, zilustrowany przez znanego malarza istebniańskiego Jana Walacha. Poza tym sam był autorem wielu anonimowych pieśni. Szły do ludzi, rozplamieniały serca, wracały do zbiorów muzykologów jako owoc badań i poszukiwań. Rzadko kto jednak natrafiał na ślad ich autorstwa. A Szotkowski cieszył się ze swych — jak je nazywał — figli, kurzył fajkę, rozprawiał z *letnikorzami*, którzy chętnie korzystali z gościny zacnego kierownika.

Swego czasu cieszyński Klub Propozycji, wspólnie z istebniańskim Klubem Literackim, skupiającym ludowych *piśmiorzy*, zorganizował wieczór poświęcony Rudolfowi Szotkowskiemu. Przybyli nań górale, rodzina oraz przyjaciele kierownika z całego istebniańskiego obszaru górskiego, a nadto z Wisły, Cieszyna, Skoczowa, Bielska, a nawet z drugiej strony granicznej Olzy. Opowiadał wtedy Franciszek Sikora z Istebnej, jak to Szotkowski nazwał swego psa... Bismarkiem. Kosztowało go to wiele kłopotu, ale pan rektor, na cztery nogi kuty, umiał z nich wybrnąć i nawet sąd austriacki przekonać, że działał w interesie ck. monarchii, bo przecież Bismark był też wrogiem Austrii. Nie pomogły paragrafy przeciw góralskiej chytrłości. Nie kto inny, a kierownik z Młaskawki, mimo ostrych zarządzeń, że dzienniki szkolne należy prowadzić w języku urzędowym, tj. po niemiecku, prowadził je po polsku: A tylko od czasu do czasu, jakby przez pomyłkę, zaplatały się w nich zapisy dokonywane w języku niemieckim. Takich kawałów urządził władzom austriackim wiele, przy czym jego pomysłowość graniczyła często z brawurą. Różnie go nazywano, czasem „ludowcem”, a czasem „komunistą”.

Szotkowski, niósł na szczyty wiedzę o sadownictwie. Rozdawał bezpłatnie nasiona pomidorów, ucząc pocziwych górali jedzenia jarzyn, które — o dziwo — dobrze rodzą nawet na wysokości 800 metrów ponad poziomem morza.

Piękna, zapomniana postać. Rozszerzył żrenice górala, nauczył go miłowania swojszczyzny, ale przy tym i dostrzegania innych wartości. Był dyrygentem i reżyserem, a gdy potrzeba działaczem narodowym, Zabiegał o pomoc moralną i materialną dla Macierzy Szkolnej. Był u Sienkiewicza i Osuchowskiego; jeździł z banderą konną aż do Zakopanego, przypominając że w Beskidach Śląskich mieszkają ludzie mówiący przepiękną gwara, zaprawioną czystą staropolską mową.

Zabrała go nam wojna. Człowieka czystego jak kryształ, wielkiego malarza, społecznika, patriotę. Zginął Rudolf Gil na stokach Równicy w przeddzień wyzwolenia i nikt po dziś dzień nie rozwiązał tajemnicy tej śmierci. Pozostały po Gilu, młodym malarzu i nauczycielu, liczne obrazy świadczące o jego nieprzeciętnym talencie. Temat: góry. Wszak urodził się w cieniu Beskidów, zapatrzony we wschody i zachody, rozplamieniony ich urokiem. Brał udział w kampanii wrześniowej, a potem walczył w szeregach partyzantki francuskiej. Wielki humanista, człowiek postępowy, wierzący w ludzką dobroć; mimo okrucieństw, których był świadkiem w okresie wojny, nie zatracił tych wartości w praktycznym działaniu. Gdy uciekł z robót w Niemczech, głodował przez wiele tygodni, żywiąc się byle czym i mimo że miał broń, nigdy nie pozwolił sobie na to, co w żołnierskim języku nazywa się rekwizycją. Ale Gil był przede wszystkim malarzem; nawet w okresie wojny, tropiony jako partyzant na całym obszarze Beskidów, nie przestaje malować. Tworzy w piwnicach, barakach, posługując się dla wyrażenia swych wielkich, nigdy nieposkromionych pasji twórczych tym, co ma pod ręką. Ciekawe to dokumenty zmagania artysty z surowymi prawami życia i śmierci...

ZIEMIA PACHNĄCA CZŁOWIEKIEM

...daremnie chleba nie jadłam, chociaż plon mojej pracy bardzo znikomy — powiedziała o sobie Emilia Michalska, gdy miało się już coraz bardziej ku wieczorowi jej życia i wiedziała, że „chylą się już jej dni”. W tym lapidarnym, ale i zbyt samokrytycznym zarazem lekkim podsumowaniu życiowej zmaganiiny doszło do głosu jej własne, wewnętrzne przekonanie, nade wszystko zaś najistotniejsza cecha jej osobowości — skromność.

Urodziła się 7 lipca 1906 roku w Pruchnej, w rodzinie murarza i wiejskiej akuszerki jako najstarsza z czworga rodzeństwa. Jej rodzice posiadali niewielkie gospodarstwo rolne i podobne prowadzić będzie i ona, gdy po ukończeniu 6-klasowej szkoły powszechnej w Pruchnej i jednorocznej szkoły gospodarstwa domowego w Bielsku w wieku 17 lat wyjdzie za mąż za urzędnika PKP i z nim wybuduje dom na działce uzyskanej z reformy rolnej.



Prowadzenie domu i gospodarstwa oraz wychowywanie czworga dzieci nie wypełniały jednak bez reszty jej czasu, pozwalając w okresie międzywojennym na uczestniczenie w życiu takich pruchneńskich organizacji społecznych, jak Macierz Szkolna, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Czerwony Krzyż, Komitet Szkolny i innych. Po wojnie przez wiele lat będzie przewodniczącą Kola Gospodyń Wiejskich, członkiem Rady Świątlicy Gromadzkiej i innych miejscowych organizacji. Prowadzić też będzie wraz z mężem kiosk „Ruchu”, co zapewni jej stały dostęp do prasy literackiej i do recenzji, co umożliwiło jej uzupełnienie własnej biblioteki.

Emilia Michalska była samoukiem. W jej domu rodzinnym — podobnie jak w wielu chłopskich rodzinach na Śląsku Cieszyńskim — prenumerowano „Gwiazdkę Cieszyńską”, „Zaranie Śląskie”, a nawet krakowską „Rolę”. Należała do najwierniejszych czytelników zasobnej biblioteki Macierzy Szkolnej w Pruchnej, gdzie sięgała nie tylko po klasyków poezji i prozy polskiej, ale i obcej. Gdy po II wojnie światowej jej córki uzyskiwały matury, a synowie wyższe wykształcenie, pani Emilia skwapliwie korzystała z ich podręczników, uzupełniając swą wiedzę — przede wszystkim humanistyczną. Takie były początki drogi, która doprowadziła ją do członkostwa w szeregu ugrupowaniach literackich, takich na przykład jak Stowarzyszenie Twórców Ludowych w Lublinie, Grupa Literacka „Gronie” w Żywcu, Związek Teatrów Amatorskich w Katowicach, czy wreszcie do Związku Literatów Polskich w Warszawie.



Po pióro sięgnęła wcześniej, gdy jako młoda dziewczyna pisała wiersze okolicznościowe: powinszowania dla nauczycieli, listy koleżankom, przemowy weselne

sąsiadom czy sztuki sceniczne dla młodzieżowych stowarzyszeń. Nie przywiązywała jednak do nich wagi, więc się nie zachowywała, krążąc niekiedy jedynie anonimowo.

Debiutowała na początku lat trzydziestych opowiadaniem *Za grzechy ojców* i *W noc zaduszną* na łamach tej samej krakowskiej „Roli”, którą w dzieciństwie czytywała. Później, szczególnie po II wojnie światowej, pojawiły się przede wszystkim jej wiersze w różnych czasopismach (m.in. w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” i „Kalendarzu Cieszyńskim”, w zaolziańskim „Zwrocie” i „Głosie Ludu”, żywieckich „Groniach”, lubelskiej „Kamenie” czy warszawskich „Więściach”, „Chłopskiej Drodze”, „Tygodniku Kulturalnym”), antologiach polskiej poezji ludowej, na antenie radiowej, w audycjach telewizyjnych. Uzyskała nagrody literackie, m.in. wojewódzką (1966), ogólnokrajową (1969), im. Jana Pocka — przyznaną jej przez czasopismo społeczno-literackie „Chłopska Droga” z okazji 40-lecia pracy pisarskiej za całokształt twórczości (1972).

Poza folderami, np. *Trzysta metrów* (1971) czy *Pod wierzbą* (1972), wydano kilka tomików jej wierszy. Komitet Organizacyjny Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Wiśle wydał *Zapach ziemi* (1973), potem pojawiły się: *Chłopskie słowo* (LSW, Warszawa 1977), *Chylą się moje dni* (LSW, Warszawa 1980), *Jesiennie liście* (BTSK, Bielsko-Biała 1981), *Cieszyńskie kwiaty* (MZC, Cieszyn 1989) i *Zmagania z czasem* (bez wydawcy, Gliwice 1994).



Emilia Michalska wydaje się posiadać trwałą pozycję w polskiej literaturze ludowej. Nielatwa jednak była jej droga samouka-samotnika po wyboistych ścieżkach życia i twórczości.

Poszłam w życie prosta i ufna
z niewiedzą, na wycucie;
myślałam, że moi bliźni
to dobrzy ludzie.

A kiedy się zetknęłam
z prawdą tak bezpośrednio,
zrozumiałam, że jestem
wśród tłumu sama jedna.

(*Gdy ścieżka...*)

Do wiedzy, do twórczego działania pchała ją nieprzereparta wola życia czynnego.

Czy to dobrze, czy niedobrze
ja chcę pełnią żyć,
pragnąć wciąż tego, co nowe,
chcę żyć a nie być.

(*Nie buntuj się...*)

Działalność twórcza Emilii Michalskiej była bardzo rozległa i różnorodna. W zakresie literatury obejmowała wiersze gwarowe i pisane językiem literackim, bajki ludowe i ballady, pastoralki, gawędy i opowiadania gwarowe... Opisywała w nich dawny tryb życia w rodzinnej wsi, dawne obyczaje i wierzenia, ludowy humor i przemiany zachodzące na wsi po II wojnie światowej. Dawała też wyraz wątkom osobistym i autobiograficznym, odzwierciedlając własną filozofię życiową, pełną zadumy nad ludzkim losem i dojrzałą mądrością.

Ponadto jednak także malowała na szkło, tworzyła akwarele, obrazy olejne, rzeźbę w glinie, a przede wszystkim wyklejanki oraz wycinanki z papieru i bibułki,

nawiązujące do dawnej sztuki ludowej, której uczył ją w dzieciństwie ojciec; wiele z tych ostatnich trafiło do zbiorów śląskich muzeów.



Była Emilia Michalska niemal dokumentalistką życia podcieszyńskiej wsi i kronikarką przemian na niej zachodzących. Tym zjawiskom, obserwowanym z perspektywy własnej wioski, nadawała nieraz udramatyzowaną, a niekiedy i humorystyczną formę.

PIERWSZA KOLEJ

Przez naszą Pruchną z Wydnia do Lwowa
rozkożoł cysorz kolej budować.
A kie to dziwo wybudowali,
ludzie sie strasznie pociagu bali.
Bo se to jedzie, kurzy a kurzy,
a huczy przy tym jak podczas burzy.

Już se maszyna piskała cijnko
kie przyszedł na woł Jędrys z Marynką.
Maryś sie trzęsie z okrutnej trwogi:
— Jędrysku! Nie wiesz, jak jo sie boję!
Dyć nas pod koła ściągnie dym srogi!
Pódź! Uciekejmy! Jo tu nie stoję!

— Nie bój sie Maryś! Moja Marynko!
Nic ci nie bydzie! Chyć sie mnie ręką!
Hónym, prędziutko! O, bo już jedzie!
Pódźżyż, a hneda po strachu bydzie!
Dziwej sie, jaki chałupki smyczy
na kółka wzięte, jak na nas ryczy!

— Ach, jo sie boję, Jędrysku miły!
— Chyć moją rękę! Dierz z całej siły!
A tu sie jeszcze krzoków chycymy
i tyn dziw dziwów se obezdrzymy!...
Kiedy przyjyżdżoł, to bez tchu trwali,
a kie przejechoł — pozuciekali...

Innym znów razem pobrzmiwał w jej wierszach ton współczucia nad ludzką niedolą, wpleciony, wraz z charakterystycznymi dla poezji ludowej zdrobnieniami, w melodyjny rytm.

SIROCO PIERZYNKĄ

Po pióreczku, po kwapeczku,
procnie zbiyrała,
na pierzynke, na sierocą,
drobno skubała.

Minie roczek, minie drugi,
minie lat wiele,
niż pierzynke swą sierocą
w łóżku uściele.

Pozwieszała brzoza biała
zielone sploty,
źle sierotą być na świecie.
Boże mój złoty!

Plastycznie i ciekawie został tu wykorzystany motyw jedynie brzozy współczującej sierocie — poza tylko jeszcze... Bogiem, do którego można się odwołać. I tak też wydaje się czynić podmiot liryczny tego wiersza.

Ale przyroda odgrywa też niekiedy w utworach Michalskiej i inną rolę. Personifikując lipę w wierszu *Umarł siedlok*, każe jej autorka stać się przestrogą, a nawet groźnym „memento” dla tych, którzy opuszczają ojcowską rolę, „ziemię rodzoną”, i godzą się na jej przechodzenie w „cudze”, obce ręce. Przenośne znaczenie i patriotyczna wymowa tej puenty wydają się być aż nazbyt jednoznaczne — obok gorzkiej zadumy nad zmianami zachodzącymi na cieszyńskiej ziemi, gdzie siedlocy oddawali do szkół swe syny, by się żyć uczyli, a ci teraz skąpią potu, roboty się boją i pochodzenia swego się wypierają.

UMARŁ SIEDLOK

Umarł siedlok, umarł, już mu zadzwonili,
ksiądz śpiwył „Requiem”, ludzie sie gapili.

Umarł siedlok, umarł, kto pług odziedziczy?
Każdy z jego synów w czym innym się ćwiczy.

Do szkół syny dowoł, by sie żyć uczyli,
za to pochodzenia swego sie wyprzyli.

Potu poskapili, roboty sie boją
wygodą cyganią chłopską dusze swoją.

Zatesknia, zapłaczą, ale po niewczasie,
pozazdroszczą tymu, co swe konie pasie.

Choć byś był z kamienia, serce cie zaboli
jak ujrzyś cudzego na ojcowskiej roli.

Pogrozi ci lipa gałęzią zieloną
za to, żeś opuścił twą ziemię rodzoną.

Patriotyczna nuta zabrzmiała w wierszach E. Michalskiej nieraz wprost, jak na przykład w *Pamięci powieszonym w Cieszynie, Postawili szubienice... czy Oświęcim*, albo — częściej — pośrednio, jak w utworach *Moja ziemia, Cieszyn, Mój Cieszynie...*, *Trzysta metrów*, *Beskidzie nasz miły* i wiele innych.

BESKIDZIE NASZ MIŁY...

Beskidzie nasz miły,
Beskidzie zielony,
Beskidzie podniebny,
bądźże pochwalony!

Rostomiłe gronie,
malownicze zbocza,
porznięta rzeczkami
krajno urocza!

W twej wiecznej zieleni,
w źródłach, w twardych skałach
jest głęboka piękność,
piękność doskonała.

Przyniewała oczy,
przyniewała uszy,
wzrusza najtajniejsze
głębie ludzkiej duszy.

Pochwała piękna ziemi cieszyńskiej — jej przyrody, ludzi, strojów, obyczajów — splata się w twórczości poetki z Pruchnej często z zadumą nad przemijaniem, nad ludzkim losem. Liryka opisowa przechodzi w lirykę refleksyjną.

RWAŁAM KWIATY...

Rwałam kwiaty —
czuję jeszcze ich wilgoć
na dłoniach.

Wilam wianki —
czuję jeszcze ich lekkość
na skroniach

składałam wiązanki —
tkwi mi jeszcze ich koloryt
w oczach...

Wszystko odeszło,
odpłynęło
razem ze wstążką
z warkocza,
z barwnym, w maki i róże
wyszywanym strojem...

Dziś dziwi mnie i śmieszy,
że kiedyś to wszystko nazywałam swoim.

Nie mamy swej własności,
wszystko w pachcie trzymamy
do czasu,
często podnosimy wiele hałasu
o nic. —

Czy nam będą, czy nie będą dzwonić —
światu to obojętne:

zabierz, co jego
nawet to, co w sercu głęboko ukryte,
nie weźmiemy z sobą nic a nic
ziemskiego...

Czy wąskim, czy szerszym
płyniemy korytem.

Nieraz dochodzi też do głosu dość jednoznacznie określona filozofia życiowa Emilii Michalskiej.

BIYDNY, KIERY...

Biydny, kiery życiu nie rozumiy
i dni swoich ułożyć nie umiy,
by w radość spędzić swoją chwilę,
aby go tu wspominali mile.

Kto ten dar przetrwonil, jakim jest życie,
nie byl chytry, nie odkladał skrycie
drobnych ziareneczek na czorną godzinę
i nie dał z siebie ani odrobinę.

Wszystko we świecie na zopłacie stoi,
coś komu podał, to ci sie podwoji.
Kogoś ukrzywdzisz, sobie krzywdę czynisz;
dobrze robisz, kiedy sam się winisz.

Chcesz serce zdobyć, rozdaj najpierw swoje,
a chcesz być syty — rozdaj kromki swoje.
Jaką śpiewkę zaśpiewasz w lesie,
taką echo w krociach ci odniesie.

Szanuj innych, ciebie uszanują,
ustąp zgodnie, kie z tobą wojują.
Kiedyś, po latach, będzie ci przyjemnie,
bo zrozumiesz, żeś nie żył daremnie.

Jest w tomiku *Chylą się moje dni* napisany na ćwierć wieku przed śmiercią sonet zatytułowany *Słowo*. Dopiero puenta ukazuje jego wymowę, stanowiąc jakby wyraz poetyckiego testamentu autorki, a także jej przekonania o przemijalności życia człowieka, wsłuchanego „w swego serca niespokojną ciszę”, oraz o trwałości słowa, które po sobie pozostawia.

Przygarbiła się wierzba nad zamarłym stawem,
postępując kietedy w swej dudławej duszy,
liście w wodę rzuciła, nie dba, gdy wiatr mruczy
coś nie bardzo milego urwipolcia prawem.

Wszak nie zawsze staruchą wypróchniałą stała
i ją złote słoneczko gładziło pieściwie
w on czas, kiedy dziewczęta grabiące przy zniwie
grable o nią wspierały myjąc nogi w stawie.

Patrząc na wierzbę, widzę w niej swoje odbicie,
wsłuchana w swego serca niespokojną ciszę
w przeświadczeniu, że jestem, że żyję, że dyszę.

Niestraszny mi listopad w zakonnym habicie,
ni zegar swe wahadło toczący miarowo:
śmierć brylantem przekupię.

Tem brylantem — słowo.

Emilia Michalska zmarła w wieku 91 lat 24 października 1997 roku i spoczęła w rodzinnej Pruchnej. Żegnając ją nad mogiłą w imieniu Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, której była Członkiem Honorowym, prezes Zarządu Głównego, mgr Mariusz Makowski, powiedział m.in.: *Pisała z potrzeby serca, a potem dopiero dla ludzi. Jej wiersze pełne*

wewnętrznej refleksji, otuchy i nadziei, wiary w człowieka w jego zmaganiach z losem, bliskie są każdemu i zachowują ponadczasową wartość. Uczą pokory, a jednocześnie nakazują cieszyć się każdą chwilą.

W jej strofach zawarta jest ogromna wiedza o świecie. O świecie skromnym i prostym, zamkniętym w ojcowskiej ziemi, w rodzinnym domu. W nim poetka Beskidów odnalazła swoje miejsce.

Czy ta, która napisała wiersze *Stalmach*, *Miły Morcinku*, *Kossak-Szatkowskiej*, *Pamięci Ludwika Brożka* sama zwycięży w zmaganiach z czasem i zdoła oszukać śmierć — śmierć poety? Czy zdoła ocalić swoją pamięć i swoje słowo?

W wierszu *Zapach ziemi* napisała:

Zapach wieczny ma ziemia.
Tajemny, jak niebyt,
jak cień nieuchwytny,
wiemy,
niezawodny.

Nikogo nie zdradziła
i nie zdradził!

W małej garsteczce,
w czterech deskach,
pod darnią
głęboko
pachnie tym,
co przebyło
w radości,
w smutku,
w męce

Ziemia pachnie Człowiekiem!

Twórczość Emilii Michalskiej należy — niby misterna wycinanka — do najpiękniejszych kwiatów cieszyńskiej poezji. Poezji pachnącej ziemią, pachnącej Człowiekiem.

Można ufać, że w dorobku kulturalnym nie tylko regionu zdołała zapewnić sobie trwałe miejsce i — zgodnie ze swym pragnieniem — brylantem-słowem przekupić śmierć.

TADEUSZ KOPOCZEK

BAGNET, PARAGRAF I... SERCE

Wojskowy mundur już w dzieciństwie był przedmiotem zachwyty, a oficerskie szlify stały się celem młodzieńczych marzeń. Do wojaczki był zresztą stworzony: smukła sylwetka i temperament połączone z trzeźwą rozwagą. Wyczytana niegdyś maksyma, że dobrego żołnierza, a oficera w szczególności, cechować musi gorące serce, ale za to zimna głowa — stała się jakże cenną dewizą jego późniejszego, burzliwego wojennego życia.

Miał zaledwie sześć lat, gdy zmarł jego ojciec, wojskowy lekarz w stopniu pułkownika. U zarania II Rzeczypospolitej podjął on walkę z szalejącą wówczas na Białostocczyźnie gruźlicą, której sam padł ofiarą. Owdowiała matka Jerzego, w celu ocalenia dzieci przed śmiertelną chorobą przeniosła się do Starego Sącza. Tam J. Sieklucki zdał w 1934 roku maturę i złożył egzamin wstępny do Zawodowej Szkoły Podchorążych w Komorowie k. Ostrowi Mazowieckiej.



Podporucznik Jerzy Sieklucki w 1939 roku.
Reprod. Tadeusz Kopoczek

Straszliva powódź, jaka latem owego roku nawiedziła prawie całe Podkarpacie, zabrała także ich dom wraz ze skromnym wdowio-sierocym dobytkiem. W oficerskiej szkole w Komorowie J. Siekluckiemu przypadło zameldować się przeto w... pożyczonym garniturze.

Latem 1939 roku 10. PP im. Ziemi Cieszyńskiej¹ (w składzie 26. Dywizji Piechoty armii „Poznań”, dowodzonej przez gen. Tadeusza Kutrzebę), zajął pozycje obronne w okolicach Kcyni i Żmigrodu, o czym po latach napisał:

„27 lub 28 sierpnia nasze oddziały w pełnym pogotowiu bojowym weszły na stanowiska. Linia obronna nie była jeszcze w pełni gotowa, zwłaszcza znaczna część betonowych schronów była jeszcze mokra i znajdowała się w oszalowaniu. Stanowiska mojej kompanii usytuowane były na wzniesieniu, łagodnie opadającym w kierunku granicy niemieckiej. Przedpole, poza kilkoma budynkami i pojedynczymi drzewami

— wolne było aż do horyzontu. Kilkaset metrów za nami ciągnęła się murowana wieś, której ludność ewakuowano przed kilku dniami. Po zagrodach kręciły się opuszczone zwierzęta i domowe ptactwo. Co raz padały pod nożami kucharzy, przyczyniając się do podniesienia jakości i tak dobrego jadła z połowych kuchni.

¹ Pułk sformowany został u zarania państwowości polskiej we Frysztlacie, przyjmując w swe szeregi ochotniczą młodzież ze Śląska Cieszyńskiego. Stąd jego nazwa, zaś numer jednostce nadała później administracja Wojska Polskiego. Wkrótce po sformowaniu pułk uczestniczył w walkach o obronę Przemyśla i Lwowa.

Ostatniego sierpnia wieczorem serdeczny kolega z podchorążówki Józek Suplicki złożył mi wizytę. Zasiadliśmy do wspólnej kolacji, podprawionej wojskową „kropelką”. Żołnierze po pracowitym dniu szykowali się do wypoczynku, inni do objęcia służby na stanowiskach. Pożegnaliśmy się jeszcze przed północą. Odcinek jego kompanii znajdował się w prawo od mojego, na sąsiednim wzniesieniu, oddalonym o 1,5 km.

Około godz. 5.00 nad nami rozległ się warkot samolotów, a w chwilę potem w odległości od 100 do 300 m potężne detonacje targnęły powietrzem i ziemią... Nie było wątpliwości: zostaliśmy zbombardowani. Nie potrafię odtworzyć i opisać wrażenia. Coś laskotało w okolicy serca, ścisnęło za gardło. Sądzę, że wszyscy doznali podobnych uczuć. Zastrzegam jednak, że nie oznaczało to pogorszenia nastrojów. Owo „ściskanie” było kwestią kilku chwil i szybko ustąpiło miejsca silnemu podekscytowaniu, niemal euforycznej gotowości skoczenia napastnikowi do gardła. Około godz. 6.00 zaterkotał telefon. Z dowództwa batalionu poinformowano: o godz. 5.00 Niemcy przekroczyli granicę. Mamy pierwszych zabitych i rannych. Porucznik Józef Suplicki jest ciężko ranny.

O szczegółach dowiedziałem się później. O świcie z kilkoma żołnierzami Józek udał się na patrol w okolice oddalonego kompleksu leśnego. Być może, iż dotychczasowy spokój oraz przekonanie o tym, że przeżywamy tylko coś więcej nad niedawne manewry — stępiły czujność patrolu, nagle ostrzelanego dwoma seriami karabinu maszynowego. Dwóch żołnierzy poległo na miejscu, por. J. Suplicki, trafiony w pierś i brzuch, odtransportowany został do szpitala w Szubinie. Żył do wieczora, umierał przytomnie, ostatnie słowa kierując do swej matki. Był jedynym, któremu nasza jednostka — 10 PP im. Ziemi Cieszyńskiej — oddała należyte honory i którego pochowano z zachowaniem żołnierskiego ceremoniału. Tym razem dłużej „laskotało” mnie w okolicy serca, a myśli przywiodły wspomnienia ze wspólnie przeżytych dni i miesięcy. Czulem pożegnalny uścisk jego ręki z poprzedniego wieczora. Do dziś pamiętam jego pogodną, życzliwą wszystkim twarz...

Dla J. Siekluckiego ta faza II wojny światowej zakończyła się 16 września nad Bzurą, gdzie w toku walk zaczepno-obronnych został ranny (postrzał w ramię). Umieszczono go w szpitalu jenieckim w Łodzi. Zaledwie podleczony, podjął 1 grudnia udaną ucieczkę z postanowieniem dotarcia do tworzonego we Francji Wojska Polskiego. Ale kiedy po wielu dramatycznych epizodach uciekinierzy (było ich trzech) znaleźli się na obszarze Węgier, zostali zatrzymani, przewiezieni do Budapesztu i osadzeni w tamtejszej cytadeli. Ale i tam nie zagrali długo miejsca...

Po dotarciu do Francji J. Sieklucki trafił w szereg I Pułku Piechoty w 1. Dywizji Grenadierów im. Warszawy, skierowanej niebawem do zajęcia pozycji obronnych na nie ufortyfikowanym odcinku pogranicza Alzacji i Lotaryngii. Żołnierze tej jednostki dali przykład męstwa i bojowego ducha, czego dowodem jest m.in. fragment rozkazu dowódcy niemieckiego odcinka frontu: „Żołnierze, skończyła się zabawa z Francuzami, przed nami są Polacy!”

15 czerwca 1940 roku potężne formacje niemieckie lawiną ognia i stali rzuciły się na polski odcinek Linii Maginot’a. W tym czasie armia francuska znajdowała się już w odwrocie, toteż zadaniem polskich formacji było kontynuowanie walk opóźniających.

Pod Guinseling doszło do morderczego starcia. W walkach wręcz Polacy użyli granatów i bagnetów, a gdy ich nie starczyło, sięgnęli po... łopaty i kilofy. Niemcy nie wytrzymali potężnego przeciwuderzenia, nie spodzielali się zresztą tak bojowej postawy przeciwnika. Niebawem oddziały polskie stoczyły drugą krwawą bitwę, w której hitlerowskie jednostki odrzucone zostały na północny brzeg kanału Marna — Ren, straciły też miasto La Garde.²

² Nazwa francuskiego miasta La Garde wykuta została na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie dla uczczenia Polaków, którzy polegli w jednej z najbardziej krwawych bitew II wojny światowej.

Walki trwały do 22 czerwca, do dnia, w którym armia francuska złożyła broń, zaś polskie formacje otrzymały cichy rozkaz rozproszenia i opuszczenia terytorium Francji. Dowódca I Dywizji Grenadierów gen. bryg. Bronisław Duch 21 czerwca podpisał ostatni, 99. rozkaz dzienny swej formacji. W jego II części, w której mowa o nadaniu *Krzyża Virtuti Militari V klasy za czyny męstwa i odwagi żołnierskiej w czasie działań wojennych we Francji* — pod pozycją nr 32 figuruje nazwisko ppor. Jerzego Siekluckiego. Nadano mu także francuskie odznaczenie bojowe *Croix de Guerre avec Etoile de Bronze* — Krzyż Wojenny z Brązową Gwiazdą. Dostał nadto dodatkowego wyróżnienia w postaci specjalnej cytacji w rozkazie brygady.

Goryczy drugiej już na przestrzeni krótkiego okresu czasu klęski nie mogło osłodzić najbardziej nawet honorowe odznaczenie bojowe...

Posłużmy się fragmentami innego wspomnienia.³

„Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r. liczna grupa oficerów polskich z I i II Dywizji Grenadierów Armii Polskiej we Francji, zaangażowanych w walkach na terenie Alzacji i Lotaryngii, dostała się do niewoli niemieckiej w kotłach Wogezów bądź w okolicach Belfort. Dla większości z nich była to już druga z kolei klęska i niewola po uprzednich ich losach w kampanii wrześniowej. We wrześniu 1940 r. znaleźliśmy się, wraz z kilkutysięczną grupą oficerów francuskich, w obozie jenieckim w Edelbachu (Dollersheim), położonym między Allenstein a Goepfritz an der Wild, w dolnej Austrii (Waldviertel), na zupełnym pustkowiu (...).”



3 maja 1940 r. gen. Władysław Sikorski (w białym płaszczu) wizytował II batalion I Pułku Grenadierów im. Warszawy, stacjonujący w Bagneu. Pierwszy z lewej (oznaczony białym trójkącikiem) ppor. Jerzy Sieklucki.
Reprod. Tadeusz Kopoczek

³ „Palestra” nr 7(223) strony 44—49: Jerzy Sieklucki „Czas uratowany”.

Trzykrotnie J. Sieklucki próbował ucieczek z obozu, ale żadna się nie powiodła. Przymusowy w nim pobyt spożytkował więc inaczej, do perfekcji opanował mianowicie języki francuski, angielski, hiszpański i niemiecki. Jak gdyby tego było mało, podjął... studia prawnicze w jedynej w swoim rodzaju uczelni za drutami.

„W obozie zgrupowano przeszło 4000 oficerów francuskich i około 200 oficerów polskich. Nie miejsce tu na opisywanie warunków bytowych, znanych zresztą kolegom, współtowarzyszom broni, z własnych przeżyć w podobnych okolicznościach. Od pierwszej chwili odczuwaliśmy, że kwestia przetrwania materialnego nie stanowi o wszystkim, że trzeba podjąć wbrew wszelkim trudnościom, szyskanom, a nawet niebezpieczeństwu, wysilek o przetrwanie moralne i intelektualne. Pod tym względem nie było mowy o indywidualnych działaniach. Chodziło o akcję zorganizowaną, społeczną (...).

Stosunki, jakie panowały w obozie, który był przecież obozem jeńców francuskich, dyktowane polityką kolaboracji Francji marszałka Pétain'a z Niemcami, a nadto znaczna wśród jeńców liczba profesorów i naukowców z różnych ośrodków Francji oraz wielu eminentnych francuskich prawników praktyków doprowadziły do powstania na terenie obozu Francuskiego Uniwersytetu Jenieckiego (Université Française de Captivité) o trzech wydziałach: filozofii, prawa i teologii. Kierunek teologiczny powstał dlatego, że we Francji, która nie była sygnatariuszką konkordatu, księża i klerycy pełnili normalną służbę wojskową, stąd też znaczna ich część w obozie zainteresowana była tym właśnie kierunkiem studiów. Z akcji wspomnianych odczytów i działalności Kola Prawników Polskich powstała myśl zorganizowania przy tymże Uniwersytecie niejako autonomicznego „Studium Prawa dla Oficerów Polskich”. Inicjatorem i jej realizatorem był obecny wówczas wśród nas por. I Dywizji Grenadierów, znany przed wojną naukowiec z zakresu prawa administracyjnego, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Jerzy Stefan Langrod, oraz współdziałający z nim blisko ppor. dr Michał Szczaniecki, historyk prawa, swą pracą naukową związany z Wydziałem Prawa w Poznaniu (obecnie profesor Uniwersytetu Warszawskiego). Inicjatywa została zrealizowana już we wrześniu 1940 r. uroczystą inauguracją pierwszego roku szkolnego, dokonaną przez ppłk. aud. Henryka Rzewuskiego, który w przemówieniu swoim podkreślił, że »wobec zamknięcia w Kraju wszystkich uczelni każdy, nawet najskromniejszy warsztat pracy umysłowej staje się na pustyni, w jaką wróg zamienił polskie życie kulturalne, aktem wielkiego na przyszłość znaczenia«. Wykład inauguracyjny wygłosił prof. dr Langrod na temat organizacji nauki i nauczania w Polsce do wojny. W ten sposób studium rozpoczęło swoją działalność, która trwała następnie nieprzerwanie do 17 kwietnia 1945 r.

W całym tym okresie około lub może ponad 20 oficerów polskich w obozie objęło swą działalnością „Studium”, stając się jednocześnie kulturalną reprezentacją Polski wobec francuskich kolegów-współjeńców. Kierownikiem Francuskiego Uniwersytetu Jenieckiego był profesor matematyki na Sorbonie por. Jean Leray, członek Instytutu Francji, który od samego początku dawał dowody przyjaźni i wytrwałej pomocy w stosunku do współtowarzyszy niewoli — kolegów polskich. Tenże Uniwersytet Francuski był instytucją zalegalizowaną przez Niemców w przeciwieństwie do „Studium” polskiego. Sztyd zatem Uniwersytetu Francuskiego był dla nas w pewnym stopniu zabezpieczeniem przed groźbą zakazu i represji. Pomoc wykładowa i egzaminacyjna profesorów francuskich umożliwiła skompletowanie programu i sformalizowanie egzaminów. Organizowano polsko-francuskie prace wykładowe, seminaryjne. Korzystaliśmy ze stale rosnącej biblioteki uniwersyteckiej (...).

Początkowo działaliśmy jedynie za zgodą polskiego komendanta naszego baraku. Następnie kierownictwo „Studium” zdołało z wielkim trudem nawiązać pośredni kontakt z Ministerstwem WRiOP w Londynie. Kontakt ten i stanowisko zajęte przez to Ministerstwo dało nam przekonanie o formalnoprawnej podstawie naszego działania (...).



Studium Prawa dla oficerów polskich, prowadzone w Oflagu XVII A w Edelbachu w Dolnej Austrii. W rogu pomieszczenia (oznaczony białym trójkącikiem) — ppor. Jerzy Sieklucki. Reprod. Tadeusz Kopoczek

Na „Studium” uczęszczały 53 osoby, w tym 27 studentów i 26 wolnych słuchaczy. Rozpiętość wieku studentów: od urodzonych w 1901 r. do urodzonych w 1918 r. z przewagą urodzonych w latach 1914—1916. Ukończyło pełne cztery lata „Studium” 15 studentów, 5 ukończyło trzy lata, 2 — dwa lata, 5 — jeden rok studiów. Dokumentem stwierdzającym ukończenie studiów było wydrukowane, w tajnej obozowej drukarni, poświadczenie — niezależnie od skrupulatnie, systematycznie prowadzonej, przez cały czas działalności „Studium”, dokumentacji dotyczącej wykładów, ćwiczeń, seminariów, frekwencji — dokumentacji egzaminowej. Poświadczenie stwierdzało wyniki egzaminów z poszczególnych lat i przedmiotów oraz fakt, że słuchacz odbył studia prawno-ekonomiczne odpowiadające wymaganiom rozp. Min. WRiOP z 16.X.1920 r. nr 8416 — IV/20 w sprawie organizacji studiów prawnych na uniwersytetach państwowych (Dz. Urz. Min. WRiOP poz. 140/20; zm. poz. 211/26).

Pośród słuchaczy „Studium” trzech z nich, po zakończeniu wojny, kontynuowało naukę na kursie doktoranckim przy Uniwersytecie w Brukseli (Université Libre de Bruxelles). Istniał tu, kierowany przez prof. Drewnowskiego, ośrodek organizacji studiów dla licznie zgromadzonej młodzieży polskiej (...).”

Nie sposób pominąć jeszcze jednego, ale doniosłego życiowego epizodu, związanego z jenieckim obozem. Wyszedłona do Generalnej Guberni Maria Kiszanka ze Skoczowa, spędzała przed wojną lato u krewnych w Starym Sączu. Młodzieńcza przyjaźń z J. Siekluckim przerodziła się w dojrzałe uczucie, które zaowocowało związkiem małżeńskim, poprzez kolczaste druty jenieckiego obozu zawartym per procura.

W kwietniu 1945 roku, po wyzwoleniu obozu przez US Army, J. Sieklucki niezwłocznie udał się do Brukseli, gdzie podjął studia doktoranckie. W lutym 1946 roku nadarzyła się okazja powrotu do kraju. Do 1952 roku był związany z Uniwersytetem

Jagiellońskim, początkowo jako asystent a później adiunkt. Tam też obronił pracę doktorską. Zamieszkał w Skoczowie. Wkrótce stał się wziętym, cenionym i szanowanym adwokatem.

Poznałem Go w 1956 roku. Po reaktywowaniu ZHP stawiałem pierwsze kroki w instruktorskiej służbie i wielokrotnie korzystałem z jego rad, zawsze przemyślanych, pragmatycznych, a przy tym bezinteresownych. Ujmował — i przekonany jestem, że nie tylko mnie — jakąś przemożną i zaraźliwą pogodą ducha, zwłaszcza zaś specyficznym, wysokich lotów humorem.

Po wielu latach mecenas Czesław Rutkowski, stojący nad otwartą mogiłą kawalera najwyższych bojowych odznaczeń⁴ z całą mocą stwierdził, że J. Sieklucki nigdy i nikomu nie odmówił pomocy.

W 1965 roku zamieszkał w Cieszynie.

Był Jerzy (mam prawo tak napisać, bowiem w 1975 roku na harcerskim obozie we Francji wymógł na mnie przejście „na ty”, z czego byłem i po kres mych dni pozostanę dumny) społecznikiem wielkiego formatu. Działal w wybieralnych organach adwokatury (dziekan Zespołu Adwokackiego w Cieszynie, po utworzeniu nowych województw — dziekan Wojewódzkiej Rady Adwokackiej, członek Rady Naczelnej), ZBOWiD, ruchu przyjaciół harcerstwa, wszędzie służąc bogatym życiowym doświadczeniem oraz wyjątkowym darem obiektywnej oceny rzeczywistości.

A kiedy wydawać się mogło, że przeciwności losu należą już do przeszłości, przyszło Jerzemu borykać się ze zdrowotnymi problemami swych najbliższych. Później doszły także jego własne. Ale nie pamiętam, by kiedykolwiek się użalał, popadał w depresję, czy zlorzeczył na przeciwności losu.

9 grudnia 1996 roku zabrakło Człowieka wielkiego i szlachetnego serca, nieprzeciętnej wiedzy i ogromu życiowych doświadczeń. Wielu utraciło oddanego, zawsze gotowego do niesienia bezinteresownej pomocy Przyjaciela. Tej luki nikt już nie wypełni.

Jerzy Sieklucki — dr prawa, kapitan rezerwy WP, harcmistrz (do końca swych dni czynny członek Kręgu Seniora ZHP), ojciec dwóch synów i córki — urodził się 17 stycznia 1916 roku w Benderach (Besarabia) jako syn Bronisława i Zofii z domu Ryzenko.

12 grudnia spoczął na Cmentarzu Komunalnym w Cieszynie. Brzoza, którą w młodszych latach zasadził obok grobu swej siostry, niczym morska latarnia wiedzie do miejsca jego wiecznego spoczynku.



Dr prawa, kapitan rezerwy WP, harcmistrz Jerzy Sieklucki pod koniec lat siedemdziesiątych. Reprod. Tadeusz Kopoczek

⁴ J. Sieklucki uhonorowany został także Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim i Medalem Lotaryńskim (oba francuskie), medalem Za udział w wojnie obronnej 1939, odznaką pamiątkową I DP Grenadierów im. Warszawy, złotą odznaką Zasłużony Działacz Związku Prawników Polskich oraz kilkoma innymi.

KAZIMIERZ FOBER

TO JUŻ DZIESIĘĆ LAT...

W tym roku mija dziesięć lat od dnia, kiedy staliśmy na cieszyńskim Cmentarzu Komunalnym nad otwartą mogiłą człowieka niezwykłego. To już dziesięć lat, kiedy żegnaliśmy na zawsze przyjaciela, nauczyciela, dyrygenta społecznika Emanuela GUZIURA.

Czas szybko mija, a pamięć ludzka jeszcze szybciej ulata. Są jednak ludzie, o których pamięć powinniśmy zachować, gdyż jesteśmy im to winni, chociażby za to czego dokonali będąc wśród nas. Dlatego też przypomnienie postaci Emanuela Guziura, który kończyłby w 1998 roku 90 lat życia, a w bieżącym roku mija dziesięć lat od jego śmierci, uważamy za celowe.

Trudno byłoby twierdzić, że miał wielu przyjaciół. Nie był napewno człowiekiem, który by hojnie ofiarowywał swą przyjaźń, nie był też typem człowieka, który by był darzony powszechnie przyjaźnią innych. Nie był jednak samotnikiem, gdyż angażował się w różne sprawy, które uważał za ważne i potrzebne, a wówczas angażował się bez reszty, z całą swoją powszechnie znaną energią. Był więc człowiekiem nieprzeciętnym, której to cechy nie odmawiali mu nawet ci, którzy nie zaliczali się do grona — raczej nielicznego — jego przyjaciół. Był też w swym działaniu i zachowaniu często człowiekiem kontrowersyjnym. Zdawał sobie z tego sprawę, a często odczuwał to dotkliwie.

Jego syn Janusz, profesor Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, odnalazł niedawno swoisty zbiór „złotych myśli” ojca, który ten nazwał „myśli o sobie”. W zbiorze tym tak charakteryzuje Emanuel Guziur samego siebie:

„To prawda, że dla wielu jestem kontrowersyjny, ale jest też znana prawda, że rasowy działacz takim być musi. Tylko oportunistą jest w zgodzie ze wszystkimi”.

Można by oczywiście z takim stanowiskiem dyskutować, chociaż nie można zaprzeczyć, że był rzeczywiście działaczem rasowym. Jego stanowisko wynikało z faktu, iż był przekonany tylko o swojej racji i rzadko przyznawał ją innym. Działaliśmy wspólnie przez wiele lat, w szczególności w społecznym ruchu muzycznym, ale nie tylko, również przy organizowaniu zjazdów koleżeńskich absolwentów cieszyńskich gimnazjów, obchodów rocznicowych i jubileuszy, kontaktów z Zaolziem i trudno sobie wyobrazić, by nigdy nie dochodziło do nieraz ostrej wymiany zdań, w wyniku której nie zawsze dochodziło do modnego dziś „consensu”, a czasami każda ze stron pozostawała przy swym zdaniu.

Wszystko czego się podejmował, a były to sprawy nie tylko związane z życiem kulturalnym Cieszyna, było głęboko i dokładnie przemyślane i precyzyjnie, w najdrob-



niejszych szczegółach, zaplanowane. Dotyczy to nie tylko jego pracy jako dyrygenta wielu chórów i dyrektora artystycznego Cieszyńskiego Okręgu Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, ale także organizowania audycji umuzykalniających i występów najwyższej klasy artystów, śpiewaków, pianistów i dyrygentów, która to działalność przerodziła się później w tzw. akcję „CIM” — Cieszyńskie Imprezy Muzyczne. Współdziałaliśmy oczywiście z nim, ale to on był pomysłodawcą i inicjatorem wszystkich poczyni. Trudno było sobie wyobrazić, by na kwartalnych naradach w Związku Śląskich Kół Śpiewaczych w Katowicach, w których uczestniczyli prezesi, sekretarze i dyrektorzy artystyczni okręgów z całego województwa, Emanuel Guziur nie miał nic do powiedzenia, nie wystąpił z jakąś nową inicjatywą, która najczęściej znajdowała ogólną aprobatę.

To prawda, że nie wszystkie jego pomysły doczekały się pełnej realizacji. Nie z jego winy i nie dlatego, by były złe. Tak było np. z pomysłem tzw. akcji „S” — akcji szkoła. Chodziło po prostu o nawiązanie ścisłej współpracy chórów dorosłych z chórami szkolnymi po to, by zapewnić dopływ młodych członków do chórów dorosłych, w których śpiewają nieraz już wiekowo zaawansowani śpiewacy. Miał temu służyć m.in. specjalnie dobrany repertuar i wspólne imprezy śpiewacze. Poszczególne utwory zostały tak opracowane, by mógł je śpiewać samodzielnie chór szkolny, samodzielnie chór dorosłych, ale także by mogły je śpiewać wspólnie oba zespoły w trakcie wspólnego koncertu.

Wymagała akcja „S” oczywiście współpracy ze szkołami i nauczycielami wychowania muzycznego, której to współpracy szkoły — z jednym wyjątkiem szkoły podstawowej w Strumieniu — nie podjęły. Rezultaty, które Emanuel Guziur przewidział, są niestety smutne. W rozśpiewnym niegdyś Cieszynie nie ma dziś ani jednego chóru w szkołach podstawowych, taka sama sytuacja jest w Bielsku i w innych miastach naszego województwa, a na organizowany corocznie Ogólnopolski Konkurs Chórów Szkolnych, do eliminacji wojewódzkich zgłaszają się u nas 4—5 chórów, a w wielu województwach jest jeszcze gorzej. Natomiast chór SP w Strumieniu jest nie tylko najlepszy w województwie, ale należy do ścisłej czołówki krajowej.

Nie będnie przesady w stwierdzeniu, że chyba najwięcej zawdzięcza E. Guziurowi społeczeństwo Zaolzia, chociaż w okresie powojennym władze czeskie ograniczyły możliwości jego działania na tym terenie. Przede wszystkim nie mógł, wracając w 1946 r. z Anglii, powrócić do swych rodzinnych stron i musiał zostać w Cieszynie i imać się różnych prac zastępczych. Był nawet taki okres, kiedy nie pozwalano mu na przekraczanie granicy, mimo posiadania ważnego dokumentu w tym celu. Szczycem zaś tych szykan był fakt, kiedy nie pozwolono mu przekroczyć granicy, kiedy chciał się udać na pogrzeb jednego z najbliższych członków rodziny. Przedtem jednak, w okresie międzywojennym, to właśnie tu na Zaolziu rozpoczęła się jego wybitna działalność artystyczna i organizatorska.

W 1920 r. rozpoczął naukę w cieszyńskim gimnazjum, gdzie zainteresował się nim prof. Wiktor Kisza, opiekun Towarzystwa Muzycznego „ARION”, grupującego uczniów polskiego gimnazjum w Cieszynie. W latach 1920—1925 jest uczniem Guziura członkiem „ARIONU” jako skrzypek, a następnie wiolonczelista.

Rok 1925 stał się rokiem przełomowym w jego karierze muzycznej. Zaszła konieczność obsadzenia w „ARIONIE” funkcji dyrygenta, którą to funkcję pełnili dotychczas zawsze uczniowie ostatnich klas gimnazjalnych. Guziur był wówczas uczniem V klasy, a jednak to właśnie jemu powierzono pałeczkę dyrygenta. Nie oddał jej aż do matury w 1929 r. W rok później, w 1926 r. powierzył mu prof. Kisza także dyrygowanie liczącym 350 uczniów chórem ogólnoklasowym. Jeszcze na dwa dni przed maturą prowadził Guziur ostatni koncert „ARIONU”.

Działalność w ramach „ARIONU” nie wypełniała jednak całkowicie działalności dyrygenckiej Emanuela Guziura. W 1925 r. zakłada i prowadzi do 1930 r. chór męski studentów średnich i wyższych szkół z terenu Górnej Suchej. Zespół ten pracował i występował głównie w czasie ferii. W 1926 r. zakłada także w Suchej Górnej chór

mieszany „SOKÓŁ”. W 1928 r. organizuje w Suchej orkiestrę. Ale tego mu jeszcze za mało, zakłada więc w 1929 r. i kieruje pracą męskiego oktetu wokalnego 8 klasy gimnazjalnej. Po zdaniu matury w 1929 r. obejmuje po Ernieście Bergerze dyrygenturę chóru męskiego Związku Akademików Polaków w Czechosłowacji „JEDNOŚĆ”.

W 1932 r. kończy wyższe studia muzyczne w katowickim konserwatorium, uzyskując tytuł magistra sztuki i rozpoczyna pracę jako nauczyciel Polskiego Gimnazjum Realnego w Orlowej. W 1927 r. powstaje na Zaolziu Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji, którego struktura organizacyjna przewidywała istnienie okręgów. Guziur zostaje dyrygentem okręgowym Okręgu Suskiego. Pracę tę musi przerwać w latach 1933—1934, by odbyć służbę wojskową, nie przerywa jednak działalności dyrygenckiej. Jako jedyny Polak organizuje i prowadzi chór w czeskiej Szkole Oficerów Rezerwy w Litomierzycach.

W lutym 1935 r. Walne Zebranie Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji powierza Emanuelowi Guziurowi obowiązki naczelnego dyrygenta Związku, a w rok

później także stanowisko kierownika organizacyjnego. Pozwala mu to na ujawnienie w pełni swoich nieprzeciętnych zdolności organizatorskich. Jako „spiritus movens” Związku prowadzi go, nie tylko do rozkwitu artystycznego, ale także do rozrostu organizacyjnego. Związek skupia chóry działające w ramach różnych polskich organizacji na Zaolziu, łącznie z kościelnymi. W 1937 r. obchodzono uroczyste jubileusz 10-lecia Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji, skupiającego wówczas 112 chórów, z liczbą około 5000 śpiewaków. Była to znakomicie zorganizowana grupa, stanowiąca nie tylko siłę z punktu widzenia artystycznego. Z okazji tego jubileuszu wydano obszerną Monografię Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji, zawierającą m.in. fotografię wraz z krótką notką biograficzną każdego zespołu.

Pamiętamy, że w październiku 1938 r.



Delegacja mieszkańców Zaolzia w dniu Święta Odrodzenia (11 listopada 1938 roku) na dziedzińcu Generalnego Inspektoratu Wojska Polskiego. Emanuel Guziur składa meldunek marszałkowi Polski Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. Fot. Archiwum

Polska odzyskuje Zaolzie, a na listopadowe święto odrodzenia — 11 listopada — wyjeżdża do Warszawy delegacja Zaolzia. Na dziedzińcu Generalnego Inspektoratu WP marszałek Edward Śmigły-Rydz przyjmuje meldunek Emanuela Guziura.

Zbliża się tragiczny rok 1939 — Emanuel Guziur zostaje komendantem cywilnej obrony Śląska.

Lata wojenne 1940—1946 to ochotnicza służba w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Z tego okresu pochodzi szereg jego opracowań dotyczących stosunków polsko-czeskich, sytuacji Polaków na Zaolziu, stosunków gospodarczych i innych, które ukazały się w wydawanych w Anglii specjalnych biuletynach.

Nie zerwał jednak całkowicie ze śpiewactwem. Śpiewał w chórze Wojska Polskiego w Anglii prowadzonym przez Jerzego Kołaczkowskiego. Z tego okresu pochodzi sławny „ALARM” z muzyką Jerzego Kołaczkowskiego, do słów Antoniego Słonimskiego.

Guziur przywiózł ten utwór ze sobą z Anglii i przez wiele lat stał on się czołową pozycją wielu polskich chórów męskich, zwłaszcza w interpretacji Emanuela Guziura.

Jak już powiedziano, po powrocie z Anglii w 1946 roku, nie mógł wrócić na Zaolzie, pozostał więc w Cieszynie. Krótco pracował jako kierownik świetlicy w Zakładach Dziewiarskich, a równocześnie podjął obowiązki dyrygenta Towarzystwa Śpiewaczego, późniejszej „HARMONII” w Cieszynie oraz dyrektora artystycznego Cieszyńskiego Okręgu Polskiego Związku Chórów i Orkiestr.

Podjmował też próby włączenia się ponownie do prac w śpiewactwie polskim na Zaolziu, jednak w 1951 roku musiał ostatecznie zrezygnować. Przez pewien czas pełnił obowiązki kierownika Oddziału Redakcji „Trybuny Robotniczej” w Cieszynie, był redaktorem „Słowa Powszechnego” w Katowicach. Być może jego doświadczenie zdobyte w tej pracy skoniło ówczesne władze miejskie i partyjne do powierzenia mu obowiązku zorganizowania redakcji i wydawnictwa „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”. Całkowicie z niczego i bez żadnych środków Guziur wykonał to zadanie i zapewnił regularność ukazywania się pisma, a wówczas te same władze posłały go — bez żadnego uzasadnienia — po prostu na bruk.

Pracował też w Państwowej Szkole Muzycznej w Cieszynie, jako nauczyciel wychowania muzycznego w LO im. M. Kopernika i prowadził tam chór szkolny, okresowo był też dyrygentem chóru im. Stanisława Moniuszki przy Kuźni Ustroń oraz był kierownikiem Poradni Kulturalno-Oświatowej w Cieszynie. Po uruchomieniu w dawnym Seminarium Nauczycielskim na Bobrku Studium Nauczycielskiego został tam w latach 1961—1971 wykładowcą na kierunku wychowania muzycznego. Wszystkie te zajęcia nie zapewniały jednak dostatecznych środków na utrzymanie rodziny. Ale takim był Emanuel Guziur. Nigdy nie walczył o swoje sprawy materialne, wręcz przeciwnie, często ze swych skromnych środków dofinansowywał potrzeby społeczne. Tak było np., kiedy po powstaniu nowego województwa bielskiego nowe władze nalegały na utworzenie samodzielnego Oddziału Wojewódzkiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Po jego utworzeniu E. Guziur został dyrektorem artystycznym. Jednak władze nie wywiązały się z obietnicy zapewnienia warunków do działania nowemu Oddziałowi, w tym także warunków materialnych. Niezbędne wydatki pokrywaliśmy z własnych środków. E. Guziur zwołał naradę nauczycieli wychowania muzycznego ze szkół całego województwa, by zapoznać ich z założeniami akcji „S” i sam pokrył ich koszty podróży, gdyż nie dały środków władze szkolne. Chyba dopiero po roku mogliśmy mu zrefundować te koszty.

Jego wspaiała Małżonka — Olga — nigdy jednak nie skarżyła się na tę szlachetną cechę charakteru swojego męża, jaką była jego bezinteresowność. Pod tym względem był Emanuel Guziur człowiekiem „nie dzisiejszym”, kiedy o wartości człowieka decyduje często jego status majątkowy.

Był człowiekiem niezwykle aktywnym, nie oszczędzał się nigdy, co nie pozostało bez wpływu na stan jego zdrowia. Pierwszy większy kryzys miał miejsce na przełomie lat

pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy to musiał się poddać kilku kolejnym operacjom w szpitalu Śląskim. Przeżywał trudny kryzys i właściwie zawdzięcza jego przezwyciężenie, z jednej strony swej silnej woli, z drugiej dr. Romanowi Korbutowi, który przeprowadził jeszcze jeden restrykcyjny zabieg, darując choremu kolejnych 30 lat życia.

Pod koniec lat siedemdziesiątych zaczął ponownie tracić zdrowie. Jak się później okazało — Parkinson coraz intensywniej atakował jego organizm. Nie poddał się od razu, włączył się jeszcze w organizację obchodów 90-lecia pierwszego polskiego gimnazjum w Cieszynie, by wśród nas w czasie pięknej uroczystości 80-lecia swoich urodzin w cieszyńskiej „Centralce”, gdzie — nie licząc uroczystości pogrzebowej w rok później — zgromadzili się po raz ostatni jego przyjaciele, ludzie którzy z nim współpracowali przy licznych przez niego inicjowanych imprezach i oczywiście członkowie licznej rodziny Guziurów.

W owych „złych myślach o sobie”, na które już się powoływałem napisał, że ... „doświadczenie w połączeniu z odwagą cywilną prowadzi mnie do pasji wtrącania się do wszystkiego”.

Nie zgadzam się z określeniem „wtrącania”, powiedziałbym raczej „włączania się do wszystkiego” i to byłoby bliższe prawdy.

Takim był Emanuel Guziur, takim go znaleźliśmy, nieraz podziwialiśmy, czasem też spiraliśmy się z nim i takim chcemy go zachować w naszej pamięci!

Z POWIĘDZEŃ LUDOWYCH

Nie przebiyrej panno, abyś nie przebrała, abyś za kanarka wróbla nie dostała.

★ ★ ★

Nie każdemu jednakowo słońeczko świeci.

★ ★ ★

Dórnego złodzieja żodyn nie ustrzeże.

★ ★ ★

Do roboty mo lewe ryncy, ale do zbytków, to je cały prawy.

★ ★ ★

Po wole sie nie spodziywej niczego wiyncy, jak owiyńzigo miynsa.

★ ★ ★

Po radzie bywajóm ludzie móndrzejsi, po nieszczyńściu móndrzy.

Chcę zostać misjonarką” — powiedziała kiedyś z przekonaniem pewna dziewczynka, zapytana przez rodziców o przyszłe życiowe plany. Potem ukończyła szkołę podstawową i średnią, następnie teologię i socjologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i rozpoczęła pracę katechetyczną. Właśnie wtedy, w 1979 r., otrzymała zaproszenie — do Brazylii. W ten sposób cieszymianka, Zofia Kusy, znalazła się w odległym, egzotycznym kraju.

— *Czy pamięta pani pierwsze chwile w swoje przyszłej „drugiej ojczyźnie”?*

— Kiedy podejmowałam decyzję o wyjeździe, wyobrażałam sobie, że trafię do jakiejś egzotycznej dżungli, tymczasem znalazłam się w zasobnym miasteczku o europejskim charakterze. Tam, na południu Brazylii, spędziłam dwa lata, poznając specyfikę kraju i język portugalski (lekcje te odbywały się po... angielsku). Później wyjechałam do San Salvador w stanie Bahia, gdzie mieszkam do dziś. Sądzę, że właśnie

MARZENIA CHRYSTUSOWI OFIAROWANE

tam, na północy Brazylii, można zobaczyć prawdziwe oblicze tego kraju kontrastów między bogactwem i nędzą, sukcesem i dramatem.

— *Przyjechała tam pani, aby pomóc w nauczaniu religii. Jednakże ta działalność stała się niewystarczająca.*

— Jak można mówić o miłości Boga dziecku konającemu z głodu? Statystyki mówią, iż co 5 minut śmiercią głodową ginie siedmioro brazylijskich dzieci, które nie ukończyły pierwszego roku życia. Los tych, które przeżyją — także bywa tragiczny. Jeśli osiągną wiek 4 lat, zmusza-



Zofia Kusy (pierwsza z prawej) podczas podziału darów

ne są przez rodziców do zebrania. Gdy nie zdobędą w ten sposób pieniędzy lub pożywienia, nie mają po co wracać do swojej, wielodzietnej zazwyczaj, rodziny. Zostają więc na ulicy. Nocą śpią na chodnikach albo w znalezionych przez siebie pudełkach z tektury. W dzień szukają resztek jedzenia na śmietnikach lub proszą o datki. Aby przeżyć — uczą się kraść, a z czasem nawet — zabijać. Zdarza się nieraz, że giną od kul bogatych sklepikarzy, tłumaczących, że „będzie o jedno mniej” (na północy Brazylii żyje 7 milionów bezdomnych dzieci).

— Właśnie z myślą o „tych najmniejszych” powstało w 1983 roku *Duszpasterstwo Dzieci*. Pani jest diecezjalną koordynatorką owego duszpasterstwa (warto wspomnieć, iż ta diecezja zajmuje obszar większy niż połowa Polski) o jakże różnorodnej działalności.

— Chrystus nigdy nie pytał niktogo jedynie o wiarę, interesował się zawsze życiem danego człowieka, jego troskami i cierpieniem. My staramy się więc postępować podobnie. Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby zmniejszyć śmiertelność dzieci. Na specjalnych kursach szkolimy animatorki, które potem co dzień wędrują do najuboższych dzielnic, aby tam uczyć kobiety świadomego macierzyństwa, postępowania w czasie ciąży oraz prawidłowej opieki nad dzieckiem. Obejmujemy opieką zdrowotną ciężarne matki oraz dzieci, szczególnie w wieku — do 6 lat. Ponieważ lekarstwa i odżywki są drogie, sięgamy do środków naturalnych. Dożywiamy dzieci bogatą w witaminy i mikroelementy mieszkanką, sporządzoną z utartych na proszek skorupki jaj, otrąb, suszonych liści manioku, nasion dyni, arbuza i melona. Oprócz środków niezbędnych do życia staramy się ofiarować najmłodszym choć odrobinę radości i serca, które-

go przecież tak bardzo potrzebują. Z tego, co mamy, robimy zabawki, uczymy dzieci czytania i pisania, śpiewamy wspólnie piosenki, razem przygotowujemy przedstawienia. Wreszcie — próbujemy ukazać tym dzieciom ich najlepszego Ojca mając nadzieję, że z czasem ich uśmiech stanie się modlitwą.

— *Dzięki pani uśmiech pojawił się już na tak wielu dziecięcych twarzach. Czy którąś z nich zapamiętała pani szczególnie?*

— Pewnego razu, tuż przed Bożym Narodzeniem, jedna matka przyniosła do mnie swojego synka. Dziecko miało 2 lata, a ważyło 3 kg 450 g (mniej więcej tyle, co silny, zdrowy noworodek). Zanimosiłam je do najlepszej kliniki w mieście, a potem przez 3 tygodnie mały Kosma mieszkał u mnie, a ja ratowałam go lekarstwami, mieszkanką i sojowym mlekiem. Chłopczyk leżał na moim łóżku wyczerpany, apatyczny i nic nie mówił. Po kilku dniach wyciągnął do mnie rączki, a na jego wychudzonej twarzyczce pojawił się uśmiech. To była najpiękniejsza chwila w moim życiu.

— *Jest pani misjonarką świecką. Do pozostania w Brazylii nie zobowiązuje pani żadna reguła ani śluby. A jednak w tym dalekim kraju spędziła pani już prawie 20 lat i, mimo tęsknoty, bynajmniej nie zamierza pani powrócić na stałe do stron rodzinnych. Dlaczego?*

— Jestem tam, dokąd zaprowadził mnie Bóg — stwierdza z prostotą Zofia Kusy.

I wraca do Brazylii realizować swe marzenia, które kiedyś ofiarowała Chrystusowi.

Rozmawiała:

BEATA SABATH-ROZMUS

SZUMI JAWOR, SZUMI

Wolno

muzyka i słowa: Adam Niedoba

Szu-mi ja - wór, szu-mi i szu-mi o - si - ka,
ni - gdy nie za - gi - nie gó - ra - lsko mu - zy - ka,
gó - ra - lsko mu - zy - ka i gó - ra - lski gra - ni,
ni - gdy nie za - gi - nie w Be-ski-dach śpiy-wa - ni.

1. Szumi jawor, szumi i szumi osika,
nigdy nie zaginie góralsko muzyka,
góralsko muzyka i góralski grani,
nigdy nie zaginie w Beskidach śpiywani.
2. Jak zaszumią smreki na wysoki skałę,
to zaraz tańczą beskidzcy górale,
jak zaszumią jędrze na wysoki hali,
to jakby śpiywani beskidzkich górali.
3. Mało nam, mało nam do szczęścia potrzeba,
była praca i kawałek chleba,
były nasze góry i nasze doliny,
pełne były śpiewu i szwarnej dziewczyny.

JANINA MARCINKOWA

MOI NAUCZYCIELE

W książce o tańcach Beskidu i Pogórza Cieszyńskiego napisałam: *Ogromną wdzięczność czuję w stosunku do ludzi, którzy stali się moimi serdecznymi przyjaciółmi — do informatorów, tancerzy i muzyków wiejskich przekazujących mi swoje umiejętności i wiadomości. Niektórzy z nich odeszli już na zawsze, pozostając ciągle w pamięci całego środowiska. Słucham ich pieśni na taśmach magnetofonowych, odczytuję na nowo notatki z ich uwagami, wyjaśnieniami, opowieściami o tańcach, o tradycji, której byli twórcami i nosicielami.*

Było ich wielu. Nie zdołam napisać o wszystkich w tym krótkim wspomnieniu, przypomnę chociaż kilku.

Niegdyś, w latach trzydziestych jeździłam do Istebnej, do Koniakowa tylko jako turystka lub, jak się wtedy mówiło, „na letnisko”. Zawsze lubiłam tańczyć, ale o badaniach, o dokumentowaniu tańców ludowych wówczas nie myślałam.

Początek lat pięćdziesiątych. Poznawałam wówczas tańce górali śląskich poprzez Zespół Regionalny „Istebna”. Była to autentyczna grupa pod rządami Jadzi Kawulok, Franciszka Juroszka — „Szuli”, Zuzanny Marekwiowej z Andziolówki. Wiele zawdzięczałam tej grupie; poznałam ich styl, charakterystyczne nawyki ruchowe. Przygrywał mi wówczas na skrzypcach kilkunastoletni Janko Sikora z Małej Łączki, dziś znakomity, niepowtarzalny wieloinstrumentalista ludowy.

W kilka lat później badania nad tańcami, ich dokumentacją prowadziłam już systematycznie, zgodnie z regułami i metodami badawczymi. Nie miałam wielkich trudności z dotarciem do informatorów. W powiecie cieszyńskim nie byłam kimś obcym. Chociaż niektórzy dość podejrzliwie patrzyli, kiedy coś zapisywałam lub nagrywałam.

Nie żyje już Barbara Kajzar z Jaworzynki-Trzycatka (ur. 1902). Cóż to była za tancerka! Poznałam ją przypadkiem. Wstąpiłam do małego sklepiku na Trzycatku, żeby zapytać, gdzie mieszka gawędziarz Paweł Rucki. Znałam go i spodziewałam się, że może mi wskazać jakichś dobrych tancerzy. Wdałam się w rozmowę ze szczupłą, bystrą góralką. Od słowa do słowa powiedziałam jej, co robię, kogo i czego szukam. A ona na to: „Dyć jo by wóm też mogła cosi powiedzieć i zatańcować”. Natrafiłam na skarb! Barka (tak ją nazywano) miała świetną pamięć; śpiewała, tańczyła, uczyła mnie. A robiła to z pasją, z radością. Kochała tańczyć! „Jak była jako muzyka, to mie gazdowie ni mógli utrzymać w chałupie. Roz mi schowali kypce, toch poleciała boso po śniegu”.



Barbara Kajzar „Barka” z Jaworzynki-Trzycatka. Fot. Janina Marcinkowa

Nie ma już Marii Matloch (ur. 1899) z Istebnej. Nie pamiętam, jak do niej trafiłam. Chyba podpowiedział mi Jan Kawulok, a może Franciszek Sikora, kierownik szkoły? Mówiła mi Maria, że wraz z mężem kilkadziesiąt razy starostowali na weselach. Tańczyła znakomicie! Tańce, które już znałam, nabierały w jej wykonaniu dodatkowych walorów wykonawczych. I, co również ważne, nie trzeba było jej namawiać, żeby zatańczyła.

Dużo inwencji, a przy tym dużo wyczucia stylu, charakteru tańców górali śląskich miał Jan Kukuczka z Koniakowa. Jeśli nawet tworzył tańce do znanych pieśni (do czego mi się przyznawał), to były tak charakterystyczne, że zostały zaraz przyjęte przez tamtejsze środowisko i weszły do tradycyjnego repertuaru tanecznego tego regionu (np. koza, powróśłok). Niektórych znakomitych tancerzy i tancerki — moich mistrzów spotykałam do dziś, chociaż coraz rzadziej wyjeżdżam w góry. Z radością spotykam zawsze Annę Urbaczka-Bury, Zuzannę Gembołyś, Cieszę się widząc Hanke Koleniakową lub Pawła Poloka z Jaworzynki. Moja wiedza byłaby niepełna, gdyby nie rozmowy o zwyczajach związanych z tańcami, z muzykami w karczmie, z weselami — prowadzonymi z Franciszkiem Sikorą, Michałem Juroszkim, z niepowtarzalnym Janem Kawulokiem i jego żoną Franciszką (ich córka Zuzanna była wtedy młodą dziewczyną i w obecności ojca niewiele się odzywała). Mam na taśmach pieśni Jana Kawuloka, a również muzykę nagrałą przez wspinały duet Michała Sikorę (gajdy) i Jana Matusznego (skrzypce).

W Wiśle miałam znakomitych poprzedników — Jerzego Drozda i Adama Niedobę, który przez 40 lat prowadził wiślański Zespół Regionalny. Jerzy Drozd nie tylko pięknie śpiewał (z czego był najbardziej znany), ale był również świetnym tancerzem. Już w latach trzydziestych utworzył w Wiśle zespół taneczny, sam w nim występował, odnosząc duże sukcesy na Święcie Gór w Zakopanem i w Wiśle. Chciałam jednak dotrzeć do wielkich tancerzy, zarejestrować ich sposoby wykonania. Kopalnią wiedzy o tradycji tanecznej okazała się Emilia Procterowa z Wisły Jawornika i jej mąż Adam. Spędziłam z nimi wiele godzin ucząc się, zapisując tańce. Mężczyźni na ogół mniej chętnie udzielali mi swej wiedzy. Z wyjątkiem goleszowian Jana Wałaskiego (ur. 1903) i Pawła Gibca (ur. 1911). Jan Wałaski znał bardzo dużo tańców i był ich świetnym wykonawcą. Helena Cieślar (ur. 1909) i Paweł Gibiec, stanowili niezapomnianą parę tancerzy, śpiewaków — artystów ludowych. Świetnymi wykonawcami byli również inni członkowie ówczesnego Zespołu Regionalnego.

W Brennej znakomitymi tancerkami w tamtych latach były (i na pewno są nadal) Maria Holeksa i Elżbieta Bauer — żabioka popisowo wykonywali Józef Heller i Józef Marek.

Anna Nowak (ur. 1906), Anna Jaworska (ur. 1898), Otylia Jaworska (ur. 1905) zamieszkałe w Górkach tak mi opowiadały: „W zopusty, paniczko, to trzeba było tańczyć »na kwaki« coby dobrze rosły. Grabowego tańczowało się »na opak«, tak od ściany do ściany, a zwracało się w lewo. Przygrywał nam na harmonii Jan Jaworski” (ur. 1890). Grywał za młodszych lat na weselach i „muzykach” (tak nazywano zabawy w gospodach. „Wtedy trzeba było umieć zagrać wszystko, co goście chcieli, bo inaczej wyrzucali muzykantów, bywało tak, że i przez okno” — opowiadał mi Jan Jaworski. Na szczęście, chałupy były niskie. O tradycji związanej z tańcami opowiadali mi w Górkach Ewa i Jan Brodowie. Pani Ewa bardzo ładnie śpiewała, znała dużo pieśni tanecznych.

W moich wędrowniach często towarzyszył mi mąż Kazimierz. Pomagał mi nosić ciężki sprzęt — wówczas nagrywało się na magnetofony szpulowe, „Grundigi” lub „Melodie”. Lubił też prowadzić rozmowy gospodarskie, co zawsze dobrze usposabiała rodziny moich tancerzy i muzyków. Czasami też zabierałam z sobą któreś z moich dzieci. Poznawały naszą ziemię cieszyńską i jej mieszkańców. Chociaż rozprysnęły się po świecie (mnie też zawsze ciągnęło „do świata”), wrócą tu na pewno.

Dzięki moim nauczycielom, o których pisałam, i tym, o których może jeszcze napiszę, mogłam się nauczyć, zapisać i opisać tradycyjne tańce ziemi cieszyńskiej, tak jak je zastałam jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku. Myślę, że utrwalałam je w formie możliwie najbardziej autentycznej.

Zmieniają się tańce, stroje, zwyczaje. Kiedyś Hanka Koleniakowa powiedziała: „Mówię do nich” (to jest do młodzieży w zespole — J.M.): „czymu tak skoczecie przy owięzioku” — „A bo tak się nóm dobrze i prędko uobracó” — odpowiedzieli. Młodzi dziś tańczą wiele innych modnych tańców. Mimo woli przyjmują inne nawyki ruchowe. Nie można się dziwić, że tradycyjne tańce w ich wykonaniu odbiegają nieraz od stylu wykonawczego ich przodków. Dobrze, że te wcześniejsze zostały zapisane przez etnografów, muzyków, podróżników w różnych okresach historycznych. Możemy poznawać tańce w ich tradycyjnej formie i odwoływać się do nich, a również obserwować ich przeobrażenia w ciągu dziesięcioleci.



Beskidzki pejzaż, rok 1996. Rys. tuszem Bogusława Heczki

Poniższa relacja pochodzi z wydanej w 1878 r. we Wiedniu książki Juliusa Bayera pt. „Denkwuerdigkeiten der Stadt Freistadt im Herzogthume Schlesen, in historischer und topographischer Beziehung, einschliesslich der mit ihr verbundenen Ortschaften und aller zu ihrem Bezirke gehoerigen Doerfer und Colonien” (Pamiętki i osobliwości miasta Frysztatu w Księstwie Śląskim, pod historycznym i topograficznym względem, łącznie z przyległymi miejscowościami i wszystkimi należącymi do jego okręgu wsiami i koloniami).

Dr Julius Bayer (1841—1886) był we Frysztacie aptekarzem i inspektorem szkolnym, a jednocześnie, z racji zawodu posiadając szerokie kontakty, zajmował się regionalną historią i topografią. W swej książce opisał miasto Frysztat (obecnie część Karwiny), będące siedzibą starostwa i należące doń następujące miejscowości: Albrechcice, Darków, Dąbrowę, Karwinę, Kaczyce, Kończyce Wielkie, Kończyce Małe, Łazy, Łąkę, Markłowice Dolne, Orlową, Piotrowice, Piersną, Porembę, Raj, Stare Miasto, Stonawę, Suchą, Zawadę i Zebrzydowice. W większości z tych miejscowości występuje etniczna grupa Łachów śląskich, którym J. Bayer poświęcił swój opis zilustrowany chemigrafią przedstawiającą wiejski ślub.

M.M.

DR JULIUS BAYER

O SIEDZIBACH, ZWYCZAJACH OBYCZAJACH I STROJACH WIEŚNIAKÓW

Chłopi okoliczni żyją głównie z uprawy roli i hodowli bydła. Poza tym w ogóle panuje wśród nich wielka bieda — nędzę i ubóstwo wieśniaków widać na pierwszy rzut oka po ich gospodrstwach, ogrodach, poznać ją po ubiorach, po chłopskich furmankach. Obejścia składają się częściowo z murowanych, częściowo z drewnianych chałup. Budynki mieszkalne, jeśli murowane, to budowane są zwykle z łupanego kamienia i cegiel jedno pod drugim — albo, jeśli drewniane, to są to chaty własnoręcznie przez chłopów wzniesiane z drzewa i gliny. Tu i ówdzie można jeszcze spotkać słomiane strzechy, jako że w ogóle dawniej nędza panowała tu większa niż współcześnie. Ubogie, niskie chatynki pozbawione są piętra, czasem mają tylko jedną — dwie izdebki na poddaszu, a składają się z niebrukowanej sieni i jednej izby poczemialej od dymu, do której często przylega nieogrzewana kumora. Pozostałą część domu zajmuje obora i stodoła. Zarówno mieszkania jak i stajnie nie odznaczają się przesadną czystością — co się tyczy owych chatynek, to cecha ta należy do rzadkości.

Wejścia do pomieszczeń nierzadko są tak niskie, że nawet mężczyzna średniego wzrostu nie zdoła wejść do środka bez schylania; okna też są odpowiednio małe i ledwie wystarczają, by wpuścić do izby światło dzienne.

Z nadejściem zimy ściany chałup są z zewnątrz obkładane suchymi liśćmi, słomą i mchem, a wszystko to przytrzymywane deskami, aby w miarę możliwości uchronić mieszkańców przed wdzierającym się do środka zimnem.

Wspólna izba jest jednocześnie kuchnią — wówczas powietrze w niej jest ciągle pełne pary — albo te posiłki gotuje się w sieni pod kominem. Wyposażenie izby stanowią najprostsze sprzęty niezbędne w gospodarstwie domowym, wiele izb jest jednak urządzonych nadzwyczaj biednie. Ściany zdobią większe i mniejsze święte obrazy oraz — wkładzie pokoju ponad nimi — rzeźbiony w drzewie Chrystus, otoczony poświęconymi gałązkami palmowymi; równie kolorowo malowanej skrzyni, mieszczącej zwykle najcenniejszą część ziemskiego dobytku mieszkańców, nie może zabraknąć w przyzwoitej w miarę izbie. Ubiedniejszych wieśniaków miejsce do spania składa się częściowo z legowiska wymoszczonego słomą, a częściowo z pierzyn, które osiągają niekiedy olbrzymią wagę i wielkość.

Jako siedzisko służy drewniana ława pod ścianą koło okna; przy niej stoi zwykle stół oraz druga ława pod piecem, z tyłu na ogół zaopatrzona w drewniane pręty i pomyślana jednocześnie jako kojec dla kur czy innego ptactwa. Ponieważ izba mieszkalna służy tu wszędzie jako pomieszczenie dla zwierząt domowych, szczególnie dla drobiu, więc w lecie za dnia jeśli nie stoją otworem drzwi, to otwarte jest okno, aby ptactwo mogło swobodnie wyfruwać na pole. Obok wymienionych już mebli należy tu jeszcze wspomnieć zegar szwarcwaldzki, często odziedziczony już przez czwarte i piąte pokolenie, co najlepiej można poznać po wyglądzie i ilości zawieszonych nań ciężarków, składających się z kamieni, podków i starych kluczy. Nawet jeśli się przy panującej ciemności od razu tego zegara nie zauważy, to przy wybijaniu godziny zwraca on natychmiast uwagę — początkowo przez trwający minutę odgłos jakby szelestu liści przed nadchodzącą burzą.

Podczas długich zimowych wieczorów, bądź to przy kądzieli, bądź to przy naprawianiu uszkodzonej odzieży przy słabym migoczącym świetle łuczywa rozbrzmiewa niejedno piękne, mądre podanie ludowe, które słuchacze śledzą z napięciem, wydając niekiedy okrzyki zdumienia. Jeśli bajkę opowiada ojciec rodziny, to trzyma on z reguły w ustach małą fajeczkę. Od czasu do czasu następuje pauza, opowiadający spokojnie wytrząsa popiół z fajki, aby ją znów nabić, i w tym czasie wyjaśnia miejsca, w których bajka jest niezrozumiała. Wreszcie ponownie zapada uroczysta cisza i następuje dalszy ciąg opowieści, na ogół niezmiernie ciekawej. Również przy wieczerzy — składającej się z misy parujących kartofli z masłem i mlekiem — podczas której rodzina siedzi wokół wspólnego stołu, toczy się rozmowa o wydarzeniach mijającego dnia, a ojciec — gązda albo matka — gądzino omawia, co trzeba zrobić nazajutrz. Jeśli chodzi o resztę pożywienia co biedniejszych chłopów, to składa się ono z czarnego chleba (do którego w dobrych czasach dodaje się mąkę z fasoli i grochu albo też utarte kartofle). Codzienną potrawą na śniadanie jest polewka chlebową, na obiad kluski (gałuszki) z czarnej mąki żytniej, kiszona kapusta, rzepa, warzywa strączkowe i kartofle. Dobrze musi się powodzić chłopu, jeśli może co dzień raczyć się wołowiną. Latem żywi się kwaśnym mlekiem z kartoflami albo twarogiem i chlebem. Mimo że — jak już wspomniano — wśród chłopów panuje ogólnie wielka bieda, to są przy tym wszystkim dobrzy ludzie, ulegli, posłuszni i wytrwali w pracy. Mówią oni polskim dialektem (tzw. *wasserpolakisch*). Chłop tutejszy jest poza tym gościnnie, wierny danemu słowu, mało wymagający, jako żołnierz wykazuje chwalebną odwagę, a w obrębie swej społeczności jest pilny, uczciwy i bogobojny. Naturalnie zdarzają się też chłopcy o cechach wręcz przeciwnych. Dowodem religijności wieśniaków jest ich gromadne uczęszczanie do kościoła, choćby tylko tego we Fryszacie w niedziele i święta — świątynia owa, choć duża i przestronna, nie jest w stanie pomieścić wszystkich wiernych, więc spora ich część musi się modlić na zewnątrz przed wejściem. W takie dni wieśniacy spędzają popołudnia na modłach z modlitewnika bądź też, na śpiewaniu nabożnych pieśni, albo zabawiają się grą w kręgle, przy czym wśród grających panuje ogólne przekonanie, że toczącą się już kulą można jeszcze kierować poprzez wszelkiego rodzaju pozy i przegięcia ciała. Kręglarze rzucają się więc na wszystkie strony w sposób wywołujący ogólną wesołość i śmiechy.

Przy wejściu do izby czy też przy spotkaniu w jakimkolwiek innym miejscu za pozdrowienie służy „pochwalen bądź Jesus Christus”, na co odpowiedź brzmi „na wieki amen”. W wielu sytuacjach chłopci bardzo ulegają zabobonom, szczególnie w odniesieniu do zjawisk przyrody, jak komety, zaćmienia słońca i księżyca, trzęsienie ziemi, które niechybnie zapowiadają rychły wybuch wojny albo pożogi czy też nieurodzaj ziemniaków, kapusty, zboża itd.

Fizjonomię chłopca cechuje naturalność, jednakże zgodnie ze zwyczajem nie nosi on brody, a włosy ma krótko przyszytych. Kręcone włosy spotyka się tu nader rzadko; tak jak proste są włosy wieśniaków, tak i prosty ich umysł. Po kres życia chłopci dochowują wierności dewizie: „simplex sigillum veri” (prostota pieczęcią prawdy).

Podczas gdy mieszczanie hołdują modzie, wieśniak ubiera się rok w rok według dawnych zwyczajów, jakby z takim obowiązkiem już przyszedł na świat. Co się tyczy ubioru i jego barw, to miejscowi chłopci nie lubią jaskrawych kolorów jak wieśniacy spod Cieszyna. Chłop z okolic Frysztatu nosi na głowie czarny filcowy kapelusz znacznej wysokości o odpowiednio szerokim rondzie. Resztę ubrania stanowi rodzaj szpencera z brązowego lub granatowego sukna oraz spodnie z tego samego materiału bądź też z lnu i bawełny. Krótki szpencerek ledwie sięgający bioder zapinany jest na małe mosiężne lub posrebrzane guziki. Po obu stronach ma duże kieszonki, zewnętrzne i wewnętrzne; jest też swego rodzaju normą, że z jednej z owych kieszonek wystaje woreczek na tabakę. Dla zadania szyku nawet w pełni lata przy choć trochę chłodniejszej pogodzie nie może zabraknąć szerokiej peleryny z długim kołnierzem, z tego samego materiału co surdut i spodnie.

Ubiór dziewcząt i kobiet jest równie prosty. Oblicze wieśniaczki, zazwyczaj nieco zasepione, lecz zdrowe i o naturalnym kolorzycie, otacza biała lub jasno farbowana chustka, ułożona w fałdy podobnie jak mniszki welon. Pod chustą znajduje się biały czepiec z naszytymi koronkami, którego rogi, nastroszone i ułożone niezwykle starannie, obramiają twarz. Surdut kobiecy jest uszyty również z granatowego materiału, bardzo krótki, lecz za to mocno fałdzysty. Rękawy na ramionach są bufiaste, na przedramieniu wąskie i ciasno przylegając do nadgarstka. Na nogach noszą wieśniaczki czarne buty i zwykle białe pończochy — nie czerwone jak w Cieszynie. W pasie kobiety obwiązują się fartuchem, farbowanym na niebiesko lub czerwono. Tylko w Wielkich Kończycach i Rudniku chłopci noszą strój cieszyński.

Dziewczęta wiejskie zasadniczo nie różnią się w ubiorze od dorosłych kobiet. Chodzą jedynie bez nakrycia głowy, a od święta przeplatają spadający na plecy warkocz kolorowymi wstążkami. Panują tu jeszcze niektóre stare obyczaje weselne. Pan młody, przystrojony barwnymi wstążkami i bukiecikami sztucznych kwiatów przypiętymi do kapelusza i na piersi, nosi z okazji wesela szeroki płaszcz z kołnierzem, dumnie spływający z ramion. Państwo młodzi niosą w rękach zielone bukiety z białymi lub zielonymi wstążkami, podczas gdy drużbowie i dziewczynki towarzyszące pannie młodej noszą na głowach czerwone bukieciki ze wstążkami tegoż koloru. Przy tej okazji pan młody ma przy sobie w słomianej plecionce butelkę likieru Rosoglio, która kusząco wygląda z kieszeni płaszcza i z której od czasu do czasu oferuje on swojej kompanii łyk orzeźwiającego napoju, czemu towarzyszy toast na zdrowie nowożeńców oraz przyszywająca uszy radosna wrzawa.

Uczta weselna z obowiązkowymi flakami obok pęczaku, kaszy manny lub ryżu, podczas której goście oddają się z zamiłowaniem tańcom, muzyce i nieskoordynowanym śpiewom, powtarza się na drugi, nieraz i na trzeci dzień, a czasem zabawa przeciąga się na cały tydzień. Opis wszystkich tych obyczajów zbyt byłby obszerny, dlatego na tym poprzestaniemy.

Tłumaczenie: Katarzyna Lukasówna

Dr S. SMOLEŃSKI

ZE SZŁĄSKA AUSTRIACKIEGO

Rozpoczynam piosenką, jedną z wielu, jakie lud szląski wyśpiewuje:

Śpiewaj ptaszku—słowijaszku,
Wysoko litasz (lataasz),
Zaśpiewaj mi nowineczkę,
Co tam ka słyhać.
Słyszalech (em) ta nowineczkę,
Ale niedobry:
Że tę twoją najmilejszą
Do ślubu wiodą.
Jednemu ją oddawają,
Drugiemu ji żal,
Trzeciemu się serce kraje,
Radby ją też miał.
Sztwarty chodzi po komórce,
Oczka wyciera,
A pyta się pani mamy,
Jeśli mu ją da.
— Nie dam ci ji, mój syneczku,
Bo jest uboga.
— Choć ona tam jest uboga,
Ale chędogo.
— Wezmem ja se cztery konie,
Pojadem za nią,
Będę ja się przydziwował
Tym młodym panom.
Ona klęczy przy ołtarzu
Między panami,
Jako miesiąc najśliczniejszy
Między gwiazdami. —

Jaki to język?

Jakkolwiek pytanie takie dla każdego z Czytelników może być arcydziwnym, wymaga przecież w stosunkach szląskich stanowczej odpowiedzi. Odpowiedź ta zapadła już na zeszłorocznej sesji Sejmu szląskiego w Opawie, podczas rozpraw nad potrzebą równouprawnienia języka polskiego na Szląsku austriackim, a brzmiała tak: *Mowa ludu szląskiego nie jest polską, lecz jakąś mową sui generis, dialektem złożonym trochę z polskiego, trochę z czeskiego i niemieckiego; co więcej udowodniono, że wieśniak szląski nie tylko że po polsku nie umie, ale nawet Polaka z Warszawy lub Krakowa nie rozumie...* Stworzono więc nowy jakiś język nieistniejący i niby dla zaprzeczenia polskiej jego przyrody nazwano go językiem szląskim. W logicznym następstwie tak uchzonego rozstrzygnięcia kwestii językowej na Szląsku postanowiono nic nie zmieniać w dotychczasowym stanie rzeczy, czyli jak dotąd tak i na przyszłość nie uwzględniać języka polskiego w szkołach i urzędach, bo języka tego nikt na Szląsku nie rozumie. Z tego by

wynikało, że piosnka na czele korespondencji przytoczona jest nie polską, lecz szląską. Powinno to niezmiernie ucieszyć każdego z Czytelników, gdy zrozumiałwszy co do joty każdy wyraz tej szląskiej śpiewki, dowie się o tym, że władza jednym językiem więcej, niż dotąd mniemał, tj. *językiem szląskim*. Ja sam, gdym przed kilku miesiącami zrobił to odkrycie, byłem dumny z lingwistycznych zdolności moich. Ku wielkiemu zdziwieniu i rozczarowaniu przekonałem się wszakże rychło, że w równej mierze każda baba szląska rozumie mnie najdokładniej, czy przemawiam do niej po warszawsku, czy po krakowsku, chociaż nigdy się *języków* tych nie uczyła. Natomiast mogę zapewnić, że znajomość języka niemieckiego, choć go tu uczą od wieków, redukuje się do nader szczupłych rozmiarów, często zaledwie do kilkunastu przekręconych do niepoznania wyrazów niemieckich.

Najwięcej stosunkowo naleciałości niemieckich spotkać można w mowie wieśniaków, pracujących przez wiele lat w rozlicznych fabrykach, w których mają sposobność obcowania z robotnikami i dozorcami niemieckiej narodowości; tam to mimo woli i wiedzy uczą się mniejszej lub większej liczby wyrazów nie polskich, których później i poza fabryką niekiedy używają. Kobiety natomiast, przebywające w domu i mniej z obcym żywiołem mające styczności, mniej też są przystępne wpływom języka niemieckiego. Wyjątek stanowią te, które wychodzą za mąż za Niemców, choć i w tym razie żona prawie nigdy nie nabywa biegłości w języku niemieckim; co najwyżej męża swego zrozumieć może. Jak gdzie indziej, tak i tu, wieśniak okazuje się najmniej przystępnym wpływom nieswojskim. Dziwne na mnie wrażenie zrobiła kobieta 80-letnia, całe prawie życie przebywająca wśród kolonii niemieckiej, a mimo to literalnie ani słowa nie rozumiejąca po niemiecku.

Przyjęte w mowie ludu wyrazy niemieckie, zanim się stały potocznymi, musiały brzmieniem swym nagiąć się bardzo do właściwości języka polskiego. Za przykład niech posłużą następujące wyrazy: *oregle* — kolczyki (*Ohringe*), *wachciarz* — stróż (*Waechter*), *żemla* — bulka (*Semmel*), *łagzof* — suchoty (*Lungensucht*), *potek* — ojciec chrzestny (*Pathe*), *cyszka* — poszewka (*Zeug*), *fusekle* — skarpetki (*Fusssocken*). Podobnie słyszałem w okolicy Dobrzynia nad Drwęcą w ustach naszego ludu wyrażenia: *fryszyk*, *maltych*, *curyk* i wiele innych. A przecież nikt dotąd, ile mi wiadomo, nie śmiał odmówić rozległym na pograniczu pruskim Mazurom narodowości polskiej, tak samo, jak trzeba by wielkiej śmiałości i bujnej fantazji, gdyby kto mowę południowych Tyrolczyków poczytał za nie niemiecką dlatego, że chustkę nazywają „*das Fazinetti*“ (fazoletto dinaso), nosze „*Ferkel*“ (*ferculum*), sieć „*Reiter*“ (*rete*) itp. Gdziekolwiek stykają się dwie narodowości bezpośrednio, mowy obydwóch muszą wpływać na siebie wzajemnie; że zwykle jedna mowa bierze górę nad drugą, że jednej wpływ jest wydatniejszy, niż drugiej, zależy to od sprzyjających jej więcej warunków, na których mowie niemieckiej na Szląsku od wieków nie zbywało i dziś jeszcze zaprawdę nie zbywa. Wpływ mimo to jest dotychczas nieznaczny. Mowa kryje się i przechowuje pod strzechą rodzinną, w kółku rodzinnym; tradycja i zwyczaje strzegą jej od zbytniego skażenia, a tym więcej od zupełnego zapomnienia.

Mowy książkowej Szlązacy nie używają, to prawda, tak samo jak jej nie używa szlachcic chodackowy na Mazurach lub wieśniak w Tarnowskim, — tak samo, jak mowa kolonisty niemieckiego różną jest od mowy Lessinga. W ojczyźnie Prysznica, u podnóża Graefenbergu śpiewa góral niemiecki:

*Eze kumt die Soppe
Aus dem grussa Toppe
Süs un sauer un ollerle gmocht
Rendflesch un Gewerze
Kernt ei oller Kerze
Un Marretich werd dazu gebrocht itd.*

Dla rodowitego Saksończyka „dialekt“ ten jest bez wątpienia mniej zrozumiałym, niż dla Warszawianina następująca piosnka szląska:

*Kiedych ja raz wolki pasła
Ciemna nocka, mnie tam zaszła
W olszynie, nadobny synku, w olszynie.
Wolki się mi potraciły
I ja sama pobiłdzila
W olszynie itd.
Kto by mi te wolki znalazł
Dalabych mu gęby zaroz
W olszynie itd.
Wyszedł synek z tej olszyny
Naloz wolki tej dziewczyny
W olszynie itd.
Takech lowił, ażech znalazł,
Teraz mi daj gęby zaroz
W olszynie itd.
Dalach panu za dukaty
Tobie nie dam ps.. ku....
W olszynie, nadobny synku, w olszynie.*

Umyślnie jako wzory mowy tutejszej, przytaczam ulubione ludu szląskiego piosenki, gdyż w nich najwierniej i najczyściej uwypatniają się właściwości gwary ludowej. Zarazem piosenki te niech posłużą za przykład jędrnej i prostej poezji ludowej, nie cierpiącej sztucznego manierowania, choć nieokrzesej, ale zdrowej, bo naturalnej. W tej chwili dolatują mnie następujące zwrotki z ust szląskiej dziewczyny:

*Na ślub jechała, bardzo płakała,
Sznurki zielone z głowy targala,
Ej sznurki, sznurki, coście są szumne
Ej, oczka, oczka, coście skalane
Ej sznurki, sznurki rozesuńcie się
Ej oczka, oczka rozweselcie się.*

A po chwili nuci rzewnie cywilizowana jej koleżanka z Krakowa, z wyraźnym przekonaniem o wyższości swojej Muzy kleparskiej:

*Miłość i arszenik to są dwie przykrości:
Miłość rani serce — arszenik wewnętrzności...*

Polotu, ognia, werwy nie znaleźć u Szlązaka. Jest on spokojny, potulny, powolny, nawet nieco ciężki. Nie „stawia“ on na loterię, jak reszta Polaków, a tym mniej „rzuca“, jak porywczy Francuz lecz „sadi do loterii“ tak samo, jak niemiecki jego sąsiad, który z flegmą i rozumą zwykł *setzen auf die Lotterie*. Przy tej powolności Szlązak nie jest leniwy; robotnik z niego wytrwały i rzetelny, gospodarz skrzętny i pracowity, ojciec rodziny przezorny i oszczędny. Ubiera się nieco kuso, ale porządnie i czysto. Dziewczęta niby nieśmiało i potulne — ale chętnie długo przebiegają w swoich Adonisach (których tu nazywają galanami) i bez wyrzutu sumienia zapominają łatwo o danym słowie. Gdy nareszcie „dziewucha“ znajdzie swego prawdziwego „galana“, któremu „przyja“ a fararz (proboszcz) połączy ich w stadło małżeńskie, daje to sposobność do ogólnego ożywienia i ruchu we wsi („w dziedzinie“). Wesele musi być sute i *wesołe* a trwać najmniej ze dwa dni, czasem i tydzień cały. Każdy chce tańcować z młoduchą (panną młodą); parobcy krzeszą z ogniem szotysza i wywijają różne dajcze.

Piosenki są na porządku dziennym. Dumna dziewczyna przebiera despotycznie między pretendencjami do tańca, śpiewając na nutę skoczno gozaka:

Kozoka bych tańcowała,
Kozoka mi grejcie —
Kierego (którego) ja będę chciała,
Tego wy mi dejcie.

Podali ji pirszego,
— A jo nie chcę takiego,
Bo ten pirszy bardzo pyszny,
A jo nie chcę takiego. —

Podali ji drugiego
A jo nie chcę takiego,
Bo ten drugi bardzo długi,
A jo nie chcę takiego.

Podali ji trzeciego —
A jo nie chcę takiego,
Bo ten trzeci bije dzieci,
A jo nie chcę takiego.

Podali ji sztwortego —
A jo nie chcę takiego,
Bo ten sztwarty pije kwarty,
A jo nie chcę takiego.

Podali ji piątego —
A jo nie chcę takiego,
Bo ten piąty smiata kąty,
A jo nie chcę takiego.

Podali ji szóstego,
A jo nie chcę takiego,
Bo ten szósty bardzo tłusty,
A jo nie chcę takiego.

Podali ji siódmego —
A jo nie chcę takiego,
Bo ten siódmy bardzo szkudny,
A jo nie chcę takiego.

Podali ji ósmego
A to jo chcę takiego,
Bo ósmy bardzo słuszny,
A to ja chcę takiego.

Niekiedy jeden z wdowców spoglądając z ukosa na niezbyt obstarężną wdówkę,
gardzącą jego afektami, zaśpiewa:

Ej lepszeż jest piwko niżli woda,
Ej lepszaż panienka niżli wdowa.
Panienka miluje, nic nie rzyka,
A wdowa lutuje (żałuje) nieboszczyka.

Na co bez namysłu odpowiada wdówka:

Ej lepsza pszeniczka niżli owies,
Ej lepszyż młodzieniec niżli wdowiec,
Młodzieniec miluje we dnie, w nocy,
A wdowiec lutuje swoich dzieci...

Rozochociwszy się, tańczyliby i całe „tydzie“ (tygodnie); niestety trzeba „niechać“
tańca i wrócić do codziennej roboty.

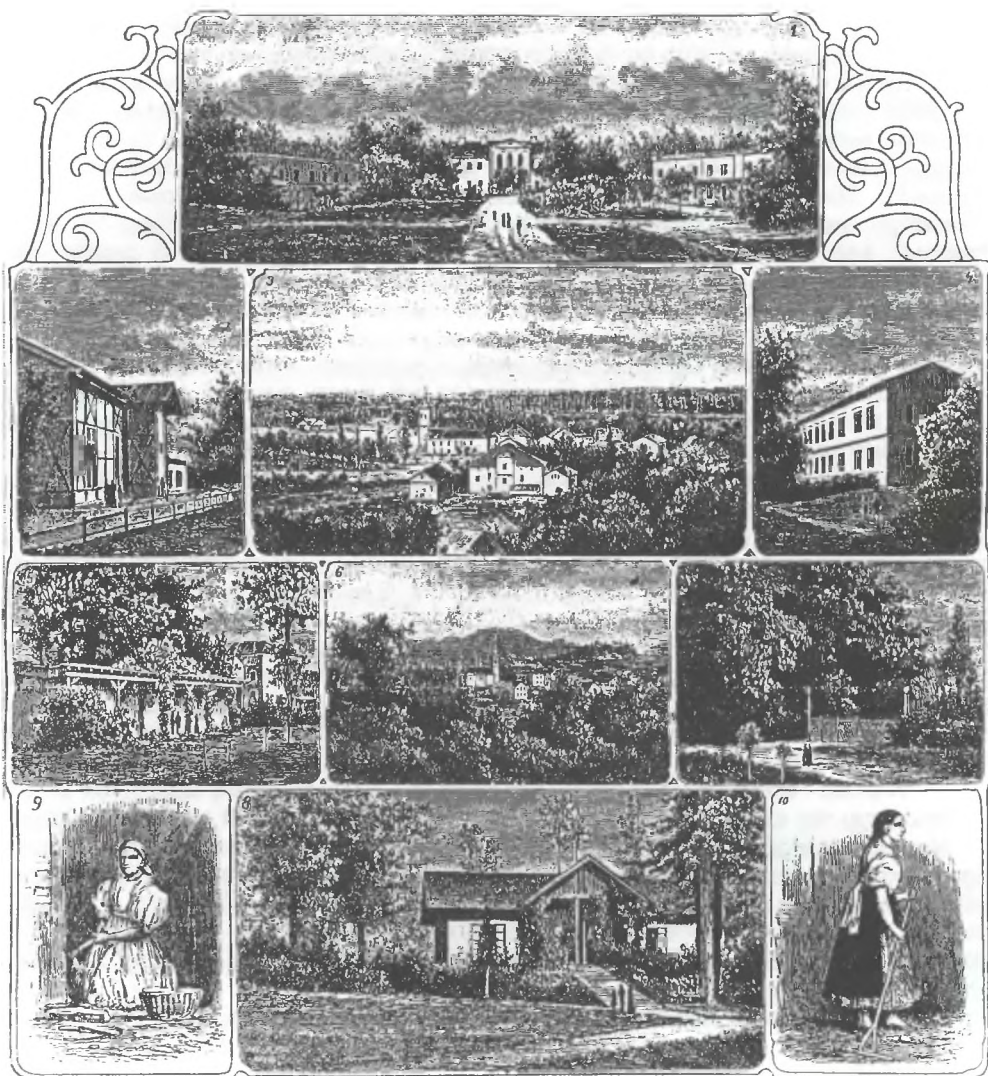
Ubiór kobiet dziwne po raz pierwszy robi wrażenie. Wystrojona odświętnie dziewczyna wygląda, jak kula na cieńkich nogach. Części składowe ubrania kobiecego mają odrębne miejscowe swe nazwy; dziewczęta chętnie pokrywają głowę lekką szatką (chustką), związaną pod brodą; włosy często przycinają lub splatają w jeden warkocz, zwieszony swobodnie na plecach, ozdobiony wstążeczkami i sznurkami kolorowymi. Wstążka czerwona we włosach u młoduchy (panny młodej) ma znaczenie dziewiczego wianuszka. Zawitka tj. dziewczka, której grzechy przeszłości nie dają prawa noszenia czerwonych wstążek we włosach, gdyby się ubrała w nie do kościoła, podlega doraźnej egzekucji; każdy ma prawo gwałtem pozbawić ją nie tylko uzurpowanej ozdoby, ale i samego warkocza. — Pierś pokrywa biały *kabotek* (kaftanik) z ciemnego płótna, fałdzysty, pod samą szyją zapięty, z krótkimi, do połowy ramion zaledwie sięgającymi a bardzo szerokimi bufiastymi rękawami; ręce aż powyżej łokcia są obnażone. Krótką, zaledwie poniżej kolana, *welnianka* lub *letnik*, bogato fałdowana, ozdobiona na dole kolorowym lampasem, przechodzi ku górze w tak zwany *żywotek* (stanik), zwykle jaskrawo, niekiedy nawet złotem w różne esyfloreasy haftowany, podtrzymywany dwoma ramiączkami (rodzaj szelek), przechodzącymi przez ramiona ku plecom. Szeroki *fortuch* czyli *zapaśnica*, długie, zazwyczaj ciemnoczerwone pończochy i *półbutki*, *szybylety* lub *strzewiki* dopełniają resztę. Mężatki i wdowy różnią się ubraniem głowy, składającym się z czepka, obszytego z przodu koronką zachodzącą gładko aż na czoło; na wierzch kładą szatkę. W porze zimowej pleć żeńska nosi *kocabajki* (zwane także z niemiecka *jaklami*) tj. kaftany welniane lub sukienne z długimi rękawami, a resztę nakrywa się ciepłą *hacką* (chustką), najczęściej zieloną.

Ubiór mężczyzn dość obcisły, porządný, kroju u wszystkich jednakiego, różni się tylko materiałem według zamożności. Zamożny *gazda* nie żałuje grosza na *kabot* z ciemnego sukna lub obszerny płaszcz z długą peleryną na zimę. Krótkie kożuszki baranie, niepokryte zwykle z wierzchu, są również, choć rzadziej, w użyciu. Na lato czarny niski kapelus z piłśniowy, na zimę czapki baranie służą do nakrycia głowy.

Wieśniak szląski wygląda trochę przygnębiony, a i do rozmowy niezbyt jest skory. W dobrej czy złej wierze głoszona nauka, że język Szlązaka nie jest językiem polskim, pobalamuciła niektórych na dobre. Niejeden wierzy mocno, że mówi po szląsku i dziwi się, że i po polsku rozumie. Gdym poważnemu *gaździe* z Jasienicy w sąsiedztwie Jaworza wspomniał, że ziele zwane przez niego *kosztyfałem* pewnie jest żywokostem, usprawiedliwił się z tego, że nie wiedział, iż *kosztyfał* zowie się po niemiecku żywokostem; a ten sam zapytany, czy mówi po niemiecku, odpowiedział: „Ale ka!” (ale gdzie tam!), to my się aż do Frydka głosimy Polakami.

Gazda ten dobrze określił granice polskiego Szląska austriackiego, bo w istocie od pogranicza galicyjskiego, gdzie leży jego wieś rodzinna, aż po Frydek na zachód, czyli w teraźniejszych powiatach bielskim, cieszyńskim i fryszackim, na całym obszarze przeważa żywioł polski. Ten obszar od dawna domaga się przyznania sobie słusznych praw narodowych, jak dotąd niestety na próżno. Słusznie powiada zasłużony Stalmach w Gwiazdce Cieszyńskiej: *Na Szląsku nie znać w niczym, że nie Auersperg-Lasser, lecz Taaffe—Dunajewski są ministrami, nie znać w niczym, że minęła już era wrogich nam centralistów, a nastał period przeważającego wpływu autonomistów; wszystko jest dziś tak, jak było za „dobrych” czasów panowania centralistycznych germanizatorów. Miejmy nadzieję, że wobec coraz bardziej budzącego się żywiołu polskiego na Szląsku, przy pomocy poselsstwa polskiego w Wiedniu, Szlązacy, tak serdecznie pracujący nad utrzymaniem narodowości polskiej, doczekają się nareszcie uwzględnienia przyrodzonych praw swoich.*

Szląsk — piękny to kraj, ciekawy pod wielu względami dla turysty i przyrodnika. Ozdobą i głównym powabem Szląska jest pasmo gór, Beskidem zwane szląskim, ciągnące się na granicy Galicji i Szląska od źródeł rzeki Białej aż po gron Pochodzitej. W pasmie tym góruje szczyt góry Skrzeczny nad wsią Lipową (3,951 stóp), inne, jak Klimczak, Magóra, Lipowa, Krzczina i Barania dochodzą do 3500 stóp nad poz. morza.



Widoki Jaworza na Śląsku Austriackim, opublikowane w numerze 46 (rok 1882) „Tygodnika Powszechnego”:
 1. Łazienki, zamek, willa Philipp. 2. Restauracja. 3. Widok ogólny Jaworza. 4. Dom kuracyjny. 5. Kryty chodnik.
 6. Widok z Młyńskiej Góry, 7. Park. 8. Willa Gabriella. 9 i 10. Typy wieśniaczek

Z licznych potoków płynących poprzecznymi dolinami biorą początek od strony Szląska przypyły Wisły, od strony Galicji przypyły Soły. Beskid szląski, którego podstawę geologiczną stanowi piaskowiec karpatowy, w całej swej długości pokryty jest lasami. U podnóża lasy te składają się z samych prawie świerków (zwanych tu smrekami), przetkanych gdzie niedzie jodłą, lub bukiem. Im wyżej postępujemy, tym więcej nikną świerki, a coraz obficiej występuje buczyna, w ogóle bardzo wysoka, rzadko znacznie gruba. Nareszcie na wysokości, przechodzącej 3000 stóp, niknie i buk, jego miejsce zajmuje znów czarny las świerkowy, pokrywający sam grzbiet Beskidu szląskiego. Gdzie niedzie rozpościerają się obszerne polany, po wycięciu drzewa w celu otrzymania paszy dla bydła i owiec. Całe pasmo górskie odznacza się wilgocią; warstwę piaskowca pokrywa prawie wszędzie ziemia urodzajna; nagie skały należą do rzadkości. Wsie górskie, rozciągające się po bokach Beskidu, otoczone są rolami uprawnymi: roślinność dzika kupi się przeważnie okoko potoków. Potoki te wyszedłszy z dolin górskich płyną wartkim pędem obszernymi parowami, podszytymi gąszczem krzewów i drzew liściastych. Około parowów tych szukając wody i cienia rozsiadły się liczne wioski, rzadko skupione i zaokrągloną stanowiące całość, zwykle rozrzucone wedle wymogów pagórkowatego terenu. Chaty wiejskie skromne, najczęściej drewniane; każda z nich chętnie otacza się owocowym sadem, a niekiedy gąszczem dzikich krzewów i drzew leśnych. Jodła (tu zwana jodką), świerk (smrek), sosna, brzoza, olszyna, topola: oto zwykle ozdoby wiejskie. W ten sposób powstały u podnóża gór uroczne, wesołe osady. Dalej na równinach koło miast nagromadziły się dość gęsto fabryki, piły i tartaki, to znów zajmujące się wyrobem sukna, między którymi okolica Bielska najwięcej jest głośną. Mnóstwo ludu biednego znalazło tu zatrudnienie i utrzymanie. Szlązak jest pojętny i roztropny, to też właściciele fabryk, którzy z początku sprowadzali chętnie robotnika z Czech i Morawy, dziś posługują się prawie wyłącznie miejscowym robotnikiem szląskim.

Wróćmy do dolin u podnóża Beskidu. Ciche, zasłonięte od wiatrów i spiekoty, pełne strumieni i parowów, lasów i ogrodów, najwięcej są one zaludnione. Niektóre z takich ukrytych w cieniu dolin zyskały sobie mniej więcej głośnie imię z czystego i zdrowego powietrza, dobrej wody i warunków sprzyjających owemu zacisznemu życiu, za którym mieszkańcy miast tak tęsknią, a których napróżno niekiedy w pobliżu szukają. Pobyt w schronisku takim jest częstokroć najgłówniejszym warunkiem do odzyskania zdrowia, powrotu do siły i pracy. Toteż wnet znalazło się wielu, którzy w siołach u podnóża Beskidu zaczęli szukać ratunku dla słabego zdrowia. W ten sposób powstało na polskim Szląsku kilka schronisk, czyli uzdrowisk klimatycznych, coraz liczniej zwiedzanych w porze wiosennej i letniej. Z postępem czasu musiały wzrastać i wymogi chorych. Pomyślne warunki miejscowego położenia, najlepszy klimat, najbujniejsza roślinność nie uczynią z żadnej miejscowości, same przez się, pożytecznego dla chorych uzdrowiska, jeśli ręka ludzka nie wycisnie na niej właściwego i jedynie celowi odpowiadającego piętna. Uzdrowisko w nowoczesnym znaczeniu musi zadość czynić wielu wymogom człowieka cywilizowanego, musi łączyć w sobie wiele warunków pomyślnych, jakich od samej przyrody wymagać nie możemy. Trzeba więc warunki przyrodzone nagiąć sztucznie i zastosować do wymogów człowieka, trzeba je częstokroć zmieniać, tu coś odjąć, ówdzie coś dodać, jeśli mają służyć na pożytek choremu. Chory skazany na samotny pobyt w najzdrowszej i najpiękniejszej od natury uposażonej miejscowości, oddany na pastwę własnej melancholii lub zgryźliwemu usposobieniu hypochondrycznemu, albo też pozostawiony nadal pod wpływem szkodliwych zdrowiu nawyków, nie odniesie pożytku z najkorzystniejszych pozornie warunków przyrodzonych, dopóki ich ręka ludzka nie nagne i nie wymodeluje do właściwego celu. Dla tego w pierwszym rzędzie trzeba okraszyć owe warunki naturalne odpowiednio do potrzeb człowieka cywilizowanego czynnikami wpływającymi zbawiennie na umysł ludzki, nie dopuszczającymi niekorzystnych zaburzeń, wywołujących pomyślny nastrój myśli a w ten sposób pośrednio wpływającymi korzystnie i na zбочzenia cielesne. Prawda, że nie znamy jeszcze dokładnie związku między życiem psychicznym i wrażeniami umysłowymi

z jednej, a dotykalnymi zmianami chorobowymi w ustroju z drugiej strony, nie mamy owej nici w rękę, która je łączy i wiąże między sobą; ale to pewne, że związek ten, że nić ta łącząca istnieje. Jeżeli gdzie, to w uzdrowisku względ na to jest niezbędnie potrzebny. Dalej uzdrowisko, aby odpowiedziało swemu zadaniu — a pamiętać trzeba, że ma ono być zakładem zdrowia, szpitalem w obszernym tego słowa znaczeniu — musi rozporządzać warunkami do leczenia, chorych potrzebny. A więc dostateczną ilością zdrowych mieszkań, dobrym pożywieniem, wyborną wodą do picia itd., — musi dostarczyć środków leczniczych w ściślejszym słowa tego znaczeniu. Wszystkim tym musi kierować ręka, doświadczonego i biegłego w swym zawodzie lekarza.

Stąd to pochodzi, że nie wszystkie miejscowości u podnóża Beskidu szląskiego w równym stopniu, jako uzdrowiska, mogły się rozwinąć, aczkolwiek pierwotnie równie pomyślnymi odznaczały się warunkami przyrodzonymi.

Znając uzdrowiska szląskie, mogę powiedzieć bez narażenia się na zarzut stronniczości, że najlepszymi i najkorzystniejszymi warunkami odznacza się między nimi *Jaworze koło Bielska*. Pozwolę sobie słów kilka powiedzieć o Jaworzu, jako uzdrowisku, które od dawna zasłużyło sobie na uznanie polskich lekarzy i polskiej publiczności, a powoduje się zarazem i tym doświadczeniem, że rozwój i powodzenie uzdrowiska wpływa w niejednym kierunku na lud okoliczny tak materialnie, jako i moralnie, przez bliższe zetknięcie się przybywających polskich gości z bratem Szlązakiem. Zarazem da nam to sposobność poznania Jaworza jako gminy, z czego będzie można powziąć wyobrażenie o niektórych stosunkach ludu szląskiego w ogóle.

Nazwa *Jaworza* dowodzi słowiańskiego początku osady. Z czasem powstała także nazwa niemiecka, będąca tłumaczeniem nazwy polskiej: Ahorns Dorf, Aehrens Dorf, dziś Ernsdorf. Podwójne nazwy posiada wielka część miejscowości szląskich, np. w okolicy samego Jaworza: Aleksandrów — Alexandersfeld, Wapienica — Lobnitz, Jasienica — Heinzendorf, Rudzica — Riegersdorf itp.

Jaworze, położone o milę od miasta powiatowego Bielska, przy szosie, łączącej to ostatnie miasto z Cieszynem, rozpościera się malowniczo u stóp Beskidu szląskiego (szczyty Równica i Skalka), przeszło 800 stóp nad poz. morza. Należało ono aż po koniec zeszłego wieku do dóbr kameralnych, następnie było własnością miasta Bielska, a w roku 1793 przeszło w posiadanie dotychczasowych jego właścicieli, rodziny hrabiów Saint-Genois d'Aneaucourt. Pierwszy z tej rodziny właściciel Jaworza przywiązał się serdecznie do uroczego tego miejsca, fundował tu kościół katolicki, szkoły itd. Wiejscy mieszkańcy Jaworza, rozsiedli w około 180 domach, rozrzuconych częścią na równinie, częścią kryjących się w dolinach podgórskich, są wyłącznie narodowości polskiej, w liczbie około 2,000, pomiędzy którymi połowa należy do wyznania ewangelickiego, reszta zaś do katolickiego. Prócz wyznania niczym zresztą dwie te partie się nie różnią, ani językiem, ani zwyczajami, ubiorem lub tp. Chyba by tu przytoczyć można, że ewangelicy są zamożniejsi. Harmonia i zgoda panuje między różnowiercami najzupełniejsza; dowodem tego, że jeszcze przed rokiem wyznawcy obydwóch religii mieli jeden wspólny cmentarz koło kościoła katolickiego. Jaworzanie oddają się przeważnie gospodarstwu rolnemu, robotom leśnym; w ostatnim czasie pracują także w sąsiednich fabrykach sukna i mebli.

Jako publiczny, należycie zorganizowany zakład leczniczy istnieje Jaworze od roku 1863. Owczesny właściciel, hr. Maurycy St. Genois, oceniwszy nader pomyślnie warunki klimatyczne Jaworza, dla których od dawien dawna zjeżdżali dotąd chorzy dla pobytu w czystym zdrowym powietrzu i picia żętycy z pobliskich polan górskich, wybudował w roku 1862 publiczną restaurację i założył pierwszą regularnie funkcjonującą żętyczarnię oraz ustanowił pierwszego lekarza kąpielowego. Wobec zwiększającej się liczby chorych wkrótce powstały nowe domy dla pomieszczenia przybywających, urządzono aptekę, zaprowadzono stację pocztową i telegraficzną i wybudowano zakład wodoleczniczy. Z przyszłym rokiem Jaworze będzie także miało stację kolei żelaznej, przez co komunikacja jeszcze więcej się ułatwi.

Obecnie przebywa Jaworze okres kardynalnych zmian, mających uczynić zeń punkt zborny doborowej publiczności. Przy tym powiedzieć mogę z zadowoleniem, że Zakład w Jaworzu pierwszy uznał potrzebę zaprowadzenia zupełnego równouprawnienia języka polskiego w zarządzie i administracji, która jest wyłącznie polską. Jest to pierwszy krok dobrowolny ku lepszej przyszłości żywiołu polskiego na Szląsku. Odtąd Polacy przybywający do Jaworza nie będą się czuć na obczyźnie, lecz wśród otoczenia i stosunków swojskich.

Leczenie wodą zimną, kuracja mleczna i żętyczna, kąpiele mineralne, leczenie chorób piersiowych za pomocą wzięwań i inhalacji, pobyt w zdrowym podgórskim powietrzu balsamicznym, sposobność zapoznania się bliżej z poczciwym i dzielnym ludem naszym szląskim, zwiedzenia wspaniałego Beskidu szląskiego, tanie, spokojne, sielskie życie na wsi: oto względy, które pozwalają się spodziewać, że publiczność nasza chętnie i nie bez pożytku zaglądać będzie do Jaworza. Ś.p. Wincenty Pol ocenił przed laty przyrodzone powaby Jaworza, ś.p. zaś prof. Skobel przyznał w osobnej rozprawie Jaworzu ze stanowiska przyrodnika-lekarza warunki do światowego w przyszłości rozwoju. Oby się przepowiednie te i życzenia ziściły!

Czytelnicy wybaczą mi tę dygresję o Jaworzu; bo gdzie się działa i pracuje, z czym się losy swoje wiąże, temu się dobrze życzy, to się polubić i pokochać musi.

(Tekst zaczerpnięty z „Tygodnika Powszechnego”, rok 1882)

Z POWIEDZEŃ LUDOWYCH

Prowda dycki ma za mało miejsca.

★ ★ ★

Pryndzjy uwachuje kope błech, niż młódóm dziółche.

★ ★ ★

Chwała jedzie, a kolca stojóm.

★ ★ ★

Chodzi od niczego ku niczymu, a dowo pozór na nic.

★ ★ ★

Bodejbyś był żyrafóm, a w karku cie bolało.

★ ★ ★

Brzitwy, baby, zygarka i koła sie nie pojczuje.

★ ★ ★

Od ucha do ucha tyn pysek otwiyro, że mu aż kansi widać.

★ ★ ★

O jednego wojoka wojna bydzie.

MARIAN DEMBINIOK

O STROJU GÓRALI ŚLĄSKICH

Wśród kilku grup kostiumowych występujących na Śląsku Cieszyńskim, strój górali śląskich zajmuje pozycję wyjątkową. Jego archaiczna forma i swoista prostota odwołuje nas do XVI wieku, kiedy to grzbietami Karpat przywędrowali wołoscy pasterze i łącząc się z miejscowymi osadnikami dali początek gospodarce pastersko-rolniczej. Właściciele gór, którymi byli książęta piastowscy, a od 1654 roku Habsburgowie, chętnie pozwalali na osiedlanie się, widząc w tym moż-



Powyżej: góralka w tradycyjnym stroju, Istebna 1956 rok. Poniżej grupa górali z Istebnej, 1940 rok. Ze zbiorów Muzeum w Cieszynie





Górale z Istebnej i Jaworzynki, 1940 rok. Ze zbiorów Muzeum w Cieszyne

liwość zwiększenia swoich dochodów oraz okazję do wykorzystania osadników do obrony południowo-zachodnich granic.

Na przestrzeni kilkuset lat ze zmieniającym się szczęściem rozwijali górale gospodarkę pastersko-rolniczą. Uwłaszczenie chłopów w połowie XIX wieku paradoksalnie stało się początkiem schyłku pasterstwa. Dała znać o sobie różnica interesów, pozbawiając górali możliwości korzystania z pastwisk, drewna i produktów leśnych w dobrach książęcych. W tej sytuacji, przy znacznym braku ziemi, dochodzi do masowych emigracji zarobkowych do przemysłowego Śląska, Saksonii, Niemiec, a nawet Ameryki.

Ci, którzy nie wyjechali, kontynuowali tradycyjne zajęcia łącząc je często z pracą w pobliskich ośrodkach przemysłowo-handlowych. Zamknięta i samowystarczalna społeczność górali śląskich otwarta została nagle na świat pary, prądu i maszyn. Życie uległo nagłym zmianom, a tradycyjny ubiór stał się strojem odświętnym.

Przyjmuje się, że jeszcze w połowie XIX wieku omawiany strój obejmował

w przybliżeniu prawie całe górzyste i zalesione dorzecze górnej Wisły i Olzy. Sto lat później obszar zasięgu ograniczał się już w zasadzie do trójwsi Istebna–Jaworzynka–Koniaków oraz Wisły, Brennej i Herczawy.

Męski odświętny strój składa się z płóciennej koszuli zdobionej przy rozcięciu na piersiach haftem krzyżkowym czyli *znaczkim*. Podobny haft może pojawiać się na mankietach rękawów. Spodnie, zależnie od pory roku, bywają płócienne, drelichowe lub wełniane w kolorze naturalnym. Na koszulę nakłada się rodzaj kamizelki czyli *bruclik* z sukna fabrycznego w kolorze czarnym lub czerwonym. Szczególną ozdobą bruclika, oprócz zdobin wykonanych kolorową nicią, jest rząd metalowych guzików zwanych *kneflami*. Spodnie przytrzymuje długi skórzany pas, którego koniec zwisa półkolem nisko na pośladkach.

W chłodniejsze dni góral narzuca na plecy wełnianą brunatną *gunię*. Wykonana z grubego, spiłsnionego sukna samodzielnego posiada biegnące wzdłuż brze-



Drużbowie weselni, Istebna 1935 rok. Ze zbiorów Muzeum w Cieszyńcu

gów obszytki z welnianych kolorowych włóczek. W mroźne zimy konieczne staje się nakładanie krótkiego kożuszka wykonanego z owczej lub jagnięcej skóry, wyprawionej na kolor żółty lub brązowy. Największą ozdobę kożucha stanowią szerokie na kilka centymetrów i naszyte wzdłuż brzegów przodu kożucha tzw. *wyłużki*. Wykonane z safianowych pasków i kolorowej włóczki, tworzą przeplatankę, która żywymi barwami kontrastuje z jednolitym tłem kożuszka. Uzupełnieniem zimowego stroju jest czapka *baranica*, którą w cieplejszych porach roku zastępuje pilśniowy kapelusz. Tradycyjnym obuwiem górali są sporządzane ze świńskiej lub wołowej skóry *kypce*, nakładane na welniane skarpety, tzw. *kopyca*. Obraz górala byłby niepełny, gdyby zapomnieć o fajce, zapewniającej mu powagę i szacunek.

Ubiór kobiety, podobnie jak męski, jest oparty na surowcach pochodzących z samowystarczającej góralskiej gospodarki.

Bezpośrednio na ciało wdziewają góralki koszulę o archaicznym kroju zwaną *ciasnochą*. Ta pełniąca rolę dzisiejszej halki koszula przylega do ciała i przytrzymywana jest przez jedno płócienne ramiączko. Na ciasnochę nakłada się uszytą z cienkiego płótna samodziałowego bluzkę z krótkimi rękawkami zwaną *kabotkiem*. Kołnierzyk jak również mankieciki rękawów kabotka zdobione są haftem krzyżykowym wykonanym czarną lub czerwoną jedwabną nicią.

Dolną część ubioru stanowią dwie zapaski. Tylna, zwana *fartuchem*, uszyta z samodziałowego farbowanego na czarno płótna, jest mocno sfaldowana. Przednia, nazywana *fartuszkim*, szyta jest z samodziałowego białego płótna barwionego i drukowanego dwustronnie. Granatowe czyli *modre tło* fartuszków sprawiło, że nazywane są również *modrzeńcami*. Uzupełnieniem stroju są długie, czerwone, welniane pończochy czyli *nogawiczki*. Na nogawiczki można jeszcze nałożyć podobne do męskich welniane skarpety zwane *kopytkami* i wreszcie skórzane *kypce*.

Panny chodzą z odkrytą głową. Mężatki od chwili oczepin okrywają włosy obcisłym czepcem siatkowym, którego bogata szydelkowa część zdobi czoło. Na czepce zakładane są białe chustki z delikatnego płótna samodziałowego, tzw. *szatki rożkowe* lub trochę większe *szatki na spuszcza*.

Wierzchnim okryciem jest narzucona na ramiona i związana na piersiach podwójnym węzłem duża płachta płótna zwana *łoktuszą* lub *obrusem*. Przed mrozem chronią podobne do męskich kożuszki wykonane z owczej lub koziej skóry. Jedyną ozdobą metalową góralki jest odlewana lub filigranowa srebrna spinka, okrągła lub w kształcie serca, stanowiąca zapięcie kołnierzyka kabotka.

Opisany strój górali śląskich odnosi się do rzeczywistości sprzed kilkudziesięciu lat. Dotyczy to przede wszystkim materiałów samodziałowych, zastąpionych następnie przez fabryczne. Pojawiły się też nowe elementy ubioru, a w wielu przypadkach tradycyjny strój góralek został wyparty przez bogatszy strój cieszyński, co jest już jednak tematem do innych szerszych rozważań.

MAŁGORZATA KIEREŚ

LIPOWA ZADUMA

Lipa, drzewo domowego szczęścia, umiłowana przez Jana z Czarnolasu, pachnie miodem. Wierzą, że odpędza burze, chroni domostwa i zagrody. Sadzono ją parami przy krzyżach i kapliczkach, rosła na miedzach, placach, cmentarzach i rozstajanych drogach. Pozostawiła ślad w nazwiskach i w nazwach miejscowych. Pokochali jej piękno rzeźbiarze Beskidu Śląskiego, którzy uważają, że nadaje się tylko na rzeźbę. „Nie godzi się na podpalkym pod blachym — mówią — bo mo dużo wody, nie ma słoji, jest źle związane, źle się rąbie”.

Na końcowy efekt czeka się długo. Najpierw jest pomysł, potem rysowane są stopniowo ołówkiem kontury postaci, w końcu powstaje sama rzeźba. Najlepsza wtedy, „dy sie człowiek zamyśli, dy mu je wsziecko jedno, co sie kany stało. W Afryce czy na lstebnym...”. Ale zdarza się, że „baba zacznie wrzeszczeć, że sziano trza zwożać, a tu człowiek mo natchniyni”. „Ale jo robim — dodaje artysta — jakobych nie czuł, że woło. Niech se tam mamrze, co chce”.

Od 1980 roku wiele razy odwiedzałam warsztaty beskidzkich rzeźbiarzy, obserwowałam notowałam spostrzeżenia.

W tradycyjnej rzeźbie ludowej fascynują nas jej „inność”, specyficzny dobór tematu oraz prymitywna jego interpretacja. Rzeźba ta pełniła, oprócz funkcji estetycznych, ważne funkcje pragmatyczne. Była pośrednikiem w licznej plejadzie świętych, patronów, gdyż wiodącym tematem były tematy religijne. Zainteresowanie tematyką świecką było znikome. O wartości rzeźby ludowej decydują bryła, ornament, ekspresja, którą rzeźbiarz ilustruje poprzez podejmowanie tematu bólu, cierpienia. Wszystko tu jest wyraźne, zdecydowane. Postacie posiadają duże głowy, wyraziste oczy, zdeformowane nogi, ręce i właśnie tymi niedoskonałościami rzeźba fascynuje. Taka rzeźba wyrastała z autentyzmu procesu jej tworzenia. Miała swoje wiodące i ulubione tematy związane z Chrystusem Frasobliwym, Ukrzyżowanym, jego upadkiem pod krzyżem, Matką Boską, Piętą. Były to tematy ekspresyjne, różne od dzisiejszych scenek na salaszu, w karczmie itp.

Czy spotykamy taką rzeźbę w Beskidzie Śląskim? Spotykamy, ale świątkarzy dawnego typu było niewielu. Możemy do nich zaliczyć Józefa Motykę z Jaworzynki — Zapasiek, Ludwika Kubaszczyka z Koniakowa oraz Annę Szczotkę pochodzącą z Kamesznicy ale zamieszkałą w Kiczycach koło Skoczowa. Wszyscy troje żyli w materialnym ubóstwie, tworząc z potrzeby serca, nie z pobudek materialnych. Pozostali zawsze sobą, byli niezależni od mody, Cepelii, konkursów, jurorów.

Kim byli?

Ludwik Kubaszczyk. Drobnej budowy, szczupły, w ustach zawsze sport, w czapeczce na głowie. W rękę mały ołówek, przygryziony, ale dobrze zatemperowany. Pogodnego usposobienia. Urodzony w góralskiej Kamesznicy w 1905 roku, w Koniakowie osiadł na stałe w 1930. Życie go nie pieściło, był nawet więźniem Oświęcimia. Po powrocie gospodarzył, strugał ptaszki, domki, ale znanymi stał się dzięki prof. Barbarze Bazielihowej, która przyjechała z Bytomia z fotografem Deptuszkowskim, chciała sfotografować maski dziadów, ale masek nie było, bo dziady chodzą po Żywiecczyźnie, a nie po Beskidzie Śląskim. „Chciała, abym zrobił. Napisałem do Bytomia, że bedym próbował i tak sie zaczęło” — zwierza się. Jako człowiek religijny wiele prac rozdawał, a za sprzedane nigdy nie brał za dużo. Około 150 trafiło do różnych muzeów.

Posługiwał się tylko małym kozikiem. Operował nim zgrabnie, wszystkie prace polichromował. Kolory stonowane, pieczołowicie dobrane, uwypuklały postacie, przestrzeń, tworzyły ogólną harmonię, spokój, pozwalały na odczytanie treści. W tryby kultury masowej wpadł pod sam koniec życia; wówczas spełniał zachciankę panoczka z miasta, rzeźbiąc kolejno tę samą płaskorzeźbę, ale w jej kompozycji pozostał sobą. Zmarł w 1984 roku. Położył się wieczorem, by już nigdy nie wstać...

Drugi samorodny talent, świątkarz dawnego typu to Józef Motyka z Jaworzynki — Zapasiek, od Wochterka. Całe jego życie, dom, przestrzeń go otaczająca, praca przesiąknięte były gorliwą wiarą w Boga i Matkę Bożą. Urodził się w 1912 roku w Jaworzynce, w rodzinie bogatszego chłopca. Z bliskich miał tylko siostrę Jadwigę. Po śmierci rodziców prowadził z nią samotnie gospodarstwo rolne. Nigdy nigdzie się nie śpieszył. Jego warsztat oparty był o własne rysunki, przemyślenia przywiezione z pielgrzymek, kościołów, z różnych wycieczek. Rzeźby jego były polichromowane, pełne dostojności, o własnej kompozycji, rozwiązaniu bryły, Nigdy nikogo nie naśladował. Nikomu nie ufał, na nikim się nie wzorował, był sobą. Rzeźby układał w domowym ołtarzyku, w świętym kącie. Tam było ich właściwe miejsce, były podziwiane przez przejezdnych, znajomych. Nigdy rzeźb nie sprzedawał. Wszystkie były dla niego doskonałe, święte, niepowtarzalne. Znał swoją wartość. Lubił je ofiarowywać tym „kierzy tymu rozumióm”. Stąd jego przyjaźń z dr Barbarą Poloczkową, prof. Andrzejem Waligórskim, kierownikiem Katedry Etnografii Słowian w Krakowie, biskupami, zasłużonymi księżmi. Sam posiadał wspaniałą bibliotekę, pisał kroniki rodzinnej wsi.

Niepowtarzalną indywidualnością jest Anna Szczotka. Jej prace są oryginalne tematycznie i kompozycyjnie. Jest świetna w podejmowaniu tematów prostych, z życia wziętych, patronów. Pokazuje piekło, czyściec. Płaskorzeźby uzupełnia dodatkowo innym materiałem: są to liście ziół, zboże, kłosy, ciernie, korony, wszystko realistyczne. Każdą pracę zaopatruje w podpis, który przykleja własnoręcznie wykonanym klejem z maki. Jeden z napisów, na odwrocie płaskorzeźby „Czyściec”, mówi: Aniołowie wyciągają dusze z czyściwego ognia, a Anioł sze o nio targuje z Djabłem o te dusze, szklónke wody doł na woge Anioł, przewżyło dobro, Anioł dusze zebrol.

Spośród wymienionych świątkarzy żyje jeszcze w Kiczycach Anna Szczotka, ale już mniej tworzy, jest na emeryturze.

Od 1980 roku spotykałam w Beskidzie Śląskim warsztaty innych rzeźbiarzy. Część z nich to rzeźbiarze, którzy pierwsze swoje zainteresowanie rzeźbą rozwijali pod okiem Ludwika Konarzewskiego seniora. Pierwsze kursy rzeźbiarsko-artystyczne prowadził on w Ustroniu. Rozpoczęły się 20 października 1920 roku. Nauka na tym kursie trwała dwa lata. Uczono rysunku, rzeźby artystycznej i stosowanej, pejzażu i kolorystyki witrażowej. Zajęcia prowadzili Ludwik Konarzewski a częściowo także Jan Wałach. Uczęszczało na nie około 10 osób, wśród nich Jan Misiorz, bracia Demlowie, Artur Goryczka.

Mistrz Ludwik był wspaniałym człowiekiem i urodzonym pedagogiem. Na kursach uczniowie wykonywali rzeźby do ołtarzy różnych kościołów, Jan Misiorz na przykład rzeźbił ołtarz dla kościoła w Cięcinie. Konarzewski pozwalał uczniom rzeźbić laski turystyczne, które w niedzielę sprzedawali przy schronisku na Czantorii.

Konarzewski, nie mając pieniędzy na kontynuowanie kursów, przeniósł się do Istebnej. Tam, na Buczniku wybudował sobie dom i rozpoczął nowe kursy dla uzdolnionej góralskiej młodzieży z Istebnej, Jaworzynki, Koniakowa. Zajęcia odbywały się trzy razy w tygodniu. Jak opowiada Jakub Gazurek, jeden z uczestników, przynosiło się ze „sebóm swaczym”, czyli jedzenie. W okresie międzywojennym w zajęciach uczestniczyli rzeźbiarze: Michał Kobielski z Istebnej Mikszówki, Józef Michałek z Jaworzynki, Edward Podzorski z Istebnej Olecek, Józef Boczek z Istebnej Młaskawki, zaś po drugiej wojnie światowej — przyszlisi rzeźbiarze Jan Krężelok „Poleśny” z Koniakowa, Jakub Gazurek z Istebnej, Jan Bojko z Jaworzynki, Franciszek Wojarski z Koniakowa, Franciszek Kohut z Istebnej oraz Paweł Chudziak i Jan Słeziak z Koniakowa.

Rzeźbiarze poznawali proporcje, nauczyli się techniki operowania dłutem, pokrywania rzeźby kolorem. Największą wartością było poznanie przez nich innego anizeli w góralskim domu sposobu przeżywania czasu, twierdzą zgodnie rozmówcy.

Dzisiaj tworzy ich nadal wielu. Na pierwszej wystawie rzeźby ludowej Beskidu Śląskiego, zestawionej z rzeźbą ludową Beskidu Żywieckiego, zorganizowaną przez autorkę w 1996 roku w Muzeum Beskidzkim zauważyć można było ogromne różnice w warsztatach beskidzkich rzeźbiarzy. Podejmują oni różne tematy na przykład dawnego życia na sałaszu. Przykładem modelowej sałaszniczej scenki stworzył nieżyjący już Jan Juroszek. Pochodził z Istebnej, na zawsze zamieszkał jednak w Koniakowie. Jego spokojne życie na sałaszu nawiązywało do najpiękniejszego okresu życia górali, kiedy podstawę ich bytu stanowiły owieczki. To one spokojnie się u niego pasą, siedzi owczor, na trąbie gra drugi góról, pali się ogień, pachnie mulka. Takie właśnie scenki tworzył. Nie polichromował; namawiany przez współczesnych odbiorców lakierował, upiększał. Jego uczniem jest Bolesław Michałek.



Uł. Frysztacka w Cieszynie, rok 1970. Linoryt Bronisława Kohuta

...Z TAKIM SIE MUSISZ TROPIĆ (III)

Wprost nieprzebrane bogactwo „jestestwa ludzkiego” znajdujemy w przysłowiach i przemówieniach śląskich obrazujących człowieka, jego charakter, zalety i wady, cechy szczególnie cenione lub ganiące, akceptowane lub nie w śląsko-chołopskim środowisku. Poprzez wieki szeregi pokoleń ukształtowały pewien stereotyp; zaakceptowały cechy przydatne, ostro ganiły natomiast i wyśmiewały to, co naruszało sprawdzony model życia i postępowania.

Z dobroduszną drwiną odnoszą się Cieszyniacy do ciekawości mówiąc, że *Ciekawymu nos przywrzili*.

Negatywnie oceniane jest kłamstwo, a stopień zła, jaki mu się przypisuje, jest bardzo wysoki: *Gdo cygani, tyn też kradnie*. *Gdo roz scygani, tymu po drugi nie uwierzóm*. *Cygaństwo mo krótki nogi*. *Cygaństwo przemienie, a prowa nie zginie*. *Cygani, aż sie za nim kurzi*. *Cygani, jakby z ksióńki naspamiyntol*. *Cygani na loczach*.

Do cech ogólnie potępianych należy też żarłoczność i obżarstwo. Nie darmo przestrzega przysłowie: *Gymba je mało chałupka, a jak sie ji do, to do goła logoli*. *Gdo moc jy a pije, tyn w rozum nie tyje*. Wypowiedzenia o żarłokach są obrazowe i plastyczne: *Dej mu skosztować, bo dostanie pypcia*. *Nie poradzi jeść tych miyńszych kónsków, jyny same wielki*. *Jeszcze sie nie przeżegnoł, a już ćpo*. *Dorwoł sie do koryta*. *Frygo, aż mu sie nos łogibo*. *Na chory (czarny) chlyb to mo dlógi zymby, ale rożeczki z myslm to ja...* *Ciopie, jakby za plot chyboł*. *Żro jak świania w chlywku*.

Spotykamy tu cały szereg wyrazów, używanych w stosunku do zwierząt, a więc wobec ludzi obraźliwych, takich, jak: *koryto* zamiast „miska”, „talerz” — *dostanie pypcia*, czyli choroby, na jaką zapadają kury, *chlywek*, *ćpo*, *frygo*, *ciopie*, *żro* i inne.

Cechami oficjalnie potępianymi, a ukradkiem podziwianymi są spryt i umiejętność radzenia sobie w życiu w każdej sytuacji. Mamy tu wypowiedzenia, choć nieliczne, dodatnie typu: *Łón ni ma gupigo łojca syn* — jak również negatywne (tych jest zdecydowanie więcej): *Gdo sie wcisko, tyn nadbydzie*. *Dociymy jak cygón*. *Dociymy jak wesz w kabocie*. *Dociymy jak świyrzbionczka*. *Piere sie jak Żyd do szpyrek*. *Ciśnie sie jak gorol do bryje*. *Dej mu palec, a łón ci całóm rynke biere*. *Dej kurze miejsce na grzyndzie to mówi, że wyży siyndzie*. *Łod szpyndliczka do kóniczka, aże bydzie szubiyniczka*.

Jak widać, spryt jest często utożsamiany z przebiegłością, nachalstwem lub bezwzględnością. Jednak największą grupę tworzą wypowiedzenia, w których nagana łączy się z mimowolnym podziwem: *Łón by aji słómiwym kóniym ujechoł*. *Aji cygóna locygani*. *Łón poradzi aji sagimu do kapsy nasrać*. *Łón sie na świecie nie straci*. *Łón sie nie do w kożuchu wegnać do wody*. *Tyn ci umiy lyżkóm łobracać!* (potrafi wspaniale zakręcić się wokół własnych interesów). *Hnet sie mu cosi na palec przilepi* (znaczenie podwójne: o złodzieju i o człowieku bardzo zaradnym). *Gdo mo dlógi ryncce, tyn sióngnie daleko, a gdo mo dlógi palce, moc nabiere*. *Jak ni mo chynci, wiyy, jak sie wykrynci*. *Gdo ni może przeskoczyć, musi podłyżć*. *Jo se nie dóm trzeci dziurki do nosa wiertać, dość móm dwie*. *Nie do se tak lekko kapusty z dupy wydmuchać*. *Nie do sie w bótach do wody wegnać*.

Gorzej z ludźmi nijakimi, niezdecydowanymi. Wprawdzie nie zasługują na potępienie, ale są wydrwiani i nikt ich poważnie nie traktuje: *Łón je taki niemasy, niesłóny*. *Ni mo stocio ani siedzynio*. *Nigdy nie wiyy, z kierej strony zacząć*. *Je miynki jak*

gnilka. Łón je pierón na ty popukane śliwki! Łón je łostatni w kalyndorzu. Łón je fest chłop, ale jyny na pysku. Gdo nie kurzi a nie sznupie, tyn sie równo babski dupie (powiedzenie palaczy). Gdo chce na dwóch stolkach siadać, tyn siednie na dupie. Isty (spolegliwy, rzetelny) jak — żur na śniodani, — z gupigo gazda, — miesiōnczek na nowiu, — wilija w maju. Jakby go pomydlił, to by aji do dupy wleciol. Narzyko jak kura z wajcym. Mo słómiannóm dusze. Mo sto chynci — jak nie z kija to z piyńści. Mo cielyncy rozum. Łón je wszystkich łotrydupski. Łón je szaśniōny, — piźniynty, — fest, jyny posrany.

Także strachliwość, brak odwagi jest bez litości wykpiwana: Łón je tako bojōnczka. Mortwy cały ze strachu. Mo serce w galatach. Łodważny — palcym grozi w bōcie. Rano zuch a wieczōr pod pierzine buch. Tak sie rozsiarгол, że mokry papiōr potarгол. Serce mu uciykło do galot — taki łodważny! Grozi piyńściōm w kapsie. Gdo sie boji, moc wystoji, musi sie dać przilegnōć, — tymu bzdzińóm zwōniōm.

Kontrastowe, przeciwstawne są wypowiedzenia mówiące o wesołości, śpiewie, śmiechu. Wyraźnie zaznaczona jest tu zasada: czasami wolno i należy się cieszyć, czasami należy zachować pełną poszanowania powagę, którą pustota i wesołość obrażają i ściągają karę na tego, kto powagę tę naruszy. Sprawy te reguluje przede wszystkim rytm roku kościelnego i przykazania chrześcijaństwa: Gdo sie w piōntek śmieje a w sobote śpiywo, niech sie na niedziele nieszczyńścia spodziywo. Gdo sie w piōntek śmieje, tyn w niedziele płacze (piątek przypomina ukrzyżowanie Chrystusa). Każdy dzień ponadto należy rozpoczynać modlitwą i uszanowaniem dnia jako daru Bożego, a nie pustym śmiechem: Gdo sie rano śmieje, tyn na wieczōr płacze.

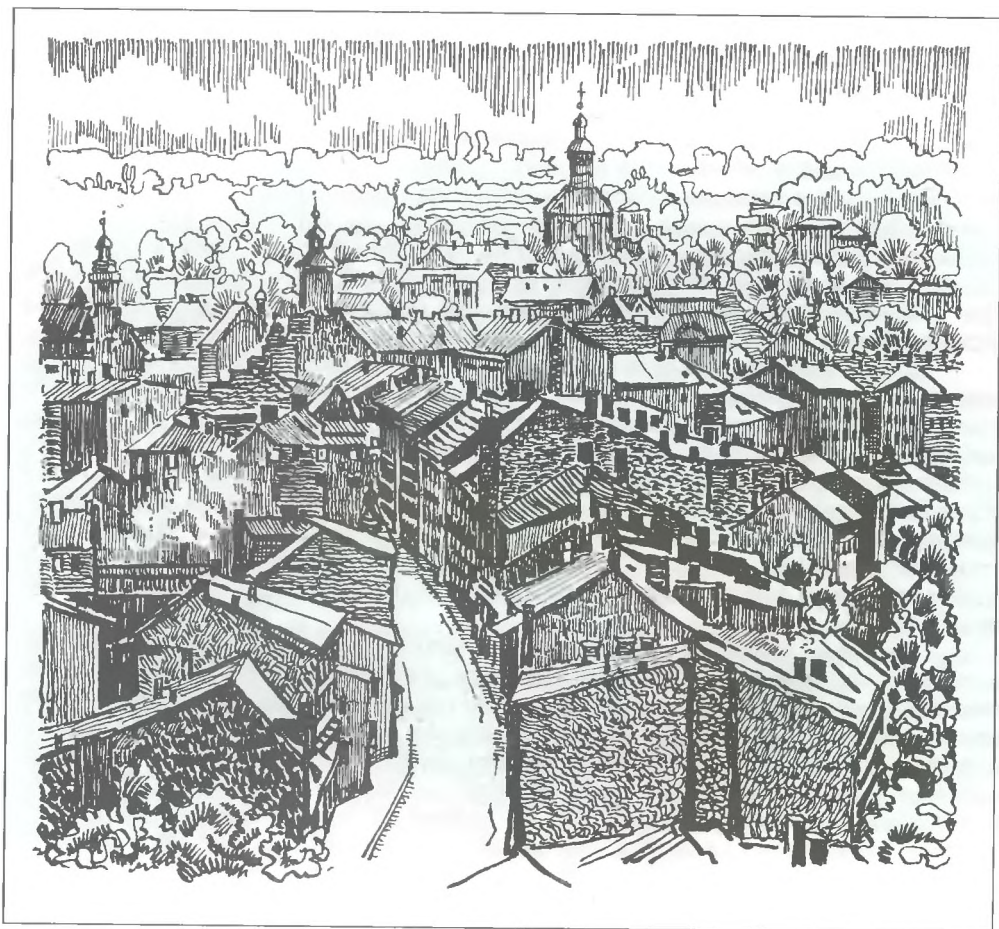
To nie znaczy, że cieszyński lud jest ponury. O jego wesołości i poczuciu humoru świadczą niezliczone wypowiedzenia, w których w beztroski sposób ośmiesza i wydrwiwa ludzkie wady. Jest to wszakże lud stateczny i pobożny, gospodarny, uczciwy, o życiu skrupulatnie zorganizowanym, gdzie wszystko ma swoje miejsce i swój czas. Jak w przyrodzie, która go otacza, jak w powtarzających się od tysiącleci porach roku i zadaniach z nimi związanych. Dlatego mówi się: Gdo sie śmieje, tymu sadło rośnie (większą wartość ma ciało krzepkie i tęgic niż chude, biedne). Gdy śpiywo, to jakby rzykoł. Gdo se rod zaśpiywo, tyn sie nierod gniywo. Ale gdy śmiech jest pusty i niczym nie usprawiedliwiony, mówią: Isto sie najod syra, że sie tela śmieje. Śmieje sie jak gupi do syra.

Często zdarza się, że ludzie wpadają w złość lub nie wiedzą, jak wybrnąć z trudnej sytuacji. I o tych chwilowych gniewach, bojaźniach i niezdecydowaniach znajdujemy moc wypowiedzeń: Mory go isto bierōm. Ze złości by sie w dupe ugryz. Mo rzić w łogniu. Spōrny dzisio jako ciyrni. Fuczy jak jyz z plōnkami (używane w podwójnym znaczeniu: ktoś bardzo zmoczony, zasapany lub ktoś w złym humorze). Fuczy jak kowalski miech (jak wyżej). Isto lewōm nogōm z łōżka stanōł — z łōżka wyloz. Toć żeś je dzisio pitōmo! (postępujesz bezmyślnie, jesteś „do niczego”). Mo jynzyk lobuty, a kudlate myśli (mówi niecenzuralnie, „świntuszy”). Mo isto muchy w nosie. Muchy mu w nosie na lajde grajōm (obraża się, jest w złym humorze). Juź go zaś diabel podsiod! (dokuczliwy, złości się o byle co).

Chwilowy gniew lub złość to rzecz niegroźna. Gorzej, gdy człowiek jest nierzetelny, zły, gdy jest to nie tylko chwilowe „zaćmienie umysłu”, ale stała cecha charakteru czy usposobienia i nic go już zmienić nie zdoła. Od takiego człowieka należy uciekać, trzymać go na dystans i nie zadawać się z nim, jeśli to nie jest konieczne. Surowo sądzi takiego lud, mówiąc: Pies by kōnszczka chleba łod niego nie uziōn. Ani pies chwostym na niego nie kiwnie, — nie gmydnie, — po nim nie zaszczeko. Choćby go w dziewiynciu kościolach świyncili, łón juź inakszy nie bydzie. Klynczy pod figurom, a diobla mo za skórōm. Ludzi moc — a człowieka nie widać. Ludzi moc, ale o człowieka biyda. Je wszystkimi maściami mazany, jyny ni tōm dobrōm. Łōnymu tak: cytrōne do zymbōw a do masorza za łokno! Łón tam juź mo swoji za uszami. Mo grzychōw, żeby ich na wołowej skórze nie spisoł! Mo hrubo za uszami! Łón je z dziwokich wajec. Łón je z łacnego kraju, — je wszelijaki.

Podsumowując można stwierdzić, że wady ludzkie są na Śląsku Cieszyńskim ostro potępiane i wyśmiewane, a zalety chwalone i podziwiane. Człowiek winien pracą i gospodarnością tworzyć swój los, nie czekać na to, by dobrobyt sam się zjawił, bo: *Gdo na cudze bóty czako, musi długo boso chodzić*. Powinien także każdy sam siebie pilnować, naprawiać własne niedociągnięcia i korygować wady. Niedobrze jest też, gdy ktoś: *Czyji widzi pod lasym a swoji ani pod nogami*, trzeba bowiem: *nejprzód wymiść pod swoim progiem a nieskorzi pod cudzym*. Łatwo nierozważnym osądem skrzywdzić bliźniego: *Nejsnadni zblōndzi, gdo rychło sōndzi*.

Za swoje czyny człowiek odpowiada sam. Musi także pamiętać, że w życiu za wszystko trzeba losowi płacić, nic darmo nie przychodzi: *Gdo se koże grać, tyn musi zapłacić*. *Gdo chce, aby mu grali, musi płacić*.



Cieszyn, widok z zamkowej baszty, rok 1980. Rys. tuszem Bogusława Heczki

KAROL KAJZER

JUDOSZ GORE

Wśród zwyczajów wielkanocnych do szczególnie ciekawych a kiedyś znanych dość powszechnie, należy motyw egzekucji zdrajcy Judasza, który sprzedał Jezusa za 30 srebrników. Obecnie wypędzanie czy palenie Judasza należy do rzadkich widowisk. W Cieszyńskim pieczolowicie, z całym ceremoniałem, pielęgnowane jest jeszcze w Skoczowie i należy do swego rodzaju atrakcji widowiskowych Wielkiego Tygodnia.

Nie da się z całą pewnością ustalić od kiedy zwyczaj z egzekucją Judasza jest praktykowany. Wiele wskazuje na to, że stało się to z inspiracji Kościoła. Jest to zwyczaj w każdym razie dość stary. O topieniu Judasza wspominają już w XVIII wieku A. Grabowski i Jędrzej Kitowicz, a następnie Zgmunt Gloger.

Niektórzy badacze folkloru (A. Zadzożyńska) dostrzegają w tradycji palenia i topienia postaci Judasza odpowiadającej obrzędowości chrześcijańskiej — pozostałości po dawnej pogańskiej Marzannie, zwanej gdzieś niegdzie Śmierciuchą, symbolizującej zimę i topionej w pierwszym dniu wiosny kalendarzowej.

Na początku XIX wieku Łukasz Gołębiowski, opisując zwyczaje wielkanocne w swoim dziele pt.: „Lud polski, jego zwyczaje i zabobony” pisze m.in., że w Wielką Środę po jutrzni w kościele „księża uderzają o ławki brewiarzami i psalterzami”, na co oczywiście czekali tylko „chłopcy swawolni” uderzając również o ławki kijami z czego powstał ogromny tumult. Potem ci swawolnicy „zrobiwszy bałwana ze starych gałganów i wypchawszy go słomą, chcieli mieć przez to wyobrażenie Judasza”. Następnie Judasza zrzucano z kościelnej wieży, uwiązano na postronku i włóczono po ulicach a bijąc go rozchocona młodzież krzyczała „Judasz, Judasz”, dopóki bałwan całkowicie się nie rozpadł.

Zwyczaj ten wiernie opisuje później Oskar Kolberg, informując, że stosowany „był powszechnie w Polsce, mniej w Krakowskim.”

Podobny opis znajdujemy także u Andrzeja Komonickiego w „Dziejopisie żywieckim”. Czasem (czy też może w późniejszych czasach), zamiast kukły, z dziury kościelnego sklepienia zrzucano na kościół żywego kocura umieszczonego w garnku z popiołem. Kocur miał symbolizować Judasza.

Ponieważ widowisko z Judaszem niejednokrotnie prowokowało i zagrzewało młodzież do bicia Żydów, jako sprawców śmierci Jezusa, gdy przypadkiem znalazł się jakiś Żyd w pobliżu, z czasem władze duchowne i rządowe zakazały — jak podaje Gołębiowski — praktykowania tego zwyczaju. Potwierdza to potem również Kolberg. „Dziś ustało” — napisał o tym u schyłku XIX wieku.

W różnych odmianach zwyczaj palenia lub wypędzania Judasza występował na Śląsku, chociaż — jak się sądzi — był tu w mniejszym stopniu rozpowszechniony. Badacz obrzędowości P. Drechsler pozostawił nieco inny opis tego spektaklu, cytowany również przez Jerzego Pośpiecha: „W dawniejszych czasach kościelny, ubrany w czerwoną kamizelkę, udawał Judasza, którego wśród hałasu wypędzano z kościoła. Czasem zamiast kościelnego był to chłopiec. Obrzęd ten nazywa się „wypędzenie Judasza”.

W Cieszyńskim, a także w wielu innych miejscowościach Śląska, praktykowano przeważnie zwyczaj palenia kukły Judasza, choć i tutaj istnieją (a raczej istniały) różnice w obchodzeniu tego zwyczaju. Widowiska judaszowe odbywały się też w różnych dniach

Wielkiego Tygodnia: w Wielką Środę (np. u Gołębiowskiego i in.), w Wielki Czwartek, Piątek lub Sobotę. Występują także ich zróżnicowane wersje.

Ciekawy zwyczaj, niespotykany raczej w innych rejonach Śląska Cieszyńskiego, opisuje Józef Ondrusz z Zaolzia: „W Wielki Czwartek, po zawiązaniu dzwonów, chłopcy chodzili od domu do domu z klekotkami i grzechotkami, klekotali i grzechotali nimi, za co od gospodyń otrzymywali jajka, placki, pieniądze lub inne datki. Chłopcy byli ubrani jak zwykle, wśród nich znajdował się jednak diabeł z czerwonym nosem, przebrany w kozuch na ręby odwrócony i uzbrojony w cep ze słomy (...) Oprócz diabła był też tam Judasz o długiej brodzie z kądzieli”. Tyle o Judaszu. Autor nie wymienia też konkretnej miejscowości, co sugeruje, że zwyczaj występować może w szerszym zasięgu Śląska zaolziańskiego.

W Beskidzie Śląskim, jak podaje wspomniany już folklorysta Jerzy Pośpiech, palącego się Judasza symbolizował zapalony duży stos przed kościołem. Następnie popiół i węgielki z ognia zabierano do domu, okadzano nimi konie i bydło, by zapewnić im zdrowie przez cały rok. W Istebnej na placu kościelnym palono kukłę wyobrażającą Judasza, a po jej spaleniu niedopalki i popiół zabierano do domów, co miało uchronić budynek przed piorunami.

Z popiołami Judasza podobnie było także w innych rejonach Śląska, poza Cieszyńskiem. Na przykład w okolicach Raciborza, po spaleniu kukły Judasza, co miało miejsce przed kościołem albo w polu, rozsypywano popiół po polach, w celu zapewnienia dobrych urodzajów.

Pewien emerytowany pedagog, mieszkaniec Iskrzyczyna, urodzony w Wapienicy koło Bielska, gdzie spędził dzieciństwo wspominał również o obrzędzie judaszowym w rodzinnej miejscowości, w którym uczestniczył jako chłopiec jeszcze przed wojną. Słomianą kukłę Judasza prowadzono nad Wapienicę, podpalano i rzucono do rzeki. Odbywało się to prawdopodobnie w Wielki Piątek.



Skoczowski Judosz ok. 1960 roku. Ze zbiorów Towarzystwa Miłośników Skoczowa

Zwyczaj ten istniał od dawna także w Ochabach, o czym już kilkakrotnie pisałem. Praktykowany był w okresie międzywojennym, nawet podczas wojny i po wojnie. Jako chłopiec, przez kilka lat brałem również udział z klekotką w tym widowisku. Urządzaniem „Judasza” zajmowali się ministranci z pomocą kościelnego. Kukłę Judasza robiło się z prostej żytniej słomy, zawiązanej w chochoła i ozdabiało kolorowymi wstążkami. O zmierzchu w Wielki Piątek zbierała się młodzież i dzieciarnia z „klekotkami” przy kościele. Jednemu ze starszych chłopaków nakładano słomianego chochoła na barki i w pochodzie oprowadzano go trzykrotnie wokół kościoła, przy rytmicznym klekotaniu i krzykliwym skandowaniu w takt uderzania klekotek. Potem Judasza przyprowadzono na most na Wiśle i podpalano, a gdy słomę całkowicie ogarnęły płomienie, rzucano płonąca kukłę do rzeki. Wszystko odbywało się przy jednostajnym, głośnym klekotaniu rozbawionej dzieciarni i donośnym skandowaniu: „Ju-dosz go-re! Ju-dosz go-re!”. A „Judosz” płynął wolno z prądem rzeki, jeszcze jakiś czas się palił, a gdy płomień zgasł i resztki słomy i popiołu pochłonęła woda, uczestnicy gromkim okrzykiem ogłosili koniec zdrajcy „Judasza”.

Od niepamiętnych czasów również znany jest zwyczaj palenia Judasza w Skoczowie a opisał go w 1929 roku Gustaw Morcinek w opowiadaniu „Skoczowski Judasz” a później również Zofia Kossak. Obrzęd ten zawsze był tu niezwykle widowiskowy. Korowód hałaśliwej, trzaskającej klekotkami dzieciarni ze słomianą kukłą Judasza na czele, co roku wyruszał od farnego kościoła, św. Piotra i Pawła ulicą kościelną przemierzał rynek i ulicę Bielską lub jeszcze innymi udając się na most na Wiśle gdzie zapaloną kukłę rzucano do rzeki. „Nim słoma nasiąkła wodą — pisze Zofia Kossak — kukła pływa po wierzchu. Dopieroż zabawa, lecieć wzdłuż brzegu i walić w chochoła kamieniami”. Przez jakiś okres palono Judasza na stoku Kaplicówki. Od wielu lat odbywa się to przy remizie strażackiej. Zwyczaj utrzymywał się dość długo po wojnie a z czasem całkowicie zaniknął. Dopiero w 1986 roku zwyczaj obchodzenia Judasza przywróciło Towarzystwo Miłośników Skoczowa. I znowu jak niegdyś co roku, przez dwa dni, co stanowi też raczej wyjątek, w Wielki Piątek i Wielką Sobotę, pochód z Judaszem przemierza ulice miasta. W sobotę, w parku za remizą, w asyście strażaków, w otoczeniu uczestniczącej w pochodzie dzieciarni oraz gapiów, Judasz zostaje spalony.

Do tradycyjnego widowiska wprowadzono też nowe elementy. Otóż przechodząc przez rynek korowód przystaje przed ratuszem a Judasz pokłonić się musi przed siedzibą burmistrza. Ostatnio również odstępuje się, ze względów praktycznych od spalania każdorazowo kukły Judasza a zamiast niej zapala się stos chrustu i drewna, zaś słomianego chochoła zostawia się do następnego roku, bowiem trudno obecnie, przy kombajnowym zbiorze zbóż i gdy uprawa żyta należy do rzadkości, zdobyć prostą długą żytnią słomę.

Rzadki już dziś zwyczaj z Judaszem, kultywowany chyba jedynie w Skoczowie, stanowi zatem nielada atrakcję folklorystyczną i obyczajową. Udokumentowany też został przez telewizję, która kilkakrotnie emitowała obrzęd w swoim programie, zaś niektóre dzienniki lub czasopisma odnotowują prawie co roku kolejny występ judaszowy.

Nasi przodkowie zawsze pamiętali, czy księżyc ubywa czy przybywa, bo od tego zależało wiele czynności w gospodarstwie a nawet podejmowanie ważnych decyzji życiowych. Wielką wagę przypisywali do snów oraz dni szczęśliwych i feralnych, które były wyszczególnione w niejednym kalendarzu.

Dla przypomnienia podaję kilka sprawdzonych, podobno skutecznych sposobów, jak radzić sobie w trudnych sytuacjach życiowych lub ustrzec się przed złymi mocami. Informacje te uzyskałam kilkanaście lat temu w Ustroniu i w Cisownicy podczas penetracji terenu w celu powiększania zbiorów etnograficznych Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w Ustroniu. Wykorzystałam też dawne zapiski i publikacje na ten temat.

Biały, dziki bez, był nie tylko popularnym lekarstwem napotnym stosowanym podczas przeziębień, ale miał również podobno nadzwyczajną moc w wykrywaniu złodziei. Okradziony przed wschodem słońca chwycił lewą ręką gałąź bzu i mówił: „Krzaku bżowy ja cię naginam do czasu, aż mi złodziej nie odda mojej skradzionej rzeczy”. Drugą ręką przyginał gałązkę do ziemi i przyciskał kamieniem. Podobno nie trzeba było długo czekać, by złodziej podrzucił skradziony przedmiot właścicielowi. Aby jednak krzak bzu także w przyszłości zachował moc, trzeba było w tym samym dniu, gdy zguba się odnalazła, zdjąć kamień z gałązki i położyć go na dawne miejsce.

Przeciw urokom, czyli *coby żodyn nie urzeknył* używano czerwonego koloru. Kobiety przynajmniej małe kwiatki na żywotku miały czerwonym *harasem* wyszyte, dziewczęta nosiły czerwone *splatki* we włosach, a chłopcy powożąc końmi mieli przy biczach czerwone *kućki*. Nawet niemowlętom ubierano bluzki lub czapki z czerwonymi wstążeczkami.

Wiele dawnych wierzeń odnosiło się do zwierząt domowych. Gdy kot przed domem przeraźliwie miauczał, zapewniało to kłótnię. Za to by trzymał się w pobliżu domu, nowo nabytego kota trzykrotnie ocierano o piec kuchenny. Gdy kot się mył i unosił nogę do góry, patrzono w którą

LIDIA SZKARADNIK

JAK UCHRONIĆ SIĘ OD CZARÓW?

stronę noga się nachyla, bo z tego kierunku miał przybyć gość.

Na wiosnę, kiedy po raz pierwszy wypędzano krowy na pastwisko, przetaczano pod nimi jajka, co miało ochronić zwierzęta od złych mocy, a przede wszystkim od chorób i utraty mleka.

Wierzono także, że zwierzęta mogą widzieć i odczuwać różne zjawiska dla ludzi niedostrzegalne. Przykładem może być niski lot ptaków, który zapowiada deszcz. Przed wybuchem wojny w wielu wioskach psy szczekały całą dobę bez przerwy, a kukulki zbliżały się do ogrodów i kukały znacznie intensywniej niż zwykle.

Szczególną moc przypisywano ziołom; znano też ich właściwości lecznicze. Ale nie tylko. Po to, by chłopak odwzajemnił uczucia, dziewczyna nosiła na prawym ramieniu przez trzy pełnie księżyca nawrotnik (ziele przywrotnika pospolitego). W noc przed świętym Janem panny rwały lubczyk i wplatały w warkocze. Miały wówczas wyjątkowe powodzenie. Można było też gotować to zioło i wlewać wybranemu do napoju.

Gdy ukochany długo nie przychodził, stęskniona dziewczyna gotowała w glinianym garnuszku korzeń zioła czerwono kwitnącego przestępu, który trzeba było wykopać z ziemi przed wschodem słońca. Do naczynia wlewała wodę braną z potoku w kierunku przeciwnym prądowi i dodawała do tego zioła *dobrej myśli*. Po trzykrotnym zagotowaniu i intensywnym myśleniu o wybranym, ten niespodziewanie pojawiał się w jej domu. Jeśli tak się szczęśliwie złożyło, że uczucie było wzajemne, to narzeczeni powinni zawsze nosić przy sobie zioło waleriany, które chro-

niło od chcących rozbić ten związek czarownic.

Zdarzało się i tak, że nic nie pomagało i wzajemności żadnym sposobem nie można było pozyskać — trzeba było wówczas zapomnieć o ukochanej osobie. Chłopcy przychodzili wcześniej rano do wybranej i obserwowali, jakich przedmiotów dotyka. Gdy dziewczyna wyszła doić krowy, trzeba było wziąć dotknięty przez nią przed chwilą przedmiot, na przykład garnek lub łyżkę, i rzucić tyłem przez lewe

ramię w stronę drzwi do wyjścia. Podobno już wieczorem tego samego dnia nie pamiętało się udręki nieodwzajemnionego uczucia i można było zakochać się na nowo.

Gdy handlarz przyszedł do wiejskiej chaty coś kupić, lecz później zrezygnował, gospodyni podczas jego wyjścia wylewała na podłogę garnek czystej wody, lecz tak, aby ten człowiek nie zauważył. Po to, by kupujący wrócił i kupił dany towar po cenie, jaką zaproponowała gospodyni...



Światło i cień. Fot. Wojciech Trzcionka

Jedyn wandrowny chodził światym za robotą, a miał przy sobie szyć grejcar. Szeł przez las i spotkoł żebroka. Tyn go pytoł o wsparci, tóż wandrowny sie ulitowoi i doł mu grejcar.

— Co chcesz za to? — pyto żebro-
rok.

— Nic — prawi wandrowny.

Ale żebro doł mu loseczke i pocu-
czył go, że jak nią uderzy i powiy: „Stolicz-
ku, otwórz sie!”, to mu sie spełni, co se
życzy.

Po jakimś czasie spotkoł wand-
rowny drugiego żebroka. Też mu doł
grejcar i dostoił od niego taką fajkę, co w ni
je dycki pełno tabaki.

Trzecimu żebroкови doł trzeci grej-
car i dostoił stare skrzypce, ale miały taką
moc, że gdo ich usłyszoł, zaczynał zaroz
tańczyć.

Od czwartego żebroka dostoił flin-
te, co trefiła do każdego ptoka.

Tak wandrowny pozbył sie pi-
niędzy, a miał szyć cudowne rzeczy.
Idzie se tak, idzie, aż spotkoł Żyda. Tyn
doł sie snim do rzeczy. Leciła prawie
wróna.

Żyd prawi: „Zastrzel te wrónę!”
Wandrowny na to: „Dobrze, zastrzele, ale
ty pójdiesz po nią!” Wycyłowoi, strzełił
i wróna wpadła do torek. Jak Żyd wloz do
torek, wandrowny zagroł i Żyd zaczął
tańczyć. Tańczył tak dłogo, aż cały habit
stargoł.

Żyd zaskarżył wandrownego. Od-
była się rozprawa i osądzili biydoka na
obieszyni, bo Żyd sędziów przepłacił. Jak
sie pytali wandrownego, jaki mo ostatni
życzyni, powiedzioł: „Nic nie chcę, jyny
skrzypce, aby se na nich jeszcze roz za-
grać”.

Jak to Żyd usłyszoł, zaczął ze stra-
chu krzycheć i kozoł sie przywiazac do
dębu (bo tyn sąd odbywoł sie na leśnej
polanie).

Wandrowny zaczął grać, a wszyscy
sędziowie i ci, co sie dziwali, zaczęli tań-
czyć. Nejbarzyj skokoł Żyd i drzył plecami
o popekaną skóre dębu. Zedrzył sie aż do
krwie i umrzył ze strachu. Wandrownego
puścili.

JAN BRODA

OPOWIEŚCI SPOD WITALUSZA

CYGÓN PRZY SPOWIEDZI

Cygón przyszeł na fare i widzioł, że
w siyni chłodzi sie pieczóno gęs. Tóż ją
drap i w nogi. Jak zjod, idzie słoszny do
spowiedzi.

„Ukrodzech kaczyce!” — mówi.
„Za to musisz zmówić tela a tela Oj-
czynaszy i Wierzym...” — mówi ksiądz.

„Joch jeszcze ukrod dwa miechy
mąki, ale dają mi, wielebniczku, rozgrzyszy-
ni za trzy...”

„Cóż tak za trzy?” — pyto ksiądz.

„Bo jo jeszcze dzisio pójdym po tyn
trzeci”.

Ksiądz doł mu pokute cięższą
i cygón wyszeł z kościoła. Ksiądz wraco na
fare, a kucharka sie skarży, że gdosi ukrod
ze siyni pieczóną gęs.

— A to tyn pierónski cygón — za-
kłał — co mi sie spowiadoił, a jo głupi doł
mu jeszcze rozgrzeszyni...

Ale cygón już był daleko.

★ ★ ★

Cygónka wygnała cygóna ku spo-
wiedzi. Cygón poszeł przód na fare. Wloz
do kuchni, a tam nie było nikogo, bo
kucharka prawie wyszeła. Na stole lezoł
zygarek, co go ksiądz zostawił kucharce, bo
zygor sie zepsuł, a było trzeba na czas
przygotować obiod dla dwóch wikarych,
co ich teraz ksiądz spowiadoił. Cygón drap
zygarek i poszeł zaroz ku spowiedzi. Mówi
księdzowi, że ukrod farorzowi zygarek.
Ksiądz mówi, aby go oddoił. Cygón wydo-
bywo zygarek, a ksiądz mówi: „Jo go nie
chcym!” (nie widzioł borok, że to jego).
Cygón, uradowany, schowoił go do kapsy
i poszeł do chałpy.

Po spowiedzi ksiądz siedzi z wikarym i czekają, aż ich kucharka zawoła na obiad. Ta jednak długo nie przychodziła i poszli na fare. Kucharka pyto księdza, czemu ji nie zostawił zegarka. Ksiądz tłumaczy, że zegarek położył w kuchni na stole. Wtedy se spómnioł cygóna, co mu chcioł oddać zegarek.

W najbliższóm niedziele kozoł kościelnymu, aby przywołał do kruchty cygóna. Cygón myślał, że farorz chce go najać do jakijś roboty, zaroz przyszeł. Ksiądz se nagotował porządny drag i jak cygón pokozoł sie w kruchcie, napod na niego i porządnie mu zeproł skóre. Cygón ani nie wiedziół, kaj dwyrze, i uciyk. Cygónka sie go pyto, jak to w tej kruchcie było. Cygón prawi: „Ta spowiadaczka by jeszcze obeszła, ale ta podawaczka była nie do wytrzymanio i musiołech uciyk!”

KUMINIORZ NA ŻŁODZIEJCE

Było to za sanacyje. Majster kominiarski powiado towarzyszowi, aż sie mu obstaro o murzyny na święta. Towarzysz poszeł we wielką sobotę na wieś pucować kuminy i pyto sie tu i tam o murzynach, ka mają więcej przypieczóné. Ale wszyscy sie wymowiali, że mają mało. Dali mu rade, że na farze bydzie przypieczóné. Kuminiorz znoł sie dobrze na farskim piecu i przyszeł tam kole wieczora, tak, że go żodyn nie widziół, i wloz se do piekarskiego pieca, bo już był wychłodnięty. Myślał, że w nocy, jak wszyscy posną, wylezie z pieca, wlezie do śpiżarki i skurzy pore murzynów.

Kucharka rachuje wieczór murzyny, idzie ku wielebniczкови, że tych murzynów je za mało. Wielebniczek mówi:

— Jak mosz mało, to se przypiecz!

Kucharka kozoła słózce, żeby nianosila drzewa ku piecu. Słózka wzięła latarnie, przyszeła ku piecu i strasznie sie złękla. Leci ku kucharce i woło:

— Mościnko, dioboł w piecu, jo już tam nie idym!

Kucharka w śmichy:

— A idź ty, głupio, kaj by sie tam dioboł wziół?!

— Jest, jest, idą sie tam podziwiać — woło słózka.

Kucharka idzie z latarnią. Naprowde, dioboł w piecu! Leci ku wielebniczкови:

— Co począc, dioboł w piecu?!

Wielebny wyskoczył z łóżka, ubroł sie prędko, wziął wodę święconą i grubą księgę i przyszeł ku piecu z kucharką i słózką. Czyto z księgi i kropi diabła święconą wodą. Ksiądz woło:

— Diable, czego chcesz?

— Luftu! — odpowiadło głos z pieca.

Pozotwiryrali dwyrze, odstąpili od pieca i kuminiorz uciyk z murzynami.

MŁODUCHA Z TRÓWŁY

Było dwoje młodych ludzi, a mieli sie bardzo radzi. Cóż, kiedy ona była cęzą bogatego piekorza, a synek był bardzo biydny. Jako kupczyk sprzedawoł w piekarni.

Po jakimś czasie ojcowie chcieli wydać swoję cere za bogocza. Ale ona go nie chciała. Ojcowie jednak ją zmusili do wiesiela. Mieli już jechać na ślub, a tu sie młoducha straciła. Wszyscy goście zacyli ją łowić. Naszli ją aż na drugi dzień, zaśnióną. Myśleli już, że umrzyła i dali ją do trówły i zaniysli do kościoła. Jak kościelny szel wieczór zwónić, tyn biydny kupczyk zakrod sie do kościoła i skrył sie. Zostoł w kościele na noc i zaczął strasznie rzykać. Jak tak rzykoł, cosi zakłupkało w trówle. Gibko odewrził wieko. Tam jego dziółcha leżała przestraszóno, ale obudzóno. Opowiedziół ji wszystko, co sie stało. Jak rano kościelny przyszedł zaś zwónić, oni obo uciykli z kościoła. Chłapiec wziół ją do swoich rodziców. Ku wieczoru poszeł do jejich rodziców, kaj jeszcze byli goście weselni, i tak powiedziół do nich:

— Proszym miłych gości! Jo bych wóm chcioł cosi powiedzieć. Jak ogrodnik wyciepie za płot róże i idzie jaki człowiek i uwidzi ją, to czy może ją podniysć?

— Tóż toć może! — powiedzieli wszyscy.

— A komu ona noleży — ogrodnikowi czy tymu, co ją poniós?

— Tóż toć tymu, co ją podniós, co sie tak głupio pytosz?

— Tak pięknie dziękujym! — i poszedł.

Po chwili wrócił z cerą piekorza i powiedział:

— Tu jest ta róża, o której zech się pytał. Czy mogym se ją zabrać jako żone?

— Możesz, możesz! — wołali wszyscy radośnie i gotowali się do prawdziwego wesela.

MIETLORZ BARANKIEWICZ

W Kończycach mieszkoł grof Aleksander Mościński. Miał córke już na wydoj. Różni kawaleryrowie przychodzili i prosili o jej rękę, ale tyń grof nie pozwolił. Mówił, że ją wydo za fabrykanta.

Roz przyszedł do niego młodziyniec piękny i znowu prosił o jej rękę. Córce się bardzo podobał, ale cóż, kiedy był bydnym mietlorzym. Grof dobrze nie zrozumiał i myślał, że jest mydlorzym. A że nie było fabryk, co wyrobiają mydło, zgodził się na ślub, bo uznowoł przyszłego zięcia za bogocza.

Po wesielu żynich poszedł do domu i przywióz se swój warsztat mietlarski i wyrbzowe pręci. Siod i i robił mietły. Grofka-matka dziwo się na niego i pyto, co robi. Zięć prawie, że mietły, bo jest mietlorzym.

Grofke mierzało, że dostała takiego bydnego zięcia i roz przisła ji do głowy tako myśl. Wydała rozkaz, aby każdo dziywczyna i kobieta z Kończyc odstawiła się do zómku z mietlą. Kiero się nie zgłosi, bydzie srogo ukarano.

Kobiet było sporo, bo i w Kończycach Małych, i w Wielkich i w Pruchnej. Przychodziły do Barankiewicza i przeplacały go, aby im tylko na czas zrobił nową mietle. Aż dziesięć szajnow dostowoł za mietle. Jak zaś przyszedł dziyń wyznaczóny przez grofke, wszystkie dziewczyny i baby odstawiły się z mietłami do zómku. Zaś zięć tak w tym czasie z bogot, że już więcy mietel nie robił.

Z CHŁOPA KRÓL

Pewni rodzice mieli syna jedynaka. Ten był głupawy. jednego razu rodzice

pojechali do miasta i kozali mu wachować chałpy. Przyszli złodzieje i wszystko wykradli. Jak rodzice wrócili z miasta, bardzo płakali, bo nie zostało nic do obleczo ani do jedzynio. Ze złości wygnali syna z chałpy. Na droge mu dali pajde chleba i dwa grejcare. Tak synek poszedł w świat.

Idzie, idzie, aż napotkoł jakigosi chłopa z miechym. Pyto się go, co niesie w tym miechu. Chłop prawi, że psa na utopiyni. Synek się ulitowoł nad psym i powiedział: „Dejcie mi tego psa, jo wóm dóm grejcar”. Chłop się zgodził bez wszystkiego. A synek poszedł z psym.

Idzie, idzie, aż napotkoł drugiego chłopa z miechym. Pyto się go, co niesie w tym miechu. Chłop prawi, że kocura na utopiyni. Synek się zaś ulitowoł i powiedział chłopu: „Dejcie mi tego kocura, jo wóm dóm grejcar”. Chłop się zgodził. I synek z psym i kocurym szedł dali.

Przyszli na polane. Synek wyjął z kapsy pajde chleba i doł kocurowi i psu. Jak pojod, zaczął grzebać w ziym i wygrzeboł złoty pierścionek i oddoł go swymu panu. Uradowany synek potrzął pierścionek o kabot i pomyślał se: „Czymu-ch ni ma w zamku królewskim?!”. To co se pomyślał, to się stało. Znaloz się z kocurym i psym w komnacie królewskij. Na trónie siedziół zastarany król, bo prawie nieprzyjaciół wypowiedziół mu wojne. Król ogłosił, że kto zwycięży wroga, dostanie rękę jego córki. Głupi synek zgłosił się za tego wodza.

Pojechoł na wojne z kocurym i psym i zwyciężył. Zaś mu dopómóg złoty pierścionek. I król ożynił go ze swą córką. Ale żonie było samej smutno, bo mąż przebywoł jyny z kocurym i psym. Jednego razu spytała go, skąd się mu bierze ta wszystka moc. On ji powiedział, że mo taki pierścionek, co mu wszystko robi, jak go potrze o kabot. Żona postanowiła się o tym przekonać.

Jak mąż usnął, wzięła jego pierścionek, potrząła o jego kabot i pomyślała se, aby się znalazł na odludnej wyspie. Tak się też stało. Ale zmiarkowali to kocur i pies. Zabrali w nocy babie pierścionek i wyruszyli na poszukiwanie swego pana. Szli, szli, aż doszli do morza. Pies dał pierścionek kocurowi, kozoł mu se sied-

nóć na pleca i przewióz go na odludną wyspę. Tam był ich pan. Dali mu pierścioneć, pan nim potrzął o kabot i chcioł sie znałyżć w domu rodzinnym. Rodzice już pomrzyli, a on se wybudował wspaniały pałac i żył z psym i kocurem. Zaś jego żona otrula sie ze zgryzoty.

DOBRE SPRZEDANO KOZA

Roz tata posłol dziywce z kozą na torg. Ona zamiast iść piechty, poszła na sztacyje, kupiła bilet, koze przywiązała za ostatni wagón i pojechała ku Cieszynu. W Goleszowie było trzeja przesiadać. Z kozy zostały jyny rogi na powrozie. Uwiązała ich za drugim pociągym i pojechała dali ku Cieszynu. Jak przyjechała na torg, z kozy nie zostało już nic.

Wyszła poza miasto, siadła pod chałpę i słyszy, że sie tam mama z ce-

rom wybiyrają na muzykę. Mama mówi cerze:

— Jak przidziesz z feszakym, to w piecu mocie pieczóną gęś, pod lóžkym wino, a w podstolu pieniądze.

Za chwile zamkły chałpę i poszły. Dziywce wzięło klucz, odmykła i wlażła do izby. Zjadła mięso z trąby i zostawiła kości. Potym napiła sie wina, a z podstolo wzięła pieniądze i legła se na piec za szczypy.

Kole północy przychodzi cera z feszakym, chce go poczęstować, a tu w trąbie same kości, a w butelce na dnie wina. Ani w podstolu nie było piniędzy. Czekali, aż wróci matka i wszystko opowiedzieli. Matka, jak to usłyszała, zaroz w nocy poleciała zameldować szandarą. Młodzi se zaś siedli pod piec. Naroz z pieca „hurrr!!!” wszyscy szczypy na nich. Młodzi, wylękani, uciykli, a dziywce za nimi.

Ojciec sie uradowol, że mu dziywce tak dobrze koze sprzedalo.



Przejście graniczne w Cieszyne Boguszowicach. Fot. Wojciech Trzcionka

Chciol sie roz jedyn synek ożynić, ale otcowie mu nie chcieli pozwolić. Aż doczko i bydzie przydziony od wojska. Poszeł do wojska, przyszeł do domy, pado:

— Tato, jo sie żynię!
— Na kajż też mosz jaką obraną?
— Na Gaszperkach.
— Kiery numer domu?
— Sto trzycet.
— Jakóż ji na miano?
— Helyna.
— Helyna? To nic z tego nie bydzie. To je twoja siostra.
— Siostra? Piernika kany! Ale jo sie chcę żynić!
— Jeszcze są od ciebie starsi. Ale jak już tak chcesz, to sebie kierą inszą.
Za dwa tydzie zaś przychodzi do otca, prawi:

— Żynię sie!
— Na kaj żeś se kierą obrol?
— Pod Baranią.
— Na kajż cie też tam piekli zaniyśli! Kieryz to je numer domu?
— Osiymdziesiąt dwa.
— A jakoż ji je na miano?
— Tereska.
— To też je siostra. Przeca ze siostrą sie ni mozesz żynić.
Przychodzi zaś za miesiąc, zaś prawi:

— Tato, jo sie żynię!
— Kajż cie zaś piekli zaniyśli?
— Na Kozińce.
— Jakoż sie to dziywczę pisze?
— Cieślarka.
— Numer domu?
— Dwiesta osiymdziesiąt trzy.
— Mosz pecha. To też je twoja siostra.

— To sie już nie żynię!
— Mozesz sie ożynić, jyny se weź jaką cudzą, a nie z rodziny.

Chodził chłopiec smutny, mama sie go pyto:

— Na Francek, czymu żeś je taki smutny?
— Nie wyicie o niczym?
— Nie wiyam.

GAWĘDY UJCA PAWŁA RUCKIEGO

— Na chciolech sie żynić z Helyną z Gaszperków, a tata mi powiado, że to je siostra. Chciolech sie z Terešką spod Baranij, tata mówi, że to też je siostra. Jużech poszeł na Kozińce do Wisły, nalozech se tam Cieślarkę, ale to też je siostra.

A mama prawi:

— Ni mosz sie, synku, czymu starać. Bier se, kiero ci sie najbardzy podoba. Te z Wisły, spod Baranij, czy spod Gaszperków.

— Jako to tak? Tata powiado, że to nie pasuje brać se kogo z rodziny.

— Tata mo recht. Ale tyś ni ma jego włośny syn. Jyny mu tego nie prow...

JEGŁĘ NASZŁA, ALE KOCZKI NIE POZNAŁA

Rozmańcie sie, wyicie, w tych rodzinach zdarzało.

Mieli też roz otcowie bardzo fajną cerkę, bogoczka była, bo była jedynoczka, a mieli szykownie gruntu, pora konich, osiym krów, świnię, kury, gęsi... Ale boroczka dobrze nie widziała, a też ją chcieli wydać, bo se myśleli: „My sie zestarzymy, a ona, borok, co, kie nie widzi?”

Nale w dziedzinie wszyscy wiedzieli, że dobrze nie widzi. Mama ją miała wymalowaną, tóż posła roz na jarmak, chwoliła sie, jako to mo szumną cerę, bo chciała koniecznie nońść jakigo tego zięcia. I trafił sie taki jedyn, pyto sie:

— Ciotko, cóż też to mocie za obrozek?

— Na moji cery.
— A wiele też mo roków?
— Na jedna dwacaty ji idzie.
— Mo też jaką gazdowkę?

— Momy gazdowke wielką. A cóż sie tak pytosz?

— Na bo nas je kupa w chałupie i chciolbych sie kany przyżynić, tak mi tatowie radzą. Kajż bywocie?

— Tam a tam.

— A mógliby my tam kiedy z tatą przyść?

— Jyny przydźcie.

Gaździno już wiedziała, kiery dziyń przydą, tóż powiada:

— Dziecko, mój Boże kochany, ty nie widzisz, ale cosi poradzimy.

Wziyna jegłę, wbiła między deliny, pado:

— Podziwej sie, Haniczko, tu, w tym miejscu, bydzie jegła. Tóż ty tak ściyrej, ściyrej, rób porządki, a oni bydą za stołym, tam gorzołkę dycki popijają przy snębach. Jedyn roz powiydz: „Mamo, podziwejcie sie, welaście sie wczora nachładali jegły, nie naszliście, a jo ją naszła!“. Wtedy wszystkim bydzie widno, że dobrze widzisz.

Nó i tak to było przyszykowane. A ta, borok, kiela razy przygibała głowę ku samej ziymie, żeby uwidzieć, kany je ta jegła, ale ji nie spozdrzyła, dziepro ją potym pałcami namacała i zapamiętała se, kany ta jegła je. Ćwiczyła to już calučki tydziyń.

Aż w sobotę przyszlci ci żynisi, tata, mama i tyn syn, siedli za stół.

— Niech bydzie pochwalony.

— Na wieki wieków. Cożyście też u nas...

— Ale dyć my czuli, że macie cereę do wydaja, że je kąszczek zymie, a jo mom kupe dziecich, chciolbych tu oto Janka przyżynić. To je szykowny synek, umiy robić.

— Nó dobre, pomówiymy.

— A wypijmy co?

— Tóż jakieście co przyniysli? Bo ja nie była na to przygotowane.

Ci przywiyżli dwa litry fajnej gorzołki, leją po kieliszku, popijają, a Hanka sprzące — jako po wieczery, smiato, rychtuje...

— Haniczko, pój za stół, jeszcze posprząncesz.

A mama powiada:

— Dyć aspoń przyniys wina, kie gorzołki ni mómy.

Mieli taki bioly żbónek, z piędziadwacet abo trzycet cyntimetrów wysoki, tóż gazda naloł wina do tego żbonka, postawił na stół, na postrzodek. Ale go jeszcze nie pili, do porcyłonek ponalywali, siedzą.

— Nale Hanka, na dyć poj, pochynń tą szmatę — powiada Janko.

Hanka chynyla szmatę, idzie, widzi tyn żbónek, a mieli takigo kocura biołego w chałupie, myślała, że to kocur tam siedzi na stole, trzas ręką po tym żbonku, pado:

— Psika, zdechlino, jeszcze tu cie trzeba?!

Tóż jegłę przedtym naszła, ale żbonka nie poznała. I ci pras do pola, poszli, już było po snębach.

Zanotował:

ROBERT DANIEL

Z POWIĘDZEŃ LUDOWYCH

Tak to bywo na tym świecie, każdy swojóm biyde gniecie.

★ ★ ★

W czym go widać, w tym go pisać.

★ ★ ★

W pióntek śmiych, a w niedziele płacz.

★ ★ ★

Wieczera hojna — noc niespokojna.

★ ★ ★

Dej kurze miejsce na grzyńdzie, to mówi, że wyży wyńdzie.

★ ★ ★

Kowolowa kobyła, a szewcowa baba chodzóm jednako.

PORY ROKU

DOŻYNKI

Po dziedzinie rozlygo sie muzyka, tako skoczno, że hej! Nie dziwota, dyć przeca sóm dożynki. Kaj kiery idzie wystrojóny, tela norodu sie zebralo — cało wieś do kupy.

Słónecko pięknie świyci, isto raduje sie pospołu z gazdami. Dyć przeca kóniec piloby. Łobili skludzóno do stodoły, podarziły sie latoś ty urody, tóż bydzie szwarny chlebiczek.

Terozki radujmy sie — dzisio śwynto wszystkich gazdów, gaździnek, dziywek i pacholków. Podziwejcie sie, jaki to szumne! Nojprzód idóm dwie szykowne frelki w cieszyńskich sukniach. Strzybne hoczki błyszczóm na słóncu, a roztomaite kwiotki na żywotkach sóm taki piękne jako baji chabry abo maki na zogónach. Na dlóгих binkoczach majóm zwióznane na kistke modre i fijołkowe maszki, kiere furkajóm wiesioło. Dzywczynta niesóm pospołu wielucny winiec z nejszumniejszej pszynice, ustrojóny maszkami i kwiotkami uszkubanymi kansik na miedzy.

Za nimi jedzie pumalu lostatni wóz z zebranóm z pola pszynicóm. Też pięknie przistrojóny na to śwynto. Jakisi bandle roztomaite, a pomiyndzy klóskami kwiotki i kistki jarzymbiny. A kóniczki taki szumne — aż radość sie podziwać. Dali idóm żyńcy z kosami i dzywczynta z grabiami i kosokami. Stowajóm przed gazdami a przodownica mówi:

*Nasi gazdoszkowie roztomili
my wóm tyn winiec uwili
z pięknych, łobiyranych klóseczek,
wiele w tym wiónecku ziorneczek
coby Pónbóg doł na rok tela kopeczek
cobyście byli dobrej myśli
a nóm co dobrego za tyn winiec prziniyśli.*

Gazda dzyinkuje za robote i czynstuje wszystkich miodónkóm, a gaździno kołoczami. Dzywczynta i pacholki łodgrywają, jako trzeja było łobili sioć, kosić, stawiać do móndeli coby uschło, a na kóniec zwożać do stodoły i młócić.

*Stón syneczku z rana, dej kóniczkóm siana
jużeś sie móg wyspać przez noc aż do rana.
Stowejcie, dzyweczki, zbiyrejcie siyrpeczki,
zezeńijcie, powiównicie lostatni snopeczki.
Zwiyżcie do stodoły, siadejcie za stoły,
dajóm wóm gazdoszek po dwa, po trzy poły.
A naszo gaździnka nalejóm wóm winka
i z makym kołocza dajóm wóm gaździnka.*

Po calej dziedzinie rozlygajóm sie taki wiesiole przyśpiywki, a muzykanci grajóm skoczne kónski, tóż radujóm sie a tańcujóm wszyscy. Młodzi i starzi, gazdowie i parobki razym śpiywajóm:

*Gazdoszku, gaździnko do was wstympujymy,
wszystkiego dobrego wóm też winszujymy.*

Dyć przeca to je wielki świąnto wszyckich tych, co robióm na polu. Wszyckich co rano wczas stowali jak jyny kohóty zapióły i harowali telkowne godziny aż do ćmoka.

Wiele to dni trzeja w pocie robić, coby tako szumno pszynica na chlyb urosła, tego terazki zodyn nie spómino. Dziwczynta uśmichnione skoczóm z kawalerami. Maszki przy binkoczach furkajóm, spodnice kryncóm sie coraz wyżyj, a zgrabne nogi same tańcujóm.

*Kozoka bych tańcowała, kozoka mi grejcie
kierego jo bydym chciała, tego wy mi dejcie.*

Bawióm sie i śpiywajóm jedyn przez drugigo. Dzisiaj sóm dożynki, tóż lycastle miodule, a nie żałujcie! Zodyn przeca terazki nie rozmyślo ło tym, że na drugi dzień zaś trzeja wczas stować, łodbywać gowidyż, dojić i paś krowy, że fót telkownej roboty czako kole chałupy.

Gwiozdki szumnie świycóm na niebie, a wszyckim je wiesioło. Jeszcze je świąnto, jeszcze gro muzyka, a stary gazda stoi przy szynkwasio i śpiywo:

*Za nic nie zamiyniym tej starucnej chatki,
tu sie mój lojciec urodził, jak i moji dziatki.*

WILIJA

Staro Jewka zozdrziła do łokna. Śniyg fót fujo i kole chałpy zbierajóm sie wielucne zomynty. Strómy w zogródce bieluski, a krzoków rybiżli ganc nie widać. Chodniczek do dziedziny zasuty i Jewce zdo sie, co sama na ostatek żyje na tym świecie.

W zimie rychli robi sie cima, a gor skyrz taki szudery i Jewka ani sie nie łobezdziła, a trzeja było rożygać lampe na nafte. Wziyla kónsek trzosi i zapolila jóm pod blachóm, schynyla celinder, zapolila knut, a potym lampe niechała na stole. Zima nióm dyrbała, tóż zapiyla hónym knefle przy jakli i chynyla na plecach strokatóm hacke. Podziwała sie naspadek do łokna, coby aspón mały janiczek w jaki chałpie pod gróniczek blysnął. Nale psińco. Za łoknym czarno jak stodno, a śniyg fót suje i suje...

Roki żynóm wartko jedyn za drugim bez łopamiyntanio i Jewka downo przywykła do tego, że ni ma do kogo gymby łodewrzić. Jak na swoji roki je fót gibko i aspón kole siebie porobi i dycki po chałpie sie szmatle. Abo jakisik capart poukludzo, abo warzi na łobiod bulczónke, abo ficuje kopytka, a jak je jako tako pogoda, to sie pumalutku docwancko do przocieli. Nale dzisiaj je wilija, niezla nic robić i wieczór sie sztrasznucnie cióngnie, a w izbie tak otympnie. Przocieli jóm pytali, coby przysła do nich na wieczere, prawili „ni ma możne, a bodej bydziecie sami”. Nale Jewka już tako je, nie chce robić żodynemu utropy i dopalować, dyć tela roków je sama, to przeca przywykła.

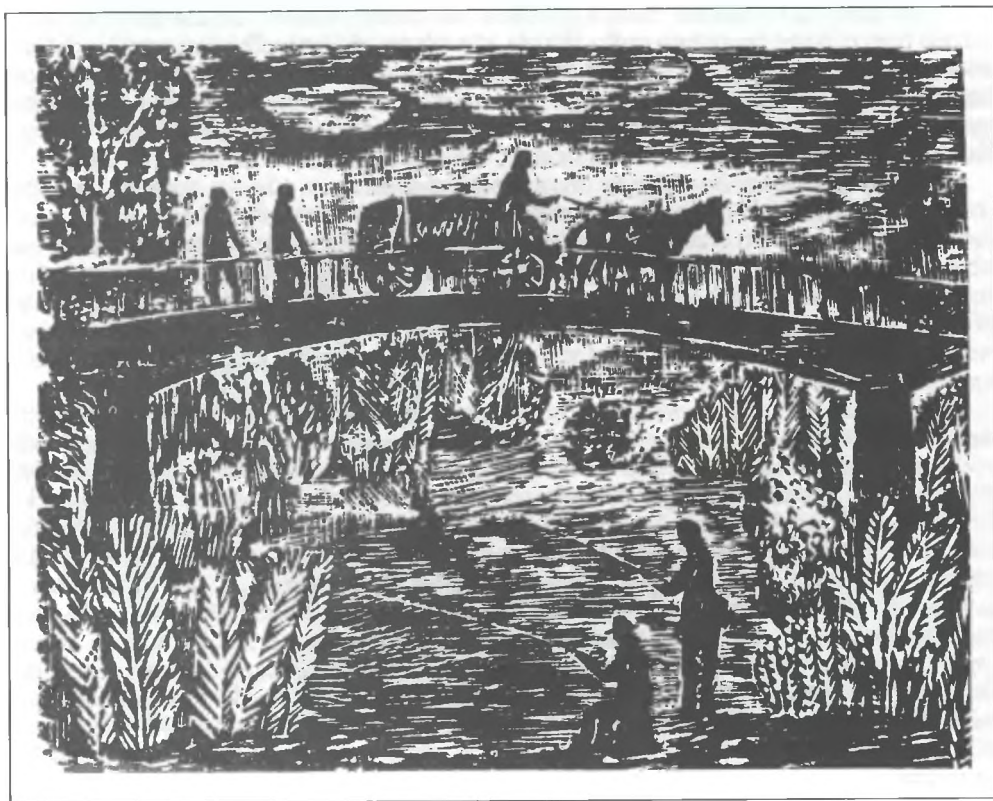
Pumalutku siadła za stołym, pogladziła wyszkróbińóm i wybigłowanóm biolóm serwete i rozglóndła sie po izbie. Co wieczór posłócho tej samej muzyki — łogiyń trzasko pod blachóm, godziny, co wiszóm na modrej ścianie malowanej w strzybne kwiotki, cicho żynóm naprzód, za łoknym wiatrem ruszo gałynzióm i brzinko ło szybe. W te wilije zdo sie Jewce, że je bardziy samotno niż w insze dni. dycki se nóndzie jakómsik robote, tóż ani ni mo czasu, coby rozmyślać. A dzisiaj szolónto sie z kónta w kónt. Dziwo sie do zdradła, poprawio szury kragiel i strzybne hornodle we włosach; dyć przeca sóm świąnta. Rozglóndło sie po kuchyni, na ścianie wisi łobrozek, co go hańdowni mamulka na łodpuście kupili i teschno sie ji robi za łojcami. Siadła na sztokerle koło pieca i spómino, jako kiedysi stroili z siostrami goiczek, a mamulka piykli kolocze i ciastka. Dziwo sie na puste stolki i rozmyślo, jako hań downi było wiesioło. Wieczerali pospołu, śpiywali kolyndy i szli do kościoła. Kaj sie podzióły ty czasy? Wóniało ciepłymi ciastkami, jedliczkóm, co jóm lojciec dycki z lasu przismyzył i świyczkami, co sie jich moc rożygało na goiczku.

Jewka niechała ty spóminki, bo kocur skoczył z pieca na deliny i zaczął się łochlić kole jeji nóg. Prziniósła mu ze szpajski kónsek szpyrki i ciepła ku kredynsce, nale tyn

zeżoł to roz dwa i fòrt mu było mało. Podrobiła mu łokrajek z kołocza i nalola młyka z glinioka. Pumałutku sie zgibała, ba rewma jóm targala i cosi fòrt pichało w krzizu. Zakiel kocur jod, ciepła kapke chebzio pod blache, coby ganc nie wygasło, i zaparziła se w gorczku zieleń na krzipote.

Podziwała sie na godziny — dziepro trzi sztwierci na siódmóm. Prziniósła buchte, pore jabłek a łorzechów, potym na ostatku opłatki i miód. Rożnyła świyckze i zaczęła śpiywać z kancynoła „Chwała Tobie, Boże miły, żeś nam pożywienie dał”. Głos starej Jewki załómoł sie i skyrz tych spóminek nie lza ji było samej cióngność nuty. Porzykała i chyciła sie jedzynio. Już pore roków nic nie warziła na wilije, dyć kiery by to jod, a łónej samej starczy tela co ptożkowi.

Jeszcze roz podziwała sie do łokna. Śniyg przeca przestoł suć, a na niebie Jewka uwidziła złote gwiozdki. Całe wielucne niebo blyszczy sie, jakby go kiery ustroił na świynta. Za oknym cicho i cima kaj sie podziwosz, nale Jewce tak sie lekczyj zrobiło na duszy, bo sie ji zdalo, że to łozłocóne niebo to jeja gwiozdka, co jóm dostała łod Pónbóczka pod goiczek.



Wisła w Skoczowie, rok 1963. Drzeworyt Edwarda Biszorskiego

Zdarzilo sie to dobrych pore roków przed łostatióm wojnóm, jak zech jeszcze był takim se klukym. Ni miolech wtynczas wyncyj jak dwanoście roków i chodzowół zech isto do pióntej klasy szkoły powszechnej. Jedyn roz, a było to kansikej w połówce czerwca, prawie szelch ze szkoły do chałupy, jak zdarził mi sie tyn wyprask z pszczołami.

Bylech akurat na proti w zogrady sómsiada Gluzy, co go wszyscy nazywali pszczelorzym, a to skyrz tego, że miał norymnie hólí z pszczołami. Nogle słyszym jakisikej rajwach, tak, jakoby kiery walił żelazym o kose, bo brzynczała, aż hōczało. Jak mie Gluza spozorowół, to wrzasknół na mie:

— Póć tu haf, a gibko, bo mi sie akurat pszczoły rojóm, a żodnego ni móm ku pumocy!

Chocioż zech sie wtedy jeszcze hrozucnie boł pszczół, zmógło mie wołani sómsiada i ciekawość chłopczyska. Jedynym hibym przeskoczylech jego lichawy sztachetowy płot. Taszka ze szlabikorzym i zeszytami zóstała wisieć na sztachecie i przygiynty pod strómami leciolech na pomoc.

— Mosz tu kose i kładziwko — słysz — bij w nióm, wiela wlezie, żebyś pszczoły zbałamónił, to daleko ta gmeć nie polecí. Jo zaś skoczym po wodę, sikowke, okurzac, przetak i drabine, a weznym se też zaroz na głowe słómiok ze szlajerym, bo sie mi zdo, że sóm jakisikej spórne, tóż też ni móm co hojraczyć.

Minyla ledwo chwila, a kole mie zaś stanół zdyszany Gluza. Zarozki zaczął szprycować wodóm wokół tej hroznej gmeci pszczoł, co lotała i siodała na gałynzi pod wyrchym starej jabłóni.

— Trzeja łopaternie szprycować — prawi — wtynczas zmoknięte zbijóm sie roz dwa w banie i ucieczke majóm z głowy.

Teraz sikowke dostół do rynki jo i miolech szprycować dali. Gluza zaś wziół drabine, podstyczył jóm pod gałyz, kaj siedziały pszczoły, dobrze jóm oprził, a do rynki wziół przetak, nakryty jakómsikej łoktuszmóm i pomalućku, szczebel po szczeblu, łoz pod wyrch drabiny. Jak był już przy pszczołach, to podołech mu dlógóm klu-

WŁADYSŁAW MAJĘTNY

MILIJÓŃSKI WYPRASK Z PSZCZOŁAMI

ke, kieróm zahoczył kole pszczoł. „Je jich tu godnie, tak jyny sie tu gmyrzóm. To je prowadziwy rój, a żodyn tam porojek” — prawił do siebie. Przetak podzierzowół pod pszczelóm banióm, a mie kozół fest pociógnónć za drugi kóniec kluki. Szarpnólech roz, ale to było za słabo i miolech jeszcze roz, by łostatek pszczoł spod do przetaka. Tózech tak zrobił, ale na moji nieszczyńści ta kupka pszczoł zamiast do przetaka ruszyła na mie. Jak zech wrzasknół, to Gluza o mało z drabiny nie zleciół, a jo na oślep pognolech przez zogródę. Osiywani sie od pszczoł niewiela mi dało, bo szczypały mie, kaj popadło; po głowie, rynkach i aji po plecach pod koszulóm. Gibko zedrzylech ze siebie koszule i nie wiedzieć, co dali robić, skoczylech ze strachu do padółu z wodóm miyndzy gynsi i kaczki. Tak zech sie pozbył pszczoł, chocioż niejedna pakaż jeszcze mi nad głowóm brzynczała.

Za chwilke woło Gluza — kaj sie podziywosz, na dyć wylazuj już z tego kowiora, pszczoły sóm w przetaku przykryte, nie locóm i idym ich dać do chlódka. W piwnicy bydóm do wieczora, zziymbniynte nie bydóm spórne i roz dwa wleżóm do hóla lebo rojarki. Gdybych rojarkę miał dóma, a ni u łujka, to nie byłoby tela wyprasku dzisiaj, a ty, boroku, nie byłbyś tak poszczypany. Wyglóndosz teraz mizernie, gymbe mosz tak opuchniyntóm, że za chwile nie bydziesz widziół na łoczy i ani cie mamulka isto nie poznajóm. Wybocz, że to tak nóm dzisiaj wyszło. Za pore dni bydym wybiyroł pszczołóm miód, to mie naszczyw i se ponaszujesz, a osłodziż żywobyçi. Hnetka też zapómnisz ło tym rojyniu. Dóm ci jeszcze skoz, ale przidź na isto.

Z tego przeżycio toch aji zaniemówił, zatkało mie na amyn, nic zech też nie rzeknół, jyny drałowół do swojij chałupy. O taszcze ze szlabikorzym zapómniolech na dobre. Jak mie mamulka takigo boroka uwidzieli, to aż rynce słożyli.

— Na lokrysta, kaj cie tak pszczoły lebo łosy poszczypały!

Gibko też przyniósł jakisikey zielyniny (isto to była pietruszka) zrobili mi okłady, pozwyciągali ze skóry, kaj było widać jeszcze jaki zóndło, nawarzili zielin, a jo po wypiciu legnyłych na ławie i społech do wieczora. Na szczynści spuchlina sie straciła i mamulka nie musieli chladać jakigo maściorza.

— Na młodym to zgore jak na psie — prawila mamulka.

Sznak słodkigo miodu miolech na teraz z głowy i ani nie myślolech ło tym, by kaj jeszcze łazić ku pszczolóm. Za pore dni prziszół skoz od sómsiada, że móm sie przyrchtować na jutro i jak nejrychli być ze szkoły u niego, bo chce od połednia wybiyrać pszczolóm miód. Tak myślym co tu robić, bo strach przed pszczolami miolech tak wielki, że zgrode Gluzy omiiolech z daleka. Słodki miód kusił jako diosi i w kóncu zech uznoł, że jak nałożym na głowe słómiok ze szlajerym, tak jak to robuje pszczelorz, to fige mi zrobióm ty bezkurcyje. Mamulka byli prociw tymu. Prawila, żebych sie wysmolił na kapke miodu i raczyj siedziół w chałupie. Jednak cichym poleciolech do Gluzy i prawiyim, że jak mi pojczó słómiok ze szlajerym, to mogym mu pumogać, inaczyj ni, bo nie chcym mieć gzycht drugi roz poszczypany i ani nie myślym drugi roz moczyć sie w tej kalnej wodzie razym z gynsiami lebo z kaczkami.

— Czymu ni, mogym ci pojcząć — prawi — bo móm w zapasie drugi.

Nałożylech go gibko, bo trzeja już było odbiyrać rómki z miodym, kiere pszczelorz zaczął wybiyrać z hólí. Nejprzód ofukół ś nich dymym z okurzacza pszczoły, co siedziały na płostrze, potym opaternie skrzydłym gynsim łostatni pszczoły zmiót

do hóla i czyste mi podowół, a jo ich przenosił do pawłaczkí ku ustawionej tam miodarce. Z trzech hólí nazbiyrało sie dziesiyńć tych wyinkrzych i dziewiynć miynszych rómków z płostrami pełnych zdrzalego miodu. Przed wkłódaním jich do miodarki, przeglódnół każdy rómek, a zasklepióne woskym kómórki odsklepiół takóm widliczkóm, by miód raźnij wypływoł przy miodarkowaniu. Za jednym razym włazowały do miodarki trzi rómki. Oprzite dobrze o dróciate ścianki kołowrotu, mógły być wyirowane. Pod taki cypulik u dołu miodarki podstaWił glinany pónclók na miód. Jo zaś obraćół takóm rónczkóm tyn kołowrót miodarki, by rómki ze szfóngym obracały sie wkolo i miód ściykoł do póncloka. Po chwili trzeja było przerwać kryncyni, obrócić rómki w miodarce na drugóm stróne i dali kryncić, powiele był miód w plastrach.

Miodarkowani skóńczyło sie isto za póldrugo godziny, a miodu w trzech pónclókach było kole patnoście litrów. Prawił mi Gluza, że to je dość sporo, bo nikiedy z tych trzech hólí wybroł jyny piynć litrów lebo jeszcze miyni. na odchodnym pięknie mi podziynkowół za pómoc, doł mi też litrowóm flaszkę miodu. Tela miodu było za pobabe i za to moji ciyrpiyni przy rojyniu pszczól.

— Na miodónke cie ni mogym pozwać, boś jeszcze szkolnik, a na poczynstnóm musisz poczkać jeszcze pore roków. Skyrś tego, że pszczoły szczypióm, dali sie jim przaje, bo kiery by zapylół telkowne kwiotki i czym by sie miół człowiek polyczyć, jak ni miodym, jak go zmorzi jako charwa lebo jaki choróbstwo. Darmo trzeja prać tymu, co sie mo, a nie tymu, co sie chce mieć.

Takóm na odchodnym doł mi życiowóm nałuke stary pszczelorz Gluza. Dziepro jak bylech starszy i móndrzejszy, przyznolech mu, że miała ta powiadaczka na isto recht.

Tak sie, wycie, skóńczył mój piyrwszy pszczeli asbildung.

MARIA BUREK

TUL MNIE

*Tyle zła na świecie
Rządzi ecie-pecie
Dójdę i w noc ciemną
Jeśli będziesz ze mną*

*Tul mnie, mój miły, tul mnie, tul
I wytul z serca cały ból
Wytul, co gryzie mnie jak mól
A będziesz życia mego król
Dlatego tul mnie, miły tul*

*Pieść mnie, mój miły, pieść mnie, pieść
A będę tobie z ręki jeść
Wszystko najlepsze ciągle nieść
Nawet ci wierszem będę pleść
Tylko wciąż pieść mnie, miły, pieść*

*Śmieję się, mój miły, do mnie śmieję
Uśmiech jak prezent dać mi chcesz
Niech wryje się w pamięci mej
I chroni w każdej chwili zlej
Więc śmieję się, miły, do mnie, śmieję*

*Bądź ze mną, miły, ze mną bądź
Czasem po prostu przy mnie siadź
Bym mogła cię za rękę wziąć
Żal nawet przynieść, radość zmacć
Ale bądź ze mną, miły, bądź*

KATARZYNA FEBER



Lubimy

*w bagażu
obcych grzechów
ukrywać
własne winy*

nie lubimy

*odkrywać
kart
własnej
próżności*

Autorka urodziła się 1945 r. Ukończyła Liceum Ogólnokształcące w Cieszynie. Pracowała w Sanatorium Dziecięcym w Górkach Wielkich. Mieszka w Gumnach. Wydała tomik wierszy *Odruchy serca*. Członkini Klubu Literackiego „Nadolzie”.

ELŻBIETA HOLEKSA

WIDOK Z SERCA

*Hej! Moje górki
doliny.
Pejzażu serdeczny.
Delikatną linią
horyzontu
Przybliżasz niebu ziemię.
Ziemię tak piękną,
Jak tylko utęskniona,
rodzinna być może.*

*Hej Olzo – górską rzeko!
Leniwym rytmem
ciągnęłaś za sobą
daleko w świat
me*

myśli

marzenia

wyobraźnię.

*Czasem pokazujesz
potęgę i władzę żywiołu.
Wtedy widzę i czuję
w tobie
Ducha tej ziemi.*

*Klaniał się Wam,
Studnio Trzech Braci,
Wieżo zamkowa,
Rotundo – historio wiekowa
Dziękuję za dumę
z Ziemi Ojców Moich
Pozwala ona żyć
hen daleko ... daleko.*

Autorka urodziła się w 1954 r. w Cieszynie. W 1973 r. zdała maturę w Liceum Ogólnokształcącym im. A. Osuchowskiego, a w 1976 r. Policealne Studium Spółdzielcze. W 1977 r. wydała tomik poetycki. Pracuje w Teatrze „Rampa” w Warszawie.

URSZULA STEFANIA KORZONEK

ROZMAWIAĆ

*Nie o nas
– Kończy się
rozdział
cicho zamyka*

*Z pamięci
ulatuja*

*wspomnienia
– ważki*

*Na przeźroczyстых
skrzydłach
niedostłyszane
Słowa –*

Autorka ukończyła studia pedagogiczne. Pracowała w Sanatorium Dziecięcym w Górkach Wielkich i w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym w Bielsku-Białej. Członkini Sekcji Literackiej ZNP w Bielsku-Białej i w Cieszynie oraz Klubu Literackiego „Nadolzie”. Wydała arkusz poetycki Wiersze (1991) oraz książeczkę dla dzieci Przygody Lewusia.

RUTA KORNELIA LISSOWSKA

NIEDZIELA POD JELENICĄ

*Jest taki spokojny zakątek w Ustroniu,
gdzie wtulony w zieloność domek stoi szary.
Na strażę świerki i kwitnące krzewy,
niedaleko w wąwozie potok szemrze stary.*

*Na dorodnych jabłoniach czerwieni się owoc,
W rozpalonym ognisku już głównie się żarzą
i błękitny dymek z wiatrem się unosi,
ku niebu zaś pieśń beskidzka wzbija;
ciepło jest i miło, pachnie las nad nami,
zapalają się gwiazdy, jasny dzień przemija.*

*Tak dobrze mi tu było z wami kochani,
z dala od zgietku o wieczornej porze;
pod dachem zielonym wśród bezmiaru ciszy
poznałam, jak życie wspaniałym być może.*

Autorka urodziła się w 1941 r. w Cieszynie. Absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika. Należy do Klubu Literackiego „Nadolzie”.

ANDRZEJ MACURA



*Płynie gdzieś rzeką gałązka wierzbowa,
Nie ujrzyysz jej więcej, uniesie ją woda.
Teraźniejszości złudny to gest,
Bo już jej nie ma, a niby jest.*

*To przeszłość polyka minuty, godziny,
Które przed chwilą jeszcze tu były.
Przebrzmiałe słowa echem drżą
I już ich nie ma, a niby są.*

*To co jest teraz i tutaj, się wie,
Już nawet nieważne czy dobre, czy złe.
Wszystko przemija jak ranny deszcz
I już go nie ma, a niby jest.*

*W pośrodku pomiędzy było a będzie
Życie targane jak wiatrem gałęzie...
I jest to sub judice lis est,
Bo niby go nie ma, a niby jest.*

Autor urodził się w 1949 roku. Jest mieszkańcem Dziegielowa. Ma wykształcenie techniczne.
Zadebiutował w 1998 roku na łamach „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”.

WŁADYSŁAWA MARYNIOK-CIEŚLAROWA

CISZA

Uśmiechem zorza
kopiczki ubarwila
kropelki lez
roztrzęsione jak skry
na rzęsach trów
pereleczkami rozwiesila
w smrekowy gąszcz
tysiące iskerek sypały
ponaciągot je wiater
z gałązeczek zdziyról
kapu kapu kap
w kaluże trawniczków
zaplakane

 leciały
Zaruszol wiater
delikatnie smrekami
w czuprynach buków sie rozjargol
w tafle wiślanó
wparzil pazurami
na strzępy lustro wodne stargol
potoczki spiętrzył

w wodospady wzburzil
iskier tysiącem rozjarzil
na gróniach ptasi
rozćwiyrkol sie ludek
owad w akompaniament uderzil
fontanny żywic rozpylily lasy
odżywczym tchnęły oddechem

a potem
cisza
cisza zachwycóno
i serce
co jak młot
wali

i czar
i rozkosz
co czuje
wnętrze
cisza
milczeniem
 zbożnym
 chwali

Autorka urodziła się w 1923 r. w Wiśle. Uczyła się w szkole powszechnej w Trzyńcu na Zaozliu. Całe aktywne życie zawodowe związała z Wisłą. W 1974 r. jej wiersze zostały nagrodzone w konkursie literackim XI Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Wydała tomik *Roztomiła Wisła*.

ANNA MAZUR



*zapamiętam te wszystkie zakręty
rozebrane do naga budki telefoniczne
dyndające na sznurze zdania
przerwane w pół drogi do ...*

albo nie

*nie chcę pamiętać
właściwie
niczego nie chcę
pamiętać*

Autorka urodziła się w 1948 r. w Drogomyślu. Ukończyła Technikum Ekonomiczne w Cieszynie. Ma na swym koncie tomik poezji *Moje przez świat wędrowanie*. Jest członkinią Klubu Literackiego „Nadolzie” i Grupy Twórczej „Strumień”.

EMILIA MICHALSKA

STROJU MÓJ...

*Stroju mój stary, dzisiaj bez wartości
przeżyłeś chwile swojej wspaniałości.
Dzisiejszy czas ci konajączke dzwoni,
twoja się główka na sen wieczny kloni.*

*Łodno już siła nie natchnie cie duchym.
Byłeś kwitnący, teraz będziesz suchy.
Butwiejesz w sobie uznojony, stary,
bo wieś się stroji podle nowej miary.*

*Kietedy jyny służysz ku zabawie;
migniesz barwiście w siedlacznej postawie,
sprzagniony z tańczym, czy ze starą śpiywką,
by zaś na boku siednyć starą dziywką.*

*Żeś pięknie słóżył: starce, manie, ciotce,
za to kantandy zamkną cie w gablotce,
jak dziwonisko pokazować bydą
i nic nie poczniesz, stroju mój, z tą bydą!*

*Nowe się dziś rodzi, a stare się traci,
świat rod za przysługę niewdzięcznością płaci.
Stary strój w chalupie niewielko oskoma,
już się jyny w trówie bydzie czuł jak w doma.*

Autorka urodziła się w 1906 r. w Pruchnej. Jej sylwetkę i omówienie twórczości zamieszczamy w innym miejscu.

WŁADYSŁAW MLYNEK

PO KOŁĘDZIE

*W starej izbie, zadymionej,
Kajsi na Filipce,
Szkroboł palcem pastyrziczek
Na zamarzłej szybce.*

*Wiater gzi sie, śniegym wali,
A zomietów wszędzi,
Jakóż w biydnym kabociczku
Chodzić po kołędzie?...*

*Ze żalości wziół do ręki
Jalowcową szczyke,
Taki słowa ryl pumatu
na zamarzlą szybkę:*

*- Aby wóm też przez rok cały
Nie chybiło chleba
Ani soli, ani maki,
Ani słonka z nieba.*

*Abyście też, gazdoszkwie,
Wszyscy zdrowi byli,
A Wilije w prziszłym roku
W szczęściu sie dożyli. -*

*Od tej chwile uleciata
Roków szwarzno kupka,
I zostata jyny szyba
I pusto chalupka.*

*Jak zech w lecie na gróniczku
O słoneczko pytol,
Toch na szybce zaprószónej
Ty słowa przeczytol.*

Autor urodził się w 1930 r. w Gnojniku, zmarł w 1997 r. Był nauczycielem, aktywnym działaczem PZKO. Wydał zbiory poezji: *Spiwyy zza Olzy i Śpiwające zbocza*. Poza tym publikował w antologiach i wydawnictwach zbiorowych, w prasie i w kalendarzach. Jego *Koło, koło młyński* zostało poświęcone folklorowi dziecięcemu.

JAN PYSZKO

OSTATNI TREN GOROLA

*Dostojna w bieli wieczna zieleń
Słucha cisza gór
W górze
Powitalna Symfonia Nieba
Na ziemi
ból*

*Co z miłości poczęte teraz w smutku
Na warcie
żałobne kiry Krzyż Najbliżsi*

*Boże
dusza moja do ciebie
Weź ją na swoje łono
Grzeszyłem
Z grzechem toczyłem bóg
Modły i śpiew nie zawsze ku Twojej chwale
kamień
znój
Takąż moja dola
na amen steranego żywotem
gorola*

*Śpiewałem duszą
Tobie ziemi ludziom
Odpuść
udziel gościny
przygarnij na hale nieba
połoniny
a będę ci śpiewał
hej
będę na trombicie grał co sil
o owieczkach na Twoim szatasie śnił*

A tym
co pozostali pomóż dźwigać krzyż
Twoja wola
Dokornie proszę
nie daj szczepać niepokornie rogatej duszy
gorola
Amen

Wokół
Wiekuisty Chorał
ludzie
Ciało do ziemi w twoim Boże znaku
dostojnie

Spij spokojnie
na zawsze odwołany Spiewaku

Autor urodził się 1925 r. w Nawsiu k. Jabłonkowa. Ukończył Państwowe Liceum Pedagogiczne w Cieszynie; Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Bratysławie. Poeta, prozaik, tłumacz literatury słowackiej i czeskiej. Wydał *Pęknietą pieczęć*. Publikował w almanachach, prasie i w wydawnictwach regionalnych.

JERZY RUCKI

GODY

Godami wónio uod świętej Łucyje,
kiero co roku, chnet po Mikolajach
nawściybio Beskid. Aże po Wilije
dziecka podpolkym chowajóm po szparach

každy dziyń jednóm. By na kostkym wyschła,
coby gorzala potym jako słóna,
coby z niy iskier koruna wytrysła
i obwieścila Wilijym po dómach.

A jak Wilija do grónich zawito,
zwiastując Gody Narodzynio Pana,
jakosi dziwno moc, niesamowito,
do ludu weńdzie uod samego rana!

Bo poza dómym – ani na nosiyni!
Bo piekóm buchtę, koloczički, babki,
manglujóm nuggle, mielóm mak, korzyny,
miód przizprawiajóm, powidla, uopłatki...

Jako howadka robotne, jak mrówce,
kręcóm sie w izbie, królujóm przy blaszi,
a jyny warzóm a piekóm! Bo gdo chce
mieć szumne Gody, tego nie uodstraszi

ni hyc, ni dymy, ni wagli, ni para,
tyn na Wilijym ni może być słaby,
lebo nimocny, lebo niewydara!
O, dobrze uo tym wiedzóm nasze baby!

Chłopi po lasach, po polach sie smyczóm:
bo obergojny mo gón na zające.
Do gónie wrzeszczóm i sanowabyczóm
przy štwiertce czistej lebo przy warzónce.

*Chłapcy na sónkach, na skizach, pó nogach
za jedliczkami do lasa wyskoczóm,
tam nejszumniyjszi wybierzóm ze mnoga
młodziučkih strómków uo biółych warkoczach.*

*Rowne jedliczka musi mieć gałązki,
– po sztyrzi, po pięć przzi każdej korunie –
piyniek prościučki, nie hruby, nie wąski,
i dlógi czupel! Jyn w beskidzkich gróniach*

*takowe strómki możesz nójść na Gody.
Dóma siyrotka, co wyrosła w lesie,
nieopisanej nabiere urody
i swojóm krasóm radość w sierca wniesie.*

*Jak pyrw szo gwiozda nad Kiczory wyńdzie,
a ciszi skrzydla opadnóm na pola,
jak z niebym zlejóm sie grónich krawędzie
wtedy sie zacznóm Gody u góróla!*

— — —

*Hej Gody, Gody, wy beskidzki Gody,
uroku pełne, czaru, świata, krasy,
miłości, kiere chce jednać narody
na końcach świata i po wieczne czasy!*

*Hej Gody, Gody, jak kiejsi bywały
pod staróm strzechóm, przzi rodzinnym stole;
jyny wspominki mi uo was zostały,
ból i tesknica, co męczy a kole!*

Autor urodził się w 1919 r. w Jaworzynce. Gimnazjum ukończył w Cieszynie. Studia rozpoczął w Krakowie, a ukończył w Szwajcarii. W czasie wojny uciekł do Francji, gdzie walczył w 1 Dywizji Grenadierów Śląskich. Żyje w Szwajcarii. Z jego inicjatywy powstało muzeum regionalne „Na Grapie” w Jaworzynce. Otrzymał godność honorowego obywatela m. Cieszyna. Wydał tomik poetycki *Rymy znad Czadeczki* oraz dwa zbiory wspomnień.

BEATA SABATH-ROZMUS

TAŃCZĄCE SNOPKI

*Hej chwyciły się snopki pod boki
i dalejże skokami na stoki
na pola polany
w czas słońcem przybrany
na stoki!*

*Hej puściły się w tanę ze światem
z kolorami z Beskidem i z latem
z lasem z groniczkami
z wiatrem i z chmurami
i z latem!*

*J roztańczył się wieniec hej żniwny
pozłocisty słoneczny przedziwny
swym tańcem jak chlebem
dzielił się wraz z niebem
przedziwny*

*J uśmiechał się Pan Bóg doń mile
i ocalił uśmiechem tę chwilę
wśród czasu i świata
ten okruszek lata
tę chwilę*

*Więc choć mienia się żęncy i żniwa
wiatr wciąż snopkom do tańca przygrywa
pogodnie ze śmiechem
beskidzkim im echem
przygrywa*

Autorka urodziła się w 1962 r. w Cieszynie. Jest absolwentką filologii na Uniwersytecie Śląskim. Pracowała w Polskim Radiu i Telewizji Polskiej w Katowicach. Obecnie nauczycielka i dziennikarka. Debiutowała w 1982 r.. Wydała tomiki poetyckie *Myśli zielonych godzin* i *Cisza śpiewająca*.

LIDIA SZKARADNIK

BABY SIE WADZÓM

Tam pod grapóm na ściernisku
baby dały se po pysku.

Jewa drze sie w niebogłosy
Luza dzierży jóm za włosy.

Ty czutoro, staro szmato,
niech cie Dónbóg skorze za to.

Baby skoczóm jak kohóty,
jedna drugi depce bóty.

Jewa kaj popadnie pierze,
złoś jóm dzierży tod niedziele.

Szatke schyńczyła na plecach,
nie popuści ji tu przeca.

Luza dyszy, pluje pianóm,
fortuch kapse mo urwanóm.

Duchnie umazano gymba,
isto Luzie chybio zymba.

Jewa beczy, cicho styńko

na mokrym ściernisku kłyńko.

Luza jeszcze sie nadgryrzo,
zymby ze złości wyszczyrzo.

Fuczy ciynżko, nos uciyro
ku chalupie sie już zbiyro.

Ło co tela wrzasku było,
czy sie kómu co przisniło.

Jakóm plotke puścił kiero,
że sie praty ty cholery.

Nale nie dzinwota przeca,
na dziedzinie tako heca.

Dzisiaj rozchodzóm sie w złości
porachowały se kości.

Możne jak sie zaś spotkajóm,
to se aspón pogodajóm.

Bo tak to już je na świecie,
złoś i dobroć sie tu plecie.

Autorka urodziła się w 1956 r. Ukończyła historię na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach i Policealne Studium Muzeologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1979 r. została zatrudniona w Kuźni FSM i zajęła się tworzeniem jej placówki muzealnej. Obecnie dyrektor Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w Ustroniu. Od 1990 r. pisze wiersze, uprawia również prozę, głównie gwarową.

ANNA WERNEROWA

ZADUSZKI

*Partyzancki apel w rozzerwanych sosnach
wsparł się o pień krwawy – piersi gwiazd w bandażach
czerwienią traw trumny – wojsko zaduszkowe
rozstawiło w lesie dziecioly na strażach*

*Starka żółć gromnicy rozlala na szybie
niewidzącym kijem szuka cierni w dzwonie
co pękl w kaźni krzyku – krew się po mchu leje
krew z gałęzi tryska w cierniowej koronie*

*Łomień świec się na dno Wisły czernią wciska
pstrągi requiem palą – partyzancki apel –
głogi zeschle w bólu lampki zapalają
Beskid w bieli płynie chryzantemy kwiatem*

Autorka urodziła się w Krasnej w powiecie frydecko-misteckim, mieszka w Katowicach. Poetka. Wydała kilka tomików poetyckich, ma też na koncie antologię. Wygrała w kilkudziesięciu konkursach poetyckich w całej Polsce. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

KAZIMIERZ J. WĘGRZYN

NAZYWANIE RZECZY

(wiersz dla wnuka — Filipowi)

*popatrz! to trawa...
a to...łąka...
zielony dywan pod nogami
tysiąc owadów szumi w trawie
i wiatr się ściga z oblokami...*

*zobacz! to gałąź...
a to...drzewo...
wrośnięte w ziemię korzeniami
pień od północy jest zielony
bo obrośnięty porostami...*

*popatrz! to ziarnko...
a to...piach...
kamień i skala – to Beskidy
zielone góry las i łąka
na niebie jak okręty chmury...*

*zobacz! to kropła...
a to...źródło...
strumień co szemrze niczym mowa
popatrz! i nazwij każdą rzecz
po to są właśnie – S Ł O W A!*

Autor urodził się w 1947 r. w Miejscu Piastowym na Podkarpaciu. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1967 r. zamieszkał w Istebnej, gdzie podjął pracę jako nauczyciel. W 1979 r. wydał pierwszy tomik poetycki *Próba samookreślenia*. Od tego czasu opublikował kilkanaście zbiorów poezji.

BLAŻEJ WIŚNIEWSKI

PRZYSTAŃ ENIGMATYCZNA

*gdyby znalazł
cel swój
konformistyczny pajacyk
z małym cyk
żyjąc od martwego się różni
niemożnością fizjologicznej
potrzeby
ów cel innym się
staje i staje
w gardle palem nabity
lecz on nie daje się
poznać
objawi się, więc
koniec ... już ...*

Autor urodził się w 1973 r. w Cieszynie. Uczeń cieszyńskiego Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika, członek Klubu Literackiego „Nadolzie”.

Potężna czarna bryła wołgi wtoczyła się przed bramę nadleśnictwa. Podniecony gospodarz w tempie biegiem marsz podbiegł do limuzyny, za nim wyskoczył wystraszony adiunkt i w idealnym duecie „witamy towarzyszu sekretarzu” kłaniali się przybyłemu. Adiunkt ugiął przy tym kolana, a szef podciągał się na baczność.

Siedzący obok kierowcy mężczyzna w berecie a la Erazm z Rotterdamu nie odpowiedział na piękne powitanie, burknął jedynie;

— O której wychodzi?

— O dziewiętnastej piętnaście towarzyszu sekretarzu — odpowiedział duet.

Stary Łomozik wyjął z ust fajkę i po swoim splunął, usiadł na sfatygowany rower i prowadził na ambony. Kierowca klaksonem popędzał przygarbionego cyklistę a on raz po raz podnosił się z siodelka i warczał na odbytnicy. Po dziesięciu minutach zszedł z roweru i zawołał „halt”.

Ławeczkę ambony, zbudowanej dla dostojnego gościa, ścielił nowiusieńki skoczowski pled. Był w kolorze zielonym w lekko brązową kratkę. Obszycie było granatowe, ale jakoś te kolory do siebie pasowały. Łomozik usiadł na okrągłaku w rogu ambony.

O dziewiętnastej dwadzieścia łowca wskazał na zegarek i zwrócił się do przewodnika:

— Wiecie, rozumiecie, z dyscypliną i punktualnością to u was źle. Gdyby tak miał pracować nasz górnik i hutnik, nie mówiąc o aparacie partyjnym teraz przed jzazdem, nie byłoby Polski Ludowej.

— Co dej Panie Boże jak najrychli — pomyślał Łomozik i położył palec do ust by uciszyć „dewizowca” nie w obawie, że zamówiony kozioł nie wyjdzie, ale by przestał po prostu bulzczeć.

Rozmowa się skończyła, lekka mgielka otuliła leśną łąkę, potem jakby się podniosła i znów poprawiła się widoczność.

Rogacz wyszedł z dwudziestominutowym opóźnieniem. Z lewej strony ambony powolutku defilował przed nieznanym mu jeszcze obiektem.

ERWIN DEMBINIOK

MYŚLIWSKIE OPOWIEŚCI

Ostry strzał przeszył powietrze. Kuła, odbita rykoszetem od stojącej na jej torze olchy, poleciała z charakterystycznym gwizdem w nieznane.

— Leży.

— Leży i zaroz, pięknie proszym, po niego idym.

Łomozik zeskoczył z ambony i podążył w kierunku, gdzie przed strzałem stał spóźnialski kozioł. Ponieważ nie od dzisiaj znali gościa jako raczej niewyborowego strzelca było trzeba uciec się do takiej manipulacji, która przekona, że szczęśliwy strzelec kozła trafił i zachodzi tylko potrzeba odszukania go. Mistrzem tej sztuki był Łomozik. Po mniej więcej osiemdziesięciu metrach otworzył butelkę z krwią indyka, zarzniętego w południe przez służbowego nieokreślonej rasy teriera. Skropił miejsce niby zestrzału i udając się w kierunku uchodzącego rogacza kropił trasę jego ucieczki.

Shczęśliwy strzelec zszedł z ambony i pofatygował się do miejsca, w którym stał kozioł w chwili strzału. Za nim podążył kierowca. Podprowadzający pokazał morze farby i zapewnił o fajnym strzale. Kierowca orzekł, że terozki bydzie robota dla psa.

Przywieziono z nadleśnictwa czarnego jak smoła niby teriera, który miał odszukać strzelonego, a raczej postrzelonego kozła. Pies, naprowadzony na miejsce zestrzału, rwał w kierunku ucieczki zwierza, a kiedy zatrzymał się przed zwartą ścianą młodnika, kierowca znowu się odezwał i zawyrokował, że rogacz co prawda pewny, ale kto przejdzie po ciemku w takiej gęstwinie. Łowca z aprobatą pokiwał głową i polecił o ósmej rano telefonować o wyniku poszukiwania i pojechał.

Wczesnym rankiem pracownicy nadleśnictwa — ormowcy i kilku zaufanych ruszyło do lasu, by upolować dla towarzysza sekretarza kozła. Plan się udał. Celnym strzałem popisał się przewodniczący rady zakładowej. Ale jakie było zmartwienie szefa, kiedy Łomozik zwrócił uwagę, że ten, ten — jak mu tam mówicie, strzelał do wychodzącej sztuki na prawy bok, a tu jest akurat inaczej. Nadleśniczy z początku machnął ręką, ale kiedy gajowy dokładnie powtórzył rozmowę kierowcy z tym, tym, szefa obleciał po prostu strach. Zaczynał gość wiedział, z której strony oddał strzał. Po chwili, kiedy zostali sami polecił gajowemu zaszyć oba otwory po kuli i strzelić z właściwej strony.

— Robi się, panie szefie.

Łomozik jak się patrzy kozła załatał, a potem wedle rozkazu strzelił z bliskiej odległości do trupa z właściwej strony.

Około dziesiątej zdobywca trofeum był na miejscu i z zainteresowaniem oglądał swoją zdobycz. Pochwalił i to bardzo, nośność i celność swojego sztucera, bo kula siedziała dokładnie tam, gdzie celował. Ku rozpaczy nadleśniczego oznajmił, że nie zabiera parostków, gdyż żona nie lubi na ścianie kości, ale weźmie całą tuszę, jak leży. Łomozik łobuzersko splunął przez zęby i popatrzył na szefa. Był to prawie nieżyjący szef. Błady, ledwo trzymający się na nogach. Uniżenie prosił gościa na drugie śniadanie, chyłkiem odwrócił się do gajowego i jęknął:

— Boożel!

— Racja — odezwał się zapraszający — może lepiej ściągnąć z kozła skórę, niechże zostanie w nadleśnictwie, i podzielić tuszę na cztery jednakowe części.

Szefunio nabrał kolorów i ryknął:

— Na co czekacie!

A stary gajowy, który z niejednego pieca zawsze jadał przypalony chleb i całe życie wysługiwał się przeróżnym panom, splunął i do swojego określenia córka Koryntu dodał: „twoja mać”. Taki zawsze jak kot spada na cztery łapy...

CUDOK NAD CUDOKAMI

Gajowy Ignac był cudok nad cudokami, co oznacza dziwaka największego

kalibru. Ludzie go nie rozumieli, on nie rozumiał ludzi.

— Z Ignacym nie pomówisz — mawiał niejeden — on mo w głowie tylko las i zwierzynę. Szmatle się od rana do późnej nocy nie tylko po swoim obchodzie, ale po całym nadleśnictwie.

Nic dziwnego, że leśniczy Gazurek upominał go, by nie stykował nosa do jego trzech oddziałów od czeskiej granicy. Ignac nic mu na to nie odpowiedział, jyny popatrzył na niego wyraźnie i zdecydowanie spođe łba.

Kiedy sprawą wsędobylskiego gajowego zajął się nadleśniczy, ten odpowiedział, że wszystko wyłoży jak się patrzy na piśmie.

Usiadł w niedzielę po kościele w izbie za stołem i na żółtawym papierze w kratkę zaczął pisać. Zapytany przez połowicę, co takiego pisze i pisze, odpowiedział bardzo niegrzecznie:

— Co piszę, jak piszę i komu piszę to moja rzecz.

Kilka zapisanych arkuszy rzucił do kubła w kuchni i pisał dalej. Na krótko przed obiadem złożył napisany list.

— Fertig, gotowe, napisane jak się patrzy; śmierć klusownikom.

Na drugi dzień rano kupił w sklepie z szyldem mówiącym o handlu towarami mieszanymi kopertę i znaczek. Napisał kaligraficznie adres i wrzucił list do skrzynki umieszczonej obok wejścia do miejscowej gospody. Pół szorstki, pół krótki jamnik dreptał za jego nogami i oblewał płoty góralskich chałup.

— Podziwiejcie się, Ignac idzie, przeca nie był w kościele.

— Ani też w gospodzie — mówiły baby.

— Był u szewca z butami — zawyrokowała jedna z nich. — Chodzi po gorach jak obłąkany całymi dniami i nocami i drze buciska.

Tymczasem gajowy był już za opłotkami chałup i miarkował się ku szkółce. Pracowały tam trzy dziewczyny, z których Hanka Krężelokówna była najstarsza i najbardziej spolegliwa. Ignac jej mówił:

— Jak mnie tu ni ma, to ty jesteś jo. Pojmujesz, co mówię i co mam na myśli?

— Pojmuję i kapuję, panie podleśniczy.

— To mi się podobosz. Ordnung mi tu robić, nie ociągać się w robocie, a na wielką stronę chodzić na Łabajowy Potok do młodnika.

Hanka zapewniała, że tak będą robić. Następnie pouczył je, jak się zachować kiedy przyjdzie pan adiunkt. Dać pięknie chrześcijańskie pozdrowienie, a potem powiedzieć co robią. Nie chodzi o żadne meldowanie się, bo dziolyszyska są głupie, ale o pokazanie, że u podleśniczego Ignacego Z. jest porządek i dyscyplina jak się patrzy. Przed odejściem dodał, by podczas rozmowy z przełożonymi nie trzymać motyki na ramieniu i pięknie się im dziwać do oczy.

Po kontroli i wydanych poleceniach poszedł popatrzeć, czy głuszcowa kura siedzi na jawkach na obwarowanym żelazną obręczą gnieździe. To proste urządzenie stosowane w ostoi głuszców od czasów Marii Teresy nadal spełnia swoje przeznaczenie. Odstrasza od gniazda głuszcy drapieżniki, zwłaszcza kuny. Kiedy piskłeta opuszcza gniazdo, obręcz zostanie zabrana. Raz jednak się zdarzyło, że pozostawiona na miejscu do przyszłego gniazdowania, została ponownie wykorzystana przez kurę. Po prostu głuszycza w obręczy założyła gniazdo i wyprowadziła piskłeta. Gajowy podał to do nadleśnictwa, ale że im tam w głowie zawsze coś innego, problemem się nie zainteresowali. Ktoś nawet powiedział: mamy tego, co zaśmieca góry.

Obsesją gajowego było stałe i upórczywe podejrzenie, a co gorsze przekonanie o uprawianym w nadleśnictwie kłusownictwie. Podejrzał każdego, kto posiadał broń. Ponieważ nie miał z reguły właściwego sprawcy, kłusowników było zawsze co najmniej dwóch. Jeśli nie ten, to na pewno ten drugi, złodziej, chachar, sakulyntnik i baraba. Żarłby mięso i dziczyznę jak tchórz.

Takie podchodzenie do sprawy było niebezpieczne dlatego, że zawierało coś, co nie pozwalało na traktowanie jego podejrzeń serio. Ale było jeszcze to drugie coś: miłość Ignaca do lasu i do zwierzyny. Las był dla niego bajecznym zjawiskiem.

Las nie mógł istnieć bez zwierzyny, a zwierzyna nie mogła istnieć bez lasu. Już jako dziecko uważał las, bez względu na porę roku, za zaczarowaną krainę baśni. Bolało go bardzo, że nie może to, co widzi i czuje, wypowiedzieć słowami i tak pięknie opisać jak Morcinek górników. Zawsze go ciekawiło, co tam jest dalej w głębi lasu, tam jeszcze dalej, za wydeptanymi chodnikami i ścieżkami. Toteż nieraz idąc do szkoły z uszytym z worka plecakiem walił na przejmo. Tam były przesmyki — chodniki od zwierzyny i ostoje.

Pamięta, jakby to było wczoraj. Wracał przez las ze szkoły. Miał sto chęci zboczyć z wytyczonej trasy, przejść przez nieduży młodnik i zobaczyć, czy na polance nie będzie samy. W zeszłym tygodniu, tydzień przed Piotrem i Pawłem, była tu z dwoma młodymi. Jakież były one piękne... Stale je liżała, a one ją cykały. Cóż to był za czarodziejski widok! Gdyby się tak jeszcze dały pogłaskać. Przeca nic by im nie zrobił. Gdyby w chałupie znalazł kawałek cukru, to by przyniósł. Ale coś, ni ma. Od czasu jak tatę przypuściło drzewo, jest u nich bieda, aż piszczyci. Herbata z lipowego kwiatu albo z liści ostrężyn. Dwie kury złapał jastrząb, krowa przestała dawać mleko. Gonty na chałupie przegniły. Jezusku, odżyń te biedę od nas.

Nagle stanął jak wryty. Przed nim stał pan z siwawym wąsem i trzymał na rzymku rudego kudłatego pieska. Mówił do niego Topek. Oj, gdyby to był leśniczy Stec, ten by mnie na pewno zbił. Jeszcze pierwszej myśli nie sprecyzował, gdy jakaś nieznana siła kazała mu powiedzieć głośno i wyraźnie:

— Dzień dobry, najjaśniejszy panie prezydencie.

— Dzień dobry, chłopcze. Pamiętaj na zawsze: najjaśniejsza jest tylko Rzeczpospolita, a prezydent jest jej sługą.

— Tak jest, panie prezydencie.

Zapytał go, do której chodzi klasy, jakie otrzymał świadectwo na półroczę, jakiego spodziewa się za kilka dni i jak się nazywa. Pan prezydent uśmiechnął się serdecznie i zadał kolejne pytanie, które zadecydowało o losie chłopca.

— Gajowym chcesz być, powiadasz, a co na to twoi rodzice?

— Ojciec zginęli przy pracy w lesie, a matka na pewno się zgoda.

Wręczył mu dziesięć złotych, by dał matce i kazał, by pojutrze mama przyszła o dziesiątej do zameczku. Potem włożył rękę do kieszeni kamizelki i dał Ignackowi dwa złocisz. Podziękował i zaraz wyczuł, jak bardzo palą go obie monety w kieszeni.

— Przeca pan prezydent powiedzieli, że dwa złote są na moje osobiste wydatki. To znaczy, że mogę se za nie kupić co mi się podoba. Albo ni, dom matce i kupi mi piękne pisane galaty; jak pójdziemy do kościoła na zakończenie roku szkolnego, to je obleknę.

Tak czterastoletni Ignac medytował, jak zużytkować swój kapitał. W domu zaopatrzyli się w cukier, kawę zbożową, smalec i białą mąkę. Ignacek pędził na dół po całą bańkę nafty.

Matkę w zameczku przyjął kapitan Hartmann. Po skończeniu szkoły, co będzie akurat za rok, miał podjąć pracę leśnego praktykanta. Po kilku dniach ekipa rzemieślników z nadleśnictwa pokryła szindziolami dach domu. Dla synka przynieśli nowe ubranie i solidne buciki. Wszystko pasowało jak ulał.

Dzisiaj, kilka lat po wojnie jest gajowym, ba podleśniczym, jak się już to dłuższy czas mówi i pisze. I to jeszcze w miejscu swojego urodzenia. Nie darzy sympatią tych, którzy patrzą na skarby beskidzkiej krainy — las obojętnie. Wierzy w rozmowę drzew, uważa je za swoich braci Przyrody. Wiślańskie smreki, utkwione w błękicie nieba, są dla niego więcej aniżeli ostoja spokoju i ciszy. Kiedy górale mówią „och zasypało nasze góry śniegiem” i ubolewają, on rozkoszuje się pięknem ponowy. Czyta z tropów zwierzyny, co się działo w nocy i nad ranem. Ulubione góry i kopce iskrzą się w słońcu i toną w puchach. Jakież to majestatycznie piękne i milczące. Drzewa uginają się pod ciężkim osypem śniegu. A kiedy schylone nad lasem słońce ozłoci rumieńce chochołów drzew, wszystko mrocznieje, a szafir nad drzewami oblecze się w odświętną szatę upstrzoną gwiazdami, Ignac żegna odchodzący dzień.

— Takigo chłopca mom i nikt go już nie zmieni — mawiała nieraz małżonka.

List do nadleśniczego miał tonację bardzo zgorzkniałą. Podleśniczy twierdził, że w nadleśnictwie są kłusownicy. Kazał o tym wnioskować słyszane rano, wieczorem, nocą, a nawet w same południe liczne strzały oraz znalezione niedawno przez niego parochy sarny, skłusowanej w czasie ochronnym. W sierpniu ubiegłego roku spotkał osobnika wzrostem i tuszą pasującego do jednego z leśniczych. Na plecach niósł ukradzione — bo tak się wyrażał zamiast skłusowane — koźle. Miało jeszcze białe cętki. Nawet głuszcóm ta hołota nie da spokoju. Kto strzelił na początku maja na zapadach koguta za Szalbutowym potokiem? Swój, złodziej z naszego grona. Jest na tropie tego przestępstwa i w odpowiednim czasie wszystko ujawni. Pod koniec listu prosił nadleśniczego, by nie zezwolił odstrzelić kozła Hanyśa, którego od malutka wychował z butelki kozim mlekiem. Jest łatwy do rozpoznania. Na głowie nosi przyzwoitego szóstaka powyżej dwudziestu centymetrów, odnogi około pięciu. Górna granica lewej łyki jest lekko ścięta co przez szkła bardzo dobrze widać. Ze złodziejem, który ośmielił się kozła skłusować osobiście się porachuje. To wszystko, co wyżej napisane na papierze, są powody, dlaczego jego sumienie i jeszcze coś, czego nie można bliżej opisać, pędzi go w góry. Śmierć kłusownikom.

Nie otrzymał ani ustnej, ani pisemnej odpowiedzi. List skwitowano w nadleśnictwie krótko: ten człowiek jest chory. Ma objawy klasycznej schizotypii. Zamyka się w sobie, odosabnia się, jest stale nieufny wobec ludzi i cechuje go otepienie uczuciowe. Co tu dodać: kieliszka gorzalki nie wypije, nie zna się na żartach.

To orzeczenie zawierało dużo prawdy, ale nie było kompletne. Ignac chorobliwie kochał las i wszystko, co w nim żyje. Ta gorąca miłość doprowadziła go do konfliktów nie tyle z władzą, co z kolegami i z miejscową ludnością. Ludzie go nie lubili, bo ich nie rozumiał. Zbyt gorliwie pilnował lasu. Obelgi kwitował prosto: od tego tu jestem. Utarło się wśród górali powiedzenie: z nim nic nie załatwisz, on nie pije gorzółki. I rzeczywiście, był wzorem abstynentów. Nawet nie palił. Robotnicy leśni uznali, że musi to być człowiek feral-

ny, kiej gorzółka, to coś najlepszego na świecie, mu nie szmakuje. Mówili, że ni ma również na baby.

I tak wokół podleśniczego chodziły i rozprzestrzeniały się plotki i ploteczki. On zaś w przypiływie rozpachy myślał o rzuceniu nędznej pracy. Zdawał sobie sprawę ze swojej mamej pozycji społecznej. Był sługą sług. O swoich zamiarach nigdy z nikim nie rozmawiał. Ani z żoną, ani z dziećmi. Ze zdwojoną pasją i góralską zawziętością brał się do pracy. Był stale poza domem. Swoją rewir znał nie gorzej jak własną kieszeń. W kieszeni nie było pieniędzy — w lesie zwierzyny. Nie niszczyły jej zima, głód, wysokie śniegi ani żadne wredne choróbka, ale człowiek ubrany tak jak on na zielono. I znowu wpadał w głęboki stan melancholii. Był ponury, smutny i przygnębiony. Bardzo często zły.

Prawda o kłusownictwie była zgola inna. Na przydzieloną do nadleśnictwa broń śrutową nie było nawet chętnych. Z początku namówiono dwóch leśniczych, którzy — co może wydawać się bardzo dziwne — trzymali swoje dubeltówki w szafach i nigdy nie zabierali ich z sobą do leśnej służby. Na uwagi szefa tłumaczyli się, że im to nieporęcznie, praca staje się dodatkowym ciężarem, bo jak tu na przykład mierzyć, kiedy na ramieniu broń i temu podobne. Natomiast nasz bohater nigdy flinty z ramienia nie zdejmował. Dodawała mu — jak mawiał stary pan inspektor Cenkier — powagi i splendoru. Była z nim zawsze i wszędzie. Każdy oddany strzał zapisywał do notesiku. Tam też była rubryka strzały słyszane. Było ich wielokrotnie więcej aniżeli oddanych.

Nadleśniczy i pracownicy biurowi byli zgodnego zdania. Nikt nie kłusuje. Strzały słyszane przez Ignaca to odstraszenie zwierzyny przy użyciu karbidu. Było je słychać dość często w nocy. Doprowadzały podleśniczego do pasji. Ganiał po kopcach i górach, rozpytywał znajomych i stale, jak mawiał, prowadził we własnym zakresie dochodzenie.

Był czas rui. Zezwolenie na odstrzał po jednym rogaczu miało dwóch myśliwych. Inspektor Samek z Cieszyna. Ten do Hanyisa nie strzeli. Jest to etyczny i stateczny myśliwy i leśnik. Nie pobrudzi

swego honoru „pozyskaniem” tak przyszościowego trzyletniego kozła. Ale kto jest ten drugi pieron jasny? Może to w ogóle nie myśliwy, ale jakisi komitetowy? Od swojego leśniczego dowiedział się, że ten drugi pieron jasny przyjechał z dziewczyną i mieszkają w schronisku i wcale na miglancza nie wygląda. Nie życzy sobie, by go ktokolwiek doprowadzał.

— Ale strzelonego kozła musi pokazać?

— Nie wiem, to zależy, kto to jest.

Na wiadomość o wyrażeniu chęci polowania przez przybyłego w ich leśnictwie Ignaca oblał rumieniec buntu i złości.

— Synku, dyć tak nie głupnij. Przyjechał, pogigluje z dziolchą, nic nie strzeli i pojadać sobie.

— Dej, Panie Boże, żeby tak było!...

Gospodarz terenu od dwóch tygodni wiedział, które uroczysko wybrał sobie jego ulubiony kozioł na czas rui. Tam też stale będzie chodził i przeszkadzał polującemu. Sornik przeżyje, a panoczek pojedzie se z figą. Czynił dalsze rozważania: jeśli miglancz przyjechał z dziolchą, to będą rano długo spać. A jeśli się zna na polowaniu podczas rui na kozły, nie będzie ganiał po lesie rano, ale kole dziesiątej, pobędzie dwie godziny i pójdzie na obiad. W tym czasie on postara się, że kozioł nie pokaże się na otwartej łące, a zwłaszcza na Juroszkowej. Jeśli to jest myśliwy, jak się patrzy, to po południu koło czwartej już będzie w lesie, ale on tam będzie pierwaj.

— Wszystko będzie dobrze, żeby jyny to serce tak nie waliło, a ten nieznośny ból nad żołądkiem sięgający do samego gardła minął. Czasem już nie ła dychać — skarżył się sam sobie. A jeśli panoczek zostawi Hanyisa na żywu, wskaże mu miejsce, gdzie pod gwarancją stale się kręci fajny selekt. Medalowy — jak mówią niektórzy głupcy.

Jego przewidywania spełniły się tylko po części. Około południa blisko Juroszkowej Łąki zobaczył opalającą się dziewczynę, a kawałek dalej na krzeselku siedział starszy człowiek ubrany na letniaka na zielono. Czytał gazetę.

— Flinta leży na isto w trawie albo jest oparta o drzewo.

Patrzył przez zamgloną lornetkę, ale niedużo widział. Wszedł kilkanaście kroków do lasu i stukając po drzewach obszedł wszystkie boki hektarowej łąki. Potem przemaszerował przez nieduży młodnik i wrócił na miejsce z którego wyszedł. Łakę widział jak na dłoni. Po chwili myśliwy i jego pannica szli w kierunku schroniska.

— Ale gdzież mo flinte? Na pewno jest złożona i dziolcha dla niepoznaki niesie ją w kocu.

O wpół do piątej był znowu na stanowisku. Ale polujących nie było. Doczekał zmroku i zupełnie po ciemku wrócił do domu.

Polującym był major Armii Krajowej, który kilka tygodni podczas wojny przebywał w tych stronach. Zabrał z sobą córkę, by pokazać jej ten urokliwy kawałek Polski. Odstrzał kozła nie był powodem jego przyjazdu. Chciał obejrzeć i odwiedzić miejsca, gdzie pełnił swój żołnierski obowiązek. Zezwolenie polowania wręczył mu niespodziewanie przyjaciel Wiktor L., wysoki urzędnik ministerstwa leśnictwa. Na leżeli do jednego koła łowieckiego.

— Kiedy już, Władziu, jedziesz, skorzystaj, są tam mili ludzie, na pewno będą ci życzliwi i bez trofeum nie wrócisz.

Po północy zerwała się gwałtowna burza. Błyskawice rozdzierały niebo. Ucierpiał kilka drzew, potoki szalały. Nad ranem, jeszcze za śmy żywił się ustat-

kował. Spoza wystrzępionych chmur spoglądały gwiazdy. Wiatr ustał.

Na rozmokniętej gliniastej drodze szamotał się człowiek. Szedł w kierunku Juroszkowej Łąki.

— Panie Boże, nie lza dalej, daj jeszcze troszke siły.

Serce waliło jak młot, w oczach ćmiło, ból w piersiach przybierał na sile i wchodził między łopatki. Usiadł i oparł się o wilgotny pień świerka. Rozładował dubeltówkę, naboje włożył do kieszeni. Ból zelzał. Na pewno będzie dobrze i zaraz wszystko przejdzie — mówił do siebie.

Jest na zielonej łące umajonej dywanem przeróżnych kwiatów. Dominują żółte i niebieskie. Są również jego ulubione pelargonie. Koło strumyka pną się nieznane czerwone i żółte liliowce, żółtych jest mniej. A cały ten kolorowy świat oblewają złote promienie słońca. Nigdzie nie widać lasu. Ubrany na biało idzie jego ojciec, za rękę trzyma malutkiego Andrzejka, pierworodnego syna Ignaca. Ale czemu tatułek nie ubrali się po góralsku tak jak na Boże Ciało i Wigilię? Za nimi kroczy dziadek...

Tego samego dnia w poczcie znajdowało się pismo okręgowego zarządu lasów państwowych przyznające nadleśnictwu etat leśniczego do spraw łowieckich. Dyrektor K. podkreślił, że według inspektora rejonowego mógłby nim zostać Ignacy Z. Niestety, nie było go już między żywymi...

Z POWIĘDZEŃ LUDOWYCH

Kiedy przidziesz miyndzy wróny, musisz krakać jak i óny.

★ ★ ★

Pańsko rzecz obiecować, chłopsko do-
wać.

★ ★ ★

Pańsko łaska mo krótki chwost.

★ ★ ★

Panie sie zmiłuj nad tóm głupotóm niepo-
jyntóm.

★ ★ ★

Sakulyncki żywobyçi, jak sie baba kwitu
chyci.

★ ★ ★

Tak sie najod, żeby mu można wesz na
brzuchu zabić.

N adchodzący najpiękniejsze święta. Śnieg zaczął dyskretnie posypywać pola, drzewa i góry. Ludowy kalendarz radził: „Młócić zboże ze stogów. Kuć konie, zaglądać do kopyt, by nie rosły krzywo. Opasy sprawdzać i ważyć. Bydlu dawać soli. Czyścić zboże na spichrzu. Kopać doły na 1,5 łokcia głębokie i szerokie dla sadzenia drzewek na wiosnę. Zwozić lód do lodowni, drzewa z lasu. Wyrebywać dziury w lodzie w stawach rybnych. W pasiece robić ule. Mieszkania bielić, czyścić i posprzątać na święta godowe, co nadchodzą. Pamiętać o potrzebujących”.

Żaś w prognozach meteorologicznych, „stuletni kalendarz” przypomina „Katarzyna na lodzie będą gody po wodzie”

„Kiej Barbórka po wodzie, będą święta po lodzie”

„Mroźny grudzień, wiele śniegu — żyzny rokczek będzie w biegu”

Wszystkie te uwagi czytałem z radością nabożnością, bo zapowiadały czas uroczych tajemnic i nadziei.

W przeddzień św. Mikołaja znajdowałem rano pod poduszką prezenciki jako zapowiedź mikołajowej wizyty w następny wieczór. Kochani rodzice troszczyli się o to, aby w ramach ich skromnych możliwości sprawiać nam jak najwięcej radości i niespodzianek w tym odświętnym okresie Adwentu. Zbliżały się święta odziane w biel.

Drzewa pokryte śniegiem migającym w słońcu jakby posypane brylantami wyglądały jak choinki wigilijne, choć do wigilii jeszcze pozostało kilka dni. Im bliżej jednak — tym nastrój był bardziej podniecający, pełen oczekiwań i radosnych przeczuć — „Przybliżało się bowiem Królestwo Niebieskie”.

I oto gdy wróciłem, któregoś dnia tuż przed gwiazdką ze szkoły do domu, gdy odpiąłem małe narty, otrzepałem ze śniegu butki, omiotłem miotłką i ubrałem papużki — dowiedziałem się o zdarzeniu niesłychanym. Cioteczka Helenka, kładąc palec tajemniczo na ustach szepnęła:

— Masz siostrzyczkę.

Nie mogłem w pierwszej chwili pojąć:

STANISŁAW HADYNA

SIOSTRZYCZKA

— Jaką siostrzyczkę? Skąd? Jakim cudem?

— Niebieskim — powiedziała Helenka.

Do kuchni weszła z sypialni tęga kobieta, której jeszcze nigdy dotąd nie widziałem i powiedziała niskim głosem:

— Bocian przyniósł ci siostrzyczkę.

— Bocian? Co też Pani mówi!

Wszystkie bociany odleciały już dawno do ciepłych krajów, więc skąd bocian?

Tęga kobieta zrobiła zdumioną minę, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszała, że bociany odlatują na południe i tylko mruknęła — „Przemądrzały kluk” — i wyszła.

— Co ona pletła? Co wy tu opowiadacie? — zapytałem cici.

Helenka uratowała sytuację — prostując błędy korpulentnej kobiety.

— Masz rację! Bociany odleciały do ciepłych krajów.

— No i co? Więc kto przyniósł siostrzyczkę?

— Aniołek. Przecież są święta...

— No tak... Aniołek, to co innego... To ma sens...

— Ale czy ty nie jesteś ciekawy siostrzyczki? Przecież to najcudowniejszy prezent!

O tak! Bardzo byłem ciekaw i bardzo szczęśliwy i zachwycony, ale jednocześnie jakbym się bał tego szczęścia. Nie wiedziałem, co ono może oznaczać, co mi przyniesie dziwnego. Bardzo chciałem mieć siostrzyczkę, bo często czułem się samotny, a chłopcy z którymi się bawiłem nie zawsze pasowali do mojego świata w którym ich zachowanie i wyrażenia były jak hałas targowy w kościele lub zablocone ślady butów na lśniącej posadzce salonu. Przyjaźniłem się wprawdzie z nimi, bawiłem, żartowałem nigdy nie doszło do chłopackich bójek — ale ich zainteresowania

były mi obce a moje zainteresowania dla nich niezrozumiałe.

Nie odczuwałem tego jednak jako moją wyższość czy też niższość wobec nich — ale po prostu niezawinioną i n n o ś ć, którą usiłowałem jakoś maskować aby im nie sprawiać przykrości. Ta inność była źródłem samotności, choć niczego mi nie brakowało a rodzice byli kochani i troskliwi, babcia i cioteczka arcyserdeczni a stryj przyjacielski i mądry. Z tej „inności” rodziło się niezbyt dręczące wprawdzie, ale niemniej dochodzące często do głosu poczucie nieuzasadnionej samotności. Czasem wybierałem samotność świadomie — uciekając na wycieczki w góry bez towarzystwa lub leżąc na trawie i gapiąc się na chmury żeglujące po błękitnym niebie. Potrzebowałem jednak kogoś, nie koniecznie jako towarzysza zabaw ale kogoś, kogo mógłbym bardzo kochać (inaczej niż rodziców) troszczyć się o niego, któryby mnie rozumiał, towarzyszył, wzbogacał mój świat, stał się niezbędny. Były to marzenia o Królewnie z Bajki, o Jasiu i Małgosi, o Stasiu i Nel... Tylko, że narazie był tylko Staś a nie było Nel...

I oto, rzecz niesłychana, zjawiła się Nel, Królewna Śnieżka, Kopciuszek z Bajki, Małgosia dla Jasia... Kim była? Co przyniosła? Może jakieś poselstwo stamtąd? Skąd? Z gwiazdnej krainy płatków śniegowych czy białych kwiatów jabłoni? Z krainy Bożego Narodzenia i anielskich chórów? Skąd? Może jeszcze coś pamięta i powie? Czekałem na nią, wierzyłem że jakimś cudem się zjawi i teraz kiedy ten cud był tuż, za drzwiami jak pełna światła, blasków i niespodzianek choinka — bałem się wejść. Może aby przedłużyć radosne czekanie lub aby czegoś nie spłoszyć. Bo może oni żartują? I potem będzie bardzo smutno, że to był żart...

Trzeba jednak sprawdzić.

Delikatnie otworzyłem drzwi, wszedłem do sypialni na palcach. Mateńka leżała w łóżku. Mówiono że jest chora... Ale wcale na chorą nie wyglądała. Była śliczna. Zarumieniona jakby odbłaskiem zorzy a koło niej leżało małe dzieciątko w pieluszkach owinięte jak pakuneczek i tylko buźka słodka i oczki zdziwione wyglądały spod kolderki. Podeszedłem na palcach do łóż-

ka, jakbym się bał spłoszyć niespodziankę, żeby mi nie zniknęła albo nie uleciała z powrotem do nieba. Długo patrzyłem zdziwiony i zachwycony na maleńką istotkę, która nagle zaczęła poruszać małymi paluszkami jakby mnie chciała powitać. Wyglądałem zapewne jak pastuszek, który przybył do szopki Betlejemskiej i patrzy na Boże Dzieciątko.

— Czy ona umie mówić? — zapytałem cicho.

— Och jeszcze nie — powiedziała Helcia. — Może za rok, za dwa... Musi się dopiero nauczyć.

— Szkoda — szepnąłem — opowiedziałaby mi jak tam jest „w niebie” bo przecież jeszcze na świeżo musi to pamiętać, no nie?

— Chyba tak, ale nie może tego opowiedzieć, bo nie zna jeszcze ludzkiej mowy.

— A jak już będzie знаła, to może zapomni, co mogła powiedzieć?

— Tak to już jest — pokiwała głową ciocia Helcia a Mamuśka się tylko wyrozumiale uśmiechała. Jakby powiedzieć chciała, co mi dopiero później przyszło do głowy, że dzieciątko nie musi o niczym opowiadać — bo właśnie ono samo jest Niebem. Jego częścią i zarazem jasnym odbiciem, jak śnieg iskrzący się w słońcu.

Opowieść zastępuje swoją własną żywą rzeczywistością.

— Czy mogę ją dotknąć?

— A umyłeś ręce?

— Tak. Bardzo umyłem.

— No, to delikatnie... i jednym palcem tylko...

A więc delikatnie, subtelnie, jakbym dotykał bombelka lśniącego na choince wigilijnej, dotknąłem jej policzka na powitanie, potem czółka i paluszków, które się nagle zwały wokół mojego palca. Boże, jakie to było cudowne uczucie. Delikatne, słodkie ciepło przeniknęło mnie od koniuszków palców aż po czubek głowy i serce żywiej zabiło. Mateńka zapytała cicho, patrząc na mnie serdecznie:

— Podobają ci się?

— Jest cudowna! I taka miłuśka w dotyku, jakby jeszcze miała coś z nieba na sobie.

Nie chciałem potem myć rąk przez cały dzień a wieczorem też się wymigiwałem aby nie zmyć przypadkiem niebiańskiego pyłku, który pozostał na palcach po dotknięciu siostrzyczki.



Gdy wieczorem zapalono prawdziwe świece, prawdziwym płomykiem na prawdziwej choince wszystko pachniało jedliną, świeczkami, cukierkami, kołaczami, świętami. Chciałem aby siostrzyczka była blisko choinki i zapytałem czy ją mogę wziąć na ręce i przybliżyć do drzewka.

— Nie, bo możesz ją upuścić na ziemię...

— Nie. Będę ją mocno trzymał. Jestem silny.

Ale nie zgodzili się. I słusznie. Bo nuży mi się z pakunczka wyślizgnęła! Boże! Nawet nie chcę myśleć. Ale z pomocą przyszła ciocia Helcia. Wzięła siostrzyczkę na ręce i podniosła ku choinkowym ozdobom i światłom. Maleństwo było zachwycone. Usiłowało paluszkami dotknąć lśniąca bombkę a ja stanąłem z drugiej strony choinki i patrzyłem na nią poprzez świece i gałązki jedliny a ona patrzyła swymi zachwyconymi oczkami na mnie, uśmiechając się — jakby odnalazła swój utracony świat. I tak rozpoczęło się tradycyjne spoglądanie na siebie poprzez jedlinę, poprzez gałązki i światła choinki w każdą wigilię, którą mieliśmy szczęście obchodzić razem.



Skąd przyszła?

Wpatrywałem się w cicho lecące zamyślonym balansem duże koronkowe płatki śniegu. A może ona też w ten sposób przyleciała z nieba na gwiazdkę, jak biała gwiazdka śniegowa? I zaraz świat stał się jaśniejszy, bielszy, piękniejszy. A ten jeden jedyny zaczarowany płatek koronkowy przybrał zaczarowaną postać małej Królowej Śnieżki, wymarzonej siostrzyczki? Okno było odchylone więc wiatr mógł go snadnie zanieść na łóżko mamuśki? Wtedy — w tamte bajeczne dni, domysły miały raczej artystyczny charakter i dotyczyły wcielenia piękna w formę. Dalekie były od genetycznych rozważań, Arheniusa, który twierdził, że zarodki życia pchane światłem przywędrowały jako astropłankton z kosmosu na ziemię, skądś z mgławicy Oriona w którego gazowych obłokach miałyby pono powstawać. Czy razem ze świadomością? Czy jako przyszły wehikuł dla ducha? Co to ma za znaczenie — wobec tego „promiennego fenomenu jakim jest drugi człowiek. Człowiek bowiem jest światłem załamany w kryształ czasu” jak to pięknie powiedział genialny Sedlak.

Żaś „Miłość jest Pokamem światła” — mówił Maeterlinck i oto „Światłość świeci w ciemnościach, a ciemności go nie ogamęły” głosiła Radosna Wieść Ewangelii.

W tej sytuacji pytania „Skąd” i „Dlaczego” tracą swój sens i każde marzenie dziecka wpatrującego się w lecące płatki śniegu ma podobne znaczenie jak teorie Arheniusa i naukowa poezja Księdza Sedlaka. Bo „któż wie któż powiedzieć zdoła skąd się zrodziło, skąd przyszło stworzenie, skoro bogowie zrodzili się potem?” (Rigweda)

HENRYK JASICZEK

BYŁO NAS DZIEWIĘCIU

— **C**icho! — syknął groźnie Wawrzak, zły jak szerszeń na siebie, kamratów i na cały świat. Bo jak tu być dobrym, kiedy deszcz, zimny, lepki i natrętny deszcz pada już od tygodnia wraz z opadającym liściem drzew i kiedy włóczymy się tak jak te bezdomne psy, przemoknięci, zziębnięci do szpiku kości, głodni, zagubieni w czasie, przestrzeni i w sobie, nie wiedząc już jak znaleźć wyjście z beznadziejnej sytuacji.

Gdziekolwiek zapukaliśmy, odpędzano nas z trwogą, płaczem i przekleństwami; dopiero pod groźbą podpalenia chałupy uchylano drzwi. Wchodziliśmy wtedy do wnętrza z palcami na spustach automatów. Wypijaliśmy mleko, zabierali chleb, słoninę, patrząc spode łba na domowników w suchych ciepłych ubraniach, siedzących w ciepłej izbie, gdzie znajduje się stół, ławy, a w kącie... eee, szkoda gadać — gdzie stoi łóżko z pierzynami, ludzie, łóżko z pierzynami... Zerwać to wszystko z siebie, te parszywe, mokre, skisle, śmierdzące, zawzione szmaty i rzucić się na łóżko jak kłoda i spać, spać, spać... Czy może być większa rozkosz?... Ale ci ludzie patrzą wrogo, gdyby mogli wyrzuciliby nas jak parszywe psy, ale nie mogą, boją się. To jest jedyne, co podtrzymuje ich od jawnego wyładowania wrogości, boją się, bo widzą, że mamy broń, a co gorsza, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia... Ale jeśli wiedzą, to dlaczego nie starają się nas rozumieć, dlaczego krzyczą z obłędnym strachem: Na miłość boską, idźcie już, zostawcie nas, bierzcie co chcecie, tylko idźcie sobie, idźcie! To „idźcie” wlece się za nami jak potępiéncze echo, jak wyrok. Wiem, boją się, strasznie się boją, ale my też się boimy, my też chcemy żyć. Im bardziej się boimy, tym jesteśmy odważniejsi, jak zresztą większość żołnierzy.

Wczoraj wieczorem zastukaliśmy do okien domu samotnej kobiety. Męża jej zabrali do Braunschweigu, zdaje się zginął w czasie bombardowania, jeden syn zawieruszył się na wschodzie na ucieczce w 1939 roku, drugi, po naleganiach matki, wziął volkslistę i tuła się gdzieś w Wehrmachcie, więc sama kobieta w chałupie, pod lasem, czyli w razie czego łatwo poderwać się do lasu, stąd myśleliśmy, że nas przyjmie, że pozwoli wysuszyć ubranie, buty, onuce, że pozwoli wyspać się na podłodze w ciepłej, suchej izbie, ale ona wypadła jak lwica: Bierzcie, co chcecie, bo i tak wam nie zabronię, a wy macie broń. Ale na rany Chrystusowe, idźcie stąd, idźcie, nie zostawajcie dłużej...

— Matko, zrozumcie, my też chcemy żyć, nie mamy już sił, zrozumcie, jesteśmy przemoczeni, zmarznięci, pozwólcie tylko do rana, zrozumcie, tylko do rana...

— A czy wy wiecie, że jak przyjdą oni, to spalą mi dom i będę wrzeszczeć: Wo sind die Partisanen! I spalą mi dom, mnie z nim... Mało już mam nieszczęścia?! Chłopa mi zabili, synowie tułają się po świecie...

— Może tak jak my, matko... Może...

Kobieta wciąż swoje: — Idźcie już, bierzcie chleb, smalec, bo słoniny nie mam, i idźcie sobie, strasznie was o to proszę... I klęka na kolana i szlochała, a szloch przechodził w wycie. Tak wyl Jurek Matys, jak go Niemcy złapali... Nie wiadomo co z nim zrobili, bo siedzieliśmy w zbożu, kiedy go złapali. Śmiali się rubasznie ci z Jagdkomanda. A Jurek wyl, a potem zaczął płakać, jak dziecko, coraz ciszej, coraz ciszej... Więc nie mogłem wytrzymać tego wycia kobiety. Nabraliśmy tylko suchego siana napychając pod koszulę, żeby wessało wilgoć i ruszyliśmy w dalszą drogę, w błocie, ślizgając po mokrych, spadzistych miedzach, nasłuchując poszczekiwania psów, aż dotarliśmy do jakiejś szopy

w sąsiedztwie drewnianej chałupy, w której wszyscy już spali. Weszliśmy do tej szopy, w której było trochę słomy, ale więcej gałęzi, szczap i desek i runęliśmy na to wszystko, wypychając słomę do spodni, pod koszulę, gdzie się tylko dało, i zasnęliśmy kamiennym snem, nakazując Grzegorzcykowi pilnować do północy. Ale Grzegorzcyk zasnął i nie obudził mnie o północy, jak wyznaczył komendant, obudziliśmy się, kiedy już było widno, więc nie mogliśmy ruszyć dalej, bo mógłby nas ktoś zauważyć. Pozostaliśmy w szopie, zjedli zapasy i czekali zmierzchu, który w październiku nie każe na siebie długo czekać. Baliśmy się tylko, by ktoś z domowników nie wszedł do szopki i rzeczywiście po południu weszła do niej chyba dwudziestoletnia dziewczyna, może córka gospodyni. Położyłem jej wylot lufy na piersi i powiedziałem, że jeżeli piśnie, będzie jej szkoda i że pogrzeby są teraz kosztowne. Nic nie odpowiedziała, tylko usiadła przerażona przytakując, że wszystko rozumie.

Dudzioszek po trzech godzinach takiego siedzenia zaczął półgębkiem przebąkiwać, że można by tę dziewczę jakoś dokładniej pooglądać. Ale Andrzej Wawrzyk, ojciec dwóch córek na wydaj, dezterter z Wehrmachtu, gwizdnął go w pysk, więc Dudzioszek obraził się i zaczął strugać z klocka jakąś dziwną głowę, miał to być łeb utopca.

Po zapadnięciu zmierzchu po jednym opuszczaliśmy szopę, ostatni wyszedł Wawrzyk, zwalniając dziewczynę. Dudzioszek długo kręcił się w szopie, kombinując, jak to zrobić, żeby jemu właśnie przypadła ta rola. Widząc jednak bezskuteczność swoich zamiarów, darował dziewczynie niedostruganego utopca i wycofał się przed groźnym spojrzeniem Wawrzyka.

Wiatr ustał, więc deszcz przestał siec, natomiast nieustannie siąpiła dokuczliwa mżawka, która o tyle była wygodna, że utrudniała widoczność i ułatwiała poruszanie w terenie.

Postanowiliśmy dotrzeć do Wyrchówki, gdzie mieliśmy rezerwową ziemiankę, ciasną, ale suchą, zaopatrzoną w wojskowe konserwy niemieckie. Nasz główny bunkier pod Skalką był na pewien czas nieosiągalny. Ostrzeżono nas, że okolica jest pod obserwacją konfidentów. Wyrchówka znajdowała się tuż na słowackiej granicy, a marsz w dobrej nocy był uciążliwy i powolny. Czekala nas jeszcze długa droga. Komendant postanowił zmienić plan marszu i przenocować w jakimś odludnym miejscu. Rano mieliśmy ruszyć dalej, co było możliwe o tyle, że opuściliśmy już podgórskie osady, poruszając się na zboczach pokrytych lasami.

Łatwo się powie, trzeba gdzieś przenocować, ale gdzie? Górale woleli oddać cały swój dobytek, byle tylko nie udzielać nam schronienia, bo za to Niemcy podpalali dom. Rozumieliśmy tych zahukanych ludzi, ale co mieliśmy robić, głodni, schorowani, źli na swój los. Mieliśmy zdychać gdzieś w rowie? Więc często na siłę wdzieraliśmy się do domów, wiedząc jednak, jak bardzo jesteśmy niepożądanymi gośćmi. Sen mieliśmy nerwowy, czujny, baczący na każdy krok domowników, by ci z determinacji nie sprawili nam jakiejś niespodzianki i nie sprowadzili na barki Niemców.

Było nas dziewięciu. Szliśmy najczęściej w trzech grupkach oddaleni od siebie na widoczność, w trakcie marszu obowiązywało milczenie, przerywane tylko wymianą zdań na temat ważniejszych obserwacji w terenie. Tylko niepoprawny Dudzioszek, z zawodu fryzjer, jak tylko mógł, wyłamywał się z dyscypliny, płatając nieobliczalne figle, jakby tą błazenadą i wisielczym humorem chciał bronić siebie i nas przed nieustanną kłusającą nas niepewnością.

I może dlatego komendant był dla niego wyrozumiały, besztal go czasami, niekiedy nawet karał, ale ostatecznie puszczał mu płazem różne sprawy, wiedząc, że bez tego lekkoducha los nasz byłby jeszcze trudniejszy do zniesienia.

— Kajsi pod Girową... — pomrukiwał pod nosem Dudzioszek, grzebiąc w płócienniej torbie, do której wkładał często jak najmniej potrzebne rzeczy. Szedł ostatni, ale nagle przyspieszył kroku, przedgonił nas i odwracając się do nas rozłożył szeroko ręce. — Meine Herren und Damen, pozwolę sobie zaprosić państwa na wielki bankiet

z okazji otwarcia nowej stajni dla moich wierzchowców... Panie i panowie, szampan, kawior, indyki, ananasy oraz inne rarytasy!

— Nie wygłupiaj się — beształ go Wawrzyk — żarłbyś ziemnioki z kiszka, gdybyś miał.

Dopiero po chwili zauważyliśmy przyczynę Dudziakowego zgrywania się. Oto w szopce znalazł stary, sztywny, biały kołnierzyk, z którym kiedyś bardzo chętnie rozstał się jego właściciel, bo któż lubi kołnierzyk gniotący jak obroża. Teraz świecił przybrudzoną bielą na szyi Dudzioszka. Z tym pańskim akcentem w garderobie skojarzyło mu się momentalnie wielkopańskie przyjęcie.

— Kiszki z ziemniokami sie komuś zachciało — skrzywił się Maroszczyk — tak placki ze szpyrkami, ciepłe, pulchne... i tak rwać palcami i jeść, aż po brodzie kapie...

— Przeston — obruszył się zawsze ponury Kapica. — Żralibyście, to sie wiy, jak nie zawrzecie pysków, to bedziecie ziem gryźć...

Znów szli milczaco, tylko Dudzioszek przesunął kołnierzyk do tyłu tak, że wyglądał teraz jak ksiądz w talarku.

— Poczekaj! — podskoczył do niego Antoszyk, student, któremu wybuch wojny nie pozwolił dokończyć studiów humanistycznych. Poprawił talarek Dudzioszkowi i obejmując jego twarz obu rękami, przyglądał mu się badawczo. Potem podszedł do komendanta i coś mu klarował. Komendant uśmiechnął się i grzotnął przyjaźnie Antoszyka po plecach.

— Nieżle — przytaknął, kładąc palec na usta, zobowiązując Antoszyka do milczenia.

Szli dalej, czując, że nie wyschnięte buty rozmaczają się coraz bardziej; przeszli kilka wzgórz nie zbaczając z kierunku wschodniego. Szczyty gór tonęły we mgle, pachniało tlejącym liściem, z ciężkich nabrzmiałych deszczem zwisających konarów świerków spadały kiście kropli, przemaczając na nowo ubrania, jeśli tak było można nazwać te na wpół wojskowe a na wpół cywilne szmaty, jakie nosiliśmy.

Było na czasie pomyśleć o biwaku. Wszyscy o tym myśleli, tylko nikt o tym nie mówił, wiedząc, że decyzja należy do komendanta.

Po następnej godzinie drogi dotarliśmy do jakiejś zagubionej osady. Było tu kilka chałup, niskich i biednych, rozsiadłych opodał strumyka, który zygzakami opadał w nizinę. Jeden domek stał jakby trochę na uboczu przy bukowym podroście, który stopniowo przechodził w świerkowy las.

Przypuszczaliśmy, że komendant wybierze ten właśnie domek. Zmierzch robił się coraz gęstszy. Stanęliśmy za szopką, która sąsiadowała z chałupą. Jak zwykle w takich sytuacjach, otoczyliśmy kołem komendanta. Mówił cicho, beznamiętnie.

— Wszyscy siadają za tą oto szopką, Antoszyk ma najporządniejszą marynarkę, a Maroszczyk solidny płaszcz, więc wypożyczą je Dudzioszkowi, który w tej chwili przestroi się w solidnego księdza. Słowa księdza zostaną na pewno przez tych prostych ludzi lepiej przyjęte niż wymowa lufy partyzanta.

Dudzioszek domyślał się, co się święci, więc zrobił minę waśniaka.

— Dobrze słuchaj — zwrócił się do niego komendant. — Od ciebie zależy, czy będziemy spać w izbie jak ludzie, czy też będziemy leżeć w zimnej szopie w mokrych szmatach.

— Tak jest — przytaknął Dudzioszek, ciesząc się, że znów przypada mu do odegrania jakaś ważna rola.

— Jeśli wszystko popsujesz, wygarbujemy ci skórę. Wejdiesz, przedstawisz się jako ksiądz, któremu udało się zbiec z więzienia albo transportu i poprosisz o nocleg. Księdzu nie odmówią, na pewno przyjmą cię, jak przystoi na duszpasterza, tylko żebyś panował nad językiem i zachowywał się dostojnie.

— Dudzioszek, wielebny pan... Niech mnie pokręci! — skrzywił się ironicznie Wawrzyk.

— Dyc mo pysk niewyparzony — dodał Maroszczyk, wyciskając wodę z czapki.

— To jeszcze nie wszystko — ciągnął komendant — teraz to najważniejsze: musisz przekonać tych ludzi, że nie możesz pozostawić na polu partyzantów, którzy cię przygarnęli, którym wiele zawdzięczasz i że Pan nakazuje pomagać prześladowanym i cierpiącym...

— Coście jednemu z nich uczynili, jakbyście mnie uczynili — powiesz, fagacie przegrzeszony — dodał swoje trzy grosze Antoszyk.

— Zrozumiałeś! o co chodzi? — zakończył swoją instrukcję komendant.

— Tak jest... — przytaknął Dudzioszek, przebijając się do solidnego cywilnego płaszcza, poprawiając pod szyją talarek, wiedząc o tym, że to on ma przełamać pierwsze lody.

Usiedliśmy na jakiejś desce pod szopką, wciągając nogi pod siebie, żeby deszcz nie kapał nam z dachu na kolana. Maroszczyk szperał za papierosami, ale komendant nie pozwolił mu zapalić.

— Później — zbesztal go.

Po chwili usłyszeliśmy stukanie na drzwi. Dudzioszek stukał chyba dość długo, zanim uchyłono małe okienko na strychu.

— Kto tam? — pytał ktoś niepewnym, raczej trwożliwym głosem.

— To ja, ksiądz — odezwał się Dudzioszek głosem tak łagodnym i ciepłym, że z miejsca uwierzyliśmy w powodzenie jego misji.

Ale gospodarze nie byli w ciemię bici, coś tam jeszcze pytali, potem widocznie zastanawiali się długo, zanim wreszcie wpuścili go do środka. Kiedy szczęknął zamek u drzwi sieni, odetchnęliśmy.

— Nasz koń trojański wszedł — zawyrokował Antoszyk, wiadomo, student.

Siedząc pod szopką już zaczęły się nam robić pod czuprynami mrzonki o solidnej kolacji, garnku ciepłej kapusty z wieprzowiną. Antoszyk marzył o łóżku z pierzyną i garnku ciepłej herbaty.

— A pod pierzynę nie chciałbyś jeszcze czego? — dokuczał mu Wawrzak.

— Jeszcze czego się wóm zachciwyo, a porcelanowy nocniok nie laska...

Czas włókł się jak mokry powróż po stodole, a „księdza” jak nie słyhać, tak nie widać.

— Żeby się tam tyn nasz wielebny nie łożynił — odezwał się Wawrzak.

Nie ulegało wątpliwości, że Dudzioszek ma widocznie kłopot z przekonaniem gospodarzy, by i nas przygarnęli pod strzechę. Różne myśli zaczęły się nam snuć po głowie: — A może wyspał się niezdara i gospodarze stuknęli go po głowie?

— Isto go nagnali gnój kidać — ulżył sobie Wawrzak, który wyraźnie nie lubił Dudzioszka za jego lekkomyślność i kpiarstwo, chociaż Antoszyk bronił go, mówiąc, że to tylko poza, że on chce w trudnych chwilach rozładować atmosferę strachu, napięcia i niepokoju.

Kiedy zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie wysłać kogoś drugiego do zbadania sytuacji, nagle zaszkwierczały drzwi chałupy, a na progu pokazał się Dudzioszek, zapraszając nas szerokim gestem mecenasa do środka. Przekraczaliśmy zdarty drewniany próg, wchodząc do sieni, z której powiało kiszoną kapustą i jabłkami. W sieni panował mrok. Wysoka, chuda, lekko przygarbiona kobieta w stroju wiejskiej gaździny wprowadziła nas do drugiej izby. Okna były zakryte czarnym, ochronnym papierem, na stole stała lampa naftowa, rzucając na ściany duże, olbrzymiące cienie.

— Siadajcie — odezwała się kobieta, wskazując ręką na ławę pod ścianą. Dudzioszek stał na środku izby z bogobojnie złożonymi rękami na brzuchu. Przyglądał się nam z jakimś nieuprzejmym kpiarskim grymasem. Usiedliśmy na ławie, rozglądając się po izbie. Broń złożyliśmy u stóp, tylko Maroszczyk miał pogotowie, kładąc broń na kolanach.

— Dyć siadają, wielebny panie, dyć siadają i dojedzą to, isto są porządnie głodni — zapraszała kobieta, ścierając fartuchem krzesło. Była chuda, zapracowana, z jakąś góralską hardością i zawziętością w sobie. Z miejsca odczuliśmy, że Dudzioszka traktuje

całkiem odmiennie od nas, wiadomo, osoba duchowna, której należy się szacunek, a my, hołota, która zatruwa ludziom życie.

Dudzioszek usiadł w kącie izby przy małym stoliku, nakrytym obrusem. Zmiał jajecznicę na słoninie, zapijając herbatą.

— Dziwiejcie się na pieróna, jak wcino — odezwał się Wawrzyk.

— Cicho, też się nam dostanie — łagodziłem naszą zazdrość, którą potęgował zapach jajecznicy i upominający się o strawę żołądek.

— Jewka, przynieś tą kiszke — odezwała się gospodyni, dokładając do pieca.

Z drugiej izby weszła dziewczyna może szesnastoletnia, blada i wystraszona, poprawiała ręką włosy, rzucając po nas badawcze spojrzenia i podreptała do sieni, przynosząc po chwili wielki gliniany dzban zsiadłego mleka.

— No serwus — machnął ręką desperacko Maroszczyk — ziemnioki z kiszka przy taki pogodzie!

Za chwilę też wniosła gospodyni na stół misę parujących ziemniaków. Te ciepłe ziemniaki trochę rozpogodziły nasze miny i złagodziły nasz żal. Zawsze to lepsze niż suchy i zmarznięty chleb.

— Podziwiejcie się, jak nasz wielebny wcino, aż mu kapie po brodzie — nie mógł sobie darować Antoszyk.

Gospodyni jakby zrozumiała wymowę naszych spojrzeń, więc odezwała się, kiedy jedliśmy w milczeniu:

— Co mów, to dóm, na więcej mnie nie stać. To jyny osobie duchownej zrobiłach wyjątek, bo kómu jak kómu, ale księdzu to się należy.

— Taki on ksiądz, jak jo święty — zadudroł Wawrzyk, ale komendant kopnął go pod stołem.

Dudzioszek dopił herbatę i zjadł kawał kruchego ciasta, poczem chrząknąwszy kilkakrotnie wstał i odezwał się w te słowa:

— Drodzy, podziękujcie tej kobiecie i opatrności Bożej za te dary, które w spokoju pod tym dachem spożyć mogliśmy. Bo napisano, jest, że cokolwiek biednemu uczynisz, jakbyś Bogu uczynił. Kto pragnących napoi, a głodnych nakarmi, będzie miał żywot wieczny... — to mówiąc Dudzioszek złożył ręce do modlitwy odmawiając „Ojcze nasz”... Modlił się coraz ciszej, widocznie nie pamiętał już końca modlitwy.

— Że to zmarasł — odezwał się Maroszczyk.

— Co zmarasł? — pytał Antoszyk.

— No ten tekst. Dyć zech był trzy roky ministrantem i gdybych nogi nie podłożył Francikowi, jak przenoszoł mszał na lewą stronę ołtarza, to gdo wiy, czy bych nie poszedł na księdza.

— No widzisz i nie jodbyś ziemnioków z kiszka, ale wajecznice ze szpyrkami, kieróm byś zapijoł herbatą z rómym.

Drzwi z sąsiedniej izby otwały się lekko, a z nich wysunęła się głowa córki:

— Mamo, ojciec chćą wiedzieć, kiedy przyjdzie do nich wielebny pón?

— Powiedz, że za chwilę — powiedziała gaździna, sprząając ze stolika księdza puste talerzyki.

— A może by jeszcze cosi zjedli, wielebniczku? — spytała troskliwie.

— Bóg zapłać, kobieto, Bóg zapłać — promieniał dobrotliwie Dudzioszek.

— Czy mogę ich prosić, wielebny panie, żeby teraz poszli do drugi izby? A wy, chłopci — zwróciła się do nas — pujdziecie teraz na górę, jyny was proszę, żebyście nie kurzyli, bo tam jest siano. Polygejcie se kole kumina, kiery grzeje. Tu was w kuchni ni mogym zostawić. Czert nie spi, jeszcze kierego prziniesie... Tóż pójcie, pokozym wóm schody na górę...

Rozlokowaliśmy się na strychu, układając mokre płaszcze i kurtki na drucie wokół komina. Zastanawialiśmy się, co też jeszcze Dudzioszek będzie robił w drugiej izbie. Może będzie rozmawiał z gazdą. To dziwne, że nie wyszedł, nie pokazał się, coś mówiła

stara, że jest chory, a może go wcale nie było w domu, tylko sprytna kobieta chciała zaznaczyć, że chłop jest w domu, byśmy sobie za wiele nie pozwalali.

— Żeby tam czego nie wymarasił — niepokoił się niezbyt szczerze, bo raczej kierowany zazdrością Antoszyk, przewracając się z boku na bok, zastanawiając się, ile też może mieć lat córka gospodyni.

Potem zmorzył nas wszystkich sen. Zasnąłem chyba ostatni. Wawrzyk kłócił się we śnie z Dudzioszkiem. Maroszczyk od czasu do czasu zachrapał dyszkantem. Wtedy Antoszyk cmokał głośno, przywołując go do przytomności. Chwilami słychać było w sianie chropotanie myszy. Cały strych napełnił się odorem spleśniałych suszących się szmat.

Rano, kiedy weszliśmy do izby, na stole stała już wielka misa gorącego mleka i potężne pajdy chleba.

Dudzioszka jeszcze nie było. Przyszedł dopiero później, jakiś odświętny, namaszczoney, jakby uwierzył w ważność roli, która przypadła mu przypadkowo w udziale. Poczęstowano go takim samym śniadaniem, tylko mleko miał w ładnym porcelanowym garnuszku, zaś chleb cienko nakrojony, posmarowany masłem, podano mu na talerzyku. Dudzioszek był w znakomitym nastroju, patrząc na nasze miny. Na drogę wręczono mu jakąś paczuszkę, my zaś dostaliśmy po dwa jajka ugotowane na twardo.

Zanim Wawrzak zbadał sytuację na podwórzu i okolicy, Dudzioszek złożył ręce i modlił się cicho, a potem powiedział do domowników:

— Bóg niech zostanie z tym domem, który okazał się domem miłosiernego Samarytanina.

— Bóg zapłać — powiedziała gospodyni, poprawiając trzęsącymi się rękoma wełnianą chustkę na głowie.

— Żeby się jyny wojna rychło skończyła i żebyście w zdrowiu przetrwali.

— Dej Boże — powiedzieliśmy chórem, tym razem szczerze wzruszeni.

Po jednym dotarliśmy do bukowego lasu, który przez noc zrobił się rzadszy. Pod stopami szeleściło nam złote i rdzawe liście.

— Pokaż, coś dostał — zabierał się do Dudzioszka Wawrzyk.

— To nieważne — zagadnął komendant — wpierw powiedz, coś tam robił w tym drugim pokoju.

Dudzioszek stanął, nabrał tchu i sychnął:

— Ażebyście wiedzieli, pyski niewyparzóne, spowiadolech starego gazde. Warzył samogóne i strasznie się oparzył. Tóż na każdy wypadek gaździno chciała, żebych go wypowiadol.

— A gaździnie też żeś udzielił rozgrzeszynio? — żartował Antoszyk.

— Zamknijcie się zjeżył się Dudzioszek — gdybyście byli na moim miejscu, to by was śmiych przeszel.

— Ażebyście wiedzieli, to wcale ni ma tak śmieszne — odezwał się po chwili komendant.

Dopiero po godzinie marszu nasz domorosły „wielebny” zatrzymał się, podszedł do mnie i powiedział melancholijnie:

— Jedno zech nie poradził wytłumaczyć gaǳdzie: czy jak sie szlajdróm ubije skrzydelka aniolkowi cmyntarnymu, jest to grzech śmiertelny, czy zwykły. Gazda zrobił to, jak był jeszcze synczyskim przy krowach.

— No i coś powiedział?

— Że niezbadane są wyroki Boże.

Kiedy zostaliśmy sami na końcu grupy. Dudzioszek szepnął mi poufnie:

— A wiysz, że jak zech przy tej spowiedzi prziszel na szóste przykazani, tak zech se spómnioł, gdziech zostawił zygarek...

— Ej, Dudzioszku, Dudzioszku — powiedziałem karcąco z nie bardzo przekonującym akcentem.

Podniosłem żółty listek jawora do ust, ssąc jego gorzki sok. Rozpogodziło się. W świeżym, chłodnym powietrzu wirowały bezszelestnie złote listki.

Dudzioszek obmył twarz w jakimś skocznym źródelku. Wystawił mokrą twarz do bladego słońca i zaintonował cicho:

*Kajsi pod Girową
miyszko stary Hryczko,
siedym roków nie był dóna,
a co rok mo dziecko...*



Przejście dla odważnych. Fot. Wojciech Trzcionka

ZARZECZE POD WODĄ (2)

ZUZECZKA

To się działo bardzo dawno temu, w tamtym wieku, gdy Zuzanna była jeszcze mała, bo zaczęła chodzić do pierwszej klasy. Ja, jej córka Antosia jestem już dzisiaj prababką. Stare to, dawne zarzeckie lata.

Zuzanna musiała od maleńkości pracować. Pola nie nadbывало, jedzenia tym bardziej, dzieci za to, i owszem, nie brakowało. Pan Bóg tak umiejętnie błogosławił. Praca należała się wszystkim pociechom, jej charakter zależał od wieku dziecka. Żuzka najpierw pasła gęsi, później świnię. Gdy podrosła i miała więcej siły, szarpała się na łańcuchu z krową pragnącą koniecznie posmakować sąsiadowego owsa. Przechodził nauczyciel i przyglądał się malutkiej pasterce wyglądającej przy krowie jak mrówka przy słoniu.

Na drugi dzień pytał chłopców przy tablicy, „przy katedrze”, tych, którzy już drugi rok zimowali w tej klasie. I znowu nie umieli. Wtedy rzekł: „Wyrośliście, a nic nie umiecie, podziwiejcie się na Żuzeczkę, tako mało a wszystko umie, jutro wam pokaże, sama się zgłosi z zeszytem i wszystko powie, tabliczkę mnożenia bydzie umiała bez palców. Ile ona mo roboty! Krowę pasie, gęsi zagania, świni pokrzywy targo, nosi i jeszcze się nauczy, wstyd wam jutro robi, żół mi tej Żuzeczki, bo tak się namęczy, ale ona i robocie i szkole poradzi.” Żuzeczka była w siódmym niebie — przecież pan nauczyciel ją pochwalił przed całą klasą i mówił do niej tak ładnie „Żuzeczka”.

Jeszcze w tym dniu uczyła się pasąc krowę. Ej, co to była za pasionka! Kęs żyta komuś krowa obżarła, gdyż pastereczka nic tylko zaglądała do tabliczki mnożenia, by po chwili podnieść do góry przymknięte oczy i półgłosem powtarzać. Sprali ją za to, ale się nauczyła. Wieczorem, na strychu przy ogarku świeczki, „na górze”, w wielkiej tajemnicy pisała w zeszycie i uczyła się czytać „na elementarzu”. Trwało do późna, tyle tego było!

Na drugi dzień rano idzie do szkoły. Ubrała się ładniej niż zwykle, dokładniej uczesała, wplotła we włosy kokardkę. Ogarniała ją wielka radość, podniecenie i entuzjazm. Ledwo pan wszedł do klasy, to już zgłosiła się do odpowiedzi podnosząc wysoko do góry dwa palce. „Przy katedrze” umiała wszystko — i pisać literki, i rachować, i sylabizować. Zeszyt miała czyściutki, bez braków. Pan wstawił do niego, jak i do dziennika, najlepszą notę i skierował do klasy te słowa: „Mówiłem wam, że Żuzeczka wszystko umie i wszystkiemu poradzi. Skoro ona może, to i wy możecie.” Z tą chwilą nastąpiły cięższe czasy dla klasowych dryblasów.

ZOFIA PIETRZYK „OD CHWOŁY”

była dwadzieścia jeden razy za pierwszą druhnę. Nazwano ją „gminna družka”. Natomiast dwadzieścia cztery razy szła z czymś dzieckiem do chrztu, gdyż najczęściej właśnie pierwsze druheny o to proszono. Poważanie miała za urodę i biedna nie była. Warkocze zaplatała aż do pięt. Kiedyś obsiadły jej głowę Budniokowe pszczoły, cały rój oblepił włosy, wirował, bzyczał i mocno ją poszczypał. Lśniące, długie warkocze wypadły. Powstały wielka rozpacz i strach, że tak już zostanie. Odrosty jednak nowe włosy — nie były jednak już tak lśniące ani gęste jak te pierwsze.

Zofia lubiła tańczyć, jej wesołość i żartobliwość nie wyczerpywały się, goście na uroczystościach chętnie przebywali w jej towarzystwie. Ubierała paradny cieszyński strój, do tego wysokie, sznurowane do pól łydki buty na obcasach.

Wyszła za mąż za Leopolda Śladczecha „Leopolda”, którego wyuczonym i częściowo wykonywanym zawodem stało się krawiectwo. Śladczyk przywędrował do Zarzecza z Czech za swoim wujkiem księdzem Karolem Wolnym pełniącym zadania proboszcza wsi. Ksiądz zatrudnił krewniaka w parafialnej kancelarii poruczając mu funkcję pisarza oraz przydzielając we farze pokój. Później Leopold poznał Zofię, ożenił się z nią i zamieszkał u teścia, u jednego z najzaciejszych gospodarzy wsi.

JOANNA KRZEMPEK Z D. ŚLADECZEK

córka „Leopolda” i Zofii była pierwszą we wsi mistrzynią w robieniu wieńców, bukietów, bukietów, kotylionów, wiązczy, kokardek, wycinanek, plecionek i czego tylko dusza zapagnie ku ozdobieniu ubrania, domu, kapliczki, kościoła czy balowej sali. Wołali ją też zawsze do tych robót, prosili, a ona nie odmawiała i co roku wymyślała coś nowego. Miała pomysły na każdą okazję. Od szesnastego roku życia ozdabiała ludzi i całą wieś na większe święta i uroczystości.

Wieńce plotła z farbowanego mchu, także z choiny i sitowia. Kilka kobiet szło zbierać wysoki sit z mokradel Czarnolesia. Sit darło się w domu, czyli zdejmowało zieloną łodygę, by uzyskać białe wnętrze. Z niego wyczarowywała swoje misterne cudetka. Joanna często współpracowała z Tereską Krzempek „od Parodka”. Owijały na mocnym sznurku grube, zielone liny z roślin. Możliwa to była praca, ale piękną dawała rzecz. Piękne sztuczne kwiaty również wypływały spod zgrabnych palców. Powstawały z woskowanego papieru lub z kolorowej marszczącej bibułki. Wnet mogło się uwierzyć, że pachną, gdyż tak udanie naśladowały różyczki, tulipany, margaretki, narcyze, lilie i kalie. Po górze lekko posmarowane klejem i posypane szkiełkami z rozbitych choinkowych baniek, mieniły się i migotały czarownym światłem. Joanna łokowała na jednym druciku na przykład sześć różyczek. Kilkadziesiąt takich przygotowanych drucików owijała z kolei na grubszych drutach powitykanych gwiazdździe do pionowego patyka. Tak skomponowana całość naśladowała choinkę i błyszczała w świetle.

Dla jakiegoś zarobku kręciła także baty, ale nie te z rzemienia do popędzania koni czy głośnego strzelania, lecz z leśnej trawy na materace. Na Gołyszu też kręcili.

Siekló się w lesie ostrą i długą trawę „włosioną”, kładło ją później między paliki nisko wbite do ziemi na krzyż. Zawijało się koniec pierwszej wiązki do prostego kołowrotka składającego się z rączki i chwytaka i kręciło. Pochylony głęboko nad krzyżakami drugi pracujący przybierał włosioną, podplatał, cofał się o krok, znowu sięgał po nową wiązkę, podplatał, przytrzymywał bat, gdy tymczasem kołowrotek się kręcił, znowu podbierał, podplatał, cofał o pół kroczy, przytrzymywał, gdy tymczasem bat jak wąż się zwijał, znowu podbierał włosioną pilnując, aby bat gruby był na rękę i długi równy dwanaście metrów. Następnie zwijano go „na ślimaka”, to znaczy składano na trzy równe części i znowu skręcano.

Tak przygotowane całe pęki batów wiozły się furmankami do Chybia, w którym ładowano je na wagony by wysłać w świat, czym zajmował się Blanarczyk „Wrzaszczyk”. Zarzeckie baty wykorzystywano jako wkłady do materaców.

Joanna — po uprzykrzeniu sobie panińskiego stanu — wyszła w swoim czasie za mąż. Założyli oboje kiosk. On został na wojnie ciężko ranny pod Biłgorajem, dlatego też nie był zdolny do normalnej gospodarskiej pracy. A pieniędzy nie nadbyszał. Zatem kiosk. Wyrobili pozwolenie i ruszył drobny handel tak bardzo potrzebny ludziom. Trwał aż do zalewu. Z kościoła chłopcy szli, to po piwie wypili, zakurzyć chcą, to se nowy paczek cygaretek kupią do tego siarki, bo też to ile dziennie człowiek siarek wyszyrto! Dzieciom zaś po lemoniadzie a do tego co słodkiego. Tak to kupowali w niedzielę i przez cały tydzień. Szkolnioki na przerwach przylatywały po cukierki. Ruch był. Stała budka, stała

(między starą szkołą a Pierścieckim pochodzącym z Katowic-Szopienic) dopóki jej woda nie zalała.

MÓWI „DETKA”

Przez pewien czas przebywałam u babci, u babci niezwyklej. Była znaną w Zarzeczcu i okolicy akuszerką. Dlatego też nosiła przydomek „hebama” — a że miała na imię Anna, a panięńskie nazwisko brzmiało Parma, to nazywano ją „Hana Parmowa”.

To ona roznosi po całej wsi te maleńkie dzieci, które znajduje pod mostkami. Moja ciekawość popędziła mnie tam. Zaglądam pod mostek z jednej strony, zaglądam z drugiej — prócz kamieni, dziurawego żelaznioka i rozbitego glinioka nie ma żadnego dziecka. „Babko, poszłach tam i nic ni ma.” „Ja, tą razą bocian zostawił na kopce siana, jo wziena i zanesła do „Supliki.” „A Zosia mi powiedziała, że wyście Hildzi, jeji siostrzyczki, nie przynieśli, jeny Mikołoj.” „Prowdę ci pedziała, bo ona urodziła sie w Mikołaja, w grudniu.”

Jestem bardzo ciekawa, jak wygląda to dzieciątko zabrane z kopki: „U Supliki senek jest czy dzioluszk?” „Senek jest. Jutro tam pójde kapać, to cie wezne i uwidzisz jaki szykowny.”

Nie mogę doczekać się tego jutra. Wcześniej rano, jeszcze po ciemku, budzę babcię: „Wstowojcie, póćmy już.” Babcia uciska mnie: „Spej, spej jeszcze, dopiero wieczór pónđymy.

Czas dłużył się i dłużył, godziny ciągnęły w nieskończoność, ale wieczór wreszcie nastał. Poszłyśmy. Dużą balijkę napelniono ciepłą wodą, babcia wkłada do niej łokieć. Może to być, po co ten łokieć? „Czy woda nie je wrzawo” wyjaśnia wielce zajęta swoją czynnością. „Niech sie uczy dziolcha” dodaje z uśmiechem do spoczywającej w łóżku palonicy.

Na stole jakieś flaszeczki z oliwą pudry, „a w gorczku zaparżone kamelki do przemywanie oczu, żeby nie ropiały.” Bardzo ten synek jest nieposłuszny, ryczy we wodzie na cały głos. Aż cały zrobił się czerwony. Na brzuszku ma coś owinięte. „Tak musi być, nim sie pepowina zagoi, boch ją uciena.” Nie mogę uwierzyć: „Co to, wyście peppek ucieni, to go teraz boli i ryczy! A czym to sie ucino?” Hebama, nie przerywając pracy, cierpliwie tłumaczy: „Musisz wiedzieć, że nożyczkami”. Zdumiona wykrzykuje: „Wiecie co, tak senka nożyczkami strzigać!”

Synek w międzyczasie uspokoił się. Teraz wykąpany, wypudrowany, żeby się nie odparzył, odpoczywa. Energetyczne ręce przewracają go z boku na bok, kładą na brzuch, na plecy, ubierają, zawijają do zagłówek, okręcają powójnikami. Głowa, przykryta pieluchą, ani się ruszy. „Teraz mo do rana spać, jeśli by w nocy wrzeszczoł, to dać mu przewarzonej wody z cukrę.”

Po powrocie do domu idę kryjomo do izbeczki. Tam, na komodzie, przechowuje babcia walizeczkę, z którą chodzi do dzieci. Stałe do niej zagląda. Dzisiaj, na szczęście, nie jest zamknięta na kluczyk. Otwieram — a tu jegły, strzikawki, jakieś szczypce. O! są i nożyczki, takie zakrzywione, a obok nich białe sznureczki. „To na pewno tymi nożyczkami ucinają babka pepki. Już tych nożyczek nie bydóm mieć, schwóm je pod szafę i nie znajdą.”

W kuchni na blasze rozsiadło się kilka garnków, gotuje się w nich jedzenie, para bucha. „Jako zupa dzisio bydzie?” pytam. „Z gwoździa” słyszę natychmiastową odpowiedź. „To nie byde jeś, wole bryje.” Na blasze stoi także wielki gar z wodą na pranie, a tuż obok tego olbrzyma przykucnęła mała metalowa skrzyneczka. Po co ona? „Co w tej skrzyneczce warzicie?” „Strzikawki, jegły, nożyczki, taki tam rostomaite. Z tego bydzie zupa na niedziele.” Jestem zdumiona: „Z tego zupa na niedziele, z jegiel? Jeszcze zech taki nie jadła! Chyba bydzie niedobro.”

Babcia zsuwa metalową skrzyneczkę na skraj pieca, przenosi ją na stół i wyciąga szczypcami, z bulgoczącej jeszcze i bijącej parą wody, wszystkie przedmioty. Są wrzawe,

gorące, po ułożeniu na białym ręczniku szybko wysychają. Brakuje nożyczek. „Kasz są nożyczki? Musiałach zapomnieć dać wywarzyć, I rozpoczyna szukanie. Bez skutku. „Tu ich ni ma, tam ni ma, każ są, w ziemię się zapadły?” Troszkę wystraszona czym przedzej potakuję: „Chyba się zapadły.” „Przeca muszę ich mieć, bez nich ani rusz. Teraz byde musisła jechać do Bielska, do kasy chorych. Tam móm wypłat i muszę pobrać zastrzyki. To wezme też nowe nożyczki. Żebych nie zapomniała, to se owine palec nitką.” Zaciekawila mnie podróż: „Kiedy pojedziecie?” „Po niedzieli”. „A weźmiecie mnie?” pytam z nadzieją. „Ni ma mowy, jo roz dwa muszę obrócić.” Mam żalną minę, chce mi się płakać. Babcia tłumaczy: „Ku ciebie przidzie Mania Parmowa, żebyś nie była sama. I grzeczno być, nie szkodzi.” „Dobre babko, ale kto mi splecie warkoczki i zawinie rulke na głowie?” Babcia nie widzi trudności, gdyż mówi: „Na łona, Mania.” „A umiy?” „Co by niy, weźnie warzechę i na ni zakryńci ci rulke. Tak jak jo to robię.” „Żeby się jiny jeji rulka mi trzymała” kręcę głową i powątpiewam. „Bydzie, bydzie.”

Babcia wraca wieczorem, witam ją słowami: „Tak was długo nie było, już poledni downo dzwóniło.” „Ale już zech jest.” „Coście mi prziwizyli?” — dopominam się, gdyż dzieci bardzo lubią dostawać gościńce. „Mosz tu rożek”. Przepadam za słodyczami, więc nie przestaję upominać się: „Bómbónów ni macie?” „Niy, bo nic nie chcesz jeś jiny bómbóny, musisz chyba mieć glisty, z tydzień bydziesz pić kwaśnicę z beczki i gryś pestki z dyni, to się glisty potrujóm.”

Wykłada z torby na stół małe flaszeczki, pudeleczka, zawiniątka, bandaże i aż trzy pary nożyczek. „To teraz bydóm dopiyo te dziecka strzigać, po coch tamte chowała” myślę z rozpaczą. Jedne nożyczki są większe, drugie małe. I tak samo zakrzywione, jak te skukane pod szafą. Babcia podejmuje decyzję: „Muszę zaroz je wyparzyć na brenmaszynce, bo pod blachą, widzę, się nie poli.” Pytam: „Co macie w tych małych flaszeczkach?” „Krople na żołądek, na serce.” „A w tym wielkim słoju?” „W nim je pijowka, co wyciąga z ludzi złą krew.” „I ludzie bez to robią się lepsi!” wykrzykuję z radością. „Na dyć, dziolcho.” Mądra ta babcia, mądra. Nie na darmo uczyła się aż w Krakowie. Do Hany Parmowej przychodzą wszyscy ze wsi i okolicy.

A ona im radzi.

Boli żołądek, to kropli na cukier nakapać i jeszcze trochę pielonu wypić. W gardle dropie i dusi, to uwarzyć ziemnioków, potluc, dać do szmatki i ciepłymi owinać kark. Ząb boli, to watkę na szczypce w spirytusie zamoczać, albo w brenie, i wrazić do wygnitej dziury. Bo nic gorszego, jak bolawe kielco w ciuce. Zrobił się wrzód na ręce, albo na rzici, to dać na niego niesolonej szpyrki, owinąć i czekać — do rana bolak zmięknie, a potem przyłożyć na niego sok z cebuli, który bolok wyżre, a ten zaś pięknie, na ostatek okładać liśćmi babkowymi, to się wygoi. Dziecka strasznie krzypióm, to czosku dać z mlykiym i grubo z masłem a miodem, a ze sosny syrop zrobić i dować po łyżeczce — w moju natargać zielonych, świeżych odrostków ze sosny, zasuć cukrę i doczkać, aż sok puści, z tego bydzie syrop. Co inszego, gdy je koklusz, on sześć tydni dusi, to brać dziecko do chacki i śnim do chływa ku krowóm, albo do masztalnie ku kónióm, to się dziecku powietrze zmieni i nie tak je dusi. Kiela je z oskrzelami łostuda, to najlepší wyszmarować psim sadłem i jeszcze bańki postawić, a jeśli to nie pómoże, tóż trzeba do dochtora do Strumienio. Dochtor Bazan pozno, czy ni ma zapalnio płucyzszków. Bazan pozno, pozno też Smolka na Chybiu, łoba łykowają ludzi. Dziecko czyści, to dać borówek, mogą być suszone, albo taki ze słoja, ale te ze słoja muszą być przodzi dwa tydzie w oknie na słońcu w słoju przesypane cukrę. Jeśli zaś bolawe są kolana i kryńci rematyka, to do mrowców iść w lesie, pochynić tam pustą flaszkę, do ni wlezą mrowce, potym włożyć do nich brenszpyritusu, dać do cimoka na dwa tydzie i tym szmarować te miejsca bolące i ciepło owinać. A na głowę bolącą do niewytrzymanio przyłożyć pijowkę, ta złóm krew wyciągnie, już tej czarnej krwi nie będzie, i jakby rękę odjon. Na rymie zaś, na katar, to ni ma siły, łyżony trwo dwa tydzie, a nie łyżony czernoście dni. Pazur, z wbitą za niego drzizgą albo glejtą, moczać w ciepłych mydlinach. Nowe bótki mają rade łodrzyć cale pięty — wtedy weź smarków i tym pomaż te pięciska, a rany zaschną i przestanie się

łóć śnich i bydzie zagojóno. Tak to rób, a na nic nie czakej, samo sie nie tak łacno zalekuje.

WOŁA PAN BÓG

do świętego Wita: „Wicie, jest już ziarnko w życie?” A święty Wit, jako że na bożej służbie zeszło mu już parę lat i trochę się zestarzał oraz przygluchł, mówi: „Panie, nie słyszę, bo ptaszki śpiewają.” Zatem Pan Bóg drugi raz z nieba się wychyla w stronę staruszka wołając tym razem głośnie: „Wicie, jest już ziarnko w życie?” A święty Wit swoje: „Panie, nie słyszę, bo ptaszki śpiewają!”

Wtedy Stworzyciel uśmiechnął się, rozłożył prawie bezradnie ręce, wejrzał wnikliwiej na ziemię, chwilkę pomedytował i zarządził tak: „Niech się ptactwo uciszy, bo nasz Wicio nie słyszy”.

I z tą chwilą — od połowy czerwca — nie wszystkie ptaszki śpiewają. Siedzą bowiem bojaźliwie w uwitych gniazdkach wygrzewając świeżo zniesione jajeczka.

W ZARZECZU

jak i w innych wsiach, ludzie przcz cały rok pracowali dużo i wytrwale. Nie tylko z pilnej konieczności wyznaczonej bezwzględną potrzebą utrzymania życia. Kierowała nimi także najprostsza, lecz i zarazem najbardziej wierna miłość do ziemi zrodzona z potrzeby bycia na niej i zwierania się z nią. Z lubością też wdychali zapach zwierząt, czyścili je, karmili radując się ich siłą i urodą. A „tropili się”, gdy żywina chorowała lub, broń Panie Boże, zdychała — cieszyli zaś wielce, gdy powracała do zdrowia nabierając sił i ciała. Przytulali krowy, konie, brali na ręce gęsi, kury, kaczkę, indyki mierząc ich wagę oraz podziwiając żywotność zawartą w bystrości oka.

Od wiosny do jesieni railey się nad zagonami pochylone człowiecze grzbiety. Te bardziej kolorowo odziane i zbite w gromadki tryskające licznymi głosami, to są plecy kobiece. Te, raczej szare i na ogół pojedyncze oraz milczące, to męskie. Cały rok zginały się i pochylały te plecy pod ciężarem słońca. Późną jesienią znikały. Ubywało dnia, błądły promienie. Pola zaczynały pustoszeć coraz bardziej gołe gdyż obrane z dobra. Wreszcie spadała wielka biel ścieląc dywany wzniecającym się zamieciom i zawiejom. Także huraganowemu nieraz wichrowi wyrzuszającemu wielkie zasy i tratującemu zarzecki las od krańca po kraniec.

Lecz ludzka praca nie ustawała trwając w stodołach, drewnutniach, na strychach, w stajniach. Klupały cepy, szumiało przesypywane wymłócone zboże, hurgotały młynki „burdoki” oddzielające ziarno od plew, niosły się na strych pełne wory zboża, zgrzytały na sękach ręczne piły zawisłe nad kłocami drewna, chrobotała codzienna sieczkarnia

Z wiosną pola wymagały nowej opieki a samojezdnych maszyn nie widziało się wtedy na polach Zarzecza ani nigdzie indziej. Wszystko końmi. Albo ręcznie. Ci, którzy nie mieli pola, lub mieli mało, szli chętnie do roboty na gospodarskie łany. Gospodarz był zadowolony, ponieważ i tak samotrzeć nie poradziłby całej czekającej go pracy. Biedniejszy zaś zarobił u gospodarza jakiś grosz, albo zaorał swoje poletko gospodarskim zaprzęgiem i zwiózł plon.

Najemni ludzie — pracujący cały dzień poza domem — musieli dostać jeść. Jednak przy krótszym dniu kolację szykowali sobie sami, gdyż grubo przed czasem wieczornego jedzenia schodzili z pól.

A od kiedy dostawali swaczynę u gospodarza?

Od dnia świętego Jerzego, czyli od 23 kwietnia. Od wtedy święty Jerzy ludziom w polu swaczynę podaje. Z tą chwilą żaby zaczynają regotać a dzień jest już łacno długi. Skoro tak, skoro dzień jest długi a ludzie przy nim długo robią, to dostają w polu wieczorne jedzenie, bo święty Jerzy swaczynę stworzył. Nikt by nie wytrzymał bez jedzenia od obiadu aż do zachodu słońca. Do ósmej, do dziewiątej pracowali, dopóki widoku

starczyło. Ale gdy przyszła do Zarzecza trzecia żona Heczkiego, to ona zarządziła, że wynajęte kobiety robiły tylko do siódmej wieczór. Uznała, że baby nie powinny dłużej pracować. Do siódmej jest zadość. Co narobią do tego czasu, to wystarczy. „Już tam nikt nie z bogatnie od tych kilku chwil. Ani też nie zbiednieje.”

A po drugie — jak głosiła Heczkowa — kobiety mają w domach dzieci, wstajniach i chływach gadzinę, wszystko to woła jeść, domaga się opieki, na kobiecie stoi cały dom, bo często mężowie przez cały tydzień we świecie zarabiają, dlatego kobiety muszą z pola wcześniej schodzić, każda kobieta ma rodzinę, tymu też powinna przed zachodem słońca przyjść do domu i w nim być, trzeba dzieci poprzytulać zanim nie zasną wylotane z całego dnia, niech się też wcześniej położy kobieta, niech wytchnie, ohotniej wstanie na drugi dzień wczesno, zdąży wydoić krowę, raźniej się jej pójdzie wypoczętej na wyrobek.

Zanim ta trzecia żona Heczkiego tak nie uznała, to robili po gospodarstwach do cimoka. Bardziej ludzkie było to zarządzenie Heczkowej od starych porządków.

DZISIAJ WIDAĆ

że ten zalew to było wielkie szczęście dla Zarzecza. Dzięki wodzie malownicze Zarzecze uniknęło śmierci. Co ocalałoby do teraz z jego autentycznego pierwotnego piękna? Ano nic, byłoby to samo, co jest wszędzie.

Zarzecze pachniało miodem, borówkami. Prawda. Ale czy dzisiaj też pachniałoby? Nie, niestety nie pachniałoby otoczone od jesieni do wiosny smrodliwym welonem palonego w domowych kotłowniach węglowego miału wzmacnianego starymi gumowcami. Zarzecze pachniało grzybami — tak, pachniało. Ale czy do dziś ocalałby ten zapach? Nie, z pewnością nie, aromat zostałby zwyciężony przez spaliny wszechobecnych osobowych aut. Przez wioskę płynęła krystaliczna Wisła. Czy pozostałoby tak do dzisiaj? Nie. Wystarczy zlustrować rzekę w jakimkolwiek miejscu, by odkryć straszliwą prawdę — Wisły już nie ma, powstał ściek.

I tak dalej, i tak dalej. Patrzę na starą zarzecką fotografię, widzę łąkę, wysokie i niskie drzewa, drewniany dom otoczony sztachetowym płotem, czytam podpis „wśród pól i ogrodów dom ze słonianym dachem”, moje serce się raduje, chciałbym mieszkać w tamtym miejscu, w tamtym domu i w tamtym czasie. Co dzisiaj tutaj stałoby?

Tymczasem w lesie widziałoby się już nie krzaczki borówek a sterty puszek, opon, plastików i szkła wysypywanego przez ludzi z pobliska. Popatczcie na Chybie, na Drogomyśl, na Mnich, na Landek i na stawek „Morskie Oko” pod Landekiem. Zgroza. Kto to zrobił? Ludzie tutejsi to zrobili! Kościoły są pełne narodu w każdą niedzielę, lecz nie zadrzy narodowi sumienie, gdy sypie do wody i lasu śmierć.

Zarzecze ocalało dzięki pokrywającym je falom. W Zarzeczu do dzisiaj skromni ludzie palą w piecach drewnem dającym delikatny pachnący dymek. Do dzisiaj pracują w Zarzeczu pachnące konie wywożąc na pola pachnący gnój. W Zarzeczu do teraz nie znają plastików i gra dęta orkiestra — to nasi grają nam naszą muzykę. W piekarni piecze się chleb bez środków zapachowych i tysiącu innych dosypek, robi się kiełbasy nie z mięsa angielskich „szalonych krów”, a z tych wypasionych na soczystych nadwiślańskich łąkach. Do teraz śpiewa nad nimi skowronek i do teraz zdobi okolicę „wśród pól i ogrodów dom ze słonianym dachem”.

Wieś ocalała. Wystarczy zatrzymać się na brzegu wpatrując i wsłuchując w wodę. Całe wtedy zdrowe i piękne Zarzecze masz jak na dłoni. Wystarczy stanąć na trwającym do dzisiaj na czacie bunkrze i przymknąć oczy, by usłyszeć bicie żywego serca ocalonego Zarzecza. Dzięki wodzie zwyczajna wieś zamieniła się w wieś mityczną a zwyczajni ludzie w mitycznych bohaterów na wieki wieków.

KAZIMIERZ PAWEŁ RASZKA

KLUB Z TRADYCJAMI

Polski sport na Śląsku Cieszyńskim zrodził się w walce o polską młodzież ulegającą wpływom germanizacyjnym w zaborze austriackim. W czasie gdy starsze patriotyczne pokolenie skupiało się w Macierzy Szkolnej, czy w Stowarzyszeniu Polskich Robotników i Robotnic „Siła”, młodzież oddana została na pastwę niemieckich „Turnvereine” i „Sportclubów” popieranych przez austriackiego zaborcę. Polskiego klubu sportowego nie było.

Pod koniec pierwszej dekady dwudziestego wieku postanowiono wypełnić tę lukę. Dziewięćdziesiąt lat temu, w połowie 1909 roku, powołano do życia Towarzystwo Sportowe Piast Cieszyn. Miało ono na celu skupienie polskiej młodzieży i przeciwstawienie się w ten sposób wpływom popularnego naówczas w Cieszynie niemieckiego klubu Deutscher Sportclub Teschen.

POCZĄTKOWO KRÓLOWAŁA PIŁKA

Do założycieli Piasta należeli m.in. Jan Adamczyk, Karol Śliwka, Józef Franek, Tadeusz Reger, Józef Londzin, Jan Górniok, Jerzy Kantor i Rudolf Legin, a prezesem został nauczyciel gimnastyki, Jan Adamczyk. Towarzystwo prowadziło tylko sekcję piłkarską. Jedenastka występowała w koszulkach w biało-czerwone pasy oraz w białych bądź czarnych spodenkach. Do czołowych piłkarzy tego okresu należeli: Branny, Czaputa, Franek, Dyla, Kantor, Kożusznik, Pindur, Śliwka, Wałach, Zoń, Zientek i Adamik.

W okresie I wojny światowej życie sportowe w mieście zamarło, zawiesiły działalność nawet kluby niemieckie.

Decyzją Rady Ambasadorów (28 lipca 1920) dokonano podziału Śląska Cieszyńskiego. W Cieszynie nie było ani klubu sportowego, ani boiska, lecz pozostało



Drużyna Piasta przed meczem z czeską Vrniką, na nowo wybudowanym boisku przy obecnej Elektrociepłowni (1924 r.). W środku, z proporcem prezes Antoni Marcinek. Ze zbiorów Kazimierza P. Raszki



Siatkarki Sparty Cieszyn. Zdjęcie pochodzi z 1956 r. *Reprod. Józef Matysiak*

sporo piłkarzy, działaczy oraz kibiców. Domagali się oni polskiego klubu. Niestety, brakowało środków. Blisko dwa lata trwały poszukiwania mecenasa. Znalaziono go w osobie Antoniego Marcinka, juniora. Inauguracyjne zebranie odbyło się w gospodzie Łyska przy zbiegu ulic Hażlańskiej i Folwarcznej na początku czerwca 1922 roku. Pierwsze skrzypce grali: adwokat dr Kustgold i mistrz piekarniczy Kopieczek. Prezesem wybrano A. Marcinka, który w celu uzyskania niezbędnego sprzętu i ubiorów sprzedał... hektar

swojego pola. Do Zarządu Towarzystwa Sportowego Piasta weszli: Karol Śliwka, Jan Pierniczek, Węglorz, Wojnar, Szczurek, Tadeusz Wierzyński oraz przedwojenny prezes Piasta, J. Adamczyk.

Początkowo Piast był klubem piłkarskim. Pierwsze mecze rozgrywano w parku im. A. Sikory w Czeskim Cieszynie. Nieco później Wydział Gminy przyznał Towarzystwu teren na własne boisko nad Bobrówką, koło dzisiejszej Elektrociepłowni. Łąka została zniwelowana, przekopano rowy odpływowe, usypano wał ziemny, zrobiono ogrodzenie i bramę wejściową. W czerwcu 1923 roku obiekt nadawał się do użytku. Uroczystego poświęcenia dokonał ks. Szurowacki.

Z chwilą oddania boiska zwiększono ilość meczy piłkarskich. Nadal miały one charakter towarzyski. Najczęściej rozgrywano je z drużynami słowackimi, m.in. z SK Vrútky, SV Martin oraz jedenastkami z Czadcy i z Żyliny. Jak na owe czasy spotkania te posiadały dużą widowność i zawsze toczyły się w niezwykle przyjacielskiej atmosferze.

W 1924 roku Piast posiadał już dwie drużyny piłkarskie. W pierwszym zespole bramki bronił Franciszek Klimanda, a w drużynie grali: Adamik, Jan Nowak, Wiktor Grania, Maks Barner, Oton Ojczeczek, Jan Pierniczek, Erwin Kupczok, Jan Blem, Karol Studecky i Bohumil Gwóźdź. Natomiast druga drużyna (rezerwa) występowała najczęściej w składzie: Sajdak (bramkarz), Ignacy Pilorz, Wapienik, Fryderyk Grania, Wilhelm Raszka, Kantor, Bolta, Karol Lipka, Erwin Gabzdyl, Jan Błahut i Byrhel. Kapitanem sportowym i trenerem obu zespołów był Marcin Leitner.

W połowie lat 20. piłkarze nadal rozgrywali mecze towarzyskie. W tym czasie najmiłszym i najczęstszym gościem w Cieszynie była jedna-



Jedenastka Piasta z przełomu lat 1960/1970. Ze zbiorów Kazimierza P. Raszki

stka krakowskiej Jutrzenki. W mieście zatrzymywały się również drużyny ówczesnej polskiej ekstraklasy powracające ze spotkań z drużynami Czechosłowacji. Zdarzało się, iż konfrontacja z nimi wypadała na korzyść drużyny Piasta.

W latach 30. piłkarze rozgrywali mecze mistrzowskie w okręgu obejmującym powiaty cieszyński, bielski i żywiecki. Pamiętne były wyjazdy na spotkania z Czarnymi i Koszarawą Żywiec. Krewcy górale, nie mogąc pogodzić się z przegraną swoich pupilów, zmuszali piłkarzy z Cieszyna do opuszczenia boiska w... tempie stumetrówki.

W 1938 roku po remisowym spotkaniu z RKS Oświęcim 2:2, piłkarze Piasta zdobyli mistrzostwo klasy B i awansowali do klasy A. W zespole grali wówczas: Biernat, Błern, Bohonos, Galeja, bracia Greniowie, Gwóźdź, Hanik, Juzof, Klimonda, Kupczok, Nowak, Michalik, Ojczeczek, Peter, Pierniczek, Sajda, Socholik, Starzyk, Studensky oraz Ziętek.



Drużyna siatkarska Stali z 1958 roku. Od lewej: Karol Nowak, Jerzy Ciupek, Władysław Stanieczek (trener), Edward Gruszczyk, Leopold Walarus, Józef Lankocz, Zdzisław Kubik, Tadeusz Kocoń i Józef Frydel (kierownik sekcji). Ze zbiorów Kazimierza P. Raszki



Zespół laskarzy z 1967 r. Od lewej: Kania, Ferfecki, Adamczyk, Richczajt, Byrtus, F. Raszka, R. Duraj. Klęczą: J. Buzek, Guziur, Z. Duraj, Kołodziej i Migdał. Reprod. Sebastian Raszka



Siatkarki (II liga) z trenerem Andrzejem Husarkiem. Fot. Józef Matysiak

SZERMIERKA I BOKS

W latach 30. powstały przy Towarzystwie sekcje: gimnastyczna, lekkoatletyczna, bokserska, strzelecka, szczypiorniaka. Nakazem chwili stało się znalezienie bogatego patrona. Został nim Związek Strzelecki. Umożliwiło to założenie sekcji szermierczej i pływackiej.

W sekcji bokserskiej trenował m.in. zawodowy mistrz Polski Adolf Kantor, Ryś i Kazimierz Marcinek, późniejszy mistrz wagi średniej Polskiej Marynarki Wojennej. Spore osiągnięcia odnotowała też sekcja szermiercza, której indywidualnością był mistrz Śląska, Sobik. W sekcji pływackiej działali: Ficek i Mieczysław Waszkowski, a najlepszymi pływakami byli Góralik oraz Edward i Zdzisław Kubikowie.

W 1939 roku Piast liczył około 100 zawodników, przy czym najliczniejszą grupę stanowili piłkarze oraz pływacy.

W okresie II wojny światowej działalność TS Piast została zawieszona. Reaktywowano klub tuż po wyzwoleniu Cieszyńska. 20 maja 1945 roku spotkali się w Domu Narodowym przedwojenni działacze oraz sportowcy miasta. Przyjęli uchwałę o reaktywowaniu Towarzystwa Sportowego Piast. Wybrano Zarząd Klubu w składzie: Jan Smotrycki — prezes, Tadeusz Zubek — wiceprezes ds. sportowych, Paweł Szukubina — wiceprezes ds. organizacyjnych, Stanisław Waszkowski — sekretarz, Wiesław Rysza — skarbnik, Emil Pindur — gospodarz, Karol Chmiel — kronikarz oraz Jan Kukuczka, Mieczysław Waszkowski, Ludwik Bialek, Władysław Oszelda, Ronchetti, Szyndlar i Szczotka. W kilka miesięcy później dołączyli dalsi, m.in. Witold Zarzycki, Władysław Olearczyk, Edmund Grzegorzek, M. Wróblewski, Władysław Babiński, Jan Walica, Jan Kubień, Emil Pindur, Alojzy Sitko, Edward Niedoba oraz Władysław Zotyka.

Jako pierwsza rozpoczęła działalność sekcja piłki nożnej. Reaktywowano ją pod koniec maja 1945 roku. Jej członkami zostali głównie przedwojenni piłkarze. W pierwszym okresie grali w zespole piłkarskim m.in. Edward Niedoba, Tadeusz Zubek, Buchta, Adam Janiszewski, Ziętek, Sitko, Rudolf Brenner, Jurczek, Szwarc, Słaboszewski, Kukuczka, Głębiak, Stoły, Łabędź, Roman Jursa, Kohut, Kupczok, Antoni Sztoler,



Zespół koszykarzy z początku lat siedemdziesiątych. Pierwszy z lewej ówczesny trener Janusz Kunisz, z prawej kierownik sekcji Józef Goclek. Ze zbiorów Kazimierza P. Raszki

Borner, Karaś, Burliga, Haratyk, Polednik, Szkwara, Lanc, Franciszek Zaręba, Gren-dziak, Wojnar, Huczala i Bylica.

Początkowo piłkarze nie uczestniczyli w cyklicznych rozgrywkach. Rozgrywali spotkania towarzyskie, zazwyczaj z jedenastkami BBTS-u, Walcowni Dziedzice i BKS-u Bielsko. Pierwszym międzynarodowym kontaktem był mecz z jedenastką Slezska Ostrawa, wygrany przez Piasta 3:1.

PRYM WIEDLI HOKEIŚCI

Pod koniec listopada 1945 roku utworzono sekcję hokeja na lodzie. Już 6 grudnia zespół rozegrał na lodowisku nad Bobrówką dwa spotkania z powracającą z Czechosłowacji Cracovią. W barwach zespołu znad Wisły wystąpili znani hokeiści — Andrzej Wolkowski, Adam Kowalski i Czesław Marchewczyk — uczestnicy ostatnich przed wojną zimowych igrzysk olimpijskich w Garmisch-Partenkirchen. W pierwszym spotkaniu wygrała Cracovia 4:3, a bramki dla Piasta strzelili: Nowotarski, Cienciała i Huta. W dzień później odbył się mecz rewanżowy. Po dwóch tercjach utrzymywał się wynik remisowy 1:1. W trzeciej odsłonie sędzia Pawłowski z Krakowa (!) usunął z lodowiska Cienciałę. To problematyczne wykluczenie osłabiło zespół Piasta do tego stopnia, iż przegrał 1:4. Piast grał wówczas w składzie: Morawiec, Nowotarski, Boruta, Gojny, Hanzlik, Huta oraz Lazar I, Cienciała, Lazar II.

Wraz z sekcją hokejową zaczęła działać sekcja łyżwiarska. Prym wiodły w niej panie Gojna i Studencka oraz Karol Michalek, popularny „Patti”.

Pod koniec 1945 roku zawiązała się sekcja szachowa, której kierownikiem został Jan Kukuczka, a w marcu 1946 roku sekcja tenisa stołowego, pływacka, a nieco później sekcja tenisa ziemnego. Kierownictwo tej ostatniej spoczywało w rękach Kazimierza Kostórkiewicza, który był także kapitanem drużyny. Do najlepszych tenisistów należeli: Mieczysław Sikora, Andrzej Dworzak („Ali”), Helena Kolasa, Ludwik Kuś, Zygmunt



Najmłodsi dżudocy z trenerem Jerzym Pilchem, który jest związany z sekcją od początku jej powstania. Początkowo jako zawodnik, a później trener. Fot. Stanisław Machaj

Nowotarski, Józef Flasz, Eugeniusz Gaś, Gertruda Ziętek i Maria Piwkowa. Wymienieni tenisiści należeli do liczących się zawodników Śląska.

W 1946 roku prezesem Piasta został Tadeusz Zubek. Z jego inicjatywy w rok później zaczęła działać sekcja lekkiej atletyki. Działacze tej ostatniej zorganizowali 15 czerwca 1947 pierwsze zawody LA z okazji Święta Wychowania Fizycznego i Sportu.

Tuż po wojnie Towarzystwo organizowało wyścigi rowerowe. Jeden z nich odbył się 28 listopada 1946 roku na trasie Cieszyn — Pruchna — Cieszyn. Najlepszym kolarzem był Stanisław Woźniak.

W 1947 roku prezesem klubu został Mieczysław Wróblewski, w rok później Edward Grzegorzek, a w 1950 Józef Zuberek. Za ich prezesu-

ry zaczęły działać sekcje: hokeja na trawie (1949), turystyczna, narciarska (1950) oraz rytmiczno-gimnastyczna (1951). Zajęcia szkoleniowe w sekcji narciarskiej prowadził Jan Matloch, Gustaw Koźdoń, Marek Świstoń, Jan Dzięgiel i Andrzej Cichy. W 1952 Teresa Zarzycka zdobyła dwa tytuły mistrzyni Polski juniorek w narciarstwie alpejskim, a Halina Kraherówna została sklasyfikowana na piątym miejscu w kraju w biegu na 5 km.

OGNIWO I SPARTA

W 1950 roku doszło do zmiany nazwy klubu. Stało się to po reorganizacji sportu związkowego w kraju. Klub przyjął nazwę Terenowe Koło Sportowe Ogniwo, a 19 grudnia 1954 zmienił ją na Zrzeszenie Sportowe Sparta. Do historycznej nazwy Towarzystwo Sportowe Piast powrócił na początku 1957 roku. W tym okresie funkcje prezesa klubu sprawowali: Stanisław Grochota (1951 – 52), Witold Zarzycki (1952 – 53) oraz Karol Bortliczek (1953 – 56).

W lutym 1956 roku odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze ZS Sparta. Pracowało wówczas 13 sekcji wyczynowych. Najlepsze wyniki uzyskiwali hokeiści na lodzie, pływacy, hokeiści na trawie, lekkoatleci oraz siatkarki. Słabo spisywali się tenisiści stołowi i piłkarze. Wybrano nowy Zarząd. Prezesem został Franciszek Golik, którego w 1958 zastąpił Emil Marcinek.

4 kwietnia 1959 odbyło się walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze TS Piast. Sprawozdanie z działalności złożył E. Marcinek, natomiast informację na temat imprez organizowanych z okazji 50-lecia klubu przedstawił wiceprezes Herbert (Zbigniew) Gabzdyl.

W 1960 roku prezesem TS Piast został Władysław Olearczyk, a wiceprezesem Władysław Zotyka. W tym czasie przystąpiono do przebudowy boiska „Pod Wałką”. M.in. dotychczasową 500-metrową bieżnię skrócono do 400 m, uzyskując dzięki temu boisko treningowe. Dobudowano też trybunę dla widzów, która biegła równolegle do Młynówki.

W dwa lata później na czele Zarządu stanął W. Zotyka, który pełnił tę funkcję do 1964 roku. Później na czele klubu stał Roman Bieleś, a od 1966 roku ponownie W. Zotyka.

MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU

W grudniu 1967 roku odbyło się plenarne posiedzenie Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. Stwierdzono pogłębiający się kryzys w klubach Piast i Stal Cieszyn. Wskazano też na niewłaściwą pracę z młodzieżą i niepełne wykorzystanie obiektów sportowych. Członkowie PKKFiT wystąpili z wnioskiem o połączenie klubów w jeden miejski klub.

W pierwszej połowie 1968 przystąpiono do realizacji wniosku. Z początkiem września 1968 roku odbyła się w siedzibie Miejskiej Rady Narodowej pierwsza narada koordynacyjna, a w połowie lipca 1969 — również w sali MRN — kolejne spotkanie, w którym uczestniczyli m.in. sekretarze ówczesnego Komitetu Powiatowego PZPR Jan Chodura i Tadeusz Tomiczek oraz przewodniczący MRN, Jan Kulig. Problem połączenia klubów przedstawił zastępca przewodniczącego MRN, Jacek Daszkiewicz. Zapadła wówczas decyzja o połączeniu klubów.

MŁODSZY PARTNER

Klub Sportowy Stal powstał w 1948 roku z inicjatywy Związku Zawodowego Metalowców i opierał się na młodzieży zatrudnionej w dwóch największych zakładach branży metalowej: Zakładach M-2 i Cieszyńskiej Fabryce Narzędzi. Organizatorem klubu byli m.in. Józef Głabek, Roman Jursza, Karol Klus, Rudolf Szkwara, Franciszek Zaręba. Po zmianach organizacyjnych w sporcie polskim zapadła decyzja o połączeniu Stali z Klubem Sportowym Siła. Ten ostatni klub powstał w czerwcu 1946. Siła posiadała sekcje piłki nożnej, tenisa stołowego i lekkiej atletyki. Po fuzji obu klubów przyjęto nazwę KS Stal-Siła. Pierwszym prezesem został dyrektor ówczesnej Fabryki Wyrobów Nożowniczych Eugeniusz Filipczyk. Klub składał się początkowo z 4 sekcji: piłki nożnej, narciarskiej, turystycznej oraz tenisa stołowego. Liczył ok. 70 członków. Pod koniec 1949 powstała sekcja kolarska, która istniała do 1952. Dobre wyniki uzyskiwał Józef Junga, który m.in. w jednym z wyścigów pokonał Kazimierza Gazdę. W 1950 roku Stanisław Wawrzeczko został wicemistrzem Federacji Sportowej „Stal” na torze oraz zajął trzecie miejsce w wyścigu szosowym.

W 1950 roku federacja związkowa przeprowadziła likwidację klubów zastępując je sportowymi kołami zrzeszeniowymi działającymi przy branżowych zakładach pracy bez osobowości prawnej. Reorganizacja nie dała pozytywnych rezultatów, wręcz przeciwnie, wprowadziła sporo nieporozumień. Impas przełamano w 1954 roku powołując do życia liczące 700 członków (150 zawodników) Terenowe Koło Sportowe Stal Cieszyn. Posiadało ono sekcje piłki nożnej (klasa A), tenisa stołowego (liga śląska), siatkówki mężczyzn (III liga) oraz koszykówki (klasa B). Do 1956 roku klubem, a później kołem kolejno kierowali: Karol Szczepański, Józef Głabek, Władysław Babiński, Władysław Kubik i Franciszek Legierski.

W 1956 TKS Stal utworzyło sekcję rugby. Zajęcia treningowe prowadził instruktor Kowalski. Zorganizowano też sekcję bokserską. Do najlepszych bokserów należeli: Sondawski, Wala, Tomoszko, Karol Bojda, Zając, Partyka i Nowak. W tymże roku do II ligi awansowali tenisiści stołowi. Trzon zespołu tworzyli: Rudolf Szymik, Edward Gawlas, Erwin Moskorz i Kazimierz Zieliński.

W marcu 1957 roku podjęto decyzję o powstaniu samodzielnego KS Stal z osobowością prawną. W skład Zarządu weszli: Jerzy Wąsik — prezes, Władysław Kubik, Franciszek Zaręba, Franciszek Ludwig — wiceprezesi, Władysław Kroczek — sekretarz.

W dwa lata później I drużyna pingpongowa grała w lidze śląskiej, a rezerwa wywalczyła mistrzostwo klasy A, siatkarze awansowali do ligi śląskiej, koszykarze grali w klasie B, natomiast piłkarze w klasie A.

W 1959 Stal dysponowała stadionem sportowym, wyposażonym w boisko do piłki nożnej, koszykówki i siatkówki, w bieżnię, trybunę honorową. W 1965 roku sportowcy otrzymali piękny stadion przy alei Łyska. Powstał dzięki pracy społecznej dużej rzeszy sympatyków, kibiców, sportowców oraz pracowników Celmy.

W przededniu fuzji Stali z Piastem stalowcy uzyskali kilka znaczących wyników. Tenisiści stołowi zdobyli awans do ligi międzywojewódzkiej, do klasy śląskiej awansowali koszykarze, natomiast siatkarze, pomimo odejścia kilku czołowych zawodników, grali z powodzeniem w klasie A. Dobre wyniki uzyskiwali też lekkoatleci. Słabo natomiast spisywali się w rozgrywkach piłkarze.

W ciągu ostatnich 10 lat istnienia Stali funkcje prezesa pełnili: Jerzy Wąsik, Alfred Kubica, Stanisław Głazowski, a od grudnia 1967 roku sternikiem klubu był Robert Weber.

KLUB SPORTOWY CIESZYN

Historyczny akt, pieczętujący fuzję klubów, nastąpił 19 sierpnia 1969 roku w sali Domu Narodowego. Nowy klub przyjął nazwę Klub Sportowy Cieszyn. W skład prezydium zarządu weszli: Jan Kulig — prezes, Robert Weber, Władysław Zotyka, Władysław Babiński, Zbigniew Gabzdyl, Rudolf Cieślarski oraz Alfred Mazur — wiceprezisi. Postanowiono prowadzić sekcje: piłki nożnej, hokeja na lodzie, hokeja na trawie, siatkówki kobiet i mężczyzn, lekkiej atletyki, koszykówki, tenisa stołowego, szachów oraz rytmiczno-gimnastyczną.

W 1970 roku piłkarze KS Cieszyn awansowali, po pamiętnym meczu barażowym z Kuźnią Ustroń, do śląskiej ligi okręgowej, Zbigniewa Gryźbonia powołano do reprezentacji kraju w rzucie dyskiem seniorów, a Grzegorz Wawrzyczek wywalczył tytuł mistrza Śląska juniorów w szachach.

W maju 1972 roku KS Cieszyn wzbogacił się o nową halę sportową przy alei Łyska. W tym samym miesiącu odbyło się pierwsze zebranie sprawozdawczo-wyborcze KS Cieszyn. Klub działał poprzez 10 sekcji. Wybrano nowy Zarząd, na czele którego stanął Robert Weber. W rok później zastąpił go Albin Piecha.

W 1974 klub liczył 2.800 członków, w tym 393 czynnie uprawiających sport. Działało 10 sekcji, a w rozgrywkach uczestniczyło 19 drużyn. Największe sukcesy odnieśli siatkarze, zdobywając piąte miejsce w halowych Mistrzostwach Polski.

W połowie 1976 roku oddano do użytku pawilon sportowy wraz z pomieszczeniami i urządzeniami do obsługi stadionu oraz hali. Powstała też sala o powierzchni 130 m kw. dla tenisistów stołowych, hotelik na 24 miejsca, kawiarenka, natrysk, magazyn na sprzęt sportowy. Stadion otrzymał nową murawę o wymiarach 150 × 65 m, boisko do siatkówki o nawierzchni kortowej, a do koszykówki o nawierzchni asfaltowej. Nową nawierzchnię otrzymała 400-metrowa bieżnia oraz rozbieg do rzutu oszczepem. Przebudowano też skocznię oraz rzutnię.

POWRÓT DO TRADYCJI

W 1979 roku, z okazji 70-lecia klubu, Zarząd na czele z prezesem Ottonem Ślosarczykiem podjął uchwałę o powrocie do starej, historycznej nazwy. Tak więc od dwudziestu lat jego nazwa brzmi: Klub Sportowy Piast.

W 1981 roku przekazano do użytku położone za Wieżą Piastowską sztuczne lodowisko. Wartość inwestycji przekroczyła wówczas 35 milionów złotych. Dzięki pomocy Elektrociepłowni ukończono remont węzła c.o. w pawilonie dżudo, został odnowiony i udostępniony hotel klubowy na zgrupowania i obozy, zbudowano cztery korty obok sztucznego lodowiska.

Największe sukcesy odnieśli hokeiści na trawie, którzy w 1984 wywalczyli awans do I ligi. W kwietniu 1985 siatkarki pod wodzą Mariana Bobuli zdobyli awans do II ligi. Dobrze spisywali się koszykarze, wygrywając ligę międzywojewódzką. Lata 80. były także niezłe dla lekkoatletów. Krystian Ciemała został brązowym medalistą halowych mistrzostw Polski w skoku wzwyż, dyskobolka Mariola Herda znajdowała się na ósmym miejscu w kraju w grupie młodzieżowej, Dorota Smierna została finalistką OSM w biegach przełajowych. Z powodzeniem pracowała sekcja dżudo, której trenerem jest nadal Jerzy Pilch. W 1988 Martynek i Wiśniowski zakwalifikowali się do finałów Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży, a w rok później awans do finałów OSM wywalczyli M. Michałek, P. Sznapka i W. Pilch.

Dziesięć lat temu KS Piast posiadał 7 sekcji — piłki nożnej, lekkoatletyki, dżudo, koszykówki, hokeja na trawie, siatkówki kobiet oraz tenisa stołowego. Dysponował dwoma stadionami, przy alei Łyska i pod Wałką, pawilonem dżudo, sztucznym lodowiskiem, halą sportową wraz z hotelem oraz kortami przy ulicy Piastowskiej.

OSTATNIA DEKADA

Ostatnie lata to głównie rządy prezesa Janusza Kunisza, którego wspierali dyrektorzy klubu: Zbigniew Niżnikiewicz oraz Marek Gawlas. Sukcesy odnotowali lekkoatleci. W 1993 roku Andrzej Ogórek w halowych mistrzostwach Polski juniorów zdobył brązowy medal na 60 metrów przez płotki, a Damian Dobner zajął siódmą lokatę w pchnięciu kulą. W rok później Dobner zajął czwarte miejsce. Sławę przyniosła klubowi Aniela Nikiel, zdobywczyni tytułów mistrza kraju w biegach przełajowych, na dystansie 10 kilometrów, w półmaratonie oraz w maratonie. Uczestniczyła też w ostatniej letniej olimpiadzie w Atlancie, nie odnosząc jednak sukcesu. Wygrała natomiast kilka znaczących biegów ulicznych, m.in. w Bielsku-Białej, Katowicach, Jastrzębiu, Ustroniu. Sukcesy odnosili też inni, m.in. Izabela Tymich w trójskoku, Barbara Grzybek, Bogusław Sikora, Tomasz Węglorz, Andrzej Łukasiak, Andrzej Wantulok w biegach oraz Bartłomiej Kulesza w kuli.

W 1993 roku koszykarze uzyskali awans do II ligi. Awans wywalczyli: Krzysztof Niżnikiewicz, Tomasz Talik, Piotr Czempiel, Tomasz Cholewik, Adam Kubaszczyk, Łukasz Kuboszek, Andrzej Mazur, Andrzej Ciompa, Mieczysław Hynik, Mirosław Walica, Rafał Domajer, Mariusz Małak. Trenerem był Stanisław Żyła.

ERA ŻURKÓW

Blisko 60 osób uczestniczyło w walnym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Piasta Cieszyn, które odbyło się 26 kwietnia 1995 roku. Dotychczasowy prezes, J. Kunisz zrezygnował z funkcji. W głosowaniu jawnym wybrano nowy Zarząd. W jego skład weszli: Andrzej Piechocki, Zbigniew Niemczyk, Jerzy Strumiński, Jan Martynek, Jerzy Kubień, Stefan Śliż, Jan Żurek, Mirosław Werner, Henryk Dziadek, Jerzy Kaleta, Zbigniew Juroszek, Jerzy Socholok, Halina Zajac, Ryszard Pniok i Władysław Tomica. Funkcję nowego prezesa klubu powierzono Janowi Żurkowi, wiceprezesem ds. sportowych został Mirosław Werner, a sekretarzem Zbigniew Niemczyk. Na stanowisku dyrektora klubu Marka Gawlasa zastąpił brat prezesa, Adam Żurek.

Dziś Piast ma 7 sekcji sportowych. Są to: koszykówka, piłka nożna, tenis stołowy, dżudo, lekkoatletyka, hokej na trawie i brydż. Wiodącą sekcją jest piłka nożna. Pierwsza drużyna gra w IV lidze, rezerwa w klasie A. Poza seniorami klub szkoli młodzież (roczniki 1987 i starsze). Koszykarze występują w lidze międzywojewódzkiej. W rozgrywkach uczestniczą też juniorzy, kadeci oraz dwa roczniki młodzików. W sumie trenuje w klubie 80 koszykarzy. Trzecia sekcja to lekkoatletyka. Kilkudziesięciu zawodników, niewielu seniorów. Podobnie jak inne kluby województwa, Piast szkoli lekkoatletów do dziewiętnastego roku życia. Później młodzież idzie na studia, zasilając AZS-y.

W sekcji dżudo, której trenerem jest od lat Jerzy Pilch, trenuje 50 dziewcząt i chłopców. Najzdolniejsi zasilają szeregi różnych klubów. Przykładem może być M. Michalek, który z powodzeniem walczy w barwach Czarnych Bytom. Jako reprezentant Polski uczestniczył w mistrzostwach Europy. Dwudziestu juniorów hokeja na trawie trenuje Piotr Buzek, a kierownikiem sekcji jest Zygmunt Szotek. W 1997 roku drużyna awansowała do finałów OSM w Krakowie, gdzie zajęła ósme miejsce.

Piast ma jeszcze dwie sekcje — tenisa stołowego i brydża sportowego. Ta pierwsza to czysta rekreacja, druga to grupa, którą klub przyciągał. Korzysta z obiektów, ale sama dba o finanse.



Beskidzki zakątek, rok 1996. Rys. tuszem Bogusława Heczki

UŚMIECH WŚRÓD CODZIENNOŚCI

Indie obchodziły w ubiegłym roku 50. rocznicę odzyskania niepodległości. Z tej okazji Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Indyjskiej zaprosiło do Cieszyna prof. dra Raviego Javalgekarę — lekarza, farmakologa, dyrektora Ayurveda Collage w Solapur, a zarazem wielkiego przyjaciela Polski i Polaków. Podczas kilku spotkań w Domu Narodowym opowiadał on o swoim kraju, jego historii, tradycji i kulturze oraz wprowadzał w arkana jogi, która w rzeczowym i konkretnym ujęciu profesora utraciła wiele ze swej egzotyki i tajemniczości, stając się pełną prostoty drogą do udoskonalenia ciała, umysłu i... serca.

JOGA

— Hindusi uważają, że tak naprawdę jogę zna każdy, ponieważ jest to po prostu nasze życie. Karmajoga — to codzienność, radości, smutki i obowiązki płynące z realizacji własnego powołania danego człowieka (lekarza, nauczyciela itp.). Bhaktijoga — to modlitewna wdzięczność i uwielbienie Boga. Radżajoga jest rozpatrywaniem jogi na płaszczyźnie filozoficznej. I wreszcie dziedziną interesującą mnie najbardziej — hathajoga — nazywana jest w Indiach drogą do szczęścia, ponieważ poprzez systematyczne ćwiczenia fizyczne, kontrolowane oddychanie oraz medytację pozwala ona zachować spokojny, zrównoważony umysł, co potrzebne jest chyba szczególnie współczesnemu człowiekowi, obciążonemu stresem, brakiem czasu i agresywnym hałasem rzeczywistości, w której przyszło mu żyć.

CIAŁO

— Hathajogą zainteresowałem się po ukończeniu studiów tzw. medycyny konwencjonalnej, bowiem zdumiewały mnie efekty osiągane przy użyciu tej metody w leczeniu wielu chorób, m.in. układu oddechowego i krążenia, astmy, cukrzycy i całej gamy dolegliwości psychosomatycznych, jakie dotyczą obecnie blisko 70 procent wszystkich pacjentów. Faktem jest, iż codziennie powtarzane ćwiczenia wpływają na zwiększenie siły mię-



śni, likwidują zbędne złogi tłuszczu i poprawiają znacznie ogólną kondycję organizmu, co nie pozostaje bez wpływu na układ nerwowy, a także immunologiczny, prowadząc do zwiększenia odporności oraz dłuższego zachowania młodości biologicznej organizmu (a trzeba przyznać, że ludzkie ciało ma w tym zakresie ogromne możliwości — amerykańscy uczeni odkryli, iż nasze komórki mogłyby dożyć nawet 170 lat!). Podczas ćwiczenia należy jednak przestrzegać pięciu podstawowych zasad: asany powinno się wykonywać powoli i łagodnie, przyjmując stabilną pozycję ciała na co najmniej minutę (20 oddechów), należy być skoncentrowanym, oddychać przez nos i... uśmiechać się, gdyż joga winna dawać relaks i spokój.

UMYSŁ

— Na podstawie wielu doświadczeń, które są nadal prowadzone w Stanach Zjednoczonych, dowiedziono, że przeciętny człowiek w ciągu całego życia wykorzystuje zaledwie 7–11 procent energii swego mózgu, wybitni twórcy czy naukowcy natomiast od 14 do 17 procent. A reszta? Wciąż pozostaje dla nas fascynującą tajemnicą i zarazem wezwaniem do poznawania samych siebie i swoich możliwości. Wielu adeptów jogi na całym świecie próbuje więc „odślonić” ową tajemnicę i sięgnąć po ten niewykorzystany potencjał. Poszczególne asany ćwiczą m.in. artyści (np. słynny wirtuoz skrzypiec Yehudi Menuhin) oraz sportowcy niemieccy, rosyjscy czy amerykańscy. Badania dowiodły, że joga pomaga także dzieciom, u których zwiększa koncentrację, wpływając na osiąganie lepszych wyników w nauce. Nic więc dziwnego, iż metoda ta zyskuje coraz większą popularność, również i w Polsce. Mogę tak powiedzieć, ponieważ prowadziłem już kursy hathajogi nie tylko w Bielsku i Cieszynie, ale także m.in. w Warszawie, Poznaniu, Kołobrzegu, Olsztynie, Jeleniej Górze, Kielcach i Częstochowie.

SERCE

— Bardzo lubię przyjeżdżać do Polski. Jest to niezwykle kraj. Kraina urzekających gór, lasów i krajobrazów, ojczyzna ludzi o pięknych sercach, którzy nawet pośród problemów, trosk i przeciwności losu potrafią zachować pogodę, radość życia i uśmiech — czyli to, do czego dążą hinduscy jogini.

Przyjechałem tu po raz pierwszy w 1984 roku na konferencję naukową, która została zorganizowana w Krakowie. Właśnie tam, podczas zwiedzania Wawelu a potem Kościoła Mariackiego odkryłem w swoim sercu Waszą uśmiechniętą, dobrą i pełną godności Ojczyznę.

Z POWIEDZEŃ LUDOWYCH

Podle stawu groble suć, podle stanu szaty
szyć.

★ ★ ★

Pełny rozum mo człowiek dzieprym, jak
sto kilo soli zjy.

★ ★ ★

Łechciwy na dowani, łączny na brani.

★ ★ ★

Łakomy tak tego używo co mo, jak i tego,
czego nimo.

★ ★ ★

Jak ci kaj nie dajom śniodanio, to już na
obiód nie czakej.

JAK „FENIX” Z POPIOŁÓW

Motto:

*Fortes fortuna adiuvat
(Dzielnych los wspiera)*

Wszystko zaczęło się po 13 grudnia 1981 roku. Młodziutkiej, filigranowej blondynce, która dopiero co ukończyła studia i marzyło się jej zdobywanie katedry profesorskiej, postawiono zadanie: w ciągu siedmiu miesięcy należy z domu wczasowego „Róża” wyprowadzić wczasowiczów i urządzić w tym miejscu 175 podopiecznych pomocy społecznej.

Chyba nie do końca zdawała sobie wówczas sprawę z tego, że znaczyło to całkowitą zmianę w jej życiu i wejście na drogę bardzo trudnej, odpowiedzialnej pracy. Ale wyzwanie zostało podjęte.

Już z początkiem maja 1984 roku niegdysiejsza pani asystent, naładowana wiedzą teoretyczną, zmieniła pióro na kielnię a uniwersytet na plac budowy. Do dziś nie jest pewna, czy byłaby lepsza uczoną, czy też okazała się lepszym budowniczym.

Co to była za budowa? Do rozbudowy, przebudowy, adaptacji otrzymała bardzo zniszczony budynek po byłym hotelu OHP w Skoczowie. Należało ten budynek przystosować do przyjęcia podopiecznych i stworzyć w nim z prawdziwego zdarzenia dom pomocy społecznej.

Ania Klinik nie mogła poprzestać na zwykłych adaptacjach, małych remontach czy przeróbkach. Ona miała zupełnie inne pomysły. Przystąpiła zatem do budowy. Przejęła obiekt o powierzchni użytkowej 2810 metrów kwadratowych, z 40 arami niewłasnego guntu. Obecnie cały obiekt to imponujący kompleks o powierzchni użytkowej ponad 6267 metrów kwadratowych na własnym gruncie liczącym 1 hektar i 11 arów.



Dom Pomocy Społecznej nr 1 w Skoczowie

Dom Pomocy Społecznej nr 1 w Skoczowie zapewnia obecnie specjalistyczną pomoc ponad 150 dorosłym obojga płci dotkniętym przewlekłą chorobą somatyczną, którzy pozbawieni są odpowiedniej pomocy w swoim środowisku. Prowadzi trzy formy opieki: pobyt stały, czasowy i dzienny. Wszystkie są odpłatne. Do szczególnie ważnych zadań Domu należy opieka nad chorymi na stwardnienie rozsiane. Pobyt czasowy ujęty jest w formę rotacyjnych turnusów trwających od 2 do 6 miesięcy. Szczególną grupę mieszkańców stanowią niepełnosprawni dowożeni na pobyt dzienny. Dowozem inwalidów zajmuje się Dom.

Dom Pomocy Społecznej nr 1 w Skoczowie, Warsztat Terapii Zajęciowej „Fenix”, bo tak obecnie placówka ta się nazywa, pełni funkcję opiekuńczą, rehabilitacyjną i integracyjną stawiając na szeroko pojętą aktywność podopiecznych. Od września 1995 roku w Domu istnieje Warsztat Terapii Zajęciowej. To tu spotykają się inwalidzi, dowożeni z najbliższej okolicy. Regularnie odbywają się sesje psychoterapii grupowej i indywidualnej, muzykoterapii. Dla mieszkańców organizowane są również imprezy o charakterze kulturalno-rozrywkowym takie jak: zabawy, konkursy, quizy. Mieszkańcy Ośrodka chętnie uczestniczą też w organizowanych dla nich wycieczkach w góry, do muzeów, ZOO, kina i teatru. Mają też możliwość wyboru takich zajęć z zakresu terapii, które odpowiadają im najbardziej. Do ich dyspozycji stoją zajęcia z arteterapii, ceramiki, foto atelier, kulinarnie, techniczne, kosmetyczne i plastyczne. Przy wyborze określonej formy terapii bierze się pod uwagę nie tylko zainteresowania mieszkańców, ale także jej oddziaływanie lecznicze.

Zapewnia się najbardziej nowoczesne formy terapii stosowane w Polsce jeszcze dość rzadko. Przykładem może być sala doświadczania światła, tzw. „Snozelen”. Stwierdzono, że ta forma terapii dostarcza mieszkańcom sporo przeżyć intelektualnych, emocjonalnych i zmysłowych. Prowadzone w sali ćwiczenia relaksacyjne poprawiają stan fizyczny i psychiczny uczestników. Dom posiada także optymalnie funkcjonujące zaplecze rehabilitacyjno-terapeutyczne. Obejmuje ono hydroterapię, fizykoterapię, magnetoterapię, światłoterapię, indywidualny gabinet usprawnień leczniczych, salę gimnastyki grupowej i stanowiska masażu.

Budując swoją arkę dla ludzi niezwykle doświadczonych przez los pani dyrektor nie zapomniała o ich potrzebach duchowych. Dowodem domowa kaplica. Urządzona została z dużym smakiem i w pełni wyposażona w obrazy i rzeźby liturgiczne wykonane rękami samych mieszkańców, pod okiem ich terapeutów. Kaplica pełni niezwykle ważną funkcję duchowo-terapeutyczną. W niej regularnie odbywają się nabożeństwa w duchu ekumenizmu. Dla katolików są to msze święte, a dla ewangelików nabożeństwa liturgiczne. We wszystkich nabożeństwach uczestniczą również mieszkańcy pobliskich parafii. Kaplica jest też miejscem ekumenicznych spotkań duszpasterskich, koncertów religijnych, misterii wielkopostnych i jaselek w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Pracujący w Domu ludzie, od portiera do dyrektora, mają świadomość miejsca, czasu i własnej roli. Oni wiedzą, że to nie jest taka sobie zwykła praca, że to też pewna misja. Rewalidacją podopiecznych zajmują się specjaliści reprezentujący różne dziedziny tej wiedzy: neurolog, pełniący jednocześnie funkcję lekarza domu, psychiatrę, internistę, stomatolog, rehabilitanci, psychologowie oraz instruktorzy terapii zajęciowej. Mieszkańcy mają też zapewnioną całodobową opiekę spełnianą przez pielęgniarki i opiekunki.

Wysokie są kompetencje zawodowe pracowników. Tu każdy wykonuje swoją pracę ze znanstwem, zrozumieniem i pełnym oddaniem. Ci ludzie to w pewnym sensie misjonarze, pracujący wśród ludzi, którzy wcale nie uważają, iż mają jakiś dług wdzięczności. Tym bardziej zasługują na dobre słowo.

KLUB TAJNERÓW

Clubne karty Olimpii Goleiszów, która w 1998 roku obchodziła 50-lecie działalności, zapisali przedstawiciele rodziny Tajnerów, którzy wielokrotnie zdobywali tytuł mistrzów kraju i reprezentowali polskie narciarstwo na arenie międzynarodowej.

Wszystko zaczęło się od nieżyjącego już Leopolda Tajnera. „Poldek”, bo tak go popularnie nazywano, był wszechstronnym sportowcem. W lecie uprawiał lekkoatletykę, grał w siatkówkę, latał... na szybowcach, a w zimie startował w biegach, skokach i w kombinacji norweskiej. Jako pierwszy z Beskidów wdarł się na dobre w koalicję zakopiańczyków. Pierwszy, znaczący sukces na arenie międzynarodowej osiągnął w 1948 roku w Szpindlerowym Młynie, gdzie zdobył Wielką Nagrodę. Po tym sukcesie wszedł w skład polskiej ekipy na Zimowe Igrzyska Olimpijskie w St. Moritz. Startował też w Igrzyskach w Oslo (1952). Zdobyl dwukrotnie tytuł wicemistrza Polski, a w 1951 przyznano mu tytuł Mistrza Sportu. Po zakończeniu kariery sportowej zajmował się trenerką, m.in. w Olimpii Goleiszów i w ROW Koniaków. Jego wychowankowie startowali 5-krotnie w Igrzyskach Olimpijskich oraz 6-krotnie w mistrzostwach Europy juniorów.

Największe sukcesy sportowe odniósł jednak najmłodszy brat „Poldka”, Władysław Tajner. Był wszechstronnym narciarzem. Jako junior zwyciężał w kraju na trasach zjazdowych, slalomowych oraz na skoczniach. Zdobyl trzy tytuły mistrza Polski w skokach juniorów oraz 6 tytułów mistrzowskich seniorów. Triumfował m.in. w Pucharze Beskidów i zdobył Wielką Nagrodę w Tatrzańskiej Łomnicy. W Planicy skoczył 114 metrów i tym samym znalazł się w sławnym klanie „ludzi-ptaków”. Był również rekordzistą Dużej Krokwi w Zakopanem oraz skoczni narciarskich w Wiśle Malince, Szczyrku, Karpaczu i w Iwoniczu. Był również dwukrotnym olimpijczykiem. Startował w Cortina d’Ampezo, gdzie zajął 16. miejsce, i na igrzyskach w Squaw Valley oraz w mistrzostwach świata FIS w Lahti.

W. Tajner parał się również trenerką. W połowie lat 60. trenował skoczków Skoła Nydek, a później, po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, pracował ze skoczkami LKS Beskid Brenna.

Z narciarstwem byli związani pozostali bracia Leopolda, a nawet siostra Bernadeta. Brat Jan został mistrzem Śląska w skokach i w kombinacji norweskiej, zaś Alojzy skakał mając 14–17 lat. Z narciarstwem związany jest syn „Poldka” Apoloniusz, dwukrotny mistrz kraju juniorów w skokach i piąty dwuboista Europy juniorów. Jako absolwent krakowskiej AWF był trenerem w ROW Koniaków, Olimpii Goleiszów oraz prowadził kadrę narodową dwuboju klasycznego. Obecnie pełni funkcję wiceprezesa Polskiego Związku Narciarskiego.

Córki Leopolda również weszły w świat narciarski. Najstarsza, Jolanta, absolwentka AWF Katowice, startowała początkowo w biegach, potem w zjazdach, osiągnęła II klasę sportową i wywalczyła wicemistrzostwo Polski junierek. Pielęgniarka Aldona była mistrzynią Śląska w biegach. Tylko Barbara, absolwentka Technikum Gastronomicznego w Wiśle, która startowała w biegach, nie osiągnęła bardziej znaczących wyników.

Po niespodziewanej śmierci Alojzego Tajnera jego nieletnimi wówczas synami: Józefem, Tadeuszem, Henrykiem i Andrzejem zaopiekował się senior rodu — Leopold. Rozniłował ich w „białym” sporcie do tego stopnia, że...

Józef zajął m.in. szóste miejsce w mistrzostwach Europy juniorów w skokach, następnie już jako senior startował w FIS w Szwecji, w Turnieju Czterech Skoczni i w ogóle należał do czołówki krajowej. Tadeusz wywalczył tytuł wicemistrza Polski juniorów w skokach; taki sam sukces odniósł najmłodszy z braci — Andrzej. Piętnaście lat temu zakończył karierę sportową Henryk. Był m.in. sześciokrotnym mistrzem kraju juniorów w skokach, startował w Turnieju Czterech Skoczni i w mistrzostwach Europy, zwyciężał w turniejach na skoczniach niemieckich, rosyjskich, czeskich i bułgarskich. Wchodził ponadto w skład kadry narodowej seniorów.

Jak obliczyli statystycy, ród Tajnerów wywalczył w sumie 41 medali mistrzostw Polski juniorów i seniorów. Liczba nie jest ostateczna, gdyż w odwodzie są... wnukowie Leopolda. Przede wszystkim należy liczyć na synów Apoloniusza, którzy coraz lepiej radzą sobie na skoczni. Nie będą jednak zdobywać medali dla Olimpij, lecz dla Klubu Sportowego Wisła, w barwach którego startują. Tak więc rośnie Adamowi Małyszowi krajowa konkurencja kolejnych Tajnerów...



Brama do... świata. Fot. Wojciech Trzcionka

PRZESTAŃ SIĘ STARZEĆ... OD DZIŚ!

Starzeje się każdy, ale nie każdy musi być starcem

Georg Burnsa

Zдам sobie sprawę z tego, że podejmowany temat jest zbyt obszerny, by wyczerpać go w jednym artykule. Dla pragnących pogłębić go, podaję na końcu literaturę.

Minęły czasy, kiedy twierdzenie o *starzeniu się, zaczynającym się w dniu urodzenia*, uchodziło jedynie za zwrot retoryczny. Obecnie stwierdzenie to znalazło nową interpretację neuroendokrynologiczną. Okazuje się, że proces starzenia się można powstrzymać. Człowiek może żyć w miarę sprawnie nawet do 120 lat. Składa się na to wiele czynników. Trudno pisać o wszystkich. W tym artykule zasygnalizuję jedynie kilka informacji, jak i czym się odżywiać, żeby żyć długo, zdrowo i nie być ciężarem dla otoczenia.

Stwierdzono, że starzenie się jest chorobą, której nie można uniknąć, ale można ją leczyć. Nade wszystko trzeba zadbać o wczesną profilaktykę. Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak łatwy mamy dostęp do większości tych substancji, które mogą spowolnić proces starzenia się. Występują w pożywieniu i w preparatach wielowitaminowych i można je nabyć w naszych sklepach. Są bezpieczne w użyciu, niezbyt drogie, biorąc pod uwagę korzyści, które przynoszą.

Od wieków ludzkość starała się odkryć źródło starości. Dziś naukowcy są przekonani, że częściowo znajduje się w genach. Każdy, kto zdecyduje się na wypowiedzenie wojny starości, powinien wiedzieć, dlaczego się starzejemy i jak temu zapobiec.

Ostatnie badania naukowe dowodzą, że biologiczne sekrety starzenia się, ukryte są w poszczególnych komórkach, narażonych na stałe ataki związków chemicznych, zwanych wolnymi rodnikami. Na skutek tych ataków powstają uszkodzenia, które z biegiem lat kumulują się aż osiągną stan, od którego nie ma odwrotu. Stąd liczne choroby spotykane właśnie u schyłku życia. Tak ujętą wiedzę o starzeniu się zawdzięczamy profesorowi medycyny Uniwersytetu Nebraska, Denhamowi Hermanowi. Zasygnalizował ją w 1954 roku, dopiero jednak w roku 1960 uznano jego teorię za przełomową w historii procesów starzenia się. Naukowcy sądzą, że udział wolnych rodników w powstawaniu chorób degeneracyjnych wynosi aż 80–90 procent. Należy je więc zwalczać lub spowalniać, pamiętając, że źródłem wolnych rodników są m.in.: palenie tytoniu, zanieczyszczenie środowiska, nieodpowiednie odżywianie, różnego rodzaju nalogi, zbytne przebywanie na słońcu, napromieniowanie rentgenowskie itd.

Związki mogące, chociażby częściowo, neutralizować wolne rodniki, to przeciwutleniacze. Do nich należą witaminy i minerały. Podobne działanie mają również substancje pochodzenia roślinnego, występujące w warzywach i owocach. Pamiętajmy, że około jedną czwartą używanych obecnie leków otrzymujemy z roślin. Doktor John Polter z Uniwersytetu Minnesota twierdzi, że szerząca się epidemia niedoboru warzyw prowadzi do wzrostu chorób nowotworowych. Owoce i jarzyny, spożywane 5 razy dziennie, zmniejszają zachorowalność na nowotwory nawet o połowę. Według jego opinii, u osób jeżdżących codziennie beta-karoten, zawarty w jednej marchewce i witaminę C, równającej się połowie pomarańczy, śmiertelność obniża się o 28 procent.

W trakcie trwającej 24 lata obserwacji, prowadzonej przez Katedrę Zdrowia Uniwersytetu w Teksasie, stwierdzono 50-procentowy spadek umieralności na choroby nowotworowe i 18-procentowy w przypadku chorób serca. Fakty te dowodzą, jak dużą rolę w procesie przedłużania życia odgrywają przeciwutleniacze.

W czym szukać przeciwutleniaczy? Znajdują się przede wszystkim w warzywach i owocach żółto-zielonych i intensywnie czerwonych, takich jak marchew, zielona pietruszka, sałata, wszelkie warzywa kapustne, papryka, szpinak, pomidory, ananasy, truskawki, wszelkie jagody, czerwone winogrona, arbuz, grejpfruty rubinowe itp. W owocach i jarzynach zawarte są też mikroelementy, niezbędne dla funkcjonowania naszego organizmu, a szczególnie w profilaktyce nowotworowej, takie jak magnez, selen i żelazo.

Na zakończenie podaję niektóre fakty, które przytaczam za doskonałymi trzema pozycjami książkowymi autorstwa Jean Carper. Gdybyśmy przestawili się na dietę wegetariańską, to miażdżycę tętnic wieńcowych, powodującą większość przypadków chorób serca, zniknęłaby na zawsze (Wiliam Roberst, naczelny redaktor „American Journal of Cardiology”).

Dlaczego wegetarianie starzeją się wolniej? Są znacznie lepiej chronieni przed chorobami dzięki różnym antyutleniaczom we krwi. Ich układ odpornościowy jest bardziej aktywny i lepiej chroniony przed infekcjami i nowotworami. Jeżeli zaś chodzi o tłuszcz, to najlepszy jest tłuszcz z ryb. Zaleca się jeść dania rybne dwa lub trzy razy w tygodniu.

Jeżeli chcemy zachować najdłużej młodość, musimy zrezygnować z niektórych tłuszczów, np. margaryny. Doświadczenia prowadzone przez dr. Willetta z Uniwersytetu Harvard wykazały, że kobiety, które codziennie używały około 20 g margaryny, zapadały na choroby serca o ponad 60 procent częściej niż kobiety, które jadły około 5 g margaryny miesięcznie.

Godna polecenia jest natomiast oliwa z oliwek, powodująca, że błony komórkowe są trwalsze i mniej podatne na uszkodzenia. W krajach gdzie spożywa się jej najwięcej, notuje się najniższy wskaźnik chorób serca i nowotworów (Kreta, Grecja, Włochy). Oliwa z oliwek chroni naczynia krwionośne, obniża poziom cholesterolu we krwi, zapobiega przeciwmiażdżycowo, obniża ciśnienie, reguluje poziom cukru we krwi, zapobiega chorobom nowotworowym, zwłaszcza u ludzi starszych. Specjaliści twierdzą, że łyżka oliwy dziennie zabezpiecza organizm przed chorobami i spowalnia starzenie się.

Jeden z czołowych ekspertów w dziedzinie nowotworów, doktor John Weisburger z Amerykańskiej Fundacji Zdrowia wypija codziennie około pięciu filiżanek herbaty. Twierdzi, że zawierają tyle antyutleniaczy, co dwie porcje owoców i warzyw. Filiżanka herbaty jest, jego zdaniem, lepsza niż kieliszek czerwonego wina. A więc pijmy herbatę — w niej tkwi tajemnica zachowania młodości. Znacznie zdrowsza jest herbata zielona; niestety nie zakorzeniła się ona w naszej europejskiej kulturze.

Jeszcze kilka słów o czosnku, który jest jednym z cudownych leków, stworzonych przez naturę, opóźniającym procesy starzenia się. Może być używany w naturalnej postaci albo w tabletkach. Gotowany lub smażony nie traci nic ze swych wartości. Pamiętajmy również o nalewce z miłorzębu japońskiego, którą można dostać bez recepty. Miłorząb jest bardzo silnym antyutleniaczem. Doktor K. Drieu z Instytutu Pasteura we Francji twierdzi, że lek ten przywraca młodzieńczą wrażliwość komórek mózgu, poprawia jego funkcjonowanie, odświeża pamięć, hamuje wczesne stadia choroby Alzheimera, poprawia również krążenie obwodowe. Korzystne działanie tego leku daje się zaobserwować po 4–6 tygodniach. Terapia ta musi być jednak kontynuowana, bo po jej przerwaniu wszystko wraca do stanu poprzedniego.

Wszystkie te wskazania, oparte na opinii światowych autorytetów skłaniają do stwierdzenia, że nasze zdrowie pozostaje w naszych rękach.

Jean Carper — *Żywność twój cudowny lek, Apteka żywności, Przestań się starzeć... od dziś.*

HENRYK SKOLIMOWSKI

EKOMYŚLI

Profesor Henryk Skolimowski jest absolwentem Politechniki i Uniwersytetu Warszawskiego oraz New College w Oksfordzie, gdzie w 1964 roku uzyskał tytuł doktora filozofii. Od lat piętnastu prowadzi niestrudzenie działania na rzecz uzdrawiania naszej planety. Jest twórcą ekofilozofii, której główne idee zawarł w książce „Eco-philosophy” *Designing New Tactics for Living* (1981), przetłumaczonej na 18 języków. Jest dyrektorem Eco-philosophy Centre w Ann Arbor (Michigan, USA). Jesienią 1991 roku objął Katedrę Filozofii Ekologicznej na Politechnice Łódzkiej, pierwszą tego rodzaju na świecie. Wykłada na wielu zagranicznych uczelniach, latem zaś w greckiej wiosce Theologos na wyspie Tassos prowadzi warsztaty poświęcone ekofilozofii i ekojodze. Jest autorem 12 książek i ponad 200 artykułów. W języku polskim ukazały się dotychczas: *Medytacje* (1991), *Z prochu kosmicznego* (poezje, 1991), *Ocalić Ziemię* (1991) i *Nadzieja matką mądrych* (1992). Wiek dwudziesty pierwszy będzie stuleciem ekologicznym albo nie będzie go wcale — twierdzi.

Utrzymuje kontakty z naszą rodziną. Korzystając z jego przychylności, przekazuję Czytelnikom „Kalendarza Cieszyńskiego” kilka tekstów ekofilozofa.

JADWIGA OSZELDOWA

GDY MYŚLĘ POLSKA...

Gdy myślę Polska, to myślę nie tylko wierzby płaczące i smętne ballady szopenowskie, to myślę nie tylko cynizm i zgrywanie się z siebie, ale myślę nadzieja, odwaga, honor, umiejętność wytrwania i pewna krnąbrność. To te wartości podtrzymywały nas w okresach najgorszych, w okresie okupacji i w okresach zaborów. I podtrzymywały nas dobrze.

Po spędzeniu dwudziestu siedmiu lat za granicą, w którym to okresie smakowałem różnych kultur — brytyjskiej przez sześć lat, amerykańskiej przez dwadzieścia lat, brazylijskiej, meksykańskiej, hinduskiej, greckiej, fińskiej — w okresie kiedy podziwiałem osiągnięcia innych narodów — szczególnie materialne — jestem dumny, że urodziłem się Polakiem, że zostałem wykarmiony wartościami i ideałami, które często wydają się niepraktyczne, a które pozwalają człowiekowi stać z podniesioną głową i patrzeć prosto w gwiazdy.

MYŚLEĆ PIĘKNIE

Cała cywilizacja zachodnia jest bardzo mózgowa. Myślimy sucho, abstrakcyjnie. Ciągłe myślimy. Myślimy za dużo. I za abstrakcyjnie. Rezultatem jest niedowład serca. I deficyt miłości.

Myśleć dobrze i myśleć pięknie. Jaka jest różnica? Myśleć pięknie to na pewno myśleć dobrze. Ale myśleć dobrze to niekoniecznie myśleć pięknie.

Myśleć pięknie to apoteozować świat i siebie. Myśleć pięknie to otoczyć nasze myślenie aurą miłości. Wymaga to specjalnego stanu bytu, specjalnej świadomości.

Św. Augustyn twierdził, że sposób naszego myślenia zależy od stanu naszego bytu. Święci myślą pięknie, bo oni są w stanie uprzywilejowanego bytu. A więc droga do pięknego myślenia wiedzie nie poprzez sprawniejsze szare komórki, ale poprzez osiągnięcie takiego stanu bytu, w którym jesteśmy w harmonijnej jedności ze światem i ze sobą; takiego stanu bytu, w którym apoteozujemy świat — jego piękno i doniosłość; takiego stanu bytu, w którym idziemy przez świat jak gdyby w stanie medytacji; takiego stanu bytu, w którym wyszliśmy poza niewolę życia li tylko biologicznego.

Myślenie piękne jest aktem miłości. Jest wspaniałą fuzją dobra, prawdy i piękna. Jest powrotem do platońskiej jedności. Platon myślał i pisał pięknie, bo w swoim myśleniu jednoczył tę triadę, którą postulował. Wielcy pisarze piszą pięknie, bo podnoszą byt człowieka i magię języka do niebotycznych wyżyn; a czynią to z miłością.

Nam, zwykłym ludziom, zdarza się myśleć pięknie. A to wtedy, gdy jesteśmy w specjalnym stanie uniesienia, w tej formie bytu, o której pisał Augustyn, a która umożliwia piękne myślenie i piękne życie. Bo piękne myślenie jest konsekwencją i pochodnią pięknego życia; jest również jego składową.

Myślenie piękne jest możliwe. Ale nie łatwe. Myśleć pięknie to przewyciężyć myślenie ciasno-pragmatyczne, to uznać siebie za współarchitekta życia doniosłego, to apoteozować świat i siebie.

KLUCZ DO SZCZĘŚCIA

Wszyscy szukamy szczęścia. Jednak sztuka znajdowania szczęścia właśnie leży w nie szukaniu go. Tak więc nie uganiaj się za szczęściem. Bo możesz go tylko znaleźć w realizacji innych zadań. Szczęście nie jest zamrożonym stanem dobrego pocucia. Jest ono stanem ciągłego stawania się. Nie ma formuły dla realizacji szczęścia. Gdy ono do ciebie przybywa nie jesteś już świadom jego poszukiwań.

Do czego powinniśmy dążyć? Do życia które ma znaczenie, do satysfakcji której źródłem jest dobro ogółu. Jesteśmy tak wielcy jak sprawy w które się angażujemy. Wielkie sprawy pro publico bono pozwalają nam przewyciężyć nasz mały egoizm. Wielkie zadania są składową częścią naszej istoty, naszej godności, naszego pocucia dumy z przynależności do rodzaju ludzkiego. Tak więc rozwiń swe skrzydła w imię altruizmu; pomimo obecnego cynizmu świata. Ulepiony jesteś nie tylko ze zwyczajnej gliny, ale także ze światła gwiazd: ludzkie przeznaczenie dotyka kosmicznych orbit. Zespół się z wyższymi sferami ludzkich dociekań, dążeń, aspiracji. A wtedy życie twoje będzie spotęgowane, twoja jaźń ustokrotniona. I być może w rezultacie, jak nie spodziewany gość, szczęście zawita na twe wrota.

Czym jest szczęście? Aktem równowagi twojej osobowości, który jest odbierany przez innych jako promieniowanie i inspiracja; a który ty odczuwasz jako stan wewnętrznego spokoju i wewnętrznej siły. Szczęście nie jest stanem zadowolenia zmysłowego, ani też fizycznego komfortu, ale właśnie stanem wewnętrznego promieniowania, który sam rozpoznasz w miarę jak będziesz się do niego zbliżał. Szczęście to pokój zawarty z samym sobą; to umiejętność scalenia się z rządem rzeczy dotyczących niebios.

Błogosławieni przez los, giganty ludzkich myśli i ducha, tacy jak Gandhi, Albert Schweitzer, matka Teresa z Kalkuty, nie dążyli do szczęścia, a przynajmniej go nie poszukiwali. Jednak oceniamy ich życie jako promieniujące i inspirujące; spełnione w najlepszym tego słowa znaczeniu; a było to życie pro bono publico, natchnione wielkimi ideałami, które to w ostatecznej konsekwencji nadają sens ludzkiej egzystencji.

Idea poszukiwania szczęścia powinna być skazana na banicję, bo jest to pułapka, która wiedzie na manowce niekończącego się egoizmu. Klucz do szczęścia jest prosty: masz go w swoim ręku lub sercu: polega on na wyrzeczeniu się egoizmu i ambicji na rzecz wizji i misji.

URATOWAĆ DZIEŃ

Uratować dzień — od głupoty i miałości
Od szarżyzny, pesymizmu, nihilizmu
Od jęczenia, narzekania, negatywności
Od litowania się nad sobą
Od zawiści w stosunku do innych
Od ulegania kłamstwu nieświadomościom, fałszom życia.

Uratować dzień — aby żyć!
Takie proste słowo a taki trudny problem.
Żyć w odwadze, życzliwości, skromności
Zaufaniu, otwarciu wobec innych i siebie
W poczuciu że jest się umiłowanym przez kosmos.
Żyć jak trzcina prosto
Jak gwiazda emanująca światło dla wszystkich.
Żyć jak człowiek — w godności, prostocie, pięknie.
Czy to zbyt wiele na nasze skarlłowaciale czasy?
Czy też są one skarlłowaciale bo myśmy znaleli?

Nikt nie jest odpowiedzialny
Za nasze mierne i zmarnowane życia.
Ty jesteś odpowiedzialny
Ja jestem odpowiedzialny
Gdy nie mamy dostatecznej woli
Aby ten właśnie dzień
Uratować od nijakości i niebytu.

Uratować dzień aby nie jęczeć potem
Że życie jak woda
Przeszło nam przez palce
Zostawiając w duszy poczucie nicości.

DRAMATYCZNY I WSPANIAŁY

Rzecz będzie o zagrożonym świecie. Nie bez powodu wybrałem ten temat właśnie do „Kalendarza Cieszyńskiego”, który kultywuje tradycje bioregionalne naszej pięknej ziemi. Ten skrawek ojczyzno jest jednocześnie częścią planety Ziemia i nie bez znaczenia jest to, co się tutaj dzieje dla mieszkańca powiedzmy Indonezji, która aktualnie przeżywa dramatyczny okres transformacji. Znany jest przykład mówiący o tym, że ruch skrzydeł motyla ma wpływ na powstawanie tajfunu. Tak, wszystko jest ze sobą powiązane w niezwykle kunsztownej i tajemnej sieci życia i śmierci, umierania i odradzania się. A że Ziemia Cieszyńska ma swój wielki urok, posiadając wielu zwolenników? Świadczy o tym historia, ale nie będę wdawał się we wspomnienia i przytaczał na to konkretne dowody. Dość napisać, że podczas ostatniego pobytu Czesława Niemena w Cieszynie, bez kokieterii stwierdził on po prostu, że był w różnych krajach świata i Cieszyn, do którego bardzo chętnie przyjeżdża, to jedno z jego ulubionych miejsc. Zauroczony naszą ziemią jest również Stanisław Hadyna, Tadeusz Sławek, rektor Uniwersytetu Śląskiego, który przyłgął z rodziną do piastowego grodu. Dostyc jednak tej samochwały; każda liszka swój ogon chwali...

Oto fragment tekstu pt. *Dlaczego potrzebujemy wilków?*, który został napisany przez Roberta Lyle dla „Dzikiego Życia”:

Przez tysiąclecia chciwość człowieka była hamowana relatywnie słabo rozwiniętą techniką oraz moralnymi zakazami. Dzisiaj technologie pozwalają zniszczyć całe życie na ziemi, a moralne wskazania zostały zastąpione sofizmatem „wolnej” przedsiębiorczości. Chciwość wraz z nieodłącznymi jej ludzkimi dziećmi: arogancją i złością (znamy te „nerwy” człowieka Zachodu) są namiętnościami, które jeśli nie są kontrolowane, ustawiają nas, ludzi, na poziomie niższym od zwierząt. Jest tak dlatego, że chociaż możemy odwoływać się do zwierzęcego gniewu, to jednak zwierzęta nigdy nie są aroganckie. W ten to sposób ci, którzy kontrolują dzisiaj większą część światowych bogactw, a patrząc szerzej, decydują o losie swoim własnym i nas wszystkich, są ludźmi, którzy nie tylko odrzucili swą prawdziwą naturę człowieka, lecz swoje ciało i duszę podporządkowali siłom redukującym ich do nieożywionej technologii. Stali się istotami tak samo niesprawiedliwymi, bezlitosnymi i pozbawionymi współczucia jak ich świdry, piły, pojazdy, środki chemiczne, karabiny i pułapki (...). To ogromne zniszczenie, prowadzące do niewyobrażalnych zmian klimatycznych jest wynikiem zapotrzebowania na mięso przez kraje bogate i zachłanności przemysłu drzewnego. Jest to ogólnoświatowy proces, prowadzący do ciągłego bogacenia się bogatych i ubożenia biednych. Prawidło to jest wbudowane w system, bo nawet na bogatym Zachodzie mamy takie zjawiska, że 28 milionów Amerykanów głoduje, podczas gdy zboże mogące żywić 2 miliardy ludzi przeznaczane jest w tym kraju co roku na paszę dla trzody. Brak równowagi leżący u podstaw współczesnego świata można podsumować taką oto groteskową statystyką: 358 ludzi bogatych zarabia tyle samo ile zarabia 2,75 miliarda biednych!

Można by również pisać o jasnych przejawach ludzkiej aktywności, jednak życiu na Ziemi towarzyszy gdzieś w tle, chciałoby się napisać, tuż za plecami, oddech przedwczesnej śmierci niezliczonych gatunków. James Lovelock, który spopularyzował hipotezę Gai (głoszącą, iż ziemia nie jest tylko bryłą skał pokrytych surowcami lecz żyjącą,

połączoną w całość istotą) powiedział, że nasze postępowanie wobec lasów tropikalnych przypomina sytuację, w której mózg zdecydowałby, że jest najważniejszym organem i zaczął eksploatować wątrobę. Będzie tak dotąd, dopóki nie uzmysłowimy sobie, że „na zewnątrz” i „wewnątrz”, „tam” i „tutaj” jest jednym i tym samym, że poczucie oddzielenia — nieważne jak popularne — jest całkowitym złudzeniem.

Oczywistość tego dualizmu i wynikającego stąd dramatu mobilizuje różnych światłych ludzi, że wspomnę o przedstawicielach różnych tradycji duchowych, z Dalajlamą na czele oraz osoby reprezentujące radykalne nurty ekologii, która nazywa się ogólnie ekologią głęboką. Należą do nich Joanna Macy, John Seed, Patric Anderson, Janusz Korbel, Henryk Skolimowski i inni.

Profesor Henryk Skolimowski, który od kilku lat mieszka w Polsce, jest absolwentem Politechniki i Uniwersytetu Warszawskiego oraz New College w Oxfordzie, gdzie w 1964 roku uzyskał tytuł doktora filozofii. Od szesnastu lat prowadzi nieustrudzenie działania na rzecz uzdrawiania naszej planety. Jest twórcą ekofilozofii. Jesienią 1991 roku objął Katedrę Filozofii Ekologii na Politechnice Łódzkiej, pierwszą tego rodzaju na świecie. Wykłada na wielu zagranicznych uczelniach, latem zaś w greckiej wiosce Theologos na wyspie Tassos, prowadzi warsztaty poświęcone eko-filozofii i eko-jodze. Jest autorem 12 książek i ponad 200 artykułów. W języku polskim ukazały się dotychczas: *Medytacje* (1991), *Z prochu kosmicznego* (poezje, 1992), *Ocalić Ziemię* (1991) i *Nadzieja matką mądrych* (1992). Oto kilka myśli profesora:

Wszyscy szukamy szczęścia. Jednak sztuka znajdowania szczęścia leży właśnie w nieszukianiu go. Tak więc nie uganiam się za szczęściem, bo możesz go tylko znaleźć w realizacji innych zadań. Szczęście nie jest zamrożonym stanem dobrego samopoczucia. Jest ono stanem ciągłego stawania się. Nie ma formuły dla realizacji szczęścia. Gdy ono do Ciebie przybywa, nie jesteś już świadomy jego poszukiwań. Do czego powinniśmy dążyć? Do życia, które ma znaczenie, do satysfakcji, której źródłem jest dobro ogółu. Wielkie sprawy pro publico bono pozwalają nam przezwyciężyć nasz mały egoizm. Wielkie zadania są składową częścią naszej istoty, naszej godności, naszego poczucia dumy z przynależności do rodzaju ludzkiego. Tak więc rozwiń swe skrzydła w imię altruizmu: pomimo obecnego cynizmu świata. Ulepiony jesteś nie tylko ze zwykłej gliny (...). Idea poszukiwania szczęścia powinna być skazana na banicję, bo jest to pułapka, która wiedzie na manowce nie kończącego się egoizmu. Klucz do szczęścia jest prosty: masz go w swoim ręku lub sercu: polega on na wyrzeczeniu się egoizmu i ambicji na rzecz wizji i misji.

Nawiązując do pointy tego tekstu, napisałem w 1982 roku następujący wiersz:

NIE PATRZ W GWIAZDY

Spójrz na tego człowieka	gasząc oczy
co na gwiazdę swoją czeka	jak dwa słońca
spadła dziwnym blaskiem skrząca	

Te dwa fragmenty są o tym samym świecie, który prawdziwy czy „właściwy” wydaje nam się wówczas, gdy przepełnia nas radość i wszystko w naszym życiu pasuje do siebie. Kiedy natomiast jesteśmy smutni, sfrustrowani, cierpiący, żli, sądzymy czy wydaje się nam, że z tym światem jest coś nie tak. Życie to jednak nie puzzle do układania, przynależy do niego również melancholia przemijania, dramat i piękno narodzin, złoty smutek starości, tragizm umierania, ale także tajemnica i wielka obietnica śmierci. Rzeczywistość jest taka, jaka jest, a nie taka, jaka nam się wydaje. Pełne i dogłębne doświadczenie natury istnienia, ostateczny wgląd posiada niewielu. Jest udziałem osób zrealizowanych, świętych, oświeconych. Słowo święty znaczy całkowity, zupełnie zdrowy (po niemiecku *heilig* znaczy święty, a samo *heil* — zdrowy). Jaki jest więc świat? Dramatyczny i wspaniały.

BANK
SPÓŁDZIELCZY

Bank Spółdzielczy

w Cieszynie



43-400 Cieszyn, ul. Kochanowskiego 4
tel. 520-130, 520-696, tel./fax 520-124

43-419 Hażlach — Oddział, tel. 569-424

Bank został założony 28 października 1873 r.

Od tego czasu (z przerwą w latach 1939—1945) służy społeczeństwu udzielając kredytów, prowadząc rachunki i rozliczenia oraz przyjmując wkłady oszczędnościowe Klientów.

Bank przyjmuje Klientów

od poniedziałku do piątku w godz. od 7⁰⁰ do 17⁰⁰

i w soboty robocze od 7³⁰ do 11⁰⁰.

Zapraszamy do korzystania z naszych usług.

Oferujemy miłą i sprawną obsługę.

Rozliczenia Banku są przeprowadzane przez Krajową Izbę Rozrachunkową oraz w systemie elektronicznego przekazywania danych.

Za wkłady oszczędnościowe odpowiada Bankowy Fundusz Gwarancyjny.

Bankiem zrzeszającym jest Małopolski Bank Regionalny S.A. w Krakowie.



ZRZESZENIE BANKÓW SPÓŁDZIELCZYCH
Małopolski Bank Regionalny S.A.
w Krakowie
BANK SPÓŁDZIELCZY

SKOCZÓW

ul. Objazdowa 10

tel: (0-33) 533-222, 532-225, fax: (0-33) 533-919

OFERUJE

- ★ pełną obsługę rachunków bieżących i pomocniczych
- ★ szeroki asortyment dogodnych kredytów
- ★ pełny zakres usług kasowych z wrzutnią nocną
- ★ atrakcyjne formy oszczędzania

Zapraszamy do naszych placówek

- w Skoczowie przy ul. Objazdowej 10
- w Brennej przy ul. Wyzwolenia
- w Strumieniu przy ul. Pocztovej 5
- w Dębowcu 8 (budynek Urzędu Gminy)

BANK SPÓŁDZIELCZY ZAWSZE BLISKO



„KONSUM ROBOTNICZY”

**43-400 Cieszyn, Rynek 17
tel. 521981, fax 521988**



- produkcja własna
- sprzedaż hurtowa
- sieć dobrze zaopatrzonych placówek detalicznych

HURTOWNIA Spożywcza

ul. Stawowa 30
tel. 52 08 23

sprzedaje art. spożywcze
w tym wielu renomowanych
polskich producentów
zapewnia:

- szeroki asortyment,
- atrakcyjne ceny,
- rzetelną współpracę

PIEKARNIA Osiedlowa

ul. Morcinka
tel. 52 35 26

oferuje:

bogaty asortyment chleba
i pieczywa piekarskiego
w tym o przedłużonej
trwałości bez konserwantów

CIASTKARNIA

ul. 3 Maja
tel. 52 01 11

- producent wielu wyrobów
ciastkarskich

*wybierz smaczne, tanie ciastka,
torty, drożdżówki*

GARMAŻERNIA

ul. Srebrna 16
tel. 52 08 48

- proponuje wyroby własnej
produkcji o atrakcyjnych
walorach smakowych
 - kanapki
 - sałatki
 - przetwory rybne

ZAPRASZAMY

U nas solidnie i uprzejmie!

BANK SPÓŁDZIELCZY

w Ustroniu, ul. Partyzantów 5

tel. 54 34 57 ★ fax 54 25 47

poleca
na atrakcyjnych warunkach
swoje usługi
w zakresie działalności:

- **oszczędnościowej**
 - **kredytowej**
 - **rozliczeniowej**
 - **obsługi kasowej klientów**

Gwarantujemy konkurencyjne oprocentowanie wkładów terminowych oraz szybką realizację udzielanych kredytów.

Zapraszamy do naszego Banku: codziennie od 7³⁰—16³⁰
w soboty od 7³⁰—11³⁰

Firma „IMBUS”

PHU – Walter Macura

43-400 Cieszyn, ul. Błogocka 31

oferuje następujące usługi:

- roboty murarsko-tynkarskie,
elewacyjne,**
- roboty dociepleniowe budynków,**
- przebudowa stropodachów na
mieszkalne poddasza,**
- roboty wykończeniowe
ogólnobudowlane,**
- sufity podwieszane i ścianki
z płyt gipsowych.**

**Roboty wykonujemy solidnie
i tanio, z gwarancją.**

Do Baru Restauracyjnego „**HIT**”
dawniej Cieszyńskiej Gospody „Pod Złotym Wolem”
przy ul. Szersznika 4

serdecznie zaprasza kierownictwo Zakładu.

W ofercie smaczne i treściwe potrawy.

Działalność handlowa od godz 7.00 do 23.00.

Podajemy:

śniadania, obiady, kolacje.

krótkie dania - zakąski, kanapki.

dania rybne, jarskie.

pełny asortyment napojów orzeźwiających, najlepsze gatunki piwa.

Przyjmujemy zgłoszenia na organizowanie
bankietów okolicznościowych, imprez i wycieczek.

Prowadzimy także sprzedaż na wynos.

Wstąp, a przekonasz się!
Dobrze i tanio zjesz.

Bogaty asortyment delikatesów mięsnych: znajdziesz w sklepach:



Przy ulicach:

Głęboka 11

Głęboka 18

Zamkowa 9

Korfantego 10

Stawowa 60

Szersznika 4

Ponadto w Zakładzie Przetwórstwa Mięsnego,
ul. Frysztacka 91A, tel. 521-993, fax 512-882.

Firma prowadzi szeroki asortyment przetworów mięsnych.

Zapraszamy

SPIS TREŚCI

Jesiynne anioły Beskidów — <i>Anna Węzik</i>	3
Kalendarium — <i>Karol Kajzer</i>	4
Rocznice — <i>Władysław Sosna</i>	4
Kalendarz skrócony na rok 2000	28
Ważniejsze rocznice — <i>Władysław Sosna</i>	29

HISTORIA

Wieś pod Cieszymem — <i>Rudolf Mizia</i>	33
125 lat bankowości spółdzielczej w Cieszynie — <i>Jerzy Sowiński</i>	40
Towarzystwa gimnastyczne — <i>Franciszek Pasz</i>	59
Na progu wielkiej wojny — <i>Edward Bulawa</i>	64
Walki na froncie wschodnim — <i>Stefan Król</i>	68
Z dziejów Gminnej Spółdzielni w Skoczowie — <i>Karol Kajzer</i>	75
Wieś, której nie ma — <i>Kazimierz Paweł Raszka</i>	84
Podzielona diecezja — <i>Paweł Czupryna</i>	88

KULTURA, ZABYTKI

Miejsca pątnicze na Śląsku Cieszyńskim — <i>Witold Iwanek</i>	91
Ekslibris ks. Leopolda Szersznika — <i>Józef Golec</i>	94
Silesia — <i>Józef Golec</i>	98
Fabryka Babińskich — <i>Ludwik Rosner</i>	99
Ekslibrisy Wałachów — <i>R.D.</i>	102
Doktorat Ludwika Brożka — <i>Jadwiga Miękina-Pindur</i>	104
Zanim powstało Koło Macierzy... — <i>Jan Rusz</i>	110
Cieszyniacy pod Wawelem	114
Stale nas ubywa... — <i>Leopold Niemiec, Tadeusz Cup</i>	117
Północny bastion Cieszyńskiego — <i>Janusz Guziur</i>	120
Śląski Dürer — <i>Bronisław Kohut</i>	123
Ewangelia i pieśń — <i>Beata Sabbath-Rozmus</i>	129
Ekumenia i uniwersytet — <i>ks. Józef Budniak</i>	132

WSPOMNIENIA

Moje kontakty z pieśnią i muzyką — <i>Jan Broda</i>	135
Listy do Ewy — <i>Karol Ferdynand Sabbath</i>	140
Moje wojsko — <i>Stanisław Gajdzica</i>	169
Wrześniowy szlak — <i>Bronisław Molenda</i>	176
Akcja hrabiego Folke — <i>Władysława Sikora</i>	183
Sterczące kominy — <i>Anna Bugnon-Rosset</i>	187
Dziwy nad dziwami — <i>ks. Jan Urbaczka</i>	189
Miłość silniejsza od nienawiści — <i>Antoni Tomica</i>	192
Profesor — <i>Włodzimierz Gólkowski</i>	203
Moja przygoda z „Głosem” — <i>Tadeusz Kopoczek</i>	206
Żal po Rosnerze — <i>Bolesław Lubosz</i>	218

SYLWETKI

Niepospolity pedagog — Władysław Sosna	221
Poczet rodu Cieniałów — Teodor Cieniał	225
Historyk Śląska Cieszyńskiego — Janusz Spyra	233
Portreciści Cieszyna — Tadeusz Kopoczek	236
Turystyczne zasługi Jana Galicza — Władysław Sosna	238
Wielki jałmużnik Narodu — Bolesław Orszulik	243
Niezapomniany pan Tomasz — Jerzy Oszelda	246
Życie oddane orłowskiemu Gimnazjum — Edmund Rosner	248
Zasłużony dla Ustronia — Lidia Szkaradnik	250
Ks. Józef Berger — Stanisław Zahradnik	252
Ujec Kawulok — Urszula Patyk	256
Żywoty wrośnięte w Beskidy — Władysław Oszelda	261
Ziemia pachnąca człowiekiem — Leon Miętkina	266
Bagnet, paragraf 1... serce — Tadeusz Kopoczek	273
To już dziesięć lat... — Kazimierz Fober	279
Marzenia Chrystusowi ofiarowane — Beata Sabbath-Rozmus	284

KULTURA LUDOWA, FOLKLOR

Szumi jawor, szumi — Adam Niedoba	286
Moi nauczyciele — Janina Marcinkowa	287
O siedzibach, zwyczajach, obyczajach i strojach wieśniaków — dr Julius Bayer	290
Ze Szląska Austriackiego — dr S. Smoleński	293
O stroju górali śląskich — Marian Dembiniok	302
Lipowa zaduma — Małgorzata Kiereś	305
... Z takim się musisz tropić ⁽¹⁾ — Marta Bisok-Podżorska	308
Judosz gore — Karol Kajzer	311
Jak uchronić się od czarów? — Lidia Szkaradnik	314
Opowieści spod Witalusza — Jan Broda	316
Gawędy ujca Pawła Ruckiego — Robert Danel	320
Pory roku — Lidia Szkaradnik	322
Milijński wyprask z pszczołami — Władysław Majętny	325

POEZJA

Tul mnie — Maria Burek	327
★ ★ ★ — Katarzyna Feber	328
Widok z serca — Elżbieta Holeksa	328
Rozmawiać — Urszula Stefania Korzonek	329
Niedziela pod Jelenicą — Ruta Kornelia Lissowska	329
★ ★ ★ — Andrzej Macura	330
Cisza — Władysława Maryniok-Cieślarkowa	331
★ ★ ★ — Anna Mazur	332
Stroju mój... — Emilia Michalska	332
Po koledzie — Władysław Młynek	333
Ostatni tren gorola — Jan Pyszko	334
Gody — Jerzy Rucki	336
Tańczące snopki — Beata Sabbath-Rozmus	338
Baby się wadzom — Lidia Szkaradnik	339
Zaduszki — Anna Wernerowa	340
Nazywanie rzeczy — Kazimierz J. Węgrzyn	340
Przystań enigmatyczna — Błażej Wiśniowski	341

PROZA

Myśliwskie opowieści — <i>Erwin Dembiniok</i>	342
Siostrzyczka — <i>Stanisław Hadyna</i>	348
Było nas dziewięciu — <i>Henryk Jasiczek</i>	351
Zarzecze pod wodą ⁽²⁾ — <i>Mieczysław Słonina</i>	358

RÓŻNOŚCI

Klub z tradycjami — <i>Kazimierz Paweł Raszka</i>	364
Uśmiech wśród codzienności — <i>Beata Sabbath-Rozmus</i>	374
Jak „Fenix” z popiołów — <i>Mieczysław Gulda</i>	376
Klub Tajnerów — <i>Kazimierz Paweł Raszka</i>	378
Przestań się starzeć ... od dziś! — <i>Jadwiga Oszelda</i>	380
Ekomyśli — <i>Henryk Skolimowski</i>	382
Dramatyczny i wspaniały — <i>Jerzy Oszelda</i>	385
Reklamy	387



POLSKO - CZESKI INFORMATOR GOSPODARCZY

WOJEWÓDZKIE CENTRUM INFORMACJI GOSPODARCZEJ

Wszyscy wiedzą, że my wiemy!

Łódzka linia

Łódź - Białą - Katowice - Ostrawa

94 - 34

Informacja

o handlu

usługach

produkcji

i służbie zdrowia

BIURO INFORMACJI

43-400 Cieszyn, ul. Majowa 10

tel. (48-33) 94-34

BIURO OBSŁUGI KLIENTA

43-400 Cieszyn, ul. Michejdy 18

tel. (48-33) 512-513

125 lat
Banku Spółdzielczego
w Cieszynie

1873 - 1998

*Bank Spółdzielczy
w Cieszynie
43-400 Cieszyn
ul. Kochanowskiego 4
tel./fax (033) 520 124
tel. 520 130, 520 696*



1998